

A królem ich był Anioł Otchłani, którego imię brzmi po hebrajsku Abaddon, to znaczy Niszczyciel.

Apokalipsa według Świętego Jana Apostoła

Być może jutro umrę i na ziemi nie zostanie nikt, kto by mnie w zupełności rozumiał. Jedni będą mnie uważali za gorszego, inni za lepszego niż jestem. Niektórzy powiedzą, że byłem dobrym człowiekiem, i inni — że byłem łotrem. Lecz obydwie te oceny będą równie mylne.

Michał Lermontow *Bohater naszych czasów.*

Pewne wypadki, które zdarzyły się w mieście Buenos Aires z początkiem roku 1973

PIĄTEGO STYCZNIA PO POŁUDNIU

stojąc we drzwiach kawiarni u zbiegu ulic Guido i Junín, Bruno ujrzał nadchodzącego Sabata, a kiedy

chciał go zawołać, poczuł, że dzieje się coś zdumiewającego: choć wlepił w niego wzrok, Sabato minął go z daleka, jakby go nie widział. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się coś takiego, a zwyczajowy stosunek jaki ich łączył, Bruno nie mógł przypuszczać, że Sabato działał z rozmysłem wskutek jakiegoś poważnego nieporozumienia.

Ściągał go uważnym spojrzeniem i widział, jak bez wahania przekraczał ulicę na niebezpiecznym skrzyżowaniu nie bacząc zgoła na samochody i nie spozierając na boki, jak to czyni człowiek ostrożny i świadom niebezpieczeństwa.

Bruno był tak nieśmiały, że tylko w najrzadszych wypadkach odważał się telefonować. Jednakże po długim czasie, gdy nie spotykał go w La Biela ani w Roussillon i kiedy dowiedział się od kelnerów, że Sabato nie bywał tam w tym okresie, zdecydował się zadzwonić doń do domu. Ktoś odpowiedział mu niejasno: „Niedobrze się czuje”.

„Nie, przez jakiś czas nie będzie wychodził”. Wiedział Bruno, że nieraz całe miesiące Sabato zapadał w tę tak zwaną przez siebie „studnię”, ale nigdy jeszcze nie czuł tak mocno jak w tej chwili, że to wyrażenie kryje w sobie straszliwą prawdę. Począł wspominać niektóre jego relacje o czarach, o jakimś Schneidrze, o rozdwójniach. Ogarnął go wielki niepokój, jak gdyby na nieznanym terenie zaskoczyła go noc i musiał szukać drogi przy pomocy nikłych światełek w chatach nieznanym ludzi i od blasku pożaru w miejscu odległym i niedostępnym.

TEJ SAMEJ NOCY NAD RANEM

Pośród niezliczonych wypadków, jakie zdarzają się w ogromnym mieście, zaszczyły trzy godne wzmianki;

istniał bowiem między nimi związek, jaki łączy zawsze osoby tego samego dramatu, choćby czasami nie znały się wzajemnie, a jedna z nich była po prostu pijakiem.

W starym barze Chichin przy ulicy Admirała Browna jego obecny właściciel, don Jesus Mourente, szykował się do zamknięcia lokalu i powiedział do jedyne go klienta stojącego przy ladzie:

— Wynocha, wariacie, trzeba zamykać.

Natalicio Barragan wysączył swój kieliszek przepalanki i chwiejąc się wyszedł. Znalazłszy się na ulicy cudem przekroczył jak co dzień w spokojnym roztargnieniu ulicę pełną o tej porze rozszalałych samochodów i autobusów. Następnie, jak gdyby chodził po kołyszącym się pokładzie statku na rozhułtanym morzu, zszedł ulicą Brandsen ku Południowemu Basenowi.

Kiedy dotarł do Pedro de Mendoza, woda Riachuelo, w miejscach gdzie odbijały się światła statków, wydała mu się zabarwiona krwią. Coś mu kazało podnieść oczy i ponad masztami zobaczył rudawego potwora, który przysłaniał niebo aż do ujścia Riachuelo, gdzie gubił swój ogromny łuskowaty ogon.

Oparł się o cynkową ścianę, przymknął powieki i wzburzony nabierał tchu. Po chwili mętnych rozważań, wśród których jego myśli usiłowały torować sobie drogę w mózgu pełnym odpadków i śmiecia, otworzył oczy. I ponownie, teraz już wyraźniej zobaczył smoka wypełniającego nocny firmament, niby rozwścieczony wąż płonący nad przepaścią czarną jak tusz kreślarski.

Przeraził się.

Na szczęście ktoś się zbliżał. Marynarz.

— Zobacz — powiedział drżącym głosem.

— Co? — spytał człowiek poczciwie, jak to ludzie o dobrym sereu przemawiają do pijanych.

— Tam.

— Co? — powtórzył marynarz uważnie.

— To!

Przez chwilę marynarz wpatrywał się we wskazaną okolicę nieba, po czym oddalił się z życzliwym uśmiechem.

Wariat odprowadził go spojrzeniem i znowu oparł się o ścianę, przymknął powieki i jął rozmyślać w drżącym skupieniu. Znowu podniósł oczy i jeszcze mocniej się przeraził: teraz z paszczy siedmiogłowego potwora buchał ogień.

Natalicio Barragan stracił przytomność i upadł.

Kiedy się obudził na chodniku, był już dzień. Pierwsi robotnicy szli do pracy. Ciężkim krokiem ruszył do swej izdebki w ruderze, niepomny w tej chwili swoich przywidzeń.

Drugie wydarzenie łączy się z osobą młodego Nacha Izaguir-re. Z ciemności, ukryty wśród drzew Avenida del Libertador, ujrzął wielki samochód chevy-sport, z którego wysiedli pan 8

Ruben Perez Nassif, prezes firmy Inmobiliaria Perenas, i Agustina Izaguirre, siostra Nacha. Było to około drugiej nad ranem. Weszli do kamienicy czynszowej. Nacho pozostał na swoim posterunku obserwacyjnym do godziny czwartej mniej więcej, po czym odszedł w stronę Belgrano, zapewne do domu. Z rękami w kieszeniach wymiętych dżinsów szedł pochylony, ze spuszczo-
ną głową.

W tym samym czasie, w obskurnej piwnicy podmiejskiego komisariatu policji, po kilkudniowych torturach wrzucony w końcu do worka i na śmierć zbity, umierał w kałuży krwi i plwocin dwudziestotrzyletni Marcelo Carranza oskarżony o przynależność do grupy partyzantów.

ŚWIADEK, BEZSILNY ŚWIADEK

mówił sobie Bruno, za-
trzymując się w tym miej-
scu Costanery Południo-
wej, gdzie piętnaście lat
temu Marcin mu powiedział: „Tutaj byliśmy z Aleksandrą”.
Jak gdyby to samo niebo pokryte burzowymi chmurami i ten sam letni upał przywiódł go bez jego woli w te strony, których od tamtej chwili nie odwiedził. Jak gdyby pewne uczucia chciały na nowo wyłonić się z jego ducha, jak to zwykle bywa, nie bezpośrednio, lecz poprzez miejsca, które chcielibyśmy znowu ujrzeć, choć nie wiemy jasno dlaczego. Ale nic przecież nie może się w nas odrodzić takie, jakie było kiedyś — rozmyślał. — Nie jesteśmy tym, czym byliśmy wtenczas, bo nowe domostwa powstały na gruzach tych, które zniszczyła wojna i ogień, inne zaś opustoszały nadwerżone przez czas, i tylko dawni mieszkańcy przechowują mgliste wspomnienia bądź legendę, stłumioną w końcu i zapomnianą wśród nowych namiętności i nieszczęść: tragicznych doznań młodzieńców, jak Nacho, męki i śmierci niewinnych, jak Marcelo.

Oparty o barierę słuchał rytmicznych uderzeń rzeki za plecami i jeszcze raz kontemplował przez mgłę Buenos Aires, sylwetki wieżowców na zmierzchającym niebie.

Mewy przelatywały, jak zawsze, z okrutną obojętnością sił przyrody. Kto wie, czy w owym czasie, kiedy Marcin opowiadał mu tutaj o swojej miłości do Aleksandry, tamten malec, co przechadzał się wówczas obok nich z piastunką, to nie był właśnie Marcelo? I teraz, kiedy wątłe resztki nieśmiałego chłopca stały się częścią jakiejś betonowej płyty lub po prostu spopielili się w piecu elektrycznym, identyczne mewy wykonują na podobnym niebie te same odwieczne ewolucje. Tak oto wszystko

mija i wszystko idzie w zapomnienie, tylko woda uderza wciąż rytmicznie o brzegi bezimiennego miasta.

Pisać, choćby po to, aby coś uwiecznić: jakąś miłość, akt bohaterstwa takiego Marcela, jakieś uniesienie. Zbliżać się do absolutu. A może (Bruno myślał niezdecydowanie, z ową nadmierną godnością, która czyniła go chwiejnym i w końcu pozabawiała energią), może jest to potrzebne takim ludziom jak on, niezdolnym do altów bezwzględnej namiętności i bohaterstwa. Ani bowiem Ernesto Guevara, ani Marcelo Carranza nie musieli pisać. Pomyślał przez chwilę, że jest to, być może, ucieczka bezsilnych. Czy nie mają racji ci młodzi, którzy obecnie odrzucają literaturę? Tego on nie wie, wszystko jest bardzo skomplikowane, przecież, jak powiada Sabato, musiałby również odrzucić muzykę i całą niemal poezję, i one bowiem nie wspomagają rewolucji, której ci młodzi pragną. Zresztą żadna autentyczna postać nie jest mamidłem stworzonym ze słów: są zbudowane z krwi, ze złudzeń, nadziei i prawdziwych niepokojów, i w jakiś tajemniczy sposób wydają się służyć temu, abyśmy wszyscy mogli w tym pogmatwanym życiu znaleźć sens istnienia, a przynajmniej jego daleki odbłask.

Raz jeszcze w swoim długim życiu odczuł potrzebę pisania, jakkolwiek nie mógł zrozumieć, dlaczego zrodziła się w nim teraz, po tym spotkaniu z Sabato na rogu Junin i Guido. Ale jednocześnie doświadczał swej chronicznej niemocy w obliczu ogromu. Świat jest taki rozległy. Katastrofy i tragedie, miłości i nieporozumienia, nadzieje i śmierci wydają mu się bezmierne. O czym ma pisać? Które z tych nie kończących się wydarzeń są istotne? Kiedyś powiedział Marcinowi, iż żywiołowa klęska w dalekim kraju może jednak nie mieć dla kogoś znaczenia: dla tego chłopca, dla Aleksandry, dla niego samego. I raptem zwyczajny śpiew ptaka, spojrzenie przechodnia, nadejście listu są faktami istniejącymi rzeczywiście i dla tego kogoś mają znaczenie, jakiego nie ma zaraza w Indiach. Nie, to nie jest obojętność dla świata, to nie jest egoizm, przynajmniej z jego strony: to jest coś subtelniejszego. Jakaż to dziwna dola człowieka, dla którego tak okropna rzecz jest prawdą. Właśnie teraz — powiedział sobie — niewinni chłopcy giną w Wietnamie od bomb napalmowych: czyż nie jest to lekkomyślna podłość pisać o kilku istotach z jakiegoś zakątka świata?

Onieśmielony, na nowo zaczął przyglądać się mewom na niebie. A jednak nie, sprostował. Jakkolwiek historia nadziei i klęsk pojedynczego człowieka, prostego nieznanego chłopca, może obejmować całą ludzkość, może służyć znalezieniu sensu istnienia, a nawet pocieszeniu tej wietnamskiej matki oplakują-

cej spalonego syna. Oczywiście, jest dostatecznie uczciwy, aby wiedzieć (aby się obawiać), że to, co on potrafi napisać, nie zdoła osiągnąć takiej wartości. Ale taki cud jest możliwy i innym może się udać to, czego on nie jest w stanie dopiąć. O tak, nigdy nie wiadomo. Pisać o pewnych młodzieńcach, o tych, którzy najbardziej cierpią na tym bezlitosnym świecie, o tych, którzy najbardziej zasługują, aby ktoś opisał ich dramat i zarazem sens ich cierpienia, jeżeli one mają jakiś sens. Nacho, Agustina, Marcelo. Ale cóż on wie o nich? Dostrzega zaledwie pośród cieni parę znaczących epizodów swego własnego życia, własne wspomnienia dzieciństwa i młodości, melancholijny szlak własnych uczuć.

Cóż zatem wie naprawdę już nie o Marcelu Carranza lub o Nachu Izaguirre, ale o samym Sabato, który zawsze był najbliższy jego życiu. Nieskończenie dużo i nieskończenie mało. Czasami odczuwa go, jakby był częścią jego własnego ducha, może sobie wyobrazić niemal szczegółowo, co by czuł Sabato wobec pewnych wydarzeń. Lecz raptem zamyka się jego obraz, dobrze choć, jeśli jakiś błysk oczu pozwoli mu się domyślać, co dzieje się w głębi jego duszy; pozostaje to wszakże w granicach przypuszczeń, tych zuchwałych przypuszczeń, które z taką pewnością siebie rzucamy na ukryty świat innych ludzi. Cóż wie na przykład o jego stosunku do tego gwałtownego Nacho Izaguirre, a zwłaszcza do jego tajemniczej siostry? Co zaś się tyczy stosunku Sabato do Marcela, to wie oczywiście, że Marcelo pojawiał się w jego życiu w kilku niby to przypadkowych epizodach, które jednak, jak sam Sabato ciągle powtarzał, były tylko z pozoru przypadkowe. W końcu może sobie nawet wyobrazić, że męczeńska śmierć tego chłopca, okrutna i mściwa pogarda Nacha dla siostry, i ten upadek Sabato są z sobą połączone więzią tak potężną, że sama przez się mogłaby stanowić tajemny motyw jednej z tych tragedii, które streszczają bądź są metaforą tego, co może się stać z całą ludzkością w czasach takich jak obecne.

Powieść o poszukiwaniu absolutu, o szaleństwie młodzieńców, a także ludzi dojrzałych, którzy nie chcą lub nie mogą przestać być młodymi; ludzie, co pośród błota i gnoju wydają okrzyki rozpacz albo giną rzucając bomby w jakimś zakątku świata. Opowieść o młodzieńcach jak Marcelo i Nacho i o artyście, który w ukrytych zakamarkach ducha czuje poruszenia tych istot (po części dostrzeżone zewnątrz jak przez mgłę, po części zrodzone w najtajniejszej głębi serca) domagających się uwiecznienia i absolutu. Iżby męczeństwo jednych nie zagubiło się w zgiełku i chaosie, lecz mogło dotrzeć do serca innych ludzi, by ich poruszyć i ocalić. Może sam Sabato wobec tych nieprze-

jednanych młodzieńców, opanowany nie tylko-własnym pragnieniem absolutu, lecz i przez demony napierające nań ze swych jaskiń, przez postacie ukazane niegdyś w jego książkach, które wszakże czują się zdradzone przez niezaradność albo tchórzostwo pośrednika; on sam, Sabato, zawstydzony, że przeżył te istoty zdolne umrzeć bądź zabijać z miłości lub z nienawiści albo z żądzы zgłębienia sensu egzystencji. Zawstydzony nie tylko dlatego, że je przeżył, lecz że je przeżył nikczemnie i gnuśnie, z korzyścią. Z ohydą i smutkiem sukcesu.

No, cóż, gdyby przyjaciel umarł i gdyby on, Bruno, mógł napisać tę historię. Gdyby nie był takim, jakim niestety jest: słabym, bezwolnym człowiekiem o czystych a nieudałych zamiarach.

Ponownie zwrócił spojrzenie ku mewom na przedwieczornym niebie. Ciemne sylwetki wieżowców pośród amarantowych blasków i katedr z mgły -- i z wolna, w melancholijnych fioletach, które wyprzedzają orszak pogrzebowy nocy, zamierało miasto. Ktoś, kto w życiu był wulgarnie krzykliwy, teraz w dramatycznym milczeniu umiera samotnie, skupiony w sobie, zadumany. Cisza pogłębiała się, w miarę jak zapadał wieczór., jak to zawsze bywa, kiedy nadchodzą postaćы ciemności.

Tak oto skończył się jeszcze jeden dzień w Buenos Aires, dzień na zawsze bezpowrotny przybliżył go jeszcze trochę do śmierci.

WYZNANIA, ROZMOWY I NIEKTÓRE SNY DAWNIEJSZE OD OMAWIANYCH FAKTÓW, LECZ BYĆ MOŻE Z NIMI ZWIĄZANE, CHOĆ NIE ZAWSZE SĄ JASNE I JEDNOZNACZNE. PO WIĘKSZEJ CZĘŚCI DZIEJE SIĘ TO MIĘDZY POCZĄTKIEM I KONCEM ROKU 1972. NIEMNIEJ PRZEDSTAWIONO TU RÓWNIEŻ WYPADKI, KTÓRE WYDARZYŁY SIĘ DAWNIEJ W LA PLAÏA, W PRZEDWOJENNYM PARYŻU, W ROJAS I W CAPITAN OLMOS. (DWIE OSTATNIE TO MIEJSCOWOŚCI W PROWINCJI BUENOS AIRES.)

ZWIERZENIA UCZYNIONE BRUNOWI

Wydałem powieść
wbrew mojej woli. Fakty (nie te wydawnicze, a inne, mniej jednoznaczne) potwierdziły później tę instynktowną niechęć. Całymi latami musiałem z tego powodu cierpieć. Lata męczarni. Jakie to moce mnie gnębiły, tego nie mogę dokładnie wytłumaczyć, niewątpliwie jednak pochodziły z regionu opanowanego przez Ślepych i w ciągu tych dziesięciu lat zamieniły moje życie w piekło. Każdego dnia, budząc się musiałem im się poddać ze spętanymi nogami i rękami, niby w koszmarnym śnie na opak, czułem i znosiłem to przytomnie jak człowiek w zupełności rozbudzony i rozpaczliwie świadom, że nie zdoła się temu przeciwstawić. I na dobitkę, musiałem zachować dla siebie samego tę grozę. Nienadaremnie napisała mi z Paryża spanikowana Madame Normande po przeczytaniu tłumaczenia: *Que vous avez touché un sujet dangereux. J'espère, pour vous, que vous n'y toucherez jamais!**

Jakiż byłem głupi, jaki słaby.

W maju 1961 przyszedł do mnie Jacobo Muchnik i wydarł mi (bez przesady) obietnicę oryginału.

Nie wypuszczałem z rąk tych stron, pisanych przeważnie z lękiem, jak gdyby instynkt przestrzegał mnie przed niebezpieczeństwem, na jakie się narażę publikując książkę. Zresztą ty przecież wiesz, że setki razy zamierzałem zniszczyć *Raport o Ślepcach*** , jak już przedtem niszczyłem fragmenty, a nawet ca-

* Que vous... (fr.) — Poruszył pan niebezpieczny temat. Mam nadzieję, że dla własnego dobra już nigdy nie będzie pan do niego wracał.

** Podstawowa część powieści „O bohaterach i grobach”. Jest to wyznanie paranoika Fernanda Vidal Olmos, w którym usiłuje on wykazać, że światem rządzi tajemna sekta Ślepców. (przyp. tłum.)

łe książki o tym traktujące. Dlaczego? Tego nigdy nie wiedziałem. Zawsze sądziłem i mówiłem otwarcie, że jest we mnie pewna skłonność autodestruktywna, może to ona kazała mi spalić prawie wszystko, co w życiu napisałem. Mówię tu o fikcjach. Opublikowałem tylko dwie powieści, z których jedynie *Tunel* został wydany bez wahania z mojej strony, może dlatego, że w owym czasie byłem jeszcze dosyć naiwny, albo że mój instynkt samozachowawczy nie był jeszcze wystarczająco rozwinięty, a może wreszcie dlatego, że w tej książce nie spenetrowałem do głębi zakazanego kontynentu, a tylko jedna z postaci (dla mnie zagadkowa) zapowiedziała go w sposób prawie niezauważalny, jak ktoś, kto przypadkiem rzucił w kawiarni słowa o zasadniczym znaczeniu, które jednak gubią się w zgiełku albo wśród innych słów na pozór ważniejszych.

Zresztą nie oddałem mu w ten sam dzień oryginału. Dosko- " nale ten dzień pamiętam, z powodu moich urodzin, o czym ci zaraz opowiem. Muchnik nie zdołał mi wówczas zabrać oryginału, ale wobec przyjaciół, którzy go poparli, przyrzekłem doręczyć go za miesiąc, po dokonaniu pewnych przeróbek. Tym sposobem dał mi chwilę wytchnienia, pewną szansę, że powieść nie wejdzie w tryby maszyny edytorskiej.

24 czerwca Muchnik przypomniał mi telefonicznie o przyrzeczeniu. Wstydziłem się odwołać, a chyba i moja świadomość przeważała nad instynktem, uznając go za bezsensowny. Uległem przyjacielskiej presji i skorzystałem z niej jako z pretekstu przed samym sobą, jak gdybym powiedział: „a widzicie (kto?), że nie jestem w pełni odpowiedzialny”, odparłem mu, że jeszcze tego samego dnia przyniosę mu oryginał. Otrzymawszy tę wiadomość M. zapytał, czy nie zapomniałem o moich urodzinach, bo przyjdzie kilku przyjaciół, jak zwykle. Urodziny! Tylko tego brakowało, aby mnie ostatecznie przestrzec. Nie zareagowałem jednakże ani słowem. Moja matka była chora po urodzeniu mnie i zarejestrowali mnie dopiero 3 lipca, jak gdyby nie mogli się zdecydować. Nie udało mi się później dowiedzieć dokładnie, czy urodziłem się 23 czy 24 czerwca. Na moje nalegania matka wyznała mi kiedyś, że to się stało o zmroku i że zapalono ognie świętojańskie.

— Zatem nie ma wątpliwości: to było 24, w dzień świętego Jana.

Mama poruszyła głowę:

— W niektórych okolicach zapalają ognie także 23.

Zawsze złościła mnie ta niepewność, bo przez nią nie mogłem zdobyć dokładnego horoskopu. Pytałem ją nieraz, miałem 14

bowiem podejrzenie, że coś przede mną ukrywa. Czy to możliwe, żeby matka nie pamiętała dnia urodzin syna?

Kilka lat po jej śmierci, czytając książkę o okultyzmie, dowiedziałem się że 24 czerwca jest dniem pechowym, ponieważ jest to jeden z tych dni, kiedy odbywają się sabaty czarownic. Świadomie czy nieświadomie moja matka starała się ukryć datę, ale nie mogła zaprzeczyć, że było to o zmroku: straszliwa pora.

Nie był to jedyny pechowy fakt związany z moim urodzeniem. Przedtem umarł mój starszy brat w wieku dwóch lat. Nazwali mnie jego imieniem. Przez całe życie prześladowała mnie śmierć tego dziecka, które nazywało się tak jak ja i które w dodatku wspomniano z czcią, bo według mojej matki i jej przyjaciółki doni Eulogii Carranza, krewnej don Pancha Sierry, „ten chłopczyk nie mógł żyć”. Dlaczego? Zawsze mi odpowiadali wymijająco, mówili mi o jego spojrzeniu, o wybitnej inteligencji. Jak widać, urodził się napiętnowany nieszczęściem. No, dobrze, dlaczego jednak popełnili takie głupstwo i nazwali mnie tym samym imieniem? Jak gdyby nie wystarczyło nazwisko, pochodne od Saturna, kabalistycznego Anioła Samotności, Ducha Zła według pewnych okultystów, sabatu czarowników.

— Nie, o urodzinach pamiętam — skłamałem Muchnikowi. — Wróć na czas.

Tego dnia stało się coś, co mnie do pewnego stopnia uspokoiło. Wręczając Muchnikowi teczkę powiedziałem, że ostatnią zatrzymam u siebie, bo chcę poprawić parę fragmentów. Rozzłościł się, powiedział, że jest to głupota, że tym sposobem do końca życia niczego nie opublikuję, że wyjałowię. Poprosiłem go więc, aby mi pozwolił dokonać na miejscu pewnych poprawek. Wtenczas, przy stole jednego z korektorów, otworzyłem na chybił trafił ostatnią teczkę na stronicy, gdzie komendant Danel szykował się do rozcinaania zwłok Lavallo'a. Zacząłem skreślać przymiotniki i przysłówki. Przymiotnik modyfikuje rzeczownik, a przysówek modyfikuje przymiotnik: modyfikacja modyfikacji — pomyślałem pół melancholijnie pół ironicznie wspominając jakąś odległą lekcję gramatyki. Tyle pracy, aby nadać pewien odcień koniowi, drzewu, zwłokom, a potem wymazać te wszystkie określenia i pozostawić owe konie, drzewa i zwłoki tak rozpaczliwie obnażone, tak surowe i kuse, jak gdyby przymiotniki i przysłówki były maskami, które je miały wstydliwie przeinaczyć lub ukryć. Czyniłem to bez przekonania, tyle dla mnie znaczyła ta stronica co każda inna, wszystkie były niedoskonałe i nieudolne. Kiedy bowiem piszę fikcje, działają na mnie pewne siły, które każą mi pisać, zaś inne powstrzymują mnie lub wywołują potknięcia. Stąd owe kanty i nierówności, owe ustępy 15

niekształtne, które każdy wrażliwy czytelnik może zauważyć.

Zamknąłem uprzykrzoną teczkę i oddałem korektorowi.

Wyszedłem. Dzień był chłodny i ponury. Mżyło.

Miałem jeszcze trochę czasu i zachciało mi się pójść w stronę Parku Patrycjuszów. Nie byłem tam od dzieciństwa, od roku 1924, kiedy to po raz pierwszy przyjechałem z mojego miasta do Buenos Aires. I nagle przypomniałem sobie, że przenocowałem wówczas w jakimś domu przy ulicy Pedro Echagüie, tegoż Echagüie, który występuje w Legionie Lavalle'a. Czy nie było to zadziwiające, że po wspomnianiu w chwilę po naniesieniu poprawek do rozdziału o Legionie, kiedy przechodziłem tuż obok dzielnicy, gdzie ni o byłem od dzieciństwa?

Znalazszy się w parki postanowiłem zejść na dół i przepacerować się chwilę wśród drzew. Mżawka przeobraziła się w ulewny deszcz, schroniłem się więc w kiosku z gazetami i papierosami i czekając, aż deszcz minie, obserwowałem właściciela pijącego matę z fajansowego kubka. W młodości musiał być chyba postawnym człowiekiem. — Paskudna pogoda — rzekł wskazując kubkiem. Jego szerokie plecy pochyliły się z biegiem lat. Włosy miał białe, a oczy dziecka. Nad okienkiem widniał niezdamy, odręczny napis:

KIOSK C. SALERNO

Wewnątrz był jeszcze chłopiec ośmio- czy dziesięcioletni i przytulony doń uliczny kundel koloru mlecznej kawy, w białe plamy. Chcąc zrewanżować się kioskarzowi za skromną przyjacielską uwagę, spytałem, czy malec jest jego synem czy wnukiem.

— Nie, señor — odparł. — To mój przyjaciel. Nazywa się Nacho. Czasem przychodzi mi pomóc.

Malec wyglądał, jakby był synem Van Gogha z obciętym uchem; patrzył na mnie tymi samymi zagadkowymi zielonymi oczami. Przypominał mi trochę Marcina, ale Marcina zbuntowanego i gwałtownego, kogoś kto mógłby kiedyś wysadzić w powietrze bank albo burdel. Wyraz ponurej powagi sprawiał wrażenie tym większe, że było to przecież dziecko.

(Zatrzymać czas w dzieciństwie, myślał Brano. Widział na jakimś rogu gromadkę dzieciaków zatopionych w hermetycznej rozmowie, która dla dorosłych nie ma żadnego znaczenia. W co się bawią? Nie ma już bąków, ani bilardu, ani gry w fanty. Gdzie się podziały obrazki z papierosów „Dolar”? Fotosy sławnych futbolistów argentyńskich Bidoglia i Tesorieriego? W jakim ta- 16

jennym rajy zabawek znajduj się obecnie fotosy klubu pikar-
skiego Genoa. Wszystko jest inne, lecz wszystko jest wlciwie
takie samo. Dorastaj, maj zudzenia, zakochuj si, dyskutuj
zajadle o egzystencji, ich żony tyj i staj si wulgarne, sami wra-
caj do kawiarni, do stolika starych przyjaci (teraz grubych
i łysych, sceptycznych), a potem take ich synowie si pozenia,
a na kocu przyjdzie chwila śmierci, kiedy samotnie opuszcza
si t pogmatwan ziemi. Kto (moe Pavese?) powiedzia, e
jest bardzo smutno starze si i poznawa świat. Wród nich,
tych starych, bdzie moe kto jak on, jak Bruno, i wszystko
zacznie si od nowa: te same refleksje, taka sama melancholia,
to spogldanie na dzieci bawice si niewinnie na chodniku, pa-
trzenie na takiego chopca jak Nacho, ktry z tajemnicz powag
obserwuje obcego z głbi maego kiosku, jak gdyby przedwczes-
ne a straszne dowiadczenie wyrwao go z dziecicego świata
i kazao gniewnie oglda świat dorosłych. Tak, Bruno odczu-
wa potrzeb wstrzymania biegu czasu. „Trwaj” —nieledwie po-
wiedzia w swej naiwnoci usilujc stworzy jak niedorzeczn
magi. O czasie, trwaj, powtrzy szeptem, jakby forma poetycka
moga osignc to, czego proste sowa nie zdoaly. Pozostaw te
dzieci na zawsze na tym chodniku, w zaczarowanym świecie.
Nie pozwl, aby ludzie je splugawili swoim brudem, nie daj ich
ziama. Wstrzymaj życie tutaj, w tym miejscu. Pozwl, aby na
zawsze przetrway przerywane linie Ekspedycji do Wysokiego
Peru. Niechaj na zawsze pozostanie nieskalany genera Jose de
San Martin, w paradnym mundurze, energicznie wskazujcy
palcem ku Chile. Niechaj nie wiedz, e w tamtej chwili jecha
chory na mule, nie na piknym białym koniu, okryty zwyczajn
oponcz, skulony, zadumany, saby. Niechaj na zawsze pozosta-
nie to miasto z roku 1810, na wprost Cabildo, i niechaj w mż
cym deszczu oczekuje Wolnoci Ludw. Ta rewolucja niechaj
bdzie czysta i doskonaa, a jej przywdcy niesplamieni i wielcy;
niech nie istnieje saboc i zdrada, genera Belgrano niech nie
umiera w opuszczeniu i Lavalle niechaj nie rozstrzela dawnego
towarzysza broni i nie przyjmie pomocy cudzoziemcw. Niech
nie umiera ubogi i rozczarowany w jakim odległym miecie Eu-
ropy, spogldajc ku Ameryce, oparty na lasce, chory genera
Jose de San Martin).

Deszcz ustawa i mimo e co niezrozumiaego skaniao mnie
do rozmowy z tym malcem, nie wiedzc, i pewnego dnia znowu
pojawi si w moim życiu (i w jaki sposb!) poegnaem si i
pobiegem do miejsca, gdzie sta mj samochd. Pierwsz boczn
ulic ruszyem do śródmiecia. Prowadziem wz w takim
roztargnieniu z powodu oddania ksiżki i pod wraeniem oczu 17

tego chłopca, że nie wiadomo jak znalazłem się w jakimś zaułku. Było już dosyć ciemno i musiałem włączyć światła, aby odczytać nazwę. Byłem wstrząśnięty. ALEJANDRO DANIEL.

Chwilę stałem jak wryty; spotkawszy się z ową drugorzędną postacią z naszej przeszłości, nie byłbym mógł przypuścić, że istnieje uliczka jego imienia. A gdybym nawet był wiedział, czy mogłem to uważać za przypadek, że natrafiłem na nią w mieście o 50 kilometrach średnicy i akurat w chwilę po skorygowaniu tej części powieści, w której Alejandro Daniel rozcina zwłoki Lavalle'a? Kiedy później zrelacjonowałem to zdarzenie M., ona, w swym niezwykłym optymizmie, jęła mi tłumaczyć, że powinienem to uważać za szczęśliwą wróżbę. Jej komentarz uspokoił mnie, przynajmniej w owej chwili. Bo dużo później pomyślałem, że ta wróżba mogła mieć znaczenie zupełnie inne, niż ona sobie wyobrażała. Wtedy wszakże jej interpretacja przyniosła mi spokój, zaś spokój przeobrażał się w euforię w miesiącach po pojawieniu się książki, najpierw w Argentynie, a następnie w Europie. W euforii zapomniałem o przeczuciach, które latami nakazywały mi absolutne milczenie. Co najmniej można to nazwać krótkowzrocznością. Nigdy nie widzimy dosyć daleko. To wszystko.

Później stopniowo a uporczywie następowały wydarzenia, które miały zamazać te ostatnie lata mojego życia. Jakkolwiek czasami, po większej części, byłoby przesadą nazwać to „wydarzeniami”, były to raczej cichutkie a niepokojące szmery, jakie słyszymy w bezsenne noce.

Na nowo począłem zamykać się w sobie i przez prawie dziesięć lat nie chciałem nic wiedzieć o fikcjach. Aż wreszcie dwa lub trzy fakty zaczęły we mnie budzić słabą nadzieję niby chwiejne nikłe światełka, jakie w oddali, pośród ciemności, dostrzega (lub sądzi, że dostrzega) samotny lotnik w walce ze straszliwą burzą przy kończącym się paliwie. Owe światełka mogą przecież wskazywać wybrzeże, gdzie w końcu zdoła wylądować.

Tak jest, mogłem wylądować, chociaż miejsce było niegościnne i nieznanne, choć światełka, które mnie wiodły r budziły we mnie nikłą nadzieję, mogły przynależeć do kraju ludożerców.

Tak oto mogłem znowu poczuć się między ludźmi, ldey myślałem, że nigdy już mi się to nie uda. Pytam się jednak na jak długo, w jaki sposób.

**NIE WIEDZIAŁ
DOKŁADNIE,
JAK POJAWIŁ SIĘ
GILBERTO**

i kto go przyprowadził czy polecił. Potrzebowali kogoś, kto by naprawił drzwi. Ale jak przyszedł? W chwilach podejrzeń zamierzał to potem sprawdzić, i w końcu

cu nie było pewne. Z początku nie bardzo podobał się jego żonie: wydawał się powolny, kręcił się, wychodził. Miał zagadkową twarz, ale to nie miało wielkiego znaczenia, tacy są wszyscy ludzie pochodzenia indiańskiego. Później zaczął pracować, powoli, ale dobrze, w chytrym milczeniu, znamiennym dla pewnego typu Argentyńczyków. W rozmowach z jego żoną napomykał, że „oni” znają jego sytuację i że są skłonni udzielić mu pomocy w walce przeciwko „istotom”, które go unieruchamiają. Pan Aronoff — tłumaczył — pragnie ze wszystkich sił, aby pan Sabato pisał tę swoją książkę. Może wyobrażają sobie, że jest to jakieś arcydzieło, apoteoza Dobra, pomyślał Sabato. Ta myśl sprawiła, że zaczął czuć się jak błagier, jakby popełniał oszustwo wobec prowincjuszy. A jeżeli mają rację? W końcu są przecież „widzący”, wiadome im są niektóre jego „bohaterskie czyny” w dzielnicy. A jeśli on, choćby nieświadomie, chciał bronić dobra, stanąć po stronie świetlanych mocy? Badał sam siebie i nie mógł pojąć, jak to jest możliwe, z jakiego punktu widzenia, na podstawie jakich rozważań jego wnętrze mogło się zmanifestować w jakimś pożytecznym dziele. Mimo to, albo właśnie dlatego, wzruszyła go gotowość tych ludzi. I gdy Gilberto spytał go z charakterystyczną dlań dyskrecją: „jak to idzie”, odpowiedział, że lepiej, że zaczyna odczuwać coś pozytywnego, że z wszelką pewnością wkrótce będzie mógł powrócić do książki. Gilberto milcząc przytakiwał z delikatną skromnością i zapewnił go, że oni nadal będą walczyć, ale że „on musi pomóc”.

Pewnego dnia Gilberto zszedł do piwnicy, aby, jak mówił, skontrolować przewody. S. poszedł z nim bezwiednie. Wszystko oglądał, jakby robił inwentarz, dłuższy czas patrzył na porzucony fortepian i na portret Jorgego Federico. Przyszedłszy znowu po kilku dniach, zapytał Sabata o parę rzeczy, poprosił, aby mu powiedział „co to było w r. 1949” i coś o osobniku takim a takim, cudzoziemcu. Schneider, pomyślał Sabato.

— To portret syna? — spytał Gilberto. Dlaczego pyta o portret? Ano, po prostu chciałby wiedzieć, kto go namalował. Pan Aronoff mówił coś o Holandii. Bob Gesinus! pomyślał Sabato ze zdumieniem. Ale nie, na pewno się mylą, Gesinus był autorem portretu i Holendrem, lecz nie mógł być tym, „takim a takim, cudzoziemcem”, który rządził owymi mocami. Mylą się, bo

obraz nie jest jasny, bo zarówno Bob, jak i Schneider byli cudzoziemcami, i to z tej samej epoki ^

Byłoby dziwne, pomyślał (byłoby straszne), gdyby Bob był agentem ciemnych mocy.

Dlaczego jednak tak pragnęli urządzić seans w piwnicy? No cóż, to prawda, że Valle przeobraził ją niemal w mieszkanie. Don Federico Valle! Po raz pierwszy wpadło mu na myśl to imię w związku z tym wszystkim: cudzoziemiec, niemłody. Ale nigdy nie nosił kapelusza. Czyżby ten szczegół był mylny? Mimo to pomyślał, że chociaż Valle nie mógł być agentem złych mocy, to jednak znamienna jest jego skłonność do piwnic i tuneli. Zawsze ją okazywał, zarówno wtedy kiedy pracował z Melielem w paryskiej suterenie jak i później, kiedy w Cordobie wybudował sobie (wydrążył sobie) kryjówkę w górach, przez niego samego nazwaną „Jaskinią”. A jeszcze później, kiedy mu (Sabatowi) wynajął dom w Santos Lugares, czyż nie zatrzymał dla siebie mieszkania w suterenie? Tak czy inaczej, Aronoff upierał się przy tym, aby urządzić seans tutaj w podziemiu. W tym samym pomieszczeniu, gdzie stał fortepian, na którym grywał mały Jorge Federico. Forteopian zamknięty od owego czasu, zniszczony przez wilgoć. Nad nim portret, malowany przez Boba w 1949 roku. Teraz S. zauważył, że tę właśnie datę podał Gilberto! Ale to nonsens, w owym czasie nic takiego nie było, co by pozwoliło domyślać się, że Bob był członkiem Sekty.

Okropne było, kiedy blondynka wpadła w trans i Aronoff rozkazującym tonem polecił jej przekazać mu znak z tamtych czasów. Dziewczyna opierała się, pociła, załamywała ręce, łamany szeptem zapewniała, że nie może tego uczynić. Ale pan Aronoff nalegał; w sposób władczy powiedział jej, że powinna przy pomocy fortepianu przekazać jakąś wiadomość panu Sabato, jakiś dowód, że złe moce musiały rozpocząć odwrót.

Blondynka bez przerwy płakała i załamywała ręce, a tymczasem ten olbrzym bez nogi, o kuli, obrócił się do innych kobiet, które kolejno wpadały w trans, i do małego Daniela. Chłopiec dostał konwulsji, z błędnymi oczami krzyczał, że coś strasznego porusza się w jego brzuchu. Tak, tak, wołał pan Aronoff, trzymając wyciągniętą prawą rękę nad jego głowę, tak, tak, musisz go wygnąć, musisz go wygnąć. Chłopiec wił się, wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować i rzeczywiście to uczynił, tak że trzeba to było usunąć i szmatą wytrzeć podłogę. Tymczasem blondynka otworzyła fortepian i zaciśniętymi pięściami jął nieporadnie uderzać w klawiaturę skarżąc się jękliwie, że to niemożliwe, że nie może. Pan Aronoff jednak zwrócił wyciągnięte 20

ramię ku niej i potężnym głosem raz jeszcze kazał jej dać znak panu Sabato. Tymczasem pani Esther z zalaną potem twarzą oddychała coraz głębiej i hałaśliwiej. Mów, mów! nakazywał jej Aronoff. Jesteś opętana przez Istotę, która walczy przeciwko panu Sabato! Mów, powiedz, co masz do powiedzenia! Lecz ona wciąż się miotła i oddychała z głośnym charkotem, aż w końcu dostała ataku hysterii i dwaj ludzie musieffi ją trzymać, aby nie zniszczyła przedmiotów w jej zasięgu. Zaledwie się trochę uspokoiła, Aronoff na nowo zwrócił się do jasnowłosej. Masz grać na fortepianie! powiedział tonem autorytatywnym, masz przekazać panu Sabato wiadomość! Jest mu potrzebna! Lecz chociaż dziewczyna rozpaczliwie usiłowała rozkurczyć palce, jakaś siła mocniejsza od jej woli trzymała je zaciśnięte w kułak. Uderzyła w klawiaturę, ale dźwięki wychodziły nieporadne, jakby gra* kilkuletnie dziecko. Graj! rozkazywał Aronoff, który (ku zdziwieniu Sabato) układał zdania jak Hiszpan. Możesz i powinnaś grać! Masz dokonać wysiłku, w imię Boże proszę cię o to i rozkazuję! Sabatowi żal się zrobiło dziewczyny, widział bowiem, jak się męczyła, jak z błędnymi oczami potrząsała, głową w obie strony i jak się starała rozkurczyć palce. I wtedy zobaczył, że Betty nagle wstała z miejsca i rozpostarła ramiona jak do ukrzyżowania. Z wzniesioną ku sufitowi twarzą i zamkniętymi oczami mruzczała jakieś niezrozumiałe słowa. Tak, tak, tak! zawołał Aronoff kierując ku niej swe ogromne ciało. Przetawiał kulę, aby mógł wyciągniętą prawą rękę położyć na czole kobiety. Tak, Betty, tak. Tak jest, Powiedz, co masz do powiedzenia! Niech pan Sabato otrzyma wiadomość. Musi ją dostać! Jednakże ona w dalszym ciągu mruzczała coś niezrozumiałe.

Raptem usłyszeli akordy i obydwaj, Sabato i Aronoff, obrócili się ku jasnowłosej dziewczynie, która stopniowo, w miarę jak jej palce zaczęły się rozluźniać, wykonywała *In der Nacht* Schumannna. To był jeden z utworów, które w swoim czasie grywał Jorge Federico. Tak, tak, wołał straszliwie podekscytowany Aronoff. Graj, graj! Przekaż panu Sabato jasną wiadomość! Prawą, naładowaną fluidem rękę położył na głowie jasnowłosej Sylwii, która grała z coraz większą precyzją. Tak pięknego brzmienia nie sposób było oczekiwać od fortepianu porzuconego dwadzieścia lat temu w wilgotnej suterenie.

Sabato bezwolnie przymknął oczy i poczuł, że coś nim wstrząsnęło. Zaczął się chwiać i musieli go podtrzymywać, aby nie upadł.

ZNOWU SCHNEIDER? Wstał • nazajutrz, jak gdyby ukąpał się w przezroczystej górskiej rzece po długim nurzaniu się w bagnie zakazanym przez węże. Miał pewność, że ruszy z miejsca, odpisał na listy czekające odpowiedzi, oznajmił Forresterowi, że przyjmuje zaproszenie uniwersytetu ze Stanów Zjednoczonych, załatwił spotkania i odłożone wywiady. I czuł, że jak tylko upora się z tymi drugorzędnymi sprawami, będzie mógł na nowo zabrać się do powieści.

Wyszedł z Radio Nadonal i w błogim nastroju przechadzał się po ulicy Ayacucho, ledwy wydało mu się, że na przeciwległym chodniku zobaczył doktora Schneidera. Ten jednak wszedł momentalnie do kawiarni na rogu. Czy go widział? Czyżby go oczekiwał? Czy to istotnie był on, czy ktoś do niego podobny? Z tej odległości nietrudno o pomyłkę, zwłaszcza kiedy jest się skłonny nakładać obsesyjne obrazy na manekiny — jak się nieraz zdarzało.

Powoli zbliżał się do rogu wahając się między tym, co chciał a czego nie chciał uczynić. O kilka kroków od kawiarni stanął, obrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Niemalże uciekł. Tak, to odpowiednie słowo.

Jeżeli ten człowiek wrócił na stałe do Buenos Aires albo przynajmniej przebywa tu dłuższy czas — a znają go przecież ludzie, których on również zna — to dlaczego nigdy nie miał o nim wiadomości, chociażby pośrednich ?

Czy to możliwe, że jego pojawienie się teraz ma jakiś związek z seansem pana Aronoffi tamtych ludzi? Tak myśleć to chyba przesada. Z drugiej strony, jeżeli przez tyle lat był niewidzialny, przynajmniej dla niego, i nagle, może umyślnie, pokazał mu się choćby przelotnie, czy nie jest to ja? Umowny znalezisko? Jak przestroga?

Zaprzątał sobie głowę tymi myślami, niebawem jednak p© zastanowieniu powiedział sobie, iż absolutnie nie może być pewny, że tym korpulentnym człowiekiem istotnie był Schneider.

Tylko jednym sposobem mógł to sprawdzić. Pokonując obawę wrócił, lecz kiedy miał już wejść do kawiarni, zatrzymał się, po czym przeszedłszy na drugą stronę ulicy stanął i oparty o platan zaczął obserwować. Po godzinie mniej więcej ujrzał nadchodzącego „Bobasa” Costę. Miał gąbczaste ciało niczym chore dziecko, które jak grzyb rozrastało się w olbrzymie miękkie cielsko, przy czym wydawało się, iż kości nie rozwijały się jednocześnie i nie przybrały odpowiednich wymiarów bądź w najlepszym razie pozostały w stanie miękkim lub chrząstkowatym. Stałe miało się wrażenie (nie obawę, bo nikt go nie lubił), że gdy- 22

by się nie opierał o coś. o ścianę albo o krzesło, mógłby opaść jak budyń zbyt wysoki jak na swoją konsystencję i na swój ciężar. Aczkolwiek — nieraz się nad wfi zastanawiał — ciężar nie mógł być tak wielki, jeśli się wzięło pod uwagę gąbczastość wchodzącej w jego skład materii, nadmierną ilość składników płynnych i lotnych, zarówno w porach, jak i we wnętrznościach, w żołądku, w płucach i w ogóle we wszystkich zagłębieniach i szczelinach, jakimi ciało ludzkie rozporządza. Wrażenie galaretowatej masy podkreślała jeszcze twarz małego dziecka. Jak gdyby jednego z tych tłustych małców o bieluńskiej cerze i wodnistoniebieskich oczach, jakie widzimy na obrazach mistrzów flamandzkich, ubrano w strój dorosłego mężczyzny, z trudnością postawiono na nogi, a potem go oglądano przez ogromnie powiększającą soczewkę. Tylko jeden szczegół świadczyłby — według niego (Sabata) — o ciężkiej omyłce: wyraz twarzy. To nie był wyraz twarzy małego dziecka, jeno przewrotnego wszechwiedzącego i cynicznego starca, który od kołyski aż do duchowej starości nie poznał młodości ani wiary, szczerości ni entuzjazmu. Chyba że wskutek nie wiadomo jakiej patologicznej transniigracji urodził się już z tymi końcowymi atrybutami i ssąc pierś matki mógł ją obserwować tymi samymi oczami przewrotnego cynika.

Chodził jak zwykle trochę bokiem, z lekka schylając rudą jłowę i patrząc z ukosa, jakby dla niego rzeczywistość nie była z przodu, tylko z lewej i raczej w dole. Kiedy wszedł do kawiarni, - Sabato momentalnie przypomniał sobie o jego stosunku z Hedwig. Stosunki Costy, mniej lub bardziej płciowe, wyznaczał zawsze jego nieskończony snobizm, tak potężny i żarliwy (może tylko to było u niego żarliwe), że mógł go nawet uczynić zdolnym do aktu płciowego; bo nie sposób wyobrazić sobie kobiety w łóżku z tą masą mlecznej materii. Jakkolwiek nigdy nie wiadomo — rozmyślał — serce ludzkie jest bezgranicznie nieznanne, a władza ducha nad ciałem cudowna. Tak czy inaczej w tych Stosunkach z kobietami, które kończą się zawsze rozbiciem małżeństwa, nie ciało ma przewagę tylko duch; perwersja, sadyzm, demodiczność, które przecież musimy uznać za zjawiska duchowe. Jednakże, jeśli te cechy mogą stanowić atrakcję dla egzaltowanej snobki, trudno przypuścić, aby one mogły pociągać Hedwig, która nie jest ani egzaltowana, ani frywolna i która nie gustuje w osobistych problemach. Pozostało jedno tylko wytłumaczenie, że była po prostu narzędziem doktora Schneidera. Snobizm Costy, jego filogermamizm i antysemityzm wzmacniały lub ożywiały ten zagadkowy stosunek.

MEDYTACJE
ROZMOWA

Wrócił do domu w stanie głębokiej depresji. Nie chciał wszakże dać tak szybko za wygraną i postanowił doprowadzić do skutku zamysł powieści.

Zaledwie jednak otworzył szuflady i zaczął przeglądać papiery, zapytał siebie ze sceptyczną *hordą jaka powieść?* Przerzucił setki stron, szkice, warianty szkiców, warianty wariantów: wszystko sprzeczne i bez związku, jak jego własny umysł.

Kilkadziesiąt postaci czekało w tych schowkach niczym gady, co w chłodnych porach roku pogrążone we śnie katatonicznym, żyją niedostrzegalnym, utajonym życiem, gotowe są do ataku i sączenia jadu, kiedy ciepło przywraca je do pełnej egzystencji.

I jak zawsze, inspekcja zakończyła się w teczce owej bandy Calsena Paz. Twarz jak z Dostojewskiego i tym razem przykuła jego uwagę. Co mu wyjawia ten osobnik? Pamięta podobne momenty dociekania i zniechęcenia, kiedy piętnaście lat temu poczuł, że to spojrzenie zbrodniczego intelektualisty obudziło w nim dziwne stwory chrząkające w ciemności i w błocie. Coś mu wówczas szepnęło, że jest to czarny posłaniec władcy ciemności. A kiedy pojawił się Fernando Vidal Olmos, ów maty prowincjonalny przestępca, tamten posłaniec wypełnił jak widać swoją misję zwiastuna i wrócił do teczki, z której kiedyś wyszedł.

I co teraz? Kontemplował jego twarz pełną namiętnego chłodu i usiłował zrozumieć, w jakim sensie ten człowiek związany jest z powieścią, którą zamierza zbudować. Wśród potknięć, jak zawsze: wszystko w nim jest zawile, układa się i rozkłada, nigdy nie może zrozumieć, czego chce i dokąd zdąży. Zarysy postaci z wolna stają się widoczne, w miarę jak wylaniają się z półmroku, nabierają blasku i natychmiast się zacierają i wracają w krainę cieni, skąd się wynurzyły. Co chce powiedzieć w swoich fikcjach? Prawie dziesięć lat po opublikowaniu *O bohaterach i grobach* wciąż go wypytują studenci, kobiety, urzędnicy ministerstw, młodzi ludzie robiący prace magisterskie w Michigan i we Florencji, maszynistki. Oficerowie marynarki wchodząc do Klubu Morskiego patrzą teraz z podejrzliwą ciekawością na tego Ślepca o wyglądzie angielskiego lorda, który coraz bardziej nachylony ku ziemi i postarzały, sprzedaje swoją taniochę, zanim zniknie na zawsze. Na zawsze? Martwy? W jakim bunkrze? Tak jest, również marynarze pragną wiedzieć, co chciał wyrazić tym *Raportem o Ślepcach*. A gdy im odpowiedział, że nie może nic dodać do tego, co tam napisał, nie byli zadowoleni i patrzyli na niego jak na mistyfikatora. No bo jak sam autor może nie wiedzieć takich rzeczy? Na próżno by im tłumaczył, że pewne rze-

czywistości mogą się wyrażać jedynie poprzez niewytłumaczalne symbole, podobnie jak ten, który śni, nie rozumie, co oznaczają jego senne zmyry.

Badał teczkę i odczuwał śmieszność swoich dpciekań: skrupulatność zwariowanego zegarmistrza, majstrującego cierpliwie przy zegarze, który w końcu o póhiocy wskaże trzecią piętnaście. Jeszcze raz przebadał poźółkłe notatki, zdjęcia, wykrętne zeznania, wzajemne oskarżenia: czy to sam Calsen wbił szydło w serce związanego chłopca i potem je wyjął, czy zrobił to na jego rozkaz Godas, czy owa osiemnastoletnia Dora Forte była czy nie była kochanką Calsena, czy Calsen był czy nie był homoseksualistą.

Podczas gdy raz jeszcze odczytywał zeznania, obrazy w jego umyśle zaczęły się przeistaczać, na zdjęciach zmieniały się rysy, powoli, lecz w sposób nieunikniony kształtowały się oblicza, przede wszystkim w nienawistną twarz R., który niczym przewrotny ekspert zdawał się osądzać omyłki szajki przestępców.

R. zawsze z tyłu, w ciemności. I on (Sabato) zawsze opętany myślą o napisaniu powieści, której główną postacią byłby R. Już w Paryżu w r. 1938, kiedy mu się po raz drugi napatoczył i wniósł zamęt w jego życie. Przez ten poroniony pomysł: *Pamiętnik nieznanomego*. Nigdy nie odważył się mówić o nim M., zawsze jej mówił o takim a takim osobniku, pewnego rodzaju reakcyjnym anarchiście, którego nazwał Patricio Duggan. Ta fikcja zrodziła się ze zbrodni Calsena, ale stopniowo ulegała zmianom i w końcu stała się nie do poznania: Dora Forte nie była już ubogą pięknoscią z przedmieścia tylko egzaltowaną dziewczys[^]. Zaś Patricio był hersztem bandy, kochankiem i bratem dziewczyny. Pozbyła się dziecka. Po latach, zawsze pod presją R., napisał powieść *O bohaterach i grobach*, w której Patricio przerodził się w Fernanda Vidal Ohnosa, dziewczyna najpierw w jego siostrę, a później w nieślubną córkę. Nie miało to już nic wspólnego z Calsenem ani z jego zamierzchną zbrodnią.

. I oto teraz poczył się na nowo wdzierać w cuchnący labirynt kazirodztwa i zbrodni, w labirynt, który stopniowo zatapiał się w bagnie. A mniemał już, że wydobył się z niego dzięki niewinnym zaklęciom szwaczek i monterów. Z ciemności widział, jak szponami dają mu sarkastyczne znaki, dopóki raz jeszcze zbity z tropu i zniechęcony nie zatonął w występny fantazjowaniu, w tajemnym nałogu wyobrażania sobie piekielnych namiętności.

Znowu wynurzyły się znajome monstra, mgliste jak senne zmyry, lecz i jak one potężne, a na ich czele jak zwykle dwuznaczna figura obserwująca go z ciemności zielonkawymi oczyma wzrokiem niktalopy, o wyrazie nocnego drapieżnego ptaka. Za- 25

hipnotyzowany ich powrotem usypiał na łonie tej złowieszczej rodziny, jak pod działaniem ostrego narkotyku. Kiedy po pewnym czasie wrócił do przytomności, nie był już tym człowiekiem, który kilka dni temu wstał pełen optymizmu..

Zaczął się kręcić, chciał się rozerwać, przeglądał jakieś czasopismo. I oto na domiar złego zobaczył w nim twarz tego bydła, o szczerym uśmiechu człowieka gotowego zrozumieć i pomóc; gdy tymczasem pod spodem, podobnie jak szyfrant w miłosnym liście odnajduje prawdziwą wiadomość, ujrzał autentyczne rysy tej podłej kurwy, tej zakłamaney starej kurwy. Co on powiedział o Nagrodzie Miasta?

Jakież to ohydne i smutne. Poczul się zawstydzony: koniec końców on również należy do tej obrzydliwej kasty.

Położył się i jeszcze raz wrócił do swojej stałej mrzonki: porzucić literaturę i założyć maty warsztat w jakiejś nieznanej dzielnicy Buenos Aires. Nieznana dzielnica Buenos Aires? Stał się wartym, proszę bardzo, toż to zaulek bez wyjścia.

Na dobitkę był w złym humorze, bo przemawiał w Alliance i cierpią! kilka godzin, a później całą noc, jak gdyby się obnażył publicznie, aby pokazać swoje wrzody, i dia tym większego wstydu wobec mnóstwa niepoważnych osób.

Na nowo począł wszystko widzieć czarno i powieść, ta sławna powieść., wydała się niepotrzebna i deprymująca. Czy ma jakiś sens pisanie jeszcze jednej fikcji? Zrobił je-w dwóch momentach zwrotnych, przynajmniej były to jedyne dwa momenty, w których zdecydował się na publikowanie. Teraz jednakże czuł, że potrzebuje czegoś innego, czegoś co by było fikcją do drugiej potęgi. Tak, *coś* na niego naciska. Ale co? Wrócił z niechęcią do tych sprzecznych niepowiązanych stronic, które chyba nie były * tym, czego potrzebował.

A potem to rozdarcie między światem pojęć i jego światem podziemnym. Porzucił naukę, aby pisać fikcje, niczym dobra gospodyni, która nagle postanawia oddać się narkotykom i prostytucji. Co mu kazało wymyślać te historie? I 023/01 one byty w rzeczywistości?

Na ogół fikcje uważa się za pewien rodzaj mistyfikacji, za robotę trochę niepoważną. Profesor Houssay, Nagroda Nobla, przestał mu odpowiadać ns ukłon, kiedy się dowiedział o jego decyzji.

Niepostrzeżenie znalazł się na skraju cmentarza Recoleta. Urzekły go te ubogie czynszówki przy ulicy Vicente López, a zwłaszcza myśl, że R. mógłby ta mieszkać w jakimś pokoiku na tym piętterku zawalonym suszącą się bielizną.

I co Schneider ma wspólnego z jego pracą? I kim jest ta „istota”, która mu przeszkadza jej dokonać?

Podejrzewał, że Schneider jest jedną z sił działających gdzieś w świecie, że czyni to nieustannie, mimo iż na kilka lat zniknął, jak gdyby był zmuszony wycofać się na jakiś czas. Czatuje jednak z daleka, i teraz chyba na nowo w Buenos Aires.

No, i ta druga obecność, wiadomo.

I nagle zrozumiał, że jego niepokój z powodu Sartre'a nie był dziełem przypadku, lecz tych właśnie sił, które go dręczą. Czy to nie ów problem spojrzenia, oczu?

Oczy. Wiktor Brauner. Jego obrazy pełne oczu. Oko, które wybił mu Dorninguez.

Podczas tej przechadzki bez celu wzmogła się w nim nieufność. W jakiejś miejscowości w Anglii zrzucono szpiegów, doskonale mówiących po angielsku, ubranych i jękających się, jakby wyszli z Oksfordu.

Jak rozpoznać wroga? Na przykład ten chłopiec, sprzedawca lodów: trzeba go uważnie obserwować. Kupił czekoladowe lody, odszedł albo udawał, że odchodzi, i nagle wrócił, i zaczął mu patrzeć w oczy. Chłopiec zdziwił się. Zdziwienie mogło świadczyć o niewinności, ale też o tym, że chłopiec odbywa okres terminowania. Nie kończące się zadanie: ten facet z drabiną, ta maszynistka czy urzędniczka, tamten malec, który się bawi lub udaje, że się bawi. Czyż ustroje totalitarne nie zatrudniają dzieci?

I Znalazł się na wprost mieszkania Carranzów, jakkolwiek nie przypominał sobie, czy zamierzał tam pójść.

Zagłębił się w kanapie, usłyszał coś o Pepinie. Co powiadasz? Wykład w Alianza. Alianza i Pepina? Co to ma znaczyć?

Beba roześmiała się: ależ nie, idioto, chodziło o Sartre'a.

Przecież mówiłaś o Pepinie.

Ależ nie, o Sartrze mówiłam. ,

■ Że co?

Żeś źle o nim mówił.

Speszony, zdjął okulary, przesunął ręką po czole, przetarł oczy. Zaczął badać defekty w parkiecie, a tymczasem Beba przyglądała mu się oczami inkwizytora. Jej matka z rozburzonymi włosami stała wyglądająca, jakby dopiero co wstała z łóżka, medytowała nad dopływami Gangesu, głowonogami i przyimkami.

Schneider, myślał, wpatrzony w podłogę.

— Kiedy przyjechał do Buenos Aires?

— Kto? — spytała Beba, zdziwiona.

— Schneider.

— Schneider? Cóż u diabła może ciebie interesować ten szarlatan, po tylu latach?

— Ale kiedy przyjechał?

, — Zaraz po wojnie. No, nie wiem.

— A Hedwig?

— Także.

— A ja się pytam, czy oni się poznali tam, na Węgrzech.

— Zdaje się, że się poznali w jakimś barze w Zurychu.

Zirytował się: zdaje się, zdaje się, zawsze te same dwuznaczniki. Beba obserwowała go zdziwiona. Ten pajac, powiedziała mu Beba. Brakuje mu tylko węża i w ręce jakiegoś przyrządu służącego równocześnie do nawlekania igły, obierania kartofli i cięcia szkła. I te baby, co za nim uganiają. Tak, to prawda, robi wrażenie jarmarcznego szarlatana. No to co.

— Jak i co?

Złość Beby była według Sabata produktem ubocznym jej kartezyjskiej mentalności. Klóci się z dr. Arrambide, a w gruncie rzeczy oboje mają tę samą mentalność. Nie miał ochoty czegośkolwiek tłumaczyć.

— Jak, i co? — nalegała Beba.

Sabato spoglądał na nią znużony. Baudelaire, ten sataniczny.

— Baudelaire?

Ale nie wyjaśnił niczego, czuł, że to na nic. Najgorsze świństwo : udawać, że istnieje. Schneider jest śmieszny, ale ponury, hałaśliwy, lecz posępnie tajemniczy. Za jego głośnym śmiechem ukrywa się milczący duch, za karykaturalnie śmieszną maską jest surowa twarz, schematyczne i powściągliwe oblicze piekła. Jak ktoś, kto obmyśla i przygotowuje na zimno zbrodnię, a jednocześnie opowiada głupie dowcipy swojej przyszłej ofierze. Maruja spytała o *kregowce wodne* na pięć liter. Wyobraża go sobie, jak trzyma nici tej bandy, jak kieruje nią z ciemności. Ale o czym właściwie myśli? Patricio i Christensen to były postacie zmyślone: jak ten realny człowiek mógł rządzić jego wyobraźnią? Gustaw Christensen. Przyszło mu na myśl, że Bobas Costa do skonała mógłby być Gustawem Christensenem. Czemu nie? Wy obraża go sobie jako chudego, a Bobas jest gruby i nalany. No to co?

— Bobas Costa — powiedział.

Beba obrzuciła go płomiennym spojrzeniem. Dlaczego wspomniał o tym indywiduum?

— Widziałem go. Wchodził do kawiarni na rogu Las Heras i Ayacucho.

A.co ją to obchodzi. Ten facet ją absolutnie nie interesuje. Już dawno postawiła na nim krzyżyk.

— Mówię ci...
— Absolutnie, żebyś wiedział.
— Mówię ci, bo zdaje mi się, że wszedł, aby spotkać się ze Schneiderem.

— Co mówisz? Schneider jest w Brazylii. Od nie wiem jak dawna.

— Zdawało mi się, że wchodził do tej kawiarni. Zresztą, był z nim zaprzyjaźniony.

— Z kim?

— Z Bobasem Costa, czy nie?

Beba roześmiała się: Bobas, i czyjs przyjaciel!

— Chcę powiedzieć, że często się widywali, wtenczas.

— Pytanie: kto kogo nabrał.

— Nie mają powodu być przyjaciółmi. Mogą być współwinnymi.

Beba spojrzała nań zdziwiona, lecz Sabato nic więcej nie powiedział. Po jakimś czasie spytał patrząc na szklanę:

— Zatem według ciebie Schneider wyjechał do Brazylii?

— To powiedziała Mabel. Wszyscy o tym wiedzieli. Pojechał z Hedwig.

Wpatrując się w szklanę, Sabato zapytał, czy Koko nadal widuje się z Bobasem.

— Chyba. Nie widzę, jak mógłby się obejść bez tej przyjemności. To przecież skarb.

— I nic nie mówił ostatnio o Schneiderze? Jeśli wrócił z Brazylii i widuje się z Bobasem, Koko wiedziałby o tym z pewnością.

Nie, nic jej nie mówił. Zresztą, Koko doskonale wie, że ona nie lubi, żeby jej wspominali o Bobasie. Sabato jeszcze bardziej się przeląkł, ponieważ z tego wszystkiego wynikało, że jeśli ten człowiek wrócił z Brazylii czy skądkolwiek, to nie pokazuje się publicznie, lecz stara się ukrywać. Czyżby zatem jego kontakty z Costą miały związek z tym dręczącym problemem? Na pierwszy rzut oka wydaje się nonsensem wyobrażać sobie machinacje frywolnego Costy, ale nie jest to takie głupie, gdy pomyśleć o jego demoniczności. Dlaczego w takim razie spotykają się w barze w centrum miasta? To mógł być przypadek. Taki przypadek? Nie, to trzeba wykluczyć. Raczej przeciwnie, powinien myśleć, iż Schneider w jakiś sposób wiedział, że on (Sabato) ma pójść do Radio Nacional, i czekał na ulicy, dopóki go nie ujrzy (choćby przelotnie), a potem wszedł. Po co? Aby go nastraszyć? Na nowo zrodziła się wielka wątpliwość: kto kogo śledzi?

Usiłował przypomnieć sobie, lecz wszystko pozostało niejasne. Tak, Mabel przedstawiła go Andrzejowi Teleki, a Teleki

przedstawił go Schneiderowi. Wtedy właśnie wyszedł *Tunel*, tak że musiało to być mniej więcej w 48 r. W danej chwili nie przypisał znaczenia pytaniu Schneidera: dlaczego Allende koniecznie musi być ślepy? Pytanie wydało się niewinne.

— Rogacz i ślepy — skomentował z tym swoim ordynarnym śmiechem.

Co mógł robić w tych latach, między 48 i 62? Czyż nie jest znamienne, że pojawił się znowu w 62, w chwili ukazania się *O bohaterach i grobach*. W olbrzymim mieście można latami kogoś nie spotykać. Dlaczego spotkał go zaraz po wydaniu nowej powieści? Starał się odnaleźć w pamięci słowa Schneidera o Fernandezie Vidal Olmosie.

— Co, nie dajesz odpowiedzi?

r-^ Że co?

— Czy mówiłeś źle o Sartrze? Tak czy nie?

Beba zawsze skora do kłótni, wiecznie z whisky w ręce i z inkwizytorskim płomiennym spojrzeniem.

Źle o Sartrze? Kto jej doniósł taki idiotyzm?

Nie pamiętam. Ktoś.

Ktoś, ktoś. Zawsze ci wrogowie bez twarzy.

Pytam, dlaczego jednak mówiłeś publicznie.

Mówiłem, bo miałem ochotę. Dla żartu.

Dlaczego nie dajesz sobie opowiadać plotek?

Mówiłem, bo jestem słaby, bo mnie o to prosił przyjaciel, bo nie lubię, żeby mnie uważali za aroganta, bo tych ubogich chłopców z domu kultury na przedmieściu nie wolno poniżać: ci chłopcy w dzień pracują jako monterzy, a wieczorem przegryzają się przez Marksa.

— Ejże. Alliance nie jest na przedmieściu, tam były paniusie. Mnóstwo paniuś.

— Masz rację. Mówiłem dla paniuś, zgadłaś. Całe życie nic innego nie robię. A teraz pozwól mi spokojnie wypić whisky, po to przyszedłem.

— Nie krzyczcie, dajcie mi pomyśleć. Rzeka w Azji, cztery litery.

— Zatem, zrelacjonowali ci tylko to, że mówiłem źle o Sartrze.

Wstał, przemierzył pokój, podszedł do biblioteki, oglądnął stare szable kawalerskie, przeczytał z roztargnieniem kilka tytułów. Był wściekły na wszystkich i na samego siebie. Zgryźliwe ironiczne myśli o okrągłych stołach, wykładach, urugwajskiej kanaście, Punta del Este, Alliance Francaise, wspomnienia z dzieciństwa. Jak ta Beba schudła w ostatnim czasie, tytuły powieści (*W cieniu zakwitających dziewcząt!* Jak to możliwe?), 30

myśli o kurzu i o oprawianiu książek. W końcu wrócił na kanapę i zagłębił się w niej, jakby ważył dwa lub trzy razy tyle.

Coś w rejonie Kenii i Etiopii, co wygląda na zebu, ale nie zebu: siedem liter.

— Mówiłeś źle, tak czy nie?

S. wybuchnął. Beba zażądała surowym tonem, aby podał szczegóły, zamiast krzyczeć. Nie robi wrażenia intelektualisty, robi wrażenie wariata.

— Ale co za kretyn ci o tym nabujał?

— Żaden kretyn.

— A dopiero co powiedziałaś, że nie pamiętasz kto.

— Tak, a teraz sobie przypominałam.

— A więc kto?

— Po co mam ci mówić. Zaraz zaczniesz mnie wypytywać.

— Oczywiście, po co.

Na nowo pogrążył się w gorzkim milczeniu. Sartre. Wprost przeciwnie, zawsze go bronił. Jakie to znamienne, że zawsze musiał bronić autentycznych facetów. Podczas powstania na Węgrzech, kiedy stalinści oskarżali go o drobnomieszczański antyrewolucjonizm. Później, przeciw maccartystom, którzy mówili o nim: Idiotanasłużbiemiędzynarodowegokomunizmu. No i oczywiście homoseksualista, wiadomo, skoro nie dało się wynaleźć żydowskiej paranteli. Chociaż nie, teraz mu się przypomniał Lezarna, ten co roztrąbił nazwisko Schweitzer, nazwisko, które według tego sławnego etnologa miało być żydowskie.

— Takie kretynstwo — szepnął, jakby wyciągnął wniosek z całego rozmyślenia.

— Wcale nie kretyn. A dotychczas nie powiedziałaś, na czym polegał twój wykład. Dowodziłeś mi, że oskarżano cię o to i o tamto, że jesteś obrońcą biednych i nieobecnych, ale nie od powiedziałaś na moje pytania. Celowo. A na pewno gadałeś coś o męczeństwie, o świadectwie naszych czasów.

— Na pewno. Nie widzę powodu do ironii.

— Jasne. Mnie nie musisz jeszcze raz wyh»szczać swojej teorii. Szczególnie mnie, bo znam ciebie, jakbym cię urodziła.

Ta etymologia męczennika. Twój ulubiony konik. S. nic nie odpowiedział.

— W takim razie, jeżeli nie mówiłeś źle, to co u licha mówiłeś? Dlaczego ktoś może twierdzić, że mówiłeś źle?

Spojrzał na nią z ironią. Czy musi o to jeszcze pytać? Te typy dochodzą do wniosków innymi drogami, nie przez rozumowanie,

— Na przykład.

— Wiesz doskonale: przez ^uprzedzenia, przez urazę i nie nawiść, przez podłość, przez złą wolę.

— Wychodzi z ciebie paranoik z manią prześladowczą. Ale powiedz mi, czy nie uważasz, że zamiast tracić tak wiele czasu na wściekanie się, nie byłoby lepiej, żebyś mi wytłumaczył, co tam powiedziałeś?

— W jakim celu?

— Ach, uważasz, że nie jestem godna?

— Jeżeli to ciebie tak interesuje, mogłaś być pójść na wy-

— Mam Pepinę. Miała rozstrój żołądka.

— Dobra, dosyć tego.

— Jak to dosyć tego? Bardzo mi zależy na tej sprawie.

— Teraz żądasz, żebym ci wytłumaczył w czterech słowach, co tam analizowałem przez dwie godziny.

— Nie żądam, żebyś mi wszystko wytłumaczył. Jedną myśl. Tę zasadniczą. Poza tym, przyznasz chyba, że ja mam w głowie trochę więcej niż te paniusie, co się zleciały, żeby ciebie po słuchać.

— Było mnóstwo studentów.

— Jeśli się nie mylę, powiedziałeś mi kiedyś, że cała filozofia jest rozwojem jednej intuicji centralnej, a nawet metafory: pan ta rei, heraklitowska rzeka, sfera Parmenidesa. Tak czy nie?

— Tak.

— A teraz chcesz mnie przekonać, że twoja teoria o Sartre'ie wymaga dwóch godzin. Czyżby była ważniejsza od filozofii Parmenidesa?

— Ten wywiad z Sartre'em o *Mdłościach* — wyjaśnił ze znużeniem.

— Wywiad? Jaki wywiad?

— Wyszedł dawno temu. Na pewno był konsekwencją jego poczucia winy.

— Poczucia winy?

— Oczywiście. Są tu dzieci, co umierają z głodu. I pisać tę powieść podczas gdy...

— Jakie dziecko umiera z głodu?

— Ależ nie, mam. No?

— Ta myśl była punktem wyjścia.

— I ty uważasz tę myśl za niesłuszną.

— Nie zaczynaj na nowo.

— A zatem.

— A zatem co ? Czy możesz mi powiedzieć, kiedy jakaś powieść, *Mdłości*, jakkolwiek powieść, najlepsza powieść świata, *Don Quijote*, *Ulisses*, *Proces*, posłużyła, aby choć jedno dziecko 32

uniknęło śmierci? Gdybym nie był pewien uczciwości Sartre'a, pomyślałbym, że jest demagogiem. Powiem ci więcej: w jaki sposób, kiedy, w jakiej formie chorał Bacha czy obraz Van Gogha posłużył, aby jakieś dziecko nie umarło z głodu? Musielibyśmy się wyprzeć całej literatury, całej muzyki, całego malarstwa.

— Niedawno temu, w filmie o Indii, na ulicy jakieś małeństwa umierały z głodu.

— Tak, mamó.

— Ty także widziałaś ten film?

— Nie, mamó.

— Czytałam też książkę jednego francuskiego pisarza, Jules Romains... nie, chwileczkę... może Romain Rolland? Zawsze mi się mieszają nazwiska... coś na ten temat.

— Na jaki temat, mamó?

— Że dziecko umarło z głodu. Jak on się nazywa?

— Kto?

— Ten pisarz.

— Nie wiem, mamó. To są dwaj pisarze. A ja żadnego z nich nie czytuję.

— Mogłabyś trochę więcej czytać, zamiast wciąż się kłócić i pić tak dużo whisky. A ty, Ernesto, także nie wiesz?

— Nie wiem, Maruja.

— Zatem, ty uważasz, że Sartre się myli. Teraz widzisz, że ten, co mi o tobie doniósł, mówił prawdę. No, nie?

— To nie znaczy mówić źle. To znaczy niejako bronić go przed własną słabością. Bronić lepszego Sartre'a.

— A więc ten Sartre, którego boli śmierć dziecka, jest złym Sartre'em.

— To jest sofizmat, wielki jak szafa. Nie obniżajmy poziomu rozmowy.

— Doskonale, wróćmy do twego, argumentu. Chcesz powiedzieć, że Sartre źle rozumuje. Że nie jest zdolny do dyscypliny umysłowej.

— Tego nie powiedziałem. Nie, że źle rozumuje, ale że się czuje winny.

— Winny czego?

— Taka mieszanina demonizmu z protestantem.

— No to co?.

— Nic, może jedna wskazówka to nazwisko Schweitzer.

Druga wskazówka to brzydota.

— Brzydota. Co to ma wspólnego z wywiadem?

— Brzydki malec. Żaba. Czytałaś *Slowal*

— Czytałam. No i co?

— Przerzął się, kiedy na niego patrzyli. -
— I co?
— Co jest w tobie widoczne? Ciało. Piekło to spojrzenie in-
nych. Patrząc na nas to petryfikować nas, zniewalać nas. Czyż
nie to jest tematem jego filozofii i jego literatury?
— Ależ ty jesteś arbitralny. Całą myśl Sartre'a chcesz zredu-
kować do tych kilku słów.
— Przed chwilą, o ile pamiętam, żądałaś tego ode mnie.
Pan ta rei.
— No, i teraz robisz z psychicznego kompleksu podstawę fi-
lozofii.
— Wstyd nie jest komunalem, zwłaszcza wstyd dziecka. Mo-
że mieć ogromny egzystencjalny zasięg. Wstydzę się, więc ist-
nieję. Od tego się wszystko zaczyna.
— Wszystko ? Zdaje mi się, że przesadzasz.
— Dlaczego? To, co w dziele twórcy jest istotne, bierze po-
czątek w jakiejś obsesji z dzieciństwa. Pomyśl o jego twórczości.
Czy ktoś tam pokazuje się nago?
— Uważasz, że nie mam nic lepszego do roboty jak pamię-
tać osoby Sartre'a, czy się ubierają, czy rozbierają. Już od wieków
go nie czytuję.
— Mówię, bo mnie zadreczasz. Jeden chce patrzeć na ludzi
z góry, wtedy czuje się wszechmocny. Jakaś kobieta chce obser-
wować przyjaciółkę i nie być przez nią widziana. Ten lubi sobie
wyobrazić, że jest niewidzialny, i największą przyjemność spra-
wia mu zagładanie przez dziurkę od klucza. Tamten wyobraża
sobie piekło jako spojrzenie, które go na wskroś przenika. W jed-
nym z utworów piekłem jest spojrzenie kobiety, które w dodatku
musi się znosić przez całą wieczność.
— Dobra. Dostyc tego. Dokąd w końcu zajdziemy ? Jednakże
filozofia...
— Wydaje mi się, że książki czytasz po łebkach. Czytałaś
Byt i nicości
— Owszem, ale to było w XIX wieku.
— Dlatego właśnie ci mówię.
— Co mi mówisz?
— Że wszystko czytasz po łebkach...
W tej chwili wszedł Koko i powiedział: Maruja, co dzień jesteś
bardziej urocza, *et tout et tout*. Następnie zwrócił się do S. :
Dobry wieczór, Mistrzu. Na to S. burknął, że jest spóźniony,
i odszedł.
Kiedy wyszedł, Beba zwróciła się do Koka oburzona.
— Ostrzegalam cię, żebyś z nim nie zaczynał, przynajmniej
nie w mojej obecności.

— Nie mogę tego uniknąć, najdroższa. Od kiedy mnie za trudnił w tej powieści, abym ujął jej trochę ciężaru. Ołów. Superpedant... Kiedyś, jak będę miał trochę czasu, opowiem ci historie, że się zadziwisz... I cały *tenpotinage* jest, oświadczam ci, udokumentowany.

— Nie wiem, dlaczego zamiast robić nieprzyjemne rzeczy, nie opowiedziałeś paru twoich kawałów.

— W jego obecności, powiadasz?

— Oczywiście.

— Tak? Aby później moje powiedzenia ukazały się w jego powieści, którą ponoć pisze od stu dwudziestu lat?

KOKO BYŁ NACHMURZONY

Zabronić mu źle mówić o ludziach, to, w opinii Beby, jakby zabroniono Galileuszowi wygłosić jego

słynny aforyzm. Ale nadejście Sylwiny i jej koleżanek z akademii natychmiast go ożywiło, zwłaszcza gdy mu oznajmiły, że widziały małego Molinę na motocyklu i w skórzanej kurtce.

Doskonale! Po co tyłu księży w sutannach! Księżom szorty, zakonnicom bikini. I dość już tych mszy po łacinie, mamy wszak nasz popularny meksykański język telewizyjny. Przyrzekam wam, że katolicyzm stanie się nawet wśród warstw uboższych tak popularny jak toto-lotek. Przecież ci księża leniniści, zamiast żeby ci cytowali św. Tomasza, wygłaszają fenomenalne cytaty z Marksa i Engelsa: *Après tout* chrześcijaństwo zawsze zabiegało o popularność. Weźmy na przykład chrzest: chrzczymy się wodą, to jest najtańsze. Chyba żeby się komu zechciało chrzcić na Saharze. A teraz pomyślcie, dziewczyny, jacy to byli idioci, co wymyślili chrzest krwią byka. Jaka religia może sobie pozwolić na taką rozrzutność? Aby ochrzcić dziecko, trzeba za każdym razem zarząć byka. To był obrzęd dla rzymskich oligarchów, a u nas może dla niemowląt z rodziny Anchorena albo przynajmniej dla wzbogaconych makaroniarzy jak Bevilacqua.

— Co powiadasz? — zapytała Mařuja — podnosząc głowę znad krzyżówki — że Bevilacqua kupił byka?

— Ale dla takiego żebraka jak ja cóż pozostaje innego jak Święty Kościół Rzymskokatolicki? To jest przynajmniej religia supersamu, no nie?

— No dobrze, ale powiedz już raz tę historię o Losuar.

Koko rozpostarł ramiona ogromne jak skrzydła i wznosił je do nieba, podnosząc jednocześnie wzrok jakby w inwokacji.

— Kobiety! — zawołał.

— No, gadaj.

— Wiadomo wam, że jako reporter w wyspecjalizowanym czasopiśmie (bo wiecie chyba, że jestem teraz również filarem RADIOLANDII, jednym z mózgow elektronowych tego interesującego tygodnika) mam obowiązek śledzić ruch filmowy. Choć na szczęście, nie muszę chodzić do kina Lorraine i do tych wszystkich kin, które ten spryciarz doi pod płaszczykiem kultury, przynosząc jeszcze jedną klęskę temu miastu. Otóż, zaraz po Lorraine wybrał sobie nazwę Loara, po rozpisaniu konkursu w Buenos Aires. Konkurs, nawiasem mówiąc, miał swoje finezje, bo nazwa miała być francuska i, mało tego, miała zaczynać się od Lo. Finezja, prawda? Tym sposobem obydwie kina sąsiadują z sobą w programach gazet i chłopak, który nie dał się nabrać na Lorraine, wpada do Loary, zamiast żeby go złapało konkurencyjne kino, no nie? Tak więc wszyscy młodzi *habitués*, zwłaszcza ci, co chodzą do Alliance, łamali sobie łby, studiując historię, geografię i numizmatykę z *la Douce France*, aż po długim szperaniu natrafili na znakomitą i ciekawą nazwę Loara, prawdziwy *tour de force*, nawet dla takiego znawcy jak ja. Nigdy bym przecież nie wpadł na ten pomysł. No bo komu wpadnie akurat na myśl taka prosta nazwa? Tak jak powiedzmy Sekwana. Przecież nie ma stypendysty, który by nie zwiedzał zamków nad Loarą. Zatem, jak wam mówiłem, rozpoczęła się seria kin na Lo, najpierw Lorraine, następnie Loara, a teraz jakby spłonęły dokumenty historyczne i geograficzne, bo wymyślili nazwę Losuar, jakiegoś centaury z głową Lorraine i ciałem Loary. No i ten spryciarz stale ma nadkomplet. A ponieważ nieskończenie wielki jest snobizm młodzieży, rzecz starczy na długo. Co mówię! Wy starczy na zawsze, bo każdego dnia pojawia się nowa fala. Najpierw ten włoski neorealizm, w którym makaroniarze wrzeszczą jak na jarmarku i uważają to za szczyt sztuki, aż wreszcie te kawały Sordiego i de Siki zaczynają męczyć i wtedy znowu się wraca do kina francuskiego, które, trzeba przyznać, zawsze najlepiej przemawia nam do serca, połykamy więc te wszystkie kicz Duviviera, uważane przez znawców za szczyt finezji. A gdy już mamy dość francuskości, jako że nikt nie kąpie się dwa razy w tej samej rzece, pokazują nam filmy szwedzkie, które zapewniają sukces, ponieważ każdy, jeden mniej, drugi więcej, lubi oglądać na ekranie, jak się gwałci dziewicę, szczególnie, gdy to robi jakiś bandzior, a najlepiej, gdy ten bandzior jest bratem dziewicy, a gwałt — jakby powiedział mistrz Sabato — jest wynikiem wiadomych kompleksów i dramatów metafizycznych. Chłopaki, oczywiście, myślą, że w Szwecji przez cały boży dzień ludzie nic innego nie robią, tylko pieprzą. Marzą więc o wyjeździe do tej 36

ojczyzny pieprzenia, nie wiedząc, *pauvres enfants*, że tam nie ma słońca nawet na lekarstwo i przez calutki rok drży się z zimna siedząc przy piecu albo na piecu i z tego to powodu dzień, kiedy pojawia się słońce, a mianowicie 27 sierpnia, jest świętem narodowym, i wszyscy wychodzą na ulicę zakosztować trochę słoneczka, nawet sympatyczny i demokratyczny król korzysta z wolnego dnia i wyjeżdża na wieś, a Bergman filmuje w ten dzień *Lato z Moniką*. Popelnia się wówczas najróżniejsze zbiorowe sceny superseksualne w plenerze, w górach, na łąkach, nawet w ogrodach samego pałacu królewskiego. Ale, ma się rozumieć, tylko w tym jedynym słonecznym dniu. Toteż, jeśli autochton przyjeżdża 28 sierpnia, wszystko jest zlikwidowane i zamarza.

Sylwina poprosiła o małą przerwę. Kiedy się uspokoiła, Koko ciągnął:

— Któregoś dnia zachciało mi się pójść do jednej z tych jasniń kultury, gdzie już od drzwi częstują cię muzyką Albiniego, a w przerwach trzeba czytać Marcusego; chodzi o to, aby nie stracić ani minuty, coś podobnego jakbyś bez przerwy musiał polykać witaminy i oddychać czystym tlenem, prawda? No i kogo spotkałem wchodząc? To był smutny widok: Lola Rivero. W dodatku, dopiero co u niej byłem. Wiecie, jaka jest Lola, z tą jej biblioteką: na półkach *Piekło* Barbusse'a, *Rozczarowane*, nie wiem czyje, *Świat bez Boga* jakiegoś anabaptysty z Minneapolis, a jakby było mało tej makabry, en plus, *KOBIETA OZIĘBŁA* Steckla, tak że tylko uciec i głęboko odetchnąć. A ja chociaż paliłem się, żeby jej opowiedzieć parę plotek o nowej *affaire* jej siostry, tak upadłem na duchu przez tę bibliotekę, że zacząłem mówić o pogrzebach, rozwodach, o raku i marskości wątroby i oczywiście o drożyznie. Wszystko po to, aby się dostroić do otoczenia i rozweselić trochę biedną Lole, dla której jedynym istniejącym słońcem jest czarne słońce Nerval'a. Druzgo cące!

— A co zrobiłeś, jak ją spotkałeś w Lorraine?

— Co miałem robić? Poszliśmy na kawę do La Paz, usiedliśmy między dwoma brodacami i trzema dziewczynami od Di Telia i zacząłem rozwijać moją teodyceę.

— Teodycea? — zapytała Sylwina przestając się śmiać. — To jakaś cesarzowa rzymska?

— Cicho bądź, mała. Tobie wolno tylko słuchać i malować, bo do tego masz dryg. Wytłumaczyłem jej, że świat jest symfonią, ale że Bóg gra ze słuchu. (Oczywiście, mogą też istnieć inne wytłumaczenia. Na przykład: Facet jest kawalarzem (uwaga, linotypisto, Facet z wielkiej litery, bo nigdy nie wiadomo: kie-

dy pewien przyjaciel Baudelaire'a chciał wygasić peta na jakimś bożku afrykańskim, Baude krzyknął: uwaga! może jest prawdziwy). Otóż, jak rzekłem, Facet jest kawalarzem, a świat, aby powiedzieć *un mot pour rire*, jest kawałem wielkim jak ciało niebieskie o wymiarze dwóch i pół biliona lat świetlnych. Może też być inaczej na przykład: Facet śpi i jego senne zmory po zjedzeniu pełnego talerza klusek ze słoniną są naszą rzeczywistością. No, dosyć tego, teraz wychodzę, bo muszę spełniać moje obowiązki zawodowe.

— Nie, Koko, nie! Opowiedz jeszcze coś o Loli. — Cóż mogę wam więcej powiedzieć o tej biedaczce. Nauczyciel fizyki pokazywał nam maszynę elektrostatyczną do nauki o elektryczności, a profesor Heidegger wynajął Lolę, aby ją za demonstrować na wykładzie o lęku. Gdyby dostała się w ręce Raskowsky'ego, wyszłoby z tego dzieło w dwunastu tomach o zhamowaniach i kompleksach Lolity. Nawiasem mówiąc, zawsze się zastanawiałem, po co nam tylu psychoanalityków; zajmujemy drugie miejsce po USA. Druzgocące! Musi istnieć jakaś *raison detre*, jak mawiał Leibniz.

Sylwina konała ze śmiechu. — Przestań — powiedziała — ja już dłużej nie mogę. Tak więc Koko pożegnał się dorzucając jeszcze od drzwi, że na ten temat zamierza wysłać komunikat do Argentyńskiego Stowarzyszenia Psychoanalityków, które, jak twierdził, jest tak samo wielkie jak Stowarzyszenie Hebrajskie. I ma tych samych członków.

**NIGDZIE
NIE JESTEŚMY
TAK SAMOTNI
JAK W WINDZIE**

(myślał Bruno), która jest milczącym, lecz nieubłaganym spowiednikiem, krótkotrwałym konfesjonałem świata pozabawionego świętości, świata Plastiku i Komputera. Wy-

obrażał sobie S. obserwując bezlitośnie jego twarz. Na niej — z wolna, lecz nieuchronnie — nakładały swą pieczęć uczucia i pasje, czułości i urazy, wiara, złudzenie i rozczarowania, śmierci, które przeżył lub przeczuł, jesienie, które go smuciły i zniechęcały, miłości, które go urzekły, zjawy, co go nawiedzały i napierały nań w fikcjach i w snach. W oczach, co płakały z bólu, w oczach, które zamykał sen, lecz także wstyd i perfidia, w wargach, co się zaciskały z uporu, ale też z okrucieństwa, w brwiach, które się ściągały z niepokoju bądź ze zdziwienia i które się podnosiły w zapytaniu i w wahaniu, w żyłach, które wzdymała wściekłość albo znysłowość, zarysowała się ruchliwa geografia,

którą dusza kształtuje na delikatnej a kowalnej materii oblicza. I oto się odsłania zgodnie z danym jej przeznaczeniem (istnieć bowiem może tylko ucieleśniona) poprzez tę materię, która jest jej więzieniem i zarazem jedyną możliwością istnienia. . Tak, oto go mają: tym obliczem dusza S. patrzy na świat (i cierpi), jak skazaniec przez kratę.

S Z E D Ł po co te dyskusje i wykłady to wszystko
W STRONĘ jest straszliwym nieporozumieniem Sartre
RWECOLETY rozdierany przez pasje i nałogi broni jed-
nak sprawiedliwości społecznej.

Usiadł na ławce.

Patrzyli na niego. Jakiś młodzian szepnął coś swej partnerce wskazując nań gestem, być może niezauważalnym, S. wszakże zauważył go, podobnie jak ptak odróżnia zwyczajnego spacerowicza od człowieka, który przyszedł go złowić. Melancholijnie wspomniął czas, kiedy był jak ten młodzian, kiedy mógł przyjąć do parku i czytać książkę i nikt go nie kontrolował.

Sokrates i Sartre. Obydwaj szpetni, obydwaj odczuwali do swoich ciał nienawiść i wstręt, obydwaj pragnęli przejrzystego i wiecznego świata. Któż mógł wymyślić platonizm, jak nie ktoś z kiszkami pełnymi kału?

Tworzymy to, czego nam brak, czego pragniemy, co nam jest potrzebne.

No, nie tylko paniusie tam były. Byli studenci, pełno studen-
tów, ludzi naprawdę zainteresowanych.

<

Ludzie naprawdę zainteresowani? Ejże!

Trzeba się zdecydować, zamknąć się w tym sławetnym warsztaciku.

Och nie, nie! To by było tchórzostwo, ucieczka przed skurwysynami.

Murzyn z *Mdłości*, w tym obskurnym pokoiku, latem w Nowym Jorku. Na zawsze ocalony dzięki wieczystej melodii swojego bluesa. Wieczność poprzez śmieci.

Szedł w stronę cmentarza. Jeszcze raz przeczytał Requiescant in Pace, podobnie jak wracamy, by oglądać na wystawie fascynujący przedmiot, o którym wiemy, że mimo wysokiej ceny kiedyś będziemy musieli go kupić.

Szedł wzdłuż muru ulicą Vicente López i zatrzymał się chcąc zajrzeć do wnętrza czynszowego osiedla: rozwieszona bielizna, kundle, brudne dzieciaki. Typowe dla R., pomyślał. Mieszkać w takiej nędzy, tam na górze.

SnyM.

Zamknięty w szklanym flakonie homunkulus miotał się szukając rękami słabego miejsca na nieubłaganej przezroczystej powierzchni. Wysoki na jakichś 25 centymetrów był pomniejszeniem Anglika z filmu amerykańskiego: chudy, w tweedowej marynarce i meloniku, jakie widuje się jeszcze tylko w Anglii. Poruszał się, jakby komuś groził, gwałtownie, z wściekłością rzucał się z jednej strony na drugą i raptem był spokojny, i spoglądał w górę, skąd M. go obserwowała.

Nagle coś krzyknął, czego ona naturalnie nie mogła usłyszeć, bo wszystko rozwijało się jak w niemym filmie. Ale była przerażona tym niesłyszalnym okrzykiem i jego wyrazem; „przerażający” wyraz, wyjaśniła.

Co chciała powiedzieć tym słowem? Zapytał ją, jak gdyby od niechcenia, lecz z nie dającym się ukryć niepokojem.

Nie wiedziała, nie mogła mu tego wytłumaczyć. Jednego była pewna, że krzyk był przerażający. ■

— To był ten osobnik, o którym mi mówiłeś: Patricio. Jes tem przekonana — dorzuciła. Patrzyła na niego, jakby czegoś oczekiwała.

— Tak, tak, zajmę się tym.

Lecz słowa te rzekł bez przekonania, nie był bowiem w stanie jej wytłumaczyć, jakie to siły go opętały. Znała tylko rzeczy najbardziej zewnętrzne: oszczerstwa, plotki, dwuznaczne pogłoski itp. Nie wiedziała, że to wszystko jest dziełem nieuchwytnych, lecz tym groźniejszych mocy.

Mijały miesiące. I oto M. opowiedziała mu inny sen: Ricardo miał kogoś operować. Pacjent leżał na noszach, oświetlony reflektorami sali operacyjnej. Ricardo zdjął z niego prześcieradło, wówczas okazało się, że był owinięty bandażem jak mumia. Zrobił cięcie w zakurzonej, sparciałym płótnie, następnie w sztywnej jak pergamin skórze wzdłuż piersi i brzucha, przy czym nie sprynęła ani kropla krwi. W miejsce wnętrzości ukazał się ogromny czarny robak, około trzydziestu centymetrów długości. Robak zaczął się poruszać i wydzielać plazmę, która natychmiast zmieniała się w nerwowe odnóża. W kilka sekund robak przeobraził się w miniaturowego czarnego diabła, który skoczył na twarz M.

M. oświadczyła, że według niej to miało związek z Patriciem.

Sabato spoglądał na nią, zakłopotany, znał bowiem jej zdolności jasnowidzenia. Był dziwnie poruszony.

Znalazł się na wprost kawiarni La Biela.

Usiadł w odosobnionym kącie i począł się rozglądać, a jed- 40

nocześnie wyobrażał sobie, że go obserwują, że chcą go poznać (jakież to zarozumiałe i oszukańcze słowo), że poprzez wywiady śledzą zmienne koleje jego życia (złudzenie dzisiejszego świata, że człowieka można poznać po godzinie rozmowy źle zapisanej). A to wszystko nie ma znaczenia. Pod spodem żyje życiem snów, ukrytych nałogów, o które go nikt nie podejrzewa. W podziemiu dziwaczny zgielk, przestępczy natłok. Z pozoru idzie do francuskiej ambasady, gdzie uprzejmie nadaje się i odbiera plotki i komunały, jakie się powinno wygłaszać w ambasadzie: z miłymi manierami, ze zro/umieniem i grzecznością. Dobrze choć, jeśli się nie jest dowcipnym i błyskotliwym. Bo wówczas kładąc się do łóżka i zdejmując spodnie należałoby wspomnieć, że Kierkegaard w podobnej sytuacji powiedział: „podbiłem publiczność i znalazłszy się sam w swoim pokoju, miałem ochotę palnąć sobie w łeb”.

I oto zobaczył tych młodych.

ŻĄDANIE ROZRACHUNKU

Siedział, jak zawsze, w kącie i obserwował stamtąd parę przy narodnym stoliku. Dziewczynę widział dobrze, gdyż była zwrócona przodem i popołudniowe światło padało na jej twarz. Ale chłopiec był obrocony plecami, a tylko przy poruszaniu głową ukazywał się jego profil.

Spotkał ich po raz pierwszy. Tego był pewien, dziewczyna bowiem miała wyraz twarzy, którego nie mógłby zapomnieć. Dlaczego? Zrazu nie mógł tego zrozumieć.

Miała bardzo krótkie włosy, ciemnobrązowe, bez połysku. Oczy z początku również wydawały się ciemne, lecz wkrótce spostrzegł, że są zielone. Twarz koścista, silna, z mocno zaciśniętymi szczękami i o ustach nieco wysuniętych do przodu zapewne z powodu przodozgryzu. Po tych ustach poznać było, że należą do kogoś, kto potrafi zachować tajemnicę nawet wśród tortur. Miała chyba dziewiętnaście lat: Nie: dwadzieścia lat. Prawie że nie mówiła, słów chłopca słuchała patrząc nań dalekim, zamyślnym spojrzeniem, co ją czyniło niezapomnianą. Co było w jej spojrzeniu? Pomyślał, że może z lekka zezuje.

Nie, nigdy jej nie widział. A jednak miał wrażenie, że patrzy na kogoś znajomego. Może spotkał kiedyś jej siostrę? Może matkę? Wrażenie, że „kiedyś widział”, jak to zawsze u niego bywa, wywoływało złe samopoczucie, tym bardziej, iż był pewien, że mówią o nim. Tego smutnego uczucia mogą doznawać jedynie pisarze, i tylko oni mogą je rozumieć — myślał z goryczą.

Nie wystarcza bowiem być znanym (jak aktor albo polityk), aby doświadczać tego odcienia złego samopoczucia: koniecznie trzeba być autorem fikcji, być sądzonym nie tylko za to, za co się sądzi osoby ogólnie znane, lecz za to, kim są lub co sugerują postacie powieści.

Tak, to o nim mówili. A raczej, było widoczne, że chłopiec o nim mówi. Spojrzał nawet na niego z ukosa, dzięki czemu mógł w tym momencie lepiej studiować jego profil: usta takie jak jej, podane do przodu, te same brązowe matowe włosy, identyczny nos, kościsty i trochę orli, takie same duże usta o mięsistych wargach.

Byli rodzeństwem, to nie ulegało wątpliwości. On mógł być o rok albo dwa młodszy od niej. Wyraz jego twarzy wydawał mu się sarkastyczny, dłonie bardzo kościste i duże zaciskały się z nieproporcjonalną siłą: nie było w nim harmonii, ruchy miał urywa- -ne, nagle i niezręczne.

W miarę jak czas mijał, narastał jego niepokój. Był w coraz gorszym humorze, ale przynajmniej jedna zagadka została wyjaśniona: Van Gogh z obciętych uchem. Podobieństwo przysłała różnica płci, wiek, szalik, skórzana czapka, fajka. Identyczna rozbieżność spojrzenia, ten sam posępnie roztargniony sposób patrzenia na rzeczywistość. Teraz zrozumiał, dlaczego zielonawe oczy wydały mu się z początku czarne.

Zaskoczyło go to odkrycie, tym bardziej zaniepokoił go temat rozmowy dwojga młodych.

Czy inni pisarze również odczuwają to, czego on doświadcza wobec nieznanego czytelnika swoich książek? Mieszanina wstydu, ciekawości i lęku. Czasami, jak teraz na przykład, odbiorcą jego zmartwień i goryczy jest młody student i wówczas S. usiłuje wyobrazić sobie, dlaczego ten chłopiec czyta jego książki, które stronicie przyniosły ulgę jego niepokojom, a które na odwrót — jeszcze je wzmogły, które ustępy podkreślił z pasją lub z radością, jako dowód swojej urazy do świata bądź jako potwierdzenie swego przeczucia miłości lub samotności. Kiedy indziej tym czytelnikiem jest dojrzały mężczyzna, pani domu, kobieta światowa. Najdziwniejsze, że istoty tak różne czytają tę samą książkę, jakby tych książek było nieskończenie wiele; jeden tekst pozwala wszakże na niezliczone różne, a nawet przeciwstawne interpretacje życia i śmierci, sensu istnienia. Inaczej bowiem nie sposób zrozumieć, że ta sama książka pasjonuje młodego człowieka, który myśli o możliwości napadu na bank, i przedsiębiorcę robiącego dobre interesy. „Butelka rzucona w morze”, powiedział sobie. Ale z wieloznaczną wiadomością, którą można tak rozmaicie tłumaczyć, że trudno znaleźć rozbitka. Raczej roz-

ległą posiadłość i w niej zamek widoczny z daleka, ale też rozgałęzione oficyny dla służby i poddanych (czasem może najważniejsze ze wszystkiego), pielęgnowane ogrody, lecz również zachwaszczone lasy pełne stawów, bagien, i straszliwych jaskiń. Tak oto, każdego z odwiedzających pociąga inna część rozległej i zawilej posesji, jednego urzekają ciemne jaskinie, a pielęgowany park go odpycha, ten przemierza z pasją i lękiem ogromne bagniska, w których kłębią się węże, podczas gdy inni w eleganckich salonach słuchają frywolnych historii.

W pewnej chwili chłopiec powiedział coś, co chyba zaniepokoiło siostrę, bo po cichu coś mu widać nakazała. Wówczas on na poły podniósł się z miejsca, ale dziewczyna chwyciła go za ramię i przemocą posadziła. S. zauważył przy tym, że ona również ma dłonie mocne i kościste i że okazała niemałą siłę. Nie przerwali rozmowy, a raczej on w dalszym ciągu czegoś dowodził, czemu ona się sprzeciwiała. W końcu chłopiec raptownie się podniósł i skierował do miejsca, gdzie siedział Sabato.

Nie pierwszy to raz zdarzyło się, że student w kawiarni po długim wahaniu decydował się w końcu do niego przystąpić. Bogate doświadczenie kazało mu przypuszczać, że stanie się coś nader nieprzyjemnego.

Chłopiec był wysokiego wzrostu, jak na swój wiek, jego ruchy potwierdziły wrażenie, jakie sprawiał siedząc: był surowy i gwałtowny, z jego postawy przebijał gniew. Nie tylko przeciwko Sabato: przeciwko całej rzeczywistości.

Znalazłszy się na wprost niego powiedział głosem zbyt donośnym, jak na to, co mówił, niemal krzyżąc:

— Widzieliśmy pańskie zdjęcie w czasopiśmie „Gente”*.

Przy słowie „czasopiśmie” zrobił minę, jakby przechodził koło czegoś obrzydliwego.

Sabato spojrział nań, jak gdyby zapytywał, co ma znaczyć ta uwaga.

— I niedawno temu wydrukowano wywiad — dorzucił to nem oskarżycielskim.

— Tak, rzeczywiście.

— A teraz w ostatnim numerze oglądałem pana na otwarciu boutique w pasażu Alvear.

Sabato omal że nie wybuchnął. Mimo to odpowiedział, dokonując ostatniego wysiłku, aby się wstrzymać: —i Tak, boutique mojej przyjaciółki, malarki.

— Przyjaciółki, co mają boutique — zauważył chłopiec z gryzącą ironią.

* popularne czasopismo snobistyczne.

Wtedy Sabato wybuchnął.

— A kim ty jesteś, żebyś mógł sądzić mnie i moich przyja-
ciół — krzyknął podnosząc się z miejsca.

— Ja? Mam do tego prawo, znacznie większe niż ktokol-
wiek inny.

Nie zdając sobie sprawy Sabato nagle wymierzył mu policzek
i chłopiec o mało nie upadł.

— Bezczelny smarkaczu! — krzyknął.

Tymczasem wszyscy obecni zaczęli interweniować, ktoś po-
ciągnął chłopca za ramię do jego stołu. Podniosła się również
siostra i przybiegła. Sabato, siedząc już przy swoim stole, za-
uważył, że dziewczyna mówi coś do brata, po cichu, ale surowo.
Wówczas chłopiec z charakterystyczną dla niego gwałtownością
wstał i wybiegł z kawiarni. Sabato siedział zdeprymowany i za-
wstydzony. Wszyscy obecni patrzyli na niego, jakieś kobiety
szepotały. Zapłacił i wyszedł nie patrząc na boki.

Zaczął spacerować po Recoleta starając się uspokoić. Od-
czuwał nieskończoną wściekłość, co ciekawe jednak, był wściekły
nie tak na tego chłopca, jak na samego siebie i na całą rzeczy-
wistość. „Rzeczywistość"! Jaka rzeczywistość? Która z tych
licznych istniejących? Może ta najgorsza, najpowierzchniej
Judzka: rzeczywistość salonów mód i popularnych czasopism.
Czuł wstręt do siebie, ale był też oburzony na chłopca za jego
skandaliczne zachowanie. Wstręt do własnej osoby, jak gdyby
dotykał też młodzieńca, jakby wnikał w niego i w jakiś niepojęty
sposób go brukał, a potem rykoszetem uderzał znowu prosto
w twarz S. w sposób gwałtowny i poniżający.

Usiadł na kolistej ławce, otaczającej korzenie rozłożystego
gumowca.

Park gasnął w przedwieczornym zmroku. Przymknął oczy
i zaczął myśleć o całym swoim życiu, gdy wtem usłyszał, że jakiś
kobięcy głos nieśmiało go wzywa. Otworzył oczy i ujrzał ją przed
sobą. Robiła wrażenie niezdecydowanej, jakby się czuła winna.

Patrzyła na niego chwilę z owym wyrazem z portretu Van
Gogha i w końcu zebrała się na odwagę:

— Zachowanie Nacha nie wyraża całej prawdy — powie-
działa.

Sabato wciąż na nią patrząc rzekł ironicznie:

— *Caramba*, tym lepiej.

Dziewczyna zacisnęła wargi, momentalnie wyczuła, że jej po-
wiedzenie było chybione. Usiłowała je złagodzić.

— Och, doprawdy, ja także nie chciałam tego powiedzieć.
Widzi pan, wszyscy się mylimy, nasze słowa nie wyrażają do-
kładnie tego, co myślimy... To znaczy...

S. poczuł się głupio, zwłaszcza że spoglądała na niego z tym niezbadanym wyrazem twarzy. Wytworzyła się trochę kłopotliwa sytuacja. *

— Bardzo mi przykro... — rzekła w końcu. — Ja... Nacho... Adios!

I poszła.

Lecz raptem przystanęła, zawahała się i wróciła.

— Senor Sabato — rzekła drżącym głosem — chcę powie dzieć... mój brat i ja... postaci z pańskiej powieści... Castel, Aleksandra...

Przerwała i chwilę patrzyli na siebie. Po czym ona dodała, ciągle się wahając:

— Nie chciałam, żeby pan nas źle zrozumiał... Te abso lutne postaci... pan wie... te wywiady... i takie czasopisma... Zamilkła.

I bezpośrednio potem — jak na pewno uczyniłby również jej brat — krzyknęła: „To straszne” i oddaliła się niemal biegiem. Sabato był porażony jej zachowaniem, słowami, jej surową ciemną urodą. Po chwili ruszył ścieżką wzdłuż muru przytulku i machinalnie zaczął się przechadzać po parku.

O ZMIERZCHU — myślał Bruno — posągi spoglądają na niego z góry z nieznośną melancholią, i na pewno poczyna go gnębić to samo uczucie bezradności i niezrozumienia, jakiego niegdyś doznawał Castel spacerując tą samą ścieżką. A ci młodzieńcy, którzy rozumieli bezradność Castela, nie są oczywiście w stanie pomyśleć, że i on ją odczuwa; nie potrafią zrozumieć, że ta samotność i to poczucie absolutu schroniły się w jakimś zakątku jego istoty, że się ukrywają lub walczą przeciwko innym istotom, straszliwym lub podłym, które również tam mieszkają i jakikolwiek by był w powieściach ich los, biją się o miejsce, prosząc o litość i zrozumienie, a tymczasem serce S. miota się w tej mętnej, powierzchownej egzystencji, którą głupcy nazywają „rzeczywistością”.

NACHO WSZEDŁ DO SWOJEGO odszukał zdjęcie Sabata we francuskiej ambasadzie, wyciął je

" i przypiął pluskiewkami do ściany obok dwóch innych: na jednym Anouilh w zakiecie wchodzi

do kościoła, pod ramię z córką w białej sukni, i u dołu, jak w komiksach, napis zrobiony czerwonym kopiającym ołówkiem 45

SKURWYSYN KREON; na drugim Flaubert, a obok niego małeńki Nacho krzyczy doń: ALE ONA SIĘ ZABIŁA, ŚWIN-TUCHU!

Tym samym czerwonym ołówkiem obok-jednego z widzów stojących koło Sabata nakreślił kółko, a w nim jedno słowo: DRAN! Tylko jedno słowo, ale wydało mu się tym bardziej znamienne, że należało do arsenału tego typu. Następnie trochę się cofnął, jakby chciał ocenić obraz na wystawie. Opuszczone kąciki zaciśniętych ust świadczyły o pogardzie i gorzkim wstręcie. W końcu splunął, otarł usta wierzchem dłoni i rzuciwszy się na łóżko, zamyślił się i patrzył w sufit.

Okolo północy usłyszał kroki Agustiny w korytarzu i zaraz potem szcęk klucza. Wtedy wstał i zapalił górne światło.

— Zgaś to światło — rzekła wchodząc. — Wiesz, że mnie razi.

Zaalarmował go ton rozkazujący a pełen udręki. W świetle nocnej lampki nie dostrzegł wyrazu twarzy, choć znał tę twarz i mógł ją przemierzać niczym muł, który nocą wspina się po stromej skale, a nie spada w przepaść. Agustina położyła się na łóżku ubrana, twarzą do ściany. Nacho wyszedł.

Idąc usiłował się uspokoić, mówił sobie, że ta scena w La Bielą zirytowała ją zapewne, że jego zachowanie wobec tego typu uważa chyba za skandaliczne, że okrył się śmiesznością i że ona, być może, wstydzi się.

Jednakże zapytał się raptem (i ta ulotna myśl była jakby przecuciem niebezpieczeństwa w ciemności), czy poczułaby się tak zawstydzona i zirytowana, gdyby chodziło o kogo innego.

Długo przechadzał się po słabo oświetlonych ulicach, w końcu wrócił. Nie tylko że się nie uspokoił; analiza niektórych szczegółów jeszcze bardziej go poruszyła, przede wszystkim jedno słowo, które ona powiedziała (które wykrzyczała) w owym czasie, kiedy razem czytali jego powieść.

Wszedłszy do mieszkania spostrzegł, że Agustina, ubrana tak jak przyszła, usnęła nie zgasiwszy nocnej lampki. Teraz jednak była zwrócona twarzą do lampy.

Usiadł na podłodze koło niej i począł ją obserwować. Spała niespokojnie, nagle szepnęła coś marszcząc czoło, bodaj że miała też trudności z oddychaniem. Ostrożnie, z żarliwością i lękiem przed nieznanym, Nacho przybliżył dłoń do jej twarzy i koniuszkami palców jął pieścić duże mięsiste wargi. Ona leciutko zadrżała, znowu coś szepnęła i obróciwszy się do ściany kontynuowała swoją samotną nocną podróż.

Chciał ją pocałować. Lecz kogo by całował? W takich chwilach dusza opuszczała jej ciało. Do jakiej odległej krainy?

O, Elektro — powiedział. — Me zapomni ciebie Apollo, król Chryzji, bogatej w trzody, ani czarny władca mrocznego Acherontu!

DOKTOR
LUDWIK SCHNEIDER Wydaje mi się, że ci opo-
wiedziałem > i^{ak} spotkałem

po raz pierwszy tego typu, wkrótce po opublikowaniu *Tunelu*, bodaj w 1948 r. Wiesz, o co mnie zapytał? Jedynie o ślepotę Allende.

Nie przypisywałbym żadnego znaczenia temu pytaniu, gdyby nie to, że, wyobraź sobie, po tak wielu latach niewidzenia go, mniej więcej w roku 1962, na nowo przeciął mi drogę. Przeciął... Wiesz, takie potoczne powiedzenie. Bo nie wierzę, że mi przeciął drogę w tym przypadkowym znaczeniu, jakie zwykle nadajemy temu zwrotowi. Ten osobnik *mnie szukał*. Rozumiesz? Mało tego, on śledzi mnie z oddalenia, nie wiadomo od jak dawna. Skąd wiem, że mnie śledził? Rzecz węchu, instykt nigdy mnie nie zawodzi. Śledził mnie, od kiedy przeczytał moją pierwszą powieść, prawdopodobnie. Nawet na pewno. Zastanów się trochę nad jego ówczesną wypowiedzią o Castelu i nad jego uwagą o ślepcach. „Dlaczego ta zimna skóra, co?”

Powiedział to oczywiście ze śmiechem. Później wszakże, po latach, ten śmiech nabrał złowrózby wymowy. Zapewniam cię, że śmiech tego typu był niczym taniec kulawego.

Dwanaście lat później znowu przeciął mi drogę, aby zrobić jakąś uwagę. Jaką uwagę? Coś o Fernandzie Vidal Olmosie. Rozumiesz? Ale wpiersz chcę ci wyjaśnić, jak go poznałem.

Złe moce, kiedy chcą sobie z nas zakpić, nieraz posługują się ludźmi, którzy nas najbardziej kochają. Pomyśl o tym chwilę, a zrozumiesz. Doktora Schneidera poznałem przez Mabel, siostrę Beby. Tytułuję go doktorem, bo tak mi go przedstawiono, aczkolwiek nigdy nie mogłem dociec, jaki to był doktorat i gdzie go uzyskał. W rzeczywistości nie poznałem go przez Mabel bezpośrednio, tylko przez jednego z uczestników tej przez nas tak zwanej Legii Cudzoziemskiej Mabel: zespół Węgrów, Czechów, Polaków, Niemców i Serbów (albo Chorwatów, no cóż, u nas nie sposób ich odróżnić, a tam zarzynają się wzajemnie z powodu dzielącej ich różnicy). Jednym słowem cała ta masa ludzi, którzy niczym spadochroniarze nalecieli na Buenos Aires podczas drugiej wojny albo zaraz po wojnie. Awanturnicy, hrabiowie 47

prawdziwi i rzekomi, aktorki i baronowe trudniące się szpiegostwem (z własnej nieprzymuszonej woli albo przymuszone), rumuńscy profesorowie, kolaboracjoniści albo nazi itd.' Byli wśród nich również wspaniali ludzie, porwani wirem wydarzeń. Lecz właśnie ta mieszanina uczciwych z awanturnikami czyniła sytuację tym bardziej niebezpieczną.

Jeden z tych facetów z Legii Cudzoziemskiej, który później, jak mówią, przepadł w dżungli Mato Grosso, uparł się (oto właściwe słowo), abym ja poznał dra Schneidera. Jak ci wspominałem, moja powieść tylko co się ukazała, zatem mogło to być w 1948. A po latach, po opublikowaniu *Bohaterów i grobów* przypomniałem sobie z niepokojem, że cudzoziemiec nie interesujący się literaturą argentyńską powiedział przyjacielowi Mabel, że „ogromnie mu zależy” na tym, aby osobiście poznać autora *Tunelu*.

Spotkaliśmy się w kawiarni Zur Post. Wyglądał mi na faceta ze Środkowego Wschodu; mógłby być Sefardyjczykiem, ale też Syryjczykiem lub Ormianinem. Bardzo tęgi i tak barczysty, że robił wrażenie nieomal garbusa, o szerokich plecach, potężnych ramionach i owłosionych wierzchach dłoni. Ściśle biorąc, z wyjątkiem ogolonej twarzy (choć broda zaczynała mu się sypać natychmiast po goleniu), ze wszystkich stron wyłaziły zeń czarne grube i kędzierzawe właki. Na przykład z uszu. Brwi miał ogromne i prawie zrosnięte, niby balon pełen ciemnych chwałstów wznosiły się nad dużymi ciemnymi oczami. Wargi były także właśnie, jakich należało się spodziewać po tym zestawie: jeśli by nie były tak grube i zmysłowe, można by pomyśleć o oszustwie. W uśmiechu pokazywał zielonawe zęby, pewnie od nieustannego palenia. Nos orli, ale bardzo szeroki. W końcu brakowało mu tylko skrzydlatego byka. Wschodni satrapa z historii Maleta. Albo członek ekipy Karadagiana: Armeński Baron, Pirat Syryjski albo Zamaskowany Żyd.

Pił piwo Chciwie i z przyjemnością proporcjonalną do swoich warg, do ogromnego nosa i lubieżnych aksamitnych oczu.

Otarłszy usta owłosionym grzbietem łapska i oczyściwszy je od resztki piany z wypitego jednym haustem pół litra, począł mnie wypytywać o *Tunel*. Dlaczego mężowi Marii kazałem być ślepym? Czy to ma jakieś specjalne znaczenie? Jego tajemnicze czarne oczy badały mnie spoza szczeciniastych brwi niczym dziokie bestie przyczajone wśród lian dżungli. A ta zimna skóra?

W owej chwili nie przypisywałem pytaniom znaczenia.

Jakże byłem daleki od rzeczywistości! Później, z owym śmiechem, co tak się miał do śmiechu wesołego jak chwila rozkoszy z prostytutką do miłości, zawołał:

— Rogacz i ślepy!

Musiałoby wiele lat minąć, abym powrócił do tego niesmacznego pseudożartu i wywnioskował, że tym sposobem chciał wymazać niepokój, jaki mogły we mnie wzbudzić jego pytania.

Zapomniałem ci powiedzieć, że tę ostatnią głośną uwagę zrobił w obecności kobiety, która właśnie nadeszła: Hedwig Rosenberg. Zaintrygowany obserwowałem z ciekawością jej twarz, piękną, lecz zniszczoną, jak gdybym oglądając figurę wyrytą na złotej monecie, która była długie lata w obiegu, odczuwał jednak, jaki mógł być jej pierwotny blask. A gdy Schneider śmiejąc się ordynarnie powiedział to o ślepym rogaczu, spostrzegłem, że ona się speszyła. Natychmiast po tym nieprzyjemnym incydencie, facet przeprosił mnie na chwilę, ponieważ miał omówić z Węgrem jakąś pilną sprawę. Obaj przeszli do innego stołu i zostawili mnie z kobietą sam na sam. Później przyszło mi na myśl, że ów manewr nie był przypadkowy.

Spytałem ją, czy od dawna jest w Argentynie.

— Przyjechałam w 1944. Uciekłam z Węgier powojennej armii rosyjskiej.

Zdziwiłem się, jakkolwiek przypuszczałem, że sporo bogatych Żydów, którym udało się ukryć przed nazistami, uciekło z obawy przed komunizmem. - — Pan się dziwi? — spytała.

— Po wejściu rosyjskiej armii?

— Tak jest.

— Sądziłem, że pani wcześniej umknęła — rzekłem, nie szczując z niej oka.

— Kiedy?

— Kiedy weszło wojsko Hitlera.

Utkwiła spojrzenie w szklance:

— My nie byliśmy nazi, ale zostawili nas w spokoju — rzekła po chwili.

Ponownie okazałem zdumienie.

— Panu się to wydaje dziwne? Nie tylko my. Może nas potrzebował,

— Potrzebował? Kto?

— Hitler. Zawsze szukał oparcia u pewnych rodzin. Pan wie.

— Oparcia u rodziny żydowskiej?

Zaczerwieniła się.

— Przepraszam, nie chciałem pani obrazić, dla mnie to nie jest powodem do wstydu — wyjaśniłem czym prędzej.

— Dla mnie także nie. Ale nie o to chodzi.

Po chwili wahania dorzuciła:

— Ja nie jestem Żydówką.

W tej chwili wrócił Schneider z Węgrem, który zaraz pożegnał się i odszedł.

Schneider słyszał ostatnie słowa kobiety i z tym swoim chamskim śmiechem oznajmił mi, że jest to hrabina Hedwig von Rosenberg.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Mimo speszenia mogłem zauważyć ciekawe zjawisko, które późniejsze spotkania potwierdziły: w obecności tego typu Hedwig stawała się innym człowiekiem. Czułem, że w jej umyśle następuje wtenczas zmiana, podobnie jak medium zmienia się pod wpływem hipnotyzera, jakkolwiek do takiej krańcowości nie dochodziło. Później, w innych okolicznościach umocniło się to wrażenie, nie tylko nieprzyjemne, ale po prostu wstrętne, może dlatego że było się świadkiem ujarzmania istoty nad wyraz delikatnej przez człowieka wulgarnego aż do szpiku kości. Jaka była tajemnica tego związku?

Wiele lat później, kiedy w 1962 ten człowiek znowu pojawił się na mojej drodze, miałem sposobność potwierdzić i zgłębić to zjawisko i doszedłem do wniosku, że tych dwoje mógł łączyć jedynie stosunek hipnotyzera do medium. Wystarczyło, żeby Schneider milcząc dał znak, a spełniała wszystko, czego zażądał. Ciekawe, że nie prezentował żadnego z owych cudownych atrybutów, jakimi ponoć dysponuje człowiek obdarzony duchową władzą: przenikliwe oczy, zmarszczone czoło, zaciśnięte usta. W jego grubych rozchylonych wargach czaiło się ironiczne grubiarstwo. O miłości nie było mowy. Niezależnie od stosunków, jakie ich łączyły, było jasne, że Schneider nikogo nie kocha. Słowo „narzędzie” określa chyba najlepiej Hedwig. Ale narzędzie służy do czegoś, a ja pytałem się (poczawszy od tego spotkania w 1962), do czego Schneider używał hrabiny. Zrazu nie mogłem sobie tego wyobrazić. Aby wydostać pieniądze od pewnych ludzi? Byłem raczej skłonny myśleć o związku pomiędzy szefem siatki szpiegowskiej a jednym z agentów. Ale jakie szpiegostwo? Na rzecz jakiego kraju? W tym wypadku było nie do przyjęcia, aby szef pozwalał tracić tyle czasu z takim człowiekiem jak ja, który z punktu widzenia wojny nie mógł go absolutnie interesować. A przecież było jasne, że nie tylko aprobował, ale podsycił jej stosunki ze mną. W pierwszym okresie myślałem wiele o tej kwestii i wydawało mi się, że istnieją tylko dwie możliwości: albo nie ma na celu szpiegostwa, tylko jakiś przewrotny nałóg, albo to jest szpiegostwo, tyle że nie wojenne, lecz dotyczące czegoś innego, a w tym wypadku byłoby prawdopodobne, że ja zostałem uwikłany w delikatną, ale bardzo mocną sieć.

Drugie spotkanie ze Schneiderem miało miejsce w 1962, kil-

ka miesięcy po ukazaniu się w księgarniach *O bohaterach i grobach*. Stało się to za sprawą Hedwig. Byłem ogromnie zaskoczony, bo nie widziałem jej ponownie i przypuszczałem, że jak wielu innych emigrantów powróciła do Europy. Tak, w rzeczy samej, powiedziała, była kilka lat w Nowym Jorku, gdzie ma kuzynów. Spotkanie odbyło się w kawiarni, w której nigdy nie bywam, tak że na pierwszy rzut oka wyglądało na dzieło przypadku. Później wszakże przemyślałem: byłby to zbyt wielki przypadek; jasne, że mnie śledzili. Po chwili nadszedł Schneider, jak rzekłem, mówił o mojej powieści. Nie od razu zaczął mówić o *Raporcie o Ślepcach*, najpierw robił uwagi o różnych innych sprawach: na przykład o sprawie Lavallo'a. Następnie, jakby to było coś ciekawego, począł mnie wypytywać o Vidal Ohnosa.

— Pan chyba ma obsesję na punkcie ślepców — powiedział śmiejąc się ordynarnie. ■

— Vidal Ohnos jest paranoikiem — odparłem. — Nie jest pan przecież taki naiwny, żeby przypisywać mnie wszystko, co ten człowiek myśli i czyni.

Znowu się roześmiał. Hedwig miała twarz lunatyczki.

— Ejże, przyjacielu Sabato — osadził mnie z miejsca. — Pan również czytał zapewne Chestowa, czy nie?

— Chestowa?

Byłem zdumiony, że zna autora tak mało poczytnego,

— Tak, oczywiście — odrzekłem.

i Wypił spory haust piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

Kiedy ponownie wzniosł ku mnie oczy, wydało mi się, że mają pewien blask, którego nigdy dotąd nie zauważyłem. Trwało to jednak może dziesiątą część sekundy, bo natychmiast stały się znowu naśmieszliwe, wulgarne.

— Oczywiście, oczywiście — dorzucił enigmatycznie.

Poczułem się źle, wykręciłem się jakimś zobowiązaniem i spytawszy, która godzina, podniosłem się obiecując, że znowu się z nimi spotkam (czego nie zamierzałem dotrzymać). Żegnając się z Hedwig doznałem wrażenia, że w wyrazie jej twarzy był jakby cień jakiejś prośby. O co mogła mnie prosić? Może się omyliłem, ale ten ulotny wyraz prośby był przyczyną, że ponownie się z nią spotkałem. Poprosiłem ją o numer telefonu.

— Tak, właśnie — *zauważył* Schneider tonem, który wydał mi się sarkastyczny — podaj mu twój telefon.

Bezpośrednio potem wstąpiłem do księgarni, aby poszukać w Gotha: jeżeli mnie okłamali co do osoby Hedwig, tym bardziej będę się musiał strzec. W drugiej części figurowała ta rodzina: katolicy, potomkowie Conrada ab dem Rosenberg, 1322. Następowała lista baronów, hrabiów, panów Dolnej Austrii, ksią-

żąt Świętego Cesarstwa itd. Pośród ostatnich potomków hrabina Hedwig-Marie-Henriette-Gabrielle von Rosenberg, urodzona w Budapeszcie w 1922.

Referencje uspokoiły mnie, ale tylko na chwilę. Niemal natychmiast pomyślałem, że Schneider nie mógł być na tyle głupi, aby szukać mnie czymś tak łatwo sprawdzalnym. Tak, ona jest naprawdę hrabiną Hedwig von Rosenberg. Ale czego to dowodzi? W każdym razie przy następnym spotkaniu z miejsca uczyniłem jej wymówkę, że od razu nie powiedziała mi, kim jest.

— Po co? Jakie to ma znaczenie? — odparła.

Nie mogłem jej oczywiście wyznać, jak ważne było dla mnie mieć absolutną pewność co do osób nawiązujących ze mną kontakt.

— Jeśli chodzi o Żydów — zauważyła z uśmiechem — to na zwisko Rosenberg często się u Żydów spotyka. Zresztą*—jeden z moich krewnych, hrabia Erwin, ożenił się w początkach tego wieku z Amerykanką Cathleen Wolff rozwiedziona- z panem Spotswood. Oboje byli Żydami.

Kilka miesięcy żyłem pod obsesją alternatywy, którą sobie sformułowałem. Straszna była świadomość, że taki człowiek jak Schneider pilnuje mnie, i w jakiś sposób możliwość nałogu wydała mi się lepsza. Narkotyki? Mógł być szefem organizacji tego rodzaju, a hrabina narzędziem. Ulga jednakże była względna, bo jeśli tak było, to dlaczego właśnie mnie szukali? Schneider niepokoił mnie z powodu tego, co mógł uczynić ze mną podczas snu albo w snach umyślnie sprowokowanych. Wierzę w rozdwojenie ciała i duszy, inaczej bowiem nie sposób wytłumaczyć ostrzeżenia (napisałem o tym esej, ty go znasz). Także w nieświadome wspomnienia. Przed kilkoma laty, kiedy byłem w Berlinie i zbliżył się siwobrody starzec w burnusie, miałem niejasne, ale nieomyślne wrażenie, że tę scenę już kiedyś przeżyłem, a przecież nie byłem tam nigdy przedtem. W dzieciństwie czułem nieraz, że mówię i poruszam się, jakbym był kimś innym. Istnieją ludzie, którzy są władni wywoływać rozdwojenie, zwłaszcza u takich jak ja, z natury podatnych. Ujrzawszy Schneidera byłem pewien, że on posiada tę władzę. Co prawda, nieuprzedzonemu wydawał się jarmarcznym szarlatanem. Natomiast dla mnie stanowiło to jeszcze jedno ostrzeżenie.

Co kazało mi przypuszczać, że posiada taką władzę? Albo że był człowiekiem jakiejś niebezpiecznej sekty? Kilka słów, na pozór niewinnych, i przede wszystkim to, co przemilczał. Także spojrzenia, ulotne gesty. Kiedyś zapytałem go nagle, czy zna Haushofera. Spojrzał na mnie zdziwiony, spojrzał na Hedwig.

— Haushofera?

Zdawał się szukać w pamięci. Po chwili spytał ją:

— Czy nie był to ten profesor filozofii w Zurychu?

Hedwig również zrobiła zdziwioną minę. Czy dlatego, że go nie znali, czy też dlatego, że złapałem ich nieoczekiwanie na czymś zasadniczym?

Schneider zapytał mnie, czy chodzi mi o profesora filozofii.

— Nie — odparłem. — To kto inny. Wydaje mi się, że pan albo Hedwig wspomnieliście kiedyś o nim.

Spojrzeni po sobie niczym dwaj szulerzy.

— Nie sędzę — odezwał się Schneider po chwili. — Zdaje mi się nawet, że ten profesor z Zurychu nie nazywał się Haushofer.

Powiedziałem mu, że to nie ma znaczenia. Interesował mnie tylko pewien temat. Chodziło mi o generała o tym nazwisku.

Obrócił się, aby zawołać kelnera i zamówić jeszcze jedno piwo, tymczasem jego przyjaciółka szukała czegoś w torebce. Żaden z tych dwóch gestów nie wydawał mi się naturalny.

Dr Arrambide należy do tych ludzi, którzy ze Schneidera stroją sobie żarty. Trzeba by go kiedyś zabrać na któryś z seansów spirytystycznych urządzanych przez Meme Varełę. Wiem, że śmiał się ze mnie za moimi plecami. Ów Descartes dla ubogich nie zrozumie nigdy, że po to, aby zdemaskować tych agentów, trzeba być wierzącym jak ja, a nie sceptykiem jak on (powiedziałem Descartes, ale powinienem był powiedzieć Anatol France dla ubogich; jestem pewien, że jest to jego ulubiony pisarz). Nie po to, aby zdemaskować go, jak on to zwykle czyni, ale zdemaskować w znaczeniu odwrotnym, w tym jedynym i straszliwym znaczeniu: udowodnić, że nie jest to jarmarczny mistyfikator, ale że istotnie jest związany z ciemnym mocarstwem.

Nazwisko mogło być fałszywe, niewątpliwie. Zresztą gdyby nawet było autentyczne, nie musiał koniecznie być Żydem, nawet jeśli na takiego wyglądał. Istnieją tysiące Szwajcarów i Alzacyków o tym nazwisku. Lecz w wypadku, gdyby nim był, mogłoby się wydawać dziwne, że Żyd pozostaje w tak ścisłych stosunkach z hrabiną, córką generała hitlerowskiej armii. Nie widzę w tym nic zdumiewającego. Istnieją Żydzi bardziej antysemitcy niż czystej krwi Niemcy i jest to w jakiś sposób wytłumaczalne psychologicznie. Czyż nie mówi się, że Torquemada był Żydem? Sam Hitler miał dziadka albo babkę semicką. U Schneidera wszystko jest niejasne, począwszy od tego, że nigdy nie mogłem się dowiedzieć, gdzie mieszka. Ilekroć za nim szedłem, zawsze w końcu gubiłem ślad. W pewnym okresie myślałem, że mieszka w Belgrano. Kiedy indziej doszedłem do wniosku, że chyba w Olivbs, gdyż wsiadał do autobusu 60.

Zacząłem studiować, co tylko mogłem znaleźć o łóżach i ta-

jemnych sektach za rządów nazi, od kiedy zakiełkowało we mnie podejrzenie, zwłaszcza od chwili, kiedy zauważyłem reakcję na ■ nazwisko Haushofer. Gesty obojga, wymiana spojrzeń, wszystko kazało mi przypuszczać, że oni niechybnie wiedzą, o kim mowa. Tu chyba Schneider popełnił błąd. Bo najmądrzej byłoby złapać byka za rogi, odpowiedzieć, że oczywiście zna generała Haushofera z nazwiska, ale że nie miał sposobności poznać go osobiście. Bo czy może pomieścić się w głowie, że tego rodzaju facet nie wie nic o tak ważnej osobistości? Właśnie to potknięcie najbardziej mnie zaalarmowało i naprowadziło na właściwy trop.

Haushofer bywał okresami w Azji, na pewno utrzymywał kontakt z tajnymi stowarzyszeniami. Podczas wojny 1914 zwrócił po raz pierwszy na siebie uwagę dzięki kilku przepowiedniom, które się spełniły. Później zajął się geopolityką i studiował Schopenhauera i Ignacego Loyolę. Wiadomo, że w owym czasie założył w Niemczech lożę, gdzie wprowadzono stary symbol swastyki. W jednej z książek o wiedzy tajemnej znalazłem ciekawą wiadomość o tym człowieku związaną z pewną legendą: W miejscu, gdzie obecnie jest pustynia Gobi, kwitła przed tysiącami lat bardzo wysoka cywilizacja, którą później zniszczyły wybuchy atomowe zmieniając urodzajny region planety w pustynię. Mistrzami tego dzieła zniszczenia byli członkowie Sekty Lewej Ręki, pewnego rodzaju mrocznej inteligencji, która w końcu zainstalowała się w wielkich jaskiniach Himalajów, zapewne w okresie poprzedzającym wybuchy. Że się przezornie ukryli, jest logiczne. Ale tylko przy bardzo powierzchownej analizie. Jeżeli bowiem byH naprawdę genialni, nie musieli sięgać do tak prymitywnych środków, mogli byli wyemigrować, zanim doprowadzili do wybuchów, mogli znaleźć jakiś inny sposób obrony, etc. Jeżeli mamy wierzyć tej legendzie (a legendy i mity zawierają zawsze jakąś prawdę i jakiś sens), to dlatego, że tamci dostojnicy przynależeli do państwa ciemności i najprawdopodobniej byli ślepi. Nie chcę twierdzić, Brano, że wszyscy członkowie Sekty byH ślepi. Mam na myśli jej dostojników.

Tak czy inaczej, jest ciekawe i godne uwagi, że wielu spośród tych, którzy podczas rządów nazi skupiali się w okultystycznych lożach, począwszy od samego Hitlera, utrzymywali kontakt z członkami Sekty Lewej Ręki, do której należał generał Haushofer. Hitler, jeszcze w czasach, kiedy był zwyczajnym kapralem, miał z nim styczność przez byłego adiutanta Haushofera nazwiskiem Rudolf Hess. Należy pamiętać, że Hess jest jedną z najbardziej hermetycznych osobistości hitleryzmu; kilkadziesiąt lat więziony zachowuje w absolutnej tajemnicy swoje myśli, swoje intencje i dzieje. Spośród wszystkich jiazistowskich do- 54

stojników ten człowiek jest jedynym, który mi imponuje; podczas' gdy Goering, podobnie jak ów Schneider, jest z gatunku pajaców, Hess należy do tragicznych stoików.

• Haushofer to jeszcze jeden zagadkowy punkt tego diabelskiego procesu, a zdobyłem o nim zaledwie kilka fragmentarycznych danych. Jedna to wiersz znaleziony w kieszeni marynarki jego syna, Albrechta, kiedy został stracony za udział w spisku generałów przeciwko Hitlerowi. Napisał go zapewne na chwilę przed egzekucją, o czym świadczy nierówne, rozchwiane pismo.

Los przemówił przez mojego ojca.

Było bowiem w jego mocy

Znowu zamknąć Diabła w lochu.

Mój ojciec przełamał Pieczęć

Nie poczuł tchnienia Belzebuba

I puścił go swobodnie w świat.

Dowiedziawszy się o śmierci syna generał zabił swoją żonę, po czym sam popełnił harakiri. Tyle fakty. Możliwe interpretacje są rozmaite i sprzeczne. Zbadałem je i sądzę, że mogę je streścić w następujący sposób:

1. „Było bowiem w jego mocy znowu zamknąć Diabła w lochu”. Ten wiersz jest niejasny. Jeżeli Haushofer był zwyczajnym agentem Złych Mocy, to nie mógł zamykać czy uwalniać Diabła: musiał mu być posłuszny. Wszelako wiersz ujawnia, że go raz lub kilka razy puścił wolno, co dowodzi, że Haushofer posiadał ogromną władzę. Ale kogo uwolnił? Sądzę, że syn nie miał na myśli prawdziwego Diabła, lecz Hitlera, który był jednym z jego agentów.

2. Jeżeli chodziło o prawdziwego Diabła i Haushofer posia dał dostateczną władzę, aby zamykać go i puszczać wolno, to jest oczywiste, że nie należał do Sekty Lewej Ręki, lecz do Sekty Prawej Ręki, na Drodze Dobrego. Ta hipoteza upada, gdy po myślimy, że Haushofer miał takiego agenta jak Hitler.

3. Jeżeli istotnie egzekucja syna stanowiła dla niego pod koniec życia taką wielką tragedię, znaczyłoby to, że nie był zwykłym agentem Zk, lecz omylnym, wahającym się człowiekiem z krwi i kości.

4. Inna możliwość jak gdyby odzęgkuje się od wiersza („Nie poczuł tchnienia Belzebuba i puścił go swobodnie w świat”) i jest następująca: Haushofer przynależny był rzeczywiście do Drogi Dobrego, pochodził od Ariów, którym udało się ocalić od wybuchu atomu, dokonanego przez sekciarzy z jaskiń. Na czas ostrzeżenia przez jakieś pozytywne moce, umknęli w regiony Europy północnej, na długo przed wybuchem, bądź też byli zaopatrzeni w okrycia z azbestu i w butle z tlenem. Ludzie Lewej

Ręki wszakże mszczą się na nich w sposób przewrotny, zbliżając ich do Hitlera i pozwalając im widzieć rasę i tradycję z wcale przyjemnej perspektywy. Późniejsze czyny Hitlera wykazują, jak straszliwie się omylili, i wówczas sekciarze, a wśród nich syn Haushofera, zamierzają uśmiercić tego agenta Diabła, którego „ojciec puścił swobodnie w świat”.

Wolno jednak zapytać, dlaczego wtajemniczony i jasnowidzący Haushofer tak dziecinnie pozwolił się oszukać w chwili, kiedy Hess przyprowadził mu tego nieznanego kaprała. I jak to się stało, że nie widział przed sobą drogi, którą przemierzy w swojej krwawej przyszłości.

Jestem przeto skłonny wierzyć, że Haushofer był rzeczywiście narzędziem Diabła, a Hitler jego straszliwym medium. Okul-tyzm nas uczy, że zawarłszy pakt ze Złymi Mocami, członkowie danej grupy mogą działać za pośrednictwem Maga, który z kolei ' czyni to poprzez medium. Czy Hitler był medium owej ponurej sekty?

Jeśli generał Haushofer nie był Czarnym Magiem, pó cóż miałby się posługiwać tego rodzaju osobą jako medium? Nie sposób uwierzyć, że nie widział bądź nie przewidział jego diabelskiego charakteru. Lub, gdy go przejrzał, dlaczego nie mógł go kontrolować?

Po upadku władzy hitlerowskiej członkowie owego tajnego stowarzyszenia rozproszyli się po świecie. Nie tylko sekta Haushofera, również inne, np. ta, której przywódcą był pułkownik Sieves. Organizacje związane były z sobą przez jakąś tajną superhierarchię, choć nie jest wykluczone, że prowadziły między sobą walki. Czy-złe moce koniecznie muszą być monistyczne? Rozproszeni po wojnie, wielu z nich dotarło w łodziach podwodnych do wybrzeży Patagonii, jak np. Eichmann i Mengele; nie znamy jednak losów bardziej tajemniczych osobistości. Być może, że jedną z nich jest Schneider, w tym wypadku hrabina mogłaby być jego medium. Jakkolwiek jego ojciec również został stracony przez nazistów, nie zapominajmy, że przecież i syna Haushofera naziści zamordowali. O tym właśnie mówię: nie należy szukać logiki u mocy diabelskich, bowiem logika jest właściwa świetlanej wiedzy, w szczególności jej największemu wykładnikowi : matematyce. Diabelska władza jest, według mnie, pluralistyczna i niejednoznaczna. To, Bruno, jest najbardziej przerażające.

NA TYM AFISZU

Marcelo widział jedynie nazwisko swojego ojca, wydrukowane wszakże literami nie tak rzucającymi się w oczy jak nazwiska Kriegera Vaseny i innych adwokatów trustu. Ale on widział tylko: DR JUANBAUTISTA CARRANZAPAZ.

Szedł do domu, a nie było to łatwe: stapał w bagnie obarczony ciężarem ołowiu i gnoju, fotografiami z pierwszej komunii i strzępami argentyńskiego sztandaru. Rozmyślał, ale tak jakby szukał czegoś po ciemku, wśród odpadków i kubłów ze śmieciem. Zdołał jednak ukształtować myśl: może ten uciążliwy trud to nic innego jak trud życia. (Później zapytał: „nic innego?”)

Koło placu Grand Bourg spoczął. Położył się na trawniku, spojrzął na dom generała San Martin i znowu ujrzał tę szkolną rycinę: siedzący, stary, zadumany, gdzieś we Francji; nad jego głową unosi się obłok, a w nim krzyż Andów, bitwy.

Za automobilklubem i ponad nim panowała aura zanikania, coś miało lada chwila umrzeć. Dzień chylił się ku końcowi, a było to niby czekanie na koniec świata, spokojny, nie katastroficzny. Totalny jednakże i planetarny. Milczący zespół skazanych na śmierć, znękanych ludzi z kliniki słynnego onkologa, wzajemnie podejrzliwych, bez przesadnych nadziei, lecz jeszcze żyjących, choćby tylko podmuchem istnienia.

Potem znowu ruszył w żmudną drogę. W domu pojechał służbową windą i od tyłu wszedł do swojego pokoju. Siedząc na brzegu łóżka słuchał gwaru towarzyskich rozmów. Ile lat kończy jego matka? Nagle, nie wiedząc dlaczego, pomyślał o niej z tkliwością, o jej krzyżówkach, o tej głowinie wypełnionej rzekami Małej Azji, głowonogami na pięć liter, miłością do dzieci, niechby nawet lekkomyślną i roztargnioną: Bebę pieści jako Sylwinę, a Sylwinę jako Mabel. Albo to gmatwanie imion, nazwisk i zawodów.

Dlaczego myśli o matce, nie o ojcu?

W pokoju było już prawie ciemno. Na ścianie zaledwie można było odróżnić fotografię Miguela Hernandeza na czele, maskę Rilkego, portret Machado, Guevarę, półnagięgo, z głową opadłą do tyłu i otwartymi oczami zapatrzonymi w ludzkość, Piętego Michała Anioła z ciałem Chrystusa na łonie Matki — Jego głowa także opadła do tyłu.

Wrócił spojrzeniem do maski Rilkego. To wstecznik, mawiał o nim z pogardą Araujo. Czy istotnie? Zawsze miał umysł powikłany, tak przynajmniej osądzał go Araujo. Czy można jednocześnie podziwiać Miguela Hernandeza i Rilkego?

Spojrzał z roztargnieniem na swą bibliotekę z kt chłopięcych: Juliusz Verne, *Podróż do środka ziemi*, *Dzieci kapitana* 57

Grania, Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Poczul ostry ból w piersi i musiał się położyć.

KOKTAJL Dr. Carranza spoglądał na drzwi, z mieszaniną niepokoju i smutku oczekiwał Marcela. Tymczasem Beba uparcie dyskutowała o diamencie Hope.

Dwa miliony.

A jak się nazywała ta kobieta?

Mc Lean, Evelyn Mc Lean. Czyście ogłuchli?

No i znaleźli ją w wannie, w stanie rozkładu.

Tak jest. Sąsiedzi. Zaniepokoiłi się, że nie wyjeżdża samochodem.

Typowo amerykańskie, umierać w wannie.

Ani śladu gwałtu, żadnych środków usypiających ani alkoholu.

Uregulowane spokojne życie, tyle że posiadała ten brylant. No i że po przybyciu do USA dała go poświęcić.

— Co poświęcić, Beba? — spytał dr Arrambide, sceptyczny a priori, biorąc jednocześnie sandwich z szynką i sałatą.

— Przecież mówię, ten brylant.

— Poświęcić brylant? Chyba powariowali?

— Jak to powariowali? Czy nie wiesz, że słynął z tego, że przynosił pecha.

— Dlaczego więc kupiła go ta idiotka?

— Któż to wie. Ot, teksaskie szaleństwo.

— Jak to? Przecież twierdzili, że pochodzi z najlepszych sfer Waszyngtonu.

— No to co*¹ Można być z Waszyngtonu i mieć rancho w Teksasie, no nie?

— W porządku, dała poświęcić brylant. Ale też ci księża!

— Ach — przypomniała sobie — kupiła go, bo według niej, tej Mc Lean, rzeczy dla innych pechowe jej przynosiły szczęście. Sąsiedzi z 13 pietrają znaleźli. Czy przypadkiem?

— Ależ, w takim razie — zaoponował nieublagany dr Arrambide nie przestając objadać się sandwichami — po co go było poświęcać?

Cóż za nieprzyjemny typ.

Mówiło się o poświęceniu, o klątwach i egzorcyzmach.

— W porządku — upierał się dr Arrambide, jak zwykle z wyrazem zaskoczenia, jak gdyby stale był świadkiem zduńmiewających zjawisk — ale co się jej stało, tej historyczce z USA?

— Jak to, nie wystarczy, że umarła w ten sposób?

— Och, wszyscy umieramy, nie potrzebujemy do tego pechowych brylantów.

— Ależ, idioto, ona umarła tajemniczo.

— Tajemniczo? — spytał dr Arrambide, sięgając po kolejny sandwich.

— Przecież powiedziałam ci właśnie, że znaleźli ją gołą w wannie. Bez śladów otrucia.

— Zatem według ciebie ludzie umierają ubrani i otruci.

— Och, przestań już wreszcie stroić głupie żarty, bo to była głośna i okropnie dziwna sprawa. Czy to wszystko nie było okropnie dziwne?

— Wszystko? Jakie wszystko?

— Nie było trucizny, nie było śladów alkoholu ani narkotyków, ani oznak zgwałcenia. Czy nie wystarcza? Ponadto najstarszy syn zginął w wypadku samochodowym, po zakupieniu brylantu.

— Jak długo po zakupieniu?

— Jak długo? Po ośmiu latach.

Caramba, pech, jak widać, działał ze znacznym opóźnieniem. Dlaczego przypisywać ten wypadek brylantowi? Tutaj, w Buenos Aires, w wypadkach samochodowych giną corocznie tysiące ludzi, mimo że nie posiadają brylantu Hope. Nie mówiąc już o biedakach, którzy nawet nie mają samochodu. Ci umierają skromnie, pod kołami cudzych samochodów. Beba zionęła wściekłością. To jeszcze nie wszystko! Co jeszcze było?

Jej męża zamknięto w sanatorium dla umysłowo chorych.

— Słuchaj, Beba. Jeżeli moja żona wybuli 2 miliony dolarów za brylant, w dodatku pechowy, to i mnie zabiorą do domu wariatów. Zresztą, gdy zwiedzisz kiedyś Vieytes *, zobaczysz tam siedem tysięcy osób, które nigdy nie posiadały brylantu Hope. Mówiąc nawiasem: ciekawe imię dla klejnotu wywołującego same zdarzenia i ataki schizofrenii.

— Opowiem ci dalej." Druga córka zmarła po zażyciu środków nasennych.

— Ależ ten rodzaj śmierci jest w Stanach Zjednoczonych prawie że śmiercią naturalną. Tak rozpowszechniony jak baseball.

Beba sypała iskry niczym butelka lejdejaska naładowana do granic wytrzymałości. Wyliczała nieszczęścia spowodowane przedtem przez ten kamień: księżę Kanitovitsky został zamordowany, sułtan Abdul Hamid stracił tron i faworytę...

— Który Abdul? — spytał, jak gdyby pełne imię miało tu jakieś znaczenie. Był to jeden z jego stałych dowcipów.

* Vieytes — dom dla obłąkanych w Buenos Aires (przytłum.).

— Hamid. Abdul Hamid.
— Co stracił?
— Tron i faworytę.
— Och, skumulowanie nieszczęść niczego nie dowodzi. Wy starczy, że stracił tron, dziewczyna dlatego go porzuciła.
Następowała lista: Zubayaba zginęła zamordowana, Simón Montharides wraz z żoną i synem zginęli, bo spłoszyły im się konie...
— Gdzie to przeczytałaś? Skąd masz pewność, że to jest prawda?
— To byli ludzie bardzo znani. A ponadto jeszcze sprawa Taverniera.
— Tavernier? Kto to był ten pan?
— Wszyscy o tym wiedzą. W r. 1612 ten człowiek wyjął brylant z oka indiańskiego bożka. Wszyscy o tym wiedzą. No, nie?
— Ja jestem jednym z wszystkich i nie mam najmniejszego pojęcia. Oto widzicie, jak się fabrykuje takie historie. A o tym Tavernierze nigdy nie słyszałem. Skąd pewność, że ten pan istniał?
— To był francuski awanturnik, znały go nawet pokojówki. Bo ty czytujesz wyłącznie książki o gastroenterologii. A wiecie, jaki koniec miał Tavernier? Straszny.
— No?
— Na rosyjskim stepie został rozszarpany przez sforę wygłodniałych psów.
Dr Arrambide stał osłupiały, z kawałkiem sandwicza w rękę i rozchylonymi ustami, jak na zdjęciu w tygodniku ilustrowanym. Nie, tego już za wiele: wygłodniałe psy, rosyjskie stepy, trojki, bożki indiańskie.

**MARCELO,
RZEKŁA SYLWINA
Z PROŚBĄ W OCZACH**

Tak, tak, oczywiście. Niezgrabnie wszedł do salonu. Jakby stale coś niósł przed sobą: tego rodzaju niezręczność.

Pocałował matkę, po czym stanął w kącie nie wiedząc, co czynić w tym zgiełku, i spojrzenie utkwiał w podłogę. Pomału, starając się nie zwracać uwagi, wyszedł.

Dr Carranza miał ochotę pójść za nim. Jednakże mógł go tylko śledzić w milczeniu, z bolącym gardłem, poprzez hałaśliwych ludzi. Wspominał czasy, kiedy wstawał przed świtem, aby przerabiać z nim materiał do egzaminu wstępnego na uniwersytet.

Po chwili i on odszedł i zamknął się w sypialni.

60

PRZEZ CAŁĄ NOC MARCELO CHODZIŁ

ulicami, wpadał do kawiarni lub siadał na ławce na jakimś cichym placu. Był już ranek, kiedy wrócił do domu i położył się spać. Gdy się obudził po południu, pomyślał o Amanciu. W drodze do niego rozważał, że stryjeczny dziadek może zanadto by się zdziwił, może począłby go wypytawać, a on nie mógłby go zasmucić, powiedzieć mu prawdy. Zastanawiał się, czyby nie podać innych powodów: chce spokojniej żyć, trochę więcej myśleć o sobie, o ludziach, on to zrozumie.

Wszedł po starych schodach, jak zawsze zastanawiając się, jak też ten staruszek może istnieć niemal zamurowany w tylnym skrzydle jednego z owych dwupiętrowych domów z końca XIX w., obecnie podzielonych na obskurne mieszkania. Zastał go owiniętego chustkami i swetrami, miał nawet na sobie płaszcz ze zrudziałym welwetowym kołnierzem. Wskazując na dół, powiedział:

— Ten wiatr, Marcelito, niesie przymrozek. Sady wymarzną tej nocy.

Marcelo popatrzył przez okno, jak gdyby na dole, na ulicy był sad. Grzeczność przemogła w nim logikę.

— Co *pampero*, to *pampero* * — zauważył enigmatycznie don Edelmiro Lagos.

W czarnym ubraniu, ze sztywnym wysokim kołnierzykiem i krochmalonymi mankietami wyglądał, jakby miał właśnie pójść podpisać jakiś dokument w swoim biurze notarialnym (w roku 1915). Z lewą ręką na srebrnej gałce laski i półprzymkniętymi oczami podobny był do drzemiącego indiańskiego totemu. Ziemista twarz była wielką geograficzną powierzchnią z kępkami włosów i ciemnymi znamionami pośród krzywizn geologicznych. Swoje słynne milczenie przerywał co pewien czas jednym z owych aforyzmów, które, zdaniem don Amancia, czyniły go „mądrym człowiekiem i dobrym doradcą”.

— Należy we wszystkim zachowywać umiar.

— Czas wszystko uleczy.

— Nie traćmy zaufania do Narodu.

Sentencje nie rodziły się nieoczekiwanie, wyprzedzały je niezauważalne niemal oznaki, widoczne jednak dla tego, kto śledził go z bliska. Ów ciemny totem zaczynał nagle okazywać jakieś życie, co ujawniało się w lekkim drzeniu olbrzymich rąk i dużego nosa. Wygłosiwszy aforyzm powracał do ceremonialnego milczenia.

* *pampero* — zimny wiatr z pampy (przyp. tłum.).

Don Amancio chciał wstać, lecz Marcelo go powstrzymał. Chodziło o przybory do matę.

— Podagra daje mi się we znaki — wyjaśnił na powrót sia dając. — Tak jest, Edelmiro, ten klimat nigdy mi nie służył — skonkludował dozując oszczędnie matę.

Po kilku minutach ciszy wyraził zdziwienie z powodu ceny jakiegoś terenu w Punta del Indio. Kupił go niejaki Fiszer, jak mu się zdaje, Turek Gosen mu to powiedział.

Don Edelmiro odemknął oczy, może zaciekawiony.

— Ów Turek *, co miał sklep spożywczy w Magdalena. Ale to same trzęsawiska. Mieli tam posadzić jakieś drzewa, jakieś importowane drzewa. Dobry interes, jak mówiono.

Dobry interes, coś takiego.

Spoglądając na ulicę, pokiwał głową.

I tak spędzili dziesięć czy piętnaście minut w milczeniu. Słychać było tylko odgłosy pociągania matę i brzęk srebra. Wreszcie don Amancio zapytał:

— A pomnisz ty, Edelmiro, tego młodego człowieka, Jacinta Insaurralde?

Don Edelmiro znowu rozchylił powieki.

— Tak jest — nalegał don Amancio — tego elegancika. Don Edelmiro przymknął oczy poszukując zapewne w pamięci.

— Umiera na raka. Co gorsza na raka wątroby.

Don Edelmiro odemknął oczy i pozostał tak na moment, może przypomniał sobie Jacinta, a może był zaskoczony. Jakkolwiek nie sposób wywnioskować czegoś z pustynnego pejzażu jego twarzy.

— Rak to plaga cywilizacji — orzekł po chwili.

Wyjął z kieszeni kamizelki zegarek Longines o trzech koperkach, który nosił na złotym łańcuszku, popatrzył badawczo, jakoby to był dokument z jego kancelarii notarialnej, znowu zamknął zegarek, włożył go ostrożnie do kieszonki kamizelki, wstał z krzesła i odszedł.

— Dziadku Amancio — odezwał się nagle Marcelo, jakby go ktoś popchnął.

— Tak jest, synu.

Poczuł, że fala krwi napływa mu do twarzy, i zrozumiał, że nigdy nie zdoła powiedzieć dziadkowi o tym pustym tylnym pokoiku.

Don Amancio oczekiwał jego słów ze zdziwieniem i troską,

_____;

* starzy Argentyńczycy nazywali imigrantów arabskich Turkami (przyp. tłum.). 0_

jak gdyby na słońcu z suszy okolicę poczęły spadać krople deszczu,

— Nie... to znaczy... jeżeli będzie mróz, jak dziadek mówił...

Stary patrzył nań¹ zaintrygowany i niemal machinalnie potarzał — „tak jest, ten wiatr z pampy”, myśląc równocześnie „co się dzieje z małym Marcelito?”.

Tymczasem Marcelo rozmyślał: „Dziadek Amancio w tym zniszczonym płaszczu znosi swe ubóstwo z godnością i dyskrecją ubogiego hidalgą”.

Don Amancio z delikatności zmienił temat i wskazując palcem dziennik „La Prensa” spytał go, czy przeczytał artykuł wstępny o bombie atomowej. Nie, nie przeczytał. „I jest taki naiwny”, pomyślał z czułością. Stary smutno pokiwał głową.

— To zależy... chcę powiedzieć, dziadku Amancio...

Staruszek spoglądał z ciekawością.

— Może mogłaby kiedyś się przydać do czegoś dobrego...

— Do czegoś dobrego?

— No, nie wiem... na przykład na pustyni...

— Na pustyni?

— To znaczy... aby zmienić klimat...

— I to by było dobrze, Marcelito?

Chłopiec czuł się coraz bardziej zawstydzony, nie cierpiał pouczać, sprawiać wrażenie, że wie więcej niż inni. Uważał to za niegrzeczność zwłaszcza względem kogoś tak bezbronnego, jak don Amancio. Ale nie mógł się cofnąć.

— Myślę... może... kraje, co cierpią głód... czytałem o tym... w okolicach, gdzie prawie nigdy nie pada... na granicy Etiopii... wydaje mi się...

Don Amancio zwrócił spojrzenie na dziennik, jak gdyby w nim mógł znaleźć wytłumaczenie rozległego problemu.

— Tak jest, oczywiście, jestem starym ignorantem — powiedział.

— O nie, dziadku! — sprostował żarliwie Marcelo. — Chciałem powiedzieć, że...

Don Amancio spojrział na niego, lecz Marcelo nie wiedział już, jak dokończyć.

Po chwili wszystko się uspokoiło i stary znowu jął patrzeć przez okno na ulicę.

— Tak jest, Fiszler, dobrze pamiętam — powiedział nagle.

— Co, dziadku?

— Ten od terenu. Niemiec, czy jakiś tam inny. Z tych, co tu przyjechali podczas ostatniej wojny... Ludzie, pracowicy, po myślowi...

Zadumał się obserwując drzewa na ulicy.

— Tak jest, ci ludzie wiedzą, co robią. Robią postęp ci ludzie, niewątpliwie. A jednak piękne były tamte czasy — dorzucił po chwili... Mniej było nauki, ale za to więcej serca... Nikomu się nie spieszyło... Popijało się matę i patrzyło z ganku na zachód słońca, dla zabicia czasu. Mniej było rozrywek niż dzisiaj, nie było kina ani telewizji. Aleśmy mieli inne piękne rzeczy, chrzciny, znakowanie bydła, różne święta...

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Ludzie nie mieli takiej wiedzy jak dzisiaj. Ale nie byli tacy interesowni. Wieś była uboga, szczególnie nasza, ten brzeg Magdaleny. Ale była wielka i szlachetna. Nawet miasto było inne. Ludzie byli usłużni i grzeczni.

Ściemniało się i chwile milczenia były coraz dłuższe i głębsze. Marcelo patrzył na sylwetkę starca na okiennej szybie. O czym rozmyśla w długie samotne noce?

— Świat wypełnił się kłamstwem, synu. Jeden drugiemu nie dowierza. Jak jechaliśmy z moim ojcem za Wschodnią Granicę do Urugwaju z okazji zgonu stryja Saturnina, nie trzeba było do kumentów do podróży.

Zamilknął.

Po czym lekko uderzając ręką o dziennik powiedział:

— A teraz te bombardowania... te dzieci wietnamskie... A ty, Marcelito, jak sądzisz?

— Ja... może kiedyś... to się zmieni...

Starzec obserwował go z melancholijną uwagą.

— Wszystko jest możliwe, Marcelito — rzekł jakby do siebie. — Ale wieś już chyba nigdy nie będzie taka, jaka była dawniej. Te stawy, te różowe dzikie kaczkę...

Zapadła noc.

BŁAZEN Naśladował Koka mówiącego o nekrologach, opowiadał dowcipy, wspominał śmieszne kawały z czasów, kiedy uczył matematyki. Znajdowali go w formie lepszej niż kiedykolwiek, pełnego siły żywotnej i energii.

I nagle poczuł, że tamto zbliża się nieuchronnie, nic bowiem nie zdoła przyhamować rozpętanego procesu. Nic straszniejszego, monstra się nie pojawiły, a mimo to odczuwał lęk jak w koszmarnym śnie. Z wolna zaczynał doznawać wrażenia, że wszyscy są mu obcy, coś podobnego odczuwa się patrząc przez okno na wieczorny festyn: widzimy, że się śmieją, rozmawiają i tańczą nie wiedząc, że ktoś ich obserwuje. Ale nie całkiem tak: może jak gdyby ponadto dzieliła go od ludzi nie tylko okienna 64

szyba lub zwyczajna odległość, którą może pokonać krokami otwarty drzwi, lecz jakaś nieprzekraczalna dymensja. Jak duch wśród ludzi żyjących, może ich widzieć i słyszeć nie będąc przez nich widziany ani słyszany. Choć i to niezupełnie tak. Nie tylko bowiem on ich słyszał, lecz oni słyszeli też jego, rozmawiali z nim i ani przez chwilę nie doświadczali obcości, nie wiedząc bynajmniej, że ten, co z nimi rozmawia, nie jest S., lecz pewnego rodzaju zastępcą, jakimś błazeńskim uzurpatorem! Tymczasem tamten, ten prawdziwy, stopniowo się izolował. I chociaż martwił ze strachu, jak ktoś, kto widzi, że oddala się ostatnia łódź, która mogła go uratować, nie był w stanie okazać swojej rozpacz, dać znaku swojej samotności i rosnącego oddalenia. I oto, podczas gdy łódź oddalała się od wyspy, począł opowiadać zabawną historię ze swoich lat studenckich, kiedy to wymyślili jakiegoś węgierskiego poetę, protegowanego przez również nie istniejącą księżniczkę. Zaczytywali się wówczas Rilke i nurzali się w rilkowskim snobizmie. Rozzuchwaleni opublikowali dwa wiersze po francusku w „Teseo” i w końcu oznajmili, że ów węgierski poeta był trędowaty. Wszystko po to, aby Guillermo de Torre * umieścić o nim wzmiankę w „La Nación”.

Wszyscy konali ze śmiechu, również błazen, a ten drugi tymczasem patrzył, jak łódź oddala się od brzegu i robi się coraz mniejsza.

POJAWIA SIĘ Pomiędzy kłamstwem a*rumieńcem
RODZENSTWO wstydu, między uniesieniem a
wstrętem egzystencja mu się .po-
wikłała, wielki koktajl stał się udreką. Gdzie się podziały
absoluty? Od środka napierają nań buntownicy, chcą działać,
wypowiadać decydujące słowa, walczyć, umierać albo zabijać
raczej niż dać się wciągnąć w karnawał. Bezczelny Nacho,
szorstka Agustina. I Aleksandra? Czy żyła naprawdę, i gdzie, czy
w tym domu czy w tamtym, czy w owym Miradorze? Szukają w
archiwum dzienników, chcą wiedzieć; jakież pragnienie
absolutu mają ci karnawałowi ludzie, jaki nienasycony głód.
Czy ta wiadomość była prawdziwa? Jak gdyby najbardziej
apokryficzne nie było to, co się gromadzi w archiwach. Ale to
nieważne: zasypuję pytaniami, czy te osoby żyły, jak i gdzie.
Nie pojmuję, że nigdy nie umarli, że znowu napierają na niego
ze swych podziemnych schronów, że szukają go, by go
znieważać, A może jest przeciwnie, może to on ich potrzebuje

* Guillermo de Torre — krytyk hiszpański, szwagier Borgesa (przyp. tłum.) 5

do przetrwania. I oto czeka na Agustinę, -niecierpliwie wycze-
kuje J^cJ powrotu.

Maska konferansjera, który mówi wobec pań, uśmiecha
się i prezentuje złudny obraz grzecznego dziecka.

układnego kawalera

dobrze ubranego, racjonalnie odżywionego pana.

Nie bójcie się, Damy i Kawalerowie

ta bestia jest obłaskawiona

zęby jej spiłowali

wyrwali, zepsuli, stępli

racjonalnym żywieniem.

Nie jest już tym zwierzęciem, co żre surowe mięso

Co atakuje w dżungli i zabija.

Straciła swą majestatyczną dzikość.

Wejdźcie, Panowie i Panie,

Przedstawienie wyłącznie dla rodzin

W dzień ciotki przyprowadź ciotkę

A w dzień matki swoją matkę

Spójrzcie na to zwierzę.

Pół obrotu w prawo

hop!

Witaj, Szanowna Publiczności,

Tak,

Doskonale,

Masz tu kostkę cukru.

Hop, hop!

Damy i Panowie

Wyłącznie dla rodzin,

potężny lwie z dżungli: ty śniesz

uległe wykonujesz piruety

z góry ustalone

z lekką, tkliwie ukrytą ironią.

Biedacy, istnieją *przecież*

dzieci, co mnie kochają,

tak, teraz obrót, skok przez obręcz, raz dwa, hop!

Znakomicie

i śni mi się dżungla

O wieczornym zmierzchu,

gdy z roztargnieniem próbuję

grzecznie i pocziwie skakać przez płonącą obręcz,

każą mi. sięść w fotelu, ryczę zadumany

I wspominam blade laguny

wśród łąk,

do których kiedyś wrócę już
na zawsze (wiem, bo pragnę
i wierzę) pożarliśmy wpiern
pogromcę symbolicznie na
pożegnaniu w przystępie
szału (piszą dzienniki)
nieoczekiwanie znikła jego głowa w paszczy
o zgrozo, pociekł krew! szerzy się panika,
ale tymczasem śnię o tej ojczyźnie dzikiej a
serdecznej
O dumnym królestwie
I obrzędach burzy i śmierci
ja dezertuję śmierci
umknąłem od plugawych świństw
w ptasią niewinność i w deszcz
w dumną samotność.
Wejdźcie, Panowie i Panie,
Ta bestia jest obłaskawiona
przedstawienie wyłącznie dla* rodzin
patrzcie spokojnie, hop!
Witam Szanowną Publiczność,
a myślę o dżungli okrutnej i pięknej,
o księżycowych nocach,
o mojej matce.

CELEBRUJE SIĘ^ o śmierci i samot-
ności - Na WYDANIE KSIĄŻKI T. B. zdjęciach
w czasopiśmie oglądał tłum ludzi z kieliszkami w rękę,
roześmianych, chrupiących sandwicze. Te same twarze co
zawsze, nie wyłączając śmiertelnych wrogów T. B., którzy
przed koktajlem i później, a nawet podczas zebrania robią
dowcipy o jego wierszach.

Nietzsche, pomyślał.

Potrzeba rozmowy z analfabeta, odetchnięcia chłodnym
czystym powietrzem, zrobienia czegoś rękami: stolika, napra-
wienia rowerka małej Eriki. Czegoś skromnego a użytecznego.
Czystego.

Zgasił światło.

Jak w innych podobnych chwilach smutku i wstępu do ludzi (do siebie) powróciło tamto wspomnienie. Dlaczego gra tak zasadniczą rolę w jego życiu?

O zmroku niósł notatki z rachunku nieskończoności do dra Grinfelda. Posrebrzane kopuły obserwatorium zaczynały się rysować w zapadającej powoli ciemności niby pogodna milcząca więź z przestrzenią kosmiczną. Szedł ścieżkami pośród zadumanych drzew lasu w La Pląta. Harmonijny wszechświat gwiazd na swych ekliptykach. Ścisłe twielenia mechaniki ciał niebieskich.

ODCZUŁ POTRZEBĘ POWROTU DO LA PLĄTA

do domu, teraz obcego, by spenetrować go jako intruz, jako złodziej wspomnień. Na nowo począł wspominać to letnie popołudnie, kiedy przyjechał i wszedłszy po cichu ujrzał ją obróconą plecami, siedzącą samotnie przy dużym stole w jadalni, wpatrzoną w nicość, to jest w swą pamięć, po ciemku, przy zamkniętych żaluzjach i tylko stary zegar ścienny towarzyszył jej swoim tik-tak.

W szczęśliwych czasach, kiedy obchodzono jej urodziny i ja byłem szczęśliwy, i nic nie było martwe, i była jadalnia ze staroświeckim dużym kredensem i podręcznymi stolikami i wszyscy siedzieli przy ogromnym stole w stylu chippendale z ojcem u jednego końca stołu i matką u drugiego, i te śmiechy, kiedy Pepe znowu zaczynał opowiadać niewinne kłamstewka z rodzinnego folkloru.

i ja com przeżył samego siebie niby zgaszona zapalka a przy nakrytym stole więcej miejsc i porcelana piękniejsza i więcej szklanek

— Co z tobą, mamó? — zapytał.

— Nic, myślałam — odparła. Miał wrażenie, że jej oczy się zamglily.

— Tak, oczywiście.

— Ktoś powiedział, że życie jest snem, mój synu.

Patrzył na nią w milczeniu. Czym by jej ulżyć? Widzi chyba poza sobą dziewięćdziesiąt lat fantasmagorii.

Potem zaczęła czegoś szukać w szafach zawsze zamkniętych na mnóstwo ukrytych kluczy.

— Oto sygnet, po mojej śmierci. Schowałam go dla ciebie.

— Tak jest, mamó.

— Po mojej prababce; Marii San Marco.

Był nieduży, złoty z emaliowaną pieczęcią z literami MS.

Potem siedzieli nic nie mówiąc na wprost siebie. Od czasu do czasu powiedziała parę słów: Fortunata, pamiętasz? Estancja don Guillermo Boera. Twój stryj Pablo, podagra.

Musiał odejść. Musiał odejść? Jej oczy znowu zasnuły się mgłą. Ale była stoikiem, pochodziła z rodziny wojowników, choć tego nie chciała, chociaż się ich wyparła.

Jeszcze ją pamięta, jak stojąc w drzwiach machała doń leciutko prawą ręką, niezbyt mocno: nie do uwierzenia. Z daleka odwrócił głowę: znowu sama.

Stój moje serce

nie myśl.

W ulicy 3 drzewa poczynały rozsnuwać mrok.

Jeszcze raz odwrócił głowę. Nieśmiało dała znak ręką.

POWTÓRNE Nie przestawał o niej myśleć, w końcu

SPOTKANIE stracił nadzieję, że ją spotka. I teraz ta

potrzeba spotkania, rozmowy z nią stała się nie do zniesienia. Wyszedł i wspiąwszy się na niewysoką skarpe, usiadł na ławce w pobliżu pomnika Falcona.

Wtenczas ją ujrzał. Szła niepewnym krokiem, jak gdyby grunt był grząski i mógł się zapaść.

Wahał się chwilę, lecz w końcu postanowił rozmówić się z nią. Domyślał się w tych miesiącach, że dziewczyna go szuka, a obecne spotkanie było do pewnego stopnia dowodem tego, wszak nie mogła nie wiedzieć, że on stale tędy chodzi, kręci się po parku, pije kawę w La Bielą, siada na ławce. Możliwe, że z nieśmiałości nie odważyła się wejść do baru, wolała przechadzać się po parku, aby spotkanie z nim miało charakter przypadkowy, chociażby z pozoru przypadkowy.

Zbliżył się i kroczył koło niej; lecz ona nie patrząc na niego szła dalej. Wtedy ujął ją za ramię. Spojrzała nań w milczeniu, choć nie wydała się zaskoczona, co potwierdziło jego domysł.

— Mieszkasz tu w pobliżu? — zapytał.

— Nie — odparła nie patrząc mu w oczy. — Mieszkamy w Belgrano.

— Więc co robisz tu, koło Recolety?

Pytanie postawił niemal niechcący i zaraz tego pożałował: wyglądało, jakby chciał ją zmusić do przyznania się, że go chciała spotkać.

'C) — Każdemu wolno chodzić tędy—odpowiedziała. Speszył się. Stali naprzeciw siebie, w trochę śmiesznej sytuacji, ona patrzyła w ziemię.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała w końcu. — Byłam niegrzeczna.

— Nic nie szkodzi.

Dziewczyna podniosła oczy, utkwiała w nim spojrzenie i zamieszkała szczęki. Oblała się rumieńcem i po cichu wyznała:

— Byłam niegrzeczna, a na dodatek skłamałam.

— Wiem, ale to nic nie szkodzi.

— Jak to, pan wie?

Nie wiedział, co ma rzec, aby jej nie dotknąć. Pociągnął ją za ramię do ławki i siedzieli tak dłuższą chwilę. Ona, zmieszana, wydawała się studiować trawnik, wreszcie zdecydowała się powiedzieć:

— Przecież pan wie, że chciałam pana spotkać. Kręcę się tu od kilku tygodni.

Nie odpowiedział, bo po co? Oboje wiedzieli, że spotkanie było nieuniknione. I że byłoby złe, gdyby się nie odbyło.

BYŁA JUŻ NOC, KIEDY AGUSTINA WRÓCIŁA

Weszła przygnębiona, daleka, nie była już tą dawną hardą Agustina. Z jakich bolesnych stron powraca? Nacho podniósł prawe ramię z dłonią otwartą ku niej, a twarz odwrócił, jak gdyby nie chciał patrzeć na coś tak smutnego.

— Jakaż to nowa klęska spadła na ten dom? Wydaje mi się, że to Elektra kroczy, w ciężkiej żałobie.

Agustina rzuciła się na łóżko.

— Wyłącz tę płytę — poleciła oschle. — Rzygać mi się chce od tego Boba Dylana.

Brat opuścił ramię, spoglądał na nią chwilę, po czym ukląkł i zatrzymał patefon stojący na podłodze pośród książek, starych gazet i talerzy. Z niepokojem zaczął się przyglądać siostrze.

— Jam jest Orestes. Nie masz lepszego przyjaciela — powiedział nieśmiało i tklawie.

Posunął się ku niej na kolanach.

— Spójrz. Uczyniłem ślub.

Przy łóżku ujął jej ręce i złożył je na swej piersi.

— Nie pomnisz, Elektro, że ja był dla ciebie najdroższy **70**

spośród mężczyzn. Tak rzekłaś naszemu ojcu wylewając na jego mogiłę pokutny napój ofiarny. Gdy przywoływałaś z podziemi Hermesa, posłańca bogów wyższych i niższych. Kiedy twoich modłów słuchały demony, stróże ojcowskiego domostwa!

— Przystań Nacho. Jestem skonana.

— O, Zeusie! Rozważ to, spójrz na to orle plemię pozbawione ojca, dławione teraz przez okropną zmię. Spójrz na nas, wygnańców z ojcowskiego domu.

— Powiadam ci, że jestem skonana.

Nacho zmienił nagle ton i powiedział zwyczajnym gniewnym głosem:

— Ta kurwa! Widziałem ją w samochodzie Perez Nassifa.

— No to co?

— Ciebie to nie obchodzi widocznie. Nie wstydzisz się, że ta kurwa załatwiła mi pracę w biurze tego bydlaka — krzychał wpadając we wściekłość. -

— No, cóż, możemy żyć z dobroczynności publicznej.

— Mówię serio — krzyknął Nacho podnosząc się.

— Nie krzycz. Dostyc tego.

Twarz Agustiny zeszywniała.

— Wszystko ci trzeba tłumaczyć, durniu. Nie rozumiesz, że przyjmując to, okazałeś jej w jakiś sposób tym większą pogardę. I nie mów mi już o tej kobiecie — zakończyła posepnie.

Ton Nacho stał się sarkastyczny.

— Nie zapominaj, że ta kobieta jest twoją matką, a matkę ma się tylko jedną.

Ze swojego kąta przyniósł paczuszkę w ozdobnym papierze z czerwoną kokardą z napisem „podarunek”.

— Co to znowu za błazeństwo? — spytała Agustina niechętnie.

— Zapomniałaś, że jest Dzień Matki?

Pacuszka była bardzo mała. Agustina podniosła spojrzenie ku bratu.

— Wiesz, co jej posyłam?

Jego twarz promieniała obłudnym szczęściem.

— Prezerwatywę.

Po czym wrócił do swojego kąta i wyciągnął się na łóżku.

— Chcę ci zaproponować pewien układ — odezwał się po chwili.

— Przystań mnie wreszcie nudzić twoimi układami.

— Tylko jeden układzik. Mikroukład.

— Po co?

— To ma być dowód.

— Czego dowód?

71

— Ja wiem — odparł tajemniczo.
— No, dobra. Tylko prędej, bo chce mi się spać.
Nacho przyniósł płytę z fotografią Johna Lennona i Yoko na okładce.

— Nigdy nie słuchać tej płyty — powiedział.
— Dlaczego.
— Widzisz, widzisz! Oto jest dowód! Ty nic nie rozumiesz. Jesteś definitywnie wyłączona — krzyknął dotykając fotografią jej twarzy.

Agustina spojrzała na niego z odrazą.
— Nie rozumiesz? Ta japońska kurwa jest wszystkiemu winna!

Wyczerpany siadł koło siostry na brzegu łóżka, rzucając jakby do siebie: — „ta dupa, ta przeklęta zaraza.”

— Zgadzasz się? — podjął po chwili.
— Dobra. Daj mi spać.

Cisnął płytę na podłogę, zaczął ją z wściekłością deptać i połamał na drobne kawałki. Skończywszy, spojrział siostrze w oczy, jakby szukał w nich jakiegoś znaku. W końcu wrócił do swojego kąta, rzucił się na łóżko i zgasił nocną lampkę. Po pewnym czasie głosem, który jak gdyby przemierzał w ciemności tajemną drogę, dobrze im dawniej znaną, teraz jednak pełną przeszkód i ukrytych zasadzek, postawionych przez przewrotnego napastnika, powiedział ostatkiem sił:

— Coś się dzieją Agustino.

Nie odpowiedziała, ale ona również zgasiła swoją lampkę. *Z łękiem z wolna przechodzącym w rozpacz zrozumiał, że zgasiła światło, aby się obnażyć. W mdłym świetle, padającym z okna, widział, jak się rozbiera.

Potem on również się obnażył i położył się. Po jakimś niezmiernym czasie (było w nim dzieciństwo, psy, kryjówki w parku Patrycjuszów, cukierki, samotne sjeisty, wieczory pełne łez i pieszczot), kiedy czuł, że i ona leży bezsennie i rozmyśla oddychając niespokojnie, nie jak oddycha się we śnie, uczynił wysiłek i spytał, czy śpi.

— Nie, nie śpię.

— Przyjść? — zapytał z drzeniem.

Nie date odpowiedzi.

Po chwili wahania Nacho wstał i podszedł do jej łóżka. Usiadł i głaszcząc siostrę po twarzy zauważył, że płakała. - -

— Zostaw mnie — powiedziała łagodnie, ale głosem, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. I po chwili dodała:

— Wołałabym, żebyś nie przychodził.

Nacho nie wiedział, co ma począć, obok tego ciała, które 72

zaledwie musnął rękami, a które teraz było nieosiągalnie dalekie.

Powoli wstał i wrócił do swojego łóżka.

OBUDZIŁ SIĘ we śnie widział ją kroczącą pośród ognia,
Z KRZYKIEM w płonącym Miradorze, jej długie
czarne włosy zburzyły się rozwichrzone
przez płomienie. Wyglądała jak żywa pochodnia. Miał wrażenie,
że biegła ku niemu, wzywając ratunku. I nagle poczuł ogień we
własnym ciele, usłyszał syk palącego się mięsa i czuł, że pod jego
skórą miota się ciało Aleksandry. Obudził go ostry ból i
niepokój. Powtórzyła się wróżba.

Ale nie była to Aleksandra, jaką niektórzy sobie melanco-
lijnie wyobrażają, ani ta, którą Bruno ponoć odczuwał swoim
bezwolnym kontemplacyjnym duchem, ale ta ze snu i z ognia,
ofiara własnego ojca. I Sabato na nowo zadał sobie pytanie, dla-
czego zjawa Aleksandry przypomina mu o jego obowiązku pi-
sania, nawet wbrew wszystkim przeciwnym mocom. Jak gdyby
trzeba było zacząć jeszcze raz rozszyfrowywać kody, z dnia na
dzień bardziej ukryte. Jak gdyby od tego trudnego a wątpliwego
szaleństwa zależało nie tylko zbawienie duszy tej dziewczyny,
ale także jego własne.

Zbawienie od czego? Niemalże krzyknął w ciszy swego po-
koju.

MŁODY MUZZIO zachowywał tak zwane nabożne
milczenie. Wielkie skórzane fote-
le, czekanie, ważność pana Rubena Perez Nassifa, bojaźliwy krok
urzędników wywoływały w nim mieszaninę lęku, wstydu i nie-
chęci pośród wyrażeń i ułamków wyrażeń następującego rodzaju:

Stowarzyszenie Spożywców
Kapitalizm, Burżuazyjne Świnie
Zmiana Struktury, itd.

Zdawało mu się, że poza tymi wyrażeniami ogląda niejako
przez szpary nieprzyjemną, ironicznie badawczą twarz Nacha
Izaguirre, tego kontrrewolucyjnego drobnomieszczanina, zgni-
łego reakcjonisty.

Starał się uwolnić od niemiłego zwidu, miażdżył go w duchu
lapidarnymi zdaniem: należy zmienić strukturę! Buntować się
przeciwko jednostce, na przykład przeciw Perezowi Nassif, to jak
dawać jałmużnę na ulicy! Albo Rewolucja Społeczna, albo nic!

Ale twarz Nacha odbudowywała się na nowo po każdym takim wybuchu, w dodatku coraz bardziej sarkastyczna.

Chcąc pozbyć się zwidu dokonał wysiłku i zainteresował się wzięciem na ścianie kartonem UWAGI DLA CHCĄCYCH SIĘ WZBOGACIĆ Benjamina Franklina (w ramce).

Pamiętaj, że czas to pieniądz.

Pamiętaj, że kredyt to pieniądz. Pozostawiając w moich rękach pieniądze, które ci jestem dłużny, pozostawiasz mi również procenty oraz wszystko, co tymczasem możesz zarobić tymi pieniędzmi. Może się tak uzbierać poważna kwota, jeżeli się ma dobry kredyt i potrafisz robić z niego dobry użytek.

Pamiętaj, że pieniądz jest urodzajny i reproduktywny. Pieniądze rodzą pieniądze, ich potomstwo z kolei rodzi większe pieniądze, i tak dalej. Z pięciu szylingów dobrze ulokowanych zrobi się sześć, z tych siedem i tak stopniowo aż do 100 funtów. Im więcej pieniędzy lokujesz, tym więcej masz zysku, który rośnie bez przerwy. Kto zabija maciorę, unicestwia całe jej potomstwo aż do liczby 1000. Kto przetrwoni jedną monetę pięcioszylingową, zabije wszystko, co dzięki niej może uzyskać: całe kolumny funtów szterlingów. Należy wziąć pod uwagę, że najmniej znacząca rzecz może wpłynąć na kredyt. Uderzenie twojego młota o kowadło, które twój wierzyciel usłyszy o 5 z rana i o 8 wieczorem, zadowoli go na pół roku.

Jeżeli jednak zobaczy ciebie przy bilardzie lub usłyszy twój ■ głos w knajpie w porze, kiedy powinieneś pracować, przypomni sobie nazajutrz o twoim długu i zażąda pieniędzy, zanim będziesz mógł nimi rozporządzać. Prowadź rachunek wydatków i wpływów.

Gdy zadasz sobie trud i zwrócisz uwagę na te szczegóły, stwierdzisz, że nieprawdopodobnie małe wydatki sumują się w grubą kwotę, i zobaczysz, ile mogłeś zaoszczędzić i ile jeszcze możesz zaoszczędzić w przyszłości. Kto trwoni jednego centyma dziennie, marnotrawi 6 funtów rocznie, które z kolei pozwoliłyby mu dysponować stoma.

Kto codziennie marnuje czas wartości jednego centyma, traci przywilej dysponowania stoma funtami rocznie.

INTERESUJĄCE SZCZEGÓŁY WYWIADU

Pański wiek, señor Pérez Nassif?
42 lata, żonaty.

Dzieci?

Troje, 15, 12 i 2 lata. Najstarszy
chłopiec, Rubén, jak ojciec. Śred-

nia Monika Patrycja. Najmłodsza, Klaudia Fabiana, urodziła

74



się niespodziewanie, kiedy Sr. Perez Nassif oraz jego małżonka sądzili już, że poprzestaną na dwojgu.

Jak rozpoczął karierę?

Jest rzeczą wszystkim wiadomą, że zaczął jako praktykant w przedsiębiorstwie Saniper i szczyli się tym skromnym początkiem. Argentyna ma, dziękować Bogu, tę wielką zaletę, że wytrwałością i wiarą w jej wspaniałą przyszłość można w niej dojść do najwyższych stanowisk. W szczególności, chce wyznać mimochodem — lecz pragnąłby, aby to pozostało *offthe record*— że Senor Lambruschini jego właśnie wybrał spośród sześciu młodzińców, ponieważ dostrzegł w jego twarzy coś, co mu kazało spodziewać się, że zrobi karierę. Przytacza dosłownie. Zawsze wspomina, że Sr. Lambruschini od pierwszej chwili darzył zaufaniem jego skromną osobę.

Kto by powiedział, że kiedyś zajmie stanowisko znacznie wyższe od tego, jakie wtedy zajmował Sr. Lambruschini!

Tak jest, młody panie Muzzio. Takie jest prawo życia. Trzeba wszakże przyznać, że Sr. Lambruschini stanowił przykład uczciwości i zamiłowania do pracy, a przedsiębiorstwo uznało to w całej pełni. Tylko dzięki ludziom tego pokroju co Sr. Lambruschini Saniper mógł stać się tym, czym jest. I jakkolwiek nie należy już do staffu, gdyż z własnej woli przeszedł na dobrze zasłużoną emeryturę, jego charakterystyczna i rzec można patriarcalna postać jest zawsze obecna w tym domu. Dobrze jest móc wspomnieć w tej chwili tego człowieka, podkreślić jego abnegację, jego bezwzględną uczciwość, jego ofiarność oraz miłość do tej wielkiej rodziny, jaką jest Saniper. Do tego stopnia, że Sr. P. N. oświadczył mu kazać zwolnić się na jeden dzień po trzydziestu latach nieprzerwanej pracy, kiedy zdrowie zaczęło mu szwankować i musiał poddać się nieodzownej kontroli lekarskiej. Tacy ludzie jak Sr. Lambruschini tworzą wielkość ojczyzny. Właśnie w ostatnich dniach Sr. P.N. był obecny na pogrzebie jego szanownej matki i mimo tak smutnych okoliczności rad był, że znalazł go w formie tak dobrej, jak w najlepszych czasach.

Jakie inne przedsiębiorstwa korzystają z kierowniczej działalności Sr. Perez Nassifa?

* Oprócz, rzecz jasna, Saniper, prezesura Nieruchomości Perśnas i wiceprezesura przedsiębiorstwa reklamy Propart. Wielka odpowiedzialność, jak wiadomo, co mu jednak nie przeszkadza wypełniać jeszcze innych funkcji, poza przedsiębiorstwami, które wszakże przynoszą korzyść społeczeństwu, nieprawdaż? No, cóż, nie przeceniajmy zasług, każdy powinien spełniać te obowiązki, zwłaszcza ci, którzy mieli to szczęście, że osiągnęli tak wysokie stanowiska.

Następne pytanie: w jakim stopniu uzasadnione są pogłoski, jakoby przedsiębiorstwo miało się powiększyć o inne artykuły. Konkretnie, mówi się o możliwości połączenia Saniper z przedsiębiorstwem urzędów sanitarnych.

Sr. Perez Nassif uważa, że za wcześnie jeszcze mówić o tym zamierzeniu, ale nie może zaprzeczyć, że ono mieści się w planach przedsiębiorstwa na najbliższą przyszłość. Nie, nie ma powodu się usprawiedliwiać, pytanie było najzupełniej słuszne, Sr. P. N. sądzi, że nie popełnia zasadniczej niedyskrecji pozwalając sobie na tego rodzaju antycypacje. Zresztą, problem nie jest bynajmniej prosty, ponieważ musi go poprzedzić marketing, biorąc pod uwagę trudne okoliczności, w jakich pracuje przemysł krajowy w ogólności, a dział artykułów kąpielowych w szczególności.

Powody?

Liczne i ogromnie skomplikowane. Nie czas na to, aby wchodzić w tego rodzaju szczegóły, których zresztą nie omieszka podać w odpowiedniej chwili. Dwa z nich może jednak wymienić już teraz: niezmiernie wielka konkurencja oraz niepewność odnośnie do polityki krajowej w dziedzinie przemysłu. Sr. P. N. "ha-
leży do ludzi, którzy wierzą w przyszłość narodu, jednak obecna sytuacja polityczna każe zachować umiar w nadziejach.

Czy, według zdania Sr. P. N., ta niezbyt zachęcająca perspektywa ma jakiś związek z sytuacją polityczną kraju? Czy da się to zakwalifikować jako niepewność odnośnie do rozwiązań instytucjonalnych?

Niewątpliwie. Szybkie rozwiązanie jest nieodzowne, oczywiście w ramach poszanowania istniejących instytucji, co należy do naszej tradycji. Nie chcę tu jeszcze raz powtarzać, że nasz charakter wzbrania się przed jakąkolwiek obcą inspiracją, przed wszelkimi próbami włączenia naszego narodu w ideologie, które nie odpowiadają naszemu temperamentowi i naszym tradycjom. Nasz wkład w przyswojoną ideologię zachodnią i chrześcijańską powinien stanowić fundament pod budowę przyszłej Argentyny. Na ten właśnie temat wygłosił Sr. P. N. odczyt w świeżo powstałej filii naszego Klubu Lwów w miejscowości Boulogne. Itd.

DROGI I DALEKI CHŁOPCZE

prosisz mnie o radę, a ja nie mogę ci jej udzielić w zwyczajnym liście ani nawet pomóc ci myślami zawartymi w moich esejach, które nie tyle odpowiadają temu, czym istotnie jestem, ile temu, czym

chciałbym być, gdybym nie był wcielony w to zgniłe lub gniją-

ce już ścierwo, jakim jest moje ciało. Nie mogę ci dopomóc samą tylko myślą chybocącą w tłumie moich fikcji niczym zakotwiczone u wybrzeża boje wstrząsane nawałnicą. Raczej mógłbym cię wspomóc (i być może już to uczyniłem) ową mieszaniną myśli i zjaw wrzaskliwych albo milczących, co wyłoniły się ze mnie w powieściach, co się nienawidzą lub kochają, wspierają się wzajemnie lub niszczą i jednocześnie mnie samego wspierają i niszczą.

Nie chcę ci odmówić pomocy, o którą mnie prosisz z tak daleka. Lecz to, co ci mogę powiedzieć w liście, niewiele jest warte, czasami bardziej mogłyby cię pokrzepić moje spojrzenie, kawa, którą byśmy razem wypili, czy jakaś przechadzka w tym labiryncie Buenos Aires.

Zniechęcaj się, bo jakiś tam ktoś powiedział ci jakieś coś. Lecz ów przyjaciel czy znajomy (coś za oszukańcze słowo) jest zbyt blisko, by móc ciebie osądzać, i skłonny jest myśleć, że ponieważ jesz obiad, tak jak on, jest tobie równy, bądź nawet w jakiś sposób przewyższa cię, bo ciebie nie uznaje. Zrozumiała to pokusa: spożywając obiad z człowiekiem, który wspinał się na Himalaje, obserwując, jak tamten trzyma nóż, zarozumialec ma pokusę uważać się za równego mu albo lepszego i zapomina (chce zapomnieć), że nie obiad ma znaczenie, lecz Himalaje.

Tego rodzaju beczelność przyjdzie ci wybaczając nieskończenie często.

Prawdziwą sprawiedliwość uzyskasz jedynie od ludzi wyjątkowych, obdarzonych skromnością i wrażliwością, świątłych i wielkodusznie wyrozumiałych. Kiedy ów urażliwy Sainte-Beuve zapewniał, że ten pajac Stendhal nigdy nie potrafi stworzyć arcydzieła, Balzac twierdził coś wręcz przeciwnego. Rzecz naturalna: Balzac napisał *Komedią ludzką*, a tamten pan jakąś powieść, której tytułu nie pomnę. Z Brahmsa naśmiewali się panowie podobni do Sainte-Beuve'a: czy ten grubas mógłby stworzyć coś wielkiego? Niejaki Hugo Wolf orzekł podczas pierwszego wykonania *Czwartej symfonii*: „Nigdy jeszcze żadne dzieło nie mieściło w sobie tyle pospolitości, pustki i oszukaństwa. Sztuka komponowania bez myśli i bez inspiracji znalazła w Brahmsie godnego przedstawiciela”. A tymczasem Schumann, ten cudowny, nieszczęśliwy Schumann, twierdził, że oto pojawił się muzyk stulecia. Bowiem podziw wymaga wielkości, choć wyda się to paradoksalne. Dlatego twórca tak rzadko znajduje uznanie u współczesnych; niemal zawsze docenia go dopiero potomność lub co najwyżej ta współczesna potomność, którą są cudzoziemcy. Ludzie, którzy są daleko, którzy nie widzą, jak pijesz kawę i jak się ubierasz. Jeżeli tak było ze Stendhalem i z Brahmssem, to

jakże możesz się zniechęcać czymś, co powiedział jakiś znajomy mieszkający obok ciebie? Kiedy ukazał się pierwszy tom Prousta (wcześniej Gide wyrzucił rękopis do kosza), niejaki Henri Gheon napisał, że ten autor wziął się, aby stworzyć coś, co jest zupełnym przeciwieństwem dzieła sztuki: inwentarz swoich wrażeń, spis swoich wiadomości, w kolejnych nie łączących się, nie ogarniających całokształtu, obrazach zmienności pejzaży i dusz. To znaczy, że ów bufon krytykuje właśnie to, co stanowi istotę talentu Prousta. Jakież to Bank Uniwersalnej Sprawiedliwości odplaci Brahmsowi za ból, jaki odczuwał, jaki nieuchronnie musiał odczuwać w ten wieczór, kiedy on sam grał w swoim pierwszym koncercie na fortepian i orkiestrę? Kiedy go wygwizdali i obrzucili śmieciem? Pomińmy Brahmsa, ale w jednej skromnej pieśni Discepolą * ileż bólu, ileż smutku się nagromadziło, ile rozpacz.

Starczyło mi jedno twoje opowiadanie. Tak jest, wierzę już, że kiedyś potrafisz stworzyć coś wielkiego. Ale czy potrafisz znieść wszystkie te okropności? Mówisz, że jesteś zgubiony, że się wahasz, nie wiesz, co czynić, że ja mam obowiązek coś ci odpowiedzieć.

Słowa! Musiałbym milczeć, co mógłbyś interpretować jako okrutną obojętność, albo musiałbym do ciebie mówić całymi dniami lub współżyć z tobą kilka lat i czasem mówić, a czasem milczeć i przechadzać się z tobą w milczeniu, jak gdyby ktoś, kogo bardzo kochamy, umierał, a my byśmy rozumieli, że słowa są daremne i śmiechu warte. Jedynie sztuka innych artystów uratuje cię w takich chwilach, pocieszy, wspomůže. Pożytek — jakie to straszne — da ci jedynie cierpienie wielkich twórców, którzy ciebie poprzedzili w tej gołgocie.

A wtedy, oprócz talentu, będą ci potrzebne inne właściwości ducha: odwaga mówienia twojej prawdy, upór w kroczeniu naprzód obraną drogą, pewna ciekawa mieszanina wiary w to, co masz do powiedzenia, i wciąż ponawiającej się niewiary we własne siły, kombinacja skromności wobec olbrzymów i arogancji wobec głupców, potrzeba miłości, ale też dzielność, abyś mógł być samotny, abyś unikał pokusy, lecz także niebezpieczeństwa niewielkich grup, galerii zwierciadeł. W takich chwilach pomoże ci wspomnienie tych, co pisali w samotności: na statku, jak Mehdlle, w puszczynie, jak Hemingway, w małej wiosce, jak Faulkner. Jeżeli skłonny jesteś cierpieć, znosić biedę, złośliwość ludzką, niezrozumienie i głupotę, zawiść i nie kończącą się samotność, to mój drogi B., jesteś przygotowany i możesz

* Discepolo Enrique (1901—1951) — Argentyńczyk, autor sztuk teatralnych i kompozytor muzyki popularnej (przyp. tłum.).

dać sobie świadectwo. Na dobitkę jednak nikt ci nie poręczy za twoją przyszłość, przyszłość, która tak czy inaczej jest smutna: jeżeli ci się nie wiedzie, bo niepowodzenie zawsze jest przykre, a dla artysty jest tragiczne; jeżeli zwyciężasz, bo zwycięstwo jest zawsze pewnego rodzaju wulgarnością, sumą nieporozumień i machinacji i czyni z ciebie „człowieka publicznego”, to jest obrzydliwca, któremu młodzik, jakim ty sam byłeś z początku, słusznie (czy słusznie?) może okazać pogardę. I będziesz musiał znieść jeszcze i tę niesprawiedliwość, schylić grzbiet i wytrwać przy swoim dziele, jak ktoś, kto wznosi pomnik w chlewie. Czytaj Pavese’go: „Spustoszyć samego siebie do dna... bo nie tylko rozładowałeś wszystko, co wiesz o sobie, lecz i to, co podejrzewaś i przypuszczasz, a także twoje porywy, twoje majaki, twoje nieświadome życie. A czynić to w ustawicznej męce i napięciu, z rozważą i drzeniem, wśród odkryć i klęsk. I w taki sposób to uczynić, aby całe życie skupiło się na tym, i wiedzieć, że to na nic, jeżeli jakiś znak ludzki, jakieś słowo, czyjaś obecność nie przygarnie tego i nie ogrzeje. I umierać z zimną, mówić w pustce, pozostawać samotnym we dnie i w nocy, jak umarli”.

Lecz i ty usłyszysz nagle to słowo — jak teraz Pavese słyszy gdzieś nasze słowa — poczujesz upragnioną obecność, wycieknięty znak istoty, która z innej wyspy słyszy twoje wołanie, kogoś, kto zrozumie twoje gesty, kto potrafi rozszyfrować twój klucz. A wtedy będziesz miał siłę wytrwać i iść naprzód, i przez chwilę nie będziesz słyszał chrząkania świń. Choćby na małą, ulotną chwilę zobaczysz wieczność.

Nie wiem kiedy, w jakim momencie rozczarowania, kazał Brahms zabrzmieć tym melancholijnym waltorniom, które słyszemy w pierwszej części jego pierwszej symfonii. Może nie wierzył w oddźwięk, bo trzynaście lat zwlekał z podjęciem tego dzieła. Może stracił nadzieję, może go ktoś znieważył, może usłyszał śmiech za swoimi plecami, może zdawało mu się, że zauważył dwuznaczne spojrzenie. A jednak to wołanie waltorni przetrwało, i raptem i ty, i ja, my obaj, przygnębieni i smutni, słyszymy je i rozumiemy, że z obowiązku wobec tego nieszczęsnego musimy odpowiedzieć jakimś znakiem, który mu wskaże, że go rozumiemy.

Żle się czuję teraz. Jutro albo za jakiś czas znowu napiszę.

Poniedziałek z rana

Byłem w ogrodzie, zaczynało świtać. Nocna cisza dobrze mi robi: przyjazne towarzystwo cyprysów, araukarii; chociaż raptem zaczyna mnie smucić widok tego olbrzyma, tutaj przypomni-

S

nającego wielkiego lwa w klatce, kiedy powinien raczej stać w wysokich górach Patagonii, na szlachetnej a odludnej granicy z Chile. Czytam, co napisałem przed kilkoma dniami i trochę się wstydę mojego patosu. Ale tak mi to wyszło i tak zostawię. Czytam też jeszcze raz twoje listy, które tymczasem nadeszły, z prośbą o pomoc. „Nie wiem dobrze, czego chcę.” A któż to wie z góry? I nawet później. Delacroix powiedział, że sztuka podobna jest mistycznej kontemplacji, która od mglistej modlitwy do niewidzialnego Boga prowadzi do plastycznych wizji momentów teopatycznych.

Zaczynasz od globalnej intuicji, ale zanim nie skończysz, nie wiesz, czego w rzeczywistości chcesz, a czasem nawet wtedy nie wiesz. W miarę jak odchodzisz od intuicji, temat bierze górę nad formą. Postępując naprzód zobaczysz, jak ekspresja go wzbogaca, z kolei sama tworzy temat i pod koniec nie sposób oddzielić jedno od drugiego. A gdy się próbuje, powstaje albo literatura społeczna, albo literatura bizantyjska. Jedno i drugie, katastrofo. Czy ma sens oderwać w Hamlecie formę od słów? Szekspir brał materiał od trzeciorzędnych autorów. Jaka jest jego treść? Czy jest nią ów materiał wzięty od nieszczęsnego poprzednika? Podobnie jest ze snami: po przebudzeniu tylko z grubsza pamiętamy „materiał”, tak różny od prawdziwego snu, jak temat tamtego biedaka od arcydzieła Szekspira. Stąd fiasko pewnych psychoanalityków, pragnących odsłonić ów zagadkowy mit nocy przy pomocy bełkotliwej relacji ze snu. Wyobraź sobie, że ktoś próbuje zbadać tajemnicę duszy Sofoklesa na podstawie opowiadania jakiegoś widza. Jak powiedział Holderlin: „Jesteśmy bogami, kiedy śnimy, a na jawie żebrakami”.

Z tej samej przyczyny nie udają się często adaptacje filmowe utworów literackich. Widziałeś *Azyl*? Został z niego tylko scenariusz, to, co zwykliśmy nazywać treścią powieści. Powiedziałem: „co zwykliśmy nazywać”, ponieważ treścią jest cała powieść, jej bogactwo i jej blask, ukryte wątki, nie kończące się lśnienie słów, dźwięków i barw, a nie owe sławetne „fakty”.

Są tematy wielkie i tematy małe, treści wzniosłe i treści pospolite. To ludzie są wielcy i mali, wzniosli i pospolici. Ta sama historia o ubogim studencie, który zabija lichwiarkę, może być zwykłą kroniką policyjną albo *Zbrodnią i karą*.

Twierdzisz, że nie potrafisz pisać na „byle jaki temat”; to dobry znak, nie powód do zniechęcenia. Nie wierz w tych, co piszą o byle czym. Obsesje mają głębokie korzenie, a im głębsze, tym są mniej liczne. Najgłębszy ze wszystkich i wszechmocny jest może najbardziej ukryty, ale pojawia się we wszystkich dziełach prawdziwego twórcy: bo nie mówię tu o producentach 80

opowiadań, o „płodnych” producentach teatrów telewizyjnych i bestsellerów robionych na miarę, uprawiających prostytucję sztuki. Tak, oni mogą wybierać tematy. Kiedy piszesz na serio, jest przeciwnie: to temat wybiera ciebie. Ani jedna linijka nie powinna być wolna od obsesji, która cię ściga z najbardziej mrocznych regionów, czasem przez długie lata. Opieraj się, czekaj, wystaw na próbę tę pokusę; a może to być pokusa łatwizny, najniebezpieczniejsza ze wszystkich, które masz odrzucić. Malarz ma tak zwaną „łatwość” malowania, podobnie pisarz ma łatwość pisania. Uwaga,4>ilnuj się. Pisz, kiedy już nie wytrzymujesz, kiedy wydaje ci się, że oszalejesz. A wtedy pisz znowu „to samo”, to znaczy zacznij od nowa, inną drogą, lepiej wyposażony, posiadając większe doświadczenie, dociekać tego, co zawsze. Bowiem, jak powiedział Proust, dzieło sztuki jest to nieszcześnie miłość, złowróżbna dla innych miłości. Zjawy, co wyłaniają się z naszych podziemnych jaskiń, wcześniej czy później ukażą się znowu i dokonają zapewne pracy lepiej odpowiadającej ich warunkom. I porzucone plany, poronione szkice wrócą i przybiorą mniej ułomną postać.

A nie trap się tym, co ci mogą powiedzieć złośliwcy uchodzący za inteligentnych: że zawsze piszesz o tym samym. Oczywiście. Tak właśnie czynili Van Gogh i Kafka, i wszyscy, którzy coś znaczą, wszyscy surowi (lecz czuli) ojcowie, którzy dbają o twoją duszę. Kolejne dzieła są niczym miasta wzniesione na gruzach dawnych miast: choć są nowe, materializują pewną nieśmiertelność zachowaną w dawnych legendach, w typach ludzkich, w podobnych świtach i zmierzchach, w powracających oczach i twarzach praojców.

Zatem nie jest zbyt mądre to, co się zwykle sądzi o postaciach powieści. Należałoby z miejsca odpowiedzieć arogancko: „Madame Bovary to ja”, i koniec. Ale to niemożliwe, nie będziesz mógł: każdego dnia ktoś przyjdzie i zacznie cię badać i wypytywać, czy ta postać stąd wyszła czy stamtąd, czy jest portretem tej czy tamtej kobiety, a ciebie czy „reprezentuje” ten mężczyzna, który tji wydaje się być melancholijnym widzem. To już jest częścią tych machinacji, o jakich przedtem wspomniałem, i labiryntu nieporozumień, jakim jest każde dzieło fikcji.

Postacie! Pewnego jesiennego dnia roku 1962 poszedłem z młodzieńczym niepokojem szukać zakątka, gdzie „żyła” Madame Bovary. Że młodzieniec szuka miejsca, gdzie cierpiała bohaterka powieści, już jest zdumiewające; ale że czyni to powieściopisarz, który wie, jak dalece te postacie istniały tylko w duszy ich twórcy, dowodzi, że sztuka jest potężniejsza niż tak ceniona rzeczywistość.

81

Otóż, gdy z wysokości jakiegoś normandzkiego wzgórza dostrzegłem w końcu kościoły w Ry, ścisnęło mi się serce: dzięki zagadkowej władzy twórczości literackiej ta wioska dosięgła szczytu ludzkich namiętności i zarazem ich najmroczniejszej otchłani. Tutaj żył i cierpiał ktoś, kto — jeśli by nie pobudził go do życia potężny, a udręczony duch artysty — przeszedłby, jak tyłu innych, z nicości w nicość; podobnie jak mało znaczące medium w momencie transu, opętane przez większe od siebie duchy, unosi się namiętnością i wypowiada słowa, których" jego mała dusza nie umiałaby odczuwać.

Ponoć Flaubert odwiedził tę wioskę, rozmawiał z miejscowymi ludźmi, wszedł do apteki, gdzie jego bohaterka pewnego dnia kupiła truciznę. Wyobrażam sobie, ileż tó razy siedząc na szczycie wzgórza, może w tym samym miejscu, skąd ja po raz pierwszy wpatrywałem się w tę nieważną wioskę, dumał o' życiu i o śmierci w związku z istotą, której przeznaczone było ucieleśnić wiele jego własnych utrapień. Słodka i gorzka rozkosz twórczenia w wyobraźni losu człowieka: gdyby on był kobietą; gdyby pozbawiony był innych atrybutów (pewnego gorzkiego cynizmu, pewnej drapieżnej jasności); gdyby w końcu, zamiast być powieściopisarzem, był skazany na życie i śmierć prowincjonalnej drobnomieszczanki.

Powiada Pascal, że życie jest niczym stolik do gry, na którym los stawia nasze urodzenie, nasz charakter, nie dające się uniknąć okoliczności naszej egzystencji. Tylko twórca może zmienić stawkę, przynajmniej w widomym świecie powieści. Nie mogąc być szalonym lub samobójcą albo przestępcą w egzystencji, jaka mu przypadła w udziale, jest nim przynajmniej w tym wielkim mamidle.

Ileż własnych niepokoi miał ucieleśnić w tej biednej wiejskiej romantycze! Wyobraźmy sobie na chwilę jego smętne dzieciństwo w owym Hôtel-Dieu, w szpitalu w Rouen. Oglądałem go uważnie, z drżącą skrupulatnością. Prosektorium wychodziło na ogród skrzydła zamieszkanego przez jego rodzinę. Wspinając się z siostrami na kratę, Gustaw oglądał zafascynowany te gnijące zwłoki. Tam, w owej chwili zamknął może na zawsze w swej duszy udrękę przemijania czasu, tam zapewne począł go nurtować ów nieznosny ból metafizyczny, który wielkiemu twórcy każe odkupić się przez sztukę; jedyna chyba moc, która nas ocala od przemijania i od nieuniknionej śmierci: *gue'fai gardę la formę et l'essence diwie de mes amours decomposes* *... Nad tą kratą, być może, oglądając gnicie, Gustaw stał się rym nieśmiałym,

* j'ai gardé... (fr.) — zachowałem formę i boską treść moich dawnych miłości.

zamkniętym w sobie chłopcem, jakim podobno był: daleki, ironiczny, arogancki, świadom swej niepewności, ale też swej mocy. Czytaj jego najlepsze dzieła, nie te zbiory epitetów, te nudne jubilerskie wystawy słów, lecz surowe stronicie owej bezlistosnej powieści, a zobaczysz, że to ten chłopiec, jednocześnie wrażliwy i pozbawiony złudzeń, opisuje okrucieństwo życia z jakąś mściwą przyjemnością. Melancholia i smutek przysłaniają tło. Świat go odpycha, razi i nudzi: zarozumiałe postanawia stworzyć inny, na swój obraz i podobieństwo. Nie będzie konkurował z urzędem stanu cywilnego, jak to, niesprawiedliwie wobec własnego talentu, usiłował uczynić Balzac, ale z samym Bogiem. Po co tworzyć, jeżeli ta rzeczywistość, która jest nam dana, zadowala nas? Bóg nie pisze fikcji: one się rodzą z naszej niedoskonałości, z tego wadliwego świata, w którym kazano nam żyć. Ja nie prosiłem, aby mnie urodzili, ani ty; siłą nas przynieśli.

A nie myśl sobie, że Flaubert napisał historię tej biedaczki, bo go o to prosili: napisał, bo wyczuł raptem, że w tej historii kryminalnej może oddać swoją własną i tajemną kryminalną historię, sam siebie ośmieszając tak okrutnie, jak tylko wielki neurotyk może mówić o swoim ja, karykaturując siebie w tej małej neurotycznej prowincjuszce, co jak on kochała dalekie kraje i odległe miejsca. Przeczytaj jeszcze raz rozdział IV, a odnajdziesz jego w tym upodobaniu do innych czasów i miejsc, do podróży i pocztowych dylizansów, z porwaniami i egzotycznymi morzami: romantyczna złuda w postaci czystej, taka, jaką na zawsze odczuł ten chłopiec przy kracie. Tematem jego powieści jest więc temat jego własnej egzystencji, z dnia na dzień rosnące oddalenie pomiędzy prawdziwym życiem a fantazją. Sny przemienione w niezdarną rzeczywistość, wzniosła miłość przestoczona w śmieszne komunały. Cóż innego mogła uczynić ta nieszczęsna, jak popełnić samobójstwo? Ofiara bezbronnej wiejskiej romantyczki ocala (smutno) Flauberta.

Ocala... Tak się to mówi, kiedy ogląda się rzecz pobieżnie, a czynimy to zawsze, jeśli się nie pilnujemy. Ja natomiast wiem, co szeptała ze łzami w oczach moja matka, myśląc już nie o Emmie, lecz o nim, o biednym Flaubercie, który Emmę przeżył: „Niechaj mu Bóg pomoże!”

Zderzenie romantycznej duszy ze światem wywołuje szydery dysonans. Chcąc zburzyć albo ośmieszyć swoje własne złudzenia, Flaubert montuje scenę zjazdu, karykaturę mieszczańskiej egzystencji: tam, na dole, magistrackie przemówienia gminnych notablów, na górze, w obskurnej izbie, inna retoryka: umizgi Rudolfa do Emmy przy pomocy wytartych frazesów. Tą okrutną dialektyką spopolitości romantyk Flaubert, 83

strojąc okropne grymasy, naśmiewa się z fałszywego romantyzmu; podobnie ktoś prawdziwie nabożny może w końcu z óbrzy- , dnia z wymiotować w kościele pełnym świętoszków. Oto masz Flauberta. Tego patrona obiektywistów!

A proszę cię przy sposobności, żebyś nie używał tego wyrazu: tak mniej więcej, jakbyś mi zaczął mówić o subiektywizmie nauki. Bądź dumny, że przynależysz do kontynentu, który w tak małych i zaniedbanych krajach, jak Nikaragua i Peru, wydał tak gigantycznych poetów, jak Dario i Vallejo. Raz na zawsze pozostajmy sobą. Niechaj pan Robbe-Grillet nie poucza nas, jak należy robić powieść. Niech nas zostawi w spokoju. A przede wszystkim niechaj tacy jak ty utalentowani chłopcy przestaną wreszcie słuchać z nabożnym szacunkiem wszystkiego, co nam rozkazuje ta krzyżówka dekadentów z terrorystami. Barbarzyńcy mieli wielkich twórców właśnie dlatego, że byli daleko od tych orszaków znakomitości; pomyśl o Rosjanach, o Skandynawach, o Amerykanach. Zapomnij więc o nakazach, co przychodzą z Paryża wraz z perfumami i modelami modnej odzieży.

Obiektywizm w sztuce! Nauka może i powinna abstrahować od „ja”, sztuka nie może tego uczynić i na próżno by tego od niej wymagać. Ta „niemożność” jest właśnie jej zaletą. Fichte powiedział mniej lub więcej dosłownie, że przedmioty sztuki są tworam i ducha, zaś Baudelaire wyobrażał sobie sztukę jako magię, która oplata twórcę i świat. Owe tajemnicze groty, gdzie mieszkają istoty Leonarda, te niebieskawe dziwne skały, jakby w głębi morza widoczne za ich zagadkowymi twarzami, czym są, jeśli „nie wyrazem ducha Leonarda”?

Znudzony czystym wzruszeniem, a zafascynowany nauką kazali pisarzowi opisywać życie ludzkie, jak zoolog opisuje życie mrówek. Jednakże pisarz głęboki nie może poprzestać na opisywaniu egzystencji człowieka z ulicy. Jeśli się nie pilnuje (a przeważnie się nie pilnuje), ów człowieczek zaczyna czuć i myśleć jakby wysłany z mrocznej i rozdartej głębi twórcy. Tylko mierny pisarz może pisać po prostu kronikę i opisywać wiernie (cóż za kłamliwe słowo!) zewnętrzną rzeczywistość epoki czy narodu. Wielki posiada taką moc wyobraźni, że nie zdoła tego uczynić, choćby nawet zamierzał. Powiadają, że Van Gogh chciał kopiować obrazy Mileta. Nie mógł, rzecz jasna: wychodziły mu te straszliwe słońca i drzewa, drzewa i słońca, które są przecież tylko opisem jego olśnionego ducha. Nieważne, że Flaubert pisał o konieczności obiektywizmu. Natomiast w jednym ze swoich listów opowiada, iż pewnego jesiennego dnia przechadzał się po lesie i czuł, że jest tym oto mężczyzną i jego kochanką, koniem i liśćmi, po których stąpa, wiatrem i tym, co do siebie 84

mówią kochankowie. Moje postacie ścigają mnie — powiada — a raczej ja sam jestem w nich.

Wyłaniają się z głębi bytu, są hipostazą, reprezentują twórcę i jednocześnie go zdradzają, mogą go bowiem przewyższać dobrocią i niesprawiedliwością, hojnością i skąpstwem. Zaskakują nawet samego twórcę, który z zakłopotaniem obserwuje ich namiętności i przywary. Ich przywary i namiętności mogą nawet byp przeciwieństwem tych, jakie ów niewszzechmocny bóg ma w życiu codziennym: jeśli jest religijny, wyłoni się przed nim zagorzały ateista, jeśli słynie z dobroci i hojności, zauważy w którymś ze swych bohaterów postawę skrajnego skąpstwa lub złości. I, co najdziwniejsze, odczuje prawdopodobnie jakieś opaczne zadowolenie.

Tak jest, *Madame Bovary c'est moi*. Lecz był nim również cyniczny Rudolf, niezdolny ścierpieć romantyzmu swej kochanki. I ten biedak Bovary, i również M. Homais, ów ateista z apteki: gdyż dzięki swemu rozpaczliwemu romantyzmowi, dzięki temu, że szukał absolutu i nie znalazł go, Flaubert mógł doskonale zrozumieć ateizm, a także ten rodzaj ateizmu miłości, jaki wyznawał łajdaczyna Rudolf.

Współcześni Balzaca twierdzą (z zadowoleniem, bowiem mali czują się powiększeni odstawiając pewne małości olbrzyma), że „prawdziwy” Balzac był wulgarny i próżny, może chcą dać nam do zrozumienia, że jego wielkie postacie to po prostu fantazje mitomana. Nie: są to samorodne emanacje jego ducha, na dobre i na złe. Nawet zamki i krajobrazy, jakie wybiera dla swoich fikcji, są symbolami jego obsesji. Stefan Dedalus twierdzi w *Portrecie*, że artysta, jak Bóg Stworzenia, przebywa ponad swoim dziełem i obojętnie obcina paznokcie. Irlandczyk samochwalński! Z tego, co wiemy o tym geniuszu, zarówno to dzieło, jak *Ulisses* są projekcją samego Joyce'a: jego namiętności, jego dramatu, jego osobistej tragikomedii, jego myśli.

Twórca jest we wszystkim, nie tylko w postaciach. Wybiera sobie dramat, miejsce, krajobraz. W *Republice* powiada Platon, że Bóg stworzył archetyp stołu, stolarz tworzy złudzenie tego archetypu, zaś malarz złudzenie tego złudzenia. Oto jedyna możliwość sztuki naśladownictwa: zanikanie do trzeciej potęgi. * A tymczasem wielka sztuka jest umacnianiem. Nie naśladowaniem zwykłego, zrobionego przez stolarza stołu, lecz odkrywaniem rzeczywistości poprzez duszę artysty.

Tak oto, kiedy jesienią roku 1962 ze ściśniętym sercem spoglądałem z jakiegoś pagórka na kościółek w Ry, kiedy z drzeniem wszedłem do domu, w którym niegdyś była apteka M. Homais, kiedy spojrzałem na miejsce, gdzie biedna patetyczna

Emma wsiadała z utęsknieniem do dylizansu, co ją wiozł do Rouen, nie miałem przed sobą kościoła ani apteki, ani wiejskiej uliczki, lecz fragmenty nieśmiertelnego ducha, które odczułem poprzez te zwyczajne przedmioty zewnętrznego świata.

Poniedziałek wieczorem

Miałem bardzo zły dzień, mój drogi B., zdarzają mi się rzeczy, których nie umiem wytłumaczyć, a tymczasem, i może właśnie dlatego, staram się uchwycić ten dzienny wszechświat myśli. Pokusa wszechświata platońskiego! Im większy jest wewnętrzny tumult, im straszniejsze napierają na nas presje, tym bardziej czujemy się skłonni szukać porządku w myślach. Zawsze tak ze mną było, ale muszę przyznać, że to zawsze mija. Zwróć uwagę na tę sławną „harmonijną” grekę, którą wbijano nam do głowy w szkole średniej: jest to wymysł XVIII wieku, a wszedł w skład arsenału oklepanych ogólników, podobnie jak angielska flegma i francuski zmysł umiaru. Śmiercionośne, pełne udreki tragedie greckie wystarczałyby, aby unicestwić te głupstwa, a przecież istnieją jeszcze inne, bardziej filozoficzne dowody, przede wszystkim wynalezienie platonizmu. Każdy szuka tego, czego nie posiada, i jeśli Sokrates szuka Rbzsądku, to dlatego właśnie, że koniecznie go potrzebuje przeciwko swoim namiętnościom: wszystkie przywary dają się wyczytać z jego twarzy, pamiętasz? Sokrates wynalazł Rozsądek, bo był szalony, zaś Platon gardził sztuką, bo był poetą. Piękne przykłady dla zwolenników Zasady Sprzeczności! Jak widzisz, logika nie służy nawet jej wynalazcom.

Dobrze znam tę platońską pokusę, i nie z opowiadania. Doznałem jej po raz pierwszy jako młodzieniec, kiedy samotny onizowałem się w brudnej i przewrotnej rzeczywistości. Odkryłem wówczas ten raj jak ktoś, kto wywłókszy się ze śmietnika zażywa kąpieli w przezroczystym jeziorze. Wiele lat później, zimą roku 1934, pogrążony w rozpacz znalazłem się w Paryżu, gdzie w dodatku cierpiałem głód i zimno. Dopóki nie natrafiłem na woźnego z Ecole Normale przy rue d'Ulm. Pozwolił mi przespać się w swoim łóżku, a później co wieczora wchodziłem tam oknem. Ukradłem wówczas u Giberta rozprawę o rachunku nieskończoności i do dziś pamiętam chwilę, kiedy pijąc gorącą kawę z drzeniem otworzyłem książkę i poczułem się, jak gdybym brudny i wygłodzony umknął ze spustoszonego przez barbarzyńców miasta i wszedł do cichej świątyni. Twierdzenia matematyczne podniosły mnie na duchu, jak delikatne pielęgniarki 86

podnoszą ciało człowieka, który może złamał kręgosłup. I z wolna przez szczeliny w mojej rozbitej duszy zaczął jak przez mgłę dostrzegać piękne i wyniosłe wieże. '

Długo pozostawałem w tej twierdzy milczenia. Aż pewnego dnia przyłapałem się na słuchaniu (nie na słyszeniu, lecz na niecierpliwym słuchaniu) gwaru ludzkiego, tam na ulicy. Zacząłem odczuwać tęsknotę krwi i brudu, bo jedynie w tej postaci możemy odczuwać życie. A cóż może zastąpić życie, nawet z jego bólem i ze świadomością końca? Ilu było takich, co popełnili samobójstwo w obozie koncentracyjnym?

Tacy już jesteśmy, z jednej krańcowości popadamy w drugą. I w tych ostatnich gorzkich latach mojego istnienia nieraz zaczął mnie znowu kusić ów obszar absolutu; ilekroć byłem w obserwatorium, zawsze odczuwałem inwersyjną tęsknotę ładu i czystości. Choć nie uciekłem od walki z moimi potworami, chociaż nie uległem pokusie wstąpienia na nowo do obserwatorium niczym wojownik do klasztoru, jednak czyniłem to niekiedy wstydliwie, szukając schronienia w myślach o fikcji: w polowie drogi między szalem krwi a klasztorem.

Sobota

Mówisz mi o tym, co wydrukowano w czasopiśmie kolumbijskim. Z powodu takich właśnie przykrości opadną ci kiedyś ręce albo będziesz krzyczał z oburzenia. To są gruzy wywiadu. Usunięto najważniejszą część moich myśli, zatem nie ma to ze mną nic wspólnego.

Jak widzę, przeżywasz kryzys z powodu problemów, jakie sobie stawia literatura latynoamerykańska. A że mnie pytasz, muszę sprostować ten śmieszny po prostu bełkot mojej rzekomej wypowiedzi. Mówijem zawsze, że nowość formalna nie jest niezbędna dla dzieła artystycznie rewolucyjnego, jak to widać na przykładzie Kafki: i że ona nie wystarcza, jak wykazują liczne utwory popełnione przez panów umiających operować interpunkcją i znających się na technice introligatorskiej. Sądzę, że pracę literacką możemy porównać z grą w szachy: zwyczajnie przesuwając figury, talent znajduje nowe¹ rozwiązania. To wszystkie dzieła K. stwarzają nowy język, nie jego klasyczny słownik i spokojna składnia.

Czytałeś książkę Janoucha? Powinieneś ją przeczytać, bo w tej epoce byle jakości wypada wznieść spojrzenie ku świętym, jak K. albo Van Gogh: oni ciebie nigdy nie zawiodą, pomogą ci naprostować kurs, zobowiążą cię (moralnie) na nowo przybrać 87

poważną postawę. W jednej z tych rozmów K. powiada do Janoucha, że wirtuoz wzaosi się ponad temat z łatwością prestidigitatora. Ale prawdziwie twórcza praca nie jest wirtuozostwem, lecz rodzeniem. Czy można powiedzieć, że kobieta rodzi z wirtuozostwem? To jest dziedzina komediantów. Wycho-
dzą z punktu, w którym prawdziwy artysta się zatrzymuje. Te osoby — powiada — słowami wywołują salonową magię, wielki poeta natomiast nie handluje wzruszeniami: przeżywa wizjonerskie napięcia między człowiekiem i jego losem.

Te uwagi stosują się w wyższym jeszcze stopniu do nas, do Hiszpanów i Latinoamerykanów, zawsze skłonnych do werbalizmu i fanfaronady. Pamiętasz ironiczne uwagi Maireny o „zwyczajnych wydarzeniach ulicznych”? Obecnie wciąż jeszcze o nich mowa w opowiadaniach awangardy. Borges, którego nie, sposób pomawiać o lekceważenie języka, powiada, że „Lugones % miał talent doskonale werbalny”, a w kontekście ujawnia pejoratywny sens tej oceny. O Quevedo pisze, że „był największym sztukmistrzem słowa”, i dodaje: „a jednak Cervantes...” tak, z melancholijnymi trzema kropkami. Zważywszy, że Borges przez kilka dni poszukiwał odpowiedniego określenia (*jak* oświadczył), dojdziemy do wniosku, że w tej wątpliwej ocenie mieści się sporo bolesnej samokrytyki, przynajmniej odnośnie do precjozizmu, jaki w nim jest obok wszystkich zalet, a tę właśnie skłonność wielbią (i karykaturują) jego naśladowcy, gdy on sam, jak widać, nad nią ubolewa. -Bowiem wielki pisarz nie jest rzemieślnikiem słowa, tylko wielkim człowiekiem, który pisze, i on o tym wie. Czyżby inaczej stawiał barbarzyńcę Cervantesa ponad wirtuozą Quevedo?

Machado podziwiał w swoim czasie Daria, uważał go za nieporównanego mistrza formy, zaś po latach nazwał go „wielkim poetą i wielkim demoralizatorem” z powodu zgubnego wpływu, jaki miał na głupców, którzy tylko ukazywali i mnożyli jego błędy, dochodząc w tym do rozpasania słownego, do napuszonej groteski i karykatury: oto jak bóg literatury ukarał tych uczniów.

Istnieje jakaś powtarzająca się dialekryka między życiem i sztuką. Zjawisko enantiodromii heraklitowskiej: wszystko zdąża ku swemu przeciwieństwu w świecie ducha. Kiedy literatura staje się niebezpiecznie literacka, kiedy, miejsce wielkich twórców zajmują majstrowie słownictwa, kiedy wielka magia zmienia się w magię music-hallu, wtedy jakiś nagły impuls życiowy ocala ją od śmierci. Za każdym razem, kiedy nadmiernie wyrafinowany

* Leopoldo Lugones — poeta i powieściopisarz (1874—1938), główny przedstawiciel modernizmu argentyńskiego (przyp. tłum.).

bizantyzm grozi literaturze śmiercią, barbarzyńcy spieszą jej z pomocą: ci z peryferii, jak Hemingway, i autochtoni, jak Celinę: na koniu, z zakrwawionymi włóczniami wpadają do salonu, gdzie upudrowane markizy tańczą menueta.

Nie. Jakże mógłbym twierdzić coś tak drażniącego w tym wywiadzie. Nie negowałem odnowy sztuki: powiedziałem, że powinniśmy mieć się na baczności przed rozmaitymi oszustwami, a zwłaszcza przed określeniem „nowy”. W sztuce w odróżnieniu do nauki nie ma postępu w takim znaczeniu. Nasza matematyka przewyższa matematykę Pitagorasa, lecz nasza rzeźba nie jest „lepsza” od rzeźby Ramzesa II. Proust wyszydza kobietę, która jako postępową uważała, że Debussy jest lepszy niż Beethoven tylko dlatego, że przyszedł później. W sztuce nie ma postępu, są raczej cykle odpowiadające pewnej koncepcji świata i egzystencji. Egipcjanie nie dlatego rzeźbili monumentalne geometryczne posągi, że nie byli zdolni do naturalizmu; dowodzą tego postacie niewolników znalezione w grobowcach; dla nich „prawdziwa rzeczywistość” była daleko, tam, gdzie istnieje czas, a przecież najbardziej podobna do wieczności jest hierarchiczna geometria. Wyobraź sobie chwilę, kiedy Piero della Francesca wprowadza proporcję i perspektywę; jest to tylko manifestacja ducha mieszczchańskiego, dla którego „prawdziwą rzeczywistością” jest rzeczywistość tego świata, duch ludzi wierzących bardziej w wexsel niż w mszę, w inżyniera bardziej niż w teologa.

Zatem należy się wystrzegać słowa „awangarda” w sztuce, zwłaszcza jeśli idzie o problemy ściśle formalne. Czy mielibyśmy rację uważając naturalistyczną rzeźbę grecką za postęp w stosunku do owych geometrycznych posągów? Przeciwnie, w sztuce zwykle tak się dzieje, że stare staje się nagle rewolucyjne, tak było w hipercywilizowanej Europie z rzeźbą murzyńską i polinezyjską. Ostrożnie więc z tym fetyszyzmem „nowego”. Każda kultura ma jakieś poczucie rzeczywistości, a w tym cyklu kulturowym — każdy artysta. Dla Kafki nowe nie jest to, co Dos Passos rozumiał przez nowe. Każdy twórca winien poszukiwać i znaleźć swój własny instrument, który mu pomoże wypowiedzieć jego prawdę, ukazać jego wizję świata. A chociaż wszelka sztuka powstaje nieuchronnie na sztuce, która ją poprzedziła, prawdziwy twórca będzie czynił to, co mu jest właściwe, czasem z zawziętością niemalże śmieszną dla tych, którzy idą za modą. Nie zrozum mnie fałszywie: moda rządzi ubiorem i uczesaniem, a nie powieścią i katedrą. Bywa też, że łatwiej zauważa się nowość w tym, co przychodzi z zewnątrz, dzięki czemu większe wrażenie wywarł John Dos Passos niż Kafka. Lecz, jak rzekłem, nowy język stworzyły wszystkie

dzieła K. Dopiero całość nadaje nowy sens każdemu zdaniu, "a nawet każdemu słowu. Wystarczy pomyśleć, jakie nie kończące się odbłaski metafizyczne i teologiczne emanują z tak wyświechtanego w sądownictwie słowa, jak proces. *

Nie jest zatem prawdą, że nie akceptuję nowości. Nie akceptuję, żeby mi podkładali świnie, a to nie jest samo. Ponadto muszę przyznać, że z każdym dniem gorzej znoszę frywolność w sztuce, a przede wszystkim kiedy się ją miesza z Rewolucją. (Zauważ, przy' sposobności, że pewne słowa zwykło się zaczynać od wielkiej litery, po smutnym doświadczeniu obniża się je do małej, po jeszcze smutniejszym umieszcza się je w cudzysłowie.) Jeżeli kobieta idzie za modą, to rzecz naturalna, jeżeli to czyni artysta, jest to ohydne.

Zobacz, co się dzieje w plastyce. Z małymi dramatycznymi wyjątkami stała się sztuką elity w najgorszym tego słowa znaczeniu, pewnego rodzaju ironicznym rokoko, podobnym temu, jakie panowało w salonach XVII wieku. To znaczy, że nie jest to bynajmniej sztuka awangardowa, przeciwnie, to jest sztuka retrogardii. I, jak zwykle w takich warunkach bywa, jest sztuką niskiego lotu, dobrą dla rozrywki, dla zabicia czasu, z przy-mrużeniem oka u tych, co się znają na rzeczy. W owych salonach schodzili się panowie znużeni życiem, aby plotkować i ze wszystkiego stroić żarty. Opracowywano zgrabne akrostychy, epigramaty i gry słów, parodie Eneidy, wymyślano tematy, trzeba było układać wiersze. Kiedyś ułożono 27 sonetów na temat (hipotetycznej) śmierci papugi. Twórczość ta miała się tak do wielkiej sztuki jak ogień sztuczne do pożaru sierocińca. Powagę ośmieszano, sprytem zastępowano talent, co zawsze jest w złym smaku. *Musique de table*, byle nie zaszkodzić trawieniu. W czasie kiedy ubogi lud ginął z głodu i w lochach poddawany był torturom, tego rodzaju sztuka była duchową perwersją i zgniłą dekadencją. Wszelako należy przyznać w obronie tego klanu, że nie uważali siebie za pionierów nadchodzącej rewolucji. Przynajmniej pod tym względem mieli dobry smak, czego nie można powiedzieć o tych, którzy dzisiaj czynią to samo. Nie szukajmy daleko, tu, w Buenos Aires, młodzieńcy mieniący się rewolucjonistami (mienili się w danej chwili, dzisiaj zapewne mają już dobre posady i solidnie się pożenili) przyjęli z zachwytem schemat powieści, którą by można czytać od początku do końca i od końca do początku. Mówią o masach i o dzielnicach nędzy, lecz, jak owi markizi, są z gruntu zgnili i dekadency. Podczas ostatniego biennale w Wenecji ktoś wystawił na podium mongoloida w fotelu. Jeśli dochodzi do takiego ekstremu, zrozumiałe jest, że cała nasza cywilizacja się wali.

Już wiesz, o jakich to nowościach rozmawiałem z tym panem z czasopisma. Uważał mnie za reakcjonistę, bo chciało mi się rzygać. Przeciwno takiej właśnie Antyakademickiej Akademii będziesz musiał—jak cię już na początku ostrzegłem — uzbroić się w odwagę, krzepiąc się wspomnieniem wielkich cierpiętników sztuki, którzy, zbuntowani jak Van Gogh, cierpieli mękę samotności, podczas gdy tamci pseudobuntownicy są beniaminkami czasopism specjalistycznych, żyją wystawnie na koszt biednego burżuaja, którego obrażają, i korzystają z poparcia społeczeństwa konsumpcyjnego. Zwalczając je na pozór, są w istocie jego dekoratorami.

Będą się z ciebie śmiali. Lecz ty trzymaj się mocno i pamiętaj, że *ce qui paraît le plus ancien est le plus moderne* *.

Tak postępując nie będziesz może pisarzem twojego świata, lecz będziesz artystą twojej apokaliptycznej epoki i winieneś w jakiś sposób pozostawić jej świadectwo gwoli ocalenia twojej duszy. Powieść sytuuje się pomiędzy początkiem nowoczesności i jej końcem, biegnąc równoległe z rosnącą profanacją (jakież to znaczące słowo) istoty ludzkiej, ze straszliwym procesem demistyfikacji świata. Dlatego też jałowe będą wszelkie próby osądzania dzisiejszej powieści terminami ściśle formalnymi: należy ją usytuować w tym ogromnym całkowitym kryzysie człowieka, w zależności od tego olbrzymiego łuku, który poczyna się z chrześcijaństwem. Bez chrześcijaństwa bowiem nie istniałoby nieczyste sumienie, bez techniki cechującej nowoczesność nie byłoby desakralizacji ani niepokoju kosmicznego, samotności ani alienacji. Tym sposobem Europa wstrzyknęła do legendarnej, opowieści i do zwyczajnej epickiej przygody niepokój psychiczny i metafizyczny; stworzyła nowy rodzaj (tu powinniśmy zastosować ten przymiotnik!), któremu byłoby przeznaczone odsłonić fantastyczny obszar, sumienie człowieka.

Powiada Jaspers, że wielcy dramaturgowie greccy przekazywali tragiczną wiedzę, która widzów nie tylko wzruszała, lecz ich zmieniała, zatem stali się wychowawcami swojego ludu. Jednakże później — jak twierdzi — owa tragiczna wiedza przeobraziła się w zjawisko estetyczne i zarówno poeta, jak i jego audytorium poniechali pierwotnej poważnej postawy i poczęli dostarczać obrazów bez krwi. To nie jest słuszne, gdyż takie dzieło, jak *Proces*, jest nie mniej poważne niż *Król Edyp*. Natomiast jest słuszne w odniesieniu do sztuki, która w każdym momen-

* *ce qui...* (fr.) — to, co wkrótce wyda się najbardziej zamierzchłe, na początku wydawało się najnowocześniejsze.

cie przerafinowania staje się po prostu manifestacją estetyzmu i bizantyzyzmu. W świetle tej właśnie teorii powinieneś osądzać literaturę naszego kontynentu.

OSZALEJĘ rzekła, patrząc mu prosto w oczy,
OD TYCH SNÓW ^ S^J^y chciała odczytać jego
 ukryte intencje. Tak, tak, odparł, nie
 bój się, ja się tym zajmę.

Homunkulus wpatrywał się w nią ze swojego flakonu, z okropnym wyrazem. Czy ma go wypuścić? Ale ten czarny robak, ten czarny diabeł, co skoczył w twarz M., kiedy Ricardo operował mu brzuch?

Obydwie możliwości są straszliwe, toteż waha się nieskończenie długo. Tymczasem w tajemniczy sposób pojawiają się jego papiery, niby czarne kpiny wyłażą z utajonych skrytek. „Zostawiał” je w miejscach nieoczekiwanych, a jednak na pewno wpadną mu w ręce, wcześniej czy później. Ot, na przykład, tych parę zjadliwych słów, napisanych niewyraźnie, prawie nieczytelnie: „Przyłącz się do małżeństwa Sartre — Simone de Beauvoir. To dobrzy ludzie.”

RÓŻNEGO Od jutra zacznie pisać. Decyzja jest nierodzaju odwołalna, a towarzyszy jej pewne oży-
TRT TDNO^CT w*61"6- W sprzyjającym nastroju wychodzi na spacer i chociaż od strony zachodniej kształt jakiejś chmury począł go nie wiadomo dlaczego niepokoić, zapomina o tym incydencie i znalazłszy się w centrum przemierza ulicę Uruguay; w pobliżu Sądów. Ogląda wystawy, które zawsze budzą jego zainteresowanie, wywołane być może wspomnieniami z dzieciństwa: uważnie, starając się nie tracić szczegółów, ogląda jedną po drugiej w sposób systematyczny, łatwo przecież się zagubić w pstrokatej mnogości przedmiotów: kolorowe ołówki, kleje, taśmy rozmaitej wielkości i w różnych kolorach, kompas, japońskie spinacze, lupy. Kilka jest takich sklepów i ten obchód wprawia go w pewną euforię, uważa, że to dobry znak dla pracy, którą ma na nowo nazajutrz podjąć. Potem pije kawę w El Foro, kupuje „La Razón” i czyta uważnie wiadomości, zaczynając od końca, jak bowiem zdołał stwierdzić w swoim długim życiu, gazety i czasopisma robione są na opak, rzeczy najbardziej interesujące są zawsze na ostatnich stronicach.

Zasypia tej nocy, z radosnym uczuciem, a raczej z uczuciem 92

podobnym do radości: taki stosunek może być między kolorem malwy a jej wspomnieniem. Po obudzeniu odczuwa mocny ból w lewym ramieniu. Pisać na maszynie nie sposób. ,

Po tygodniu ból staje się znośniejszy, ale, wtedy przyjeżdża profesor dr Gustaw Siebenmann, z uniwersytetu w Erlangen.

Po jego wyjeździe uzbierało się tyle korespondencji, że musi poświęcić dwa albo trzy dni, aby na wszystko odpowiedzieć i nie przerywać później pisania. Ma właśnie dokończyć tę pracę, kiedy otrzymuje list od dra Wolfganga Luchtinga, który opisuje mu szczegółowo sprawę z panią dr S., odnośnie do tłumaczenia. Co ma uczynić? On, Luchting, osobiście, uważa, że należy zmienić tłumacza.

Chodzi nie tyle o trud napisania listów do Luchtinga i do pani dr S. w celu złagodzenia sytuacji, ile o pewność, że coś znowu złośliwie staje na przeszkodzie jego planom. Mimo to zaczyna pisać, ale już z wysiłkiem. W tym momencie telefonuje mu Noemi Lagos, że Alfredo jej powiedział, że ktoś mu powiedział, iż G. powiedział (gdzie, jak?), że on, Sabato, powiedział nie wiadomo co, a zatem Noemi uważa, iż powinien wyjaśnić (ale komu, kiedy, w jaki sposób), że ta wersja jest niezgodna z prawdą.

Popada w depresję, trwającą kilka dni i rozmyśla w tym czasie, że a) nie warto tłumaczyć się przed G. z czegoś, czego nie powiedział, b) nie warto tłumaczyć się przed nikim z niczego, co było, co jest i co będzie, c) lepiej jest nie być osobą publiczną i d) najlepiej ze wszystkiego byłoby w ogóle się nie urodzić.

Program zaiste rozległy i trudny do wykonania, zwłaszcza punkt ostatni — o urodzeniu — pogrąża go w głębszej jeszcze depresji, co poczęło się wyrażać bólem ramienia.

Jednakże nie koniec na tym, jak zresztą przewidywał na podstawie długiego doświadczenia.

Po niezliczonych nieudanych próbach wybrany został jako tłumacz *Bohaterów i grobów* na angielski pan R. M. i po prawie dziesięciu latach konfliktu z Heinemannem w Londynie, w tej sprawie, okazuje się, że autorem akceptowanej próbki nie był pan R. M., jak wynika z rozdziałów, które kolejno nadsyła. Trzeba go odrzucić. No, a umowa z wydawnictwem Holt Rinehart? Sprawa Heinemanna opóźniła o dziesięć lat wydanie angielskiego przekładu książki, a teraz ten drugi grozi opóźnieniem o dalszych kilka lat wydania jej w Nowym Jorku. Tymczasem przychodzi mu na myśl, że to wszystko może mieć coś wspólnego ze Ślepymi (jeden z lektorów, którzy interweniowali w sprawie tłumacza R. M., nazywał się Augen! O próbce R. M. wyrażał się z entuzjazmem). Zaczyna się ożywiona korespondencja:

Sabato do R. M.
R. M. do Holta
Holt do R. M. i do Sabata
R. M. do Sabata i do Holta

w końcu, po uciążliwych i mętnych negocjacjach, p. R. M. zobowiązuje się dokonać przekładu w nieokreślonym terminie. Wydawcy Holt zaufali częściowo panu R. M. i na pewno są przekonani, że nikt nie potrafi przetłumaczyć tej powieści na angielski.

W toku tej sprawy, profesor Egon Pavelic Buch zawiadamia, że przekład serbsko-chorwacki dokonany przez doktora Sch. ma ■ poważne, a często zasadnicze błędy. Sabato przekazuje po części uwagi E. Pavelica wydawnictwu Ateneum, wydawnictwo najwidoczniej powiadamia o nich pana Stefana Andrica, ten zaś puszcza natychmiast w ruch potężną maszynę listów do krytyków, • dziennikarzy, profesorów i przyjaciół, na temat przekładu doktora Sch., pisze o jego zasługach literackich i osobistych, o jego ! poświęceniu i oddaniu, jak również o defektach moralnych, intelektualnych i fizycznych pana Sabato.

Niemal jednocześnie doktor Luchting występuje ponownie przeciwko wydawnictwu i grozi, że przerwie tłumaczenie esejów, jeżeli Limes nie odstąpi od swoich wymagań. Odwzajemnione listy Sabata do Luchtinga i do pani de S., wyjaśnienia i rekryminacje dwustronne i trójstronne między drem Lichtingiem a wydawnictwem, między wydawnictwem a autorem, między autorem i drem Lichtingiem, między tym ostatnim a wydawnictwem, ciągną się przez kilka tygodni, co dla Sabata komplikuje się wskutek pogrzebu K., wskutek jakiegoś przyjęcia, na którym P. oskarża Sabata, że zupełnie zapomniał swoich przyjaciół, wskutek gwałtownej dyskusji z powodu jakiegoś wyjaśnienia, którego Sabato odmówił. List Sabata do czasopisma „Razón y Fabuła” z Bogoty prostuje ordynarne zniekształcenie wywiadu, którego zgodził się udzielić pewnemu facetowi o uprzejmych manierach, i wreszcie trwający dwa tygodnie atak artre-tyzmu, po ustąpieniu którego Sabato przyrzeka sobie, że mimo wszystko, cokolwiek by się stało, zabierze się do powieści.

Lecz oto przyjeżdża student Richard Ferguson, który pracuje nad jego dziełem na uniwersytecie w Waszyngtonie.

Nie zdążył jeszcze uporać się z tym faktem, kiedy musi skontrolować przygotowane przez Losada ostatnie kompletne wydanie swoich utworów i rzucić choć jedno życzliwe spojrzenie na kryptogram, nadesłany mu przez pana Ahmeda Maussa: arabska wersja *Tunelu*.

Tymczasem należy sformułować bądź podpisać deklaracje w sprawie
tortur
więźniów politycznych
telewizji argentyńskiej
peronizmu
antyperonizmu
wypadków w Paryżu, Caracas, na Cejlonie
problemu palestyńskiego
w tym samym czasie zaczyna się nader uciążliwa korespondencja w kwestii tłumaczenia na hebrajski:
proponuje się, akceptuje, a w końcu, po trudnych pertraktacjach, odrzuca się tłumacza przedstawionego przez wydawnictwo.

Jednocześnie pewien profesor uniwersytetu Mc Gili z Montrealu ogłasza cykl wykładów o literaturze hispanoamerykańskiej i chce nagrać rozmowę.

Tymczasem nagromadziła się nowa sarta korespondencji i trzeba w grzeczny sposób odmówić: zaproszeniom uniwersytetu w Chile
zjazdu pisarzy w Caracas
Komisji Współpracy ze Szkołą Przemysłową Nr 3 w Cordobie
Stowarzyszenia Hebrajskiego w Rosario
Komitetu dla Ochrony Jerozolimy
, Klubu Rzymskiego
Uniwersytetu Katolickiego w Salcie
Czasopisma Biblioteki Ludowej Almafuerie
Stowarzyszenia absolwentów w Lincoln (prowincja Buenos Aires)
Instytutu Profesorskiego Mariano Moreno w Belle Ville
Instytutu Literackiego Uniwersytetu w Cuyo
Stowarzyszenia Pisarzy w Rio Cuarto
Festiwalu w Manizales, Kolumbia.

Na niektóre z tych zaproszeń odpisuje, że cierpi na rzekomy atak artretyzmu, co skądinąd natychmiast po tej prowokacji okaże się prawdą. Atak trwa około 20 dni; korzystając z niego czyta po raz dziesiąty *Don Quijote'a* i przyrzeka sobie, że zacznie pisać, kiedy tylko ból ustąpi.

Projekt musi ulec odroczeniu, ponieważ spadł na niego grom z jasnego nieba: ktoś chce z nim mówić w pewnej sprawie, ale tylko osobiście, w żadnym wypadku przez telefon. Podkreśla ten warunek. W jakiej sprawie? Nieznajomy robi mnóstwo okrzyków i w końcu jest zmuszony napomknąć o motywach spot-

kania: coś w związku z tym, co Sabato napisał o Ślepych. *Caramba*, bardzo żałuję, ale nie będzie mógł spotkać się i rozmawiać o tej sprawie z wielu powodów, a głównie dlatego, że on nie może być odpowiedzialny za coś, co mówi bądź czyni któraś z postaci jego powieści. Nieznajomy godzi się pozornie na ów argument, lecz po kilku dniach ponawia prośbę i prowadzi wyczerpującą rozmowę z sekretarką, po czym jeszcze dwukrotnie usiłuje rozmawiać z S. — nadaremnie. Jednakże ów telefon sprawia, że S. znowu odstępuje od projektu.

Siedzi w swojej pracowni i godzinami patrzy w jakiś ką.

NACHO i tak doszli do rogu
SZEDŁ ZA SIOSTRĄ ulicy Cabildo i
W PEWNEJ ODLEGŁOŚCI Echeverria. Tam

Agustina poszła dalej przez Echeverria i dotarłszy do placu zaczęła iść powoli swoim charakterystycznym długim krokiem, ale tak, jakby teren był podminowany. Jednakże najbardziej go martwiło, że co pewien czas przystawała i rozglądała się dookoła, jak gdyby ktoś jej się zgubił. Potem siadła naprzeciw kościoła: mógł ją widzieć w świetle latami; w skupieniu spozierała to w ziemię, to na boki.

Wtedy zobaczył, że zbliża się do niej S. Podniosła się czym prędzej; S. energicznie wziął ją pod ramię i odeszli przez Echeverria, w stronę ulicy Arcos.

Nacho oparł się o drzewo i długo stał w ciemności, z przykniętymi oczami. Kiedy odzyskał siły, poszedł do domu nie oglądając się za siebie.

O UBOGICH I O CYRKACH Nacho wyciągnął się na łóżku i melancholijnie obserwuje żyrafy pasące się spokojnie na wolności, na łące w Kenii. Nie chce już więcej

o tym myśleć. Nie chce mieć siedemnastu lat. Ma siedem lat i spogląda w niebo nad parkiem Patrycjuszów.

— Zobacz, Carlucho — powiada — ta chmura to jest wielbłąd.

Carlucho nie przestając siorbać matę podnosi oczy i potakuje chrząknięciem.

Jest wczesne popołudnie, w parku panuje wielka cisza.

Nacho ubóstwia tę porę; bardzo ważne rozmowy może wówczas prowadzić z przyjacielem.

— Carlucho, powiedz mi prawdę — prosi po dłuższym milczeniu. — Czy ty wierzysz w Trzech Króli?

— W Trzech Królów, powiadasz?

Nie lubi takich pytań i jak zwykle, kiedy jest w kłopotcie, poczyna układać czekoladki i cukierki.

— No, powiedz, Carlucho.

— A bo ja wiem — mruczy, nie patrząc na chłopca. — Ja nic nie wiem, jestem człek nieuczony. Zawsze ino do ciężkiej harówki mnie brali, robotnikiem byłem, ładowaczem, to znów do zbioru kukurydzy, takie rzeczy.

— Ale powiedz, Carlucho.

— Co cię ugryzło — fuknął ze złością. — Skąd ja mam to wiedzieć?

Z ukosa zobaczył, że malec smutno zwiesił głowę.

— Ej, nie bądź zły, Nacho, przecież mnie znasz, jestem twój przyjaciel, ale taki już we mnie diabelski charakter.

Na nowo ją przekładać czekoladki.

— Słuchaj, Nacho — rzekł w końcu. — Siedem lat skończyłeś, czas ci wiedzieć prawdę. Trzech Królów nie ma. To wszystko bajki. Życie jest smutne, co ci mam kłamać. To nieprawda. Carlo Americo Salerno ci to mówi.

Nacho nie dał za wygraną.

— No, a te zabawki, Carlucho?

— Zabawki? Jużem ci powiedział, wszystko bajki. Przecież tylko u bogaczy kładą dzieciom podarki do butów. Kiedy byłem taki jak ty, Trzej Królowie do mnie nie przychodzili. Tylko bogatych domów szukali. Rozumiesz? Jasne jak słońce: Trzej Królowie to twój ojciec i matka.

Nacho zwiesił głowę i począł coś rysować palcem na niebrukowanym chodniku. Podniósł kamyk i cisnął nim o drzewo, jakby z roztargnieniem. Carlucho, przyrządzając kolejną matę, uważnie go obserwował.

— Ech, co tam można wiedzieć. Jeden myśli tak, drugi inaczej. Nieboszyk Zaneta, świeć Panie nad jego duszą, mówił zawsze, że świat to jest wielka tajemnica. Chyba miał rację.

Wszedł klient, kupił papierosy. Po dłuższej chwili Carlucho zauważył zagadkowo:

— Cholera! Jakby przyszedł anarchizm...

Nacho spojrział nań ze zdziwieniem.

— Anarchizm? A co to takiego?

Carlucho siadł na niskim stołku i uśmiechnął się zadumany. Widać było, że myśli o czymś dalekim a pięknym.

— Luwi tu jest potrzebny — powiedział.

— Kto to jest ten Luwi?

97

W wielkich momentach, kiedy Carlucho miał wyjawic jakąś głęboko odczuta myśl, zmieniał zwykle zioła w tykwie i nie spiesząc się to, co zamierzał powiedzieć, owijał w długie milczenie, podobnie jak posągi na placach otacza się przestrzenią, która uwydatnia ich urodę.

— Kto to był Luwi? — rozmarzył się Carlucho i ponownie przysiadł na stołku, tym samym, który służył jego ojcu. — Już ci mówiłem, że w 18 roku, zaraz jak skończyła się wojna, robiłem na estancji Don Jacinto, dofii Marii Unzue de Alvear. Razem z Custodio Medina robiliśmy. I tam przyszedł Luwi. To był liny era. Słyszałeś ty kiedyś o linyerach?

. — Nie, nigdy.

— Oni przychodzili z daleka, z tobołkami na plecach. Szy nami kolejowymi szli, a potem gościńcem. Na estancję przychodzili, żarcia i spania linyerom nigdy nie odmawiano, trzeba przyznać.

— Więc to byli robotnicy, tacy jak ty i Medina?

— Nie, to nie byli robotnicy. Linyera to linyera, nie żaden robotnik. My, znaczy się robotnicy, byliśmy najmowani do roboty.

— Najmowani?

— No, tak. Dla zarobku my pracowali. Rozumiesz?

— A linyera nie pracował?

— Pracował, ale nie żeby zarobić. Nikt go nie zmuszał.

Nacho nie rozumiał. Carlucho zmarszczył czoło w wielkim wysiłku i starał się mówić zrozumiale.

— Linyera był wolny jak ten ptak, rozumiesz? Przychodził na estancję, popracował trochę, gdy mu się chciało, i poszedł so bie. Jak dziś stoi mi przed oczami Luwi z tym swoim tobołkiem na plecach. Rządca, don Busto, powiedział, żeby został, robota dla ciebie się znajdzie, przyjacielu. Ale on powiedział: nie, **don** Busto, pięknie dziękuję, muszę iść dalej.

— Dokąd musiał iść?

— Dokąd? Przecież ci mówiłem, że linyera był jak ptak. Dokąd ptak leci? Może ty wiesz?

. — Nie wiem.

— No właśnie — Carlucho zadumał się. — Jakbym go miał przed sobą: wysoki, chudy, brodę miał prawie czerwoną, a oczy niebieskie, całkiem jasne. Z tobołkiem na plecach. Wszyscyśmy patrzyli, jak szedł między akacjami, i hajda w drogę. Kto go wie, dokąd.

Carlucho patrzył przed siebie w park, jak gdyby go widział wśród drzew odchodzącego w nieskończoność.

— I już go więcej nie widziałeś?

— Nie. Kto wie, może już nie żyje. '

— Dziwne jakieś imię, Luwi, prawda?

— Cudzoziemskie jakieś. Niemcem był albo Włochem, ale nie wiem, bo nie był takim Włochem jak mój ojciec. Mówił, że jest skądś, z jakiegoś kraju, jużem zapomniał. Luwi. Przyszedł, popracował trochę, mechanik był, parę motorów zreperował, coś przy młotami zrobił. Wszystko potrafił. A wieczorem, w szeptach, tłumaczył robotnikom anarchizm.

— Anarchizm?

— No, tak, znał taką książkę. Z niej czytał i tłumaczył.

— A co to takiego anarchizm, Carlucho?

— Ja jestem nieuczony, już ci mówiłem. Czego chcesz? Żeby ci tłumaczył, jak Luwi?

— Choć trochę mi powiedz. Czy to taka bajka, jak to o Karolu Wielkim, co mi opowiadałeś?

— Nie, to całkiem coś innego.

Przyrzucił kolejną matę i skupił się głęboko.

— Zapytam cię o coś, Nacho. Słuchaj mnie dobrze. Kto stworzył ziemię i drzewo, rzeki, chmury i słońce?

— Bóg.

— Tak jest, Bóg. Więc to jest dla wszystkich, wszyscy mają prawo mieć drzewo, pić wodę. Ano, powiedz, czy ptak prosi kogoś, żeby mu pozwolił latać?

— Nie prosi.

— Może sobie lecieć gdzie chce i zbudować gniazdo, i mieć młode, no nie?

— Pewnie że tak.

— A jak jest głodny albo ma nakarmić pisklęta, to leci i szuka jakiegoś ziarenka i zabiera sobie,- no nie?

— Pewnie, że tak.

— Otóż Luwi nam tłumaczył, że człowiek jest jak ptak. Wolno mu pójść dokąd chce i odejść. A jak mu się chce latać, to lata. A jak chce zrobić gniazdo, to robi. Bo to ziarno i ta słoma na gniazdo, i ta woda do kąpieli i do picia są od Boga i Bóg je stworzył dla wszystkich. Zrozumiałeś to? Bo jak nie rozumiałeś, to na nic się nie zda moje gadanie.

— Tak, zrozumiałem.

— To dobrze. A więc dlaczego jedni mają posiadać ziemię, a inni mają być robotnikami i pracować? Skąd oni wzięli tę ziemię? Może ją sfabrykowali?

Po krótkim namyśle Nacho powiedział, że nie.

— Słuszna racja, Nacho. To znaczy, że chyba ją ukradli. Nacho się zadziwił. Jak to, *przecież* złodzieje idą do więzienia? Carlucho uśmiechnął się z goryczą.

— Poczekaj, mały. A ja ci powiadam, że oni tę zionie ukradli.

— Ale komu ukradli, Carlucho?

— A bo ja wiem. Indianom, starodawnym ludziom. Nie wiem. Już ci mówiłem, że jestem nieuczony, ale Luwi to wszystko wiedział. Zresztą coś ci powiem. Pomyślmy na niby, że jutro nie będzie na wsi ani jednego robotnika. Może mi powiesz, co się stanie wtedy?

— No, nie będzie ludzi do roboty w polu.

— Słuszna racja. A jak nikt nie będzie robić w polu, to nie będzie zboża, a bez zboża nie będzie chleba, a bez chleba cały świat przestanie jeść. Nawet właściciele. Bo skąd wezmą chleb, może mi powiesz? A teraz słuchaj, coś innego ci powiem. Pomyśl sobie na niby, że znikli wszyscy szewcy. Co by się stało?

— Nie będzie butów.

— Racja. A teraz pomyśl, że znikli murarze.

— Nie będzie domów.

— Racja, Nacho. A teraz pytam cię, co by się stało, jakby jutro znikli właściciele. Właściciel nie sieje kukurydzy ani pszenicy, butów nie robi, nie buduje domów i do żniw także ręki nie przykłada. Więc może mi powiesz, co by się stało, jeśli można wiedzieć?

Nacho spojrział na niego zdumiony. Carlucho tryumfował.

— No, powiedz, co by było, jakby nie było właścicieli?

— Nic — odrzekł Nacho zaskoczony czymś tak potwornym. — Nic by nie było.

— Święta racja. A teraz zastanów się nad jedną rzeczą, wiem ją od Luwiego; szewc, żeby zrobić buty, musi mieć skórę; murarzowi trzeba cegieł, a rolnik nic nie zrobi bez ziemi, bez nasion i pługa. No nie?

— Pewnie.

— A czyja jest skóra i cegły? Do kogo należy ziemia i pług?

— Do właściciela.

— Racja. Wszystko jest w rękach właścicieli. Dlatego my, biedni, jesteśmy niewolnikami. Bo oni mają wszystko, a my nic, tylko te ręce do roboty. A teraz jeszcze coś innego ci powiem, tylko dobrze uważaj.

— Będę uważał, Carlucho.

— Jak my, biedni ludzie, zabierzemy irń ziemi i cegielnię pozajmujemy, i wszystko, to będziemy mogli fabrykować buty i domy budować, i siać, i zbierać, bo do tego mamy ręce. I nie będzie biedy i niewoli. I choroby także nie będzie. I wszyscy będziemy chodzić do szkoły.

Nacho spoglądał nań ze zdumieniem.



Carlucho przebierał gazety i papierosy, ale myślami zwrócony był do wnętrza. Dokonywał wielkiego wysiłku umysłowego, lecz w głosie jego nie było gniewu, był pogodny i czuły.

— To wszystko jest proste, Nacho. Luwi tłumaczył nam to z książki i przy tym kładł na ziemi różne drobiazgi. Tak a tak: ten kamyk to jest fabryka, ten kubek to maszyna, a ta rozsypana fasola to robotnicy. Powiadam ci, tak to wszystko tłumaczył, że nie będzie choroby ani suchoty, ani żadnej eksploatacji. Każdy jeden będzie musiał pracować. Ten, co nie pracuje, nie ma prawa żyć. Ba, ja tu mówię o zdrowych ludziach, o dorosłych mężczyznach i kobietach. O małych dzieciach, o chorych i o staruchach nie mówię. Przeciwnie, Luwi powiedział, że wszyscy, co pracują, mają obowiązek utrzymywać inwalidów, dzieci ci i starych. Jeden robi buty, drugi chleb, trzeci idzie żąć zboże. A wszystko, co robią, chowa się do wielkiego magazynu. W tym magazynie jest wszystko: tu jedzenie, tu ubranie, tam książki szkolne. Wszystko, co sobie tylko można przedstawić. Nawet zabawki i słodycze dla dzieci, bo to dla nich jest to samo, co dla nas koń i sombrero. W tym magazynie są tacy, co tam pracują, oni pilnują wszystkiego, co tam jest. No to ja tam idę i powiadam mu, daj mi parę butów taki a taki numer, a kto inny prosi o kilo mięsa, inny znów chce czekolady albo żąda worka, bo mu się podarł. Każdy dostanie to, czego potrzebuje. Ale tylko tyle, ile mu trzeba.

— A jak ktoś jest bogaty i chce kupić więcej?

Carlucho obrzucił go karcącym spojrzeniem.

— Bogaty? Przecież ci mówił, że bogatych nie będzie.

— Dlaczego nie będzie?

— Bo nie będzie pieniędzy.

— A jak miał od przedtem?

Carlucho uśmiechnął się i zrobił odmowny gest.

— Jak miał, to wyszedł na dumnia, bo pieniądze nic nie będą warte. Po co komu pieniądze, jak wszystko dostanie za darmo z tego magazynu. Pieniądz to kawałek papieru. I do tego brudny, pełno w nim bakterii. A ty wiesz, co to są bakterie?

Nacho kiwnął głową, że wie.

— No, dobra; pieniądze do powietrza. Kto głupi, niech je sobie schowa, jak zechce. Nikt mu nie zabroni.

— A jeżeli ktoś zechce dostać z magazynu więcej butów, trzy albo cztery pary?

— Trzy albo cztery pary, powiadasz?

Carlucho roześmiał się serdecznie.

— A do czego mu cztery pary butów, jak mamy tylko dwie nogi? 101

Prawda, Nachowi nie wpadło to do głowy.
— A jak ktoś przyjdzie do magazynu ukradnie?
— Ukradnie? Po co ma kraść? Jak czegoś mu trzeba, to przyjdzie i poprosi, i dadzą mu. Zwariowałeś?
— To i policji nie będzie!
Carlucho zrobił przeczący gest głową. Spoważniał.
— Policji nie będzie. Policja to najgorsze ze wszystkiego. Z doświadczenia mówię:
— Z doświadczenia? Z jakiego doświadczenia?
— Z doświadczenia i już — skwitował niejasno.
— A jeżeli ktoś nie zechce pracować?
— Jak nie zechce, to niech nie pracuje. Zobaczymy* co zrobimy, jak głód go przycisnie.
— A jeżeli rząd nie zechce?
— Rząd? A po kiego diabła nam rząd? Jakem był mały i zostaliśmy na ulicy i umierali z głodu, to mój ojciec wylazł z tej nędzy, bo don Pancho Sierra zafundował mu jatkę. Jak poszedłem pracować na roli, także obeszło się bez rządu. W cyrku także. A jak się nająłem do chłodni w Berisso, to rząd był tylko do tego, żeby nasłać nam policję na kark, jakeśmy strajkowali. Torturowali nas.
— Torturowali? Co to znaczy, Carlucho?
— Nie, nic. Tak mi się wyrwało. To nie są rzeczy dla dzieci. A zresztą, ja jestem — jak to się mówi? — ignorant jestem.
Carlucho zamilknął, a Nacho pojął, że nie będzie już mówił o anarchizmie. Przyszedł klient po papierosy i zapalki. Potem Carlucho usiadł na stołeczku i w milczeniu pił matę.
Nacho spoglądał na chmury i rozmyślał.
— Wiesz, Carlucho? — odezwał się po pewnym czasie. — Na tym pustym placu w Chiclana jest cyrk. Dzisiaj rozdawali ulotki. Pójdziemy?
— Nie wiem, Nacho. Prawdę mówiąc, te dzisiejsze cyrki są do bani. Nie to, co dawniej...
Z matę w rękę, zadumał się nostalgicznie.
— Dawne lata...
Po chwili, wróciwszy do rzeczywistości, powiedział:
— - Pewnie jakiś mały cyrk, bida z nędzą.
— Ale jak ty byłeś mądry, także były małe cyrki. Przecież mi opowiadałeś?
— Ano, były... ten cyrk Fernandez... Ale te wielkie cyrki, jak za moich czasów, tego już nie ma. Skończyły się. Bioskop je wykończył.
— Bioskop? Co to jest bioskop?
— Dzisiaj się mówi kino. Kino zabiło cyrk.

— Dlaczego, Carlucho?

— To jest zanadto skomplikowana rzecz dla dziecka. Ale tak jest: nastąpiło kino i bądź zdrów.

Przyrządza matę \ wraca do swoich myśli. Na jego twarzy rysuje się lekki uśmiech, nasiąkły smutkiem.

— W 18 roku przyjechał Toni Lobandi... Zajmował cały Plac Espafia...

— Lepiej mi powiedz o tym małym cyrku Fernandeza.

— Dobra... *zacznę* od szarańczy... Mój ojciec uprawiał u don Pancho Sierry kawałek pola. To był dobry człowiek, don Pancho. Nie dość, że kurował, jeszcze lekarstwa dawał biedo cie. Miał długą, białą brodę, ot, taką długą. I wróżyć umiał. Jak się urodził dzieciak, matka nosiła go do niego jeszcze przed ochrzczeniem i on jej powiadał, ten ci się uchowa, ten ci się nie uchowa. Trzynaścioro nas było, jużem ci mówił. Ano, i don Pancho wywróżył, że troje się nie uchowa. Nie uchowała się ani Norma, ani Juana, ani Fortunata.

— One umarły? — zapytał Nacho z podziwem.

— Ma się "rozumieć — odparł Carlucho. — Przecież ci po wiedziałem, że don Pancho umiał wróżyć. Mama już z góry re zygnowała, bo don Pancho jej mówił, nie płacz, dofia Feliciano, taka jest wola Boża, trzeba się jej poddać. Ale tak .czy tak mamą płakała i pilnowała dzieciaka, a on tak czy tak umierał. Takie jest życie.

— A teraz mi powiedz, dlaczego odeszliście z tego pola.

— Mój stary był Włochem. W 16 roku stracił tam wszyst ko, do ostatniego grosza. Szczerze powiem ci, że nie ma wspanialszego widoku, jak wielki nalot szarańczy. Całe niebo się za ciemniło, a my dzieciaki powychodziłyśmy i uderzały w blaszanki po nafcie. Ale to na nic. Na szarańczę nic nie poradzi. Mama mówiła, że jedyne, co można zrobić, to modlić się, aby przele ciała bokiem... Przypominam sobie jak we śnie, sześć lat mi wtedy było, tłukłem w tę bańkę, że aż huczało. Dla nas, maluchów, to była zabawa, ale mama płakała, jak tylko zobaczyła, że zaczyna spadać pierwsze szarańcze. W końcu, chociażśmy tłukli jak wariaty, nie było już rady. Wtedy stary krzyknął: dosyć tego, i żeby Panchito i Nicola przestali ganiać z jednej strony na drugą, żeby się uspokoili. Cicho bądźcie — krzyknął... Stary był zrozpaczony, ale myśmy się go nie bali, bo usiadł jak niemy na tym niskim stołku, co był specjalnie do picia matę. Siedział pod okapem i patrzył jak sparaliżowany, jak mu szarańcza wszystko zżera. Nie ruszył się ani na krok i przez kilka dni pary z ust nie puścił. A później od razu powiedział: stara, pójdziemy do miasta, tu się skończyło, ładujcie wszystko na wóz, powiedział, a my

w mig zaczęliśmy robić, co stary kazał, i ani mru mru, bo stary był jak szalony, chociaż głosu nie podniósł. A kiedyśmy już załadowali i wszystko było gotowe, to mama nie chciała wyjść z chałupy; wtedy stary wszedł i powiedział całkiem spokojnie, wychodź, stara, tu się skończyło, co mamy robić, biedni jesteśmy, szczęścia nie mamy, pójdziemy do miasta próbować szczęścia. Ale mama nie chciała się ruszyć spod pieca i ciągle płakała, aż na koniec stary złapał ją za ramię i pociągnął do wozu. A jakieśmy już wyszli i zamknęli za sobą furtkę, stary się zatrzymał i długo patrzył na chałupę i słowa-nie pisał, ale tak wyglądał, jakby mu się chciało płakać. Aż nareszcie się obrócił i powiedział: chodźmy, i tak poszliśmy do miasta, a za nami rała psiarńia poszła. Powiadam ci, nawet jedna pchła nie została.

' Jakiś czas Carlucho milcząc pił matę i patrzył w ziemię.

-- Ano — podjął — jakem ci mówił, stary stworzył małą jatkę — bydlę dawał na kredyt don Pancho, a mieszkaliśmy w chałupie, co stała w okólniku, i to także należało do don Pancha.

i — I pewnie wtedy przyjechał cyrk?

— Racja. Wtenczas tata wynajął mu okólnik za 50 pesos. Ale to było 50 pesos z tamtych czasów, mocne pesos. No i po stawili cyrk. Arena była na 10 łokci, a przedstawienia dawali w czwartki, soboty i niedziele. W sobotę i w niedzielę poranek, popołudniówka i wieczorne. Jak była publiczność, ma się rozu mieć. Czasami nie przyszło więcej jak pięć, dziesięć osób, wten czas don Fernandez gasił karbidowe latarnie i był wściekły. Chlał wódkę i bił żonę Esperanzę, to była ekwilibrystka, jego żona, a jego córka Marialu była *lacuyere* *, ją także walił, jak był wściekły. Był tam jeszcze kasjer, on był bratem doni Esperanzy, ale on się nie wtrącał, jak don Fernandez bił kobiety. Don Fernandez miał jeden niebezpieczny numer, rzucanie nożem.

— I ty także pracowałeś?

— Jak mój stary nie widział. Zapalałem latarnie, narzędzia podawałem, różne takie *rzeczy*. Spodobało mi się w cyrku, chciałem pójść z nimi.

— I co, poszedłeś?

— Nie, jak mogłem, kiedy miałem dopiero 13 lat i byłem w trzeciej klasie... Zresztą ten biedny don Fernando tak na tym wyszedł, że nawet na jedzenie nie stało. Mój stary dał im kawał mięsa, oni kupili chleba i tak parę dni pociągnęli, ale dalej nie było co robić, pecha miał biedak. Jak zwinęli namiot, nie mieli 50 pesos za plac, don Fernandez chciał zostawić staremu kara-

* poprawnie l'ecuyere (fr.) — cyrkówka

bin, co go miał do numeru ze strzelaniem, ale tata powiedział nie, don Fernandez, niech pan zabierze karabin, przecież panu jest potrzebny do numeru. No to sobie poszli i jużemy ich więcej nie widzieli. Raz, jakem ja pracował w cyrku braci Rivero, w Pergamino, ktoś mi powiedział, że na koniec splajtowali, sprzedali namiot, wóz i karabin, dofia Esperanza zmarła na obustronne zapalenie płuc, Marialu z wujem dostali robotę w cyrku Fassio, co jeździł w stronach Chacabuco, a don Fernandez rozpił się do cna i nie mógł już nawet robić numeru z nożami ani z karabinem.

Carlucho zadumał się. Ale Nacho chciał posłuchać, co było potem. Na twarzy Carlucho zabłysnął nieśmiały rozmarzony uśmiech.

— Piękne czasy, Nachito, piękne czasy... żeby być szczerym, to był najpiękniejszy czas w moim życiu. W roku 22 robiłem na estancji dofii Marii Unzue de Alvear, ale jakem się dowiedział, że cyrk Toniego Lobandi przyjechał, zaraz zszedłem do miasteczka. Nelia Nelki występowała, w stroju męskim, na białym koniu, co miał ogon długi do samej ziemi. Potem wystąpił sam Toni Lobandi, powiadam ci, nie ma drugiego takiego jak on. Toni Lobandi wspiął się na konia po ogonie, potem koń obracał się do taktu muzyki, a on tymczasem się rozbierał z kamizelek. 25 kolorowych kamizelek z siebie zdjął. I Scarpini, znany kłown argentyński... Później szedł straszny numer z klatką wielką na całą arenę, a w niej był afrykański lew na wolności, był pogromca i był koń, czarny jak węgiel... Potem szedł najlepszy numer: słynna piramida ludzka braci Lopresti... Wtedy to już sobie powiedziałem: ja pójdę z nimi, i niech się dzieje wola Boża.

— I postawili ciebie na piramidzie?

— Skądże, Nacho. Jak mnie mogli postawić, kiedy ja nic nie umiałem robić? Co ty sobie myślisz, przecież cyrk to jest bardzo poważna rzecz. Wzięli mnie jako robotnika. Zamiatalem arenę, końskie gówno wymiatalem, trochę tego, trochę tamtego, rozumiesz, zwykły robotnik. Ale jak dawali przedstawienie i ja miałem na sobie mundur ze złotymi galonami i czapkę, i ustawiali nas w dwóch rzędach z boku, jak korytarz, i korytarz szli atleci, konie, tresowane psy, kłowny. Później, jak zobaczyli, że ja się prędko wszystkiego uczę i że mam warunki, to zacząłem brać udział w piramidzie. Ale dopiero jak umarł jeden z braci Lopresti, po trzech latach. Byliśmy w Pergamino, jak dziś pamiętam, Lobandi mi powiedział: Carlucho, teraz dla ciebie szansa. Musiałem się schować w jakimś ciemnym kącie, żeby nie widzieli, że płacę. Wielka okazja mego życia. Tak się zaczęła najwazniejsza epoka mego życia.

Carlucho podniósł się, w mroku poczynano się rozświetlać, magiczny blask bije od białego jak śnieg trykotu. Oto są bracia Lopresti, pięciu ich jest, w świetle kolorowych żarówek są wspaniali i promienni. Zgrabnie wspinają się na żelazne baraki Juana Lopresti. Na herkulesowych barach buduje się piramida przy coraz głośniejszym, dramatycznym werblu bębnow. Po tem mężczyźni tworzący piramidę zeskakują, jeden po drugim, a werbel powoli przycicha i w końcu milknie. Oto stoją teraz wszyscy w szeregu i z wdziękiem kłaniają się publiczności, która ich oklaskuje. Światło zaczyna gasnąć i cyrk staje się znowu kioskiem z gazetami, a Carlucho człowiekiem pokonanym przez lata i smutki, jak gdyby w jego wnętrzu obluzowała się jakaś wielka sprężyna.

— Tak, tak, Nachito... To były cudne czasy... Skończyły się te wspaniałe cyrki i już nie wrócą...

Nacho spoglądał nań z powagą i cisza była coraz głębsza. Po chwili, mimo że już wiedział, jeszcze raz go spytał, dlaczego porzucił cyrk.

— Byliśmy w Cordobie, tam uszkodziłem sobie kręgosłup — powiedział złamanym głosem. Przez chwilę siorbałmate.

— Lobandi mi powiedział: dla ciebie, Carlucho, zawsze się znajdzie praca, ale ja mu powiedziałem: dziękuję, don Lobandi, ja wolę odejść. Bo jeżeli mam pracować z łaski, jako robotnik, to lepiej nie. No i odszedłem, ale też nie chciałem, żeby mnie w dzieli w miasteczku, wtenczas Custodio Medina powiedział: pójdziesz ze mną do chłodni...

Ułożył kilka czasopism, naprostował rząct czekoladek tak manewrując, aby Nacho nie widział jego twarzy. Obaj milczeli, każdy zwrócony w siebie.

Było już prawie całkiem ciemno; cicho na palcach nadeszła noc.

SNY OGÓLU Kiedy czekał na swoją kolejkę, przyglądał mu się jakiś młodzieniec siedzący przy stoliku. W końcu młodzieniec wstał i z wahaniem przystąpił do niego.

— Chciałem pana pozdrowić, tylko pozdrowić. Czytałem pańskie książki — powiedział z uśmiechem, trochę się jękając. — Nazywam się Bernardo Wainstein.

Kolejka była długa, trzeba było czekać i sytuacja zaczynała być kłopotliwa. Obydwaj byli zmieszani: Czy pan jest studentem. Nie, jest urzędnikiem. Młodzieniec patrzył na niego bez przerwy.

— Pan chce mi coś powiedzieć?

Tak, oczywiście, chciał go spytać o mnóstwo rzeczy. Słowo „mnóstwo” powtórzył dobitnie z lekkim niepokojem. I raptem, jakby się zdecydował, powiedział „okrucieństwo”.

S. spojrział na niego pytająco. Wainstein stropił się.

— Słucham pana.

— Jest pan zwolennikiem przemian społecznych.

Tak, oczywiście nie ukrywałem tego.

v Rozmowa, zaledwie rozpoczęta, miała się chyba ku końcowi. Młodzieniec nie wiedział, jak pogodzić obydwie obserwacje, jak ustanowić między nimi logiczny związek. I jakkolwiek S. domyślał się, o co chodzi, lecz on także nie wiedział, jak wyjść z sytuacji. Żał mu było chłopca.

— Pan, zdaje mi się, chce mi powiedzieć, że moje powieści są przeładowane okrucieństwem, że pełno w nich bezlitosnych epizodów, nieprawdaż?

Wainstein spojrział na niego.

— Obserwacje i myśli Castela i Vidal Oknosa, czy nie? Na uczycielka z *Raportu o Ślepcach*, prawda?

— Tak, ale proszę mi tego nie brać za złe. Ja nie miałem za miaru... No, nie wiem, jak to panu wytłumaczyć... To nie ja...

Był zbity z tropu i najwidoczniej żałował swoich słów. S. jednakże poruszając ręką jakby dla uspokojenia gomówił dalej.

— I jak się da pogodzić to okrucieństwo, ten szyderczy sto sunek Vidal Oknosa do postępu, ze stanowiskiem lewicowym, nieprawdaż?

Wainstein spuścił głowę, jak gdyby był winien tej sprzeczności.

— Tak jest, nie ma powodu się wstydzić. Postawił mi pan znakomite pytanie. Ja sam stawiałem je sobie niejednokrotnie, zawsze kiedy bywałem zdumiony, a nawet zły'na siebie za tę zdolność do tak przewrotnych myśli.

— Och, przecież są też inne — załagodził czym prędzej młodzienc. — Sierżant Sosa, Hortensja Paz, bo ja wiem...

S. powstrzymał go gestem.

— Tak, wiem... Ale bardziej interesuje mnie tamto. Trudno to wytłumaczyć. Wszyscy jesteśmy pełni sprzeczności, a powieściopisarz chyba bardziej niż wszyscy inni. Może dlatego jest się powieściopisarzem. Mocno mnie niepokoiła ta dwoistość, dopiero teraz, w ostatnich latach wydaje mi się, że zaczynam coś rozumieć.

Kobieta rozmawiająca przez telefon zapytała o zdrowie jakiejś panny (albo pani) imieniem Meneca, a także o ogólny stan pogody w Ciudadeli. Następnie przypomniała, zreferowała, za-

nalizowała i wreszcie osądziła incydent z sąsiadem z powodu kota.

Kolejka poczęła się denerwować.

— Później, jak już się dochodzi — zauważył S. — to albo przestaje funkcjonować, albo łączy fałszywie, albo połyka mo netę.

Kobieta przy telefonie zmieniła pozycję; wszyscy byli pewni, że ta zmiana zapowiada koniec rozmowy. Po prostu chciała oprzeć ciało na drugiej nodze. Protesty stały się bardziej zjadliwe. Jednakże ona okazała się niewrażliwa na presję moralne. Wydaje się, że teraz rozpoczęła najważniejszą część konwersacji, coś w związku z nowotworem. Po dłuższej chwili zaczęła chyba wchodzić w ostatnią fazę porozumienia: wskazywało na to pewne obniżenie tonacji. Wszyscy poczuli ulgę. I chociaż ton (z jakiejś niewiadomej przyczyny, prawdopodobnie przez coś, co powiedziała tamta z Ciudadeli), znowu się ożywił i pojawiły się nieoczekiwane warianty na temat dobrych i złych stron interwencji chirurgicznej (według wyrażenia rozmawiającej), należy przyznać, że wreszcie nastąpiło ponowne obniżenie tonu, i po licznych pozdrowieniach dla szeregu osób znajomych po obydwu stronach linii telefonicznej kobieta zawiesiła słuchawkę i z dumą, na nikogo nie patrząc, odeszła. Kolejka posunęła się naprzód powoli i niezgrabnie niby zwierzę o wielu łapach, wspinające się z trudem na wysoką górę, trudności komplikowała jeszcze nie-szczęсна budowa wewnętrzna tego robaka: oddzielny system nerwowy dla każdego pierścienia, wzajemna niezależność.

W oczach Wainsteina widoczne było zakłopotanie.

— Tak jest. W ostatnich latach nękała mnie myśl o tym problemie. Przeprowadzono badania encefalografem na osobach śpiących. W Stanach Zjednoczonych, rzecz jasna. Kiedy się śni, fale są odmienne, stąd wiadomo, że temu człowiekowi coś się śni. Otóż, za każdym razem, kiedy zaczyna śnić, budzą go. Wie pan, jakie są skutki?

Wainstein obserwował go, jak gdyby oczekiwał rewelacji.

— Można faceta doprowadzić do S2aleństwa.

Wainstein zdawał się nie pojmować.

— Rozumie pan? Fikcje mają wiele ze snów, które mogą być okrutne, bezlitosne, mordercze, sadystyczne, nawet u osób normalnych, skłonnych za dnia do dobrych uczynków. Te sny to jak by wyładowania. A pisarz śni za ogół. Pewnego rodzaju sen ko lektywny. Społeczność, która by zabroniła fikcji, naraziłaby się na wielkie niebezpieczeństwo.

Młodzieniec wciąż się weń wpatrywał, lecz spojrzenie nie było dokładnie takie jak przedtem.

— Zresztą niewiem, to tylko hipoteza. Nie jestem pewien.

Wracał w złym humorze: ta kobieta przy telefonie, ta rozmowa o kotach i o nowotworach, o ciotkach i o stanie pogody w Ciudadeli. Życie wydało mu się nagle takie bezsensowne. Ta pani z rakiem umrze, oczywiście. Ale co znaczy ta cała mieszanina? I kolejka, ten robak powolny, niespokojny, wielomózgowy. Czekają. Wszyscy. Na co? Spać, sny.

Zasypiając zamykamy oczy, tym samym PRZEMIENIAMY SIĘ W ŚLEPCÓW. Przystanął na chwilę, zaskoczony.

Dusza odbija od brzegu wielkiego nocnego jeziora i udaje się w mroczną podróż: *cette aventure sinistre de tous les soirs**. Byłyby złe sny wizjami tego ohydneho świata? Jak te wizje wyrazić? Przy pomocy znaków na pewno niejednoznacznych: nie istnieje tu „szklanka” ani „szanowny pan” ani „pianino”. Jest pochwoszlanka, szanopianino, słoniwóz, panochmura, nocopochwa. „Analiza” snów, psychoanalicy, tłumaczenie tych symboli nieprzetłumaczalnych na żaden inny język. Uśmieć by się z tego, gdyby nie ten ból brzucha. Ontofania i kropka.

A jaka naiwność. Ślepcy mogą być spokojni. Przy tłumaczeniu wszystko się sprowadza do kilku nieszkodliwych i fałszywych słów: gestami tłumaczyć mongoloidowi teorię względności. Pewnie, ze słów można tworzyć symbole. Czy Kafka tego nie ■czynił? Ale te same słowa, oddzielnie, nie są symbolami. Straszny ból brzucha, mój Boże. ■

NIEZNAJOMY ciemnowłosa, zaniedbany mężczyzna, przed nim szklanka. Pogrążony w myślach, daleki* Mógł widzieć część jego twarzy; kanciasty jakby rżnięty w kauczuku, koło ust zmarszczki goryczy.

Ten człowiek, pomyślał Bruno", jest absolutnie i definitywnie samotny.

Nie wiedział, dlaczego wydawał mu się znajomy; długo poszukiwał w pamięci i usiłował skojarzyć go z jakąś fotografią w gazecie bądź czasopiśmie. Skądinąd byłoby dziwne, gdyby człowiek w tak zniszczonym ubraniu, ktoś, kto tak nisko upadł, mógł być postacią z czasopism. Chyba — przeleciało mu nagle przez myśl — że kiedyś miał coś wspólnego z kromką policyjną. Po godzinie mniej więcej nieznajomy podniósł się i odszedł. Mógł mieć około sześćdziesiątki, chodził przygarbiony, był wysoki i chudy. Twarz miał surową, ubranie wystrzępione, a jednak w jego rysach i postawie była pewna wytworność. Chodził jakby

* *cette aventure...* (ff.) — ta pofiuara przygoda, powtarzająca się co wieczór.

roztargniony: było widoczne, że nie szedł do nikogo, że nikt go nie oczekiwał, że wszystko mu było obojętne.

Bruno, jak to on: kontemplujący i bezwolny, przywykł zastanawiać się nad ludzką samotnością i pomyślał: „albo jest przestępcą, albo artystą.”

Ów obraz tkwił miesiącami w jego pamięci, utrwalił się w niej w sposób niepojęty. Aż pewnego dnia wydało mu się, że coś sobie przypomina, nabrał podejrzeń. Przeszukał swoje archiwum, nie było to archiwum filozofa ani pisarza czy dziennikarza, to było archiwum człowieka, dla którego ludzkość stanowi bolesną tajemnicę.

Tak znalazł to zdjęcie: owym nieznanym był Juan Pablo Castel, który w 1947 zamordował swoją kochankę.

Absolut, pomyślał wówczas Bruno Bassan, z łagodną, melancholijną zawiścią.

SPOGLĄDAŁ Jak to? Znowu mamy o tym dyskutować?
NA NICH Myślałem, że zostało to załatwione
Z NIECHĘCIA dziesięć lat temu. Ci pseu-domarksiści dzielą literaturę na polityczną i estetyzującą. *Ulisses* nie

jest ani polityczny ani estetyzujący, zatem nie istnieje. Należy do jakiejś teratologicznej fauny czy do botaniki. Wciąż mamy tracić czas na takie głupstwa? Mam sporo do zrobienia, a mało czasu. Nie na zegarku; w kalendarzu.

— Tak, ale pan ma obowiązki.

Chłopiec miał upartą twarz, trochę jak Gregory Peck, ale niski, o zaciśniętych wargach.

— Kin ty jesteś? Jak się nazywasz?

— Araujo.

— Ja to wszystko napisałem dziesięć lat temu.

— Myśmy czytali — wtrąciła się dziewczyna w żółtym swe trze i zniszczonych dzinsach. — Nie o nas chodzi, chcemy to nagrać, opublikować.

— Mam po uszy tych wywiadów i nagrań!

BRUNO czuje się kłopotliwie patrząc, jak S. siedzi
CHCIAŁBY teraz w tym kącie, zdejmuje okulary i prze-
ODEJŚĆ suwa ręką po czole ruchem zniechęcenia, a
tymczasem ci chłopcy dyskutują między sobą.
Bo nawet wśród nich nie ma zgody, stanowią jakąś absurdalną mieszaninę (co na przykład robią tu

Marcelo i jego ponury milczący towarzysz? Z jakiej przyczyny znaleźli się tutaj?). Ta niezgoda, ta gwałtowna ironiczna niezgoda wydaje mu się oznaką strasznego kryzysu, rozłamu doktryn. Oskarżają się nawzajem jak śmiertelni wrogowie, a chociaż wszyscy należą do tak zwanej lewicy, każdy z nich wydaje się mieć powód do nieufności wobec sąsiada z lewej lub z przeciwka, uważając, że jest on skrycie bądź otwarcie związany ze służbą wywiadowczą, z CIA, z imperializmem. Ogląda ich twarze. Ile rozmaitych światów kryje się za fasadami, ile zasadniczo odmiennych istot? Przyszła Ludzkość. Jakie wzorce, jakiego rodzaju ludzie? Nowy Człowiek. Ale jak go zbudować z tego zakłamanego oportunisty P. i z kogoś takiego jak Marcelo? Jakie cechy, jakie przymioty tego małego lewicowego karierowicza mogą przyczynić się do integracji Nowego Człowieka. Kontempluje Marcela w zniszczonej wiatrówe i wymiętych spodniach; jego niedostrzegalna prawie obecność wzbudza wszakże szacunek Sabata. Ponieważ — Sabato mu wyjaśnił — wobec niego zawsze czuje się winien z powodu jego dobroci, milczącej powściągliwości, delikatności. Nie wierzy, że dusza tego chłopca jest spokojna, prawie na pewno jest udręczona. Lecz jego udręka jest skromna, nawet grzeczna. Ciekawe, że ma te same rysy twarzy co jego ojciec, dr Carranza Paz: kościsty, wystający nos, czoło wysokie a wąskie, te same duże aksamitne oczy, nieco wilgotne: jeden z kawalerów na pogrzebie Hrabiego de Orgaz. Zatem dlaczego ta różnica? przekonuje się wciąż na nowo, że kości i mięśnie twarzy niewiele znaczą. To subtelności powodują różnice, czasami przepastne. Ale różnica leży w tym właśnie, w czym jest podobieństwo, odkrył to już Arystoteles, proustowska strona tego wszechstronnego geniusza. Istotnie, w tym, co jest wspólne tym oczom i ustom i tym kościstym wystającym nosom, jest owa przepastna różnica między ojcem a synem. Różnica naturalna, być może, lecz spotęgowana wskutek lat. Rysy prawie niewidoczne w kątach oczu, w powiekach, w wykroju ust, w sposobie pochylania głowy i podawania rąk (u Marcela nieśmiały, jakby przeproszał, że je ma, że nie wie, gdzie je podziać), dzielą tragicznie tych dwóch ludzi mimo to tak bliskich sobie, a nawet (mógłby na to przysiąc) tak sobie potrzebnych.

OCH, STRUKTURALIZM!

podjęła dziewczyna w żółtym swetrze:
— Wtajemniczony krytyk zastępuje słowo historia słowem diachronia, twierdzi, że opis synchroniczny nie da się pogodzić z opisem diachronicznym, dekretuje uniwersalną

ważność opisów synchronicznych, a zatem neguje możliwość nadania sensu historii.

— Jak? — krzyknął olbrzym z twarzą Kozaka.

Sabato spojrzał na dziewczynę:

— Jak się nazywasz? — i pomyślał Silverstein, Grinberg, Edekanan.

— Sylwia.

— A nazwisko?

— Sylwia- Gentile.

W porządku. Jak zauważył don Jorge Itzigsohn, nigdzie nie spotyka się tak wiele żydowskich twarzy jak we Włoszech. Zresztą może być saraceńska, takie twarze widuje się w Kalabrii i na Sycylii. Głowę podawała nieco do przodu, w badawczej postawie krótkowidza, który nie wie, czy ma przed sobą studnię czy wielbłąda.

Chłopcy wciąż wyklócali się o strukturalizm, o Marcusego, o imperializm i rewolucję, o Chile, Kubę, Mao Tse-tunga, o biurokrację, o Borgesa.

— A zatem?

— Zatem, co?

Kozak pytał głosem nadmiernie donośnym, czy nie należało-
by zatem przestać pisać.

— A ty kim jesteś?

— Mauricio Sokoliriski, przez i, 23 lata, znaków szczegó-
nych brak.

S. zbadał go spojrzeniem. Czy nie pisze przypadkiem.

— Owszem, nie przeczę.

— A co piszesz?

— Aforyzmy, Aforyzmy dzikusa. Bo, pan wie, ja jestem
dziki.

— Jakiego rodzaju aforyzmy?

— Pan mi powiedział, że są świetne.

— Ja? Kiedy?

— Jak posłałem panu książkę. Z fotografią na skrzydełku.

Jak widać, nie zrobiła na panu wielkiego wrażenia.

— Ależ, tak, oczywiście, Sokolinski przez i, naturalnie.

— W każdym kiosku na ulicy Corrientes są setki tygodni-
ków, w których się młóci to samo.

— Co?

— Że literatura przestała mieć znaczenie.

— Przepraszam — wtrącił się S. — a kim są ci chłopcy?
Robotnikami budowlanymi, hutnikami?

— Nie, jasne że nie. To są pisarze, piszą do tygodników.

— A zatem?

— Zatem co?
— Nic — podchwyciła Sywina — lepiej by było, żeby przestali wydawać te tygodniki. Niech wezmą karabiny i wstąpią do partyzantki. To by było odpowiedniejsze.
— Przypuśćmy nawet, że wstępują do partyzantki — podjął S. — to by świadczyło jak najlepiej o tych, co się decydują, ale nie umniejszyłoby ważności nie tylko książek w rodzaju Marks'a czy Bakunina, ale literatury pięknej. Tak jakby medycyna zo stała zdyskwalifikowana przez to, że Guevara ją porzucił. Jeszcze coś: czy kwartet Beethovena przyspieszył rewolucję francuską? Czy dlatego, że nie miał na nią wpływu, należy od rzucić muzykę? Nie tylko muzykę; poezję, niemalże całą literaturę i całą sztukę. I jeszcze coś. Jeżeli dobrze pamiętam dialektykę marksistowską, społeczeństwo nie dojrzało do rewolucji, jeżeli nie potrafi zrozumieć tego, co jest wartością we w tym społeczeństwie, które zamierza się wyrugować. Wy daje mi się nawet, że powiedział to sam Marks. Ci chłopcy są bardziej marksistowscy niż Marks? Jakie wnioski, jeśli łaska?
— Po pierwsze — rzekła Sylwia — żeby ci chłopcy z ulicy Corrientes...
— A ty, skąd jesteś? — przerwał Araujo.
— ... żeby ci chłopcy z ulicy Corrientes, którzy się nawza jem dopingują swoimi tygodnikami, przestali pisać i chwycili za karabiny. Po drugie...
- — Chwileczkę — przerwał Sabato — ja tych tygodników nie czytuję. Lecz upieram się przy tym, że nie tylko karabinami przygotowuje się rewolucję. Ale żaden z tych tygodników rewolucji nie wspomaga.
— Po drugie, kiedy robią Rewolucję, niech zostawią w spokoju sztukę i literaturę.
— Owszem — zauważył Kozak — tylko że większość nie wstąpi do partyzantki, a będą mówili, że ich kombatanckim obowiązkiem jest pomagać ze swoich okopów.
— Z okopów? — Z jakich okopów?
— Literatury.
— Jakże to.? Przecież zostało ustalone, że literatura nie ma znaczenia. Że nie przyczynia się do obalenia tego zgnitego społeczeństwa.
— Tak jest. Ale ta literatura...
— Jaka, jeśli łaska?
— Ta, którą wymienił Sabato. Dante, Proust, Joyce etc.
— To znaczy cała literatura.
— Oczywiście.

— Zatem — zdecydował się wtrącić S. — jaka jest tamta literatura?

— Wytłumaczę panu — odparła Sylwia. — Ci chłopcy wybrali literaturę, oni działają jako pisarze i twierdzą albo udają, że od tej strony, od tego frontu zaatakują koszary Moncada. Dlatego szukają punktu wyjścia: potrzebna im jest Księga Rewolucji, absolutny model rezydujący w jakimś niebie, gdzie Platon wśród innych Idealnych Przedmiotów dzierży oblicze Fidela. Na tej zasadzie orzekają, jakie książki (z małej litery) zbliżają się do tego archetypu, a jakie nie.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — zauważył Sabato — jakie nie — to jest cała literatura.

— Istotnie. Tę literaturę, to znaczy całą literaturę, kładą owi rewolucjoniści do jednej szuflady, razem z szaradami i krzyżówkami. Gry bez stawki. Poza tą szufladą pozostaje Literatura Rewolucyjna, skuteczna w działaniu niczym armata.

— Jedynym błędem tej literatury — skonstatował Sabato — jest to, że nie istnieje.

— Tak pan sądzi? — zapytał lodowato Araujo.

— Chyba że nazwiesz literaturą rewolucyjną proklamacje, przemówienia bojowe i pamflety. I sztuki teatralne, w których odznaczony traktorzysta żeni się z przodującą robotnicą, celem płodzenia chemicznie czystych synów Rewolucji. Francuzi także nie stworzyli niczego w swoim czasie. Istniały ponoć (tak mówią, bo już ich nie ma) utwory pod tytułem *Dziewica i Republika*.

— A ci terrorystyczni krytycy lewicowi — zaperzyła się Sylwia — doszukują się dziury w całym, w byle autorze opowieści fantastycznych widzą kolonialistę. I co najśmieszniejsze — oni są literatami z powołania.

— Bo nie przestają pisać ani na chwilę — dorzucił Kozak.

— I nie dają pisać innym.

A co myśli o tym Sabato?

Słucha, co mówią: wydaje mu się nieprawdopodobne, że jeszcze dyskutuje się o pewnych rzeczach. Czy nie wiedzą, że Marks recytował z pamięci Szekspira?

— Patrzcie państwo — zauważyła Sylwia — Szekspir napisał tę Księgę Rewolucyjną, a chłopcy z ulicy Corrientes o tym nie wiedzą.

Dobrze, że przestali się znęcać nad Marksem, który był we-i dług nich nieuleczalnym romantycznodrobnomieszczańskokontrrewolucjonistąnasłubieimperializmuUSA.

— W takim razie — zapytał nieoczekiwanie jakiś Metys, który dotychczas trwał w hieratycznym milczeniu — czy jedynie 114

w partyzantce można pomóc Rewolucji, czy książkami nic się nie da zrobić?

— Mówimy przecież o fikcji, o poezji — odparł znudzony już Sabato. — Oczywiście, że wiele mogą dla Rewolucji uczynić książki socjologiczne, krytyczne, powiedziałem to już na początku. *Manifest Komunistyczny* jest książką, nie karabinem maszynowym. Mówimy o pisarzach w ścisłym znaczeniu. Że ktoś chce wspomóc rewolucję manifestem, krytyką instytucji, pracą filozoficzną czy dziennikarską, jest nie tylko możliwe: jest pożądaną, jeżeli ten ktoś uważa się za rewolucjonistę. Groźna jest fałszywa ocena; na przykład twierdzenie, że wartościowym dziełem Picassa jest jego słynny gołąbek, natomiast jego kobiecie profilem z dwójkiem oczu są zgniłą sztuką burżuazyjną.

Chłopcy wszcześli na nowo krzykliwą dyskusję.

— Szkoda czasu na jałową dyskusję — przerwał im Sabato. — Nie sądzę, żeby gołąbek zapobiegł choćby jednemu bombardowaniu w Wietnamie, ale on przynajmniej ma sens. Nato miast nie ma sensu i nie można twierdzić, że tylko to jest sztuka, że zadaniem malarza, który pragnie przemiany społecznej, jest robienie tego rodzaju afiszów. Nie można płatać pojęć: sztuki z afiszami. Zresztą nieraz nam mówią, że obecnie, kiedy świat się wali, sztuka nie może sobie pozwolić na luksusy. Ale świat walił się również w epoce Rewolucji Francuskiej, a taki artysta jak Beethoven był rewolucjonistą do tego stopnia, że cofnął dydakcję Napoleonowi, kiedy ten sprzeniewierzył się Rewolucji. A przecież nie komponował rewolucyjnych marszów. Komponował wielką muzykę. To nie Beethoven napisał *Marsyliankę*.

— Oczywiście! - krzyknął Puch.

BRUNA FASCYNUJE TA TWARZ

Każde służalcze słowo napawa go wstydem za całą ludzkość, wie, że ten Puch mógłby stać się szpiclem albo wspinać się w górę na stanowisko funkcjonariusza tego systemu bądź przeciwnego.

Z ulgą powraca więc myślami do Carlosa. Aczkolwiek bolesna jest ta ulga, wszak wie, ile płacił taki Carlos za istnienie takich glist jak Puch. Carlos. Czy przypadkiem nie jest znowu przy Marcelu? Bo duchy powtarzają się: niemal wcielony w tę samą płonącą i skupioną twarz owego Carlosa z 1932. Twarz chłopca głęboko przeżywającego coś, czego nie może wyznać nikomu, nawet Marcelowi, który jest może jego bliskim towarzyszem, lecz ich przyjaźń na pewno składa się z milczenia i z czynów. Wraz z Carlosem wracają mu na pamięć imiona z tamtych cza-

sów: Capablanca i Aljechin, Al Jolson śpiewający w tym dziwnym filmie, Sacco i Vanzetti. Osobliwa a smutna mieszanka.

Znowu widzi przed sobą Carlosa (jego prawdziwego nazwiska nie znali): w pokoju przy ulicy Formosa czyta zawzięcie wydanie Marks'a i Engels'a; poruszając w milczeniu ustami przyciska pięści do skroni, jak ktoś kto z trudem szuka i odkopuje w końcu szkatułkę, gdzie znajdzie klucz do swojej niefortunnej egzystencji; śmierć matki w nędznej chacie pełnej wygłodzonych dzieci. To był duch religijny i czysty. Czy mógł w ogóle zrozumieć ludzi? Weielenie, upadek? Czy mógł zrozumieć tę skażoną kondycję człowieka? Czy kiedykolwiek zdoła pojąć i akceptować istnienie komunistów jak Blanco? Oto widzi jego oczy płonące w wychudłej skupionej twarzy. Cierpiał zapewne aż do granic udreki, aż stał się czystym duchem, aż to udrecone ciało zredukowało się do skóry i kości, do kilku najtwardszych mięśni, aby mogło znieść napięcie istnienia. Prawie nigdy nie mówił, jak teraz ten drugi, ale w jego oczach płonął gniew, a zaciśnięte wargi ukrywały dręczące tajemnice. A teraz ■ powraca, w tym drugim chłopcu, równie ciemnowłosym i wychudłym, który nie może pojąć, dlaczego znalazł się tutaj, pośród tej niezrozumiałej dla niego wrzawy. Może tylko z wierności dla Marcela. Ciekawe, że i ta druga symbioza się powtarza. Bowiem w przyjaźni Carlosa z Maksem, na pozór tak niezrozumiałej (jakkolwiek Maks nie był repliką Marcela), dobroć Maks'a była konieczna, aby od czasu do czasu gasić napięcie Carlosa, niczym woda na pustyni.

TAK OCZYWIŚCIE trzeba być skończonym głupcem, aby w imię Rewolucji odrzucić całą literaturę — przyznał Araujo. Nie uczynił tego ani Marks, ani Engels. Ani Lenin. Ale uważam, że pewien rodzaj literatury należy zakwestionować.

— Jaki, mianowicie? — spytał Sabato.

— Literaturę introspekcji, w pierwszym rzędzie.

Sabato wybuchnął ze złością:

— Dosyć już tych idiotyzmów! Trzeba podnieść filozoficzny poziom tej dyskusji. Oczywiście, wy macie w głowie taki mniej więcej paralogizm: introspekcja oznacza zagłębianie się w jaźń, jaźń jest egoistą obojętnym dla świata bądź kontrrewolucjonistą, który chce, abyśmy uwierzyli, że nie stosunki społeczne, ale dusza stanowi problem. Pomijacie pewien mały szczegół: samotne „ja” nie istnieje. Człowiek istnieje w spo-

czeństwie, cierpi, walczy, a nawet ukrywa się w społeczeństwie. Życie znaczy współżycie. Ja i świat. Nie tylko świadome i czujne działanie jest konsekwencją tego współżycia. Nawet sny, senne zmyły. Nawet majaczenie szaleńca. Z tego punktu widzenia najbardziej subiektywna powieść jest społeczna i w sposób bezpośredni albo okrężny daje świadectwo całej rzeczywistości. Nie istnieje powieść introspekcyjna i powieść społeczna, przyjacielu; jest wielka powieść i powieść mała. Istnieje dobra literatura i zła literatura. Ale bądźcie spokojni: nawet najslabszy pisarz zawsze da świadectwo światu. -

Araujo słuchał w surowym skupieniu.

— Nie wydaje mi się to takie proste — zaoponował. — Z jakiegoś powodu Marks podziwiał pisarzy takich jak Balzac. Te powieści są świadectwem społeczeństwa.

— Powieści Kafki nie opisują strajku kolejarzy w Pradze, a jednak przetrwają jako jedno z najgłębszych świadectw współczesnego człowieka. W końcu trzeba by spalić wszystkie jego utwory, jak również Lautreamonta albo Malcolma Lowry. Ej, chłopczy, już wam powiedziałem, że zostaje mi niewiele czasu i nie chcę go tracić na takie filozoficzne subtelnosci.

— Uważam, że tracimy czas — stwierdziła Sylwia.

— I ja również tak myślę — rzekł Sabato. — Mówiłem o tym aż do znudzenia, ale widzę, że wciąż się powtarza te same argumenty. I nie tylko tutaj. Zobaczcie ten wywiad.

— O czym?

— O nas, o pewnych pisarzach argentyńskich. Twierdzi się w nim, że my nie reprezentujemy Ameryki Łacińskiej. Coś podobnego powiedział niedawno pewien krytyk z USA: że Argentyna nie posiada literatury narodowej. Jasne, brak mocnego kołorytu lokalnego zbija z tropu takich cenzorów, którzy w gruncie rzeczy, aby przyznać świadectwo, wymagają malowniczej scenografii. Dla tych ontologów Murzyn na plantacji rkanów jest rzeczywisty, ale uczeń z liceum, który na placu w Buenos Aires medytuje nad swoją samotnością, jest anemiczną entelechią. Takie powierzchowne spojrzenie nazywają realizmem. Wszystko bowiem, co narodowe, wiąże się z wielkim i zawsze wieloznacznym problemem realizmu. To słowo, ech... Jak nas oszukują tym słowem. Jeżeli przyśni mi się smok, a weźmiemy pod uwagę absolutny brak smoków w Argentynie, czy należy z tego wnosić, że moje sny nie są patriotyczne? Trzeba by zapytać tego krytyka z USA, czy nieistnienie metafizycznych wielorybów na terytorium USA czyni z MeMue'a apatrydę. Zaniechajmy w końcu tych głupstw. Dostyc tego.

Sabato zdjął okulary i przesunął ręką po oczach i po czole. 117

Sylwia tymczasem dyskutowała z Kozakiem, i z Araujo. Ale on _ ich nie słuchał i nie słyszał.

— Te głupstwa — podjął raptem — spowodowane są przez świadczeniem, że koniec końców posłannictwem sztuki jest kopiowanie rzeczywistości. Uwaga! Mówiąc o rzeczywistości ci ludzie mają na myśli rzeczywistość zewnętrzną. Tamta, ta we wnętrzu, ma, jak już wiemy, niedobrą prasę. Rzecz w tym, aby się stać aparatem fotograficznym. Tak czy inaczej, nawet we dług tych, co uważają, że realizm polega na opisywaniu świata zewnętrznego, 'już samo ukształtowanie Argentyny przez na pływ europejskich imigrantów, jej zamożna klasa średnia, jej przemysł, uprawniają do literatury, która nie zajmuje się bana nowym imperializmem. Ale istnieją ważniejsze przyczyny, gdyż posłannictwo sztuki jest zgoła odmienne, niż ci ludzie przypu szczają. Tylko ktoś naiwny starałby się nabyć wiadomości o rol nictwie Francji w końcu XIX wieku, oglądając parę obrazów Van Gogha. Jest oczywiste, że język sztuki jest raczej spokrew niony ze snem i z mitem niż ze statystyką i kroniką dziennikar ską. Jako że sen i mit są ontofanią...

— Są onto... czym? js-f przeraził się Kozak na głos.

— Są ontofanią, objawieniem rzeczywistości. Ale całej rzeczywistości. Całej. Nie tylko zewnętrznej, także wewnętrznej. Nie tylko racjonalnej, także irracjonalnej. Rozumiecie? To jest ogromnie skomplikowane. Ponieważ język sztuki jest nie wątpliwie mocno nasycony wszystkim, co obiektywne, ale z tym obiektywnym światem łączy go stosunek bardzo delikatny, bar dzo zawily. Nawet sprzeczny. Gdyby jedynie społeczeństwo było czynnikiem decydującym, jak można by wytłumaczyć różnicę między twórczością Balzaka a współczesnego mu Lautreamon ta? Albo między Claudelem a Celinem? Ostatecznie wszelka sztuka jest indywidualna, ponieważ jest to odbicie rzeczywisto ści w psychice, która jest jedyna.

— Odbiegamy od tematu — przerwał Araujo.

— To pan odbiega od tematu! A zaznaczam, że jeszcze nie skończyłem. Powiedziałem wam, że wszelka sztuka jest indywi dualna i tym różni się zasadniczo od wiedzy naukowej. Zna czenie w sztuce ma właśnie ten jedyny osobisty wykres, ten kon kretny wyraz indywidualności. Dlatego istnieje styl w sztuce, a w nauce styl nie istnieje. Czy miałyby sens mówić o stylu Pitagorasa w jego twierdzeniu o trójkącie prostokątnym? Język nauki może i, mówiąc ściśle, powinien składać się z abstrak cyjnych uniwersalnych znaków. Wiedza jest rzeczywistością wi dzianą przez podmiot abstrahujący. Sztuka jest rzeczywistością widzianą przez podmiot nie abstrahujący. Ta niezdolność, nie-

zdolność w cudzysłowie, stanowi właśnie jej bogactwo. A to, co jej daje całość doświadczenia ludzkiego, to wzajemne oddziaływanie osobistego „ja” i świata, jest całkowitą rzeczywistością człowieka. Z tego punktu widzenia nie ma sensu oskarżać Borgesa o to, że nie jest reprezentatywny. Co właściwie .ma reprezentować? On, a nikt inny przedstawia rzeczywistość Borges--świat. Ta rzeczywistość Argentyny wcale nie musi być tą, którą widzimy fotograficznie. Ow jedyny sposób widzenia świata ujawnia się w języku, który również jest jedyny, a który można by od biedy nazwać idiolektem. To straszliwe słowo byłoby może synonimem stylu. Zatem, byłoby dobrze na tym etapie rozwoju naszej literatury (a zważcie, że nie liczymy sobie stu pięćdziesięciu lat, nie jesteśmy „młodą” literaturą, jeno liczymy sobie tysiąc lat, jesteśmy w równej mierze potomkami *Pieśni Omoim Cydzie* jak pisarz z Madrytu), a więc na tym etapie naszej literatury należałoby skończyć z takim bałamuctwem. I zgódźmy się w końcu, z czystym sumieniem, że wśród nas mogą być artyści tak krańcowo różni jak Balzak i Lautreamont.

Podniósł się do wyjścia, był jednak zanadto wzburzony. Zatrzymał się i ciągnął dalej:

— Kiepską przysługę wyrządzają Marksowi ci epigoni z bazaru, czyniąc go odpowiedzialnym za każdy idiotyzm, jaki im wpadnie do głowy, jak na przykład ów bezpośredni i proporcjonalny stosunek pomiędzy plantacją bananów a literaturą in-trospekcji. Fakt, że Marks dawał pierwszeństwo Balzakowi, jest wart szacunku, ale mam nadzieję, że mi nie powiecie, iż Balzak jest jedynym na świecie godnym preferencji. Wypadałoby, abyśmy wszyscy przedkładali Balzaka, bo Marks to uczynił. A wówczas'taki poeta jak Lautreamont byłby podejrzanym facetem, ponieważ jego majaczenia umykają rzeczywistości francuskiej owych czasów, nie opisują niedostatku żywności. Zaprzędany kapitalizmowi. Według tego kryterium, kiedy Rewolucja Francuska grzmiała w całej Europie, Beethoven powinien był pisać marsze wojskowe zamiast kwartetów. Nie wiem, gdzie przeczytałem, może u jednego z tych epigonów, że we Francji taki Lautreamont mógłby to zapewne uczynić. Lecz jeśli my to czynimy tutaj, jesteśmy naśladowcami literatury europejskiej. No, dobrze, jeśli uprzytomnić sobie, że ten rodzaj sztuki ma wiele wspólnego ze snem, można by pomyśleć, że śnić wolno tylko we Francji. Tu nie powinniśmy spać, a jeśli już, to trzeba śnić o podwyżce wynagrodzeń i o strajkach hutników. Nie mówiąc już, że nie należy zajmować się śmiercią. Oczywiście tutaj się nie umiera. Tu jesteśmy nieśmiertelni i folklorystyczni. Śmierć jest sprawą w podejrzan sposób związaną z Wall Street. Pogrzeby są na służbie imperializ-

mu. Dosyć, na miłość boską! Dosyć tej filozoficznej demagogii!

Ponownie wstał.

— Nie, bardzo proszę, niech pan nie odchodzi — zaapelo-
wała Sylwia.

— Po co? Takie dyskusje nie mają sensu.

— Ależ, chcielibyśmy przynajmniej zapytać pana jeszcze
o kilka rzeczy — nalegała.

— O jakie rzeczy?

Bruno ujął go delikatnie za ramię prosząc, aby się uspokoił.

Już dobrze, ale po co właściwie.

— Przecież ci ludzie nawet nie zrozumieli marksizmu —
podjął uspokoiwszy się. — Gdyby literatura była wrogiem re-
wolucji lub choćby jakąś solipsystyczną masturbacją, byłoby
niezrozumiałe, dlaczego Marks podziwiał Szekspira, a także
dworaka i monarchistę Goethego. Jestem pewien, że owi mini-
filozofowie zaczęli mnie przekonywać, iż obecnie sytuacja jest
bardziej nagląca i że zwłaszcza w Trzecim Świecie nie czas na
literaturę. Ja bym ich zapytał, czy w czasie, kiedy Marks chadzał
do biblioteki londyńskiej, kiedy w barbarzyński sposób eksploa-
towano w kopalniach węgla siedmioletnie dzieci, czy wtedy był
czas na poezję i na powieść. Bo nie tylko Dickens wtenczas pisał.
Pisali również Tennyson i Browning, i Rossetti. A podczas re-
wolucji przemysłowej, która była jednym z najbardziej bezli-
tosnych faktów historycznych, tworzyli artyści tacy, jak Shelley,
Byron i Keats. I tych Marks także czytywał i podziwiał. Piękną
przysługę wyrządzają swemu mistrzowi przypisując mu taką
głupotę! A ponadto to pojęcie sztuki jako odbicia społeczeń-
stwa, klasy, do której przynależy. I nie tylko sztuki: myśli. Ależ
człowieku, według tego kryterium Marks nie mógł być marksistą,
wszak był burżujem. Marksizm powinien, był wynaleźć górnik
z Cardiff. Wydaje mi się, że nie rozumieją nawet dialektyki.
Przypuszczam, że przeczytali Lenina *Co robić*, nieprawdaż? No,
cóż, klasa robotnicza sama przez się nie byłaby zdolna osiągnąć
socjalizmu, nie byłaby wyszła poza żółty gremializm. Socjalizm
stworzyli burżuje jak Marks i Engels, arystokraci jak Saint-
Simon i Kropotkin, intelektualiści jak Lenin i Trocki.

— Che Guevara.

— Che Guevara. A to, co rzekłem o filozofach, odnosi się
w jeszcze wyższym stopniu do poetów i pisarzy. Fikcja bowiem,
podobnie jak sen, i z podobnej przyczyny, jest na ogół aktem
przeciwstawienia się rzeczywistości, a nie jej biernym odbi-
ciem. Tym się tłumaczy, że często bywa nieprzyjazna wobec
współczesnego społeczeństwa. Jest to, muszę stwierdzić, dia-
lektyka raczej w rozumieniu Kierkegaarda.



— Że jak? — spytał "zaskoczony Araujo.

— Tak, młody człowieku, Kierkegaarda. Dobrze pan sły-
szał. Nie ma powodu przerażać się ani się odkażać. Ostatecznie,
reakcją przeciw pojęciu człowieka jako entelechii w dobie oś-
wiecenia było nie tylko dzieło Marksa, lecz również Feuer-
bacha i Kierkegaarda. Obrona konkretnego człowieka. Sztuka
wszakże, jak mówiłem, jest zwykle aktem przeciwstawienia się.
I, podobnie jak sen, często sprzeciwia się rzeczywistości, na-
wet agresywnie. Weźmy Stany Zjednoczone. Szczyt alienacji,
a stworzyły jedną z najwybitniejszych literatur wszystkich cza-
sów. Albo carska Rosja. Zauważcie ukryty mechanizm u jej
dwóch koryfeuszów: u hrabiego Tolstoja, arystokraty aż do szpiku
kości, który daje kondycji ludzkiej tak ponure świadectwo.
I ten drugi, ten carysta Dostojewski.

— Ale sztuka proletariacka... — zaczął Araujo.

— Co to jest? Gdzie ona jest? Czy może na kolorowych
pocztówkach, które w pewnym okresie uważano za szczyt este-
tyki rewolucyjnej, a które były szczytem płaskiego burżuazyjne-
go naturalizmu? Ciekawe i godne zastanowienia: wydaje się, że
rewolucje zawsze dają pierwszeństwo sztuce reakcyjnej i po-
wierzchownej. Owi słynni strażacy Paryża. Widzicie, do czego
dochodzi ta sławna teoria odbicia. Nie Delacroix jest mala-
rzem rewolucji, tylko David i inni gorsi od tego akademika.
A Stalin zachwycał się takimi produktami i nie dopuszczał
wielkiej sztuki zachodniej.

— Tak, ale kiedy się jest w toku rewolucji, upierał się
Araujo, nie wolno tolerować niczego, co rewolucji przeszkadza
albo zagraża. To jest wojna. Hasłem jest zwycięstwo albo
śmierć. Jeżeli jakiś utwór dostarcza argumentów wrogowi lub
choćby osłabia bojownika albo odrywa jego myśli, ma się
historyczne prawo zabronić tego utworu.

— Sztuki kontrrewolucyjnej, w sumie? — spytał Sabato.

— Tak.

Nawet Sylwia patrzyła na niego milcząco.

Ale nie słowa Arauja i nie milczenie dziewczyny zaniepokoiły
Sabato, tylko spojrzenie towarzysza Marcela, które nagle poczuł na
sobie. Przez cały czas niepokoiła go ta potężna obecność, potężna
jedynie dzięki swej czystości, a może dlatego, że wyrazem
przypomina mu tamtego Carlosa z 1932. Oczy jego błyszczą w
posępnej i boleśnie skupionej twarzy, jak dwa węgielki żarzące się na
wypalonej ziemi. Przy nim Marcelo, jak dobry anioł, opiekuje się
istotą silną i zarazem bezbronną w apokaliptycznym zgnitym świecie.
Tak, pamięta mękę Carlosa i wie, że i ten drugi chłopiec wcześniej
czy później będzie jednak 121

cierpiał, a może już cierpi. I wszystkie te słowa, które zostały powiedziane, całe to filozoficzne gadanie stało się przyczyną wstydu wobec samotnego milczenia chłopca z jakiejś nędznej prowincji, ofiary i świadka nie kończących się niesprawiedliwości i poniżeń.

— Tak jest, chłopcy — powiedział Sabato głosem nagle niskim, jakby mówił do siebie. — Ale z tym słowem uważajcie, uważajcie; by go nie stosować lekkomyślnie i z nienawiścią, bo wówczas tacy ludzie jak Kafka...

Był udręczony. Z jednej strony obawiał się, że cokolwiek powie, może dotknąć lub rozczarować tego młodzieńca, z drugiej czuł się w obowiązku wyjaśnić, wytłumaczyć. Miał obowiązek przeszkodzić, by któryś z nich, ten najczystszy, nie popełnił kiedyś okropnej niesprawiedliwości, choćby to była niesprawiedliwość uświęcona.

— Dylematem nie jest literatura społeczna i literatura indywidualna. Dylematem jest alternatywa pomiędzy powagą a frywolnością. Kiedy w Wietnamie niewinne dzieci giną pod bombami, kiedy w trzech czwartych świata torturuje się najczystsze istoty, a głód i rozpacz opanowują większą część świata, rozumiem, że się protestuje przeciwko pewnemu gatunkowi literatury... Ale, chłopcy, przeciwko jakiej literaturze?... Przeciwno jakiej? Myślę, że się ma pełne prawo odrzucać frywolność, pusty dowcip, słowną rozrywkę... Jednakże należy mieć się na baczności, by nie odrzucać wielkich i rozdartych twórców, którzy są najstraszniejszym świadectwem człowieka. Bo i oni również walczą o godność i zbawienie. Tak, to prawda, ogromna większość pisze z niskich pobudek. Bo szukają rozgłosu albo pieniądze, bo mają łatwość, wreszcie z próżności, dla rozrywki bądź zabawy. Pozostają wszakże inni, ci nieliczni, którzy się liczą, którzy spełniają wyrok dając w udręczonym świecie świadectwo swemu przerażeniu, swoim nadziejom pośród grozy, wojny i samotności. To są wielkie świadectwa epoki. Ci ludzie nie piszą z łatwością, są rozdarci. Śnią oni po trochu sen kolektywny wyrażając nie tylko swoje osobiste niepokoje, lecz niepokoje całej ludzkości... Ich sny mogą nawet być pełne grozy, jak u Lautreamonta lub u Sade'a. Ale są święte. I są celne, gdyż są pełne grozy.

— Katharsis — zaopiniowała Sylwia.

Sabato spojrział na nią i nic nie powiedział. Wydawał się zmartwiony i niezadowolony. Zdjął okulary i pośród zupełnej ciszy ścisnął czoło dłońmi. Potem powiedział coś nie całkiem zrozumiałego i odszedł.



UMRZEĆ ZA SŁUSZNĄ SPRAWĘ

myśli Bruno, widząc, jak Marcelo wraz z towarzyszem oddalają się ulicą Defensa. Umrzeć za Wietnam. Albo nawet tutaj. I ta ofiara byłaby niepotrzebna i naiwna, bo nowy ład zostałby w końcu zagarnięty przez cyników i handlarzy. Nie-szczęśny Bill poszedł na ochotnika do RAF-u, obecnie kaleka bez nóg patrzy zamyślony przez okno wychodzące na ulicę Morán; po to aby niemieccy przedsiębiorcy, przeważnie naziści lub kryptonaziści, robili dobre interesy z przedsiębiorcami angielskimi, przy doskonałym obiedzie i z miłym uśmiechem. Rze-czywiście robili interesy? No cóż, czy IIT nie kolaborowało z Hitlerem nawet podczas wojny? A General-Motors, czyż nie sprzedawało mu zdradziecko motorów do czołgów?

Tak, to wszystko jest gorzką prawdą.

Ale fakt, że wstąpił do RAF-u, był absolutny, nieskażony i wieczny: ani jeden, ani tysiąc fabrykantów konserw nie odbierze Billowi tego diamentu. Nieważne jest zatem, do czego może kiedyś doprowadzić jakakolwiek rewolucja. Mało tego (myśli z przerażeniem, wspominając Carlosa, torturowanego już nie za Chrystusa ani za Marksa, lecz za Codoville) nie jest nawet ważne, żeby teoria była prawdziwa. Poświęcenie Carlosa było absolutem, jego czyn ocalił raz jeszcze godność człowieka. Mimo że to była żłuda, i właśnie dlatego, Carlos odkupił całą ludzkość od cynizmu i oportunisty, od podłości i zgnilizny. Oto idą obydwa. Obok tego nieśmiałego arystokraty, który zrzekł się przywilejów swojej klasy, idzie ten drugi, skromny, wynędzniały. Może aby umrzeć za kogoś, kto w przyszłości ich zdradzi albo zaprzeda.

Idą oto ulicą Defensa. Ku jakim straszliwym a pięknym losom?

OD WIELU LAT S. nie przechadzał się po parku Lezama. Siadł naprzeciw posągu Cerery i zadumał się nad swoim losem. Potem wstąpił na kawę do baru, gdzie na pewno Aleksandra często bywała z Marcinem. Z roztargnieniem obejrzał się dookoła; rozmawiano. Panzeri* przesadza. O nie, señor, ten facet nie jest sprzedajny, ot, co. Panzeri widzi tylko porażki. Jakiś młody człowiek, jeszcze prawie

słynny komentator futbolu

chłopiec, chyba wysokiego wzrostu, czytał gazetę, która mu zakrywała twarz. Nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie stwierdził (był ustawicznie czujny, nie bez powodu), że chwilami przyglądał mu się znad gazety. Oczywiście ten fakt mógł nie mieć znaczenia, to był może jeden z tak licznych młodzieńców, którzy go znali. Zdołał ujrzeć mały kawałek czoła i odniósł wrażenie, że ^widział go przy innej okazji. Ale gdzie? Jak?

NIGDY GO NIE WIDZIAŁ

ale był to niewątpliwie on, poznałby go pośród tysięcy, nie tylko z fotografii, ale dlatego, że kiedy ujrzał go w tym kącie w kawiarni, serce poczęło mu gwałtownie bić, jakby między nimi dwoma istniał jakiś tajemny znak, który pozwala im poznać się w każdym miejscu na świecie, pośród milionów ludzi. Zawstydzony raptem samą możliwością, że Sabato go poznał, Marcin ukrył się za gazetą, ale co chwila przyglądał mu się ukradkiem, jak gdyby popełniał przestępstwo. Starał się odkryć źródło tego uczucia, ale to było tak trudne, jakby miał odcyfrować słowa listu ogromnej wagi, lecz nieczytelne z powodu braku światła lub może niewyraźnego pisma na pogniecionym, zbutwiałym papierze. Usilnie próbował określić to nieokreślone uczucie, w końcu pomyślał, że tak czuje zapewne młodzieniec, który wróciwszy z dalekiej podróży ogląda twarz kogoś, kto mieni się jego ojcem, lecz którego nigdy przedtem nie widział.

Starał się odkryć, co jest pod tą maską z kości i umęczonego ciała, bo Bruno mu powiedział, że kości i ciało nie wystarczają, aby zbudować twarz, która jest nieskończenie mniej fizyczna niż reszta ciała; znamionuje ją bowiem ów zespół subtelnych znaków, jakimi dusza objawia się lub stara się objawić poprzez ciało. Z tego powodu, myślał Bruno, w chwili kiedy człowiek umiera, jego ciało przeobraża się w coś tajemniczo innego, tak innego, że moglibyśmy powiedzieć „to nie jest ten sam człowiek”, mimo że ma te same kości i tę samą materię co przed chwilą, przed tą chwilą, kiedy dusza wycofuje się z ciała, zaś ciało zostaje martwe jak dom, kiedy na zawsze opuścili go (i zabrali swoje osobiste rzeczy) ludzie, co w nim mieszkali, cierpieli i kochali.

Tak jest, pomyślał Marcin, szczegóły ust, maleńkie zmarszczki koło oczu, te niewyraźne wizerunki wewnętrznych mieszkańców, owych nieznajomych, którzy pokazują się w oknach oczu, w ulotny, niejasny sposób, niemal przezroczyście: postacie wewnętrznych zjaw.

Ciężko było, prawie niemożliwie odkryć to wszystko z dale-

ka. I ot, ten człowiek, ta twarz, wydała mu się jakby tylko odgłosem jakiejś dalekiej rozmowy: wiemy, że jest ważna i pragnęlibyśmy ją rozszyfrować.

Jestem sierotą, powiedział sobie Marcin ze smutkiem i nie wiedząc dlaczego.

WYSZEDŁ Z KAWIARNI I WRÓCIŁ DO PARKU

Stoi tu nieugięty
i władczy don Pedro
de Mendoza i wskazuje
szpadą na miasto,

które według swej królewskiej woli postanowił tutaj założyć: SANTA MARÍA DE LOS BUENOS AYRES 1536. Cóż za barbarzyńcy, zawsze mu przychodzi na myśl to określenie. I te kobiety: Isabel de Guevara, Mari Sánchez, Elvira Pineda...

Oto idiotyzmy wymyślone przez abstrakcyjny humanizm: wszyscy ludzie są sobie równi, wszystkie narody są sobie równe. Są ludzie wielcy i ludzie karły, są narody olbrzymie i narody — ot, tycie.

Okrucieństwo podboju. Ci co pragną cnót w stanie czystym.
A podbój Ameryki dla Złota!

Jak gdyby przypuścić, że gracz gra dla pieniędzy, nie z namiętności. Pieniądz jest narzędziem, nie celem.

Usiadł na jednej z ławek i zobaczył zbliżającą się ostrożnie dziewczynę w złotym swetrze.

Cóż to, czy przyszłaś za mną?

W pytaniu pobrzmiwała niechęć, nie cierpiał, by go śledzono, i lękał się tego.

Tak, przyszła tu za nim, widziała, jak wszedł do kawiarni, czekała w parku, aż wyjdzie.

Po co?

Wydała mu się jeszcze bardziej krótkowzroczna niż podczas zebrania, i bardziej nieśmiała: to już nie była ta błyskotliwa dziewczyna sprzed kilku godzin.

Czy naprawdę nazywa się Gentile?

Naprawdę.

Czy nie jest sefardijką lub kimś w tym rodzaju?

Jak to, w tym rodzaju? — Jej dziadek pochodził z Neapolu.

— *Napoli e poi morire** — powiedział S., śmiejąc się z frazesu.

Z bliska wydawała się jeszcze szczuplejsza, z orlim nosem i cytrynową cerą.

* Napoli... (wł.) — Ujrzeć Neapol i umrzeć.

— Masz twarz Saracenki.
Nie odpowiedziała.
— I jesteś bardzo krótkowzroczna. Prawda?
— Tak jest. Jak pan to zauważył?
— Musiałbym zmienić zawód, gdybym nie był obserwatorem. Sposób patrzenia, chodzenia, wysuwania głowy do przodu.
— Tak jest. Jako dziecko stałe wpadałam na drzwi.
— A dlaczego nie nosisz okularów?
— Okularów?
Wydawała się nie dosłyszeć.
— Tak, okularów.
Zwleką z odpowiedzią. Potem szepnęła:
— Bo już i tak jestem dosyć brzydka bez okularów.
— Brzydka? Kto ci to powiedział?
— Sama sobie powiedziałam. Lustro.
— Ten park dawniej był piękniejszy. Teraz go zniszczyli — powiedział S. — No i ten pomnik, który ustawili tam, z tyłu. Wi działaś go?
— Widziałam. Trochę jak rakieta na Marsa na podwoziu ciężarówki.
— Nie brak ci zmysłu humoru. To co powiedziałaś dzisiaj o strukturalizmie.
Milczała.
— Nieprawdaż?
— Tak. Wobec publiczności.
— Jak to?
— Kiedy jestem z drugą osobą sam na sam, bywam nie śmiała.
— *Caramba*, to przeciwnie jak u innych.
— Tak.
— A dlaczego przyszłaś za mną?
— I nie po raz pierwszy.
S. przestraszył się. — W jakim celu?
— Proszę się nie gniewać. Wydaje mi się, że dzisiejsze ze branie zirytowało pana. Nie chcieliśmy. Przynajmniej ja nie chciałam.
— To znaczy, że inni chcieli?
Dziewczyna milczała.
Oczywiście, to jasne. Po jakiego diabła ma zdawać egzamin przed takimi ludźmi jak ten Araujo? On nie prosił tego młodzieńca, aby czytał jego książki i aby się z nim zgadzał w poglądach. Kiedy Araujo był jeszcze dzieckiem, on już studiował nie tylko Marksa, ale i Hegła. Lecz nie w kawiarniach. Studiował ich latami, ryzykując życie.

Tak, ona o tym wie.
Zatem, mech go zostawią w spokoju. *Caramba*, życie i tak jest dosyć trudne, bez takich typów.

— Chodź, przejdźmy się trochę — rzekł nagle z serdecznością, biorąc ją pod ramię. — Żebyś nie wpadła na jakiś posąg.

Przystanęli kontemplując lwy z brązu.

— Widzisz je? — spytał. W rozmowach z osobami, które cenił, wyłaził z niego czasami sadyzm.

— Tak, mniej więcej. „Zamyślane lwy”, prawda?

— Tak, ale powinienem był napisać „surowo zamyślane”. Kiedy człowiek się nie pilnuje, pisze w przybliżeniu i knoci. Przynajmniej ja. Nigdy nie zdołałem zrobić czegoś doskonałego. Wszystko, co robię, jest nieprawidłowe i brudne. Zobacz dokładnie nie, jaki mają wyraz. >

— Jak? — spytała z ironiczną nieporadnością. — Musiała bym jeszcze znacznie bliżej podejść.

— Musisz więc uwierzyć mi na słowo: one mają wyraz surowy i jednocześnie zamyślony. To ciekawe. Co rzeźbiarz za mierzał?

— Aleksandra — szepnęła z wahaniem.

— Co?

— Czy żyła? Czy naprawdę kiedyś istniała?

S. odpowiedział trochę ostro. Jak to i ona także?

— Chodź, usiądź. Dawniej te ławki były drewniane. Jeszcze trochę, a będziemy siedzieć na ławkach z terylenu i jeśli będzie my pigułki. Ja, na szczęście, tego nie doczekam. Zdajesz sobie sprawę, że jestem reakcjonistą? Tak przynajmniej wy o mnie myślicie.

— Nie wszyscy.

— *Caramba*, i to dobre. Wystarczy, abym mówił o mitach bądź o metafizyce, i natychmiast mnie oskarżają, że otrzymuję pieniądze z ambasady amerykańskiej. A propos Amerykanów, wiesz, co ci powiem? Jakiś facet z któregoś tam uniwersytetu zauważył AV swojej pracy, że moja powieść zaczyna się na wprost ! posągu Cerery. To jest tutaj.

— No i co?

— Bogini płodności. Edyp.

— Czy pan to zrobił umyślnie?

— Co?

— To z posągiem Cerery.

— Mówisz serio?

— Oczywiście.

— Ależ nie, głupia. Wtedy było tutaj sporo posągów. Pa-

miętom, że najpierw wybrałem posąg Ateny., Potem mi się nie podobało, nie wiem dlaczego. I wziąłem Cererę.

— Możliwe więc, że impuls dała panu nieświadomość.

— Możliwe. ,

— *Tunel* również zaczyna się macierzyństwem.

— Mnie także to powiedzieli. Ci, co piszą prace, odkrywają wszystko. To znaczy odkrywają to, czego człowiek sam nie wie.

— Zatem pan się zgadza.

— W ścisłym tego słowa znaczeniu nie. Lecz sądzę, że gdy pisząc poddajesz się swoim impulsom, dzieje się trochę tak jak we śnie. Wychodzą z ciebie głębokie obsesje. Moja matka była despotyczna i nas dwóch najmłodszych, Artura i mnie, rzec można, zagarnęła. Niemalże uwięziła. Mógłbym powiedzieć, że w działem świat przez okno.

— Matka superopiekuńcza.

— Proszę cię, nie używaj tego żargonu. Tak, może nieświa domie, obracałem się dokoła matki. Kto inny robi analizę we dług Junga; takie i inne symbole. Niejeden to robi. Coś więc musi w tym być. Jednakże sny nie są konsekwencją lektury. Przy takim bowiem kryterium, dlatego śnimy, powiedzmy, o głębinie morskiej, że czytaliśmy Junga... Czyli że przed Jungiem nikt nie śnił o głębinie morskiej. Jest przeciwnie: Jung istnieje dzięki tego rodzaju snom.

— Pan nieraz powiadał, że między sztuką i snem istnieje pokrewieństwo.

— Oczywiście, przynajmniej w pierwszym momencie. W momencie kiedy artysta zanurza się w nieświadomości, podobnie jak przy zasypianiu. Zaraz jednak następuje drugi moment: ekspresji. Zauważ: ex-presji, presji na zewnątrz. Dlatego sztuka jest oswobodzicielką, a sen nie, bowiem sen nie uzewnętrznia się. Sztuka tak, gdyż jest językiem, jest próbą porozumienia się z innymi. Krzyczysz twoje obsesje innym, choćby za pomocą symboli. Ale czynisz to na jawie i wówczas do tych symboli dołączają się myśli, lektura, twórcza wola, zmysł krytyczny. I w tym miejscu sztuka zaczyna się zasadniczo różnić od snu. Rozumiesz? Ale nie możesz na serio tworzyć sztuki bez tego początkowego zanurzenia się w nieświadomości. Dlatego jest śmieszne to, co ci głupcy proponują: obowiązek sztuki narodo wej i ludowej. Jak gdybyś powiedziała sobie przed zaśnięciem:

Ano, teraz będę mieć sny narodowe i ludowe.

Sylwia roześmiała się.

— Jeżeli jest w człowieku coś autentycznego, to właśnie sny. I sztuka, z tych samych powodów.

Spojrzał na nią.



— Zatem pochodzisz z rodziny neapolitańskiej.
— Nie. Od strony matki byli Hiszpanie.
— Świetnie. Włosi, Hiszpanie, Maurowie, Żydzi. Moja teoria o dzisiejszej Argentynie.
— Jaka teoria?
— Wypadkowa trzech wielkich sił, trzech wielkich narodów: Hiszpanów, Włochów i Żydów. Jeśli trochę pomyślisz, zobaczysz, że nasze zalety i nasze wady stamtąd się biorą. No tak, są też oczywiście Francuzi, Baskowie, Jugosłowianie, Polacy, Syryjczycy, Niemcy. Ale to zasadnicze pochodzi od tamtych. Trzy wielkie narody, tak pełne wad. W Jerozolimie powiedział mi pewien Izraelczyk: czy to nie jest cud? pośród pustyni? otoczeni milionami Arabów? pomimo wojny? Ależ nie, odrzekłem, właśnie dlatego. W dzień zawarcia pokoju, to nie potrwa ani minuty dłużej. Wyobrażasz sobie, Sylwio, 2 miliony Żydów bez wojny? Dwa miliony prezydentów republiki. Każdy ma swój własny pogląd na dom, na wojsko, na wychowanie, na język. No i rządź tym. Facet, który ci sprzedaje kanapkę, zaczyna z tobą rozmawiać o Heideggerze. A hiszpański indywidualizm? A włoski cynizm? Tak jest, trzy wielkie narody. A co za kombinacja, mój Boże. Jedyne, co mogłoby nas tutaj uratować, to dobra, zdrowa narodowa wojna, przed pięćdziesięcioma laty, powiedzmy.
— Pan jest chyba wielkim pesymistą.
— Jestem.
— Po co więc chcesz walczyć? Chcesz tu pozostać?
— Czy ja wiem, z czystej głupoty — spojrzał na nią uważnie.
— Czy jesteś członkiem jakiejś organizacji peronistycznej? Ociągała się z odpowiedzią.
— Jakiejś organizacji marksistowskiej peronizmu?
— Tak, właściwie nie... Waham się, mam przyjaciół... Zobaczymy.
— Ale jesteś marksistką?
— Tak. ■
— Widzisz... Ja nadal wierzę, jak w owych czasach; jak ci to powiedzieć... Kiedy byłem czymś w rodzaju katechumena, że Marks jest jednym z filozofów, którzy dokonali przewrotu w myśli współczesnej. Ale w wielu rzeczach zacząłem się później oddalać...
— Tak pan uważa?
— Studiujesz filozofię?
— Nie, studiuje literaturę — przyznała, jakby to było śmieszne.
— Wydawało mi się, że interesujesz się raczej filozofią. 129

— Chyba tak. Czytam więcej filozofii, niż literatury. Ale czytałam mało i źle, jak mi się zdaje.

— Nie martw się tym. Ja także sporo studiowałem. Jestem trochę więcej niż pisarzem, bo już prawie trzydzieści lat temu postawiłem przed sobą problem człowieka. Kryzysu człowieka. Tej filozofii, którą znam, uczyłem się od przypadku do przypadku poprzez moje osobiste grzebanie się w nauce, w surrealizmie, w rewolucji. Nie jest to wynikiem lektury, tylko mojego rozedarcia. Mam ogromne braki, podobnie jak w literaturze, we wszystkim, jak ci to powiedzieć...

Zamyślił się.

— Tak jakbym był poszukiwaczem skarbu, złożonego w puszczy. Aby do niego dotrzeć musiałem przemierzyć niebotyczne góry, burzliwe rzeki, pustynie. Często błądziłem, nie wiedziałem, czego się chwycić. Sądzę, że jedynie instynkt życiowy mnie ocalił. Otóż tę drogę znam przynajmniej z życia, nie poznałem jej z podręczników geografii. Ale nie znam nieskończenie wielu rzeczy spoza tej drogi. Zresztą, nie interesują mnie. Mogłem się nauczyć tylko tego, co było moją życiową pasją, co stanowiło ów skarb.

Sylwia słuchając wysunęła głowę jeszcze bardziej do przodu niż zazwyczaj.

— Tak, rozumiem — rzekła krótko.

S. spoglądał na nią z tkliwością.

— To dobrze — powiedział — ocaliłaś się od wydziału literatury. W rzeczywistości tobie ten wydział nie zaszkodzi.

Podniósł się.

— Chodź, przejdziemy się trochę. Prawie jednocześnie za brałem się do fizyki i do marksizmu — tłumaczył jej chodząc. — Tym sposobem przeżyłem dwa najbardziej wywrotowe doświadczenia naszej epoki. W 1951 opublikowałem coś, co mógłbym nazwać bilansem owych dwóch doświadczeń: *Ludzie i tryby*. O mało mnie nie ukrzyżowali.

Zaśmiał się boleśnie.

— Rozumiesz? Mówiłem o tej drugiej alienacji, technologicznej. I o technolatrii. Najostrzej napadli na mnie ci, co mnie oskarżyli o wsteczność, ponieważ zaatakowałem naukę. Jak ci już powiedziałem: dziedzictwo myśli oświeconej. Okazuje się, że chcąc być zwolennikiem sprawiedliwości społecznej musisz uklęknąć przed ogniem Volty. — Schylił się, podniósł kamyczek i cisnął do sadzawki. Po chwili podjął:

— Teraz nie jest już tak haniebne, po Marcusem i buncie młodych Amerykanów i paryskich studentów. Ale, oczywiście, ja byłem biednym pisarzem południowoamerykańskim.

— Jednak alienacja technologiczna jest skutkiem złego użytku maszyny — odparła Sylwia. — Maszyna jest amoralna, jest poza wartościami etycznymi. Jak strzelba: można jej użyć do tego albo do czegoś wręcz przeciwnego. Z drugiej strony jak rozwiązać problem człowieka i przyrostu ludności nie produkując masowo żywności i przedmiotów? Masowa produkcja wymaga nauki i technologii. Czy można odrzucić technikę, kiedy trzy czwarte świata umiera z głodu?

— Należy położyć kres ubóstwu i niesprawiedliwości społecznej. Ale uważam, że nie powinno się przejść od klęski niedo rozwoju do klęski przerostu rozwoju. Od nędzy do społeczeństwa konsumpcyjnego. Spójrz na młodzież północnoamerykańską. Ujarzmienie przez narkotyki okazuje się gorsze od nędzy.

— Co zatem pan proponuje?

— Nie wiem. Wiem tylko, że powinniśmy mieć świadomość tego straszliwego problemu. Ponieważ jesteśmy w połowie rozwoju, nie bądźmy tak głupi i nie pozwólmy powtórzyć się katastrofie przerostu rozwoju.

— Jeżeli ubogie kraje się nie rozwijają, przyczyniają się do utrzymania swojej niewoli. W kopalniach boliwijskich wypo wiadać się przeciwko dobrom materialnym, czy nie jest to jakieś dziwactwo?

— Nigdy nie aprobowałem eksploatacji, wiesz o tym. Twierdziłem tylko i będę twierdzić, jakkolwiek obecnie nie jest to łatwo ani sympatycznie, że nie warto robić krwawych rewolucji po to, aby kiedyś mieszkania wypełniły się niepotrzebnymi rupieciami i dziećmi zidiociałymi od telewizji. Jeśli mamy sądzić po wynikach, istnieją kraje najuboższe, które są lepsze od Stanów Zjednoczonych. Wietnam. Czym pokonał kraj najbardziej zmechanizowany na świecie? Wiarą, ofiarnością, umiłowaniem swojej ziemi. Wartości duchowe.

— Tak, ale pan mi nie powiedział, jak wyżywiłby (nie mówiąc o rupociach) ludność wzrastającą w postępie geometrycznym.

— Nie wiem. Może należałoby ustabilizować zaludnienie świata. W każdym razie wszakże wiem, czego nie chcę. Nie chcę superpaństw z ludźmi-robotami. W Izraelu mówili mi z pogardą o pewnym kibucu: fabrykował obuwie trzy albo cztery razy droższe niż jakaś tam fabryka w Tel-Awivie. A kto powiedział, że zadaniem kibuca jest fabrykować tanie obuwie? Jego zadaniem jest tworzyć ludzi. Która godzina?

Sylwia zbliżyła zegarek do oczu prawie do zetknięcia. Było 10 minut po siódmej. Znajdowali się na tarasie starego wiejskiego dworu. Oparty o balustradę S. objaśnił jej, iż rzeka sięgała 131

aż do tego miejsca na dole, gdzie teraz pędzą oszalałe samochody. Stary uwiedły park, zarecytował S. jakby dla siebie.

— Co?

— Nic. Myślałem.

— Wielki mit Postępu — powiedział w końcu. — Rewolucja Przemysłowa. Z Biblią w ręku (zawsze jest dobrze robić świnstwa pod przyzwoitym pretekstem) burzyli całe kultury, ogniem i krwią wdarli się w dawne wspólnoty, afrykańskie i polinezyjskie, kamień na kamieniu po nich nie został. Po co? Aby je wypełnić śmieciem robionym w Manchesterze, aby je bezlitośnie eksploatować: w Kongo Belgijskim ucinali ręce za drobną kradzież, ci, co cały kraj ukradli. Nie tylko że ich zniewolili: pozbyli ich pradawnych mitów, harmonii z kosmosem, naiwnego szczęścia. Barbarzyńska technolatria, europejska arogancja. Te raz płacimy za ten wielki grzech. Płaci znarkotyzowana, zagoniona młodzież Londynu i Nowego Jorku.

— Gzy nie robi pan nostalgicznego romantyzmu z trądu, z niedożywienia lub z czerwönki? ■

S. spojrział na nią z tkliwą ironią.

— Zostawmy to, Sylwio. Mówmy raczej o innej sprawie, która została zawieszona w powietrzu, tam na zebraniu. Rzecz jasna, że marksizm utrafił w pewne fakty społeczne i polityczne tego społeczeństwa. Ale są inne, któremu się wymykają.

— Wymykają? — Sylwia wysunęła swą saraceńską głowę do przodu.

— Oczywiście: sny, mit, duch religijny.

Sylwia jęła nieśmiało dowodzić (odważna, ironicznie błyskotliwa Sylwia ze Zgromadzenia dziwnie kontrastowała z tą obecną, z parku), że marksistowski ateizm jest raczej polityczny niż teologiczny. Nie uśmiercenie Boga jest jego celem, jeno zburzenie kapitalizmu. Krytykuje religię o tyle, o ile stanowi ona przeszkodę dla rewolucji*

S. słuchał jej z niedowierzaniem.

— Jak to, czy tak nie jest?

— Wiadomo, że Kościół popierał eksploatację. Ale jamówię o czymś innym, nie o działalności politycznej Kościoła, tylko o duchu religijnym. Marks był rzeczywiście ateistą, rze oczywiście myślał, że religia jest oszustwem. Nie inaczej jak naukowcy.

Roześmiał się.

— Telewizja to opium dla ludu. Ten aforyzm jest prawdziwy. Ale nie złość się. Mam podziw dla Marksa; on i Kierkegaard rozpoczęli rewindykację konkretnego człowieka.

Usiadł i chwilę trwał w zamyśleniu.

— Posłuchaj, jak to było z mitem. Faceci z Encyklopedii śmieli się: zwykła mistyfikacja. Mówiąc nawiasem tu jest źródło obecnego zamieszania: demistyfikacja oznacza to samo co demityfikacja. Ty nie znałeś tych ludzi tak jak ja, co pracowałem obok laureatów Nagrody Nobla, w wielkich ośrodkach badawczych. Ale zdarzyła się tam rzecz istotnie dramatyczna. Historia Levy-Bruhla. Słyszałeś o nim?

— Nie. Czy to krewny Levi-Straussa?

— Nie. Ten, o którym mówię, pisze się przez y. Rozpoczął pracę chcąc wykazać progresję mentalności prymitywnej do świadomości naukowej. I wiesz, co z nim było, z tym niebora kiem? Postarzał się przy tej pracy i nic mu nie wyszło. Był jed nak uczciwy i w końcu przyznał się do klęski, godząc się z rym, że owa słynna mentalność „prymitywna” nie jest niższym stadium człowieka. Straszne, prawda? Zauważ, iż ta „pozytywna” mentalność (nic nie poradzę, śmiesz mi ten przymiotnik) za szczepiła na Zachodzie myśl, że kultura naukowa przewyższa kulturę, powiedzmy, Polinezyjczyków. Co ty na to? No i oczywiście nauka przewyższa sztukę. Kiedy rzuciłem fizykę, profesor Houssay przestał mi odpowiadać na ukłon. Mówiłem ci o tym?

— Nie.

— Autentyczne. Człowiek awansował do myśli oświecanej w miarę oddalania się od stadium poetycko-mitycznego. W r. 1820 wyraził to w znakomity sposób pewien kretn Thomas Lowe Peacock: w naszych czasach poeta jest barbarzyńcą w cywilizowanym społeczeństwie. Co ty na to?

Sylwia zamyśliła się.

— Ekskawacja biednego Levy-Bruhla wykazała, jak dalece to rozszerezenie było mylne, a poza tym było dziwaczne i aroganckie. Stało się, co się miało stać: wgnany przez myśl, mit schronił się w sztuce, która tym sposobem stała się profanacją mitu, ale jednocześnie rewindykacją. Dowodzi to dwóch rzeczy: po pierwsze, że mit jest nie do pokonania, że stanowi głęboką potrzebę człowieka. Po drugie: że sztuka ocali nas od zupełnej alienacji, od brutalnego rozdzielania myśli magicznej i myśli logicznej. Człowiek jest wszystkim naraz. Dlatego po wieść, która stoi jedną nogą po tej stronie, a drugą po tamtej, może chyba najlepiej wyrazić całą prawdę o człowieku.

Schylił się i ułożył kilka kamyków na kształt litery R.

— Pewien krytyk niemiecki zapytał mnie kiedyś, dlaczego Ameryka Łacińska posiada wielkich powieściopisarzy, a nie posiada wielkich filozofów. Bo jesteśmy barbarzyńcami, odpowiedziałem, bo na szczęście ratujemy się przed wielkim racjonalistycznym rozłamem. Jak uratowali się Rosjanie, Skandynawo- 133

wie, Hiszpanie i inni. Jeżeli pragniesz naszej *Weltanschauung*, powiedziałem, poszukaj jej w naszych powieściach, nie w naszej czystej myśli.

Ułożył kamyki w kształt kwadratu.

— Mówię, oczywiście, o całkowitej powieści, nie o zwykłym opowiadaniu. Z Europy, naturalnie, powiadają nam, że w powieści nie powinno być idei. Obiektywiści. Mój Boże! Zastrzeżenie jest idiotyczne, ponieważ ośrodkiem wszelkiej fikcji jest człowiek (nie ma powieści o stołach lub gasteropodach). Ezra Pound powiedział, że nie możemy pozwolić sobie na luksus nie znajomości idei filozoficznych i teologicznych Dantego i nie wolno nam omijać tych ustępów jego powieści czy poematu metafizycznego, które je jaśniej wyrażają. Nie tylko obowiązują idee wcielone, ale najczystsze idee platońskie. Czyż nie ludzie doszli do tego? Nie można by przeto napisać powieści, której bohaterem byłby Platon, chyba żebyśmy zlikwidowali większą część jego ducha. Powieść dzisiejsza, przynajmniej ta ambitna, powinna mieć na celu całkowity opis człowieka, wraz z jego majaczeniem i jego logiką. Jakże prawa tego zabraniają? Kto posiada absolutny Regulamin tego, czym powieść powinna być? *Tous les ecarts lui appartient**, powiedział Valery z karcącą odrazą. Sądził, że zniszczył powieść, a właściwie była to pochwała. Kawał racjonalisty! Mówię o powieści, ponieważ nie istnieje nic, co by było w większym stopniu hybrydą. Istotnie, należałoby wymyślić sztukę, która mieszałaby abstrakcyjne idee z tańcem, krzywką geometrią. Coś, co by się działo w zamkniętym, uświęconym przybytku, jakiś obrzęd, w którym gesty łączyłyby się z najczystsza myślą, a wykład filozoficzny z tańcami wojowników Zulu. Kombinacja Kanta z Hieronimem Boschem, Picassa z Einsteinem, Rilkego z Dżyngiz-chanem. Dopóki nie jesteśmy zdolni do takiej integracji wyrazu, brośmy przynajmniej prawa tworzenia niesamowitej powieści.

Jeszcze raz zaczął przekładać kamyki, znowu w kształt R.

— Jedynie w sztuce odsłania się rzeczywistość, to znaczy cała rzeczywistość. A chcę nam wmówić, że to zmytyzowanie sztuki jest reakcyjne i przestarzałe, że jest reliktem osiemnastowiecznego romantyzmu. Oczywiście. Idee romantyzmu niemieckiego zostały zapomniane bądź wzgardzone przez tę pretensjonalną kulturę. Toteż należy je wydobyć na światło dzienne. Schopenhauer powiedział, że są chwile, kiedy reakcja jest postępem, a są i takie, kiedy postęp jest reakcją. Dzisiaj, postęp polega na rewindykacji tej starej myśli. Filozofowie romantyzmu

* *Tous les ecarts...* (fr.) — Ma prawo do wszelkich wybryków.



niemieckiego, jako pierwsi po włoskim filozofie Vico, jasno to zrozumieli, jak również przeculi ideę struktury. Idea słuszna, jednakże ludzie nauki wyrzucili ją za burtę. Spójrz. Wskazał na jeden z kamyków.

— Mentalność naukowa tak oto działa: ten-kamyk to jest feldszpat, feldszpat rozkłada się na cząsteczki, cząsteczki na atomy takie i inne. Ze złożonego na proste, z całości na części. Analiza, rozkład. Tak zrobiono z nami.

Sylwia spojrzała nań.

— Nie mówię o postępie technicznym. Oczywiście w odnie sieniu do kamieni i do atomów to uchodzi. Powiadam, że zgubnym było przypuszczenie, iż tę samą metodę można zastosować do człowieka. Człowiek nie jest kamieniem, nie może się rozłożyć na wątrobę, oczy, trzustkę, dłonie. Stanowi całość, strukturę, której poszczególne części samoistnie nic nie znaczą, w której każdy organ wpływa na inne i odwrotnie. Zachorujesz na wątrobę i czerwienię ci oczy. Jak mogą istnieć specjaliści od oczu? Nauka wszystko wyodrębniła. Najgorsze, że wyodrębniła ciało od duszy. Przedtem, jeśli nie miałas flegmony albo nie złamałaś nogi, nie byłaś chora, byłaś *une malade imaginaire*.

Znowu położył kamyk na miejsce.

Przerwał i oparł się o balustradę.

— Oto masz tu na dole świat przez nas osiągnięty, produkt nauki. Wkrótce przyjdzie nam mieszkać w klatkach ze szkła. Mój Boże, czy jest możliwe, że to może być czymś ideałem.

Sylwia rozmyślała. S. znowu usiadł.

— Mit, podobnie jak sztuka, jest językiem. Wyraża pewien rodzaj rzeczywistości, w jedyny sposób, w jaki ta rzeczywistość może się wyrazić, i nie da się przełożyć na inny język. Dam ci prosty przykład: słuchałaś kwartetu Beli Bartoka, wychodzisz i ktoś cię prosi, abyś mu „wy tłumaczyła” ten kwartet. Oczywiście, nikt takiego głupstwa nie popełni. A jednak z mitem tak postępujemy. I z utworem literackim. Co chwila ktoś mnie prosi o wytłumaczenie *Raportu o Ślepcach*. Co mu mam wytłumaczyć? To, co chciałem powiedzieć, co mogłem powiedzieć, powiedziałem w tym *Raporcie*. Podobnie dzieje się ze snami. Ludzie chcą, aby im tłumaczyć ich koszmarne sny. Lęz sen wyraża jakąś rzeczywistość, w jedyny sposób, w jaki ta rzeczywistość może się wyrazić.

Zamyślił się.

Sen jest zawsze prawdą. Jak mógłby kłamać? Tak samo sztuka, jeżeli jest głęboka. Teoria prawa może być mistyfikacją, może być narzędziem do użytku klasy uprzywilejowanej w celu

prawomocnego uwiecznienia się. Ale czy mistyfikacją może być *Don Quijote*!

Sylwia medytowała chyba nad czymś w skupieniu, w końcu, po dłuższej chwili zauważyła:

— Zgoda. Sądzę jednak, że jest sporo prawdy w założeniu, iż sztuka nie powstaje w próżni, tylko na bazie pewnego typu społeczeństwa. Tak czy inaczej istnieje pewien związek między sztuką a społeczeństwem. Pewna homologia.

— Oczywiście jest jakiś związek między sztuką a społeczeństwem, podobnie jak jest jakiś związek między koszmarem a życiem dziennym. Lecz to słowo jakiś należy zbać pod lupą, bo stąd pochodzą wszystkie nieporozumienia. Ponieważ Proust był paniczykiem, jego literatura jest zgniłym wyrazem niesprawiedliwego społeczeństwa? Rozumiesz? Związek istnieje, ale niekoniecznie bezpośredni. Może być odwrotny, przeciwny, może być bunt. Nie odbiciem, tym słynnym odbiciem. Aktem twórczym człowiek wzbogaca rzeczywistość. Człowiek tworzy sam siebie poprzez wszystko, co jego subiektywny duch jest zdolny wykonać, od lokomotywy do poematu. Chodź, napijemy się kawy.

Ruszyli w stronę Brasil i Defensa.

— Na tym głupim zebraniu nie miałem spokoju, cierpliwości ani ochoty tego wszystkiego tłumaczyć. Zresztą po co mam zdać egzamin przed takimi pedantami jak Araujo, który przed 27 minutami odkrył marksizm w jakimś tam podręczniku? Ci rewolucjoniści widzą w każdym dziele sztuki pochodzącym od klasy uprzywilejowanej jedynie zamaskowany interes klasowy. Wy rządzą tym wiele szkody, zaraz bowiem znajdą się tacy, co odrzucając te dziwactwa sądzą, że odrzucają Marksa. Marks po dziwił monarchistę Balzaka, natomiast wyśmiewał się z pewnego komunisty nazwiskiem Valles, który napisał utwór pod tytułem zdaje się *Ulnsurge*. I nie cenil literatury tzw. proletariackiej. Spomiędzy tych wypocin i dzieł owego snoba z Szóstej Dzielnicy, co uwielbiał księżniczki, tym który przetrwa, będzie bez wątpienia ów paniczyk.

Jeszcze raz przeszli koło lwów.

— Przecież twórczość artystyczna wyłania się z całej istoty ludzkiej. Słyszysz? Z całej, nie tylko z części świadomej, z myśli, które mogą być i bywają na ogół błędne (nawet Arystoteles się mylił), lecz z regionów, które nie ulegają zmianom wskutek stosunków ekonomicznych. Jak w epoce Sofoklesa, tak i dzisiaj istnieją Edypowie. Edypowie nie mają nic wspólnego ze stosunkami ekonomicznymi. Granice kondycji ludzkiej istnieją, od kiedy człowiek jest człowiekiem. Dlatego tragicy greccy

wciąż nas wzruszają, mimo że struktury społeczne, w których tworzyli, już nie istnieją.

Kiedy doszli do kawiarni i S. zobaczył, iż minęła ósma, powiedział jej, że musi już odejść. Kiedy indziej znowu porozmawiają.

Kiedy?

Tego nie wie.

A czy może mu napisać?

Tak.

Odpowie jej?

Tak.

PEWIEN RODZAJ NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY

pomyślał Bruno, nieprawdziwa nieśmiertelność, bo-
wiem ta Aleksandra, która
przetrwiała w duszy Marcina,
ta płonąca, która choć-

by szcążkowo zachowała się w sercu i w pamięci chłopca niczym żar ukryty w popiele, zachowa się, dopóki żył będzie Marcin i dopóki przetrwa on sam, Bruno, i może Marcos Molina, a nawet Bordenave i inne istoty (szlachetne bądź złowrogie, dalekie albo bliskie), które niegdyś miały udział w jej duszy, w jakimś cudownym albo podłym fragmencie jej ducha. A później? Osłabi się z upływem lat, będzie coraz mniej wyraźna, z czasem przeobrazi się w zmętniałe, coraz dalsze ułamki, niby wspomnienie kraju, gdzie przebywaliśmy w młodości, a później spustoszonego przez burze, katastrofy i wojny, przez śmierć i rozczarowania: opustoszeją wielkie obszary tego wspomnienia wskutek stopniowego znikania tych, co kiedyś byli w kontakcie z Aleksandrą; jej dusza będzie się coraz gwałtowniej kurczyć, będzie się starzeć wraz z wiekiem tych, którzy pozostali przy życiu, będzie umierać wraz ze śmiercią tych, co w taki czy inny sposób uczestniczyli w tej wspólnej magii: w miłości czy w pożądaniu, w delikatnym uczuciu czy w haniebnej prostytucji. I wtedy z wolna nadejdzie ostateczna śmierć. Już nie śmierć tego ciała, które w dawnym Miradorze w Barracas obnażało się niegdyś przed drżącym Marcinem, ale śmierć ducha, trwającego jeszcze fragmentarycznie w duszy Marcina, i w jego własnej, Bruna, pamięci. Zatem, nie autentyczna nieśmiertelność, tylko śmiertelność opóźniona i dzielona przez ludzi, w których odbijał się bądź załamywał duch Aleksandry. A gdy oni pomrą (Marcin i Bruno, Marcos Molina, Bordenave i nawet ów Molinari, który Marcina doprowadził do mdłości) i pomrą ich zaufani, zniknie na zawsze ostatecznie

wspomnienie, a nawet odblask tych wspomnień u innych dalekich osób, i znaki cudowności i upokorzeń, czystej miłości i upodłonego seksu.

— Jak to było? — spytał wtedy Bruno, a Marcin mu odpowiedział, że była późna noc, gdy poczuł, iż ktoś gwałtownie po trząsa jego ramionami. I ujrzał nad sobą, myśląc, że to sen, nie przytomną twarz Aleksandry, kiedy on, Marcin, niczego już od niej nie oczekiwał. I rozdartym niskim głosem powiedział, że mówiła:

— Nic, chciałam cię zobaczyć. A raczej musiałam cię zobaczyć. Ubierz się, chcę stąd wyjść.

Marcin ubierał się, tymczasem ona drżącą ręką zapaliła papierosa i poczęła szykować kawę. Marcin zafascynowany ubierał się nie przestając ani na chwilę na nią patrzeć: miała na sobie futrzany płaszcz, wyglądała, jakby przyszła z jakiejś zabawy, ale była nie umalowana, wychudzona i miała oczy podkrążone. Ponadto ubrała się chyba niestarannie, jak ktoś, kto musiał skądś uciekać nie tracąc czasu, jak od pożaru bądź trzęsienia ziemi. Zbliżył się i chciał ją pogłaskać, ale ona krzyknęła, żeby jej nie dotykał, a wówczas Marcin zdrętwiał. Krzyknęła z owym dzikim błyskiem w oczach, tak dobrze mu znanym z chwil, kiedy była napięta jak sprężyna, nieomal do złamania. Natychmiast jednak przeprosiła go i filiżanka wypadła jej z ręki.

— Widzisz — rzekła, jakby to było wytłumaczenie.

Jej ręce wciąż drżały jak w wysokiej gorączce.

Marcin wyszedł się umyć, lecz przede wszystkim chciał uporządkować myśli. Kiedy wrócił, kawa już była przygotowana i Aleksandra siedziała zamyślona. Marcin wiedział, że najlepiej o nic nie pytać, przeto, kawę wypili w milczeniu. Następnie po prosiła go o aspirynę i swoim zwyczajem zżuła ją bez wody, po czym wypila jeszcze jedną kawę. Po jakimś czasie podniosła się, jak gdyby znowu ogarnął ją niepokój i powiedziała, żeby wyszli.

— Przejdziemy się po nabrzeżu. Albo lepiej wejdźmy na most — dodała. ^

Jakiś marynarz obrócił głowę i Marcin pomyślał zmartwiony, że ten człowiek wziął ją za kurwę, w tym futrzanym płaszczu i z tą twarzą, tak późno w nocy.

— Nie martw się tak — powiedziała sucho, odgadując jego myśl. — W każdym razie, długo to nie potrwa.

Weszli na most i oparci o balustradę w połowie rzeki spoglądali ku ujściu: jak dawniej, jak w czasach szczęśliwszych, które w tej chwili (myślał Bruno) wydają się Marcinowi częścią jakiegoś poprzedniego życia, zapamiętaną mgliście, jakby ze snu. Była to jedna z owych chłodnych, pochmurnych nocy sierpie-

wych, południowo-wschodni wiatr smagał ich plecy. Aleksandra jednak rozchyliła płaszcz, jakby się chciała ochłodzić, i głęboko, chciwie oddychała. W końcu otuliła się płaszczem, ścisnęła ramię Marcina i kierując w dół spojrzenie powiedziała:

— To mi dobrze robi: być z tobą, oglądać taką dzielnicę, gdzie ludzie pracują i robią proste *rzeczy*, zdrowe i precyzyjne: śrubę, koło. Nagle zachciało mi się być mężczyzną, być jednym z nich, mieć taki sobie mały los.

Zadumała się i zapaliła nowego papierosa od poprzedniego.

— Mieliśmy ćwiczenia duchowe, rekolekcje.

Marcin spojrział na nią nie rozumiejąc. Ona roześmiała się twardym, trochę makabrycznym śmiechem.

— Nie słyszałeś o księdzu Laburu? Dawał nam opisy piekła, przerażające. Wieczność kary. Kula wielkości Ziemi, spada kropla wody i niszczy ją. A gdy ta kula się kończy, dzieje się to samo z drugą. Potem trzecia i czwarta, tak dzieci, miliony kul wielkości planety. Nieskończona ilość kul. Wyobraźcie je sobie, dzieci. I jednocześnie pieką cię na rożnie. Dzisiaj to mi się wydaje takie naiwne. Piekło jest tutaj.

Znowu zamilkła, zaciągając się chciwie papierosem. Z daleka, na rzece zawyła syrena okrętowa.

Jakże daleki był teraz ów wyjazd z Buenos Aires!

Marcin wyczuł, że w tej chwili Aleksandra nie miała na myśli podróży, jeno śmierć.

— Chciałabym umrzeć na raka — rzekła — i dużo cierpieć. Rok udreki i porządnego gnicia.

Znowu wybuchła tym twardym śmiechem i po dłuższej chwili milczenia powiedziała: „Chodźmy”.

Milcząc szli w kierunku ulicy Australia. W pewnej chwili Aleksandra stanęła, przyciągnęła go gwałtownie do siebie i patrząc mu prosto w twarz oczami nieprzytomnymi, trochę jak od gorączki, spytała, czy ją kocha.

— Twoje pytanie jest głupie — odrzekł Marcin rozżalony.

— No, więc posłuchaj, co ci powiem. Niedobrze robisz, że mnie kochasz. A jeszcze gorzej, że ja cię o to proszę. Ale ja tego potrzebuję, rozumiesz? Potrzebuję. Choćbym nie miała ciebie więcej ujrzeć. Muszę wiedzieć, że w jakimś miejscu tego wstręt nego miasta, w jakimś zakątku tego piekła, jesteś ty i że ty mnie kochasz.

Jakby z suchej szczeliny rozżarzonego kamienia mogły wyciekać krople wody, tak kilka łez pociekło z jej oczu i spłynęło po surowej, wychudłej twarzy.

Pomiędzy tą Aleksandrą i tamtą spotkaną kilka lat temu 139

w jakimś parku w Buenos Aires rozwarła się mroczna przepaść wieków,

I nagle, niemal biegiem, odeszła bez pożegnania ulicą Australia, w kierunku swego domu.

Bruno zauważył, że Marcin swoim zwyczajem spogląda na niego pytająco, jakby to on posiadał klucz do rozszyfrowanego dokumentu, którym był stosunek z Aleksandrą. Ale Bruno nie odpowiedział na nieme pytanie, raczej zamyślił się nad tym powrotem Marcina, po piętnastu latach, do miejsc, które ożywiały uparte wspomnienie. Kiedy był osiemnastoletnim chłopcem i przemierzał samotnie te same ścieżki parku Lezama, które przemierza teraz, jako trzydziestoletni mężczyzna. Na pewno nie zdołał pozbyć się tego ciężaru, ujawnia to w sposób niezręczny otwierając i zamykając ustawicznie biały scyzoryk, jak to tyle razy czynił w obecności Aleksandry lub właśnie jego, Bruna, patrząc na niego, ale go nie widząc, gdy jednocześnie szeptał w duchu słowa miłości i rozpacz. Utwardzone betonem stare skromne ścieżki ziemne i szutrowane, usunięto posągi (z jednym cudownym wyjątkiem owej kopii Cerery, przed którą poczęła się magia), zabrano drewniane ławki — ta głupia pochopność Argentyńczyków nie pozwala im zostawić nawet resztek' małej, lecz dlatego właśnie wzruszającej przeszłości, myślał Bruno. Nie, to już nie jest ten park Lezama z jego młodości, ze smutkiem musiał sięść na zimnej ławce betonowej, aby oglądać z daleka ten sam posąg, który w owo popołudnie 1953 był świadkiem milczącego wołania Aleksandry. Nie, tak mu tego nie powiedział, pewnie, że nie. Wstydził się mówić o tak znaczących wydarzeniach ponad czasem i śmiercią. Ale Bruno mógł je odgadnąć, bo ten chłopiec (ten mężczyzna) był jakby jego własną przeszłością. Mógł odczytać jego myśli ukryte za tak pospolitymi słowami jak *caramba*, te betonowe ławki, jaka szkoda, nie wiem, tak sądzę, gdy tymczasem otwierał i zamykał swój scyzoryk, jakby chciał sprawdzić jego funkcjonowanie. Tak oto poprzez owe pospolitości Bruno odtwarzał prawdziwe uczucia Marcina i wyobrażał sobie, jak w tamto popołudnie wpatrywał się godzinami w posąg Cerery, dopóki noc nie zagarnęła pogrążonych w rozmyślanie samotników, a także zakochanych, którym udziela się skromna magia jego miłości. I może (na pewno) znowu usłyszał głuchą syrenę dalekiego statku, jak w owej niewiarygodnej chwili pierwszego spotkania. I może (na pewno) jego zamglone oczy szukają jej boleśnie pośród cieni.

KOKO — Powiedźcie temu Sabato, który mnie zatrudnił w swoim powieściu i nie zapłacił mi za to ani grosza, że zamiast napuszonego wykładu o niewidomych lepiej by napisał *Raport o Gołębiach*. Widział kto kiedyś bardziej antypatyczne i brudne zwierzę? A ludzie chodzą na Plaża Mayo i rzucają im ziarenka i okraszynki; ta biedna gołąbka, gołąbka pokoju, no, a ten spryciarz Picasso, ten komunistyczny miliarder, wiecie., co zrobił? W jakąś niedzielę, kiedy nie było prawie nikogo w pobliżu, począł je tłuc laika, gdzie popadło, *l'ambarras du chobc*, i mimo wszystko udało mu się, zanim go motłoch nie przepędził, wytłuc niemało drobiu.

— Przepraszam, Koko. Pierwiastek chemiczny, niezbędny dla życia, sześć liter.

— *Sorry*, Maruja. Ledwo odróżniam żelazo od brązu. No, ale mówimy o książce. Od kiedy wsadził mnie do powieści, wszyscy mnie nagabują przez tę moją karykaturę. Druzgocące! Istnienie takich typów jak on powinno być ustawowo zabronione. On powinien dziękować Bogu, że moje różnorodne zajęcia przy czwartej władzy * nie pozwalają mi robić literatury, bo inaczej ja zrobiłbym jego karykaturę. Ale po co karykatura, wy starczałoby go opisać takim, jakim jest. Po prostu śmiech.

W tym momencie wszedł Sabato i Koko powiedział:

— Słyszałem mnóstwo pochwał na temat pańskiego wystąpienia w TV, *mon cher*.

Na to tamten patrząc nieufnie i z powątpiewaniem odparł: „Rzeczywiście?”.

— Przeczytałeś *O bohaterach i grobach!* — zwróciła się Beba do Koka.

— Wybitna powieść — odrzekł Koko z powagą.

— A czytałeś ją?

— Co za pytanie! Jak dobrze on zrobił, że dał jej taki tytuł, chcę rzec taki ważny. Z miejsca domyślasz się, że chodzi o coś głębokiego. *O bohaterach i grobach!* Nie ma żartów, po spółstwo zostaje zmiażdżone już przy wejściu. Świetnie zrobione, ależ znakomicie: trzeba walić na całego od pierwszego zdania.

Bo na przykład powiesz *Bracia Karamazow*, a intelektualne pospółstwo pada na kolana. Nie zdają sobie sprawy, że to jest tak, jak gdyby w Argentynie ktoś zatytułował powieść *Bracia Perez Garcia*. To byłby zresztą świetny tytuł dla sztuki telewizyjnej, ale kto uwierzy w filozoficzną głębię powieści o takim tytule? Tutaj trzeba od samego wejścia uderzyć tytułem o wielkim

* Chodzi o TV (przyp. tłum.)

zasięgu. Znakomicie — powiedział zwracając się do Sabata. Trzeba machnąć toporem przy wejściu. I nie warto przejmować się tym, że pewni ludzie uważają ten tytuł za zbyt pompatyczny. Nie, seftor! Albo raczej tak, senor! Pompatyczności boi się tylko miernota, która z samego strachu mówi szeptem i tylko o błahych rzeczach. Czy ludzie nie umierają? No, więc dlaczego nie ma się pisać o grobach? A bohaterowie, cóż powiedzieć o bohaterach? Czy w historii nie ma bohaterów? To wszystko to jest krytyka miernoty, ludzi zawistnych.

Sabato podniósł się, by odejść. — Chciałbym z tobą mówić — powiedział zimno do Beby.

Wyszedł, a Beba chwyciwszy go za ramię podążyła za nim. — Taki jesteś przykry, z tą swoją tajemniczością.

— To nie tajemniczość — krzyknął, kiedy znaleźli się w drugim pokoju. — Tu chodzi o Marcela, już ci mówiłem.

— Kiedy mi to powiedziałeś?

— Jak tylko przyszedłem. Ale jak ten pajac wchodzi, to ty już niczego nie słyszysz. »

Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODDYCHAŁ NOCNYM POWIETRZEM

było coś w mroźnym powietrzu, co jakby przypominało czystość.

Teraz jest chłodniej
Tyle gwiazd nad nami

płyniemy z prądem.

Proszę was (jeżeli ktoś otworzy to pismo)

Uformujcie w waszych ustach słowa które
były naszymi imionami.

Powiem wam wszystko czegośmy się nauczyli.

Powiem wam wszystko.

SZEDŁ POWOLI W KIERUNKU PLACU BOULOGNE-SUR-MER

nagle usłyszał za sobą Bebę
wołającą go po imieniu:
Słuchajże, *caramba*.

Nie, Marcelo już dawno
odszedł z domu.

Nie, nie wie, co z nim się dzieje.

Wszystko jest skomplikowane, bo on nigdy z nikim
nie rozmawiał, przecież wiesz.

Milczał i patrzył na nią ze smutkiem: to

już nie jest ta błyskotliwa Beba z tamtych czasów
lub przynajmniej z tamtych miejsc. Ta sprzed

chwili, nie szukając daleko.
Muszę go widzieć.
Dobrze, powie mu, jeżeli się pokaże, jeżeli
zatelefonuje.
Nie, nie wie, gdzie on może mieszkać, od kiedy
opuścił swój pokój i zabrał rzeczy.
Boi się.
Boi się? Czego może się bać?
Nie wie, raz był u niego w pokoju ktoś taki a taki.
S. pomyślał o chłopcu z zebrania: to był
niski brunet bardzo źle ubrany?
Tak, tak wyglądał.
Odniosła pewne wrażenie, Beba.
Jakie?
Że ten chłopiec jest partyzantem.
Dlaczego?
Takie odniosła wrażenie. Pewne drobne oznaki.
Ale Marcelo nie poszedłby do partyzantki, tłumaczył jej
Sabato.
Czy wyobraża sobie, że mógłby kogoś zabić, nosić broń?
Nie, oczywiście że nie. Ale może robić inne rzeczy.
Jakie rzeczy.
Pomagać komuś w niebezpieczeństwie, na przykład kogoś
ukrywać. Tego rodzaju rzeczy.

ZALEDWIE Koko wzniosł oczy i ramiona ku niebu, na
SABATO znak ulgi.
WYSZEDŁ — No, mów dalej o
tych przeszczepach.

— Wy przypadacie za kawałami, moje
frywolnisie. A ja jestem człowiekiem serio,
uznają tylko wielkie teorie. Dam wam pouczający przykład:
Kipnął młody Murzyn Jefferson Delano Smith i jego serce¹
przeszczepiają górnikowi Johnowi Schwarzerowi, który od tej
chwili zgodnie z prawem będzie się nazywał Schwarzer-Smith.
Co najwyżej można drugie nazwisko pisać mniejszymi literami:

SCHWAfcZER-Smith

w stosunku do objętości, jaka mu odpowiada w ciele gójnika,
Ensuite ów gatunek kardiologicznego centaury otrzymuje od
Nancy Henderson nerkę i zmienia nazwisko na Schwarzer--
Smith-Henderson, z leciutką zmianą płci, co będzie można za-
znaczyć w dokumentach pod nr (2) jako MĘSKO-żeńskie. *Pup*

przeszczepiają mu wątrobę małpy (leciutka zmiana w jego kondycji zoologicznej).

Ależ Koko!

Sftut up! Jedna rogówka oka od pana Nicka Minelli, właściciela *pizzadrugstore* przy ulicy Dalas, w Toledo, Ohio (maleńka zmiana nie tylko nazwiska, ale i profesji, i *indirizzó*), metr dwadzieścia jelita od rzeźnika Ralpa Cavanagh, z Trarox, Mass. (nowa zmiana *indirizzo* tudzież profesji) trzustka i śledziona od gracza w baseball Joe di Piętro z Brooklynu,

przysadka mózgowa eks-profesora Soi Shapiro z Dayal Memorial Hospital w New Jersey,

dłoń od Seymour Sullivan Jonesa, wicedyrektora Coca-Cola Corp. w Cincinnati.

Stopniowo, pierwotny górnik Schwarzer, który teraz nazywa się, dla uproszczenia, Mr. John Schwarzer-Smith i Sp. podaje się operacji:

przeszczepu jajnika od panny Geraldine Danielsen z Buffalo, Oklahoma, na zasadzie sensacyjnej *dećowerte* prof. Moshe Goldenberga z Uniwersytetu w Pało Alto, Kalifornia, który wykazał, że wszczepienie jajnika w ciało mężczyzny (bądź jąder w ciało kobiety) jest, począwszy od pewnego wieku (a Spółka Schwarzer-Smith osiągnęła już wiek 172 lat), jedynym sposobem regeneracji naczyń krwionośnych mózgu, bez potrzeby przeszczepienia mózgu, czego na razie nie uważa się za niezbędne.

— Słuchaj, Koko...

— *Cazzo di niente!* Wskutek komplikacji powstałych w ciągu dwóch lat po zabiegu, Spółka Schwarzer-Smith zaczyna od czuć wzrost biustu i pragnie w dowód odzyskanej młodości zainicjować, że tak powiem, stosunki uczuciowe z panem bądź ze Spółką Dupont z Ohio. W tym celu pożąda i w końcu domaga się wszczepienia pochwy Miss Christine Michelson, zmarłej w rezultacie (nieudanej) operacji przeszczepu nadpsutego gruczołu nadnercza.

Z powodu odmowy rodziny Michelson, która przestrzega surowych reguł Nowego Kościoła Baptistów Dnia Trzeciego, ciało organizacji Schwarzer-Smith otrzymuje narząd z terylenu, wykonany ad hoc przez znakomitą Plastic-Opothetic International Co. i zrobiony na miarę dla pana, a raczej dla Korporacji Dupont. Dodatni wynik zabiegu pozwala po upływie trzech tygodni na połączenie obydwu Korporacji. Punktem kulminacyjnym tego *mariage de raison* będzie wspañiały industrialno-teologiczny obrzęd zaślubin w Świątyni Reformowanej Christian Science, w małej miejscowości Praga Illinois, gdzie pierwsza z obu Spółek posiada główny pakiet akcji fabryki Coca-Cola, 144

uzyskany jako część spadku przysługująca jej dzięki wszczęciu trzustki Mr. D. D. Parkinsona, szanownego, a przedwcześnie zmarłego byłego prezesa tej firmy w Stanie Illinois.

To wszystko jest wysoce pozytywne, tyleż z punktu widzenia Rozwoju Nauki i Technologii, co wzruszające z punktu widzenia Amerykańskiej Demokracji, pozwoliło bowiem chamowi, jakim był pierwotny górnik John Schwarzer, awansować, dzięki wnętrznościom w dobrym stanie, do kategorii Prezesa światowej firmy, i z ordynarnej kondycji zwykłego samca i wznieść się do najdelikatniejszej kategorii Unisex, Towarzystwo Anonimowe. Dzięki czemu będzie mógł, jeśli zechce, unieść swoich towarzyszy, niekompletnie jeszcze wyposażonych, sukieneczką narysowaną przez samego Rudi Monokini Gernreicha bądź garniturem męskim (zależnie od okazji) z GaviHe Road, że im oko zbieleje.

Tymczasem rzutcy managerowie poczęli co rychlej zakładać Banki Narządów. W ogłoszeniach znalazłem następujące prośby:

Joe Feliciello, z Salt Lake City: dwunastnica w dobrym stanie.

Joshua Loth Marshall, z Truro, Massachusetts: 2 jardy długiego jelita i jedna zastawka dwudzielna.

Soi Shapiro, wiceprezes Panoramic Movies Pictures Co.; wątroba, pilne.

Thomas Jefferson Smith, robotnik budowlany, Roma, Arkansas; czarny nos, najchętniej długi.

Mikę Massuh, detektyw prywatny, Zuion, Utah, prawy gruczoł łzowy.

Gene Loiacono, garmazer, La Junta, Colorado, jądra.

I w dziale „Oferty”:

Edison Weinberg, 40 lat, muzyk, Brooklyn, Nowy Jork, zginął w wypadku samochodowym; rozmaite wnętrzności w dobrym stanie.

Ksiądz Janipero Villegas, Las Misiones, Kalifornia, zmarł na serce; rozmaite wnętrzności w dobrym stanie.

Cornelius Coghlan, 32 lata, Paris, Iowa, zginął podczas pożaru Caterpillar Co.; narządy ocalone od pożaru.

Rodney Munro, malarz, 25 lat, spadł z rusztowania z piątego piętra; rozmaite narządy w doskonałym stanie:

MYŚLI KOKA O NOWEJ POWIEŚCI

Od kiedy hołota może czytać po hiszpańsku Joyce'a i Henry Millera i stwierdziła, że owi geniusze popu-

ścili cugli na całego, nastąpiło ogólne rozwydrzenie i uwierzyli, że wszystko jest tylko kwestią przeniesienia na papier całych ścian klozetów publicznych Buenos Aires, fresków podobnych tym, jakie snobi podziwiają w pisuarach de la Ville Lumière, które jednak tutaj przedstawiają jeszcze większe bogactwo, nie tylko z punktu widzenia semantyki i semiologii, lecz również z perspektywy sztuk plastycznych. Nic dziwnego, wszak ten kraj składa się przeważnie z makaroniarzy i Hiszpanów — dwu nacji plastyków, jeżeli takie istnieją. Jakaż to satysfakcja dla przemysłu krajowego! I jaki policzek dla tych wszystkich snobów, co wierzą tylko w sztukę zagraniczną. Przy pomocy długopisu i kartki papieru (wystarczy umieć czytać i pisać) albo japońskiego magnetofonu ustawionego w jakiejś *pizzeria de faubourg* opiszysz z najdrobniejszymi szczegółami, jak to na jakimś podwórku w Villa Soldati pieprzyli narzeczoną, i puścisz sobie znakomitą powieść, która reklamowana przez Jorge Alvaresa stanie się jednym z najgłośniejszych bestsellerów ostatnich 57 minut. *Parlons chiffres*: 57 minut na zegarku dla tego skarłałego jamesa joyce'a. Ale muszę już odejść, dziewczynki, mam zrobić wywiad z Mirthą Legrand, o fryzurach.

— Och nie, mów jeszcze o Joysie, Koko!

— Cóż mam powiedzieć. Facet sobie wynalazł coś na kształt odrzutowca i w ciągu następnych pięćdziesięciu lat sto tysięcy pisarzy coraz mniejszego kalibru poświęcało się wprowadzaniu zmian do popielniczek i kapelusików stewardess. Nazywają to Uczestnictwem w Rozwoju Współczesnego Lotnictwa. A najlepsze, że wymyślają popielniczkę, która była modna już w r. 1922, i uważają to za ostatnią nowość. Inni natomiast, co jedenaście lat (zapewne w związku z plamami na słońcu) odkrywają na nowo małe litery i mają się za cholernych geniuszy, ponieważ wypocili opowiadanko bez dużych liter i bez interpunkcji. Nieskończona ilość rachitycznych spadkobierców Joyce'a powiązanych więzią krwi poprzez synów i kuzynów, wnuków, bratanków i prawnuków tego rozplodowego ogiera. Co tydzień wylania się (to słowo nie pochodzi ode mnie) jeden z tych twórców, a ten biedny Monsieur Szulberg bierze ich serio i wydaje antologie owych attylów drukarstwa, którzy gdzie tylko postawią swe stopy, tam nie zakwitną duże litery ani kropki, ani przecinki. Wszystko, co napisano tym sposobem, jest nowoczesne, a teksty, w których uchowały się przecinki i akcenty, są dziełem

reakcjonisty, jakim ja jestem, mimo wszystko. Oczywiście, chcąc bez reszty załatwić interes, najlepiej uczynisz, jeżeli uwolniesz się od źle pojętego nacjonalizmu przeniesiesz się do Paryża i przystąpisz do Nowej Lewicy. Po co być partyzantem w puszczy boliwijskiej? Zostaw puszcze frajerom jak Che Guevara. W tej epoce kryzysu i kontestacji, jak utrzymuje Mistrz Sabato (który, mówiąc szczerze, zawsze żył z moich myśli), owi emigranci dają dobry przykład argentyńskim młodzieńcom z ambicjami, od których aż kipią przedmieścia naszej stolicy. Wielkie Buenos Aires roi się od młodych cwaniaków, synów makaroniarzy, hiszpańców, Turków i Ruskich. Recepta jest dostępna dla każdego z tych utalentowanych chłopców: pizza i Mallarme, Joyce i muzyka dodekafoniczna, Rimbaud i Julian Centeya. Z nizin do szczytów finezji! Podczas gdy czynisz starania, aby Ambasada Francuska udzieliła ci stypendium (skorzystasz z niego później, w celu szkolowania Francji), powinieneś przesłuchać kurs audiowizualny, abyś mógł poradzić sobie w Quartier Latin, i od razu przygotuj szkic innowacji, tam będziesz mógł sobie na to pozwolić. Bo gdy pisząc powieść w Argentynie, zamiast słowa ja używasz słowa ty, to nic się nie dzieje, ale jeżeli ją wydasz tam, przejdziesz do historii literatury i o tym wielkim wydarzeniu ukażą się eseje w Melbourne i w Rzymie, w Tel-Awivie i w Addis Abebie, w Singapurze i w Wenecji (Wisconsin).

Zgodnie z moją powszechnie znaną wielkodusznością podam dla przykładu kilka recept, które mogą się przydać wyżej wspomnianym cwaniackim *boursiers*.[^]

1) Powieść z my zamiast ja (Pierwsze ćwiczenie dostępne dla początkujących idiotów).

2) Z trybem warunkowym zamiast wskazującego. Na przykład w miejsce „Markiza wyszła o piątej”, co wywołało dąs Paula Valeryego, „Markiza wyszłaby o piątej”. Cytowanej bła hostce doda to pewnej aury tajemniczości i dwuznaczności.

3) Zmienić czas: czas zaprzeszły zamiast teraźniejszego, albo cała powieść w czasie przyszłym.

4) Powieść w rozdziałach, według indywidualnych życzeń przesłanych pocztą: w jednej wersji na żądanie pana Humberta Apicciafuoco z Bragado bohater morduje swą matkę; w drugiej, na prośbę Monsenora Primatesta z Cordoby, daje jej w Dzień Matki prezent, w innej uproszony przez Bernarda Gorodiskiego z Moise-ville nie zabija swej rodzicielki, lecz torturuje ją czytając jej bez przerwy Trockiego.

5) Powieść — hazard. Każdy gra partię, na jaką ma ochotę, z przeciwnikiem, który gra w innej powieści. Na przykład: gracz 147

ze *Zbrodni i kary* przeciw graczowi z *Siedmiu szalonych*. Zważcie, że właśnie kładę podwaliny pod literaturę hazardu!

6) Powieść w te i Wewte. Można ją czytać od początku do końca albo od końca do początku.

7) Powieść do czytania po przekątnej.

8) Powieść należy czytać opuszczając co drugie słowo (co trzecie, co czwarte i co drugą liczbę pierwszą, każdą-wielokrotność liczby 7, itp.).

9) Powieść, której czytelnik winien słowo tata za każdym razem, kiedy ono występuje, zastąpić słowem telewizor (albo ropucha bądź wieniec, bądź spryciarz, bądź stereofonia, bądź guzik). Wariant bardziej skomplikowany: Rzeczownik tata na leży zastąpić czasownikiem, co komplikuje konstrukcję, lecz na tym polega dowcip i w ten sposób wystawia się na próbę zdolność czytającego).

10) Powieść z propozycjami czytelnika: w tym celu pozostawia się nie zadrukowanych 27 stron, które czytelnik dowolnie wypełnia.

11) Powieść z zapasem: w dołączonej torebce otrzymuje się stronice mające zastąpić inne w książce. Wariant: Znane powieści z nowymi torebkami. *Czarodziejska góra* z zapasem produkcji krajowej.

12) Powieść znana, lecz ze wstępem, w którym znajduje się klucz odnowy: powiedzenia „Settembrioni spojrzal na Hansa Castorpa” nie należy żadną miarą rozumieć, że Settembrioni spojrzal na Hansa Castorpa, chyba że się jest tak staroświeckim, iż wpada się w pułapkę zastawioną przez tego reakcjonistę Tomasa Manna.

13) Powieść w znowie z Intelligence Semce: czytana dosłownie jest do dupy, lecz z kluczem oddzielnie sprzedawanym jest interesującą rewelacją nowej fali.

14) Powieść z nowymi znakami, które~oznaezają niespodziankę albo wahanie bądź intrygę. Na przykład: Szanowny Panie O nie oznacza bynajmniej, że ten pan jest panem ani że jest szanowny, lecz że jest raczej gnojkiem. Jutro kupię ten pierścionek A chce wyrazić, że wbrew tonowi zdecydowania jest to po prostu formalność, gdy odchodzi się ze sklepu nic nie zakupwszy.

15) Powieść telefoniczna: w utworze podany jest telefon autora. Czytelnik może mu zaproponować warianty i zmiany, które, choć najbardziej osobiste, okazują się niesłychanie płodne dla hermeneutyki. Celem tego wszystkiego jest dopuścić czytelnika do wzięcia udziału, gdyż, wiadomo, dawniej czytelnik nie brał udziału, a tylko czytał jak słup albo jak totem, a ta cała 148

historia o arystotelesowskiej katharsis przez tragedię"to była czysta bujda. (*Et ainsi de suite*).

A zatem, *mes enfants*, ruszyć się i wnieść o stypendium. „Vogue” i „Tel quel” nie wam nie da, obniżycie tylko swój left.

Po czym Koko powiedział dosyć tej eksploatacji, wy typowe przedstawicielki *dolce vita*, niech tylko wróci peronizm, a zobaczycie, co będzie. Idę spełniać moje obowiązki Rycerza Prasy. Muszę sprawdzić, czy między Mirthą Legrand i Bonaveną istnieje romans, czy też, jak powiada Mirtha, „z Ringo łączy mnie tylko dobra przyjaźń”.

NIE, MARCELO NIE MÓGŁ GO O NIC PYTAĆ

To on zaczął mówić, miał potrzebę mówienia, ze wstydem powiedział mu z tym swoim akcentem z Tucuman, ja ciebie okłamałem, nie nazywam się Luis, mam

na imię Nepomuceno, i po chwili milczenia Marcelo czerwieniąc się szepnął coś, co chyba miało znaczyć — nie musisz mi nic mówić. Ale tak go również nie nazywali, wołali go Palito*, może dlatego, że był taki: „wiesziz”?, zapytał podciągając trochę spodnie i nieśmiało, z uśmiechem, jakby czuł się winien, pokazał mu chude łydki, sama skóra i kości, bo choć już wiele dni mieszkali razem, zawsze się tak urządzał, aby nie obnażać się przed Marcellem w pełnym świetle. Ośmiu ich było braci w małym rancho, matka brała pranie do domu, o ojcu nie wspominał, może zmarł, może pracował gdzieś daleko. A to wszystko, myślał Marcelo, dla usprawiedliwienia tych śmiesznych chudych łydek.

Milcząc pili mate.

— Mam dużo do opowiedzenia, Marcelo, trzeba, abys wiedział.

— Ja...

— Che, Komendant Guevara.

Marcelo jeszcze bardziej się zdenerwował, zawstydził się, nagle przecztał intuicyjnie, co usłyszy, a czuł się niegodny.

— Byłem tam, przeszedłem całą kampanię, udało mi się ocalić wraz z Intim, ale miałem więcej szczęścia niż on.

Potem zamilknął i tego popołudnia już się więcej nie rozmawiało.

* Palito — Pałeczka.

„Inne kraje na świecie żądają ode mnie pomocy w miarę moich skromnych sił. Mogę uczynić to, co tobie nie jest dozwolone ze względu na odpowiedzialność wobec Kuby, nadeszła więc chwila rozstania. Zostawiam tu moje najczystsze nadzieje budowniczego i najdroższe spośród drogich mi istot. Uwalniam Kubę od wszelkiej odpowiedzialności, z wyjątkiem tej, która emanuje z twojego przykładu. Jeśli pod innym niebem spotka mnie śmierć, moją ostatnią myśl poświęcę temu krajowi i specjalnie tobie, Fidelu.”

Inti Peredo. Czy słyszałeś o nim? Nie, a raczej tak... Wstyd mu było przyznać się, że widział jego książkę w księgarni, wydało mu się niesłuszne mówić o księgarniach wobec takiego Palito, prawie że analfabety, który jednak był i cierpiał tam, w tym piekle. Inti to był wspaniały człowiek, powiedział, Che bardzo go kochał, choć niełatwo było wiedzieć, kiedy Che kogoś bardzo kochał, jakkolwiek czasami się domyślali. Kiedyś odpoczywał, a raczej rozmyślał pod jakimś drzewem. Było to w sierpniu, miesiąc był ciężki, nękały ich głód i pragnienie, niektórzy towarzysze pili mocz, chociaż komendant ich ostrzegł; zapanował nieład oczywiście. W dodatku el Moro, który był jedynym lekarzem, dostał kolejnego ataku lumbago, miewał podczas marszu nieznośne bóle, a jak tu leczyć. Ogarnęło ich zniechęcenie, a nawet strach. Tego wieczora Che przemawiał do nich przy ognisku, tonem spokojnym, lecz poważnym. To okazja, by ludzie mogli siebie ocenić, rzekł. Kto się nie czuje na siłach, ma natychmiast zaniechać walki. Ale ci, którzy zostali, zapłonęli jeszcze większą miłością i podziwem dla komendanta, i postanowili sobie zwyciężyć albo zginąć. To były trudne chwile, bo 31 sierpnia cała grupa Joachima wpadła w zasadzkę na mieliźnie na rzece Yeso wskutek donosu pewnego nędznika, który się nazywał Honorato Rojas i był wieśniakiem. Czy Honorato nie pochodzi od honoru? Tak jest, pochodzi od honoru.

Otóż wojsko czekało, a ten nędznik wprowadził je w zasadzkę i podczas przeprawy przez rzekę pomordowali ich od tyłu i wielu tam poginęło, a wśród nich Tania, dzielna dziewczyna; zostało tylko 22 ludzi. Niektórzy, jak el Moro, w bardzo kiepskim stanie, a inni — trzeba powiedzieć, chociaż to wstyd — mieli stracha. Tak że komendant na nowo rozpoczął szkolenie, co wieczór były pogadanki i porady, a także nagany ojcowskie, ale surowe. W jeden taki wieczór Palito ujrzał go; siedział samotnie pod drzewem i patrzył w ziemię. Nie wiadomo dlaczego coś go tknęło i podeszedł do niego. Che jak gdyby na usprawiedliwie-

nie powiedział mu, że myślał. Myślał o Celicie, córce pozostawionej na Kubie.

Palito znowu zamilknął. Zapalił następnego papierosa i Marcelo widział w ciemności, jak papieros rozbłyskiwał za każdym pociągnięciem.

„Droży Staruszkowie: znowu czuję pod piętami zebra Rosynanta, powracam na drogę z tarczą na ramieniu. Prawie dziesięć lat temu napisałem wam tamten list pożegnalny. O ile pamiętam, ubolewałem, że nie jestem lepszym żołnierzem i lepszym lekarzem. To drugie już mnie nie interesuje, a żołnierzem takim złym nie jestem... Być może, teraz będzie koniec. Nie szukam go, ale mieści się to w logicznym rachunku. Jeżeli tak, to ślę wam ostatni pocałunek. Kochałem was bardzo, tylko nie umiałem wyrazić mojej czułości; jestem twardy w moich poczynaniach i sądzę, że czasami nie rozumieście mnie. Zresztą, niełatwo było mnie rozumieć. Wierzcie mi tym razem”.

— Tak jest, Marcelo, czasami zdawaliśmy sobie sprawę. Na przykład, kiedy zmarł Benjamin, chłopiec jeszcze słabszy ode mnie (uśmiechnął się nieśmiało), ale miał cholerną wiarę. Bardzo żeśmy cierpieli podczas tych marszów, już w pierwszych dniach, zostaliśmy prawie bez butów i w poszarpanej odzieży. Strasznie kolczaste te rośliny, no i kamienie, i bród. Che zamyślał, dotrzeć do rzeki Masicuri, abyśmy najpierw zobaczyli żołnierzy, zanim rozpoczniemy bitwę. Mieliliśmy już za sobą prawie miesiąc marszu z chorymi, były moskity, wszelkie robactwo, przy tym zmęczenie, tornistry co dzień cięższe, broń. Pod koniec miesiąca nie było już prawie co jeść. Nad Rio Grandę Benjamin miał trudności z tornistrem, bo jak ci mówiłem, był słaby i bardzo wyczerpany, naprawdę żal było patrzeć, jak się włócił. Szliśmy przez urwisko, Benjamin zrobił fałszywy krok i wpadł do rzeki, która była rwąca i wezbrana, tak że nie miał sił zrobić choć kilka ruchów. Rolando rzucił się do rzeki, ale nie mógł go uchwycić i jużśmy go więcej nie ujrzeli. Wszyscy kochaliśmy Benjamina, to był fajny towarzysz. Komendant nie odezwał się słowem i przez cały dzień nic nie mówił, siedł milczący ze spuszczoną głową. Za każdym razem jak zatrzymywaliśmy się na postój albo jakeśmy się zbierali wokół ogniska, aby coś zjeść, zawsze do nas przemawiał, uczył nas różnych rzeczy. Tego wieczora powiedział nam, że główną bronią wojska rewolucyjnego jest jego morale i dyscyplina. Partyzant nie powinien nigdy

plądrować zajętych miejscowości, nie powinien znęcać się nad ludźmi, tym bardziej nad kobietami. A ponadto musi zachować wiarę w zwycięstwo i walczyć aż do śmierci o ideały, do których dążymy. A najważniejsze to dyscyplina, powiedział, ale nie ta, której nas poddają w służbie wojskowej, lecz dyscyplina tych, co wiedzą, o co walczą i wiedzą, że to, o co walczą, jest czymś wielkim i sprawiedliwym. Ani słowa nie powiedział o Benjaminie, ale tego wieczora miał jakiś odmieniony głos i zresztą wszyscyśmy czuli, że to, co nam tłumaczył, miało coś wspólnego z Benjaminem, z tym, jak Benjamin znosił cierpienie. Bo nieraz widzieliśmy, jak pomagał Benjaminowi, jak starał się go odciążyć, chociaż on sam, Che, niósł zawsze najcięższy balast i najbardziej się narażał. Nawet wtedy jak astma zaczęła mu okropnie dokuczać, bo lekarstwa mu się skończyły. Ty wiesz, co to jest astma.

W ciemności zobaczył Marcelo, że Palito znowu zapala papierosa. —Chcesz? Jeden papieros nie może ci zaszkodzić.

Milcząc leżeli na łóżkach i patrzyli w sufit.

— Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem, nie mogłem w niego uwierzyć. To było wieczorem w puszczy. Wyglądał jak każdy inny... Ale wnet spostrzegłem, że nie...

Zamilknął, palił.

— Nie myśl sobie — starał się wyjaśnić — że on chciał ucho dzić za innego niż wszyscy. Nie, Me to ci chciałem powiedzieć...: Chciałem wiedzieć, że to się czuło, bez jego woli. Nie był surowy, jak bywa czasem wojskowy dowódca, chciałem powiedzieć. Żartował, czasami. Ale pewnych rzeczy nie tolerował. Nie tolerował na przykład niechlujstwa, zaniedbania. Wiesz: jak się jest dłuższy czas w puszczy, w górach, to stopniowo się zaniedbujesz i po pewnym czasie będziesz chodził w łachmanach, przez te kolce, marsze w deszczu, przez to wszystko. Bo trudno o kąpiel i często jesz palcami. Jak się człowiek nie upilnuje, zamienia się w zwierzę. Otóż, mówię ci, Che tego nie tolerował. Trzeba się było starać być czystym, naprawiać odzież, dbać o tornister, o książki. Nieczęsto słyszałem, żeby krzyczał, a jak krzyczał, to miał rację. Raczej cię upomniał, grzecznie, ale stanowczo. Jak się wybrało miejsce na obozowisko, zarządzał roboty publiczne (jak to żartobliwie nazywał), kleciło się ławki, stawiało piec do pieczenia chleba, takie *rzeczy*. I co jakiś czas nakazywał gruntośnie sprzątać obozu, chociaż to była prowizorka. I codziennie od 4 do 6 mieliśmy naukę. Bardziej wykształceni uczyli nas: była gramatyka, arytmetyka, historia, geografia, polityka, język keczua. Nawet wieczorem były lekcje, ale to już na ochotnika, dla tych, co się chcieli więcej nauczyć i mieli więcej wytrwałości. Wieczorem Che dawał lekcje francuskiego. Nie chodzi o to, żeby

umieć strzelać, powiadał, tylko umieć strzelać. Kiedyś niektórzy z was będą na kierowniczych stanowiskach, jeżeli zwyciężymy w tej partyzantce. Kadra, powiadał, musi nie tylko mieć odwagę, powinna rozwijać się ideologicznie, powinna umieć szybko analizować i podejmować słuszne decyzje, powinna umieć zachować wierność i dyscyplinę. A nade wszystko, powiadał, ma stanowić przykład nowego człowieka, jakiego chcemy mieć w sprawiedliwym społeczeństwie.

Znowu przerwał i w milczeniu palił.

— Nowy człowiek — szepnął, jakby myślał dla siebie. — Dużo nam mówił o nowym człowieku. Ja ci tego nie potrafię wytłumaczyć, bo nie jestem uczony, ale kiedy on do nas przemawiał, to ja się w niego wpatrywałem i myślałem sobie, że ten nowy „człowiek ma być taki jak on, jak Che: być ofiarny dla innych, mieć odwagę, a także współczucie i...

Zdawał się wahać chwilę, a przy tym sprawiał wrażenie, jakby miał trudności w mówieniu, jak gdyby wspomnienia boleśnie go dławily, w końcu wszakże zdecydował się wyrzec to słowo, przed którym się zatrzymał, i¹ powiedział je jakby zawstydzony: miłość.

Zamilknął. Po chwili poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

— Miłość... no, nie wiem... nie chodzi mi o tę miłość z romantycznych powieści, nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał... To jest... On powiadał, że nie można walczyć o lepszy świat bez tego, bez miłości do człowieka, i że to jest święta rzecz, że to nie są puste słowa, że za każdym razem, każdego dnia trzeba ją okazywać.. Ileż to razy widzieliśmy, że bez złości traktował żołnierzy, co przed chwilą do nas strzelali, opatrywał ich rany i nawet zużywał lekarstwa, których dla nas nie starczało. Już ci mówiłem, że wkrótce zaczęło mu brakować lekarstw na astmę i okropnie cierpiał. Czasami się ukrywał, jak mu było gorzej. Ale wkrótce wracał i kontynuował marsz, i złościł się, jak chcieliśmy mu porc(óc, ująć mu ciężaru, albo jak kucharz mu dał coś lepszego i jak chcieliśmy mu zmienić godzinę warty na dogodniejszą porę.

— Zasadzka w NaJicahuazu—podjął po chwili milczenia— pierwszy raz, jak mieliśmy się bić. Wzięliśmy sporo jeńców, wśród nich jednego majora. Wstyd było patrzeć, jaki to był tchórz. Jego własni żołnierze prosili, żebyśmy go rozstrzelali, bo ten człowiek to był sukinsyn. Zabraliśmy żołnierzom mundury i daliśmy im cywilną odzież. Rannych leczylimy, a Inti tłumaczył im nasze cele, bo Che musiał ukrywać swoją obecność w Boliwii. No, więc traktowaliśmy to indywidualum, jak Che nam przykazał: jak istotę ludzką, z godnością i szacunkiem. Inny 153

przypadek: porucznik Laredo. W jego dzienniku znalazł się list jego żony. Jej przyjaciółka kazała go prosić, aby przywiózł skalp jakiegoś partyzanta dla ozdoby salonu. Tak pisała: dla ozdoby salonu. A mimo to Che postanowił, aby dziennik tego podporucznika, teraz sobie przypomniałem, to był podporucznik, nie porucznik, odesłano jego matce, ponieważ nieprzyjacielski oficer o to prosił w swoim dzienniku. A Che przechowywał dziennik w swoim tornistrze, aby go kiedyś oddać. Znaleźli go w tornistrze, kiedy Che zginął w zasadzce w Yuro. Jeszcze coś ci opowiem. 3 lipca byliśmy jeszcze w pobliżu rurociągu na ropę, gdzie mieliśmy starcie z wojskiem. Che zarządził zasadzkę i czekaliśmy na przejazd ciężarówek. Pombo miał dać znak chustką ze swego stanowiska obserwacyjnego, kiedy pierwsza ciężarówka znajdzie się w zasięgu naszego ognia. Po pięciu i pół godzinie ciężarówka przejechała, ale Che, który pierwszy miał wymierzyć strzał, nie zrobił tego i ciężarówka przejechała nienaruszona. Wiesz dlaczego?

Wydawał się czekać na odpowiedź przyjaciela, który jednak nic nie powiedział.

— Słuchasz mnie? Czy może usnąłeś?

— Nie, Palito, wszystko słyszę.

— Wiesz dlaczego? Bo w wozie byli tylko dwaj żołnierze.

Spali owinięci kocem, obok świń, które wieźli. Dwa żołnierzyki, tłumaczył nam Che, i do tego pogrążone we śnie. Jak myślisz, Marcelo, czy to była słabość z jego strony?

— Ja...

Tego wieczora, przy ognisku, Che tłumaczył nam, że takie postępowanie może być uważane za słabość i że tego rodzaju słabość może w pewnych momentach stać się zgubna dla partyzantki. Ale tu znowu okazuje się ten nowy człowiek. Zabić z ukrycia dwóch bezbronnych śpiących żołnierzy i w dodatku niewinnych, bo przecież walczyli posłuszni rozkazom, no nie? Czy to naprawdę była słabość? Czy można stworzyć tego nowego człowieka walcząc na zasadzie takiego okrucieństwa? Czy można osiągnąć szlachetny cel przy pomocy niegodziwych środków? To nie jest łatwe. Wiesz, że wielu ludzi go później za to skrytykowało?

— Kto?

— Bo ja wian... rewolucjoniści, bardziej nieugięci, bardziej realistyczni... czy tak się mówi? Nieraz słyszałem, jak krytykowano Che... drobnomieszczański idealista, mówili, w tym stylu. Raz musiałem dać po głębie jednemu, który się tak wyraził bez szacunku. Rzuciłem się na niego. Myślę, że byłbym go za bił... tylko ja jeden na tym zebraniu wiedziałem, kim był Che 154

Guevara, i bolało mnie, że muszę słuchać takich rzeczy od ludzi, co nie zrobiliby nawet tysięcznej części tego, do czego zdolny był Che. A ty jak myślisz. Miał rację?

Marcelo jak zawsze zwlekał z odpowiedzią.

— Ja jestem nikim, nie mnie mówić o tych sprawach. Ale według mnie Che miał rację...

— Według mnie także. A jeśliśmy walczyli, to właśnie po to, aby nie było takich ludzi, co mogą strzelać z ukrycia do biednych śpiących chłopców, którzy idą na śmierć, nie wiedząc dla czego. W jego *Dzienniku* to przeczytałeś?

— Tak jest, w *Dzienniku*.

— On pisze w *Dzienniku*, że nie miał odwagi ich zastrzelić. A przecież wiesz, że odwagi miał Che aż nadto. Co innego chcę powiedzieć. Bo jest tak, że jak należysz do grupy partyzantów w puszczy, to masz uczucia, jakich ludzie w mieście nie potrafią zrozumieć. Kiedy Tuma został raniony w brzuch, musieliśmy go nieść parę kilometrów, aż do Piray, aby El Moro mógł go opearować. Ale Tuma miał rozwaloną wątrobę i Mika perforacji w kiszkiach. Nic nie można było zrobić. To był dla nas dzień bardzo bolesny, bo Tuma był jednym z najweselszych towarzyszy, najbardziej uczynnych, poza tym że był to odważny bojownik. Che kochał go jak syna i pisze o tym w *Dzienniku*, może też cierpiał bardziej niż wszyscy inni. Chociaż, jak zawsze, robił, co mógł, aby tego nie okazać. Kiedy Tuma padł, myśląc że na miejscu umrze, dał nam zegarek dla Che. Taki był zwyczaj, bo komendant później oddawał albo kazał oddać żonie względnie matce. Tuma miał syna, którego nie znał, bo urodził się, kiedy już byliśmy w górach. Prosił, aby zachować ten zegarek, dopóki syn nie podrośnie.

„Patrolowałem cztery dni z pierwszym batalionem czwartej dywizji, w tej dziewiczej puszczy pełnej żmij, węzów boa, gigantycznych pajaków i jaguarów.”
(Z relacji Murray Sayle, korespondenta wojennego „London Times”.)

Wrzesień był jeszcze gorszy niż sierpień. Odbywaliśmy straszne marsze, traciliśmy ludzi, stoczyliśmy kilka bitew i zaczynało nam brakować najmezbędniejszych rzeczy. W dodatku zrozumieliśmy, że grupa Joachima już nie powróci, ponieważ została unicestwiona. El Moro miał okropne bóle, a komendant czuł się coraz gorzej, bo już dawno skończyły mu się lekarstwa przeciw astmie. Nieraz ukrywał się podczas ataku astmy, abyśmy go nie widzieli w najgorszych chwilach. Najbliższym naszym celem była 155

La Higuera. Ale wiedzieliśmy już wszyscy, że wojsku wiadome są nasze pozycje. Dodo znalazł telegram w domu telegrafisty w Valle Grande, zastępca prefekta donosił sędziemu ziemskiemu o obecności partyzantki. 26 około południa wyruszyła nasza nieliczna przednia straż, aby próbować dotrzeć do Jagiley. Po półgodzinie, kiedy nasza grupa środkowa i tylna straż ruszyły w tym samym kierunku, usłyszeliśmy strzelaninę od strony La Higuera. Komendant natychmiast zorganizował obronę, w oczekiwaniu przedniej straży albo tego, co z niej zostało, bo nie mieliśmy wątpliwości, że wpadli w jakąś zasadzkę. Toteż czekaliśmy niecierpliwie na pierwsze wiadomości. Pierwszy nadszedł Benigno, miał ramię przeszyte kulą. A to było tak: najpierw został ranny Dodo, wtenczas Benigno pobiegł do niego, a podczas kiedy go włókł, dosięgła go salwa z karabinu maszynowego: Dodo został zabity, a jedna z kul przeszływszy go zraniła ramię Benigna. Inni zginęli lub zostali ranni. Był to straszny cios dla Inti, bo Dodo był dla niego więcej niż bratem: razem byli w więzieniu i w walce i razem wstąpili do partyzantki. Abyś miał pojęcie: kiedyś rozmawiano w puszczy o śmierci Ricarda, że ta śmierć była ciosem dla jego brata Artura. Wtenczas Dodo powiedział do Inti: nie chciałbym widzieć ciebie martwym, nie wiem, jak bym się zachował. Ale na szczęście mnie zabiją przedtem, ja to wiem, powiedział. I tak było rzeczywiście. Dodo był szlachetnym towarzyszem, o wielkiej odwadze, ale płakał, kiedy Ricarda zabili. Na szczęście, Inti nie widział, jak Dodo umierał. On nie umiał płakać, lecz od tego dnia stał się bardziej zamknięty w sobie niż dawniej.

Palito znowu zamilkł, w miarę jak posuwał się naprzód w tym opowiadaniu o niedolach, mówił z coraz większą trudnością. W pewnej chwili podniósł się i rzekł: muszę wyjść na stronę. Często tak bywało, Marcelo o tym wiedział. Palito miał chore nerki. Wróciwszy, znowu się położył i ciągnął dalej:

— Zasadzka w La Higuera byk strasliwym ciosem. W rzeczywistości był to początek końca.

„Dnia 27.—O czwartej podjęliśmy na nowo marsz usiłując znaleźć dogodne miejsce do wspinaczki. Udało się to o siódmej, ale od przeciwnej strony niż zamierzaliśmy: na wprost było łyse wzniesienie, bezpieczne na pozór. Weszliśmy trochę wyżej i znaleźliśmy się w miejscu bezpiecznym od nalotów, w bardzo rzadkim lasku. Tam odkryliśmy, że przez wzgórze prowadzi droga, ale nikt tamtędy przez cały dzień nie przechodził. O zmierzchu, jakiś wieśniak z żołnierzem 156

weszli do połowy wzgórza i chwilę tam bawili nie widząc nas. Aniceto wyszedł był na zwiady, właśnie wrócił, widział w pobliskim domu sporą grupę żołnierzy; ta droga wydała się nam najłatwiejsza, a teraz była odcięta. Nad ranem widzieliśmy na którymś z pobliskich wzgórz kolumnę wojska, różne przedmioty błyszczały w słońcu, a potem, w południe dały się słyszeć pojedyncze strzały i kilka salw i nieco później okrzyki „jest tutaj”, „wylaż stąd”, „wyleziesz ty czy nie”, którym towarzyszyły strzały. Nie znamy losu tego człowieka, przypuszczamy, że to mógł być Camba. My wyruszyliśmy o zmroku, chcieliśmy zejść do wody po tamtej stronie i rozłożyliśmy się w lasku trochę gęstszym niż tamten; trzeba było szukać wody w samym wąwozie, tutaj urwisko na to nie pozwalało. Radio przyniosło wiadomość, że mieliśmy starcie z kompanią Galinda, zostawiliśmy 3 poległych, których miano przenieść do V.G. w celu zidentyfikowania. Widocznie nie schwytali Camby i Leona. Tym razem mieliśmy wielu poległych; najbardziej daje się odczuć strata Doda, lecz i Miguel i Julio byli wspaniałymi bojownikami i wartość ludzka tych trzech jest niezastąpiona. Leon dobrze malował. Wysokość 1800 m." (z *Dziennika Che Guevary*)

Komendant szukał strefy o bardziej przychylnym terenie, abyśmy mogli zaopatrzyć się w posiłki i żywność. Ale w tym celu musieliśmy przerwać dwa pierścienie: ten, który mieliśmy tuż przed sobą, i tamten, wielki krąg, w który rozwinęło się wojsko, jak to wynikało z komunikatów radiowych. W ostatnich dniach września i w początkach października staraliśmy się w ciągu dnia ukrywać, grabiliśmy tylko parę sondaży, aby wytropić wyjście. Na dobitkę nie mieliśmy już wody. Tylko jakąś strasznie gorzką, którą braliśmy narażając się na niebezpieczeństwo, nocą, zacierając za sobą ślady. O kilka kroków słyszeliśmy przechodzących żołnierzy, w coraz większej liczbie i świetnie wyposażonych. Kiedyśmy rozpalili ogień, musieliśmy nieomal przykrywać go kocami, aby go nie dostrzegli.

„Oblicza się, że komendant Ernesto Che Guevara powinien lada chwila polec, ponieważ od kilku dni jest otoczony żelaznym pierścieniem. Ziemia i ukłucia robią tu z ciała każdej istoty ludzkiej nieszczęsny łachman. Roślinność skołtuniona, sucha i ciernista 157

uniemożliwia niemal wszelką zmianę miejsca, nawet we dnie, pozostają tylko koryta potoków, które wszystkie są ściśle strzeżone. Nie sposób zrozumieć, jak partyzanci mogą znieść ten pierścień głodu, pragnienia i grozy: Ten człowiek nie wyjdzie stąd żywy, powiedział nam jakiś oficer." (Według pewnego korespondenta wojennego)

I tak przetrwaliśmy do 8 października. Poprzedniego dnia po południu minął jedenasty miesiąc partyzantki. Noc była bardzo chłodna. Maszerowaliśmy powoli, bo Chino z trudnością chodził nocą, el Moro szedł z bolącą nogą, a komendant, pozbawiony lekarstw przeciw astmie, okropnie cierpiał. O drugiej w nocy zatrzymaliśmy się dla wypoczynku. O czwartej ruszyliśmy znowu. Było nas siedemnastu mężczyzn, po ciemku i w trwożnym milczeniu szliśmy wąwozem Yuro. Kiedy wyszło słońce, komendant począł badać sytuację, poszukiwał grzbietu, którym doszlibyśmy do rzeki San Lorenzo. Ale pagórki były nieomal 3yse i wyjście byłoby prawie niemożliwe. Wtenczas komendant postanowił wysiać trzy dwójki na zwiady: jedną w prawo, drugą w przód, a trzecią na lewo. Szybko wrócili potwierdzając, że wszystkie przejścia mamy zamknięte. Conąć nie mogliśmy się również, bo w dzień nie było możliwe przejść tą ścieżką, którą szliśmy nocą. Komendant zdecydował, że ukryjemy się w poziomej wyrwie i będziemy opóźniać akcję możliwie długo, jeśli bowiem zaczną po godzinie trzeciej, wyjaśnił, będziemy mogli stawiać opór aż do zachodu słońca i wówczas pozostałaby jakaś szansa ucieczki.

„Rano o ósmej pewien wieśniak imieniem Wiktor zgłosił się na posterunek wojskowy w La Higuera i doniósł, że nieznani ludzie poruszają się w krzakach w pobliżu jego rancho. Oficer dał informatorowi pieniądze i natychmiast zaczął przekazywać tę wiadomość jednostkom Rangersów, rozrzuconym w strefie. Major Miguel Ayoroa, dowódca dwóch kompanii Rangersów operujących w tym regionie, rozkazał przez radio zablokować wyjścia z wąwozów San Antonio, Yagiiey i Yuro, a jego ludzie zetknęli się z partyzantami około południa. W pierwszej potyczce zginęli dwaj żołnierze. Strzelanina trwała sporadycznie około 3 godzin. Z wolna Rangersi zdobywali teren, w końcu oddaleni byli o jakich 70 m od nieprzyjaciela. O 15.30 partyzanci ponieśli pierwszą widoczną i stratę." (Z raportu wojska).

15

To był pech, że atak rozpoczął się w południe, bo, jak mówiłem, Che miał nadzieję, że odwlecze się co najmniej do trzeciej. Dał się słyszeć trzask karabinów maszynowych, na szczęście bify w drogę, którą przemierzaliśmy nocą. Oni oczywiście myśleli, że jesteśmy bardziej opóźnieni. To pozwoliło nam zyskać na czasie. Komendant podzielił siły na trzy grupy, ustalając miejsce, gdzie mamy się spotkać, kiedy zapadnie noc. Lecz kiedy nasza grupka przybyła, tamtych nie zastaliśmy. Spojrzeliśmy po sobie milcząc i padliśmy na ziemię ze zmęczenia i z trwogi, nie straciliśmy jednak nadziei, że Che ze swoją grupą nie mając możliwości dojść do miejsca, gdzie myśmy byli, zdecydował się dotrzeć do San Lorenzo.

Palito zamilknął. Marcelo wyciągnięty na łóżku poczuł w piersi ucisk astmy. „Przez moją astmę”, pomyślał, jakby się przyłapał na podłym uczynku. Po długiej i straszliwej ciszy dobiegł go prawie niedosłyszalny szept Palita: „Nie wiedzieliśmy, że cała jego grupa poległa, że komendant Ernesto Che Guevara został ranny i wzięty do niewoli, i że niebawem zamordują go w sposób naj...” Ostatniego słowa Marcelo nie dosłyszał. Potem już nie rozmawiali w tamtą noc.

„Rozwinęliśmy się w ten sposób, aby partyzantów otoczyć, i zaraz rzuciliśmy się do ataku. Pierwszym dostrzeżonym przez nas rebeliantem był ten, którego szybko zidentyfikowaliśmy jako Willy'ego, a za nim tamten, któregośmy później zidentyfikowali jako Che. Natychmiast rozpoczęliśmy ogień, raniąc Che salwą z karabinu maszynowego, wtedy Willy oraz inni usiłowali go wywlec, a bitwa tymczasem trwała. Inna salwa naszych Rangersów zerwała, beret komendantowi i utkwiała w jego piersi. Pod osłoną towarzyszy Willy zdołał przetransportować szefa na jakiś pagórek, gdzie natknęli się na innych czterech Rangersów. Zziębnięty z wysiłku nadszedł Willy z ciałem swego szefa na plecach. Kiedy się zatrzymał, aby nabrać sił i zadbać trochę o Guevarę, przyczajeni żołnierze wydali mu rozkaz poddania się. Zanim jeszcze mogli strzelać, Rangersi wystrzelili pierwsi. Potem do nich podeszli. Che był ciężko ranny i dławiła go astma. Wtenczas nadaliśmy szyfrowaną wiadomość „Halo Saturno. Mamy tatę”. (Raport kapitana Prado)

„Guevarę owiniętego kocem zanieśli czterej żołnierze do La Higuera, odległej o kilka kilometrów od miejsca schwywania. Tam kapitan Prado oddał jeń- 159

ców pułkownikowi Selichowi, któremu podlegał posterunek. Zrobiono inwentarz tego, co było w tornistrze Guevary: dwa dzienniki, klucz szyfrowy, notes z szyfrowanymi wiadomościami, książka z wierszami przepisаныmi przez Che, zegarek i jeszcze trzy lub cztery książki." (Z raportu wojska boliwijskiego).

„Z Che rozmawiał pułkownik Selich. Zarówno my, ranni żołnierze, jak i Guevara, leżeliśmy w hangarze. On jednak był na drugim końcu i nie rozumieliśmy dobrze, co mówili, chociaż pułkownika słyszeliśmy wyraźnie, ponieważ krzyczał. Mówił o Ameryce. Pułkownik był dłuższy czas u Guevary, może godzinę albo więcej. Dyskutowali o czymś, co pułkownik chciał sprawdzić, a czego Guevara nie chciał powiedzieć. Aż w pewnej chwili Guevara uderzył pułkownika w twarz prawą ręką. Wtenczas pułkownik wstał i odszedł. Major Guzman chciał przetransportować Guevarę helikopterem do szpitala, ale pułkownik sprzeciwił się i odlecieliśmy sami." (Raport żołnierza Gimenesa).

„Zaledwie odleciał helikopter z rannymi i zmarłymi żołnierzami, bóle partyzanta zaczęły się nasilać. Szeptał coś. Zbliżyłem ucho do jego ust i usłyszałem, że powiedział: »bardzo źle się czuję, proszę, zrób coś, aby uśmierzyć ból«. Nie wiedziałem, co mam zrobić, ale on sam wskazał mi, jak mam mu ulżyć. »Tutaj, na piersi, proszę«. Potem spędził całą noc jęcząc." (Raport porucznika pełniącego straż przy jeńcu).

„Che został przeniesiony wraz z innymi jeńcami do małej szkoły w La Higuera, i w jednej z klas spędził tę całą noc." (Raport dziennikarza).

„W niedzielę 9 października, prezydent Barrientos i generał Ovando otrzymali raport o wzięciu do niewoli. Odbyło się zebranie naczelnego dowództwa. Generałowie Torres i Vazquez przedłożyli wniosek stracenia go. Nikt się nie sprzeciwił; milczeli. Nieco później generał Ovando przesłał do Valle Grandę rozkaz: „Pozdrówcie tatę". Rozkaz otrzymał w La Higuera pułkownik Miguel Ayoroa. Przekazał go porucznikowi Perezowi, a ten z kolei podoficerowi Mario Teran i sierżantowi Huanca. Wyznaczeni zabójcy chwycili za karabiny. W miejscu gdzie był zamknięty Che, leżał też związany partyzant Willy. Kiedy pojawił się Teran, Willy go znieważył, wówczas Teran wy-

, mierzył mu strzał w głowę. Tak samo postąpił Huanca z Reynagą, zamkniętym w sąsiedniej klasie. Mario Teran był wyznaczony losowo do zabicia komendanta Guevary. Kiedy wyszedł z klasy, gdzie wykończył Willy'ego, przestraszony postanowił zmienić broń na mocniejszą. Udał się do porucznika Pereza i zażądał karabinu M2, który automatycznie odpala salwy. Teran był niskiego wzrostu, drobny. (Wersja Antonio Arguedasa, byłego ministra rządu, dla „Prensa Latina”). „Kiedy wszedłem do klasy, Che podniósł się i powiedział:

— Przyszedłeś mnie zabić.

To mnie zbiło z tropu i spuściłem głowę, bez słowa.

— Co powiedzieli tamci? — zapytał.

Odrzekłem, że nic.

Nie ośmieliłem się wystrzelić. W tej chwili widziałem wielkiego, ogromnego Che. Oczy mu intensywnie błyszczały. Zdawało *mi*, się, że się na mnie rzuca, i zrobiło mi się słabo.

— Uspokój się — powiedział. — Dobrze celuj.

Powiedz, gdzieś się ukrywał, że nikt cię nie mógł znaleźć, ach ta śmierć niepojęta a cicha.

Wówczas zrobiłem krok w tył, ku drzwiom, zamknąłem oczy i wystrzeliłem pierwszą salwę. Che z przestrelonymi nogami wił się; zaczęło z niego uchodzić mnóstwo krwi. Nabrałem ducha i wystrzeliłem następną salwę; trafiło go w ramię, w łopatkę i na koniec w serce". (Relacja podoficera Terana dla Arguedasa).

„Zwłoki Che, jeszcze ciepłe, zawleczono do noszy, na miejsce, skąd zabierze je helikopter. Podłoga i ściany klasy były zbroczone krwią, ale żaden z żołnierzy nie chciał ich czyścić. Uczynił to pewien niemiecki duchowny; milcząc zmył plamy i zawinął w chustkę, kule, które przeszły ciało Guevary.

Kiedy helikopter nadleciał, nosze przywiązano do płoż. Zwłoki, jeszcze w partyzanckiej kurtce, owinięto prześcieradłem. Kubańczyk Eddy Gonzalez, który w Hawanie prowadził za czasów Batisty kabaret, zbliżył się i uderzył w twarz zmarłego komendanta.

Po wylądowaniu helikoptera na miejscu, zwłoki 161

położono na stole, z głową zwisającą do tyłu i otwartymi oczami.

Prawie nagi, leżał w pralni, w basenie, oświetlony reflektorami fotografów.

Ręce ucięto mu siekierą, aby nie dopuścić do zidentyfikowania. Lecz inne części ciała również zostały okaleczone. Strzelbę oddano pułkownikowi Anaya, zegarek generałowi Ovando. Jeden z żołnierzy, który brał udział w operacjach, zdjął mu z nóg mokasyny zrobione dla Guevary w puszczy przez jednego z towarzyszy. Nie posłużyły mu jednak, ponieważ były mocno zużyte i zniszczone przez wilgoć." (Z wiadomości prasowych)

Zachowaję twą pamięć kwiaty, słowa, niebo i deszcz, jak ten dzisiejszy, i będziesz żył beztrudno po zwycięstwie.

Śpij, wolna od przeciwności, nasza smutna duma.

NIE, SYLWIO, TWOJE LISTY NIE NUDZĄ MNIE

ale nie mam czasu ani chęci spotkać się z Araujo. Niechaj zacznie od czytania Hegla, a zobaczy, że jest jeden Hegel „marksista” i drugi „egzystencjalista”, i zrozumie wówczas, dlaczego dzisiejszy egzystencjalizm może podjąć owocny i integrujący dialog z marksizmem.

Co się tyczy „metafizyki”, jeszcze jedno typowe oskarżenie. Ale bądźmy sprawiedliwi wobec twego przyjaciela, tutaj winę nie on sam ponosi. Oto, gdzie muszę się odłączyć i zgodzić się na rolę trędowatego z dzwonkiem, aby chłopcy uciekali, kiedy się zbliżę.

Araujo szuka we mnie stygmatów, jak owi łowcy czarownic, co usiłowali znaleźć diabelski znak w najbardziej ukrytych zmarszczkach. Powiedziałem ci wszakże, że używam tego słowa w odniesieniu do pewnych ostatecznych problemów kondycji ludzkiej. Zrozumiałe, że pragnienie absolutu, żądza władzy, impuls do buntu, strach przed samotnością i śmiercią są tymi problemami, że nie są to objawy burżuazyjnej zgnilizny.

Konkretna integralność człowieka zawiera w sobie te problemy. A tę można osiągnąć jedynie przez sztukę. Nawiasem mówiąc, nie twierdzą tego jedynie trędowaci jak ja: tego samego zdania są również marksiści. Wszyscy filozofowie w dążeniu do absolutu musieli uciekać się do jakiejś formy mitu bądź poezji.

Nie mówię już o egzystencjalistach. Ale nawet u tych tradycyjnych filozofów: pomyśl o mitach Platona i przypomnij sobie, że Hegel sięgał do mitów o Don Juanie i o Fauście, aby dać odczuć dramat nieszczęsnego sumienia.

I jeszcze ostatnie wyjaśnienie. Z przyczyn podobnych do tych, które ci wyłuszczyłem, używam, ku zdumieniu korektorów, słowa „eschatologiczny” w odniesieniu do problemu śmierci, nie zaś „eskatologiczny”, jako że „eschatos” odnosi się do spraw pozaziemskich, zaś eskatos do świństw.

Jestem zmęczony, Sylwio. Jest druga w nocy i źle się czuję. Nie mogę ci wytłumaczyć, dlaczego. Jeżeli uda mi się z tego tumultu zrobić powieść, wówczas będziesz mogła wyczuć coś z mojej rzeczywistości, z mojej całej rzeczywistości: nie z tej, którą poznajesz w filozoficznych dyskusjach.

Przyjdź jutro, ale bez Araujo.

OTWORZYŁ KSIĄŻKĘ I NATRAFIŁ NA JEGO ZNAK

jego drobne, lecz niesamowite pismo na marginesie tej książki o okultyzmie: „Przebić mur!” pisze. Będziesz musiał go uwolnić, choć wyskoczy mu w twarz, niby czarny oszalały owad, z brzucha tej mumii. Ale po co go uwalniać? Tego nie wie. Aby ułagodzić R.? Jest jak straszliwe bóstwo, któremu trzeba składać ofiary. Jest nienasycony, zawsze ich szpieguje z ciemności. Usiłuje go zapomnieć, ale wie, że jest tutaj. Kombinacja poety, filozofa i terrorysty. Arystokratyczny anarchista nienawidzący tej cywilizacji, która wynajduje aspirynę, „bo nie jest nawet zdolna znieść bólu głowy”.

Nie daje mu spokoju. Nie może otworzyć książki, aby się nie natknąć na jego nienawistne literki. Któregoś dnia, kiedy tęsknie wspominał czasy matematyki, otworzył książkę Weyla, o względności; na marginesie jednego z głównych twierdzeń był jego komentarz: **IDIOCI!** Nie interesuje go także polityka ani rewolucja społeczna, uważa je za subrzeczywistość, za rzeczywistości podrzędne, te, z których żyje dziennikarstwo. „Rzeczywisty!” napisał w cudzysłowie, z sarkastycznym znakiem podziwu. Rzeczywisty nie jest parasol ani murarka, ani nawet Kordylier a andyjska. To wszystko to są formy fantazji, złudzenia majaczących przeciętniaków. Jedynie rzeczywisty jest stosunek pomiędzy człowiekiem a jego bogami, pomiędzy człowiekiem a jego demonami. To, co prawdziwe, jest zawsze symboliczne, a jedynie ważny jest realizm poezji, jakkolwiek jest niejasny,

a może właśnie dlatego: stosunki między ludźmi a bogami zawsze są niejasne. Proza służy tylko do ułożenia książki telefonicznej, prospektu o sposobie użycia pralki albo opisu zebrania dyrekcji.

Ten świat stacza się coraz niżej i karły biegają przerażone pośród szczurów i profesorów, niosąc przed sobą plastikowe kubły pełne plastikowych śmieci.

OTO JEST w zniszczonym czerwonym płaszczu nieprzemakalnym, z głową wysuniętą do przodu nad filiżanką kawy, zbliża się do jakiejś rzeczywistości umieszczonej zawsze trochę poza zasięgiem jej wzroku. Jej krótkowzroczność, grube szkła, skromny deszczowiec wzruszyły go.

— Mogłabyś się trochę umalować — palnął mimo woli.

Spuściła głowę.

Milcząc, pili kawę. Potem zaproponował jej spacer. -

— Ale na ulicy jest zimno.

Ujął ją za ramię i wyszli bez słowa.

Zaczęła się jesień, deszczowa i wietrzna. Minęli park Belgrano, spacerowali pośród drzew i w końcu doszli do drewnianej ławki pod wielkim gumowcem. Stoły szachowe były opuszczone.

— Pan lubi parki — zauważyła.

— Lubię. Jako chłopiec przychodziłem tu czytać. Ale chodźmy, jest zimno.

Przechadzali się pod dużymi platanami o spalonych słońcem, opadających liściach. Skręcili przez Echeverria w stronę Cabildo. Sabato wszystko obserwował, jakby zamierzał kupić. Wobec Sylwii był zamknięty i ponury. Na koniec ośmieliła się spytać, dokąd idą.

Donikąd. Lecz jego słowa nie wydały się jej prawdziwe.

— Powieść jako poemat metafizyczny — szepnął nagle.

— Co?

Nic, nic. Lecz dalej szeptał, jakby żuł swoje słowa: pisarz jako skrzyżowanie codziennej rzeczywistości i fantazji, jako granica pomiędzy światłem i ciemnością. I tu, Schneider. Drzwi do zakazanego świata.

— Oto kościół w Belgrano — powiedziała.

Tak, kościół w Belgrano. S. jeszcze raz spojrzął w świętej trwodze na kościół i pomyślał o jego kryptach.

— Znałaś tę kawiarnię?

Weszli do Epsilon wypić coś dla rozgrzewki. Potem ujął ją znowu pod ramię i przeszli na drugą stronę ulicy Juramento. 164

— Przejdziemy szybko przez to piekło — rzekł przyśpieszając kroku.

Minęli Cabildo i szli przez Juramento aż do miejsca, gdzie zaczynał się stary bruk z dużych kamieni i tajemnicze dawne Belgrano. Na rogu ulicy Vidal przystanął, by oglądnąć starodawny dom, szczątki jakiegoś dworu. Patrzył badawczo, jakby mu chodziło o kupno, co Sylwia już przedtem zauważyła. Powiedziała mu to.

— Trochę tak jest — odparł z uśmiechem.

— Czytałam kiedyś, że poszukuje pan domów do powieści. Czy to prawda? Czy to potrzebne?

Uśmiechnął się, ale pytanie pozostawił bez odpowiedzi. Zresztą, do jakiej powieści? Są osoby w poszukiwaniu autora, domy w poszukiwaniu osób, które zapukają do ich drzwi. Na rogu ulicy Cramer zamieniono stary dwór na baskijską restaurację.

— Przysięgnij mi, że nigdy nie będziesz jeść w takiej restauracji — powiedział z komiczną powagą.

— Czy to prawda, że pisze pan powieść?

— Powieść? Tak... nie... nie wiem, co ci powiedzieć... Tak jest, mam pewne obsesje, ale to wszystko jest trudne, bardzo cierpię przez tę historię, a zresztą...

— Wiesz, co było z fizyką, w początkach tego wieku — podjął po kilku krokach. — Zaczęto wszystko podawać w wątpliwość. To znaczy, podstawy. Byk jak budynek, który zaczyna się rysować i trzeba zbadać fundamenty. I zamiast uprawiać fizykę, zaczęto rozmyślać o fizyce.

Oparł się o ścianę i stał chwilę wpatrzony w baskijską restaurację.

— Coś podobnego stało się z powieścią. Trzeba zrewidować fundamenty. To nie jest przypadek, powieść bowiem rodzi się wraz z tą zachodnią cywilizacją i wraz z nią zakreśla łuk aż do obecnego momentu upadku. Czy istnieje kryzys powieści, czy powieść kryzysu? Jedno i drugie. Bada się jej istotę, zadanie, wartość. Ale wszystko to czyniono od zewnątrz. Były próby takich dociekań od wewnątrz, ale trzeba by pójść głębiej. Powieść, gdzie w grę wchodzi sam powieściopisarz.

— Wydaje mi się, że czytałam o czymś takim. Chyba u autora powieści *Kontrapunkt*.

— Tak jest. Ale nie o tym mówię, nie mówię o pisarzu wewnątrz fikcji. Mówię o skrajnej możliwości, gdzie sam autor powieści byłby w środku. Ale nie jako obserwator, kronikarz czy też świadek.

— A więc jako co?

— Jako jeszcze jedna postać powieści, tej samej jakości co 165

inne, które wszakże wylaniają się z jego wfaśnej duszy. Niby jakiś oszalały facet, który współżyje ze swoimi wtosnymi tworam. Nie dla akrobacji umysłowej, uchowaj Boże, lecz po to, aby zobaczyć, czy tym sposobem uda się wniknąć głębiej w wielką tajemnicę.

Zamyślił się, spacerując. Tak, tędy droga. Wejść we własne ciemności.

Jest tak, jakby to miał „na końcu języka”, a coś, jakiś zagadkowy sprzeciw, jakiś tajemniczy rozkaz, jakaś święta przemoc nie pozwalały mu widzieć jasno. A odczuwa to jak objawienie uchwytnie i nieosiągalne zarazem... Może jednak owa tajemnica objawi mu się w miarę, jak będzie się posuwał naprzód, i może w końcu zdoła ją ujrzeć w strasliwym świetle jakiegoś nocnego słońca, u kresu tej podróży. Prowadzony przez własne majaki, na kontynent, dokąd tylko one mogą go zaprowadzić. I tak, z zawiązanymi oczami poczuł raptem, że go wiodą na brzeg przepaści, w głębi której leży klucz do jego udręki.

Skręcili w ulicę Mendoza i pomału doszli do skrzyżowania z torami kolejowymi. O zmroku to miejsce tchnęło złowrogą melancholią; nieużytki, drzewa, latarnie potrząsane wiatrem od południowego wschodu, nasyp kolejowy. Opuszczone było to miejsce. Sabato patrzył zafascynowany. Siadł na krawężniku i zdawał się robić żalosny inwentarz. A Medy z zawrotną szybkością hałaśliwie przejechał pociąg elektryczny, melancholia rozproszyła się niczym orszak żałobny wskutek strzelaniny.

Mżył deszcz i robiło się coraz chłodniej.

— Piękne miejsce dla młodego samobójcy — zauważył nagle S., po cichu, jakby mówił do siebie.

Sylwia spojrzała na niego, zdziwiona.

— Nie martw się, mała — rzekł ze smutnym uśmiechem. — Dla samobójcy z powieści, jednego z tych, co szukają absolutu i znajdują tylko śmiecie.

Sylwia coś szepnęła.

— Co mówisz?

— Że prześladowa pana myśl o samobójstwie — odparła. — Myślę o Castelu, o Marcinie.

— Tak, to prawda. Ale oni w końcu nie popełnili samobójstwa — dorzucił.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Autor powieści nie zna wszystkich „dlaczego” swoich bohaterów. Moim celem było doprowadzić Marcina do samobójstwa. No i widzisz.

— Czyżby pan się z tym nie zgadzał, w gruncie rzeczy? Zdawał się potwierdzać, z wahaniem.

— A ten bohater... zaczęła Sylwia, lecz się wstrzymała.
— Co?
— Nic.
— Ależ tak, powiedz.
— Ten chłopiec, znaczy się. To miejsce. Czy pan zamierza o tym pisać?

Nie od razu odpowiedział. Wziął Mika kamyków i ułożył je na ziemi w kształcie litery R.

— Nie wiem. W tej chwili prawie nic nie wiem. Tak, może napiszę o takim chłopcu, OT pewnego dnia przyjdzie tu popełnić samobójstwo. Ale oczywiście, chyba...

Nie dokończył zdania. Wstał, powiedział: „Chodźmy”, i odprowadził ją do stacji Bełgrano R.

— Muszę tu zostać — powiedział.
— Czy zobaczę pana znowu?
— Nie wiem, Sylwio. Źle się czuję. Wybacz mi.

OSTRZEŻENIE Miał zacząć, włożył już papier do maszyny, lecz wzrokiem począł błądzić po pokoju, bez celu. Po chwili wrócił machinalnie do maszyny Olivetti, przeczytał Praxis 48. Borio, pomyślał z sympatią. I wielki Agostino Rocca. W końcu bodaj się zdecydował i napisał: „Nie zapomnijmy o poleceniach Fernanda”. W tej chwili przyniesiono mu korespondencję. Przerzucił koperty i w końcu jedną z nich otworzył. Duża koperta ze Stanów Zjednoczonych zawierała pracę Lili Strout na temat *Zła w Bohaterach i grobach*. Akapit wzięty z Biblii (Ekl. 3, 22) brzmiał:
„Nie dociekaj tego, co dla ciebie jest zbyt cudowne; i nie badaj tego, co jest ponad twoje siły.”
Zadumał się. Potem wyjął papier z maszyny.

WYWIAD — Jest pan zadowolony z tego, co pan napisał?
— Takim durniem nie jestem.
— Kim jest Ernesto Sabato?
— W moich książkach usiłowałem odpowiedzieć na to pytanie. Nie chcę pana zmuszać do przeczytania ich, lecz jeśli pan chce znać odpowiedź, trzeba będzie to zrobić.
— Czy może pan mi udzielić wstępnych informacji o tym, co pan pisze obecnie?
— Powieść.
— Ma już tytuł?
— Na ogół daję tytuły na końcu, kiedy kończę pisać książkę. **167**

Na razie waham się. Może to będzie *Anioł Ciemności*. A może *Abaddón, Anioł Zagłady*.

— *Caramba*, trochę przygnębiające, nieprawdaż?

— Tak.

— Z przyjemnością posłuchałbym pańskich odpowiedzi na kilka pytań: co pan sądzi o boomie latynoamerykańskim? Czy uważa pan, że pisarz winien być zaangażowany? Jakich rad udzieliłby pan początkującemu autorowi? O jakich porach dnia pan pisuje? Czy woli pan dni słoneczne czy pochmurne? Czy pan się utożsamia ze swoimi bohaterami? Czy pisze z własnych doświadczeń, czy tworzy fikcję? Co pan myśli o Borgesie? Czy artysta powinien mieć zupełną swobodę? Czy kongresy pisarzy są pożyteczne? Jak by pan określił swój styl? Co pan sądzi o awan gardzie?

— No, cóż, przyjacielu. Zostawmy te bzdury i ustalmy, że będziemy mówić prawdę. Ale koniecznie całą prawdę. To zna czy, mówmy o katedrach i burdelach, o nadziejach i obozach koncentracyjnych. Ja przynajmniej nie zamierzam dowcipkować.

bo ja umrę

Ten, kto nieśmiertelny, niech sobie pozwala na luksus gadania głupstw.

Ja nie: moje dni są policzone (a czyje dni, przyjacielu dziennikarzu, nie są policzone, powiedz mi z ręką na sercu), i chcę zrobić remanent

aby wiedzieć, co pozostanie z tego wszystkiego (mandragory czy urzędasy) i czy to prawda, że bogowie są ważniejsi ^od robaków.

Które wkrótce utyją na moich zwłokach. Ja nie wiem, ja nie wiem (po cóż cię mam oszukiwać) nie jestem tak bezczelny ani taki głupi żebym głosił wyższość robaków (Pozostawiam to miejscowym ateistom.) Wyznam ci, że temat mnie omotał bo trumna karawan i te groteskowe dodatki do śmierci są widowym świadectwem naszej nietrwałości Ale kto wie, kto wie, panie dziennikarzu Mogłoby być, że bogowie nie raczyli się

tak poniżyć

że nie zgodzili się na tanią demagogię by uczynić się tak pospolicie zrozumiałymi

i oczekują nas z ponurym widowiskiem
kiedy ostatnie przemówienie zostanie

wygłoszone i nasze
samotne ciało na zawsze pozostawione samemu sobie
(zanotuj: porzucone naprawdę, nie jednym z tych niepełnych,
nostalgicznych i w końcu daremnych porzuceń, jakich życie
nam nie szczędzi) czeka na ofensywę niezliczonych robaków.
Porozmawiajmy więc bez lęku ale i bez
pretensji z pewnym zmysłem humoru aby
ukryć logiczny patos sprawy.
Rozmawiajmy o wszystkim po trochu. To
znaczy:

o tych problematycznych bogach
o oczywistych robakach
Ozmieniających się ludzkich twarzach.
Niewiele wiem o tych ciekawych problemach
lecz co wiem to wiem naprawdę
bo to są moje doświadczenia
nie historie przeczytane w książkach
I mogę mówić o miłości i o lęku
jak święty o swoich ekstazach
albo jak czarodziej (na domowym zebraniu, w zaufanym gro-
nie) o swoich sztuczkach Niczego więcej nie oczekujcie Nie
krytykujcie mnie później, nie bądźcie tak przewrotni,
caramba. I drobiazgowi.
Ostrzegam was: bądźcie skromniejsi bo i wam również jest
pisane (tralala, tralala, tralala) Karmić wyżej wspomniane
robaki Przeto, z wyjątkiem szaleńców oraz niewidzialnych
bogów

(być może nie istniejących) wszyscy
uczynią dobrze słuchając mnie jeśli nie z
szacunkiem to choćby z uprzejmości.

— Wielu czytelników pyta się, sefiór Sabato, czy to możliwe,
że pan poświęcał się naukom matematyczno-fizycznym.

— Och, nic łatwiejszego, jak wytłumaczyć to. Wydaje mi
się, że już mówiłem, iż w 1935 r. nocowałem przez jakiś czas
w portierni Ecole Normale Superieure, rue d'Ulm. Pamiętam
jak dzisiaj. Duże łóżko, ale wtenczas nie było ogrzewania, wcho-

dziłem o dziesiątej przez okno i kładłem się w małżeńskim łóżu portiera, to był wspaniały facet; zima była ostra, więc z braku opału przykrywaaliśmy się grabą warstwą „UHumanite”, a gdyśmy się obracali, gazety szeleściły (słyszę ten szelest), byłem wtedy w strasznej rozterce i nieraz przechadzając się nad Sekwaną myślałem o samobójstwie, tylko żal mi było biednego Lehmannna, alzackiego portiera, który dawał mi po kilka franków na kanapkę z- tej długiej bułki i na kawę z mlekiem, to była pułapka, rozumie pan, i tak się to ciągnęło, aż w końcu nie wytrzymałem i z wielką ostrożnością ukradłem u Giberta traktat o analizie matematycznej Borela i kiedy zacząłem go studiować w kawiarni, a na dworze było zimno, a ja piłem gorącą kawę, począłem rozmyślać

o tych, co mówią

że to targowisko, na którym żyjemy
składa się z jednej jedynej substancji
która się przemienia w drzewa, w zbrodniarzy i w góry
usiłując kopiować skamieniałe muzeum
idei.

Zapewniają

(dawni podróżnicy, badacze piramid, osobnicy, którzy we śnie z nim rozmawiali, jakiś kapłan), że istnieje zadziwiająca"
kolekcja przedmiotów nieruchomych i statycznych:

nieśmiertelne drzewa, skamieniałe tygrysy,
obok trójkątów i prostopadłościanów.

A także doskonały człowiek

złożony z kryształów wieczności
do którego niezdarnie chce się upodobnić

(rysunek dziecka)

kupa cząsteczek wszechświata

co przedtem były solą, wodą, żabą

ogniem i chmurą

ekskrementami byka i konia

zgniłymi bebechami na polu bitwy.

Otóż (tłumacz w dalszym ciągu owi podróżnicy

teraz wszakże z leciutką ironią w oczach) z tej

obrzydliwej mieszaniny

śmieci, ziemi i resztek jada

oczyszczonej wodą i słońcem

pieczołowicie chronionej

przeciw lekceważącym sarkastycznym władzom

wielkich sił ziemskich

(piorun, huragan, wzburzone morze, trąd)

powstaje

nieudolne mamidło
człowieka z kryształu.
Choć jednak rośnie i prosperuje (dobrze się panu powodzi,
he?)

raptem zaczyna się chwiać
czyni rozpaczliwe wysiłki
i w końcu umiera

>

jako śmieszna karykatura i znowu staje się
glina i krowim łajnem. Jeśli nie dostąpi
choćby zaszczytu ognia

— Czy chciałby pan coś dodać do tego wywiadu, senor Sa-
bato? Jakież preferencje w teatrze czy w muzyce? Coś o zobo-
wiązaniach pisarza?

— Nie, senor, dziękuję.

AŻ SIĘ WRESZCIE SPOTKALI

Nic nie mówiąc przecha- dzali
się po parku Belgra- no. Jak
zawsze, kiedy był razem z
Marcelem, czuł się zmieszany,
zbity z tropu, nie wiedział, co mu powiedzieć. Jak gdyby starał
się usprawiedliwić przed trybunałem, dobrotliwym i zarazem
nieugiętym. Ktoś określił konfesjonał jako paradoksalny trybunał
uniewinniający tego, który się oskarża. Czuł się przed nim
obnażony, bezlitośnie oskarżał siebie przed nim, a choć z
góry wiedział, że zostanie uniewinniony, w końcu zawsze był rad.
Może dlatego, że bardziej niż uniewinnienia jego duch
potrzebował kary.

Siedli w kawiarni przy stoliku.

— Jaki jest najważniejszy obowiązek pisarza? — spytał go
nagle, jak gdyby rozpoczynał obronę.

Młodzieniec spojrzał nań przenikliwie.

— Mam na myśli autora fikcji. Jego obowiązkiem jest jedy-
nie i wyłącznie mówić prawdę. Prawdę przez duże P, Marcelo.
Nie jedną z tych maleńkich prawd, jakie mamy codziennie w ga-
zetach. A przede wszystkim te najbardziej ukryte. Inaczej mó-
wiąc, Sartre nie tylko że nie może wyprzeć się swojej powieści, ale
ma obowiązek jej bronić. Jeżeli tego nie czyni, jest hipokrytą.
Lub, jakby on sam powiedział, jest nieautentyczny.

Oczekiwał odpowiedzi Marcela. Ten jednak zaczerwienił się
i spuściwszy oczy począł mieszać łyżeczką resztkę kawy.

— Ale ty — powiedział S. z irytacją — ty przez całe życie
czytałeś dobrą literaturę, czy nie?

Chłopiec coś mruknął.

— Co mówisz? Nie słyszę — spytał S. z wzrastającą irytacją.
W końcu Marcelo wyszeptał coś, jakby potwierdzenie.
— Więc dlaczego milczałeś?
Marcelo nieśmiało podniósł oczy i cichutko odrzekł, że go o nic nie oskarżał, że nie dzieli zapatrywań Araujo, że uważa, iż miał najzupełniejsze prawo napisać to, co napisał.
— Ale ty również jesteś rewolucjonistą, nie?
Marcelo spoglądał nań chwilę i ponownie spuścił oczy, zawstydzony tym wspaniałym nazwaniem. Sabato zrozumiał i skorygował: popierasz rewolucję.
— Tak, myślę, że tak... no, nie wiem... do pewnego stopnia...
Nieliczne słowa skaził przysłówkami, które łagodziły i tak osłabiały czasowniki i rzeczowniki, że to było, jak gdyby milczał. Skądinąd nieśmiałość, obawa, że dotknie Sabato, powstrzymywały go od mówienia.
— Ale ty czytałeś nie tylko wiersze bojowe Hernandeza. Czytałeś też jego wiersze o śmierci. I co gorsze, podziwiasz Rilkego, i zdaje mi się nawet, że widziałem u ciebie książki Trakla. Czy to nie była książka Trakla, ta, którą miałeś wtedy, w ka-wiarni?
Uczył niedostrzegalny, potakujący gest, wydało mu się niemal bezwstydnym mówić otwarcie o tych rzeczach. Książki nosił zawsze w okładkach.
Sabato zrozumiał nagle, że to, co z nim robi, jest nieledwie aktem gwałtu. Z żalem i poczuciem winy zobaczył, że Marcelo wyjął inhalator od astmy.
— Wybacz mi, Marcelo. Nie chciałem tego powiedzieć. W rzeczywistości...
Nieprawda. Cała rzecz w tym, że chciał powiedzieć to właśnie, co powiedział. Był speszony i zły, ale nie na chłopca, a na siebie.
— Twój towarzysz — rzekł po chwili nie rozumiejąc, że inicjuje następny niefortunny wypad.
Marcelo podniósł oczy.
— Jesteście przyjaciółmi, prawda?
— Tak.
— On jest robotnikiem?
Zdaje mu się, że słyszał, jakoby pracował w fabryce Fiata.
— Mieszka u ciebie, w twoim pokoju, nie?
Marcelo spojrzął na niego przeciągle.
— Tak — odparł — ale o tym nikt nie wie.
— No, tak, ma się rozumieć. Bo, wiesz, on mi przypomina naszego towarzysza, mojego i Bruna, z czasów strajku mięsnego w 1932. Carlosa.



Marcelo użył inhalatora od astmy. Ręka mu drżała.

Sabato czuł się winnym tej absurdalnej sceny i z wysiłkiem począł opowiadać o jakimś seansie Chaplina, który oglądał w San Martiti. Marcelo uspokoił się jak ktoś, kto miał zostać na placu publicznym obnażony przez szaleńca, i widzi, że szaleńiec się wycofuje. Ale to była chwilowa ulga.

— Człowiek jest istotą dwoistą — powiedział Sabato. — Tragicznie dwoistą. A najgorsze i głupie to, że począwszy od Sokratesa chciano pominąć jego ciemną stronę. Filozofowie Oświecenia wyrzucili nieświadomość kopniakiem za drzwi. A ona do nich wróciła przez okno. Te moce są nie do pokonania. A gdy je chciano zniszczyć, przycupnęły i w końcu zaprotestowały z tym większą gwałtownością i perwersją. Weźmy Francję z jej czystym rozsądkiem. Wydała więcej demonicznych twórców niż każdy inny kraj: począwszy od Sade'a do Rimbauda i Geneta.

Zamilkł, patrząc mu w twarz.

— Oczywiście, wtedy nie mogłem o tym mówić. Nie wiem. Wydawało mi się, że twój przyjaciel... No... jak ci to powiedzieć... Czasem przykro mi jest mówić o pewnych rzeczach wobec kogoś kto...

Marcelo spuścił oczy.

— Dlatego powiedziałem. Mówi się o zadaniu powieści. Tak jakby mówić o zadaniu snów. Weźmy Voltaire'a. Jeden z czempionów nowoczesności. No, myślę! Wystarczy przeczytać *Kandyda*, aby zdać sobie sprawę, co kryje się pod tym naskórkiem myśli oświeconej.

Sabato roześmiał się, ale to nie był zdrowy śmiech.

— A tamten jest jeszcze bardziej groteskowy. Sam dyrektor encyklopedii. Jak uważasz? Przeczytałeś chyba *Kuzynka*, nie?

Marcelo poruszył głową przecząco.

^x — Powinieneś przeczytać. Wiesz, że Marks go wysoko cenił. Oczywiście, z innych powodów, przypuszczam. Zresztą, to obojętne. Dlatego ci powiedziałem, że wróciły przez okno. To nie jest przypadek, że rozwój powieści zbiega się z rozwojem nowoczesności. Gdzie miały Furie szukać schronienia? Tak dużo się mówi o Nowym Człowieku przez duże N i C. Ale nie stworzymy tego człowieka, jeżeli go na powrót nie zintegrujemy. Jest zdeintegrowany przez tę racjonalistyczną i mechaniczną cywilizację plastików i komputerów. U wielkich cywilizacji pierwotnych ciemne siły były otaczane czcią.

Ściemniało się, w mroku Marcelo poczuł się raźniej.

— Nasza cywilizacja jest chora. Istnieją nie tylko wyzysk i nędza: istnieje nędza duchowa, Marcelo. Jestem pewny, że się ze mną zgodzisz. Nie chodzi o to, aby wszystkim umożliwić 173

posiadanie lodówki elektrycznej. Chodzi p to, aby stworzyć prawdziwego człowieka. A tymczasem zadaniem pisarza jest pisać prawdę, nie przyczyniać się kłamstwami do degradacji.

Marcelo nie reagował i S. czuł się coraz gorzej. W teorii od-czuwał to wszystko doskonale, ale jego dusza moralisty, a na-wet burżuja nie dawały mu spokoju: biedni ślepi! Coś w tym rodzaju. *I czego chciał?* Żeby Marcelo pochwalił go za to, że pisze o koszmarach? Skądinąd wiedział, że pomimo uprzejmości i nieśmiałości, Marcelo wierzył mocno w pewne *rzeczy* i że nikt nie byłby w stanie wydusić z niego poglądów, w które by nie wierzył. Czy ta zasadnicza uczciwość kazała mu krążyć wokół Marcela i starać się uzyskać jakąś aprobatę?

Poczuł się źle, usprawiedliwił się i odszedł. Przechadzał się po Echeverria i raptem znalazł się na wprost kościoła Niepokalanego Poczęcia. Ponuro zarysowała się kopuła riaszarym nie-bie. Mżył deszcz i było zimno. Co robi tu, jak głupi? Ślepi, po-myślał, patrząc na wielki kościół i wyobrażając sobie kryptę, podziemne tunele. To chyba jego mroczne obsesje przywiodły go do tego symbolu jego udręki. Dręczył go jałaś niepokój, nie wie-dział, co czyni. Nagle uświadomił sobie, że źle postąpił wo-bec przyjaciela, że był szorstki i w głupi sposób rozstał się z nim, że może go obraził. Wstał z ławki i wrócił do kawiarni. Zapalo-no już światła. Na szczęście, był jeszcze. Ujrzał go obróconego plecami; pisał coś na kawałku papieru. Gdyby był o tym po-myślał — powiedział sobie później — nie zaskoczyłby go tak znie-nacka. Ujrzawszy go, Marcelo zaczerwienił się i niezręcznym ruchem zakrył papierek. „Wiesz”, pomyślał Sabato, zawstydzony swoim najściem. Udawał, że tego nie zauważył, i powiedział niby to kontynuując rozmowę:

— Wiesz, wróciłem, bo powiedziałem ci chyba me to... to znaczy... nie to co... chcę cię o coś poprosić.

Chłopic, już opanowany, pochylił się trochę do przodu i uprzejmie czekał na prośbę. Sabato zirytował się.

— Widzisz? Jeszcze nie zacząłem mówić, a ty już gotów jesteś grzecznie wysłuchać wszystkiego, co ci powiem. Właśnie o to cię chciałem prosić. Żebyś nie był taki. Przynajmniej ze mną, żebyś nie był taki. Znam cię od urodzenia. Żebyś się ze mną kłó cił, żebyś mówił, jakie masz zastrzeżenia. *Caramba...* Nie wiem... Jesteś jednym z nielicznych ludzi... No, to...

Wyraz twarzy Marcela z lekka się zmienił. Była w nim pewne go rodzaju obawa, wielka powaga i skupienie.

— Ale ja przecież... — wyjąkał.

Sabato ujął go za ramię, tak delikatnie, jakby podnosił ranego.

— Marcelo: ja potrzebuję...

Nie dokończył i wydawało się, że rozmowa została definitywnie przerwana. Marcelo spostrzegł, że głowa Sabato skłania się nad stołem. Dlatego uważał za swój obowiązek pomóc mu.

— Ależ ja się zgadzam—powiedział—to znaczy... na ogół... pewnie że...

Sabato podniósł wzrok i spoglądał na niego z mieszaniną szacunku i znudzenia.

— Widzisz — skomentował. — Zawsze to samo.

Marcelo spuścił oczy. Sabato pomyślał: „to na nic”. I mimo to odczuwał potrzebę rozmowy z nim.

— Oczywiście, ja wiem, że przesadzam. Zawsze przesadzam. W gruncie rzeczy jestem ekstremistą. Całe życie wpadałem w furia z jednego ekstremu w drugi i myliłem się. Pasjonowałem się sztuką, przeto zająłem się naukami matematycznymi. A doszedłszy do ekstremu, porzuciłem je ze złością. Ta sama historia z marksizmem, z surrealizmem. No, cóż, porzucać... tak się to mówi, rozumiesz. Jeżeli się bardzo kochało, zawsze zostają w człowieku ślady namiętności. W pewnych słowach, w odruchach, w snach. Tak, przede wszystkim w snach... Znowu pojawiają się twarze, o których myśleliśmy, żeśmy o nich na zawsze zapomnieli... Tak, ja przesadzam, Marcelo... Kiedyś ci powie działem, że poeci są zawsze po stronie demonów, chociaż czasami o tym nie wiedzą, i zauważyłem, że ty się z rym nie zgadzasz... , Powiedziałem ci też, że dlatego fascynuje nas piekło Dantego, a jego raj nas nudzi. I że grzech i potępienie inspirowały Mil-tona, a jego pozbawił go impulsu twórczego... Tak, oczywiście, demony Tołstoja, Dostojewskiego, Stendhala, Tomasza Manna, , Musila, Prousta. To wszystko się zgadza, przynajmniej u ludzi tej klasy. I dlatego są buntownikami, ale rzadko bywają rewolucjonistami w marksistowskim znaczeniu tego słowa. Ta straszliwa kondycja, bo to jest straszliwa kondycja, ja to wiem, nie czyni ich przydatnymi dla ustabilizowanego społeczeństwa, nawet tego, o jakim marzą marksiści. Może byliby użyteczni jako buntownicy, na etapie romantyzmu. Ale później... Majakowski, pomyśl... Jesienin... Ale nie to chciałem ci powiedzieć. Chciałem ci powiedzieć, że nie powinieneś milczeć, że nie powinieneś akceptować mojej przesady, moich brutalności, tej manii dobierania przykładów, które usprawiedliwiają moje obsesje... Ja wiem, że kiedy do ciebie mówiłem, ty od razu pomyślałeś o Miguelu Hernandezie, że mimo iż był opętany śmiercią i że wiele jego wierszy ma charakter metafizyczny, nie jest demonicz-

ny, jak potrafi być, powiedzmy, Genet. I miałeś zupełną rację myśląc sobie nie przesadzaj, Ernesto, nie zawsze tak bywa, może istnieć wielki poeta nie opętany przez demony... Są inni, którzy potrafią być dionizyjscy, euforyczni, potrafią odczuwać harmonię z wszechświatem... i pewni malarze...

Zamilknął. Znowu był niezadowolony z siebie, jak gdyby w jakimś sensie kłamał. Z okropnym niesmakiem wstał i wyszedł.

ZNOWU PONIOSŁY GO KROKI NA PLAC

gdzie usiadłszy na ławce kontemplował kolisty masyw kościoła na chmurnym dżdżystym niebie. Wyobrażał sobie

Fernanda krążącego w nocy przy wejściu do zakazanego świata i wchodzącego w końcu do podziemi.

Krypty. Ślepi.

Von Arnim, przyszło mu na myśl: jesteśmy złożeni z wielu duchów, podglądają nas we śnie, miotają niezrozumiałe groźby, czynią nam uwagi, które niełatwo pojąć, przerażają nas. Czy są nam tak obce, żeby aż mogły nas przerażać? Czy przypadkiem nie wychodzą z naszego własnego serca? Ale co to jest „my”? I ta fascynacja, która mimo wszystko każe nam wywoływać je, zaklinać, chociaż wiemy, że mogą nam przynieść trwogę i mękę.

Nie, nie zdołał przypomnieć sobie tego utworu von Arnima. Jak gdyby podglądały nas z jakiegoś wyższego świata istoty niewidzialne, które jedynie wyobraźnia poetycka może uczynić dostępnymi. Wizjonerstwo.

A jeśli przywołane przez nas niewidzialne stwory rzucają się na nas, a my nie możemy ich opanować? Albo nasze zaklęcie nie jest właściwe, zatem nie jest zdolne otworzyć piekielnych wrót; albo jest właściwe, a wtedy narażamy się na obłąd lub na śmierć.

A co się stało z von Arnimem, z jego skrupułami moralnymi? A z Tołstojem? Zawsze ta sama historia. Ależ tak jak rzekłem. Czy wiara twórcy w coś, co jeszcze nie zostało stworzone, w coś, co powinien wydobyć na światło, po uprzednim zstąpieniu w otchłań i powierzeniu swej duszy chaosowi, czy ta wiara jest święta? Tak, powinna być święta. I nikt nie powinien jej kwestionować. Dostateczną już poniósł karę, rzucając się w tę grozę.

Wiatr zmiatał mroźną mżawkę.

I oto ją ujrzał, szła jak lunatyczka przez plac w stronę jednego z tych starych domów koło kawiarni Epsilon. Czyż mógł jej nie poznać? Wysoka, ciemne włosy i ten jej krok. Podbiegł

do niej urzeczony, wziął ją w ramiona, powiedział (krzyknął) Aleksandra. Lecz ona tylko nań spojrzała szarozielonymi oczyma, z zaciśniętymi ustami. Z pogardą, z lekceważeniem? Sabato opuścił ramiona, ona oddaliła się, nie oglądając się za siebie. Otworzyła drzwi tego domu, który on tak dobrze znał i zamknęła je za sobą.

W TYCH DNIACH ZADZWONIŁA DO NIEGO MEME VERELA

Seans, powiedziała, w piątek o godzinie 10 wieczorem, z Danerim. Niech przeprowadzi kogoś, ale

żeby miał warunki, by zebrać więcej siły. Zaproponowała mu Alonsa.

— Alonso?

Nie zna go, ale znakomicie. Zaproponowała też Ilsę Müller. Doskonale, zna ją z nazwiska, doskonale. Nagle wydało mu się dziwaczne zebrać do kupy tak wielu wizjonerów, tyle osób z jedną wyjątkową cechą: każdy z drewnianą nogą, ze szklanym okiem, wszyscy głusi. Nie, wspomniała mu Alonsa, ale teraz jak trochę pomyślała, to zdaje się jej, że jest w Brazylii. Dobrze, w porządku, oczekuje go wraz z Ilsą Müller.

Przyprowadził też Beta: jakby wziął z sobą konserwatora z paryskiego Archiwum Miar i Wag. Nie chciał się dać wciągnąć w sensację, w błędne doświadczenia.

Po chwili nadszedł sławny Daneri, w błękitnym ubraniu, w okularach o bardzo grubej i czarnej oprawie wystających z mlecznobiałej tysej głowy, w kształcie jajka bardziej spiczastym końcem do góry. Był trochę monstrialny, księżycowy, ektoplazmatyczny. Stwór z planety bez słońca, którego przyodziano w nasze obyczaje, by go zaprezentować na Ziemi. Ktoś, kto zawsze żył w ciemności albo w świetle rurek neonowych. Ciało chyba miał rozlane, jak miękkie masło. Szkielet zapewne chrząstkowaty jak u niektórych niższych zwierząt. Czyżby wyszedł z jakiegoś planetoidu spoza Uranu, gdzie światło słoneczne dociera jak wspomnienie? Albo z piwnicy odkrytej po długich latach zamknięcia, taki biały, z zaślinionym uśmiechem?

Przyszła też Margot Grimaux w czarnych plażowych okularach, których nigdy nie zdejmuje, z uniesionymi brwiami osoby, która poznała wszystkie rodzaje śmierci: zarazy, operację macicy, spędzenie płodu, guzy, i pragnie się skomunikować z kimś z tamtego świata bądź ze świata, który już dla niej jest tragicznie daleki. Z synem, z kochankiem?

177

Najpierw lisa i Daneri przeprowadzili między sobą dialog techniczny w hermetycznym żargonie, niczym na tych międzynarodowych kongresach specjalistów (filologów, botaników, otolaryngologów). Ludzie, co się przedtem osobiście nie znali, ale znają się z czasopism fachowych. Wspólni przyjaciele? Mr. Luck, oczywiście.

Potem zaczęło się współzawodnictwo. Każdy opowiedział o doświadczeniach, o aportach (słowo specjalistyczne), o snach, widzeniach, o pamiętnych seansach.

Meme:

Jako młoda dziewczyna chodziła do angielskiej szkoły. Na lekcji historii opowiedziała, co było na drugim piętrze więzienia, w którym siedziała Maria Antonina. Gdy skończyła, zawołał ją nauczyciel i zapytał, skąd zna tak dokładnie ów szczegół: figurował jedynie w encyklopedii, której Meme nigdy nie widziała. Opowiadania wysłuchano z uwagą i w końcu wyciągnięto wniosek, że można to wytłumaczyć jedynie tym, iż Meme jest reinkarnacją Marii Antoniny.

lisa Miiller:

Latem schodziła się zawsze grupa przyjaciół, u niej w domu, w Mar del Plata, gdzie urządzano seanse z pewną niezwykłą kobietą imieniem Maneta. Chyba słyszeli o niej? Nie, tak, zdaje się, że Meme. Była taka a taka? Nie, nie była taka, była owaka. Dobrze, obojętne, Maneta Fidalgo, istota prawdziwie sensacyjna. Było już późno w nocy, przez kilka godzin próbowali bez skutku, to był kolosalny wysiłek i wszyscy byli wyczerpani. Gdzieś koło trzeciej pokładli się, by zdrzemnąć się trochę, gdzieś, bądź, na fotelach, na sofach. Aż tu usłyszeli raptem straszny huk i stolikiem rzuciło w kąt.

Daneri potakiwał z akademickim spokojem, z uśmiechem żaby albinoski: życzliwy członek Akademii Literatury na zebraniu emerytowanych nauczycielek wysłuchuje relacji o trafnych odpowiedziach uczniów.

— Tak jest, tak jest — *zgadzał* się z księżycową dobroduszością.

Oglądając go z bliska zauważyłoby się prawdopodobnie ciekącą mu z ust niteczkę śliny.

Przypadek aportu, wymieniony przez Meme: spada jakiś papier i jej zięć, Conito, z klasycznym sceptycyzmem owych intruzów skłonnych do drwiny schylił się z uśmiechem po papier. Lecz ujrzawszy pismo, oniemiał. Co się stało? To było . . . pismo jego zmarłego ojca. List do niego.

Wymienia się inne przypadki: przekazy po grecku, po arabs- 178

ku, nawet po cygańsku, podane przez media nie znające tych języków.

Przerwa na półgodzinny odpoczynek.

Potem rozpoczęto próby na nowo. Coś stuknęło, zaostrzyła się uwaga, byty przekazy od różnych osób, ale niejasne.

— To do ciebie — rzekła Meme do Margot Grimaux, która smętnie milcząc brak udział w seansie. Słuchała uważnie usiłując odszyfrować przekaz, lecz nic z tego nie było dla niej jasne. Mężczyzna płynący w morzu? Zaniepokojona Meme spytała, czy nie może to być Bernasconi, ale Margot zaprzeczyła z gestem przygnębienia. Mimo to starano się w dalszym ciągu rozszyfrować przekaz, bez rezultatu.

Później było jeszcze kilka niepewnych sygnałów, niektóre po prostu niedorzeczne, jakby dowcipkowanie pseudowyrazami pli i pla.

— To są żarty—wyjaśnił Daneri. — Często tak bywa.

— Dzisiaj nic z tego nie wyjdzie — zauważyła Meme ze złością.

Nastąpiło odprężenie i zaczęto rozmawiać, opowiadano dowcipy, ciekawe przypadki niezwykłego, złośliwego zachowania się duchów. Czy ktoś pamięta, co Mr. Łuck powiedział doktorowi Alfredowi Palacios? Tak, nie, mniej więcej. Carlosowi Colautti wywrożył, że ożeni się dopiero po czterdziestce. Fenomenalne, jeśli wziąć pod uwagę, że wtenczas miał trochę ponad dwadzieścia i ciągle chciał się z kimś żenić.

Kiedy wyszli na ulicę, Beto wyraził zdziwienie z powodu jego zainteresowania, jego skupienia.

— Takie błazeństwo — powiedział zdumiony patrząc na niego badawczo.

Nie odpowiedział.

— Nie powiesz mi przecież, że wierzysz w te bzdury.

Sabato czuł, że powinien coś odpowiedzieć, ale nic mu nie wpadło na myśl. Wreszcie zapytał go, czy widział *Rosemary's Baby*.

— No to co.¹

— Właśnie mówię. W tym środowisku jest pełno szarlataków, nieszczęsnych łatwowiernych bab, snobów, mistyfikatorów. Ale to nie dowodzi, że ukryte siły nie istnieją. Straszliwy niebezpieczny świat, nieskończenie bardziej straszliwy i niebezpieczny niż możesz to sobie wyobrazić.

— A co Polański ma z tym wszystkim wspólnego?

— Myślał, że to zabawa. No i widzisz, jak się skończyło.

Beto milczał, ale Sabato mógłby mimo ciemności opisać jego znudzoną sceptyczną minę.

— Zrozum, Beto. To jest jak ponury karnawał: także monstra bywają przebrane za pajaców.

INFORMACJE GODNE UWAGI

Izaak Ślepiec jest ojcem nowoczesnej kabały. Mieszkał gdzieś w południowo-zachodniej Francji, w XIII wieku. Izaak „Ślepiec”.

Symbole, litery i cyfry. Pochodzą ze starożytnej magii, od gnostyków i z Apokalipsy według świętego Jana.

Liczba 3 u Dantego. Jest 33 pieśni. Jest 9 niebios podzielonych na 3 kategorie po 3. Czyżby inspirował go kabalista Mo-hiddin Ibn Arabi swoją *Nocną podróżą*? Czy miał jakiś związek z Izaakiem Ślepceciem?

Łańcuchy wtajemniczonych od starożytności aż po rozbitcie atomu. Newton był ogniwem tego łańcucha, a to, co podaje w swoich pismach, jest zaledwie powierzchnią tego, co wiedział. Pisze: ów sposób nasycania rtęci był utrzymywany w tajemnicy przez tych, którzy go znali, i prawdopodobnie stanowi przed-sionek czegoś szlachetniejszego (niż, wytwarzanie złota), czegoś, czego nie można ogłosić nie narażając świata na ogromne nie-bezpieczeństwo.

Stąd niejasności języka alchemików. Symbole dla wtajemniczonych.

INNA INFORMACJA GODNA UWAGI

(Jean Wier, *De Praestigiis*, 1568)

Demony Podziemne stanowią piąty rodzaj demonów, zamieszkują groty i jaskinie, są sprzymierzeńcami lub wrogami

tych, co wiercą studnie i poszukiwaczy skarbów ukrytych w głębinach ziemi, zawsze skłonne nieść człowiekowi zgubę przy pomocy otchłani i czeluści, wybuchów i wstrząsów.

Lucifugi, te co unikają światła, są rodzajem szóstym i ostatnim. Ucieleśniać się mogą jedynie w nocy. Wśród nich Leonardo jest wielkim mistrzem orgii sabatów i czarnej magii; i Astaroth, który zna przeszłość i przyszłość, jest jednym z Siedmiu Książąt Piekielnych, którzy zaprezentowali się przed Doktorem Faustem.

**PEWNE WYPADKI,
KTÓRE
ZDARZYŁY SIĘ
W PARYŻU
OKOŁO 1938 ROKU**

Bodajże powiedziałem ci kiedyś, iż pojawienie się *Bohaterów i grobów* wyraźnie rozpętało moce. Już wiele lat przedtem zaczęły się manifestować, tyle że w sposób bardziej skryty i podstępny, lecz właśnie dlatego jeszcze groźniejszy. Człowiek może się bronić na wojnie, bo ma przed sobą nieprzyjaciela w odmiennym mundurze. Ale czy to możliwe, jeżeli wróg jest wśród nas i ubrany jak my? Bądź, kiedy nawet nie wiemy, że wybuchła wojna i że groźny nieprzyjaciel podminowuje nasze terytorium? Gdybym był w 1938 miał świadomość tej tajnej mobilizacji, może byłbym mógł skutecznie się bronić. Jednakże zwiastuny minęły mnie niepostrzeżenie; kto bowiem w pełni pokoju zwraca uwagę na turystę fotografującego most? Ernesto Bonasso poznał mnie właśnie z Dominguezem i powiedział, że jest to ów malarz, który wybił oko Wiktorowi Braunerowi: fakt okrutny i znaczący, ale nie przypisywałem mu znaczenia na przyszłość. Drugim znakiem, chyba gorszym, było wynurzenie się R. spośród cieni. Oczywiście, znakiem z punktu widzenia późniejszych wypadków. Sądzę, że gdybyśmy znali naszą przyszłość, co chwila dostrzegalibyśmy pojawiające się tu i tam małe wydarzenia, które ją zapowiadają, a nawet ukazują; ponieważ jej nie znamy, wydają się nam przypadkowe, bez znaczenia. Pomyśl, jak straszliwy sens miałyby dla kogoś, kto wchodząc w 1925 roku do monachijskiej piwiarni wiedziałby, jaki apokaliptyczny koniec czeka kaprala o chaplinowskim wąsiku i nieprzytomnych oczach.

Teraz rozumiem również, że nieprzypadkowo porzuciłem w owym czasie naukę: nauka jest światem jasności.

Pracowałem w laboratorium Curie niczym jeden z owych księży, co przestali wierzyć, lecz w dalszym ciągu odprawiają mszę mechanicznie, nieraz przerażeni nieautentycznością.

— Jesteś roztargniony — zauważył nieśmiało Goldstein obserwując mnie z badawczą miną; dobry przyjaciel teologicznie ortodoksyjny obserwowałby w podobny sposób księdza odprawiającego mszę.

— Niedobrze ze mną — odrzekłem. — Fatalnie.

Do pewnego stopnia była to prawda. Któregoś dnia doszedłem do ostateczności: z nieuwagą manipulowałem aktynem, skutkiem czego miałem później przez kilka lat niewielki, lecz groźny znak na palcu.

Zacząłem pić, odurzenie alkoholem sprawiało mi smutną / rozkosz.

W pewien przygnębiający dzień zimy wracając ulicą Saint-Jacques do pensjonatu wszedłem do bistro napić się grzanego wina. Szukałem ciemnego kąta, bo zacząłem wówczas unikać ludzi, a także dlatego, że światło zawsze źle na mnie działało (teraz dopiero zauważam ten fakt, a było tak przez całe moje życie) i samotnie oddałem się nałogowi, który polegał na przeżuwananiu fragmentów myśli i wrażeń, w miarę jak alkohol skutkowało. Byłem już dosyć odurzony, kiedy go zauważyłem: patrzył na mnie uparcie i przenikliwie i (tak mi się przynajmniej wydawało) trochę ironicznie, co mnie wyprowadziło z równowagi. Odwróciłem oczy spodziewając się, że go tym zrażę. Jednakże, czy dlatego, że nie mogłem tego uniknąć, czy że czułem na sobie jego przenikliwe spojrzenie, musiałem spotkać się z jego oczami. Wydawał mi się kimś znajomym: był w moim wieku (jesteśmy bliźniakami astralnymi, będzie mi później dowodził przy niejednej okazji, z tym suchym, mrozącym krew uśmiechem) i wszystko w nim przypominało wielkiego drapieżnego ptaka, nocnego sokoła; rzeczywiście, nigdy nie widywałem go inaczej jak samotnego i w mroku. Ręce miał chude, chciwe, przeniecierze, bezlistosne. Jego oczy wydały mi się szarozielone; kontrastowały z ciemną cerą. Nos był cienki, ale potężny i orli. Mimo że siedział, liczyłem, iż powinien być dosyć wysoki i z lekka przygarbiony. Miał na sobie zużyte ubranie, ale poprzez zniszczenie wyczuwało się arystokrację.

Patrzył na mnie badawczo. A najbardziej mnie złościło, że z coraz wyraźniejszą ironią.

Jestem, jak ci wiadomo, impulsywny, więc musiałem podnieść się i *zażądać* od niego wytłumaczenia. Zamiast odpowiedzi spytał mnie, nawet nie wstając:

— Zatem nie poznałeś mnie, hę?

Miał głos charakterystyczny dla palaczy: głos niski, męski, ale trochę szorstki, skłonny do chrypki. Spoglądałem na niego ze zdumieniem. Coś nieokreślonego pomieszanego jednak z odrazą poczęło nabierać we mnie kształtu, jak kiedy w chwili przebudzenia zamajaczą nam przed oczyma rysy istoty, która dręczyła nas w koszmarnym śnie. Jakby już wystarczająco długo utrzymywał mnie w niepewności, powiedział tylko „Rojas”. Pomyślałem o nazwisku i przebiegłem pamięcią wszystkich Rojasów, których znałem. Przerwał mi znudzony, jakby umiał czytać moje myśli.

— Ależ nie. To jest miasto.

— Miasto? •

— Wyjechałem stamtąd, jak miałem dwanaście lat — zauważyłem oschle chcąc mu dać do zrozumienia, że jest arogancją z jego strony wyobrażać sobie, iż mógłbym go poznać po tylu latach.

— Wiem o tym — odparł. — Nie musisz mi tłumaczyć. Do skonałem znam twoją marszrutę, śledzę cię z bliska.

Wtrącanie się w moje życie jeszcze bardziej mnie zirytowało.

— Za to ja, jak widzisz, absolutnie cię nie pamiętam — odparłem mu z przyjemnością.

Przybrał sarkastyczny uśmiech.

— To nie ma znaczenia. Zresztą jest logiczne, że starałeś się mnie zapomnieć.

Starałem się zapomnieć!

Przy tym wszystkim usiadłem, bo rzecz jasna, od takiego osobnika nie mogłem oczekiwać zaproszenia. Nie tylko że usiadłem, ale zamówiłem kolejną szklanę gorącego wina, chociaż głos już miałem zanadto dźwięczny, a głowa niezbyt dobrze funkcjonowała.

— A dlaczegoż to miałbym chcieć cię zapomnieć?

Robiłem się agresywny i czułem, że rozmowa skończy się gwałtownie.

Uśmiechnął się z tym swoim grymasem, przy czym podniósł brwi i zmarszczył czoło w kilka bardzo charakterystycznych równoległych Unii.

— Nie lubiłeś mnie nigdy — stwierdził. — Sądzę raczej, że zawsze mnie nie cierpiełeś. Pamiętasz wróbla?

— Wróbla? Jakiego wróbla? — skłamałem.

— Eksperyment.

— Jaki eksperyment?

— Zobaczyć, jak lata bez oczu.

— To był twój pomysł — krzyknąłem.

Kilka osób obróciło się w naszą stronę.

— Nie irytuj się tak — zgromił mnie. — Tak, pomysł był mój, ale to ty wydłubałeś mu oczy nożyczkami.

Chwiejąc się, ale z rozmysłem, rzuciłem się na niego i chwyciłem go za kołnierz. Siłą uwolnił się spokojnie od moich rąk i kazał mi się opanować.

— Nie bądź głupi — powiedział. — Jedyne, co uzyskasz, to, to, że nas stąd zabierze policja.

Siadłem, wyczerpany. Wielki smutek począł mnie ogarniać i nie wiedząc dlaczego pomyślałem w tej chwili o M., i zateśkniłem do pokoiku przy rue Du Sommerard i do mojego syna w kołyszce.

Poczułem, że łzy spływają mi po policzkach. On przybrał znowu ironiczną minę.

— Dobrze, popłacz sobie, to ci sprawi ulgę — rzekł postępując się w przewrotny sposób komunałami, co umiał od dziecka, a z latami jeszcze udoskonalił.

Czytam, co ci napisałem, i stwierdzam, że mój opis tego zajścia nie jest beznamiętny. Tak, muszę wyznać, odnosiłem się do niego zawsze z niechęcią i od początku miałem do niego złość. To, co o nim napisałem, opis jego sposobu bycia, jego głosu, jest raczej karykaturą niż portretem. Jednakże, choćbym się starał zmienić niektóre słowa, nie potrafiłbym go w inny sposób opisać. To jedno przynajmniej muszę mu przyznać: była w nim pewnego rodzaju godność, niechby nawet godność diabelska, i opanowanie sytuacji, wobec której czułem się nieswojo. Miał coś, co przypominało Artauda.

Wobec jego badawczego milczenia zapłaciłem za wino i miałem już odejść, kiedy powiedział coś, co mnie unieruchomiło: wymienił imię Soledad. Musiałem usiąść. Zamknąłem oczy, aby nie widzieć tej inkwizytorskiej twarzy, i usiłowałem odzyskać spokój.

Kiedy chodziłem do trzeciej klasy państwowego liceum w La Pląta, jednym z moich kolegów był Nicblas Ortiz de Rosas. Jego ojciec był dawniej gubernatorem prowincji, a potem żyli tam skromnie w jednym z tych domów o trzech patio, wybudowanych, kiedy Dardo Rocha założył miasto. W salonie wybuchał niczym bomba w ciche popołudnie olejny portret Juana Manuela de Rosas z pąsową szarfą. -

Kiedym go po raz pierwszy ujrzał, o mało nie zemdlałem: skutki mitologii szkolnej głoszonej przez unitariuszy. Krwawy Tyran spoglądał na mnie (nie, odpowiednim słowem jest „obserwował”) z wieczności, spojrzeniem zimnym i szarym, z zaciśniętymi ustami, bez warg.

Studiowaliśmy jakieś geometryczne twierdzenie i nagle przeraziłem się: jak gdyby za moimi plecami pojawiła się jedna z owych istot, co ponoć zlatują na ziemię na latających talerzach i mają dar porozumiewania się bez słów. Obróciłem się i ujrzałem ją w drzwiach wychodzących na główne patio: miała szare oczy i ten sam mrożący wyraz co jej przodek. Tyle lat minęło, a jeszcze pamiętam tę postać za moimi plecami i pytam się, czy nieświadomie naśladowała Rosasa, czy też powtórzyła się w niej ta sama konfiguracja cech, podobnie jak w kartach czasem powracają te same kombinacje królów i waletów.

Nicolas nie miał z nią nic wspólnego z wyjątkiem oczu. Był wesoły, komiczny, naśladował małpę chwytającą się gałęzi drze-

wa, piszczącą i obierającą banana. Ale wobec niej milknął i zachowywał się jak ktoś onieśmielony obecnością zwierznika. Głosem, który teraz określiłbym jako z cicha rozkazujący, spytała go o coś, a Nicolas, niczym szary poddany wobec absolutnego monarchy, odpowiedział, że nie wie, głosem nie tym, jaki u niego znałem. Wtenczas ona wycofała się tak cicho, jak przysła, nie zadając sobie nawet trudu pozdrowienia mnie.

Zwlekaliśmy chwilę z podjęciem nauki. On był zmieszany, trochę jakby przerażony. A ja pod tym niejasnym wrażeniem, o którym nieraz rozmyślałem później, jako dorosły człowiek, kiedy zastanawiałem się nad tym włamaniem się w moją egzystencję: Soledad zjawiała się w salonie jedynie po to, aby mnie powiadomić, że istnieje, że jest. Oczywiście jednak w owym momencie nie byłbym zdolny scharakteryzować sceny ani osób, jak czynię to obecnie. Jest tak, jakby ów moment został sfotografowany i ja bym obecnie analizował stare zdjęcie. Rzekłem już, że w niej powtórzyło się chyba coś, co już było widoczne w Rosasie, ale ściśle biorąc nigdy nie widziałem (jak gdyby wokół niej istniała jakaś złowróżbna tajemnica, której nie wolno odsłonić), w jakim stopniu spokrewniona była z Nicola-sem i' z rodziną Carranza. I czy w ogóle była spokrewniona. Jestem raczej skłonny przypuszczać, że była nieślubną córką któregoś nie znanego mi Ortiza de Rosas i jakiejś kobiety, jak to często zdarzało się na wsi w czasach mojego dzieciństwa. Mój ojciec przyjął kiedyś do naszego młyna monter. Specjalnie go wyróżniał, a ja dowiedziałem się dopiero jako dorosły, że to był nieślubny syn don Prudencia Pefia, starego przyjaciela mego ojca.

Już na odchodnym ośmiejłem się zapytać go, czy to jego siostra.

— Nie — odrzekł Nicolas odwracając oczy.

Nie miałem odwagi dopytywać się o inne szczegóły, przypuszczałem jednak, że była w tym samym wieku co my, miała jakich piętnaście lat. Teraz mówię sobie, że mogła byk mieć tysiąc lat i żyć w zamierzchłych czasach.

Tej nocy śniłem o niej. Szedłem podziemnym korytarzem, mozolnie stąpając w błocie, przy nikłym świetle. Korytarz był coraz węższy i powietrze w nim coraz bardziej dławiące. Nagle ujrzałem ją, stała oczekując mnie w milczeniu: raczej wysoka, o długich ramionach i nogach, o biodrach nie odpowiadających jej szczupłości. Dzięki pewnego rodzaju fosforescencji odcinała się od mrocznego tła.

Ale była przerażająca: jej oczodoły byry puste!

W następnych dniach nie mogłem się skupić na nauce i tylko z niepokojem czekałem chwili, kiedy znowu będę u Nicolasa. Zaledwie jednak wszedłem do sieni, zrozumiałem, że jej nie ma: w atmosferze był ów spokój, który przychodzi po letniej burzy w dnie naładowane elektrycznością.

Nie musiałem go pytać, a jednak uczyniłem to.

Wróciła do Buenos Aires.

Odpowiedź Nicolasa potwierdziła mój domysł. Poczulem się mocny: to był dowód, że między nią i mną istniała niewidoczna, ale potężna więź.

Spytałem, czy ona mieszka w Buenos Aires z rodzicami. Odpowiedział z pewnym wahaniem, że chwilowo mieszka u Carranzów. Słowo „rodzice” pominął, jak ktoś, kto okraża, nie chcąc przechodzić nocą przez miejsce, którego lepiej unikać.

W owych miesiącach myślałem obsesyjnie o tym, aby kiedyś odwiedzić dom Carranzów. Minęła zima, przyszło lato i skończyła się nauka. Gdy straciłem już nadzieję na ponowne spotkanie z nią, poszedłem któregoś dnia do Nicolasa. W tej chwili właśnie wybierał się do Buenos Aires do Carranzów. Była niedziela, chciał spędzić dzień z chłopcami. Pojąłem, że moja wizyta u niego nie mogła być przypadkiem, i czując, że serce mi pęka, spytałem go, bez świadomej woli, czy mógłbym mu towarzyszyć.

— Oczywiście — odparł ze swoją zwykłą odruchową dobrocią.

Nicolas poruszał się w innym wymiarze niż ja i Soledad. Czy mógł wyobrazić sobie, jakie były moje tajemne myśli? Opowiadał mi nieraz o Florenciu i Juanie Bautiście Carranza i zawsze mnie zapewniał, że przypadliby mi do gustu, zwłaszcza Florencio, co fakty istotnie potwierdziły. Ale nie wiedział nic o mojej obsesji.

Nie wiem, czy znasz ten stary dom przy ulicy Arcos 1854. Bodaj że pamiętam, że przy jakiejś sposobności wspomniałem ci o nim i powiedziałem, że kiedyś chciałbym kazać zamieszkać w nim bohaterom powieści. Jak to u mnie zawsze bywa, nie wiedziałem dobrze, co ta powieść ma znaczyć i czy kiedyś zdecyduję się ją napisać. Obecnie ten dom nie jest zamieszkały i chyli się ku upadkowi. Lecz i wówczas był już dosyć zniszczony, jakby właściciele byli bardzo biedni albo niedbali. Od ulicy domu prawie że nie widać, zasłania go gęstwa drzew i roślin frontowego ogrodu, który się rozrósł i zagarnął w całości to wszystko co w końcu ubiegłego wieku było rezydencją. Podczas letniej sjeisty w domu panowała zupełna cisza, miało się wrażenie, że nikt w nim nie mieszka. Nicolas otworzył dużą zardzewiałą

bramę i pod boczną ścianą przeszliśmy na tyły do parku, gdzie stał domek, kiedyś przeznaczony zapewne dla służby.

Tam oto mieszkali chłopcy, pośród kompletnego bałaganu. Teraz śmieję się z mojego wahania, czy mogę, czy nie mogę tam pójść: do tego domu i do tych chłopców mógł przyjść byle jaki nieznajomy awanturnik, zainstalować się w jednym z pokoi, spędzić w nim resztę życia i nikogo by to nie dziwiło.

W tej niewydarzonej twierdzy poznałem Florencia Carranza Paz, który był chyba w moim wieku, miał jakich piętnaście lat, oraz jego brata Juana Bautistę, trochę młodszego. Obydwaj bardzo do siebie podobni byli antycypacją Marcela: mieli delikatne rysy, bardzo białą, niemal przezroczystą cerę i kasztanowate włosy. Charakterystyczne były ich oczy, wielkie, ciemne, ale zapadłe pod czołem, niemal przesadnie wysuniętym naprzód. Głowa była wąska, a podbródek nieco wystający.

Lecz mimo fizycznego podobieństwa jednak coś natychmiast przyciągało uwagę: oczy Florencia były roztargnione, jak gdyby stale myślał o czymś obcym temu wszystkiemu, co go otaczało, o jakimś pięknym, spokojnym krajobrazie. Ale gdzie indziej, nie tu, gdzie się znajdował. Gdyby nie wspaniała inteligencja objawiająca się w jakimś szczególe, można by pomyśleć, że jest trochę „otumaniony”, co byłoby chyba najstosowniejszym określeniem.

Z biegiem lat miałem się serdecznie zaprzyjaźnić z Florenciem; dla mnie przedstawiał on zawsze sędziego, a największą naganą było jego milczenie, które po chwili przerywał, klepiąc mnie z czułością po plecach, jak gdyby chciał unieważnić ową słałbiutką oznakę, rozumianą przeze mnie jako dezaprobata.

Pamiętam go z nieodłączną gitarą, na której brzdąkał, jakby nie miał chęci czy śmiałości naprawdę grać: raczej było to niby wspomnienie jakiejś dalekiej gitary, a to, co owym brzdąkaniem wyrażał, to były jakby fragmentaryczne echa jakiejś pogodnej ballady. Po latach ktoś mi opowiedział, że słyszał go, kiedy sądził, że jest sam, w pensjonacie w La Plata i że grał przepięknie. Ale nieśmiałość czy delikatność nie pozwalała mu wystawiać na pokaz swoich zalet. Nigdy bowiem nie chciał okazywać się wyższym nad innych. Razem ze mną rozpoczął studia, a nigdy nie stawiał się do egzaminu i naturalnie nie zrobił doktoratu mimo zdolności do matematyki. Nie pragnął tytułów, zaszczytów ani stanowisk. Na koniec został asystentem astronoma w skromnym obserwatorium w prowincji San Juan, gdzie zapewne dotychczas pije matę i potrąca struny gitary. Zgubił się w drodze, jakby mu nie zależało na tym, aby dojść do jakiegoś miejsca, a tylko chciał się nacieszyć małymi urokami drogi,

Zupełny kontrast z bratem, Juanem Bautistą, realistą i praktykiem. Ciekawe, że Marcelo nie wdał się w ojca, lecz w stryja, Florencio.

Nie wiem, dlaczego wciąż mówię o tym chłopcu zamiast opowiadać o Soledad. Może dlatego, że w ciemnościach mojej egzystencji (a Soledad jest nieledwie kluczem do tych ciemności) Florencio był dla mnie jakby dalekim światłem w schronie, gdzie mieszkają istoty dobre i poczciwe.

W owo upalne popołudnie 1927 r., wzburzony zagadkową bliskością Marii de la Soledad, niemalże nie brałem udziału w rozmowie. Gdzie ona jest? Dlaczego jej nie widać? Nie ośmieliłem się pytać chłopców, lecz w końcu zdobyłem się na pytanie określne. Kto mieszka w dużym domu? Gdzie są rodzice?

— Starzy są na wsi — r odparł Florencio. — I starsi bracia, Amancio i Eulogio.

— Zatem obecnie w całym domu nie ma nikogo — podsumowałem. Miałem wrażenie, że na chwilę wszyscy poczuli się nieswojo, ale może to były tylko moje wyobrażenia.

— Ach, nie, w jednym z pokoi mieszka Soledad — odpowiedział Florencio.

Te słowa pomnożyły mój niepokój. Florencio pobrzakał na gitarze, a myśmy milczeli. Później Juan Bautista poszedł do piekarni po rogaliki, -a Florencio podał nam wszystkim matę, nie w pokoju, a w ogrodzie. Było już prawie ciemno, kiedy Nicolas wdrapał się na eukaliptus i zwieszając się z gałęzi zaczął piszczeć jak małpa, a potem udawać, że obiera i je banana: jego najsłynniejsza umiejętność. Raptem poczułem, że za moimi plecami coś się dzieje, a w tej samej chwili Nicolas opuścił się z gałęzi na ziemię i wszyscy zamilkli.

Obróciłem się powoli, doznając jednocześnie na skórze tego uczucia, które zawsze towarzyszy takim zjawiskom. Podnosząc głowę, jakbym dokładnie wiedział, z jakiego miejsca pochodzi to uczucie, ujrzałem w przedwieczornym półmroku, w oknie górnego piętra, po prawej, statyczny obraz Soledad. Przy nikłym świetle i z odległości trudno było dokładnie ustalić, dokąd kierowała swoje paraliżujące spojrzenie, ale miałem absolutną pewność: patrzyła na mnie.

Potem znikła tak cicho, jak się pojawiła, i stopniowo rozmowy chłopców znowu się nawiązały. Ale ja ich nie słyszałem.

Poczęły dokuczać moskity i weszliśmy do domu. Florencio usmażył jaja i sporo frytek, które jedliśmy palcami. Na koniec zajadaliśmy domowe słodczyce, które przysyłano ze wsi w ogromnych słojach. Tymczasem ja wyobrażałem sobie Soledad jedzącą samotnie tam na górze, w kuchni starego domu.

Nie czuję się na siłach opowiedzieć ci teraz (może uczynię to kiedy indziej), co się ze mną stało w ten dzień. Powiem tylko, że Soledad była chyba potwierdzeniem dawnej teorii onomastyki, wszak jej imię odpowiadało temu, czym była: wydawała się strzec jakiejś świętej tajemnicy, jednej z tych, które pod przysięgą winni zachowywać członkowie pewnych sekt. Była powściągliwa, a jej wewnętrzna gwałtowność znajdowała się jakby pod ciśnieniem, niczym w kotle opalonym zimnym ogniem. Nie rozmawiała o rzeczach codziennych i normalnych. Raczej, w kilku słowach (a czasami milczeniem) dawała znać o faktach nie odpowiadających temu, co zwykle nazywa się prawdą, lecz o wypadkach, które zdarzają się w koszmarnych snach. Była postacią z ciemności. Nawet jej zmysłowość uczestniczyła w tej kondycji. Może wydawać się absurdem mówić o zmysłowości dziewczyny o surowych ustach i paralizującym spojrzeniu, a jednak tak jest, choćby nawet jej zmysłowość podobna była tej, jaką mają żmije. Czyż węże nie są symbolem seksu we wszystkich niemal pradawnych wierzeniach?

Wiedziała „rzeczy” zdumiewające, które kazały myśleć o „pośrednikach”. To słowo wpadło mi przy pisaniu na maszynie i wydaje mi się odkrywcze. Kim byli? Gdzie ich widziała? Czym była pośrednikiem?

Tak jest, ten złowieszczy osobnik, którego miałem przed sobą w barze na ulicy Saint-Jacques, był mgliście związany z tym, co się stało w mojej młodości z Marią de la Soledad — miałem wtedy mniej więcej szesnaście lat.

I ciągle jeszcze nie wiem, czy te wydarzenia były rzeczywiście czy wyśnione.

Pozwól, że na razie nie będę mówił o tym. Wracam do tej obskurnej paryskiej kawiarni, gdzie R. wspomniał imię Soledad. Jak ci powiedziałem, musiałem usiąść, aby odzyskać spokój. Gdy się tylko trochę opanowałem, wstałem i odszedłem. Chłód na ulicy orzeźwiał mnie i kiedy dotarłem do mojego mieszkania przy rue Du Sommerard, przynajmniej się nie ślaniałem.

Myślałem, że spotkanie się nie powtórzy. Nie wiedziałem, że nie tylko się powtórzy, ale że powrót tego człowieka zadecyduje o mojej egzystencji.

Nie powiedziałem M. ani słowa o tym wydarzeniu i teraz sędzę, że to było naturalne. Natomiast wydaje mi się dziwne, że nie mówiłem jej w następnych latach ani o tym spotkaniu, ani o tamtych, które miały miejsce w mojej młodości i później w tym ostatnim czasie. Może dlatego, że ona cierpiała najbardziej z powodu zgubnego wpływu, jaki miał na mnie ten osobnik. Wystarczy powiedzieć, że to on zmusił mnie do porzucenia nauki; 189

fakt ten był dla wszystkich zaskoczeniem, a ja musiałem się z niego niezliczone razy (i bezskutecznie) tłumaczyć. Mówiłem przede wszystkim, że w *Ludziach i trybach* zawarte jest całkowite wytłumaczenie duchowe i filozoficzne mojego postępków. Dowodziłem też po tysiąc razy, że człowiek nie jest czymś wytłumaczalnym i że w każdym razie nie w jego rozumowaniu należy badać jego tajemnicę, lecz w jego snach i majaczeniach. To ów intruz zmusił mnie do pisania fikcji i pod jego fatalnym wpływem zacząłem redagować w tym okresie 1938, w Paryżu, *Nieme źródło*. Później jakimś sposobem ustanowił się protagonistą w *Pamiętnikach nieznajomego*, utworze poronionym, którego nigdy nie opublikowałem; później, w sztuce teatralnej; również poronionej. Ponieważ jednak ukazał się zmieniony (nazwałem go w tych fikcjach Patricio Duggan), czy to, że okoliczności nie odpowiadały tym prawdziwym, czy że cechy Patricia nie były dokładnie takie jak jego, wciąż mnie dręczył, nawet, wydaje mi się, że spotęgowaną złością, i wreszcie, w tych ostatnich latach zrobił się prawie nie do zniesienia. Tak oto przeistoczył się w Patricia z tej powieści, a z biegiem lat ta postać coraz bardziej upodobniała mi się do mirażu na pustyni, jednego z owych majaków, które zaledwie dostrzeżone oddalają się, w miarę jak przybliża się człowiek spragniony (w tym wypadku, co prawda, byłaby to raczej oaza na opak). Ln bardziej unikałem jego obecności — ze strachu czy z jakiegoś innego powodu — tym mocniej M. to odczuwała, do tego stopnia, że kilka razy ukazywał jej się we śnie. Przy takich okazjach kusilo mnie opowiedzieć jej o jego istnieniu i o jego wtrącaniu się w moje życie, ale zawsze w końcu milczałem. Z biegiem lat bowiem zacząłem chwycać się myśli, że był to pewnego rodzaju koszmar, o którym lepiej zapomnieć na zawsze. Jednakże krótko po wydaniu *Bohaterów i grobów* ponownie przeciął mi drogę, niby dawny wierzyciel, któremu spłacałiśmy dług małymi kwotami i dokumentami bez pokrycia i który każe nam zapłacić ów haniebny i sekretny dług, grożąc że nas zadenuncjuje przed ludźmi wierzącymi w naszą uczciwość. A kiedy to ostatnie spotkanie zbiegło się z pojawieniem się Schneidera i z jego machinacjami, uważałem, że powinienem wreszcie rozładować moje sumienie i porozmawiać z M. o tej sprawie. Nie uczyniłem tego. Że jednak w jakiś sposób musiałem się uwolnić, przyjąłem zwyczaj mówienia o nim (oczywiście dwuznacznikami) z Bebą, która, mam wrażenie, słuchała mnie, jakbym był mitomanem.

Powracam do incydentu z rue Saint-Jacques. Niedługo potem odbyło się następne spotkanie. Wszedłem z laboratorium i po krótkiej przechadzce wstąpiłem do innego bistro (nie wró- 190

ciłem już nigdy do tamtego, w którym zetknąłem się z tym niepokojącym typem) i samotnie oddałem się nałogowi wina i coraz bardziej pogmatwanych myśli o swoim losie. Było już chyba późno w nocy, kiedy zdecydowałem się opuścić tę przystań i ulicą des Carmes udałem się do mojego mieszkania. Wtem poczułem, że ktoś bierze mnie za ramię. Zanim jeszcze spojrzałem, wiedziałem, że to on. Zareagowałem gwałtownie:

— Nie mam do ciebie żadnego interesu! — krzyknąłem. —

To chyba jasne.

— Dobrze, w porządku — odpowiedział. — Nie chcę nic innego, jak tylko trochę z tobą porozmawiać. Tyle lat. Zresztą, powiem ci, że mamy z sobą wspólne interesy. -

„Wspólne interesy” powiedział z owym ironicznym akcentem, jaki zawsze nadawał komunałom. Jego dobronudzny ton jeszcze bardziej mnie zirytował, wiedziałem bowiem, że nie jest zdolny do tego rodzaju uczuć.

— Nie wieni — odparłem — jak ty rozumiesz te wspólne interesy, ale ja bynajmniej nie mam zamiaru znosić twego towarzystwa. Ani teraz ani nigdy. Zresztą pozwól mi, że się trochę pośmięję z tych „wspólnych interesów.”

— Dobrze, zostawmy to chwilowo — zgodził się. — Ale mo że byśmy się czegoś napili.

Byłem już trochę wstawiony i chciałem pójść jak najprędzej spać. Powiedziałem mu to.

— Do domeczku, he? — rzekł uszczypliwie.

Przytyk był taniutki, ale skuteczny, jak zawsze. I znalazłem się w innym barze, tak obskurnym jak poprzedni! Dym, alko hol, zmęczenie nie pozwalały mi jasno rozumować, tymcza sem on wydawał się być z wyostroznej stali. Jego słowa cięży mnie niemiłosiernie, otwierały moje wrzody i wypuszczały z nich wszystką ropę, która się nagromadziła w ostatnich latach nauki i laboratorium. Z miłości własnej broniłem pozycji, w które nie wierzyłem, zaś on oszalał mił tymi samymi myślami, które ' po cichu i mnie nurtowały. Wydaje mi się jednak, że te myśli nachodzą mnie dopiero teraz, i nie wiem, jak dalece były one dyskutowane w tamtą noc. Mówić o myślach, o dyskusji, o analizie wydaje mi się zupełnie fałszywe. Nie były to myśli w znaczeniu profesorskim tego słowa, nic w nich nie było systematyczne i nie miały żadnego związku. Nie była to systematyczna i zorganizowana iluminacja, lecz jak gdyby wybuchy zbiorników

benzyny wśród nocy, na śmietniku, gdzie broniąc się od oparzenia i porażony hukim, przestałem nagle widzieć i czułem, że grzęznę w błocie i ekskrementach. Bodaj że pamiętam, iż chwila- 191

mi wydawał mi się wielkim i okrutnym Inkwizytorem, a rozmowa była tego rodzaju:

— Od dziecka bałeś się jaskiń.

Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie, które ja miałem potwierdzić.

— Tak — odrzekłem wpatrując się w niego zafascynowany.

— Miałeś wstręt do błota i do wszystkiego, co grząskie.

— Tak.

— Do robaków.

— Tak.

— Do śmieci, do ekskrementów.

— Tak.

— Do zwierząt o zimnej skórze, które wpełzają do dziur w ziemi.

— Tak.

— Do jaszczurek i do szurów, do łasiczek i do kun.

— Tak.

— I do nietoperzy.

— Tak.

— Pewnie dlatego, że to są skrzydlate szczury i w dodatku zwierzęta ciemności.

— Tak.

— Zatem unikałeś światła, raziło cię wszystko, co jasne i przezroczyste, co krystaliczne i zimne.

— Tak.

— Matematyka.

— Tak, tak!

Nagle rozwarł ramiona, podniósł głowę i zawołał patrząc w górę, jakby w jakiejś zagadkowej inwokacji.

— Jaskinie, kobiety, matki!

Nie byliśmy już w kawiarni. Nie wiem, jak i kiedyśmy wyszli, lecz znajdowaliśmy się w miejscu opuszczonym i cichym, na jakimś pagórku. Była chyba późna noc i w mrocznej samotności jego głos rozbrzmiewał przeraźliwie donośnie.

Po czym zwrócił się do mnie, wyciągnął prawe ramię i wygrażając wskazującym palcem powiedział:

— Trzeba mieć odwagę do powrotu. Jesteś tchórzem i hipokrytą.

Chwyił mnie za ramię (czułem się jak dziecko) i pociągnął do miejsca, gdzie była jakaś grotka. Wchodziliśmy, aż pod nogami poczułem błoto coraz bardziej grząskie. Wtenczas kazał mi się schylić i zanurzyć ręce w tym bagnie.

— Tak — powiedział.

I zaraz dodał:

— To jest dopiero początek.

Po kilku dniach zdarzył się ten przypadek na Marche aux Puces. Przerzucałem zakurzone obrazy i nie znalazłszy nic godnego uwagi, zdecydowałem się na kupno mandaryna chińskiego, jakiegoś rupiecia.

Wracałem zamyślony i w pewnej chwili nieomalże wpadłem na Cyganke; mruzczała coś o czytaniu z ręki. Uszedłszy parę kroków uświadomiłem sobie, że kobieta mówiła do mnie po hiszpańsku. Czyżby wizjonerka? Pobiegłem za nią, ale w tłoku nie mogłem jej znaleźć. Zatrzymałem się zmartwiony i usiłowałem przypomnieć sobie słowa, które mi powiedziała, a które nagle stały się dla mnie cenne: o śmierci. Ale nie mogłem dojść do żadnej konkluzji.

Byłem zdesperowany myśląc, że jeśli miała mi coś ważnego do powiedzenia, nie ten zwyczajny towar, dlaczego mimo wszystko nie poszła za mną? Ponieważ jestem skłonny widzieć rzeczy, które, jak się okazuje, istnieją tylko w mojej wyobraźni, byłbym już wywnioskować że to był jeszcze jeden przypadek złudy, gdyby jakieś głuche, lecz uparte przekonanie nie zapewniało mnie o czymś przeciwnym. Czyżby, trafem, ostrzeżenie?

Pytałem siebie o to później, kiedy wyszedłem z metro. Coś jakby kilka wariantów słów, powiedzianych przez Cyganke: widzę przed tobą śmierć albo może ktoś umarł i ty go ujrzysz przed sobą. Wszedłem z powrotem do metro około piątej i stanąłem koło drzwi. Pociąg minął kilka stacji i było mi niewygodnie, a właściwie poczułem niepokój. Miałem wrażenie, że ktoś za moimi plecami mnie obserwuje. Jak to bywa w takich wypadkach, wrażenie stało się nieznośne i w końcu obróciłem się. Młoda kobieta wbijała we mnie oczy: oczy duże i ciemne. Więcej niż patrzyła; obserwowała mnie. Nie jak człowieka, którego widzi po raz pierwszy, lecz jak kogoś znanego od lat.

To trwało sekundę. Z nieśmiałości, natychmiast odwróciłem głowę. Czulem wszakże w dalszym ciągu jej oczy. Byłem pewien, że nigdy tej kobiety nie widziałem, a jednak te oczy mi coś przypominały, coś dalekiego i mglistego, jak owe wspomnienia, które w nas budzi jakiś przelotny zapach lub kilka taktów zapomnianej piosenki.

Przed Montparnasse przygotowałem się do wyjścia, a nie miałem odwagi ponownie spojrzeć jej w twarz. Przeszedłem kilka kroków, bezwolnie dając się unosić przez tłum. Wtem poczułem impuls, aby z powrotem wejść do pociągu. Za późno. Gdy pociąg był już w ruchu, stwierdziłem, że ona mnie w dalszym ciągu obserwuje, lecz tym razem ze smutkiem. Kiedy zniknął ostami wagon, począł mnie ogarniać lęk jak zawsze po przypadkowym, 193

lecz ważnym spotkaniu w wielkim mieście: wrażenie, że głupio kręcimy się w jakimś labiryncie, a kiedy przypadkowo (?) natykamy się na osobę, która może mieć dla nas zasadnicze znaczenie, jakaś przeszkoda udaremnia spotkanie. Jak gdyby los popychał nas ku istocie, którą mamy spotkać, i jednocześnie, złośliwie, robił wszystko, aby nam w tym przeszkodzić.

Stałem chwilę i patrzyłem w tunel, myśląc że najprawdopodobniej nigdy już jej nie zobaczę. Tymczasem mgła coraz bardziej gęstniała. W drodze do domu wpadłem w pasażu Odesa na jakąś parę. Szedłem jak lunatyk i raptem doznałem olśnienia: to były oczy Marii Etchebarne!

Jak gdybym po omacku w ciemności dotknął nagle potwora.

Kochałem się w tej nauczycielce, dwudziestoletniej dziewczynie o ciemnych myślących oczach.'

W pewien letni wieczór 1923 r. — byłem wtedy w ostatniej klasie — podczas gdy dorośli zażywali świeżego powietrza na placu San Martin bądź analizowali partie szachów w klubie towarzyskim, my, chłopcy, bawiliśmy się wśród krzaków i palm w chowanego. W pewnej chwili zdjęk mnie groza: jakaś sik kazak mi biec do domu rodziny Etchebarne. Dom był duży o dwóch wejściach: głównym od Avenida de Mayo i drugim od tyłu. Instykt poniósł mnie do tylnej bramy, która była otwarta. Było ciemno i pusto: z pewnością wszyscy wyszli na plac. Pamiętam, że słyszałem gdakanie kur, obudzonych być może moimi krokami, i po chwili, już w ogrodzie, usłyszałem jęki. Pobiegłem i oto ujrzałem leżącą na ziemi moją nauczycielkę, wijącą się z bólu. Powiedziałem coś, nie wiem już co, krzyknąłem, ale ona wciąż tarzała się jęcząc. Poleciałem więc do klubu po któregoś z lekarzy, którzy tam grywali w karty.

Maria nie chciała powiedzieć, kto chlusnął jej kwasem w oczy. Zawsze byk milcząca, ale po tej okropności stak się skryta i zamknięta w sobie. I nawet w miasteczku, gdzie jest prawie niemożliwością zachować coś w tajemnicy, nikt nie mógł odgadnąć, kto oślepił Marię Etchebarne.

Dopiero po trzydziestu latach wpadło mi na myśl, że mogła to być zemsta Ślepych. Ale za co? W moim miasteczku znałem dwóch ślepych: jednego należało wykluczyć, bo to był człowieczyna skromny, grał na bębnie w miejskiej kapeli i było nie do pomyślenia, żeby ten człowiek choćby cośkolwiek wiedział o nauczycielce. Ten drugi był kawalerem, mieszkał z matką, stronił od ludzi. Kiedy w r. 1954 byłem w Rojas, po raz pierwszy od trzydziestu kt, rozpytywałem o tego osobnika, do którego miałem uprzedzenie. Żył jeszcze, po śmierci matki mieszkał samotnie w tym samym mieszkaniu przy ulicy Mufioz,

koło domu prasowaczki. Poszedłem do niego wiedziony instynktem i wściekłością, choć nie miałem rozsądnych powodów. Przemierzyłem tę ulicę mojego dzieciństwa, która wówczas wydawała mi się taka długa, a teraz zobaczyłem ją małą i nędzną, zwłaszcza kiedy minąłem dom prasowaczki i zaczęły się stare domy z niewypalonej cegły. Zapukałem starą kołatką i pq dłuższej chwili otworzył mi sam B.

Był to mężczyzna szczupły i blady, jak ktoś, kto zawsze żył w jaskini bez słońca. I do pewnego stopnia tak było, ponieważ przez uchylone drzwi zobaczyłem, że w domu nie było żadnego światła. To zrozumiałe: matka nie żyła, zaś on był ślepy. O zmroku nie dostrzegłem wyraźnie jego twarzy. • —■ Czego tu szuka? — spytał nieprzyjemnym głosem samotnika.

Nie podałem nazwiska, oświadczyłem mu tylko, że jestem dziennikarzem z Buenos Aires i że chcę postawić mu kilka pytań o tutejszych ludziach.

— Pan jest z rodziny Sabato — powiedział.

Ostupałem.

— To jest ich głos. No więc co?

— Skoro pan już zna moje nazwisko, to wyjaśnię panu, że nie jestem dziennikarzem. Jestem Ernesta Sabato i piszę coś o Rojas. Zwracam się do dawnych mieszkańców. Wiadomo panu, że większość ich wyjechała stąd między 30 a 40 rokiem.

— Tak jest.

Zadałem mu kilka banalnych pytań dla zmylenia: o parę zaginionych rodzin, o młocamię Perazzolla, o starego Ahnara. Odpowiadał zdawkowo, tłumacząc się, że nie może dokładniej „z powodu mojego nieszczęścia, señor.”.

— Naturalnie — odparłem spieszenie, z demagogiczną za pobiegliwością, której się potem wstydzilem.

I nagle rzuciłem mu pytanie, tłumione od lat.

— A Etchebarne? Czy moja była nauczycielka nie żyje?

— Była nauczycielka? — mruknął zmienionym głosem, jak gdyby ten głos wydobył się z trudem z ciasnego, najeżonego przez szkodami korytarza. !?

— Tak, Maria, moja nauczycielka z szóstej klasy. Czy to prawda, że nie żyje?

B. oniemiał.

— Maria Etchebarne — powtórzyłem bezlitośnie.

— Ach, tak — zdawał się budzić ze snu. — Zmarła 22 maja 1934. /

Nie chciałem dalej pytać, uważałem to za niepotrzebne. To byłoby też nieostrożne: człowiek, - który wypalił kwasem oczy 195

pięknej dziewczyny, jest zdolny do jeszcze okrutniejszej zbrodni na kimś, kto przyszedł go wybadać.

Tylko jedna wątpliwość opadła mnie później, kiedy z rozmaitych punktów widzenia analizowałem ten zadziwiający wywiad: dlaczego, jeśli był sprawcą zbrodni, w co wierzę, popełnił ten błąd i z taką dokładnością podał mi datę? Może dlatego, że go zaskoczyłem i nie mógł pomyśleć, na jakie naraza się niebezpieczeństwo. Możliwe też, że ów fakt był dla jego życia czymś tak strasliwym, że wszystko, co się do niego odnosiło, pozostawało w jego duszy wryte płonącymi literami. Można sobie wyobrazić, czym było owych trzydzieści lat dla tego osobnika zamkniętego w swojej nędznej dziurze, w wiecznych ciemnościach, i dniem, i nocą rozmyślającego o nie odwzajemnionej miłości i o zbrodni.

Powracam teraz do wypadków w 1938 r.

Jak już powiedziałem, szedłem pasażem Odesa i właśnie natknąłem się na jakąś parę, kiedy miałem olśnienie: oczy tej kobiety z metra to były oczy mojej nauczycielki. Nie powiadam, że wydawały mi się te same, powiadam, że były te same.

Przyszedłem do swego pokoju w stanie podobnym temu, jakiego doznawałem w dzieciństwie w moich halucynacjach. Rzucałem się na łóżko i grzebałem się w myślach. Nie wiem, czy już mówiłem, że podówczas zamieszkałem sam, porzuciwszy M. i mojego syna w bezlitosny sposób, z powodu pewnych słów tego drania R. Niedługo potem M. powróciła do Argentyny, a ja zostałem tak samotny, jak bywałem w dzieciństwie, w kozmarnych snach.

Pod względem pracy był to okres haniebny. Goldstein zarzucał mi, że Ireń Joliot-Curie jest zniechęcona. Martwiłem się, że mogłaby donieść profesorowi Houssay, rozumiałem przecież, jaką ofiarę ponieśli wysyłając mnie. Stowarzyszenie dla Postępu Nauki! Biedny doktor Houssay, gdyby wiedział, jakie miałem wówczas zasadnicze troski, i znał moje ukryte myśli.

Opowiem, jakie były moje zajęcia po tej sławetnej niedzieli: codziennie, mniej więcej o tej porze, kiedy wysiadałem na Montparnasse, kupowałem bilet i tkwiłem na tej stacji pilnując pociągów. Siedziałem godzinę, dwie, trzy, a nawet całe popołudnie.

Z wolna począłem tracić nadzieję, jeżeli stwierdzenie czegoś tak strasznego może stanowić jakąś nadzieję.

Wreszcie w pewien zimowy wieczór poszedłem do kościoła Saint-Eustache wysłuchać Pasji według świętego Mateusza z chórami z Lipska. Stałem oparty o kolumnę, kiedy znowu poczułem te oczy wlepione w mój kark. Tak mnie to wzburzyło, że nie ośmieliłem się obrócić. Zresztą to nie było potrzebne.

Od tej chwili nie mogłem się skoncentrować na muzyce. Po koncercie ruszyłem do wyjścia i wsiałem jak automat do metra, wciąż przekonany, że rzeczywiście nieznajoma idzie za mną. Kiedy dojechaliśmy do Porte d'Orleans — nawet mi nie wpadło na myśl wysiąść na Montparnasse ani spojrzeć, czy ona nie wysiadła tam lub na jakiej innej stacji — wyszedłem popychany przez ludzi i puściłem ją przodem, śmiejąc załpwie ukradkiem śledzić jej ruchy. Podążyłem za nią. Poszła aż do parku Montsouris, • kilka razy skreśliła i w końcu *znalazła* się w uliczce Montsouris.

Patrzyłem za nią z rogu ulicy. Doszła do bramy, wyjęła klucz i weszła. Kiedy zamknęła bramę, zbliżyłem się i stałem chwilę nie wiedząc, co robić. Zresztą, cóż mogłem robić?

Po kilku minutach głupiego czekania obróciłem się i ruszyłem tą samą drogą na stację. Nie wiem, jakie przeczucie ka-zało mi nagle odwrócić głowę, a wtenczas spostrzegłem, że ktoś za mną szedł. Zniknął raptownie, jakby przyłapany na czymś nieprzyjemnym. Miałem wrażenie, że tym wysokim, trochę przygarbionym mężczyzną był R. Oczywiście, ciemność, mgła, moje wzburzenie spowodowały wątpliwości. Tak czy inaczej, byłem tak podniecony, że wszedłem do pierwszej kawiarni czegoś się napić.

Zaclumatem się nad wypadkamiTego wieczora. Przy mojej
^ldannoścdoTxiurzania^ięTvspomTiemain^^f
jak alkohol budził we mnie dawne upiory, widziałem siebie na ulicach miasteczka Rojas, a potem w szkole, wpatzonego w oczy Marii Etchebarne, i w końcu przedefilowały wydarzenia owego strasznego wieczora. I ten bieg do jej domu zaczął rysować się we mnie z taką mocą, iż nagle poczułem, że muszę do niej pójść. Do niej? Cóż to za szalony pomysł? Byłem pijany, mocno pijany, ale czułem, że popycha mnie ta sama nieprzeparta siła, która w ów letni wieczór niosła mnie do domu Etchebarne. Wstałem i jeszcze raz przemierzyłem drogę, którą przebyłem przedtem w pogoni za nieznajomą. Na ostatnim odcinku, w uliczce Montsouris, biegłem co sił i bez wahania położyłem rękę na klamce tej starej bramy z XVII wieku. Nawet się nie zdziwiłem, że nie była zamknięta na klucz, i tak oto wtargnąłem na duży dziedziniec i jakby mnie ktoś prowadził, wszedłem po skrzypiących schodach jednej z klatek schodowych na drugie piętro, po czym korytarzem skąpo oświetlonym brudną żarówką dotarłem do jakichś drzwi. Otworzyłem je. Było zupełnie ciemno, ale z którejś strony rozległy się bolesne jęłtf. Po omacku znalazłem wyłącznik, zapaliłem światło i ujrzałem nieznajomą leżącą na starej sofie. Twarz ścisłała w dłoniach niczym w szponach i je-czała podobnie jak niektóre umierające zwierzęta. Stałem 197

w drzwiach osłupiały nie ważąc się czegokolwiek uczynić, ale dokładnie wiedziałem, co się dzieje. Czym prędzej uciekłem trzęsąc się ze strachu. Słaniając się doszedłem do mojego mieszkania, rzuciłem się na łóżko, a gdy udało mi się "usnąć", opadły mnie straszliwe koszmary.

Obudziłem się nazajutrz około południa. Zrazu nie pamiętałem szczegółów, powoli jednak zacząłem odtwarzać zasadnicze momenty wieczoru: koncert w kościele, oczy za moimi plecami, wyjście itd. A kiedy stanął mi w pamięci obraz tej kobiety na sofie, z rękami zaciśniętymi na oczach, jęczącej jak chory pies, dreszcz mnie przeniknął. Z trudnością wstałem i eehłodziłem głowę pod kranem i zrobiłem sobie kawę.

Miałem potrzebę komuś to opowiedzieć i zamiast do laboratorium poszedłem do Bonasso. Obudził się w złym humorze. Co to za sposoby budzić go o świcie. To był jego stały dowcip. Siadłem na brzegu łóżka i jakiś czas milczałem. Bonasso ziewał i przeżuwał ręką po twarzy, jakby oceniał dwudniowy zarost.

— Od lat człowiek wstaje i nie chce mu się nic robić.

Wyprostował się ociężale, znowu ziewnął i wreszcie wstał, wsunął nogi w pantofle i poszedł do ubikacji w korytarzu. Wróciwszy, pocałował mi się z ciekawością przypatrywać.

— Tobie coś jest, bracie.

Potem trochę się umył i wycierając się obserwował mnie z boku.

Opowiedziałem mu historię wczorajszego wieczoru. Bonasso przestał się wycierać i nie odkładając ręcznika popatrzył na mnie ze zdumieniem.

— Co, nie wierzysz mi? — spytałem ostro.

Zamyślony odwiesił ręcznik na miejsce i wbił we mnie uważne spojrzenie. To mnie jeszcze bardziej zirytowało.

— Co jest! — zawołałem.

— Słuchaj, stary — rzekł marszcząc czoło — wczorajszy wieczór spędziłeś ze mną i z Aleksandrem Sux. Nie powiesz mi przecież, że tego nie pamiętasz.

To był twardy cios.

— Jak to?

— Naturalnie. Ten wariat radził się ciebie w sprawie Towarzystwa Opieki.

— Towarzystwa Opieki?

— No, tak. Jedno z tych towarzystw, które on każdego dnia wymyśla. Bodajże w obronie fizyków atomowych.

Oniemiałem. Bonasso wciąż przyglądał mi się z niepokojem.

Odszedłem, kłamiąc że się spóźnię do laboratorium. Udałem się wszakże do Susa. *Concierge* poinformowała mnie, że znajdę 198

go w Dupont Latin. Rzeczywiście był, rozmawiał z jakimś Francuzem.

— Patrzenie, jaki przypadek — rzekł na mój widok — wieczorem omawiałem tę sprawę z Sabato. Pan wie, on pracuje w laboratorium Curie.

Zgłupiałem. Odchodząc jałem przeszukiwać kieszenie: ani śladu biletu na koncert. Jasne, mogłem być wyrzucić go po wejściu do kościoła, przy mojej manii wyrzucania od razu wszystkiego, co uznam za niepotrzebne; ta mania nieraz powoduje tysiące komplikacji, kiedy raptem odkryję, że papierek był czymś cennym.

Skierowałem się do Saint-Eustache. Widok kościoła dał mi absolutną pewność, że poprzedniego wieczoru nie tylko słuchałem koncertu, ale że ponad godzinę marzęm w kolejce po bilet.

Cały dzień medytowałem nad tym wszystkim; w końcu postanowiłem raz jeszcze przebyć drogę, którą szedłem za nieznaną. Poznałem dom z siedemnastowieczną bramą. Była otwarta. Stałem jak wryty. Wejść? I co zrobię, jak wejść? Wreszcie zdecydowałem się i wstąpiłem na schody: wszystko było mi znane, byłem tutaj, to pewne, byłem tu, chociażby we śnie.

Wszedłem na drugie piętro. Skrzywienie schodów poruszyło mnie, mimo że teraz był dzień albo właśnie dlatego. Lękliwie i coraz wolniej podchodziłem "korytarzem do drzwi, które były wejściem do „jej” mieszkania czy pokoju. Stałem. Rozglądałem się na boki i ponieważ nikogo nie zauważyłem, zbliżyłem ucho do przyłgi drzwiowej: najmniejszego znaku ludzkiej obecności. Cofnąłem się nieco, szukając jakiegoś wymownego szczegółu, lecz znalazłem tylko emaliowaną tabliczkę, starą i brudną, z białą literą H na niebieskim tle. Po dłuższej chwili wahania zszedłem na dół. W bramie natknąłem się na wścibską *concierge*, co poddało mi pewną myśl:

— Czy pani z drugiego H wyjechała? ■ — spytałem.

Stara poprawiła okulary, pochodzące zapewne z tej samej epoki, co emaliowana tabliczka, i jęk mi się przyglądać tak uważnie, jak policyjny świadek przygląda się podejrzanemu.

N— Madame Verrier — sprostowała.

— Oczywiście, madame Verrier.

— Miała wypadek, proszę pana. Jest w szpitalu.

— Wypadek?

Bąłem się, że zauważy mój drżący głos. Niemalże powiedziałem : „Kwas w oczy”, ale ugięły się pode mną nogi. Oparłem się o bramę.

— Coś panu dolega? — spytała.

— Nie, tonie. "

199

Starczyło mi jednak przytomności umysłu czy też chytrkości, aby zapytać, w którym jest szpitalu, inaczej bowiem harpia mogłaby żywić jakieś podejrzenie. Wróciłem do siebie, aby spojrzeć w oczy rzeczywistości. Wziąłem w ręce statuetkę mandaryna: ta przynajmniej jest cielesna i dowodzi, że w ową niedzielę byłem na Marche. No, a reszta?

A ten wysoki facet, co za mną chodził i znikł, kiedy ja zawróciłem, czy to nie był przypadkiem R.?

W tym czasie przyszła Cecylia Mossin z listem polecającym od Sadoskiego. Chciała pracować nad promieniami kosmicznymi, ale jej odradziłem: według mnie powinna pracować ze mną w laboratorium. Dobra dziewczyna. Przedstawiłem ją Irenie Joliot-Curie, została przyjęta i zaczęła przychodzić w nienaganie białym fartuchu. Widziała, jak ja nadchodziłem o dziesiątej albo jedenastej przed południem, nie ogolony, na wpół senny. Ze świętą zgrozą asystowała przy moich roztargnionych spotkaniach z Madame Joliot.

Wtedy mniej więcej pojawił się u mnie Molinelli z kimś chyba podobnym do Trockiego w studenckich czasach: taki sam, tylko mniejszy i okropnie wychudzony z powodu niedostatku. Miał bardzo cienki nos, ale nosił takie same szkła bez oprawy, jak znany bolszewicki przywódca, miał takie same szerokie czoło, takie same rozczochrane włosy. Błyszczące oczy rzucały bystre spojrzenie. Obserwował otoczenie z chciwością intelektualną, do jakiej tylko Żydzi są zdolni: z taką chciwością żydowski analfabeta przybyły z krakowskiego getta może godzinami żarliwie słuchać wykładu o teorii względności, nie rozumiejąc ani słowa. Ów człowiek mógł przymierać głodem, o czym świadczyło jego zniszczone, za duże ubranie, po kimś odziedziczone, a mimo to martwić się jedynie o czwarty wymiar, o kwadraturę koła lub o istnienie Boga.

Natomiast Molinelli, wielki i gruby, miał pewne podobieństwo z Charlesem Laughtonem: ten podbródek i te rozchylone usta, z których każdej chwili może spłynąć strużka śliny. Kontrast z Trackim był tak komiczny, że gdyby nie mój ówczesny nastrój, z wielką trudnością byłbym się powstrzymał od śmiechu, choć wiedziałem, jak dobrym człowiekiem był Molinelli.

Molinelli, w tajemniczy sposób, wyjawiał chęć rozmowy ze mną w cztery oczy. Widok grubasa i jego wynędzniałego, nerwowego partnera nie przyczyniał się do tego, aby Cecylia i Goldstein zmienili swoje, wyrobione w ostatnim czasie, zdanie o mojej przyszłości w nauce. Spoglądali na mnie uważnie, jak na człowieka, który ślania się mdlejąc na środku ulicy.

Poszliśmy do jakiegoś kąta, gdzie wśród elektrometrów na



pewno przedstawialiśmy dla Cecylii i Goldsteina karykaturalny widok. Przyciszonym głosem spiskowca Molinelli zawiadomił mnie, że jego przyjaciel Citronenbaum (ale przez Q ma poradzić się mnie w kilku ważnych sprawach dotyczących alchemii.

Spojrzałem nań: jego oczki iskrzyły się od fanatyzmu.

Miałem ciekawe mieszane uczucia. Z jednej strony pobudzały mnie do śmiechu, śmieszyła mnie myśl porównania go — ze względu na jego drobną postać — z samochodem Citroen, zaś z drugiej strony byłem zaskoczony.

— Alchemii — powtórzył obojętnym tonem.

— Jakie jest twoje zdanie o Thibaud? — zapytał mnie Molinelli.

— O Thibaud? Nie bardzo wiem, czytałem kiedyś jakąś popularną broszurkę.

— A o Helbronnerze?

— Helbronner jest fizyko-chemikiem, tak, oczywiście.

— On jest rzeczoznawcą sądowym — poinformował mnie młody Citronenbaum, nie spuszczać ze mnie oka, jakby mnie chciał schwytać w pułapkę?

— Sądowym?

— Tak jest, rzeczoznawcą w sprawach alchemii.

Rzeczoznawca w alchemii? Nie wiedziałem, jak się mam zachować, pomyślałem jednak, że najlepiej zachować spokój. Molinelli wybrał mnie z kłopotu: zawsze są tacy ludzie, co lubią wynalazki: perpetuum mobile, alchemia. Ale nie to jest ważne: Citronenbaumowi (gestem wskazał na niego) udało się za jego pośrednictwem nawiązać kontakt z kimś ogromnie ważnym. Czytałeś książki Fulcanello? Nie, nie znałem go.

— Musisz je przeczytać — powiedział.

Dobrze, czym mógłbym im pomóc. Molinelli odmówił ruchem głowy tudzież wyrazem twarzy mówiącym mniej więcej: „nie o to chodzi”. Ten człowiek zniknął właśnie wtedy, kiedy ogłoszono o rozbiciu atomu uranu.

Kto znikł? Fulcanelli?

Nie, mowa jest o alchemiku, którego Citronenbaum poznał przez Helbronnera. Tajemniczy facet.

Zatem dlaczego opowiada mi o Fulcanellm?

Ponieważ według nich może to być jedna i ta sama osoba, to znaczy ten alchemik i Fulcanelli.

— Wiesz — powiedział do mnie Molinelli patrząc z pewnym lękiem w stronę Goldsteina i Cecylii, którzy stojąc beczynnym spoglądali na nas zafascynowani — wiesz, jest jakaś wielka tajemnica wokół Fulcanello.

W tym momencie nastąpiła rzecz nieoczekiwana, zupełnie 201

niezgodna z udręką, jaka mi w owych dniach nie dawała spać. Do dzisiaj się tego wstydzę: zacząłem się śmiać, niemalże histerycznie.

Molinelli (z rozchylonymi ustami i ogromnym podbródkiem) okazał najwyższe zdumienie.

— Cojć, się stało? — zapytał drżącym głosem.

PopelnijMh najgłupszy błąd, jaki mogłem popęlnić: zamiast zataić przyp^ynę śmiechu, powiedziałem: Molinelli i Fulcanelli. Wytarłem oczy chustką, a kiedy szykowałem się do dalszej rozmowy z moimi gośćmi, pojąłem całą grozę mojego zachowania: Molinelli zaniemówił ze zdumienia i stał z otwartymi ustami, natomiast oczy jego przyjaciela iskrzyły się jak pod wysokim napięciem. Spojrzeli na siebie i bez pożegnania odeszli.

Zrazu nie wiedziałem, co począć. Obróciłem się i spojrzałem na Goldsteina i na Cecylię, śledzili nieruchomo tę scenę. Pobiegłem do wyjścia. Wołałem na Molinellego, ale się nie obrócili. Zatrzymałem się zatem patrząc, jak oddalają się korytarzem: jeden olbrzymi i rozlany, drugi-niałeńka w tym odziedziczonym ubraniu.

Wróciłem do laboratorium i zamyślony usiadłem.

Przez kilka dni byłem zdeprymowany i nie mogłem spać, a jeżeli spałem, zaczynały się te moje sny. Jeden z tych snów z pozoru nie miał w sobie nic poważnego, a jednak obudziłem się wzburzony. Przez podziemie laboratorium szedłem do Le-coina. Wchodząc do jego pokoju zobaczyłem go: siedział obrócony do mnie tyłem i pochylał się nad płytkami. A gdy na moje wołanie odwrócił się, miał twarz Citronenbauma.

Dlaczego obudziłem się wzburzony? Nie wiem. Może nieczyste sumienie z powodu Molinellego? Obudziłem się zdecydowany pójść do niego i przeprosić go. Jednakże, gdy zaczęło świtać i wstałem z łóżka, byłem przekonany, że sen nie był wynikiem zwykłego poczucia winy, jeno czegoś głębszego. Ale czego?

Poszedłem wprost do jego nory napchanej literaturą kabalistyczną. Był wczesny ranek, mgła, a patrząc przez mgłę na kopułę Panteonu odczuwałem raczej smutek niż zmartwienie. Wydarzenia z R. wydawały się już bardzo odległe i uczucie strachu ustąpiło miejsca melancholii, która się we mnie coraz bardziej nasilała w tym Paryżu roku 1938. Wszedłem na górę i kilkakrotnie pukałem do drzwi, bo zapewne spał. Kiedy wreszcie się odezwał i powiedziałem mu, kim jestem, nastąpiło milczenie trwające nadmiernie długo. Nie wiedziałem, co mam uczynić, ale też nie chciałem odejść nie przeprosiwszy go.

Po dłuższej chwili powiedziałem głośno przez drzwi, że po- 202

winien mi wybaczyć, że ja się czuję źle, bardzo źle, że ten śmiech był histeryczny itd. Już ci mówiłem, że Molinelli był wspaniałym człowiekiem (zmarł parę lat temu), niezdolnym do gniewu. Toteż w końcu otworzył mi i podczas gdy się mył, usiadłem na sofie o trzech nogach; sterta książek o okultyzmie zastępowała czwartą brakującą. Próbowałem się tłumaczyć, ale on taktownie poprosił, abym przestał.

— Przykro mi przez wzgląd na Citronenbauma — zauważył, jakkolwiek nie wyjaśnił, co mój śmiech mógł wywołać u tego fanatycznego człowieka.

Wycierając się, powtórzył: tylko przez wzgląd na niego.

Byłem zawstydzony i myślę, że on to zauważył, ponieważ robiąc kawę wielkodusznie zmienił temat rozmowy. Ja wszakże zacząłem go prosić, aby mi powiedział, o czym to zamyślni rozmawiać ze mną podczas tej wizyty. Podniósł rękę, jakby miał powiedzieć, że to już nieważne i chciał w dalszym ciągu opowiadać o czymś, co mu się poprzedniego dnia wydarzyło z Bonasso.

— Bądź łaskaw przestać — powiedziałem.

Wtenczas, choć raczej bez związku, wrócił do sprawy Fulcanello. Poszukał jakiejś jego książki i podał mi ją: mam ją przeczytać.

»
HT Wiesz, nigdy go nikt nie widział. Ta książka jest z roku 1920, widzisz? W ciągu prawie dwudziestu lat ani jedna osoba nie mogła powiedzieć, kto to jest.

— ■ A wydawca?

Zaprzeczył ruchem głowy. Czy pamiętam przypadek Brunona Travena? Oryginały nadchodziły pocztą. W wypadku Fulcanello wiadomo przynajmniej, że nadchodziły za pośrednictwem niejakiego Canselieta.

Zatem łatwo można się dowiedzieć czegoś o autorze, N^x

Nie, bo ten Canseliet systematycznie odmawiał. Czy teraz rozumiecie, dlaczego spotkanie z Citronenbaumem było takie ważne?

Nie, nie rozumiałem.

— Ależ człowieku, profesor Helbronner jest rzeczoznawcą sądowym i miał kontakt z niejednym alchemikiem, prawdziwym czy domniemanym. Kiedyś posłał Citronenbauma, aby przeprowadził wywiad z pewnym panem, który pracował w laboratorium prób w Societé du Gaz. Ten pan zwrócił mu uwagę, że za równo Helbronner, jak Joliot i jego współpracownicy — aby pozostać jedynie przy Francuzach — stoją nad brzegiem prze-

* Pseudonim anonimowego pisarza, autora wielu poczytnych powieści, który maszynopisy przysłał z Meksyku, (przyp. tłum.)

paści. Opowiadał mu, że oni robili doświadczenia z wodorem ciężkim, i twierdził, że te *rzeczy* były od wieków znane pewnym ludziom i że z jakiegoś powodu pokrywali je milczeniem, lecz wszystko składali do archiwum, kiedy w swych doświadczeniach dochodzili do pewnego punktu, a to, co wiedzieli, przekazywali w języku na pozór niedorzecznym, który ściśle biorąc był szyfrem. Ponadto mówił mu, że nie potrzeba nawet elektryczności ani akceleratorów, że wystarczy pewien geometryczny układ absolutnie czystej materii, aby rozpętać siły nuklearne. Dlaczego przemilczali to wszystko? Ponieważ w odróżnieniu od dzisiejszych fizyków, spadkobierców owych oświeconych, wolnomyślnych salonów osiemnastowiecznych, u tych alchemików istniała zasadnicza troska o religię. Nie mówił, rzecz jasna, o wszystkich: w ogromnej większości byli to szarlatani i blagierzy korzystający z cudzej łatwowierności i często kończyli na torturach bądź na szubienicy. Nie, on mówił o tych prawdziwych, tych naprawdę wtajemniczonych, o tym łańcuchu ludzi jak Paracelsus albo hrabia de Saint-Germain, a nawet sam Newton. Czy zna niejasne, lecz znaczące słowa wypowiedziane przez Newtona w Akademii Królewskiej? Cała historia alchemii, przynajmniej ta, którą przekazano nam, materialistom — wszak jesteśmy nimi w tej cywilizacji — mówiła o przemianie miedzi w złoto i o innych bredniach, ale chodziło tu w każdym przypadku o coś nieskończenie głębszego. Rzeczą istotną była przemiana samego badacza, odwieczna tajemnica zastrzeżona w każdym stuleciu dla jednego z uprzywilejowanych. Wielkie Dzieło.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu i piliśmy kawę.

— I to jest ten człowiek, który niedawno temu zniknął?

— Tak, zaraz potem jak w całym świecie gazety zaczęły pisać o rozbiciu uranu.

— Ale po co miał zniknąć? Nie rozumiałem.

Wzruszył ramionami. Według hipotezy Citronenbauma ten człowiek z Societe du Gaz był ni mniej, ni więcej tylko Fulcanellim. Inny jego przyjaciel, niejaki Berger, był tego samego zdania.

Zacząłem rozmyślać nad tym wszystkim, ale w końcu nie mogłem zrozumieć, po co oni przyszli do mnie.

— Długo by to trzeba tłumaczyć — odparł. A ponadto wiąże się to ściśle z Citronenbaumem. Niestety teraz jest za późno. Nie sądzę, że zechce się znowu z tobą zobaczyć.

Zirytowałem się: przecież już go przeprosiłem, jak tylko mogłem.

Tak, naturalnie. Ale Citronenbaum to jest inna klasa. I patrząc mi w oczy dodał z powagą:

— Geniusz.

Spytałem go, czy prędko go zobaczę. Naturalnie. Ale zrozumiałem, że chwilowo przynajmniej nic więcej nie będę mógł zrobić.

W ciągu kilku dni starałem się uporządkować myśli, nie znalazłem jednak rozwiązania! Postanowiłem więc oderwać się trochę od moich obsesji i pójść szukać w księgarniach na Boulevard Saint-Michel słownika francusko-albańskiego. Powiedziałem o tym Bonassemu, a on spojrział na mnie jak na wariata.

— Hiszpańsko-albańskiego nie ma. Właśnie dlatego — powiedziałem.

Patrzył na mnie uważnie, być może dlatego, iż zaczęła już krążyć pogłoska o kiepskim stanie mojego umysłu. Roześmiałem się.

— Ależ nie, stary, to z powodu mojej itiatki. Ma w sobie połowę krwi albańskiej, ale *TSN/STZ* nam mówiła, że nie zna tego języka. A ja wiem, że go zna.

Był zaskoczony pochodzeniem mojej nlatkt, ale oświadczył, że nie uważa tego za wystarczający powód studiowania tak niepotrzebnego języka. Jakby studiować gwkrę celtycką.

— Widzisz, ja zawsze miałam zamiłowanie do języków. Może w innych warunkach pasjonowałbyjśn się lingwistyką. Ale nie tylko dlatego. To jest, być mdze, problem psychologiczny i rodzinny. Moja matka nienawidziła swegjo albańskiego pochodzenia, a mnie ono pasjonuje. Nie wydali ani jednego wynalazcy, ani jednego mędrca, ani jednego wielkiego artysty.

— Gorzej niż Baskowie. \ ' ' ,

— Właśnie. Zupełnie słusznie jwórnujesz ich z Baskami.

— Zatem, jakie przyznajesz 'iri zasługi, poza tą jedną, że wydali ciebie.

I ~
— Naród wojowniczy, którecj) nikt nie zdołał ujarzmić. Zauważ, to są starożytni Iliryjczycy i Majcedończycy, byli tam, zanim przyszli Hellenowie. Filip i Aleksander Macedoński byli Albańczykami, prawdopodobnie także Arystoteles; wi dzisz więc, że nie byli tacy dzicy. Ale mnie raczej fascynuje ich odwaga. Czy znasz historię księcia Skanderbega?

Bonasso, który w tym okresie stałe chodził z estetyką Crocego pod pachą, powiedział, że ma ważniejsze rzeczy do czytania.

— Książę Jerzy Castriota, zwany Skanderbeg, przez ćwierć wieku trzymał w ryzach wojska tureckie na Bałkanach. Dzień- 205

ki niemu przetrwała republika wenecka, a może i cały Zachód.

— No, dobrze, stary, ale to nie jest powód, żebyś teraz uganiał się za słownikiem francusko-albańskim.

— Nie dlatego, już ci powiedziałem, że przez moją matkę. Zawsze mnie pasjonowała historia Albańczyków i starałem się przekonać do nich moją matkę. Ale bezskutecznie. Z powodu ojca.

— Co znowu było z ojcem?

◆ — Mama go nie cierpiała, on spowodował śmierć swojej żony, to znaczy mojej babki, kiedy miała trzydzieści lat. Kobiety i wino, rozumiesz?

— A co Skanderbeg ma z tym wspólnego?

— Skanderbeg, nie Skanderberg. Mój dziadek był pochodzenia albańskiego, a babka była Włoszką.

— Jak to pochodzenia albańskiego? Czy byt czy nie był Albańczykiem?

— Chwileczkę. Kiedy książe Skanderbeg poczuł, że śmierć się zbliża i że feudalne kacyki, których jedność tylko on po trafił utrzymać, rozdzielią się, a wtedy Turcy wszystko obrócić w perzynę, poprosił swojego sprzymierzeńca, króla Neapolu, by pozwolił jego] oficerom i najbardziej oddanym wojownikom osiedlić się na terytorium Włoch, na Sycylii i w Kalabrii. W ten sposób w połowie XV wieku Albańczycy osiedlili się tam. Abyś miał pojęcie, jakie to są typy: do dzisiaj zachowali swój język i nigdy nie oddali broni. Naturalnie, Włosi na ogół ich nie cierpieli, dla nich byli jak gdyby wrzodem. Otóż, wyobraź sobie, jaki to był cios dla rodziców mojej babki, którzy byli Włochami, a ponadto była to ważna rodzina. Moja prababka, wdowa i tygrysyca, donna Giuseppina Cavalcanti, dowiedziawszy się że do jbj córki zaleca się ten wysoki osobnik, o mało nie oszalała ze złości. Ale brat dziadka (tego Albańczyka) był księdzem, potężnym dzięki przyjaźni z markizem de Santo Martino (był nauczycielem jego synów), i to zadecydowało o małżeństwie, co prawda pod złą wróżbą donny Giuseppiny. Krótko mówiąc, Albańczyk przepuścił winnice, gaje oliwne i folwarki na kobiety i wino. A my staliśmy się emigrantami. Teraz już wiesz.

— Co wiem?

— Dlaczego moja matka nie cierpiała Albańczyków i dla czego ja poszukuję słownika francusko-albańskiego.

— Twoja logika jest z żelaza. A jaki jest ten język?

Podsluchiwałem kiedyś rozmowę matki i wuja. Jak zobaczysz w Antwerpii napis „uitgang”, skojarzy on się z niemieckim. W albańskim nie masz najmniejszej wskazówki, napis może

znaczyć wyjście albo palenie zabronione. Zdaje się, że jest spokrewniony z litewskim. Ale ma sporo ze słownika tureckiego i greckiego.

— To wszystko wyłowiłeś podsłuchując pod drzwiami.

— Siedem przypadków deklinacji.

— Wspaniale, to czysty idiotyzm. Jakbyś nie miał nic innego do roboty. Niech cię tylko zdybie stary Houssay.

— Wyobraź sobie, ja już z Czterema przypadkami nianieczkiego dostawałem chyzia. A to jeszcze nie wszystko.

— Jak to nie wszystko.

— Fonetyka. Dam ci przykład: llotehka. Wypiekane ciastka. Najpierw złoż usta do wymówienia naszego 11, następnie zbliż język do zębów. O tak. Następnie ściśnij szczęki, ale nie zupełnie, tak, by głos mógł się wydobyć przez szparę, przy czym zaciskasz wargi. O tak.

Bonasso patrzył na mnie z powagą szeroko otwartymi oczami.

— Poczekaj chwilę — rzekłem.

W owym czasie my wszyscy czytaliśmy *Ze, y Mamelles de Tiresias*. Wyszukałem *La Femme Assite*.

— Zobacz, co mówi Apollinaire o Canourisie, tym swoim albańskim przyjacielu. Nadludzka witalność i skłonność do samobójstwa. Wydaje się sprzeczne, co? Według mnie jest to cecha narodowa.

Bonasso przestudiował fragment z uwagą, jakby chodziło o ważną klauzulę w umowie. Potem zaczął mi się na nowo przyglądać, jakbym był ciężko chory.

— Idę do Cafedu — rzekł po chwili.

— Pójdę z tobą.

Była Marcelle Feny z Tristanem Tzara i Dominguezem, układali dziwaczne łamigłówek.

— Co to jest pudełko sardynek długie na sto metrów?

Un camouflage mongol.

— Co to jest tragiczna chwila?

Miłość wzgardzonego kwiatu.

— Co to jest śniadanie minotaura?

Pustka.

Przy sąsiednim stoliku zrzędził Alejandro Sux: wojna wisi na włosku — a wy takie idiotyzmy...

Dominguez spojrział nań z czułością śpiącego wołu.

Sux zapytał mnie w sprawie uranu. Bezwzględnie trzeba zorganizować komitet. Ma już nazwę: „Obrona”. To była jego słabość, organizować komitety i towarzystwa, na papierze, naturalnie. Ostatnią była Liga przeciwko Używaniu Baterii Alumi-

niowej w kuchni. Za ledwie mu powiedziałem o uraniu, pomyślał o towarzystwie.

— Najważniejsze to dobry skrót, coś, co łatwo spamiętać. Obrona wybitnych Fizyków, Elektryków, Przyrodników, Towarzystwo Akcyjne.

Ogromnie mnie rozśmieszyło, że coś tak niedorzecznego organizuje się w formie Towarzystwa Akcyjnego (Kombinacja obłądu z handlową roztropnością).

Jego to zirytowało.

— Ale dlaczego elektryków? To mnie także rozśmieszyło: popularne pojęcie tego, czym może być laboratorium atomowe. I to za pomocą skrótów. *Caramba!* Czyż nie tłumaczył mi, że skrót powinien uderzać, że powinien być łatwy do zapamiętania?

Ach, no cóż, to świetnie.

Przestali układać łamigłówki. Dominguez jak gdyby dokonywał bardzo smutnego lub bardzo nudnego obrzędu, z oczami melancholijnego wołu i obwisłą dolną wargą począł znieważać ludzi wyglądających na Francuzów. W soboty i niedziele (tłumaczył) Dóme jest pełen obrzydliwych francuskich burżujów. W końcu olbrzym ciężko się podniósł i zataczając się ruszył z miejsca, aby w swoisty sposób znieważył jakiegoś starszaka o siwej brodzie, z odznaką Legii Honorowej. Siedział w towarzystwie małżonki i popijał ricard. Dominguez pochylił się w ukłonie, jak tresowany słoń w cyrku, swą ohydłą francuszczyzną powiedział Madame, Monsieur, po czym wziął rękawiczkę pani i począł ją gryźć, jakby ją zamierzał zjeść. Starszek osłupiały ze zdumienia nie zdołał się poruszyć. Nagle zerwał się z oburzeniem niewspółmiernym do jego postaci: był mały i chudziutki. Dominguez przerwał operację i objął go wzrokiem pełnym owej przesadnej czułości, jaką umiał wydobywać ze swoich wolicz oczu i ogromnej twarzy lekko przechylonej na bok.

Sux, który śledził nieuchronny bieg incydentu, szybko zapłacił i chwyciwszy mnie za ramię ruszył ku wyjściu, pomny tego, co zdarzyło się nam wszystkim, kiedy peruwiański bokser musiał interweniować. Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść, gdy dobiegły nas odgłosy awantury.

Sux był oburzony.

— Błazny! — zawołał, siadłszy przy stoliku w La Coupole. — Wojna wisi na włosku, a im takie idiotyzmy w głowie.

Wyjął jakieś papiery i napisał kilka liczb.

— Każdy adherent ma płacić jednego dolara rocznie.

Skorzystałem z przyjścia Wilfreda Lama i ulotniłem się. Nie miałem żadnego określonego celu, w niedzielę robiło mi się.

specjalnie smutno. Szedłem na chybił trafił i raptem znalazłem się na rue de la Grande Chaumiere. Nieświadomie, kroki mnie zanosły do MolineHego. Robił kawę, jak zawsze. Bodajże słyszał rozmowę z Suxem. "*

Zapowiada koniec — zauważył.

— Koniec? Co zapowiada koniec?

— Rozbicie uranu. Drugie tysiąclecie. A ty miałeś ten przywilej, że znalazłeś się w pobliżu takiego wydarzenia.

Nosił w kieszeniach, podobnie jak mój brat Vicente, mnóstwo papierów nierówno złożonych, wymiętych, w rozmaitym stopniu przedawnionych: listy, plany, rachunki. Wyszukał papier z jakimś diagramem i pokazał mi. Tu jest Ryba, tu Słońce. Kiedy Słońce wchodzi w Rybę, pojawia się Chrystus i Żydzi rozpoczynają diasporę. Trwa 2000 lat. Teraz, kiedy zbliża się koniec okresu, wracają do swojego kraju. To jest zapowiedzią czegoś fundamentalnego, ponieważ naród żydowski ma przeznaczenie tajemnicze, nadprzyrodzone. Pomyślałem sobie o Citroenbaumie.

— A tu jest znak Wodnika — wskazał kawałkiem pogryziona ołówka. — Obecnie wchodzimy w znak Wodnika, pod koniec tych 2000 lat.

Po czym, podniósłszy wzrok, dodał celując we mnie ołów-

— Wielkie katastrofy.

Jakiego rodzaju katastrofy? Najpierw straszliwa wojna i ciężka próba dla Żydów. Nie będą jednak mogli wykończyć ich doszczętnie, bowiem pozostała jeszcze do spełnienia wielka misja. Ołówkiem nakreślił na odwrotnej stronie jednego z papierów drukowanymi literami i w ramce

MISJA KOŃCOWA

i znowu wbił we mnie oczy z wyrazem spokojnej powagi.

Te katastrofy będą miały związek z energią atomową. Wielcy lamowie przepowiedzieli, że owe kataklizmy będą preludium do Decydującej Walki o panowanie nad światem. Ale uwaga: nie mówi o polityce. Jest grubym błędem przypuszczać, że chodzi o politykę. Nic podobnego. Mocarstwa polityczne (Francja, Niemcy, Anglia) są formą, w której ta WALKA (to słowo również nakreślił dużymi literami na papierze) zamyka się wobec ludzi. Za tym pozorem wszakże jest coś poważniejszego: Hitler jest Antychrystem.

Ludzkość znajduje się obecnie w Piątej Rundzie.

Piąta Runda? "

209

Tak, moment, kiedy nauka i rozsądek osiągają najwyższy autorytet. Złowrobną wspaniałość. A niewidocznie przygotowują się podstawy do nowej koncepcji duchowej wszechświata.—Koniec cywilizacji materialistycznej — dodał, jeszcze raz kierując we mnie ołówek.

Byłem coraz bardziej zmieszany, ta rozmowa bowiem wydawała się mieć jakiś związek ze spotkaniem i tajemniczym zajściem z R.

Czy ja wiem, z czym się wiąże Piąta Runda przepowiedni wschodniej?

Nie, nie wiedziałem. .

Wiąże się z Piątym Aniołem Apokalipsy według świętego Jana.

Najpierw Uran, a potem Pluton są zwiastunami Nowych Czasów. Będą działać jak wulkany podczas wybuchu, zakreślą granicę między obiema epokami, wielkie skrzyżowanie dróg.

— Pluton — ciągnął uderzając ołwkiem o papiery — wprowadzi odnowę poprzez zniszczenie.

Milcząc chwilę wpatrywał się badawczo w moje oczy i powiedział zaskakujące słowa:

— Ja wiem, że ty coś wiesz. Może nie całkiem jasno jeszcze. Ale jest coś w twoich oczach.

Nic nie powiedziałem, tylko schylając głowę jałem mieszać łyżeczką resztę kawy.

— Pluton rządzi światem wewnętrznym człowieka — podjął. — Odkryje najpoważniejsze tajemnice duszy i otchłanie morza, tajemnicze i podziemne światy, które są pod jego jurysdykcją.

Podniosłem oczy. Przez chwilę milczał. Potem, znowu wskazując na mnie ołwkiem powiedział:

— W obecnej chwili znajdujemy się w trzeciej i ostatniej dekadzie Ryby pod władzą Skorpiona, gdzie Uran jest wywyższony. Seks, -zniszczenie i śmierć!

Te ostatnie słowa napisał dużymi literami na innym brudnym papierku i znowu wlepił we mnie wzrok, jakbym ja miał coś wspólnego z tym wszystkim.

Siedzieliśmy już prawie po ciemku. Powiedziałem mu, że jestem bardzo zmęczony i że pójdę spać.

— Dobrze — odparł kładąc rękę na moim ramieniu. — W porządku.

Położyłem się, ale nie mogłem usnąć: powracały mi na myśl słowa Molinellego, wypadki z ulicy Montsouris i, nie wiem dlaczego, twarz Citronenbauma. Już ci mówię, że taką twarz miał prawdopodobnie Trocki w czasach studenckich, ale te-

raz zrozumiałem, że to nie było dobre określenie. Może uderzyło mnie podobieństwo fizyczne i fanatyzm w oczach iskrzących się elektrycznie poza szklami okularów bez oprawy? Nie, to nie było to. A przynajmniej to nie było wszystko. Ale, co chciałem sobie powiedzieć przez to „wszystko”? Jego stare ubranie odziedziczone po kimś tęższym, jego wątle ramiona, zapadnięta pierś, chude, nerwowe ręce. Ale było jeszcze coś, i choć podejrzewałem, nie potrafiłem określić, co to było w tym człowieku opętanym przez jakąś „najwyższą prawdę”. Może sprawiała to właśnie owa „najwyższa prawda”, pewnego rodzaju objawienie przekraczające granicę zwykłej polityki.

Na koniec wstałem i poszedłem do laboratorium. Spytałem Cecylię, czy zrobiła zlecone pomiary. Tak, naturalnie. Miała badawcze spojrzenie, pełne wyrzutu niczym matka, co wręcza czystą i uprasowaną bieliznę synowi wiodącemu rozwiązłe życie.

— O co chodzi? — krzyknąłem.

Przestraszyła się i poszła do swego elektrometra.

Wyjąłem z ółowianej rury odbiornik z aktywnym. Ale byłem roztargniony, niezręczny. Włożyłem go z powrotem do rury i postanowiłem pójść na kawę.

W korytarzu natknąłem się na Bruna Pontecorro, sympatycznego jak zawsze, ale bardzo wzburzonego. Spytał mnie o von Halbana. Odrzekłem, że go nie widziałem. Wpadli w histerię walcząc o to, który z nich pierwszy dokonał rozbicia uranu.

Chłód na ulicy mnie orzeźwił.

Czułem, że wracają dawne obsesje, które mnie straszły w dzieciństwie. A teraz jeszcze bardziej mnie straszły, właśnie dlatego, że byłem dorosłym człowiekiem otoczonym innymi, wierzącymi jedynie w formuły matematyczne, w cząsteczki atomowe, w interpretacje.

Przypomniałem sobie Frazera; dusza, co we śnie podróżuje, i rozdwojenia. My, ci z Zachodu, jesteście tacy głupi. Czy ludzie jak Hoffmann i Poe, i Maupassant byli zwyczajnymi mitomanami? Czyżby senne widziadła nie były prawdziwe w głębszym znaczeniu? A osoby fikcji (mówię o autentycznych, tych, co się zjawiają jak sny, nie o tych sfabrykowanych), czyż nie odwiedzają dalekich regionów, jak dusza we śnie? Somnambulizm. Dokąd zdążyłem, kiedy w dzieciństwie wstawałem z łóżka? Jakie kontynenty przemierzałem w tych podróżach? Ciało szło do" salonu, do sypialni rodziców. A dusza? Ciało porusza się w jakimś kierunku albo zostaje w łóżku, a dusza gdzieś błądzi. Komu, na przykład, zdarzyła się ta historia z oczami umarłej? Ta historia z dzieciństwa zdarzyła się mnie, wiem to na pewno. 211

Pytam o tę historię z ulicy Montsouris (*Souris!* Myszy! Dopiero teraz zauważyłem!)

Począwszy od tego okresu usiłowałem rozszyfrować tajemny wątek i choć czasami myślę, że go dostrzegam, wyczekuję w dalszym ciągu, moje długie doświadczenie pouczyło mnie bowiem, że pod jednym wątkiem jest zawsze drugi, subtelniejszy albo mniej widoczny. Mimo to w ostatnim czasie próbowałem związać luźne końce, które jakby wskazywały mi drogę w labiryncie. Tamte wypadki zdarzyły się nagle, w momencie kiedy zacząłem porzucać naukę, która jest światem jasności. Później, około 1947, zauważyłem, że u Sartre'a wszystko pochodzi od wzroku i że on również schronił się w czystej myśli, podczas gdy jego poczucie winy zmuszało go do dobrych uczynków. Wina — ślepotą? W końcu, nouveau roman, szkoła patrzenia, obiektywizm. Albo choćby znowu nauka, czysta wizja przedmiotu inżynier Robbe-Grillet. Nip bez powodu N. Sarraute śmieje się z „domniemanej otchłani sumienia”. W końcu śmieje się... Tak się to mówi. W gruncie rzeczy oni wszyscy się boją, wszyscy bez wyjątku uciekają od mrocznego świata. Mocarstwa nocy bowiem nie wybaczą tym, co usiłują wydrzeć im tajemnicę. Dlatego mnie również nienawidzą: z tej samej przyczyny kolaboranci nie cierpią tych, co z narażeniem życia walczą z okupantem kraju.

To jest niejasne, wiem, nie musicie mnie przekonywać. Niejednemu wyda się to obłądną fantazją. Myślcie sobie, co chcecie: mnie chodzi jedynie o prawdę. I chociażby urywkami, w przeblaskach, dzięki którym mogę w ułamkach sekundy jak przez • mgłę dostrzegać bezdenne otchłanie, próbuję ją wyrazić w niektórych moich książkach.

O tym wszystkim myślę obecnie¹. Bo wtedy, w ową zimę 1938 r., nic nie było dla mnie oczywiste. Okres mojej pracy w laboratorium zbiegł się z połową drogi życia, kiedy, według pewnych okultystów, zwykliśmy odwracać sens egzystencji. Tak było z ludźmi sławnymi, z Newtonem i Swedenborgiem, z Pascalem i Paracelsem. Dlaczego nie miałyby tak być z ludźmi skromniejszymi? Bezwiednie skręcałem z oświetlonej części istnienia w część ciemną.

Wtedy właśnie! kiedy przeżywałem głęboki kryzys duchowy, nawiązałem poprzez Bonassa kontakt z Dominguezem. Do tej pory nie opowiedziałem, co rzeczywiście się stało w danych okolicznościach i co mi groziło. Dominguez nie mógł albo nie chciał uniknąć niebezpieczeństwa i skończył samobójstwem. (W noc 31 grudnia 1957 przeciął sobie żyły w pracowni i zboczył krwią płótno pa sztaludze). Ja wiem, jakie mocarstwa pro- 212

wadziły grę. Na długo przedtem, nim wydarł oko Wiktorowi Braunerowi, bo ten wypadek był tylko jedną z ich manifestacji.

Każdy znajduje to, czego świadomie bądź nieświadomie szuka. Mówię o spotkaniach losowych, nie o głupstwach. Spotkanie kogoś na ulicy nigdy prawie nie będzie miało decydujących następstw w naszym życiu. Będzie je miało, kiedy nie było przypadkowe, kiedy było spowodowane przez niewidzialne siły działające nad nami. Ja nieprzypadkowo spotkałem Domingueza i nieprzypadkowo spotkałem go wtedy, kiedy miałem porzucić naukę. Nasze spotkanie miało ogromne znaczenie, mimo że w owej chwili na to nie wyglądało. Czas robi swoje nadając faktom należną im rangę i to, co zrazu wydawało się banalne, ukazuje się później w swym pełnym znaczeniu. Przeszłość nie jest czymś skryzalizowanym, jak to niektórzy przypuszczają, lecz jest konfiguracją ulegającą zmianom, ^ w miarę jak posuwa się naprzód nasza egzystencja, 'zaś prawdziwy sens osiąga ona w chwili, kiedy umieramy, kiedy już na zawsze pozostanie skamieniała. Gdybyśmy mogli w tej chwili zwrócić ku niej spojrzenie (a być może czyni to umierający) dostrzegliśmy w końcu prawdziwy pejzaż, w którym gotował się nasz los. I najmniejsze, niedocenione w życiu szczegóły, okazałyby się wówczas poważną przestrogą lub melancholijnym pożegnaniem na zawsze. Nawet to, co uważamy po prostu za żart lub za kłamstwo,' może w perspektywie śmierci zmienić się w złowróżbne proroctwo.

Tak mniej więcej działało się w owym czasie z surrealizmem.

Chodziłem do atelier malarza D. pracować (proszę cię, przyjmij ten czasownik w humorystycznym znaczeniu tego słowa) nad tym żartem, który ochrzciłem nazwą litochromizmu, a którym później zajmie się Breton w ostatnim numerze „Minotaura”. Wynaleźliśmy jeszcze inne rzeczy, z których pękaliśmy ze śmiechu, a to wszystko, i ten list do Daladiera o papieżu, i dowcipy w kolei podziemnej, wydawały się nam jak i wielu innym, którzy robili podobne rzeczy, po prostu zabawą. Ludzie nieuprzedzeni skłonni byli z tego powodu myśleć, że surrealizm to wielkie oszustwo. Faktem natomiast jest, że nawet w chwilach kiedy jego aktorzy sądzili, że robią błazeństwa (a tak było z D. i ze mną) znajdowaliśmy się, nie wiedząc o tym, w obliczu ogromnego niebezpieczeństwa: niczym dziecko, co na dawnym polu bitwy bawi się pociskiem z pozoru niewinnym, a który nagle wybucha sięjąc zniszczenie i śmierć. Napuszone deklaracje teoretyczne zapewniały, iż surrealizm ma na celu odchylić zasłonę tajemniczego świata, zakazanego obszaru, lecz różne piruety i nonsensy nazbyt często temu zaprzeczały. Niespodziewanie, jednakże, 213

pojawiły się demony. Kto lepiej niż D. zilustruje ów ciemny paradoks?

Nie wiem, czy znasz historię Braunera, rumuńskiego Żyda, który interesował się zjawiskami przestrogi i wizjonerstwa. W 1927 przyjechał do Paryża i, jak mi się zdaje przez Brancusiego, który także był Rumunem, zawarł znajomość z Giacomettim i Tanguym. Przez nich poznał później Bretona. A teraz uważaj dobrze, co ci powiem. Przez dziesięć lat, to jest od 1927 do 1937, malował wyobrażenia podświadomości, obsesyjne obrazy dotyczące oczu, niektóre z nich skrajnie agresywne. Na tych malowidłach oko bywa zastąpione przez kobiecy seks albo przemienia się w róg byka; ludzie na nich są częściowo bądź w zupełności pozbawieni oczu. Najbardziej jednak zdumiewa jeden z jego autoportretów namalowany w 1931 r., jest on prefiguracją tragedii, której głównym aktorem był w r. 1938 Dominguez. Brauner malował serię autoportretów, występuje w nich z jednym okiem wybitym (i pustym). Portret z r. 1931 jest najokropniejszy, prawe oko jest wykłute strzałą, z której zwisa litera D. Jest jeszcze jeden fakt, niemalże nieprawdopodobny: Brauner sfotografował w tymże 1931 r. front domu, który będzie kiedyś scenerią okropności: atelier Domingueza Boulevard Montparnasse 83. Sądził, że fotografuje jakąś wizjonerkę, która stała przed tym budynkiem, a w rzeczywistości zrobił zdjęcie domu, gdzie spełni z siebie ofiarę. Brauner powrócił do Rumunii. Ale wrócił w 1938, aby zostać okaleczony. Po kilku latach napisze: „To kalectwo jest nadal żywe, jak pierwszego dnia. Z czasem stało się najistotniejszym faktem mojej egzystencji.”

Podam ci jego własną relację: „Wielu nas było tego wieczora, nie zdarzyło się jeszcze, żeby tyły nas się zebrało, bez z góry powziętego zamiaru i impulsu. Nuda panowała w tę upalną sierpniową noc. Ja osobiście byłem śpiący i niespokojny od czterdziestu ośmiu godzin; poprzedniego wieczora podczas długiej przechadzki z U. narastał we mnie jakiś niezrozumiały, przemożny lęk. Przyjaciele zaczęli się rozchodzić, a Dominguez ogromnie wzburzony począł dyskutować z E., ale że to było po hiszpańsku, pozostali niewiele z tego rozumieli. Raptem, blednąc i trzęsąc się ze złości, rzucili się jeden na drugiego, z gwałtownością, jakiej jeszcze nie widziałem. Z nagłym uczuciem, że umieram, rzuciłem się chcąc powstrzymać E. Wtenczas S. i U. rzucili się na D., a inni odeszli, bo rzecz zaczynała wyglądać brzydko. Dominguezowi udało się uwolnić, a ja nie miałem nawet czasu spojrzeć na niego, bo straszliwe uderzenie w głowę rzuciło mnie na ziemię. Przyjaciele podnieśli mnie i chcieli wyprowadzić. Co-róż bardziej otumaniony i czując, że maci mi się wzrok, poprosi-

łem, aby mi dali pójść do domu, położyć się. Przyjaciele mnie prowadzili. Na ich twarzach rysował się straszny ból i niepokój, a ja nie rozumiałem, co się stało, aż do tego ułamka sekundy, kiedy przechodząc przed lustrem zobaczyłem, że mam pokrwawioną twarz, a w miejscu lewego oka ogromną ranę. W tej chwili pomyślałem o swoim autoportrecie i w tym zaćmieniu umysłu podobieństwo rany przywróciło mnie do rzeczywistości".

Nawiązuję do duszy, co podróżuje we śnie i może widzieć rzeczy z przyszłości, gdyż uwalnia się od ciała, które nas trzyma w więzieniu czasu i przestrzeni. Senne zmory są wizją naszego piekła. Co my wszyscy osiągamy we śnie, mistycy i poeci osiągają dzięki ekstazie i wyobraźni. *Je dis qu'il faut etre voyant, se faire VOYANT**. W takiej ekstazie, dzięki tragicznemu przywilejowi artysty, Wiktor Brauner ujrział swoją okropną przyszłość. I namalował ją. Wizje nie zawsze bywają tak wyraźne, a prawie zawsze w sposób zagadkowy i niejasny uczestniczą w snach. Po części dlatego, że w owych obszarach grozy panuje mrok i dusza widzi je jak przez mgłę, może też dlatego, że jest niezupełnie odcieleśniona, nie udało jej się bowiem w zupełności uwolnić od ciężaru ciała i od więzów z krwawą teraźniejszością; po części, bo człowiek nie jest chyba w stanie znieść piekielnego okrucieństwa, i nasz instynkt życiowy, instynkt naszego ciała, które mimo wszystko całą swoją siłą podtrzymuje tę duszę pochyloną nad przepaścią, przy pomocy masek i symboli chroni nas od piekielnych męczarni.

Było już późno, kiedy wróciłem do laboratorium. Goldstein już odszedł, a Cecylia, która z pewnością na mnie czekała, była gotowa do wyjścia, bez fartucha. Miała błagalne spojrzenie, pełne bólu oczy, jak jidysze marne.

— Już dobrze, Cecyljo — powiedziałem. Nic mi nie jest. Głowa mnie boli.

Zostawiła jpai pomiary i poszła. Od drzwi spytała, czy nie chciaifoy m pójść wieczorem na koncert organowy w jakimś tam kościele. Nie, nie chcę, dziękuję. Widziałem, jak szła, drobna postać, małymi krokami. „Zanadto się nad nią znęcam", pomyślałem. Dowiodłem jej zaraz na początku, że Madame Curie jest przeciętną kobietą, rozplakała się. Przyrzekłem sobie, że na zajutrz jej wykażę, iż jest to kobieta genialna.

Ponownie wziąłem opancerzoną rurkę z aktywnym i położyłem na moim stole roboczym. Bolały mnie podrażnione bezsennością oczy i światło dokuczało bardziej niż zwykle. Zgasilem

* Je dis... (fr.) — Mówię, że trzeba być jasnowidzącym, stać się jasnowidzącym.

światło i zostałam sam w ciszy laboratorium, w bladawej poświacie z sąsiedniego pokoju.

Wstałam, podszedłam do okna i wyjrzałam na ulicę Pierre Curie. Znowu poczyniała mnie dręczyć zawsze ta sama melancholia. Wróciłam na swoje miejsce i utkwiliem oczy w ołowianej rurce ze straszliwym aktywnym. Bezwiednie usnąłem: twarz Citroenbauma o niezgłębionym a demonicznym spojrzeniu nagle obudziła mnie ze snu.

Powróciłem spojrzeniem do ołowianej rurki, która w jakiś sposób była związana z moją udreką. Taka jest obojętna z wyglądu. A jednak w jej wnętrzu tworzą się miniaturowe kataklizmy, niewidzialne mikrokosmiczne miniatury Apokalipsy, o której mówił mi Molinelli, a którą enigmatyczni prorocy wprost albo pośrednio zapowiadali w ciągu wieków. Pomyślałem, że gdybym jakimś sposobem mógł zmaleć i być lilipucim mieszkającym wewnątrz atomów zamkniętych tutaj w więzieniu z ołowiu, gdyby zatem jeden z tych nieskończenie małych wszechświatów stał się moim własnym systemem słonecznym, byłbym w tej chwili pełnym świętej grozy świadkiem straszliwych katastrof, śmiertelnych piekielnych wyładowań. Teraz, po trzydziestu latach, kiedy historia spełniła część złowrogiej przepowiedni, powracam pamięcią do tych dni paryskich. 6 sierpnia 1944 Amerykanie z USA pokazali w Hiroszimie, jak będzie wyglądać ostateczna zagłada. 6 sierpnia. Dzień światła, dzień Przemienienia Pańskiego na górze Tabor.

Biedny Molinelli: groteskowy głosiciel prawd, o tyle wyższych niż on sam, jego życie i jego wygląd, nieomal śmieszny pośrednik między bóstwami ciemności a ludźmi: „Uran i Pluton są zwiastunami Nowych Czasów: będą działać jak wulkany podczas wybuchu, określą granicę między dwiema epokami”. — Tak mi powiedział wbijając we mnie spojrzenie. A weź pod uwagę, że tę przepowiednię głosił w r. 1938, kiedy nie mieliśmy pojęcia, że uran i pluton będą zarzewiem katastrofy.

Dosyć, wolę nie wspominać tych okropnych czasów. W piątek, kiedy się spotkamy, będę raczej mówił o tym, co mnie spotyka obecnie.

WYWIAD W tych dniach przyszedł pewien młodzieniec nazwiskiem del Busto i zrobił z nim wywiad dla „Semana Grafica”.

Dlaczego wyjechał z La Pląta?

Sam nie wie. Całe jego życie było szeregiem absurdalnych i niespójnych poczynań, ale na pewno w tym chaosie krył się 216

jakiś ład, to znaczy jakiś tajemny ład. Czy wyjazd z La Pląta oznaczał porzucenie na zawsze świata nauki? No cóż, bardzo możliwe. W każdym razie przyjechał do Buenos Aires. Enrique Wernicks skomunikował go przypadkiem z kimś, kto wynajął mu za grosze rancho w górach Cordoby. Tak oto poznał don Federico Valle, tego od jaskiń. I zamieszkał w tej samotni nad rzeką Chorillos, w chacie bez światła elektrycznego, bez wody, bez okien.

Podczas rozmowy z del Busto wszystko jak gdyby się układało, spoza chaosu zaczynało przebłyskiwać światło: czarne słońce. I nieuchronnie zaczęła się rozmowa o jaskiniach i podziemiach, o Ślepych.

— Portierzy—rzekł del Busto.

Portierzy,? O co chodzi? Sabato zapytał go z drżeniem, które zapewne ujawniło się w głosie, bo del Busto spojrzał na niego uważnie. Opowiedział mu więc to, o czym on sam już wiedział, a co wcześniej albo później ktoś mu na pewno opowie. Jemu. Niemniej słuchał go z należytą uwagą:

— Od parteru aż po dach, mieszkania, te obecne takie schludne, z betonu i z piasku, ze szkła i z aluminium, z klimaty zają. Doskonałe.

— Abstrakcyjne — dodał prawie że z niecierpliwością Sabato, chcąc skrócić relację.

— Tak jest, abstrakcyjne. A pod spodem szczury. Nocą, nad lśniącymi kotłami. Portier. Tajemniczy gatunek człowieka, czło-
wiek, który ma pod swoją władzą drzwi między dwoma światami.

Sabato przyglądał mu się w milczeniu.

— Naturalnie — zgodził się po chwili.

Zapadał zmierzch. Słysząc było ptaki moszczące się w swych gniazdach.

— Pan musiał tu przyjść.

— Pewnie.

— Wcześniej albo później.

— Tak jest. Ślepi zawsze mnie fascynowali — przyznał del Busto.

Nie sposób już było odróżnić wyrazu twarzy młodzieńca, kiedy powiedział:

— Chciałbym, aby ta praca o portierach i szczurach była, że się tak wyrażę, pod pańskimi auspicjami.

— Pod moimi auspicjami?

— Tak, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Z powodu Śle-
pych. Od kiedy to przeczytałem, nie mam spokoju, muszę nasłu-
chiwać szeptów.

— Szeptów?

— To znaczy, w sobie, w moim duchu.
— Pan pisze?
— Nie, to jest moja pierwsza praca. Zlecił mi ją Walker, bo rozmawiałem z nim na ten temat, bo chciał to zobaczyć. W rzeczywistości jestem fotografem.
< — Fotografem?
„Rytownik światła”. On również; zdecydował się porzucić świat jasności!

Młody del Busto opowiedział mu jeszcze o wynikach swoich dochodzeń: o walce wytwórni papierów wartościowych przeciwko szurom, które zjadają banknoty. Po latach obliczeń, szczegółowych projektów, przegranych bitew, zbudowali wspaniałe gmachy z żelazobetoni. Także na nic. Szczury weszły przez rury instalacyjne? Rozmnożyły się w budynku?

Rozmawiali o możliwości dokonania szczegółowych badań w kolei podziemnej, w piwnicach, kloakach, przewodach kanalizacyjnych. Badania nader skomplikowane i prawdopodobnie koszarne.

Odchodząc młody del Busto zaczął mi jeszcze mówić o tej sprawie portierów. Ale on w tej chwili nie uważa tego za stosowne.

Może też niepotrzebne.

SZEDŁ ULICĄ CORRIENTES

kiedy ujrzał idącego mu
naprzeciw Astora Piazzolę.
 Miał już go zagadnąć, ale
 spostrzegł, że się omylił:

była to raczej karykatura. Człowiek przystanął zaskoczony. S. zawstydzził się i poszedł dalej. Skręcił na pierwszym rogu, jak gdyby uciekał. Znalazł się na ulicy Suipacha. Przystanął na chwilę udając, że ogląda wystawę, a uspokoiwszy się wszedł do kawiarni coś wypić. Siadł przy stoliku i oto ujrzał Piazzolę, który się do niego uśmiechał.

— Cóż to, przestraszyłeś się mojej brody? — zapytał Astor.

— Nie, to nie to.

— Tobie coś dolega?

Wahał się, czy ma powiedzieć, co się zdarzyło, i w końcu opowiedział ze zdenerwowaniem, którego Astor nie mógł pojąć.

— Ależ człowieku! To przecież zwykły przypadek — tłumaczył.

S. spojrział nań z irytacją.

— W dziewięciomilionowym mieście?

Tymczasem Astor wspomniał o projekcie wspólnego ułożenia mszy argentyńskiej.

— Jak to? — zapytał roztargniony S.

— Mszę. Mszę argentyńską.

— Żle się czuję, jestem bardzo nerwowo, jeszcze się zastanowię.

Pożegnał się po chwili i udał się, jak to zamierzał, do kawiarni El Cierro.

Bruno zauważył, że jest nieswój, i spytał go o zdrowie.

— W porządku—odrzekł z roztargnieniem.

Wypił piwo i po chwili powiedział do Bruna:

— Ty zapewne myślisz, że ja przesadzałem z tym doktorem Schneiderem?

— W jakim sensie?

— W ogóle... co do jego władzy...

Bruno począł układać figury z wykałaczek.

— Lata minęły, od kiedy straciłem go z oczu—ciągnął S.— ale on jest. Na pewno. Jest tutaj, w Buenos Aires (Straciłem go z oczu, pomyślał z przestraszonym) — opowiedziałem ci, że się znowu pojawił. W 1962 r. ?

— Tak.

— I jak go śledziłem w metrze?

— Nie.'

— Od owego spotkania w 1962, pamiętam, widziałem go trzy albo cztery razy. Czasami samego, czasami z Hedwig. Oczywiście ją widywałem dosyć często, zanim zniknęła. Czy to było w barze Zur Post, kiedy spotkaliśmy się także z tobą?

Bruno przytaknął.

— Tak, oni zniknęli. Ale zważ, iż ja zawsze miałem wrażenie, że oni są tutaj, że są gdzieś w Buenos Aires. A co do niego, to widziałem go raz na rogu Ayacucho i Las Heras. Ale gdy mnie zobaczył (tak mi się przynajmniej wydaje), wszedł do kawiarni. To był on, jestem pewien — dodał szeptem, jakby do siebie, i za myślił się.

— A Hedwig...

— Nie widziałeś jej już więcej?

— Nie, ale ona jest w Buenos Aires, to pewne. Hedwig jest narzędziem. I cierpi z tego powodu. Władza tego typu? Albo ja kiś rodzaj zależności czy przymusowej służby. Tak jest, służba to właściwe słowo. Tym gorsza, że w tym wypadku służąca prze wyższa pana. Nie chodzi mi, rzecz jasna, o jej rangę społeczną. Mimo jej upadku fizycznego i moralnego... To widać. od razu... — gubił słowa, jakby znowu mówił do siebie, a tymczasem Bruno powiadał sobie, że i on miał to wrażenie, bo była nie tylko

tak zniszczona fizycznie, że jej dawną piękność zaledwie się odgadywało spoza ruiny i zaniedbania (jak dawną świetność książecego parku za obaloną kratą i rumowiskiem), ale też zepsuta duchowo, przez czas i zdrożności ciała, przez rozczarowania i gorycz, a zwłaszcza przez służbę u tego nikczemnika; z pewnością więc tylko czasami, tylko w ulotnych a smutnych chwilach, można było pośród moralnych gruzów odgadnąć jej dawną osobowość.^x S. zamówił jeszcze jedno piwo.

— Nie wiem, co mi jest. Jestem strasznie odwodniony.

Zamyślony wpatrywał się w piwo.

— Opowiedziałem ci już, że w okresie pojawienia się *O bo haterach i grobach* przeciął mi drogę i zacząłem go śledzić. Wreszcie, po licznych daremnych usiłowaniach otrzymałem wynik.

Spoglądając na przyjaciela, dorzucił:

— Przerazający wynik.

— Któregoś dnia umówiliśmy się na spotkanie — podjął po chwili. — Kiedyśmy się rozstali, poszedłem za nim. Wszedł do kawiarni na placu Konstytucji. Dobrych kilka godzin czekałem na niego na placu. Ściemniało się już, kiedy wyszedł. Wsiadł do metra, a ja do następnego wagonu, tak że mogłem śledzić jego poruszenia. Na stacji Obelisk przesiadł się do metra Palermo, ja za nim. Z jego zachowania odniosłem wrażenie, jakby oczekiwał czegoś w samym metrze. Przemknęło mi przez myśl, że dzięki swej władzy może wiedzieć, że jestem w pobliżu, i obawiałem się, iż mógłby mnie zaskoczyć. No cóż, gdyby tak było, powie działbym, że to przypadek. A gdyby nie uwierzył (również dzięki swej władzy), co miałem do stracenia? Widziałby przynajmniej, że mam się na baczności i że zgoła niełatwą byłbym zdoła być; prawdopodobnie nawet podniósłbym się w jego ocenie o kilka punktów. Rozmyślając tak spostrzegłem zbliżającego się do naszego pociągu ślepcę z fiszbinkami. Postarzał się, peź wygląd miał równie grubiański i złośliwy jak w czasach, kiedy Vidal Ohnos zwrócił uwagę na jego osobę. Przeraziłem się na wspomnienie Fernanda w tym samym metrze i w takim samym pościegu (ale kto kogo?) i momentalnie przeczułem, co się stanie: ślepiec nie minął Schneidera jak byle kogo, jego węch i słuch, i może jakiś tajemny znak znany tylko im, kazał mu zatrzymać się i sprzedać mu fiszbinM. Schneider je kupił, a ja na nowo przerażony przypomniałem sobie, że Schneider stale nosił wymięte kołnierzyki. Potem ślepy poszedł swoją drogą, a gdy pociąg stanął, Schneider wysiadł, a ja za nim. Ale w tłoku zgubiłem jego ślad.

S. zamilkł i pogrążył się w rozmyślanu, jak gdyby zapo- 220

niał o obecności Bruna. Nie wiedząc, co robić, Bruno spytał go, czy nie wolałby raczej wyjść z kawiarni lub poszukać innej mniej hałaśliwej. Że jak? Może nie słyszał albo niedobrze zrozumiał.

— Powiedziałem, że tu jest za wielki hałas.

— Ach, tak. Okropny hałas. Co dzień mi jest trudniej znosić hałas Buenos Aires.

Wstał, powiedział, że idzie telefonować. Bruno zauważył, że zdążając do telefonu rozglądał się na boki. Wróciwszy powiedział do Bruna:

— Tłumaczyłem ci, że po wydaniu *O bohaterach i grobach* rzecz zaczęła się komplikować. Czy mówiłem ci o tym?

Tak jest, mówił.

— A gdy zbliżyli się do mnie ci biedacy, pamiętasz, ten seans w piwnicy? Wydawało się, że się otwiera jakaś droga... Pewnie, tego rodzaju siły nie dają się tak łatwo zniszczyć. I bodaj że ci mówiłem, na co mi zwrócili uwagę: że walka rozstrzygnie się na moją korzyść, jak tylko ja zechcę pokonać je raz na zawsze. Przynajmniej im to i w tej chwili omal nie zemdlałem. Nazajutrz obudził się we mnie optymizm. Teraz rozumiem, że był przedwczesny, że świadczył o mojej naiwności. W rozpacz człowieka staje się naiwny i wierzy w takich ludzi: autochtoni uzbójcy w pałki w obronie przed bombardowaniem atomowym. Ale tak czy inaczej obudzili we mnie pragnienie walki i nadzieję. M. wyznała mi teraz — przedtem nie miała odwagi — że widziała we śnie u swoich stóp miniaturowe patio, na którym poruszały się, niczym na dziedzińcu więziennym, gwałtowne, lecz bezsilne karły: gestykulowały i jakby krzyczały, ale ich krzyk był niedo słyszalny jak w niemym filmie: spoglądały w górę nerwowo, może z wściekłością, jak gdyby żądały pomocy. Powiedziała mi: to są osoby z twojej powieści, jeżeli ich nie uwolnisz, doprowadzą mnie do szaleństwa.

Spojrzałem na nią bez słowa.

— Na Boga — jęła mnie błagać. Poruszyło mnie jej spojrzenie pełne zgrozy i rozpacz.

— Jeżeli nie będziesz pisał, zwariuję przez nich. Oni wrócą. Wiem.

Zamykałem się więc w swoim pokoju, siadałem przy stole, czasem wyjmowałem papiery, setki stronice, pełnych sprzeczności i absurdalnych. -Z prawdziwie fizycznym wysiłkiem kładłem je przed sobą i godzinami martwo się w nie wpatrywałem. Gdy z jakiegoś powodu (pod jakimś pretekstem) M. wchodziła do pokoju, przerzucałem tę stertę albo udawałem, że coś poprawiam długopisem. Potem, kiedy wychodziła, czułem jej oczy we 221

mnie wlepione. Nie potrafiłem jej oszukać, zgnębiony szedłem do ogrodu.

Tak było, zwłaszcza zanim poznałem tych ludzi. Później, jak rzekłem, żywiłem jakąś nadzieję (jakże znaczące jest to słowo). Podtrzymywałem, chronilem płomyczek od wiatru, starałem się, aby ogień wreszcie wybuchnął i począł się szerzyć.

Seans w piwnicy poruszył mnie, szczególnie kiedy jasnowłosa dziewczyna zagrała utwór Schumanna. Ale nazajutrz zastanawiałem się nad dysproporcją między tymi szlachetnymi ludźmi a wielkością wchodzącego w grę mocarstwa. Próbowałem nie przywiązywać wagi do tego zdarzenia w piwnicy: ów utwór grywają przecież trochę zaawansowani uczniowie. Czyż nie jest możliwe, że i ona go znała i że grała pod telepatyczną presją mojego życzenia?

Nie należało przesadzać. To nie miało wielkiego znaczenia. Nie, nie uważałem ich za oszustów, to byli prawdziwie dobrzy ludzie.

Pytałem siebie jednak, czy ich staranie było absolutnie bezowocne. Zauważyłem w sobie pewne korzystne zmiany, jak u ciężko chorego, który zaczyna mieć apetyt i chciałby zrobić kilka kroków.

Walka toczy się nieprzerwanie, poza koszarami, z posuwaniem się naprzód i cofaniem się. Trzeba się zмагаć bez ustanku, nie popuścić ani na chwilę, nie zaufać zdobyciu jakiegось wzgórza lub cofnięciu się nieprzyjaciela, co może być zwykłym podstępem. Ja prowadzę latami tę walkę, pełną dziwnych utarczek. Na przykład ta z posągiem.

Chłopcy z sąsiedztwa oglądali go ze strachem (zauważyłem zaraz potem), stał pośród gałęzi, na tle pakny, niemalże pod nią ukryty. Tak jest, od chwili kiedy stwierdziłem, że chłopcy z sąsiedztwa, a przede wszystkim don Diaz spoglądali na posąg z przejęciem, zacząłem rozumieć, że jest w nim coś niesamowitego. Któregoś dnia mówiłem o tym z Mariuszem.

— Ależ tatusiu — odrzekł mi, jakby rozmawiał z kimś nierozgarniętym — czy nie wiesz, że żaden aktor nie pracuje w scenarii, gdzie stoją posągi z gipsu?

— Dlaczego?

— Bo ja wiem. Ale to jasne.

Tej nocy nie mogłem spać i nagle wszystko stało się dla mnie oczywiste. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Rano powiedziałem to M.

— Czy nigdy ci nie wpadło do głowy, że pojawienie się posągu na ścieżce, owego ranka, to trochę dziwne? Po co zostać ogromny gipsowy posąg kobiety naturalnej wielkości na

ścieżce do mojego domu? Skąd przybył? To jest dzieło rzeźbiarza, nie fabrykanta kopii dla ogrodów: dzieło współczesnego rzeźbiarza. Kto mógłby posiadać taką rzecz w Santos Lugares, dzielnicy robotniczej, gdzie człowiek co najwyżej może ozdobić swój dom figurką kupioną na bazarze? Zresztą, dlaczego mieli go postawić na naszym chodniku? I to w nocy. To ci nic nie mówi?

Zamyśliła się, zawsze bowiem zwalczała moje obłądne myśli.

— Przypomnij sobie. Latami pragnąłem mieć u siebie w ogrodzie jakąś kopię posągu greckiego bądź rzymskiego, z tych, co stoją w parkach. Przypomnij sobie, że na wszystkie sposoby starałem się nabyć jeden z tych, które stary w parku Lezama albo w domu z powieści: w domu Liniersa i H. Irigoyena. Wielu naszych znajomych o tym wiedziało. Niejeden mnie zapewniał, że stara się kupić go dla mnie. Nawet Prebisch, kiedy był intendentem.

— Tak.

— Jeszcze coś. Co pomyśleliśmy ujrawszy koło domu posąg?

— Że to dowcip. Przyjacielski dowcip któregoś z nich. Zo stawił w nocy posąg, abyśmy z rana mieli niespodziankę.

— Słusznie. Ale jednego szczegółu nie zauważyłaś.

— Jakiego?

— Ten przyjaciel nie ujawnił się. Dlaczego pozostał anonimem? Czy to było coś hańbiącego? Jeżeli zostawili posąg, aby mi sprawić przyjemność, dlaczego milczą? Przeciwnie, mijały miesiące i z wolna wszystko robiło się coraz bardziej fatalne, coraz było gorzej i posąg w tym zakątku wydawał się z dnia na dzień coraz bardziej pechowy. Don Diaz pytał mnie kilkakrotnie, po co ja to trzymam w ogródku.

— Tak.

— Teraz spróbujmy rozumować na odwrót. Przypuśćmy, że ktoś chciał mi zaszkodzić tym przedmiotem, który miał być wniesiony do domu. Ktoś, kto wiedział, że chcę mieć posąg. Bardzo proste: w nocy zostawia posąg na chodniku, tragarz pechowej figury wie, że wstaję bardzo wcześnie i wychodzę do ogrodu, wyobraża sobie, że zobaczę na chodniku posąg i natychmiast wniosę go do domu etc. Czy tak może być?

Patrzyła na mnie milcząc. Zażądałem odpowiedzi.

— Tak, naturalnie — zgodziła się.

Resztę nocy spędziłem bezsennie w zdenerwowaniu, widziałem przed sobą wyraźnie złośliwą twarz kobiety o nieobecnych spojrzeniu jak u ślepej.

O świcie wstałem i pobiegłem do ogrodu. Oto jest, stoi wśród 223

1

zieleni i wpatruje się we mnie całym swym złowieszczym obliczem.

Najpierw chciałem wynieść ją sam, ale była zbyt ciężka. Z niepokojem czekałem pojawienia się Don Diaza na ścieżce, jak każdego ranka, wówczas poprosiłem go, aby mi pomógł. Wynieśliśmy posąg na ulicę, don Diaz poszedł do domu po sznur, przewiązał go odpowiednio, aby mógł go nieść na plecach, i powiedział, abym go zostawił samego, że on go dokądś zanieśie.

m

Dokąd? Nie chciałem wiedzieć. I, co dziwne, Diaz nigdy mi tego nie powiedział.

Sabato zamilknął i patrzył na Bruna, jakby go pytał o zdanie.

— To bardzo dziwne, istotnie — zauważył Bruno wytrzyśnięty przez chwilę jego spojrzenie.

— Prawda?

m

Pogąrzył się w myślach. Castel i zemsta Sekty. O ile go rozumiał, Fernando był przerażony i postanowił schronić się za oceany. Lecz i w tej skomplikowanej podróży nie uniknął spotkania z przeznaczeniem. Ciekawe, że chwilami to przewiduje, a mimo to nie zaprzestaje ucieczki.

On także chciałby uciec od przeznaczenia, lecz owa ciemna moc każe mu wgłębiać się coraz bardziej w to, od czego pragnie uciec. Tak, nieraz zamyślał rzucić to wszystko, zapuścić brodę, założyć mały warsztat mechaniczny w nieznanej dzielnicy.

Im bardziej czuł się osaczony, z tym większą melancholią pieścił tę niedorzeczną możliwość. Tak, to jest odpowiednie słowo: pieścił. Teraz przeczuwa, że te stronicę były punktem szczytowym wszystkiego. Jakkolwiek nie wie, czego były punktem szczytowym, ale jest pewny, że w grę wchodziła zemsta.

A mimo wszystko życie go interesuje! Chciałby o tylu rzeczach pisać.

Do pewnego stopnia mógłby to czynić, gdyby chodziło tylko o myśli. Moce nie lękają się myśli. Bogowie nie czują się nimi dotknięci. Sny, ciemne wyobrażenia, oto czego się lękają.

— I teraz ten doktor Schnilzler — powiedział z nagłą.

— Jak to? Czy on nie nazywa się Schneider?

— Nie, mówię o kimś innym. Jakiś profesor, dziwny stwór, zanadto dziwny. Pisuje do mnie listy.

— Listy?

— Tak jest, listy.

— Z pogrożkami?

— Nie, nic podobnego. On jest profesorem. Zaczął do mnie pisywać w związku z pewnymi moimi myślami o seksie.

Wyjął z kieszeni list.

— Spójrz, to jest jego ostatni list.

„Na fortepianie, drogi doktorze, tony niskie (ciemne) znajdują się po lewej. Wysokie, czyli jasne, po prawej. Prawa ręka gra część rozsądną, »zrozumiałą« melodię. Zauważ pan, jak u kompozytorów romantycznych prawa ręka zaczyna nabierać wagi, he?

Pierwotnie pisało się od góry do dołu, jak Chińczycy, albo z prawej ku lewej, jak Semici. I oto słowa gnothi seauton, w świątyni Słońca, biegną z lewej ku prawej. Zauważ pan, doktorze Sabato: pierwsza forma skłaniała się ku ziemi; druga, seniicka, ku nieświadomości bądź przyszłości; wreszcie ta ostatnia, nasza, kieruje się ku budzeniu świadomości.

Herakles, na rozstaju, wybiera drogę w prawo. Sprawiedliwi zmarli obierają według Platona drogę na prawo albo wwyż; niesprawiedliwi w dół i na lewo. Pomyśl, drogi doktorze, zastanów się. Jest jeszcze czas, uwierz pewnej osobie" itd.

— Nie rozumiem, dlaczego cię to alarmuje...

— Mam bolesne doświadczenie: coś w tych listach jest, ta uporczywa chęć widzenia się ze mną, coś, co jest związane ze światem nauki, a więc jasności, zresztą... Kwestia węchu, wiesz? Jego listy są coraz bardziej zdecydowane, tchną czymś jeszcze, poza formalną uprzejmością. Właśnie — spojrzał na zegarek — postanowiłem odwiedzić go około szóstej. Muszę już iść. Do zobaczenia wkrótce.

DRSCHNTTZLER Kfc(* dzwonek zadzwonił,

poczuł najpierw, że przez wizer badającego go czyjeś oko, wydawało mu się, że zbyt długo. Potem drzwi się uchylily i zobaczył głowę jakby otrzymaną z krzyżówki ptaka z myszą.

Oстрыm, niespokojnym głosikiem objawił radość, również • na sposób ptasi. Był chudy, zzarty przez lata spędzone wśród książek. Mysie oczki lśniły za szklami okrągłych okularów w stalowej oprawie, na nowo wprowadzonych w modę przez hipisów, lecz on kupił je na pewno przed pięćdziesięciu laty w Niancach i zachował z tą samą pieczołowitością, co książki w bibliotece ustawione rzędem jak niemieckie wojsko, czyste, zdezynfekowane i ponumerowane.

Tak, właśnie tak: poruszał się ze skoczną szybkością ptaka chodzącego po ziemi, w nerwowych, raptownych podskokach: rodzaj staccato z jakiejś groteskowej partytury Haydna. Pokazywał mu książki, otwierał dokładnie na zamierzonej stronie 225

i z powrotem ustawiał z największą dbałością, gdzie należało. S. pomyślał: gdyby z polecenia jakiejś czcigodnej siły (powiedzmy rządu niemieckiego) ten osobnik musiał pożyczyć komuś jedną z owych książek, cierpiałby podobnie, jak cierpi matka, której syn ma iść na wojnę wietnamską. Ukradkiem robił przegląd gabinetu, podczas gdy tamten pokazywał mu pewien cytat. Wtedy uchyliły się drzwi i w ściśle odmierzonej a nieodzownej szparze ukazała się taca z dwiema filiżankami kawy, podparta zniszczonymi rękami niewidocznej kobiety. Dr Schnitzler odebrał tacę bez komentarzy.

Gdzie widział tę ptasią twarz o mysich oczach?

Wygląda znajomo, hę? Uśmiechając się mefistofelicznie pokazał w bibliotece portret Hessa z dedykacją.

No, tak, ta sama twarz ascetycznego zbrodniarza, zatrzymanego na progu zabójstwa przez filozofię, literaturę i bodajże przez pewną niezwykłą, jakkolwiek ukrytą profesorską dostojałość.

Dlaczego przedtem tego nie zauważył? Na pewno dlatego, że Sosias* wciąż się uśmiechał: przyjemny braciszek ponurego mordercy.

Pisywaliśmy do siebie. Jaka szkoda, jaka szkoda, że nie można tu dostać Beterodoksji. Ale on zrobił w bibliotece odbitkę kserograficzną tego, co mu było potrzebne. Sabato oznajmił mu, że się zgodził w końcu na drugie wydanie i ostrożnie zapytał, czy to możliwe, że go ta książka do tego stopnia interesowała. Podskakując dr Schnitzler otworzył schludne archiwum i wyjął zdezynfekowaną teczkę.

— Proszę. Zawsze mnie interesowało pańskie stanowisko, doktorze.

Niemcy, pomyślał z podziwem. Jeśli Niemiec dowie się, że ktoś był doktorem, choćby tylko w jakimś poprzednim wcieleniu, nic go nie zmusi (chyba tylko rząd, oczywiście) do pominięcia tego tytułu. Ironicznie usiłował go przekonać, że to należy do jego protohistorii, do etapu żaby, tamten jednak zaprzeczał szybkim negującym ruchem wskazującego palca, niczym metronomu odmierzającego allegro vivace.

— Tak jest, jak rzekłem, zawsze mnie interesowała pańska ewolucja. Ciekawa, doktorze, bardzo ciekawa!

Studiuje mnie z chytrym uśmiechem ptaka, który mógłby należeć do masonerii, powiedział sobie Sabato. Wyraz jego twa-

* Sosias — postać z komedii Plauta, a także Moliera, która stała się przysłowiowa i oznacza osobę będącą żywym portretem innej osoby, (przyj. tłum.)

rzy oznaczał: „mnie nie oszukasz”, i Sabato pytał się z rosnącym zaniepokojeniem, o jakie oszustwo mu chodzi.

A jeszcze ciekawsza była lektura *Bohaterów i grobów*.

Oczekiwał jego komentarza: Po co? Dlaczego?

Sekundę siedzieli w absolutnym, milczeniu, ta sekunda wydała się S. niepokojąca. Nagle wyczuł, co ten człowiek myśli, ale strzegł się, aby mu o tym nie powiedzieć. Przeciwnie, czekał na jego komentarz, jak gdyby z całą naiwnością pytał się, co Schnitzlerowi mogło wydawać się tak „bardzo ciekawe”.

Usłyszał słowa wypowiedziane z oschłą precyzją. A mimo że ich oczekiwał, przejęły go dreszczem.

— Ślepi, doktorze.

Powiedział to patrząc mu w oczy.

Po co u diabła, zgodził się na to spotkanie? I w dodatku w jego własnym mieszkaniu. Wniosek: bo się go bał, z powodu czegoś, co leciutko emanowało z jego listów. Co zamierzał, napierając się rozmowy? W każdym razie lepiej było stawić czoło niebezpieczeństwu, wysondować niewidzialne rafy, pomierzyć je, zrobić kartografię. Zawrotne było to dociekanie, podczas którego tamten nie odrywał swoich mysich oczek od jego oczu. Nagle olśniła go myśl o kobiecie z tacą. Dlaczego się nie pokazała?

— Ale pan jest żonaty, doktorze Schnitzler, nieprawdaż?

Przez długi czas po tej pierwszej rozmowie pytał siebie, co chciał wyrazić tym „ale”.

Profesor spoważniał. Wydawał się obliczać pozycję nieprzyjaciela. Potwierdził szeptem, kontrolując reakcję gościa.

Na pewno to „ale” kazało mu się mieć na baczności, bowiem żaden z nich obydwóch nie powiedział nic takiego, co by je usprawiedliwiało. To mu wyjawilo (pomyślał Sabato), że mój umysł pracuje na dwóch planach: na powierzchniowym planie rozmowy i na drugim, głębszym i tajemnym. I jak wrażliwy koń w stajni staje dęba, kiedy wyczuwa obecność czegoś obcego, niewidzialnego, tak Schnitzler przeraził się do tego stopnia, że nie mógł zachować wiecznego uśmiechu, którym przykrywał swoje intencje.

— Tak jestem żonaty — szepnął, jakby chciał się usprawiedliwić.

I natychmiast przywołał na twarz uśmiech, poszukując tymczasem w bibliotece książki pewnego profesora z Oksfordu.

Oto jest: problem prawej ręki, to i owo. Sabato potakiwał machinalnie, ale jego mózg pracował w pośpiechu: mieszkanie jest miniaturowe, może tu mieszkać tylko mąż z żoną, pewne cytaty ujawniły, że nienawidzi kobiet albo że w najlepszym wypadku nimi gardzi z szatańską ironią. Nie potrafił wszakże 227

wytłumaczyć sobie, dlaczego zaalarmował go podziw Schnitzlera, przecież już w kilku książkach aprobował myśli Sabata zawarte w *ludziach i trybach* o abstrakcyjnej cywilizacji, jakkolwiek dochodził do krańcowości, której on nie podzięki. Tak czy inaczej instynkt ostrzegał go, że ma przed sobą raczej nieprzyjaciela niż sprzymierzeńca.

— Pan to powiedziałeś, doktorze — powtórzył jowialnie — proszę o tym nie zapominać.

Stojąc pokazywał wskazującym palcem na swoją ptasią głowę, niczym nauczyciel języków, który wskazuje na części swojego ciała wymawiając przy tym odpowiednie słowa:

— Głowa, hę. Cywilizacja racjonalistyczna i męska.

Prawa ręka.

Porządek abstrakcyjny, normy

Prawo (znaczące słowo, drogi doktorze Sabato!) ■

Obiektywizm

I tak dalej, i tak dalej. ■

W ferworze zapomniał chyba o kawie. Ferwor? Zapomnienie?

Wypił trochę zimnej kawy i trzymając w ręce jakiś traktat . niemiecki wyliczał, co przez tę męską cywilizację zostało stłumione: wszystko, co witalne, nieświadome, alogiczne, paralogiczne, perylogiczne, subiektywne.

Po czym łyknął jeszcze odrobinę kawy, a ponad filiżanką błyszczały wpatrzony w S. oczka nerwowej i jak widać rozbawionej myszy.

Sabato rozmyślał intensywnie. Dlaczego się niepokoi? Czyż Schnitzler nie powtarza tego, co on sam napisał w dwóch swoich książkach? To wygląda na filozoficzny żart, a mimo to jego lęk narasta.

Uśmiechnięty brat Hessa, może dzięki swojemu kłującemu śmieszkowi bardziej od tamtego niesamowity, chwycił go teraz ruchem krawca za połą marynarki i spytał, jak ucznia na egzaminie : która strona jest prawa? Ta lepsza, nieprawdaż? Tamta musi się ukrywać.

Z jawnym zadowoleniem wylicza ujemne cechy: lewica ma coś wspólnego z nieszczęściem, z perwersją, z tym, co złowróbne i niesprawiedliwe. Wszystko żeńskie. Przysięga się prawą ręką, rogi przypina się lewą.

— Rogi? — spytał Sabato chcąc zyskać na czasie.

— Oczywiście, oczywiście. Natomiast chrześcijaństwo jest religią słoneczną i męską, i we wszystkim, co lewe, widzi coś diabelskiego. Wywnioskował, że albo ten człowiek chce go uratować,
albo 228

jest agentem sekty i szuka sposobu powstrzymania go od dalszych dociekań.' Nieoczekiwanie, nawet dla samego siebie, S. zapytał, czy ta osoba z kawą jest żoną Schnitzlera. Zaledwie wymknęło mu się pytanie, przeraził się swojego kroku. Ale już było za późno. Miał wrażenie, że zauważył prawie niedostrzeżalne zeszytywanie twarzy tego człowieka, lecz w ciągu sekundy przybrał on z powrotem swój stereotypowy uśmiech.

— Tak jest — odparł dostrajając głos do uśmiešku, jakby chodziło o trochę śmieszny sekret. — Ale jest bardzo nieśmiała.

Kłamie, pomyślał Sabato.

— Biedne kobiety! — zawołał profesor uchylając się od wszelkich osobistych uwag.

Roześmiał się, widać było, że czuje autentyczną odrazę.

Rectus, regula, corrigere, recht, right, orthodoxia, hi, hi, hi!
A jak się panu podoba na przykład wyrażenie *recta dicit, mores sinistrei*

Odchyliły się drzwi i znowu ukazała się taca z filiżankami kawy.

Był oszołomiony. Wypił kawę, jak mógł najszybciej, wymówił się spóźnieniem i umknął. Schnitzler pożegnał go w windzie. Jego myślenie oczy wskazywały na ogromną uciechę.

Dlaczego? Dlaczego? — pytał się już na ulicy..

Wpadł do mieszkania Beby.

— Daj mi whisky — powiedział wchodząc.

Beba obrzuciła go inkwizytorskim spojrzeniem.

— Co ci jest?

— Nic. Mam ochotę na whisky. Jestem okropnie zmęczony.

— Myślałam, że to Koko.

— Dlaczego?

— Ma przyjść.

Sabato podniósł się i chciał odejść.

— Nie bądź śmieszny. Połóż się na kanapie, tutaj w głębi, jeżeli jesteś zmęczony. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Przyjdzie z profesorem Gandulfo. Właśnie byłaby mi potrzebna twoja opinia.

— Gandulfo?

— Koko go wynalazł.

— Tego już nadto, wypiję whisky i pójdę sobie.

— Mówię ci, że możesz się położyć tu, z tyłu. Nie musisz z Kokiem rozmawiać. Bardzo chcę, abyś mi powiedział, co o nim myślisz.

Sabato poddał się.

— A ja bym chciał wiedzieć, czy słyszałaś kiedyś o niej kim Schnitzlerze.

— Nie, poza tym że przeczytałam kilka jego opowiadań. Nikt mi go nie przedstawił.

— Nie żartuj, Beba. Nie mówię o tym Schnitzlerze. Mówię o jednym Niemcu, który mieszka w Buenos Aires.

Nie, Beba nie miała najmniejszego pojęcia. A Schneider, nigdy o nim nie wspominał? Ależ człowieku, od lat nie widziałam tego internacjonalnego szalawily. Sabato spojrział na nią ze znużoną ironią: „internacjonalny szalawila”. Co, co powiadasz? Nic, nic. A Bobas Costa?

— Co?

— Co robi, gdzie się podziewa?

— Bo ja wiem. Jest w swojej willi w Maschwitz, od kiedy mógł wrócić...

Od kiedy mógł wrócić? No tak, tumanie: od kiedy mąż tej grubej Villanueva darował mu życie. O ile, rzecz jasna, nie rozbił przez ten czas jeszcze jednego małżeństwa i nie wyjechał do Londynu albo do Caracas.

— Zatem willa w Maschwitz — mruknął do siebie Sabato, zamyślony.

— Co mówisz?

— Nic.

I oto nadszedł Koko z jakimś żwawym półtorametrym człowieczkiem o rumianej i zdrowej twarzy dobrze odżywionego dziecka, w złotych okularach. Pewnego rodzaju aniołek, trochę obrośnięty, ale poczciwy. Z tych, co to zawsze gotowi są pomóc.

WYKŁAD DOKTORA — Słuchamy pana,
ALBERTO S. GANDULFO profesorze — zachęcał
Koko. — *Nous sommes
tout preil-les**.

S. w złym humorze usunął się na drugi koniec pokoju. — W najdawniejszych czasach ludzkość żyła w sferze niebiańskiej. Stanowiła ogromną rodzinę skupioną wokół Boga Ojca. Istoty te były bezcielesne, to była wspólnota aniołów. Kierowała nimi hierarchia duchowa zwana Szatanem, hierarchia o ogromnej władzy. Takiej, jaką może posiadać generał w czasie wojny. Żądza władzy wszakże gubi każdą istotę, niezależnie od jej natury. Nawet natura duchowa nie chroni przed tą żądzą. Otóż żądza władzy zamaćla świadomość Szatana, który począł uważać się za wszechmocnego jak Bóg Ojciec, choć w rzeczywistości brak mu było zdolności twórczej. Począł więc działać pod-

* Nous sommes... (fr.) — Zamieniamy się w słuch.

stepnie i chcąc zbuntować podległą mu organizację, przyrzekał stanowiska i władzę.

— Niczym wojskowy żądny władzy w jakimś kraju, prawda profesorze?

— Otóż to. Muszę powiedzieć, że nie wszystkie anioły podlegały Szatanowi. Ale te, co mu podlegały, były najbardziej żądne władzy, czyli najmniej czyste duchowo.

— Przepraszam, profesorze. Przypuszczam, że Bóg Ojciec nie mógł nie wiedzieć o spisku. Z powodu swojej wszechwiedzy.

— Oczywiście. Wiedział o nim, śledził go. Ale nie tylko że mu nie przeszkodził, pozwolił tej idei zakorzenić się i fermentować. Wolność myśli i czynu, ustanowiona przez Boga Ojca, jest równie święta jak sam Stwórca. Bóg nie chciał ujarzmić naszego umysłu i naszej chęci władzy, bo to by było pozbawienie nam swobody w rozwoju świadomości, która z kolei stanowi o naszym postępie w sensie duchowym. Znał zatem plan buntowników, ale ubiegł wypadki i podzielił nieskończoność na niebo i ziemię.

— *Tiensi!* W jakim celu, szanowny profesorze?

— Powoli. Niebiosy zostały podzielone na regiony w celu ulokowania w nich rozmaitych rodzin, według ich duchowej jakości. Ziemia została przeznaczona dla istot egoistycznych. Przy realizowaniu tej idei Stwórca posługiwał się swoimi hierarchiami. Wśród nich samym Szatanem, czyli Jehową.

— Jehową?

— Tak. Pod tym imieniem stał się później sławny, dzięki Pismom. Ci hierarchowie byli jakby prawdziwymi bogami, zwłaszcza hebrajski Elohim po hiszpańsku mylnie przetłumaczony na Dios w liczbie pojedynczej.

— Małeńkie wyjaśnienie — poprosiła Beba.

— Chętnie służę.

— Powiedział pan, że Szatan i Jehowa to jedno i to samo.

— Niewątpliwie. Muszę powiedzieć, że trzeba koniecznie odsłonić fundamentalną tajemnicę. Stary Testament nie jest słowem bożym, jak utrzymują niemal wszystkie religie, łącznie z katolicką. Jest w tym tylko część prawdy, ta, która się odnosi do etapów stworzenia świata. Reszta jest dziełem Szatana, który nią obarczył semickich patriarchów, swoich podwładnych. Oni to pod pozorem Najwyższego Stwórcy stali się rzecznikami jego myśli i czynów.

— *Un deguise!* Sataniczne. Druzgocące!

— I pan również jest tego zdania. Zuchwałość charakterystyczna dla tej potężnej a niewidzialnej istoty. Udawać Prawdziwego Boga, a Boga pokazać jako istotę szatańską.

Mówił głosem trochę krzykliwym, tonem dydaktycznym jak nauczyciel w szkole, który, miał wytłumaczyć mechanizm dziełenia, ujawnia jakąś straszliwą intrygę. Z takim spokojem i bezstronnością dowodził, że Diabeł rządzi światem, jakby w oświełonej i czystej klasie objaśniał twierdzenie Pitagorasa uczniom czekającym z niecierpliwością na dzwonek.

— Szatan mógł prowadzić tę grę od chwili, kiedy został wyłędzony z regionu niebiańskiego i stał się Bogiem Ziemi. Rządzi nią przy pomocy naszych namiętności, naszego egoizmu i naszej niewiedzy. A teraz zobaczycie, państwo, co się stało z hodowlą bydła.

— Z czym, doktorze? — zdziwiła się Beba.

— Z hodowlą bydła. Abel był aniołem stróżem hodowli by-

dła, a Kain rolnictwa. Jehowa, to znaczy Szatan, namówił Kaina ; do bratobójstwa. Zapytacie, państwo, w jakim celu.

— Rzeczywiście, profesorze.

— Bardzo proste. Po zniesieniu ochrony bydła stało się ono łatwą ofiarą rzezi na użytek człowieka. I tak zniesiono odżywianie roślinne ustanowione przez Boga Ojca zastępując je produktami rzezi.

— Ciekawe. Tym sposobem Kain stał się protorzeźnikiem. Bez niego nie istniałby interes mięsny — zauważył Koko.

— Naturalnie. Ta zmiana miała na celu zniweczyć Boski Plan, ponieważ dieta wegetariańska zachowuje zdrowie, a po nadto sprzyja uduchowieniu ludzkości. Odżywianie się zwierzętami powoduje choroby, skraca życie, działa osłabiająco na zmysły, stępią świadomość, podsyca namiętności, wzmacnia egoizm. Takie odżywianie jest zresztą niemoralne, jako że wszystko, co godzi w życie jakiegokolwiek istoty, jest niemoralnością, jest zbrodnią. Do tego dochodzi się jedząc mięso i to utrzymuje ludzkość w zupełnej ciemności i nie pozwala jej dostrzegać prawdy i podnosić się duchowo.

— Interesująca teoria, profesorze.

— To nie jest teoria, to jest dowiedziony fakt. Jeszcze coś: Noe i potop. Zauważcie, że wszystko potwierdza to, co powie działem. Ponieważ Szatan nie był zdolny stworzyć istot ludzkich bądź zwierzęcych, wybrał Noego, jego potomków i pewną ilość zwierząt wszystkich gatunków do reprodukcji. Jakże naiwni są ludzie przypisując tak potworną, zbrodniczą i ordynarną robotę Bogu Ojcu! Oczywiście, Szatan bynajmniej nie był zainteresowany w ocaleniu gatunków roślin. Jednakże Ziemia, od czasu Stworzenia wysycona nasionami, postarała się mocą swej istoty duchowej, aby królestwo roślinne znów się pojawiło.

— Dobry kawał zrobiła Szatanowi.

— Słusznie. To dowodzi, nawiasem mówiąc, że Szatan ma skłonność do popełniania błędów. Ale wracając do tego, co mówiłem, zarówno zatonięcie Atlantydy, jak zburzenie Sodom i Gomory, jak zabójstwo Abla, jak wszystko zło, rozsiane po tem na powierzchni ziemi, jest dziełem Szatana. Ojciec Niebieski, który jest esencją dobroci, nigdy nie był i nie może być istotą krwiożerczą i okrutną, nie mógł więc tak bezlitośnie zniszczyć tego, co z taką miłością stworzył. Ludzie uczeni i prostacy, którzy przypisują Bogu te okropne rzeczy, padli ofiarą oszustwa ze strony Szatana.

Miał coś z groteskowej kukły, sprawiał wrażenie marionetki, którą ktoś z góry manipuluje (Ale kto i skąd?). Lub niczym lalka brzuchomówcy wydaje się powtarzać to, co mówi tamten 0 nieruchomej obojętnej twarzy. Było w nim coś sztucznego Inierrealnego. A mimo to się czuło, że jego orędzie było szczere, jakkolwiek niejasne, groźne, jakkolwiek zabawne.

— Bardzo interesujące, panie profesorze. Ale, skąd wiemy, że to Szatan, a nie Bóg Ojciec jest sprawcą tych zbrodniczych czynów? Czy ten cały bałagan nie da się wytłumaczyć krwiożerczością Ojca? — spytała Beba.

— Nie, ponieważ Bóg Ojciec jest doskonały, a doskonałość pociąga za sobą dobro. Jest wszakże jeszcze jeden niezbity do wód: asyryjska wersja relacji o potopie. Zgadza się w każdym punkcie z wersją żydowską, ale wskazuje, że Ziemią rządzi duch zła.

— To znaczy, że Żydzi kłamią już od czasu potopu. Już wte dy zaczęli z tą zakłamaną prasą. Druzgocące! — zauważył Koko.

— Niewątpliwie, sefior. Po potopie Noe i ci, którzy wraz z nim ocaleli, posłużyli do pomnażania gatunku. Nieunikniona była wspólnota krwi, można więc sobie wyobrazić, że te podplemiona były nieporównywalne z tamtymi wspaniałymi Atlantami. Spośród tych niższych plemion Szatan wyodrębnił jedno, rozbu dził w nim egoizm i namiętności, by manewrować nim według swojej woli.

— Żydzi.

— Tak jest. Jednego z reprezentantów tego plemienia wybrał jako rzecznika ziemskiego. Jehowa rzekł do Abrahama: twój na ród uczynię wielkim, tym sposobem olśnię go i pozyskam jego zycliwość.

— Proszę mi tego nie brać za złe, profesorze, ale chciałbym wiedzieć, czy pan jest antysemitą.

— Bynajmniej, sefior. Powiedzmy na korzyść tego narodu, że został oszukany przez Diabła i że to oszustwo posłużyło do stworzenia więzi między Izraelem i Szatanem, przypieczętowanej

paktem obrzezania, liturgią i innymi nakazami Lucyfera, jak Pascha z okazji wydarzeń w Egipcie.

— Wydarzenia w Egipcie?

— Naturalnie, to były jawne szatańskie wydarzenia. Już przedtem widzieliśmy, że Diabeł popełnił okropności, jak potop, zatopienie Atlantydy, niszczenie całych miast ogniem. Nie mówiąc o kazirodztwach i o ohydnych zbrodniach sodomitów. To wszystko jest niczym w porównaniu z plagami, które zesłał na Egipt: żaby i wszy, grad i szarańcza, muchy i zaraza bydła. No i co powiecie? A teraz uważajcie, państwo, jak to było z Chrystusem. Chrystus był jednym z hierarchów duchowych u boku Boga Ojca. Środki, stosowane przez Szatana w celu ujarznienia narodu hebrajskiego, skłoniły Ojca Niebieskiego do wysłania na Ziemię Chrystusa wcielonego w Jezusie (stąd imię Jezus Chrystus), aby uwolnił¹, ów naród od tej straszliwej kurateli, przy czym dobrodziejstwa tego posłannictwa rozciągnęłyby się na resztę ludzkości. Aby dzięki Mesjaszowi obudzić świadomość, w przeciwnym wypadku trwalibyśmy w zupełnej ciemności i nie wiedzielibyśmy o panowaniu Szatana uważając je za boskie. Przejrzawszy ów manewr Szatan usiłował najpierw przekupić Syna Bożego ofiarując mu królestwo świata oraz sławę, jak już przedtem oszukańczo przekupił naród żydowski. Gdy jednak Chrystus odrzucił ze wzgardą jego dary, Szatan postanowił udaremnić posłannictwo Chrystusa w sposób haniebny. Nauka Chrystusa głęboko wstrząsnęła narodem żydowskim, a ta zła reakcja stanowiła poważne niebezpieczeństwo dla rządu Szatana. Wtedy to Bóg Ziemi podzielił opinię ludzi i sprawił, że Chrystusa oskarżono o herezję, zaś Judasz miał być tym, który go wyda. Nędznym metalem się posłużył, by przekupić sumienie tego ucznia; nędzny metal był kusicielem wszystkich czasów, nawet Kościół pozbawił cnót uzależniając obrzędy religijne od pieniądza. Wróćmy jednak do posłannictwa Chrystusa. W istocie jego głównym celem było obudzenie narodu żydowskiego, on to bowiem był najbardziej ujarzmiony przez wpływ Szatana, choć o tym nie wiedział. I trwa tak do dzisiaj. Dlatego Chrystus wcielił się w Żyda, ażeby działać jako Duch Rasy i wywołać upragnioną reakcję tego narodu przeciwko oszustwu.

, — Przepraszam, panie profesorze. Czy Ojciec Niebieski nie mógł przewidzieć, że posłannictwo zakończy się niepowodzeniem? Czyż nie wiedział, że naród żydowski będzie uparcie trwał w błędzie?

— Wiedział, pewnie że wiedział. Ale niepowodzenie było tylko częściowe, gdyż Prawda została przyjęta przez znaczną część wybranego narodu i przez całą ludzkość. Co zaś do reszty, 234

to naród hebrajski nadal wierzy w Jehowę, do dzisiaj kroczy tą samą drogą, pod wpływem Szatana.

Nie krzyczał, lecz S. nie potrafił zrozumieć, dlaczego mu się zdawało, że wrzeszczał. Był to raczej głos przenikliwy, niczym świder używany przez nocnego włamywacza do kasy pancерnej.

— Czy nie uważa pan profesor, że narodowi rzekomo wybranemu i protegowanemu przez Boga Ziemi dosyć ile się wie dzie. Obozy koncentracyjne itp.

— Otóż to: właśnie dlatego, że ten naród nie wypełniał wiernie obowiązków wobec swojej religii, to jest wobec paktu, Szatan postanowił go karać inkwizycjami, kaźnią, obozami koncentracyjnymi. Nieraz słyszeliście zapewne, że Hitler był wysłannikiem Szatana, Antychrystem. Ileż nieświadomionej prawdy kryje się w tym zapewnieniu!

— Przekonał nas pan, profesorze. Czy istnieją jeszcze inne dowody zniewolenia Żydów przez Szatana?

— Och, liczne. Przypomnę państwu ten ustęp, w którym Szaweł, nawrócony jako apostoł Paweł, głosi ewangelię pośród Żydów i pogan i powtarza słowa Chrystusa: „Izbyś otworzył oczy, izbyś się nawrócił od ciemności do światła, od władzy Szatana do władzy Boga”. A oto co powiedział Szatan Chrystusowi: „Dam ci to wszystko, jeżeli się ukorzysz i mnie wielbić będziesz”. Żydzi to czynią bezwiednie. Wielbią Szatana, wszak cała ich liturgia ma na celu prosić o bogactwa materialne i o odpuszczenie codziennych grzechów. Bóg Ojciec nie jest rozdawcą dóbr materialnych. Winni o tym pamiętać wierzący każdej religii, nie wyłączając katolickiej; kiedy prosimy o bogactwa i niegodziwości, naszych modłów słucha Szatan, to on obdarowuje tych, co są spowinowaceni ze złem, i tak stają się narzędziem jego przewrotnych knozań. Główne narzędzia władzy Szatana to: po pierwsze, wiedza medyczna...

— Wiedza medyczna?

— Tak jest, wiedza medyczna. Po drugie, kler. Po trzecie, katolicyzm. Po czwarte, judaizm.

— Proszę nam wytłumaczyć, panie profesorze, to o wiedzy medycznej.

— Z przyjemnością. Za pośrednictwem lekarzy Szatan wy rządził ludzkości największą szkodę. Ani wojny, ani zarazy, ani zbrodnie, ani trzęsienia ziemi zesłane przez Jehowę nie dorównują spustoszeniu, jakiego dokonała medycyna zalecając spożywanie mięsa. Przytępiła mianowicie indywidualną świadomość i pomnożyła choroby.

— Przepraszam, panie profesorze, ale dlaczego Szatan chce, abyśmy chorowali, jeżeli jesteśmy jego sprzymierzeńcami? Wojs-

ko złożone z rachitycznych i kulawych nie jest najlepszym wojskiem na świecie. J.

— Chwileczkę, sefior. Szatanowi absolutnie nie odpowiada, abyśmy byli zdrowi, ponieważ zdrowie fizyczne jest również zdrowiem duchowym. I ponieważ tylko będąc zdrowymi może my dostrzegać prawdę. Spożywając zwłoki naszych braci nie tylko że popełniamy pewnego rodzaju ludożerstwo, bo są to przecież nasi bracia, ale głupiejemy i stajemy się skłonniejsi do grzechu, jak o tym świadczy zepsucie seksualne, nieskończenie większe wśród zjadaczy mięsa. Ale wracając do zbrodni popełnianych na zwierzętach, mam bardzo ciekawe doświadczenia. Zwierzęta są jak dzieci, uczą się za pośrednictwem mowy ludzkiej i dyscypliny wychowawczej. Eksperymenty przeze mnie dokonane dały znakomite rezultaty, mogłem dowiedzieć, że wszystkie zwierzęta, bez wyjątku, poddane tej dyscyplinie górują nad innymi i utożsamiają się z człowiekiem. Do tej edukacji wystarcza tylko ludzka mowa, na którą odpowiadają w sposób godny podziwu. Psy, ptaki, koty, gołębie, kury utożsamiają się z tym, który je uczy.

— Jakiegoś języka specjalnie? — spytał Koko.

— Nie, każdego. Każdego języka. Byle mówić wyraźnie i z cierpliwością.

— Pytam się, bo niemiecki albo rosyjski są chyba trudniejsze od hiszpańskiego. Zwłaszcza dla kury, *disons*.

— Nic podobnego, senor. Powiadam panu, jest podziwu godne, jak potrafi reagować pies albo kura.

— Zatem nie ma problemów z deklinacjami w niemieckim i rosyjskim? Ciekaw jestem, nie dlatego, że bym podawał w wątpliwość pańskie cenne badania, ale że ja sam, kiedy matka mi kała uczyć się niemieckiego, miałem duże problemy z biernikiem i z celownikiem. A o rosyjskim, zgodnie z tym, co mi mówiono, *n'en parlons pas*.

— Żadnych problemów, sefior. Kwestia cierpliwości, trzeba pracować z uporem i zamięłowaniem. Kto posługuje się gwizdem, wykrzyknikami i dźwiękami gardłowymi, sądząc że zwierzę nie zrozumie, jak będzie mówił poprawnie, grubo się myli. Pomińmy, że mamy obowiązek wychowywać naszych niższych braci przy pomocy naszego najwznioślejszego narzędzia tj. mowy. Czy uczyłby pan swoje dzieci za pomocą wykrzykników i świstów?

— Nie.

— No, widzi pan. Tak samo z naszymi niższymi braćmi. Królestwo zwierząt stanowi niezgłębioną tajemnicę strzeżoną przez Stwórcę. A my czujemy, iż to królestwo jest tak święte, że 236

robić ofiarę z istot wchodzących w jego skład jest zbrodnią, niemoralnością, jest zamachem na naturalne prawo współżycia na ziemi i ewolucję. Co byśmy pomyśleli o potworze, który by zjadał niemdwlęta? Dodam, że mięso, jak już mówiłem, osłabia świadomość, podczas gdy warzywa ją uwrażliwiają.

— Jakie warzywa specjalnie, profesorze? Bo ja na przykład przepadam za sałatą.

— Sałata? Znakomicie, sefior. Ale wszystkie warzywa, bez wyjątku; sałata, naturalnie, a także szpinak, buraczki, marchewka. Wszystko jest dobre na uwrażliwienie naszej świadomości. Spójrzcie na zwierzęta roślinożerne, na konia, na krowę: są z natury łagodne.

— Byki także, profesorze? Bo przecież są walki byków.

— Naturalnie, byki również. Jedyne ludzkie barbarzyństwo może doprowadzić szlachetne i spokojne zwierzę do takiego zdziczenia. Powinniśmy się wstydzić, że ludzie mogą dojść do tak skrajnego okrucieństwa. Proszę mi wierzyć, to nie byki są złe, tylko Hiszpanie, którzy patrzą i podburzają do zbrodni. Po równaj konia z tygrysem albo z sępem. Mięso deprawuje zmysły i mięsożerne istoty czyni agresywnymi

— Zatem wojny i zabójstwa są następstwem spożywania mięsa.

— Nie ulega wątpliwości, senora. Nie tylko że nas znieczuli na cudze cierpienia, lecz przykuwa nas jeszcze mocniej do świata fizycznego. I to jest celem Szatana: przeszkodzić nam w poznaniu Prawdy, i tym sposobem nie dopuścić do naszej emancypacji.

— To znaczy, że wiedza medyczna, profesorze...

— Mógłbym państwu godzinami opowiadać, jakie straszne zbrodnie popełnia tak zwana wiedza medyczna, oparta na spożywaniu mięsa, na mikrobach i surowicach. W jednym z ustępów *Starego Testamentu* jest mowa o tym, że Jehowa stworzył plagę wszy, much i szarańczy, aby ukarać Egipt. Jezus Chrystus, Mistrz nad Mistrze, leczył choroby wypędzając z ciała chorego nieczystego ducha, to znaczy diabła, który jest prawdziwym sprawcą chorób. Wszystkie te potworności, zwane przez lekarzy bakteriami, nie są niczym innym jak manifestacją Szatana. Mi kroby atakują jedynie tych, co żyją na marginesie Prawa Boskiego. Tak więc wiedza medyczna nie leczy, a tylko pomaga Szatanowi w grze, stwarzając i wywołując choroby.

— Zatem, ukąszony przez wściekłego psa nie powinien biec do Instytutu Pasteura, tylko sobie kogoś poszukać, kto by z niego wypędził diabła?

— Ma się rozumieć.

— A jak nikogo takiego nie znajdzie? Albo jak nie starczy czasu?

— To będzie miał pecha, ale nic innego nie pozostaje. A te raz przejdźmy do drugiego narzędzia, o którym wspomniałem: do kleru. Kler jest najmocniejszą ostoją Szatana, na nim opiera się jego potęga dzięki ■wpływowi, jaki posiada na część ludzkości.

— Rozumiem, niby że ktoś zaufał policji, a okaże się, że policja ma spółkę ze złodziejami. Chesterton. *Dmie de police*.

— Tak jest, seiiior. Wystarczy jeden dowód: wszystko robią za pieniądze. Od chrztu do ostatniego namaszczenia. A pieniądź to typowe narzędzie Szatana. *Caramba*, już pół do dziewiątej! Będę się skracał. Katolicy. Zachowanie znacznej części katolików jest zaprzeczeniem ich teorii. Swoim egoizmem i namiętnościami księża i katolicy podkopują autorytet religii. Jedni i drudzy są zachłanni na bogactwo materialne i nie cofają się przed żadnym środkiem, byleby je uzyskać. Co do Żydów to najważniejsze już powiedziałem. Za pomocą paktu obrzezania Semici są związani z Szatanem, którego oni nazywają Jehową. Jak w każdym pakcie z diabłem, nie może brakować krwi. Ale muszę już, niestety, kończyć, chociaż miałbym jeszcze do powiedzenia rzeczy ogromnej wagi. Obecna walka jest walką Szatana przeciwko Bogu, walką okrutną i bezlitosną, zmierzającą do satanizacji świata. Ziemia stałaby się zatem odskocznią dla sporu o władzę nad wszechświatem. Ateizm jest pierwszym krokiem do satanizacji świata. Niestety, zwycięstwo Szatana oznaczałoby naszą wieczną zgubę. Skazałoby nas na trwanie w tym piekle po przez reinkarnację.

— Chronń nas, Panie Boże!

— Do widzenia pani. Do widzenia panu. Przy innej okazji pomówimy jeszcze na ten temat, tak ważny dla nas wszystkich.

Tanecznym krokiem dr Gandulfo wyszedł z mieszkania.

— Reinkarnacja! — zawołał Koko podnosząc ramiona ku niebu. — Piękna przyszłość. Zależnie od tego, jak się sprawujemy, wyobraź sobie, lista awansów wojskowych na opak: za czynasz jako marszałek, a w którejś reinkarnacji pracujesz w charakterze psa pułkownika. A co by dopiero było z biurokracją! Facet umiera, wydaje mu się, iż usłyszał, że przechodzi do działu pod hasłem Indianie, staje w kolejce, czeka dwa lub trzy wieki, a jak doszedł do lady, zaglądną do ksiąg, wszystko przewracają. Okazuje się, że facet się omylił, miał stanąć w kolejce do działu indyki. No, cóż, Bebuszka, ja także muszę już odejść. Ten profesor wbił mi klina w głowę. Na razie zjem moją

dzienną porcję sałaty. To święta rzecz, za nic na świecie bym jej nie pominął. *Adieu*.

"Pochylił się w stronę Sabata ze słowem „Mistrzu” i odszedł.

— Pajac!

— Pierwszorzędny typ. Jest przyjacielem Mabel.

— Nie mam na myśli tego nieboraka.

Wstał, w rozstargnieniu oglądał w bibliotece parę książek.

— Nieborak. Jak gdyby autor *Małżeństwa doskonałego* usiłował na zimno tłumaczyć gospodyniom domowym seksualne wymysły Sade'a. A wy uchodźcie za inteligentne. Śmiejecie się. Diabeł może być spokojny. Igra z prawdą. Pozwala się śmiać z takiego biedaka.

— Może mi chcesz wmówić, że dr Gondulfo głosi teologiczną prawdę.

— Naturalnie, ty głupia. Śmiejecie się z sałaty, a on zasadniczo ma rację? Pamiętasz, co powiedział Fernando?

— Fernando Canepa?

Sabato obrzucił ją surowym spojrzeniem.

— Mówię o Fernando Vidal Olmosie.

Beba podniosła ramiona i z zabawnym zdumieniem zwróciła oczęta ku niebu.

— Tylko tego brakowało. Żebyś cytował swoich własnych bohaterów.

— A dlaczego by nie. Zanim począł się czas, Bóg został obalony przez Księcia Ciemności, to znaczy przez tego, który potem będzie Księciem Ciemności. Przez duże litery, *zaznaczam*^

— Nie ma potrzeby, znam ciebie. Ale dr Gandulfo trochę inaczej to przedstawił.

— Daj mi już spokój z tym nieborakiem. Są różne możliwości, zrozum. Obalwszy Boga Szatan rozgłasza, że tym obalonym jest Diabeł. Tym sposobem zdejmuje z Diabła odpowiedzialność za ten okropny świat. Teodycei wymyślone potem przez desperackich teologów to są sztuki akrobatyczne mające wykazać rzecz niemożliwą, że dobry Bóg może pozwolić, aby istniały obrazy koncentracyjne, gdzie giną tacy ludzie jak Edith Stein, aby w Wietnamie kaleczono dzieci, aby w Hiroszynie bomba zmieniła niewinnych ludzi w potwory. To jest ponure kłamstwo. Jest niewątpliwie prawdą, że ziemią rządzi Zło. Oczywiście, nie sposób oszukiwać całego świata, zawsze znajdą się ludzie, którzy podejrzewają. Oni to przez dwa tysiące lat stawiali czoło torturom i śmierci za odwagę mówienia prawdy. Rozpraszano ich, niszczone i dręczono, paliła ich Inkwizycja. Bo z Diabełem nie ma żartów. A wystarczyłoby istnienie tej Inkwizycji, aby udowodnić, kto *rządzi* światem. Całe narody zostały unicestwione 239

bądź rozproszone. Przypomnij sobie albigensów. Od Chin aż po Hiszpanię religie państwowe (inne organizacje Diabła) oczyszczały planetę od jakiegokolwiek próby objawienia. I możemy stwierdzić, iż nieledwie osiągnęły swój cel.

— Naturalnie, nieledwie. Z wyjątkiem profesora Alberto J. Gandulfo, na przykład.

— Śmieję się, śmieję. To są diabelskie kawały Szatana. Sprawić, aby śmieszny człowiek wykladał prawdę, znaczy skazać tę prawdę na śmieszność i tym samym na bezskuteczność. Takim ludziom jak Gandulfo nie tylko pozwala się żyć: każe się im mówić. Ale ja ci powiadam, że istnieją inne źródła zamieszania, jeszcze bardziej diabelskie. Kilka sekt, których nie można było zniszczyć albo których Szatan ex profeso nie zniszczył, stało się z kolei nowym źródłem kłamstwa. Myślę o mahometanach. Według gnostyków namacalny świat został stworzony przez Diabła zwanego Jehową. Przez długi czas Bóg pozwala temu diabłu działać swobodnie, lecz w końcu zsyła Syna, aby czasowo zamieszkał w ciele Żyda. Tym sposobem zamierza uwolnić świat od oszukańczej nauki Mojżesza, proroka Jehowy, czyli Diabła. Przypomnij sobie, nawiasem mówiąc, co Papfni mówi o Mojżeszcu Michała Anioła. Czyżby Michał Anioł był wtajemniczony? Ale do rzeczy: jeśli przyjmujemy, że Jehowa jest Diabłem, lecz że z nadejściem Chrystusa ten Diabeł został obalony i zamknięty w piekle (jak myślą mahometanie i inni gnostycy), to tym samym umacniamy jeszcze mistyfikację. Mistyfikacja jest teraz podwójna. W dalszym ciągu mamy straszliwy świat; Hiroszima i obozy koncentracyjne zaistniały po nadejściu Chrystusa, rozumiesz? Innymi słowy, za każdym razem, kiedy kłamstwo się osłabia, tacy nieszczęśnicy je umacniają i Diabeł panuje sobie spokojnie jeszcze parę tysięcy lat, a prawdziwy Bóg jest w piekle. Dlatego Szatan pozwolił, aby mahometanie się rozwinęli i wzniesli takie imperium. Trzeba być szaleńcem, aby myśleć, że wystarczy jednego fanatyka na koniu, by władać światem zachodnim przez kilkaset lat.

— A zatem?

Spojrzenie Beby było ironiczne.

— Nieuchronny jest wniosek Fernanda: Księżę Ciemności rządzi w dalszym ciągu. A rządy sprawuje za pomocą Sekty Ślepych.

Wniosek wydał jej się tak oczywisty, że byłaby wybuchnęła śmiechem, gdyby nie owładnęła nią trwoga.

— A tobie?

Sabato spojrzał na nią w milczeniu.

PRZEZ CAŁĄ NOC SABATO ROZMYŚLAŁ

i kiedy zaczęło świtać, zdołał przezwyciężyć wszystkie obawy, które go do tej chwili powstrzymywały: odnajdzie Schneidera, gdziekolwiek się znajduje. Na razie ma jeden ślad: willa Bobasa Costy.

Zajrzał do kalendarza: brakuje jeszcze dwu dni do niedzieli. Wyszedł na ulicę, niebo było jasne, powietrze suche. Odrarł kawałek papieru, podniósł go w górę i upuścił: wiatr szedł z północy. Obliczył, że za dwa dni będzie upalnie, ale że pewnie się nie zachmurzy i nie spadnie deszcz. Słoneczny dzień w lutym: wszyscy pójdą na pływalnię.

Decyzja go uspokoiła, poczuł nawrót sił, które utracił od ciągłego dumania i patrzenia wstecz.

COSTA SPOJRZAŁ NA NIEGO

w ów charakterystyczny sposób, z głową trochę przechyloną w dół i na bok, z formalnym uśmiechem, złożonym z zewnętrznej warstwy dyplomatycznej uprzejmości i z warstwy drugiej, dzięki opanowaniu mięśni twarzy ledwie zauważalnej, którą wszakże mógł dostrzec obserwator znający go do głębi: ironiczna pobłażliwość i skierowane do samego siebie pytanie w rodzaju: „czyżby był na tropie”, lub „jak można być takim naiwnym?”; na pewno myślał, że naiwnością było przyjechać do Maschwitz na konwencjonalny weekend ze słońcem i z pływalnią, aby dowiedzieć się czegoś o Schneiderze. Te pytania były oczywiście domysłem Sabato, mogły istnieć naprawdę albo i nie, toteż owa druga warstwa, która niewątpliwie istniała (gdyż pod światowym uśmiechem kryła się z pewnością ironia albo nawet złość i nienawiść), nie musiała być spowodowana obecnością Schneidera w Buenos Aires. Pobyt jego był na razie jedynie hipotezą, którą S. usiłował właśnie potwierdzić, węsząc po całej posiadłości i rozmawiając z tym niesympatycznym indywiduum, a nawet odnotowując jego zaprzeczenia.

— Schneider?

Zmarszczył czoło w sobie właściwy pytający sposób. Używał tego sposobu nie tylko wtedy, kiedy o coś pytał albo czegoś słuchał, co go intrygowało, ale także kiedy wygłaszał zwroty w stylu: „Nie wydaje mi się, żeby Lenin był rewolucjonistą”. Takie powiedzenia stwarzały mu pozór tajemniczej mądrości, wypowiadał je bowiem bezpodstawnie jak coś tak oczywistego,

241

Czajkowskiego. Korn robił mi wymówki, oskarżył mnie o złą wolę, a jak wiecie je *tiens beaucoup a mapeau**, powiedziałem mu więc, iż chcę mu udowodnić, że jest przeciwnie, i że jestem gotów zrobić drugi wywiad, bardziej pochwalny, no i do dwóch numerów sfabrykowałem jej biografię że ho, ho. Położyłem nacisk na jej elegancką postać, napisałem, że jest godna figurować na światowej liście najlepiej ubranych kobiet i że ma sylwetkę jak stworzoną na modelkę Marka Bohana. Nie muszę wam powtarzać, że jak idzie o forszę i w grę wchodzi moje papu, robię się taki ostrożny, że sam zaczynam wierzyć w to, co piszę.

Ale wróćmy do kroniki tego interesującego zebrania. Otóż kiedy Elizabeth rzuciła się na Renana, robiąc jednocześnie oko do Mistrza Sabato, który zupełnie nieoczekiwanie zjawił się przed chwilą, ja stałem koło Bobasa, ten zaś Cristinie szeptał do ucha coś, co zapewne było wstępem do rozbicia małżeństwa. Powiedziałem im: ano, zobaczymy, kto potrafi odgadnąć prawdziwe nazwisko tej dziwki. Talent literacki Bobasa Costy objawił się i wyczerpał w nowelce opublikowanej sto lat temu w „La Nación”, gdy zatem jego literacka twórczość uległa zanikowi skutkiem wysiłku, Bobas poświęcił resztę życia rozprawianiu na przyjęciach i koktajlach o Maxie Billu i o Nowej Literaturze, dzięki czemu, choć może się to wydawać kłamstwem — udaje mu się skłócić najsolidniejsze małżeństwa elity, po czym z reguły następują pertraktacje rozwodowe tudzież ucieczka Bobasa do Caracas albo do Nowego Jorku — aż do następnego sezonu, kiedy się facet uspokoi. Ponieważ szeptał coś Cristinie do ucha, liczyłem, że zechce przed swą ofiarą zabłysnąć, i rzuciłem mu rękawicę, zwłaszcza iż liczyłem, że będzie dopingowany przez Pampitę, która pękała z zazdrości z powodu usznej *affaire* Bobasa z tą idiotką Cristiną. Toteż, jak było do przewidzenia, Bobas chwycił przynętę i ogłosił konkurs na odgadnięcie prawdziwego nazwiska kurewki w takiej mniej więcej formie: Bobas: Rabinowicz? Malinowska? Pampita: Kuligowska? Jakubowicz? Bobas: Mastronicola? Spampinato? Pampita: Lociacono? Capogrosso? Bobas: Nomia Myrtha Cacopardo? Pampita: Mafalda Patricia Pisciafreddo? Bobas: No dosyć tego szukania po omacku. Zabierzmy się do rzeczy systematycznie. Weźmy jako podstawę słowo kutas

* je tiens... (fr.) — boję się o swoją skórę.

i rozpatrzmy wszystkie możliwości. Popracujemy poważnie. No, zaczynaj.

Pampita: Kutasińska.

Bobas: Kutasewicz.

Pampita: Długokutas.

Bobas: Cóż za obsesja, dziewczyno. No, powiedzmy: Grubokutas.

Pampita: A teraz według narodowości, np. włoska: Cutassini.

Bobas: Kutassow, Masza Aleksandrowna Kutassow.

Pampita: Postać z rosyjskiej powieści. Tak, chyba z Czechowa.

Bobas: Kutasenko. Ukrainiec. Autor powieści obyczajowych.

Pampita: Coutassin. Słynny francuski etnolog z końca XIX wieku.

I tak, omówiwszy setki możliwości z najrozmaitszych punktów widzenia, przy czym oboje prześcigali się w okazywaniu swej wielkiej i finezyjnej erudycji, uznali temat za wyczerpany i zamilkli. Milczał również Mistrz Sabato; trzymając się z daleka medytował zapewne nad kryzysem Naszego Czasu, a może cierpiał na początki *colitis* czy marskości wątroby; obydwie dolegliwości mają jak wiadomo podobne objawy i nigdy nie wiadomo, czy udreka takiego typu jest los człowieka czy też złe funkcjonowanie jego przewodu pokarmowego.

ROZMYSLAŁ i wspominał jego przestrożę. Nie, nic się
O SŁOWACH tu nie dzieje takiego, co by go mogło
FERNANDA niepokoić. Pozornie! Nawet Fernando
popępiał głupstwa, nawet on. Dwuznaczną rolę Domingueza pozornie obcego przeznaczeniu Ślepych i ognia. Pozornie Brauner wrócił w 1938 do Paryża wyłącznie dla malarstwa, w rzeczywistości wrócił, aby spotkać się ze swoim krwawym przeznaczeniem, wrócił właśnie na to miejsce i w odpowiedniej chwili, aby szklanka rzucona przez Domingueza wybiła mu to oko, które on malował latami, krwawe, zwisające ze strzępka skóry. Ludzie podążają jak lunatycy ku regionom, które ich w niejasny sposób przyciągają. Teraz na przykład, co w tej bandzie snobów jest z przeznaczenia, a co z przypadku? Usiłował odkryć pod ich fałszywymi twarzami i sztuczną pozą straszliwy sens, jak spec od szpiegostwa usiłuje odczytać prawdziwe słowa zguby w liście kobiety pełnym plotek o towarzyskim zebraniu. Wyobraźcie sobie ciocię Tereskę, wołał Koko otwierając ramiona, długie niczym skrzydła wiatraka, całe życie spędziła

w kruchcie, zmarła, dostaje się do nieba i przekonuje się, że facetem, co tym wszystkim kręci, nie jest Chrystus, tylko, *dissons*, jakiś typ o Mlku ramionach. Otóż to: straszliwe wieści przekazywane przez pajaców. Trzeba przestudiować każde słowo, każdy gest, nie wolno pozostawić nawet kącika rzeczywistości bez badania, ani jednego kroku Schneidera bez śledzenia. Pomnijcie, że Maupassant zwariował, że Rimbaud skończył w delirium, pisze Fernando. I tylu innych bezimiennych zginęło w okropny sposób: zamknięci w domu dla obłąkanych, torturowani przez policję, uduszeni w kloace, wchłonięci przez bagna, pożarci przez mięsożerne mrówki w Afryce, połknięci przez rekiny, wykastrowani i sprzedani jako niewolnicy sultanom Wschodu. Tylko że Vidal Olmos zapomniał wymienić subtelniejsze męczarnie i może właśnie przez to straszniejsze.

— To był filantrop. Czy wiecie, że wynalazł gilotynę, aby ofiarom zaoszczędzić cierpień. Pijany kat nie pracował należycie, uciął ci ramię, zgniótł łydkę, takie rzeczy. Ciekawe, że *ce pauvre* Monsieur Guillotin nie mógł skomercjalizować swojego pomysłu. Skomercjalizował go jakiś niemiecki technik, oczywiście. Nabił kabzę na koszt Rewolucji Francuskiej. Ale Bóg go ukarał, bo dziwka zabrała mu wszystko do ostatniego franka. Czyli że w końcu jedyną, która żyła na koszt ideałów Saint-Justa, była kurwa, na którą Saint-Just byłby splunął. Bo to jest dialektyka, jak twierdzi Mistrz Sabato.

Przypomniał sobie też o narkotykach, prawdopodobnie jednym z narzędzi Schneidera. Pampita ma tik w policzku, Bobas Costa również.

**Z NADEJŚCIEM
KIKI BEMBERGA** zebranie się zradykalizowało,
pomiędzy skakaniem do ba-
senu a piciem Old Smuggler
i Ballantine zaczął się prze-
gląd Sytuacji Mas w Trzecim Świecie poprzedzony zbesztaniem
Bobasa (który widać był na liście) za jego zainteresowania li-
terackie.

— Ty ciągle miętosisz Nabokova zamiast chwycić za kara-
bin — orzekł Kiki wycierając energicznie tors.

Być może jakiś mój nieopatrzny gest nie uszedł jego uwagi
czekisty, bo z kolei zwrócił się do mnie:

— A ty, Koko, czy można wiedzieć, co ty właściwie myślisz,
do ciężkiej cholery? Nie jesteś peronistą, nie jesteś bolsze, to
powiedz, do cholery, kim jesteś.

245

Na tak rozsądne pytanie odpowiedziałem ledwo dosłyszalnie, pokornym, zbolałym głosem:

— Masz rację, KiM, nie jestem ani peronistą, ani bolsze. Jestem bardzo biednym człowiekiem, kapujesz?

Za te słowa zostałem później (o wszystkim się człowiek dowie) surowo osądzony.

Następnie przebadano sytuacje osobiste niektórych tu obecnych, jako też nieobecnych związanych z obecnymi tudzież nieobecnych, po prostu.

— Dopóki trwało, było dobrze. Potem się popsulo. Zaczęłam go rozgryzać.

— Tak mówisz, aleś jeszcze nie przewyciężył etapu homo.

— Jak mamy prochy, jest nam byczo, więcej rozmawiamy, płaczemy, jak nam przyjdzie ochota.

— Wszystkim się dzielimy. Poznajemy się i nawiązujemy stosunek bez zobowiązań.

— Przeszliśmy terapię seksualną we dwoje. Rozeszliśmy się w zgodzie, teraz jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Uważaj, stary, bo zaczynasz bujać.

— Ale ty jesteś masocha, a to prowadzi do frustracji.

— Tak, ale przynajmniej mam dobry *insight* i to mi pomaga w widzeniu konfliktu. Jak by nie było, Panchita mnie grzeje, jest fajna, co ci mam mówić, mamy empatię, kapujesz? Jak jesteśmy z sobą, jest cholerny *rapport*.

— Puściłam go kantem. Przyznaję, że dałam nogę. Pewnie jestem niedojrzała, ale dłużej nie mogłam. Jeżeli jest ciota, to niech powie od razu, po co udawać. Taki jest najgorszy, dewa luje cię jako kobietę, przylepi się i nie możesz się go pozbyć.

W tym momencie KiM nie wytrzymał i rozkrzyczał się: zrozumcie, że w tym kurewskim życiu takie konflikty nie są indywidualne, one są ubocznym produktem ogólnej alienacji społeczeństwa konsumpcyjnego.

Na nowo zaczynają z Rewolucją, pomyślałem. I rzeczywiście dyskusja się upolitycyznała, zaczęto wygłaszać zdania ogromnej wagi.

— O, co to, to nie, ja chcę, aby mnie akceptowano jako kobietę. Co ty sobie wyobrażasz, gnojku, że jestem striptizerką, bo mam ładną parę cycków.

— To jest problem urbanistyczny, który głośno domaga się zmiany struktury — odezwał się Arturo, który jest architektem i trzeba mu przyznać, do tej chwili jeszcze ust nie otworzył.

— No tak, ale co innego, jeśli się odnosi do lumpenproleta.

— A ty, co masz przeciwko kulturze masowej?

— Bo nie możesz się deklasować. Istnieje pewien kontekst i tylko w nim wolno ci się poruszać.

— Uważać się za klasę wyższą, nie znaczy negować jej bankructwa. Ale też nie musi się od razu zostać szoferem.

— Tak, ale jest jakieś quantum, które musisz wziąć pod uwagę.

— Jeżeli nie poddasz się wzorcom narzuconym przez srodowisko, będziesz napiętnowana.

W tym momencie Cristina, która, biedactwo, trzymała się roztropnie na uboczu, żeby nie wyglądać już zanedo gupio, powiedziała coś o interpretacji jakiejś tam książki. Biedna wapiaczka. Spojrzeli na nią jak na kogoś, kto w Epoce Locomotywy jeździ dylizansem. Lektura, co za zwierzę! Lektura! Lektura, o co tu chodzi.

Toteż Cristina umilkła i pomaleńku zaczęła się wycofywać pod drzewo, gdzie Bobas Costa czytał „Playboya”.

SPÓJRZ NA TĘ TWARZ, POWIEDZIAŁ JEJ BOBAS

— Cóż. Kobieta zniszczona, pewnie za dużo pali.

Przeczytała nazwisko: E. Kronhausen.

— I poniżej — wskazał Bobas. — P. Kronhausen.

Cristina spytała, czy to są siostry.

— Nie, żyją z sobą. Małżeństwo.

— Małżeństwo sióstr?

— Durna. Ten wyżej to mężczyzna. Eberhard.

— Dobrze. No to co?

— Nic. Biorą udział w dyskusji o nowych stylach seksualnych.

— Phi, wyglądają jak sfotografowani przez policję po zebraniu okrągłego łóżka.

— Czytaj, czytaj.

Linda Lovelace, lat 22 (wygląda na 40!). Pod zdjęciem zaznacza, że jeżeli nie ma co najmniej jednego orgazmu dziennie, robi się nerwowa. Sławna z roli w filmie pornograficznym *Deep Throat*, samo jej imię przyciąga tłumy na każdy koktajl, magazyn „Screw” nazywa ją „najsławniejsze usta Stanów Zjednoczonych”.

— Usta? — zdziwiła się Cristina. — Ależ to okropne. Bobas spojrział na nią z dobrotliwą ironią. Czytali dalej: korzystając z cennych doświadczeń osobistych pisuje stale do „OUI”, gdzie udziela porad sięgających od analingus do zoofilii.

— Raczej osły niż psy — skomentował Bobas wpatrując się badawczo w twarz Lindy. — Teraz coś o pastorce, spójrz: wielebny Troy-Peny.

Z głową przechyloną na lewo oglądał zdjęcie:

— Musiał być dobrym amerykańskim futbolistą, ale z tych brutalnych i jednocześnie introwertyków. Krzyżówka boksera z zapeszonym filozofem. Zauważ, jak starannie się ubiera i jak doskonale czesze. Curriculum:

Od dzieciństwa pociągał go Tarzan. Ożenił się, miał dwóch synów i wtedy odkrył, że jest homoseksualistą. Wniósł o rozwód i założył Kościół Komunitarno-Metropolitalny, wyłącznie dla homoseksualistów. W pewnym czasopiśmie został opisany jako Martin Luter King tego ruchu, na co odpowiedział: „Nie wiem, czy to nie przesada, wystarczyłoby mi, gdyby mnie nazwali Martin Luter Queen”. Rozwija olbrzymią działalność począwszy od interwencji w pikietach i manifestacjach, na kazaniach i pogadankach w szkołach skończywszy. Założył biuro pilnych usług telefonicznych dla homoseksualistów.

— A teraz ci, których uważałaś za siostry. Kronhausenowie. Pobrali się, jak zrobili doktorat w Columbii. Są autorami dzieł *Pornografia i prawo*, jak również *Sztuka erotyczna*, kompendium 1500 szytów ze sławnego International Museum w San Francisco, instytucji nie obliczonej na zysk. Betty Dodson, znana ze swych wysiłków w celu oswobodzenia kobiety poprzez seks, wstępując w indywidualnych showach służy homo- i heteroseksualizm, od orgii do masturbacji. Jest członkiem jury w festiwalu Mokrych Snów w r. 1971 w Amsterdamie, kieruje pracownią założoną w celu rozwijania seksu. Al Goldstein (twarz forsiastego erotomana), założyciel „Screw” oraz „Guy”, tygodników dla homoseksualistów, uwięziony w Hawanie jako domnie many agent CIA, aktor w pierwszym filmie epiczno-pornograficznym produkcji „Screw”, wyklada nowoczesny seksualizm na uniwersytecie w Nowym Jorku. Zobaczmy korespondencję.

Goldstein: Jeżeli moja żona mnie zdradzi, zabiję ją. Jest częścią mojej własności. Ponieważ płacę jej rachunki, jestem jej właścicielem, jak jestem właścicielem mego wozu i nie pożyczam go nikomu.

Wielebny Perry: Taki jesteś pewny, Alu, wydawco „Screw”? Może powinieneś zostawić żonę i utrzymywać stosunki z jakąś inną swoją własnością. Powiedzmy z kanapą.

(W końcu, nie jest taki zły ten typ, ma zmysł humoru, zauważył Bobas).

E. Kronhausen: Nie rzucam, Al, jak możesz mówić takie 248

rzeczy i równocześnie uważać się za jednego z propagatorów rewolucji seksualnej.

Goldstein: Każda rzecz ma swoją cenę. Nie oszukujmy się, że twoja żona nie ma swojej ceny, tak jak przygoda albo orgia. Żądam tylko, aby moje małżonki znały warunki sprzedaży przed podpisaniem kontraktu.

Bobas przerzucił kilka stron.

— Ach, o swingu.

P. Kronhausen: Jest zabawny, potrwa dłuższy czas. Młodzieży powiedziałbym, że seksu powinno się używać do rekreacji, a nie do prokreacji.

E. Kronhausen: Seks grupowy może być tyleż zabawny co erotyczny. My oboje często konaliśmy ze śmiechu. 20 osób w jednym łóżku to pyszna zabawa: ktoś spada z łóżka, piramida się wali, itd.

P. Kronhausen: Nie zapomnę tego zebrania z ostatniej wiosny. Jacyś faceci chodzili z ręcznymi aparatami telewizyjnymi z jednego pokoju do drugiego i oglądali mecz baseballowy, podczas gdy tamci robili swoje. Ebe i ja nie mogliśmy uwierzyć, po prostu nie mogliśmy uwierzyć. Mając do wyboru seks albo baseball oni woleli baseball.

„Playboy”: Jaka jest proporcja kobiet w stosunku do mężczyzn?

Profesor Pomercy: Na ogół ludzie przychodzą parami. Lecz na idealnym zebraniu powinno być mniej więcej dwa razy tyle mężczyzn, bo kobiety więcej wytrzymują.

„Playboy”: A co się tyczy filmów?

Profesor Pomercy: Często bywają wyświetlane. Są to filmy adekwatne, bardzo genitalne i szczegółowe, wyzute z emocji. Pozwalają ludziom rozwijać własne pomysły.

E. Kronhausen: Uważam, że filmy odegrały ważniejszą rolę może tylko w 10% wszystkich zebrań, na których byłem obecny. I przeważnie efekt był bardziej zniechęcający niż pobudzający. W końcu, gdy ma się dookoła tyle możliwości różnego rodzaju, kto potrzebuje oglądać to na ekranie?

„Playboy”: A rola wibratorów?

Goldstein: Wibratory były zawsze tabu, trzeba je było kupować spod lady w księgarniach porno. Ale teraz, na szczęście, sprzedają je najelegantsze drug-stores na Fifth-Avenue, po 2,95 dolara. Zauważyliście zapewne, że to już nie są zwyczajne wibratory, lecz mają odpowiedni kształt, co jest ważne specjalnie dla kobiet, które nie mają mężów na podorędziu. Uważam, że komercjalizacja pocieszycieli jest poważnym krokiem naprzód dla przeciętnego Amerykanina. Ale dla niepewnych siebie, ta-

kich, co potrzebują akompaniamentu emocjonalnego, trzeba by wypuścić pocieszyciela z małym głośnikiem w środku, który by mówił „kocham cię, skarbie”.

Profesor Pomercy: Ujemną stroną seksu grupowego jest, według mego zdania, ryzyko stosunku uczuciowego. Istnieje niebezpieczeństwo syntonii między partnerami (wśród tak wielu ludzi zawsze istnieje taka możliwość) i może się to skończyć zaangażowaniem uczuciowym. Rozmawiając z moimi pacjentami *TZWSZS* podkreślałam to niebezpieczeństwo, z całą stanowczością. Mówię im, że w jakiś sposób igrają z dynamitem. Bo wtedy muszą jakąś stronę swego życia ukrywać przed dziećmi, a nawet przed bliskimi przyjaciółmi.

TYMCZASEM KOKO Od problematyki psycho-
BYŁ ŚWIADKIEM socjalnej przeszli do estetycznosocjalnej, co natychmiast uchwyciło delikatne
NOWEJ FAZY ucho Bobasa Costy, który

momentalnie wpisał się jako aktywny uczestnik: taka rozmowa bez jego udziału to jakby analiza wyścigów samochodowych bez komentarzy Fangia. Wyrażono sądy o: Johnie Cage i *la musique d'ameublement* Kulturze oficjalnej

Konieczności wypięcia się na dobry smak
Antydziele Antypartyturze Antypoezji
Antypowieści.

Ale to już przestarzałe: lepiej anty-antypowieść. Nie jest wykluczone, że w tej kategorii Sabato się wybije choćby dlatego, że jest przestarzały, zauważyła Pampita wskazując na przechadzającego się w zadumie Sabata. *Collage musical*
Schoenberg

— Ale czym jest idea dla Schoenberga? Należy rozróżnić między ideą muzyczną i aspektem fenomenologicznym.

— Należy zdemaskować krańcowe wcielenie burżuazyjnej myśli idealistycznej.

— Winszuję? Burżuazyjna myśl idealistyczna. To mniej więcej tak, jakbyś powiedział: masło maślane.

Action-music.

Właśnie. Mieszać muzykę z oklaskami, okrzykami, kichaniem i czkawką wykonawców.

— Jakże to? A Penderecki?

Owo „Jakże to” mnie zastrzeliło, okazało się w sposób brutalny, jakie intelektualne zero zrobiła ze mnie współpraca z Radiolandią.

A zatem?

Było mi dane skomentować obecność następujących zwrotów w pewnego rodzaju *agitato con moto*.

— Ochoczo zerwać z Balzakiem i z Dostojewskim.

— Czy można wciąż tak pisać jak Balzak?

— A nawet tak jak Camus?

— Takie starocie!

— A jak się wam podoba Osberg?

— Osberg?

— Ależ ten reportaż Nabokova o Borgesie. Czy nie o tym mówiliście? Powiedział, że był nim zafascynowany, dopóki nie zauważył, że to jest fasada bez domu.

— Doskonale! Ale też ten Nabokov!

— Facet zrobił sobie świat na swoją miarę.

— *Die Welt als Wille und Vorstellung** — zacytował enigmatycznie Bobas.

Wtenczas KiM krzyknął: dosyć tej literatury, po co tyle gadać, i nalewając sobie kieliszek pipersa, powiedział: trzeba chwycić za karabin. Na co Pampita odparła: przestań z tym sekiarstwem, to może jest modne, ale to jest gruba omyłka, rewolucję trzeba robić we wszystkich kategoriach, nie możesz serio pretendować do rewolucji, kiedy piszesz jak Camus.

POGARDZAŁ SOBĄ ZA SWĄ OBECNOŚĆ W TYM MIEJSCU

za to, że w pewnej mierze ma z nimi coś wspólnego. Jeszcze nie tak dawno Kiki rozmawiał z nim o „czarnuchach” i z lekceważącą ironią machnął ręką na jego uwagę, że te „czarnuchy” rozsiały swoje kości wzdłuż i wszerz Ameryki Łacińskiej, walcząc w niewielkich oswobodzicielskich oddziałach, że szły tysiące kilometrów, aby w rozpaczliwych warunkach bić się za tak ideowe cele jak wolność i godność. A teraz zrobił się z niego zajadły saloonowy peronista. Czego tu szuka, w ich towarzystwie? Tak, to jasne, znalazł się tu z innych powodów. W każdym razie jednak jest tutaj, bo ich zna, bo w pewnej mierze stale utrzymuje z nimi

* Die Welt... (niem.) — Świat jako wola i wyobrażenie (tytuł dzieła A. Schopenhauera.)

kontakt. Ale któż w końcu może się chlępić, - że jest lepszy od innych? Ktoś powiedział, że w każdym stworzeniu jest załączek całej ludzkości; wszystkie bóstwa i demony, powstałe z wyobraźni ludów i z 'trwogą przez nie wielbione, znajdują się w każdym z nas i gdyby po katastrofie planetarnej zostało choć jedno dziecko, dziecko to spłodziłoby na nowo to samo plemię bóstw jasnych i przewrotnych.

W ciszy nocnej szedł do stacji. W pobliżu wysokich, dostojnych eukaliptusów położył się na trawie i spoglądał w czarno-błękitne niebo. Wróciły mu na pamięć Nowe gwiazdy z okresu laboratorium, te niezrozumiałe wybuchy ciał niebieskich. Ma swój urobiony pogląd na nie: pogląd astrofizyka który postradał zmysły przez herezje.

Istnieją miliony planet w milionach galaktyk, na wielu powtórzyły się ameby i megaterie, ludzie z Neandertahi, a później galileusze. Któregoś dnia odkryli rad, kiedy indziej udało im się rozbić atom uranu, lecz nie umieli utrzymać kontroli nad rozbiciem albo nie potrafili przeszkodzić walce atomów i oto planeta wybucha w kosmiczne piekło: Nova, nowa gwiazda. Poprzez wieki te wybuchy oznajmiają finał kolejnych cywilizacji plastików i komputerów. Na spokojnym wygwieżdżonym niebie dzisiejszej nocy odczytuje przesłanie o jednym z tych kolosalnych kataklizmów, który się wydarzył, kiedy na Ziemi pasły się jeszcze dinozaury na mezozoicznych łąkach.

Przypomniał mu się patetyczny Molinelli, śmieszny pośrednik między ludźmi a bóstwami rządzącymi Apokalipsą. Słowa, które powiedział w 1938 roku, celując w niego pogryzionym ołówkiem: Uran i Pluton są zwiastunami Nowych Czasów, będą działać jak wulkany podczas wybuchu, wyznaczą granicę między dwiema Epokami.

A jednak to gwiazdziste niebo wydaje się obce katastroficznej interpretacji: emanuje pogodę, harmonijną, i niedosłyszalną muzykę. *Topos wanos* to piękne schronienie. Ponad ludźmi, co się rodzą i umierają, często w torturach albo na stosie, ponad imperiami, co się butnie wznoszą i nieuchronnie upadają, to niebo wydaje się być obrazem innego świata: nieprzedajny i wieczny, najwyższa doskonałość, na którą wznieść się dane jest tylko przy pomocy przeźroczytych, lecz sztywnych teorii.

I on również próbował się wspiąć. Za każdym razem kiedy odczuwał ból, bo tej wieży ból nie dosięga, za każdym razem kiedy brud był już nie do zniesienia, bo ta wieża jest czysta; za każdym razem Medy go dręczyła ulotność czasu, bo w tym gmachu panuje wieczność.

Zamknąć się w wieży.

Lecz daleki zgiełk ludzi zawsze go w końcu dościgał, wsączal się przez szczeliny i wzbijał się z jego własnego wnętrza. Albowiem świat był nie tylko na zewnątrz, ale w najskrytszym zakamarku jego serca, w jego trzewiach, w jego ekskrementach. I wcześniej albo później ów nie ulegający zepsuciu wszechświat wydawał mu się w końcu smutnym mamidłem, bo ten świat, co się dla nas liczy, jest tutaj: on jedyny razi nas bólem i nieszczęściem, lecz także on jedyny daje nam pełnię istnienia, tę krew, ten żar, tę miłość, to oczekiwanie śmierci; on jedyny ofiaruje nam ogród o świcie, dotknięcie ukochanej ręki, spojrzenie skazane na gnicie, ale nasze: ciepłe i bliskie, cielesne.

Tak, może istnieje ten wszechświat nieczuły na destrukcyjną moc czasu, lecz jest to zastygłe muzeum skamieniałych form, niechby nawet doskonałych, form objętych władzą czystego ducha i z czystego ducha poczętych. Wszelako istotom ludzkim obcy jest czysty duch, bo właściwością tego nieszczęsnego plemienia jest dusza, ów rozdarty obszar między psującym się ciałem a czystym duchem, ów pośredni obszar, w którym dzieją się najpoważniejsze sprawy egzystencji: miłość i nienawiść, mit i fikcja, nadzieja i sen. Niejasna i udręczona dusza cierpi (czyż może nie cierpieć!) opanowana przez namiętności śmiertelnego ciała i spragniona wieczności ducha, w ustawicznej rozterce między zgnilizną i nieśmiertelnością, między tym, co diabelskie, i tym, co boskie. Z udręki i niejasności tworzy w momentach grozy lub uniesienia swoją poezję, która się wylania z tych mglistych terytoriów i jest tej „mglistości” następstwem: Bóg nie pisze powieści.

Z RANA CHCE PISAĆ

ale maszyna ma cały szereg defektów: nie daje się ustawić margines, taśma nie nawija się automatycznie, trzeba ręcznie nawijać taśmę i coś się łamie przy tej okazji.

Zrezygnowany postanawia dla rozrywki pójść do śródmieścia. Przez południową dzielnicę trafia na ulicę Alsina, gdzie zamierza kupić kołonotatnik do pisania ręcznie. Coś nowego, coś symbolicznego, co pozwoli mu pracować w kawiarni, mimo trudności z pisaniem ręcznym i zmęczenia, może się uda pisać czytelnie. Nie jest wykluczone, że tym sposobem przełamie pecha.

Obsługuje go zmęczony, niesympatyczny sprzedawca i złości się w sposób niemal widoczny, bo zeszyt ma być taki a taki. S. posyła go do diabła i wychodzi w coraz gorszym humorze. Po-

stanawia udać się do Księgarni Szkolnej, na rogu ulicy Bolivar i Alsina. Robi mu się rażniej na duchu na myśl, że w tym wielkim sklepie z papierami będzie mógł znaleźć, czego szuka. Lecz oto spostrzec przez kratę w jakimś starym domu ogromnego szczura, który z ciemnej piwnicy wpatruje się weń czerwonymi i złośliwymi oczkami: przynosi mu wspomnienie wywiadu z młodym 4el Busto oraz nietoperzy z fortu don Francisca Ramosa Mejia* w Tapiales: skrzydlate szczury, stare i ohydne. Usiłuje odpędzić te wspomnienia i z energią wchodzi do księgarni. Z energią? No, do pewnego stopnia. Dla dokładności powiedzmy obiektywnie, że czyni to z niejaką energią. Z lękiem, jaki zawsze wywołują w nim sprzedawcy, kieruje się do wysokiego, chudego młodzieńca o długich włosach. Chociaż zauważył, że go poznaje, stara się zachować obojętną minę i usiłuje pokonać nieśmiałość, jaką stale odczuwa widząc, że go poznano. Uważa, że sprawy się komplikują, wstydzi się wytłumaczyć, czego potrzebuje (zeszyt ma mieć mnóstwo właściwości, określoną wielkość, na zewnątrz ma być czarny, w środku czerwony, itd.), lecz pokonując opory wyjawia mu po części, czego żąda, jakkolwiek z braku odwagi nie wymienia na razie szczegółów:

— Kolonotes — powiada tępo.

Ekspedient pokazuje mu kilka, ale żaden mu się nie podoba: nie chce, aby zeszyt był zbyt duży, bo takich nie lubi, onieśmielają go nieprzyjemne ogromne jak prześcieradło kartki; nie powinien też oczywiście być za mały, bo nie mógłby na nim wygodnie pisać, czułby się jak w kaftanie bezpieczeństwa. Tych szczegółów nie podaje, rzecz jasna, oświadcza tylko, że „to nie to”.

Ekspedient zaczyna mu pokazywać inne notatniki, na nie-szczęście coraz dalsze od idealnego modelu. „Mój przeklęty zwyczaj: wchodzić do sklepu, nie poinformowany dokładnie, czy znajdę tam to, czego szukam”, myśli. Potem czuje się w obowiązku kupować niepotrzebne brzydactwa. Z goryczą rozmyśla o szafie przeznaczonej do tego celu, pełnej koszul nie do noszenia, za krótkich albo za długich skarpet, długopisów o zbyt cienkim albo za grubym końcu, rozcinaaczy papieru z trzonkiem z muszelek i kolorowym napisem PAMIĄTKA Z NECOCHEA, kastanietów, które nie wiadomo dlaczego musiał kupić, ogromnego Don Kichota z brązu, który kosztował majątek, a nawet posrebrzanego wazonu, nabytego wbrew woli w magazynie, gdzie wszedł przez omyłkę zamierzając kupić kółko na klucze. Tyle o rzeczach przechowywanych. Bardziej wszakże rozgoryczają go

* Francisco Ramos Mejia (1847—1893) — historyk argentyński.

te, co nosi przy sobie na zasadzie przeklętego europejskiego ducha oszczędności, który wszczepiła mu matka wraz z przymusem zupy, który jednak po równi z zupą zostawia jakiś ślad, choć się ją ze wstrętem połknęło: sportowe spodnie, których nie cierpi, wiatrówkę, okropną chustkę do nosa; nosi ją, aby nie wyrzucić jej do śmieci lub nie schować do tego muzeum rzeczy ohydnych. Specjalnie ta szaro-różowa chustka w czerwone kwiatki jest tak ohydna, że używa jej z wielką ostrożnością, kiedy nikt na niego nie patrzy, i często bywa w trudnej sytuacji powstrzymując się od wysiąkania nosa tylko dlatego, że jest w towarzystwie ludzi. Pokazał mu parę zeszytów, dalekich jednak od tego, o czym marzył w ostatnich czasach.

— Nie — rzekł niejasno. — A raczej tak, oczywiście. Zresztą nie wiem...

Sprzedawca spojrział nań pytająco.

Zebrał wszystkie siły i powiedział nie patrząc mu w oczy:

— No, nie wiem... ten jest niezły... mógłby być trochę mniej szy... może jak duży notes...

— Ach, więc to nie ma być kołonołatk, tylko notes — zauważył trochę ostro ekspedient.

— Tak jest — odpowiedział speszony Sabato. — Notes...

I w chwili, kiedy sprzedawca się odwrócił, dodał wstydliwie:

— Ale taki notes, który byłby raczej jak zeszyt.

Młodzian nie odwracając tułowia, jako że już kierował się do gabloty z notesami, obrócił tylko głowę i spojrział nań jeszcze znacznie ostrzej. Sabato pośpieszył sprecyzować, że tak, że „raczej” ma to być zeszyt.

Podszedł za sprzedawcą do gabloty i przez szklaną płytę zobaczył, iż żaden wystawiony tu przedmiot nie przypomina nawet z daleka tego, czego on potrzebuje. Ale już przepadło.

Ekspedient począł wyjmować i pokazywać mu różne zupełnie nieodpowiednie notesy: nie wiadomo, czy dlatego, że już zapomniiał o tym „raczej”, czy po prostu z głupoty, czy z ukrytej złości za jego wahanie. Sabato zrobił odmowny gest, co prawda z lekką odmowny. I na nieszczęście zamiast pokazywać coraz większe notesy ekspedient podawał coraz mniejsze. S. mógł, rzecz prosta, powstrzymać to stopniowanie odmawiając energicznie, ale z jaką twarzą? Na koniec sprzedawca zaoferował mu maleńki notesik, który mógł się przydać chyba tylko do pisania bardzo drogich telegramów albo dla małej dziewczynki, jednej z tych, co spacerują poważnie obok matki, prowadząc wózek z plastikową laleczką. Notesik do zapisywania „na niby” wydatków domowych.

Przyznał, że notesik jest śliczny, a nawet dla niepoznaki 255

spróbował, jak funkcjonują kółka, jaka jest giętkość okładki, papieru.

— Ze skóry? — spytał przekonany, że tym sposobem wyjawí absolutny brak zainteresowania kupnem tej miniatury.

— Nie, seflor. Z plastiku — odpowiedział młodzieniec oschle.

— Ach — skomentował próbując jeszcze zamknięcia kółek.

Dokonując udanej inspekcji czuł, że jego ciało oblewa się potem. Jak mu powiedzieć, po tym wszystkim, że ta zabawka jest niemal dokładnym przeciwieństwem tego, czego poszukuje? Z jaką twarzą, jakimi słowami? Przez chwilę był nieledwie gotów ją kupić, by ją później przechowywać w wyżej wspomnianym muzeum przedmiotów zbędnych; czuł wszakże, że gdyby to uczynił, byłby człowiekiem godnym pogardy. Przeto postanowił ostatecznie zwalczyć swoją słabość.

— Jest śliczny, naprawdę śliczny — chwalił prawie że niedo-
słyszalnie — ale mnie jest potrzebny duży notes. Właściwie już prawie zeszyt. .

Sprzedawca przyglądał mu się surowo.

— Zatem — powiedział oschle — szuka pan zeszytu.

Podejrzewając z góry, że powie mu się jeszcze gorzej niż z notesami (te są przynajmniej miluchne), potwierdził w sposób dwuznaczny. Ekspedient ze zdecydowaniem (nadmiernym, według Sabata) skierował się do półki, gdzie leżały szeregiem monstra tego gatunku. Z widoczną premedytacją wyszukał największy, coś ogromnego i wstrętnego, jeden z tych przyrządów, które zapewne używane są w ministerstwach do biurowych akt, i zapytał, a raczej rozkazał.

— Przypuszczam, że to ma być to.

Spozierali na siebie sekundę, ale ta sekunda była dla Sabata wiecznością. Nieomal szkolny przykład na ustalenie różnicy między czasem astronomicznym a czasem egzystencjalnym. Było to pewnego rodzaju groteskowe zdjęcie migawkowe: surowy sprzedawca dzierzący ohydny zeszyt dla mamutów, i naprzeciw niego zastraszony i zawstydzony klient.

— Tak — szepnął z niechęcią, ledwo dosłyszalnie Sabato.

Sprzedawca zapakował z wysiłkiem toporny przedmiot, przygotował rachunek i podał mu: suma wielkością dorównywała paczce. Za te pieniądze, myślał z goryczą przechodząc do kasy, mógł być kupić trzy lub cztery takie zeszyty, jakich szukał.

Wyszedł pełen ponurych myśli: nie ma wątpliwości, że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu.

Przybywszy do Santos Lugares odpakował to monstrum i starając się go nie widzieć położył w szafie nieudanych na-

bytków pomiędzy gatkami w żółte paski i wazonikiem z błyszczącym posrebrzonym wzorkiem. Potem usiadł przy swoim stole i trwał kilka godzin w milczeniu, aż go zawołali do obiadu. Potem oglądał jeden z tych seriali telewizyjnych, które go ożywiały: wśród strzelaniny i mordobicia indywidualistów, już na pół martwych, powalonych na ziemię, przyrzekł sobie, że jednak nazajutrz zrobi decydujący krok.

W nocy Aleksandra w płomieniach z błędnymi oczami szła ku niemu rozwierając ramiona, by go uścisnąć i kazać mu umrzeć w ogniu razem z nią. Jak tamtym razem, obudził się z krzykiem.

Na długo przed świtaniem wstał i ochłodziwszy twarz usiłował odpędzić obsesje. Nie mógł jednak zabrać się do pisania, jak to sobie wczoraj postanowił. Trwał w przekonaniu, że Bobas nie powiedział mu prawdy, a to kłamstwo było jeszcze jednym powodem, aby się niepokoić i mieć się na baczności. W sposób zanadto „naturalny” zaprzeczył obecności Schneidera w Buenos Aires. Toteż trzeba przezornie pilnować tej kawiarni. Na razie umówił się z Brunem w La Tenaza zamiast w Rousillon.

KIEDY BRUNO PRZYSZEDŁ DO KAWIARNI

S. siedział jakby nieobecny, jak człowiek zafascynowany czymś, co go izoluje od rzeczywistości, bo wydawał się go nie zauważać i nawet go nie pozdrowił. Obser-

wował ospałego kociaka, który o kilka stolików dalej czytał albo udawał, że czyta jakąś dużą książkę. Patrząc na nią rozmyślał, jaka głęboka przepaść istnieje między wiekiem zapisanym w urzędzie stanu cywilnego, a tym drugim, wynikłym z nieszczęść i namiętności. Gdy bowiem krew latami dokonuje obiegu w komórkach, a ów obieg lekarze prostodusznie badają, mierzą aparatami i usiłują pigułkami regulować, gdy obchodzi się uroczystość (dlaczego?) rocznice zaznaczone w kalendarzach, dusza, zrzędzeniem nieubłaganych mocy, cierpi dziesiątki, a nawet tysiące lat. Może dlatego, że to ciało, którym lekarze tak niewinnie manipulują, odziedziczyło duszę innych ginących ciał, ludzi albo ryb, ptaków lub gadów. Toteż dusza może być stara, może liczyć sobie tysiące lat. Także dlatego, jak powiedział Sabato, że kiedy ciało odpoczywa, dusza starzeje się nawet bez transmigracji, wskutek jej nocnych wizyt w czeluściach piekła. To jest przyczyną, że nawet u dzieci obserwujemy niekiedy

257

spojrzenia, uczucia i namiętności, które tłamaczą się jedynie tym mętnym dziedzictwem po nietoperzu lub myszy bądź tymi nocnymi zejściami do piekła. Zejścia do piekieł spalają i niszczą duszę, gdy tymczasem uśpione ciało pozostaje młode i oszukuje lekarzy, którzy radzą się manometru, zamiast śledzić nikłe znaki w jego poruszeniach i w blasku oczu. Owo spalanie, owo upodlenie można bowiem zauważyć w pewnym drzeniu nóg przy chodzeniu, w niezręczności, w szczególnych zmarszczkach na czole, a także przede wszystkim w spojrzeniu, ponieważ ten widziany świat nie jest już światem niewinnego chłopca, lecz światem potwora, który doświadczył grozy. Toteż ludzie nauki powinni raczej zbliżyć się do twarzy, uważnie, nawet podejrzliwie analizować najmniejsze zarysowujące się znaki. Zwłaszcza powinni się starać zaskoczyć jakiś ulotny błysk w oczach, ze wszystkich bowiem miejsc, które pozwalają dostrzec, co się pod spodem dzieje, najważniejsze są oczy: najwyższy sprawdzian, nieosiągalny dla Ślepych, którzy tym sposobem zachowują swoje mroczne tajemnice.

Ze swojego kąta nie mógł studiować tych znaków na twarzy. Lecz pozostały mu inne; wystarczyło śledzić powolne, ledwie zaznaczone poruszenia jej długich nóg, kiedy poprawiała się na krześle, jej ręki, gdy podnosiła papieros do ust, aby wiedzieć, że ta kobieta ma nieskończenie więcej lat niż tych dwadzieścia kilka lat jej ciała: doświadczenie pochodzące od jakiejś prehistorycznej węzokotki. Zwierzę, perfidni? udające niedołęstwo, posiada jednak tajemniczą zmysłowość zmii, gotowej do zdradliwego, śmiertelnego skoku. W miarę jak mijał czas i badanie robiło się coraz bardziej wnikliwe, pojmował, że ona się czai, że jak kot potrafi nawet po ciemku dostrzegać najintymniejsze poruszenia ofiary, słyszeć dźwięki dla innych zwierząt niedosłyszalne i przewidzieć najlżejsze zagrożenie ze strony przeciwnika. Ręce jej były długie, także ramiona i łydki. Długie, ciemne włosy spadały na plecy i zmieniały położenie za każdym jej ruchem. Paliła niespiesznie głębokimi pociągnięciami. Coś w jej twarzy wywoływało niesmak, mógł nawet zrozumieć, że przyczyną tego było rozstawienie oczu: wielkie i szeroko otwarte, wadliwie rozstawione, co przydawało jej jakiejś nie ludzkiej urody. Tak, było oczywiste, że ona ich również śledziła poprzez na pół przymknięte, jakby senne powieki, w ukradkowych spojrzeniach z ukosa, które posyłała jakby nie patrząc, jakby podnosiła oczy znad książki jedynie po to, aby myśleć albo dać się * unieść głębokim, lecz mętnym prądem, jak to bywa, kiedy lektura tekstu podsuwa nam myśli o własnej egzystencji. Wyciągała lubieżnie nogi, rzucała puste spojrzenia na innych ludzi, bodaj że 258

przez chwilę zatrzymując je na S., aby natychmiast wycofać się znowu w swój nieprzenikniony świat kotowężów.

Brano pojął intuicyjnie, że jakaś tajemnicza substancja opada w duszy przyjaciela i rozpuszczając się wydziela opary, które na pewno docierają do jego świadomości. Bardzo niejasne wrażenie, ale dla niego, dla S., są one zawsze zwiastunami decydujących wydarzeń. I przynoszą złe samopoczucie, nerwową niepewność podobną tej, jaką odczuwają zwierzęta w chwili, kiedy zbliża się zaćmienie. Jest bowiem nie do pomyślenia, że mogła osiągnąć taki skutek, kiedy przymknęła powieki i te długie rzęsy zasłaniały jej i tak już skąpe światło. W milczeniu wysłała jakieś swoje promienie do S., a ten raczej skórą niż głową chwyta zapewne tę obecność poprzez miliardy receptorów w koniuzkach nerwów, niczym owe systemy radarowe, co strzegą granic przed wrogiem. Poprzez zawikłaną sieć owe sygnały docierają w tej chwili aż do jego trzewi, ale (zbyt dobrze go zna) nie tylko go podniecają, lecz i alarmują. Oto widzi go, jakby się skulił w ciemnej norze, aż raptem się podnosi i zamiast pożegnania powiada tylko:

— Porozmawiamy kiedy indziej o tym, co ci mówiłem przez telefon.

WYCHODZĄC

S. przeszedł koło kobiety, ona zamknęła książkę, odłożyła ją na bok (może aby przeczytał tytuł?). To było wielkie tomisko, oprawne w błyszczącą kolorową okładkę: reprodukcję obrazu, jakby Leonory Fini: na jeziorze naga kobieta o bujnej platynowej fryzurze na tle czerwonego zachodu, otoczona księżycowym drapieżnym ptactwem; ma rybnie błędne oczy. Wstrząsnął nim tytuł książki: *Oczy i życie płciowe*. Znalazłszy się na ulicy począł rozmyślać. Od kiedy zobaczył wchodzącego do tej kawiarni dra Schneidera i zaraz po nim Costę, ciągle mu coś zagraża. I teraz znowu nastąpił wymowny fakt.

Pomyślał: Schneider, ujrzawszy go wychodzącego z Radio Nacional, czym prędzej wszedł do kawiarni, ale nie dość szybko, aby go nie mógł zidentyfikować. Jednakże znając go może sobie wyobrazić, że to wszystko było chytrze przemyślane: siedł za nim, a potem czekał na rogu i w niezwykłym pośpiechu wszedł do kawiarni, ale w rzeczywistości starczyło czasu, aby S. go poznał. To, że potem nadszedł Bobas Costa, czyni zajście bardziej podejrzanym; bo wiedzieli, że on ma pójść do Radio Nacional. Skąd wiedzieli?

— Następnie — rozmyślał — Schneider liczył, że S. będzie

węszyl w posiadłości Costy i jeszcze raz w La Tenaza. Wysła więc tę kobietę jako przynętę i czeka na następny krok, ten, który właśnie uczynił.

Oczywiście, to są przypuszczenia, które mogą odpowiadać prawdzie, lecz może to być również szereg przypadków. Jest możliwe, że Schneider nie szedł za nim, że z innych powodów był na tym rogu i że istotnie chciał uniknąć spotkania z nim.

A jednak nie mógł spać tej nocy. Dziwna rzecz; na nowo ujrzał oczami wyobraźni zbrodnię Calseno Paz. Ale szczegóły były inne. Pod kierunkiem czy też nadzorem Schneidera, nie tego ordynarnego, lecz jakiegoś złowroźnie surowego Schneidera, Calsen przemienił się w Costę, biedna dziewczyna z przedmieścia przeistoczyła się w kobietę z La Tenaza, siostrę i kochankę Costy. Natomiast Patricio ukazał się niewyraźnie w chwili, kiedy Costa wbijał sztydło najpierw w oczy związanego chłopca, potem w jego serce, przy czym obracał sztydło z machinalną perwersją.

NAZAJUTRZ O TEJ SAMEJ PORZE

wrócił do La Tenaza, pomyślał bowiem, że jeśli ona zechce go spotkać, przyjdzie tam również. Chciał się jednak upewnić, skrył się przeto w bramie kamienicy. Widząc jak nadchodzi, odniósł wrażenie, że zapewne uczyła się tańczyć, lecz poza tym, co jej ta nauka mogła dać, było w niej coś, czego nie sposób się nauczyć i co mają wszyscy Murzyni: poruszała się powoli i tak rytmicznie, jak poruszają się Murzyni, lecz ani jej twarz, ani kolor skóry nie wskazywały na murzyńskie pochodzenie. Była raczej wysokiego wzrostu, nosiła bardzo ciemne okulary, fioletową mini-spódniczkę i czarną bluzkę.

Weszła do baru, bawiła tam może godzinę, potem wyszła. Po chwili wahania i rozglądania się na różne strony ruszyła przez Ayacucho w kierunku Recolety.

Szedł za nią w pewnym oddaleniu i wreszcie zobaczył, że wchodzi do La Biela. Zatem domysł był trafny; on jest stałym gościem La Biela: dziewczyna go szuka. Poczekał, aż wyjdzie, ruszył za nią: znowu do La Tenaza.

S. wahał się chwilę, lecz w duchu powziął gwałtowną decyzję; trudno ocenić, ile w niej było fascynacji, ile lubieżności i nieliczenia się z niebezpieczeństwem. Wszedł i kierując się ku niej, powiedział: oto jestem. Wysłuchała go bez zdziwienia, z lekkim, nieodgadnionym uśmiechem.

I tak poczęło się grzęźnienie w fosforyzującym bagnie, z tą tajemniczą czarną panterą, co poruszała się dumnie, zmysłowo i giętko jak pantera, lecz jakby jej umysł był pod kontrolą "węża. Miała niski głos, ale wydawał się z trudnością przebijać przez gardło, jak u kogoś, kto stąpa po ciemku i boi się obudzić tego, kogo zamierza rozszarpać. Był to głos ciemny i gorący jak gęsta czekolada. Rzecz osobliwa: czy za nią krył się Schneider, tego nie mógł wiedzieć. Przeczuyał jednak, że tym narzędziem dokonuje powoli skomplikowanego dzieła zniszczenia.

Istnieje — pomyślał w jakiejś chwili — wiele foim kaźni. — Może — pomyślał dużo później — jedną z nich będzie ofiara Agustiny.

O, BRACIA MOI! Jujuy, 30. Zamarzły na śmierć dwie siostry, trzynasto- i dziewięcioletnia Calixta i Narcisa Llampa. Wyszły do domu ze szkoły nr 36, położonej w górach. Zmęczone i zziębnięte zatrzymały się i usiadły przy drodze, tymczasem ich brat odszedł szukać pomocy. Kiedy wrócił z woźnicą, siostrzyczki były już martwe. Może w poszukiwaniu odrobiny ciepła objęły się ramionami i tak zaskoczyła je śmierć.

Nacho wyciął tę wiadomość z gazety, wziął pudło od butów, na którego wieku napisał kiedyś czarnym flamastrem:

Uśmiechaj się, Bóg ciebie
kocha.
(W wypadku pożaru proszę
zabezpieczyć to pudło)

Dołożył nowy wycinek do stosu.

Los Angeles, Kalifornia — tu zamieszkały trzydziesto-^{ośmioletni} John Grant był zadłużony i chcąc zrównoważyć budżet ubezpieczył żonę i dwoje dzieci na 25 tysięcy dolarów, po czym zorganizował im podróż wakacyjną samolotem umieszczając równocześnie w jednej z walizek bombę zegarową. Został aresztowany w chwili, kiedy podejmował ubezpieczenie. W aferę wmieszana była stewardessa, która została na ziemi, zamiast objąć służbę w swoim rejsie.

Bonn, Republika Federalna Niemiec. — Będzie wznowiony proces Rudolfa Reineckiego, szefa obozu koncentracyjnego. Jest 261

oskarżony o zamordowanie 120 tysięcy Żydów. Zatrzymano również Annę Hess znaną jako „Hiena z Dachau”. Wraz z Reineckem jest oskarżona o używanie tłuszczu i skóry więźniów do fabrykacji mydła i abażurów. Oboje pozostawiono na wolności z braku pełnych dowodów.

Oferujemy usługi naszych zdolnych i doświadczonych słuchaczy. Za umiarkowaną opłatą wysłuchają wszystkiego, co zechcecie powiedzieć. Podczas słuchania twarze naszych słuchaczy wyrażają zainteresowanie, litość, sympatię, zrozumienie, nienawiść, rozpacz, wściekłość lub radość, w zależności od wymogów chwili. Adwokaci i politycy, prezesi klubów i księża wiele korzystają wygłaszając dla próby przemówienia wobec naszych ekspertów. Zapraszamy również osoby samotne, które nie mają z kim rozmawiać. Każdy może nie krępując się przedstawić im swoje problemy domowe bądź seksualne, swoje pomysły i wynalazki, bez obawy pogwałcenia tajemnicy. Dla potwierdzenia służymy licznymi świadectwami. Popuść wodze uczuciom wobec naszego słuchacza, a rychło zauważysz dobroczynne skutki. Southern Listening Bureau, Little Rock, Arkansas.

Rzym, AFP. Arcybiskup Helder Camara zrelacjonował dziennikarzom i członkom episkopatu, w jaki sposób brazylijska policja wojskowa organizuje kursy dla oprawców. 8 października 1969 około 4 po południu grupa złożona ze stu wojskowych, po większej części sierżantów wszystkich trzech rodzajów broni, była obecna na wykładzie porucznika Hayltona, który wyświetlał im zdjęcia robione podczas tortur i tłumaczył walory każdej z metod. Po wykładzie teoretycznym jego pomocnicy (cztery sierżanci, dwaj kaprale i jeden szeregowiec) urządzili praktyczny pokaz na 10 więźniach politycznych.

Buenos Aires, Telam. Wczoraj w nocy Daniel Fuentes, lat 20, nagrał na taśmie przyczynę swojej decyzji. Potem przywiązał magnetofon do ciała, przeszedł na patio, przywiązał jeden koniec grubego drutu do poprzecznej belki altany a drugi do swojej szyi. Wreszcie wspiął się na gzyms i strzelił sobie w prawą skroń „na wypadek gdyby jeden ze sposobów zawiódł”, jak tłumaczy na taśmie. Padając ciężko w próżnię, zawisnął na drucie. Tak znalazł go ojciec, który przybiegł na odgłos strzału. Dziewczyna wymieniona na taśmie, dowiedziawszy się o tym oświadczyła „Co za wariat, caramba”.

Buenos Aires. Pan Alvan E. Williams w momencie wychodzenia z samolotu uśmiecha się. Zamierza rozwinąć szeroko zakrojoną reklamę rozpowszechnienia swoich słynnych suchych dezodorantów. Przyszłość — oświadczył stanowczo — należy do dezodorantów suchych i trzeba, aby tutejszy rynek to zrozumiał. Jestem przekonany, że niebawem nasze starania zaowocują pomyslnie.

New Jork, A. P. Profesor Linus Pauling, dwukrotna Nagroda Nobla, potępia próby nuklearne na Pacyfiku, twierdząc iż fałszywe jest oświadczenie naukowców, jakoby promieniowanie wywołane przez te próby nie było szkodliwe dla ludzi. Na każdą 200-megatonową bombę 500 tysięcy dzieci urodzi się z defektami umysłowymi i fizycznymi i tyleż mniej więcej będzie podatnych na raka.

Specjaliści perfumerzy pracują nad projektem wytwarzania perfum i aromatów wywołujących wspomnienie drogich sercu bądź pamiętnych scen: wrażenie świerkowego lasu, w którym ewentualny nabywca był z obecną małżonką, łąki bezpośrednio po deszczu, czy salonu, gdzie wygłosił przemówienie z okazji inauguracji przedsiębiorstwa lub rocznicy klubu eto. Zamierza się wytwarzać namiastki zapachu warzyw, świeżych liści, kory drzewnej, owoców i grzybów, dymu, świńskiej skóry, spoconych włosów, tytoniu i słonej wody. Niektóre zapachy, jak na przykład spalonego drewna, mają być dodawane do mięsa pieczonego elektrycznie, które tym sposobem nabierze doskonałego aromatu mięsiwa pieczonego na ogniu. „The American Perfumer”.

Lansing, Texas. — Murzyn Dudley Morgan, oskarżony o akt agresji wobec pani McKay i ścigany przez uzbrojonych, rozwścieczonych białych, został przez nich schwytany i przywiązany do żelaznej lancy. Oprawcy przygotowali duży stos drzewa i łatwopalnych materiałów. Przy rozpalaniu zebrał się pięcioletni tłum. Płonącymi drzazgami wypalili Murzynowi oczy, potem pierś i gardło. Na jego błagania o szybką śmierć przez zastrzelenie tłum reagował wrzaskiem. Żądano długiej mę- ; czarni i odsuwano materiał palny tak, że spalenie Morgana przeciągało się ku jego straszliwej męce. Zapach palonego ciała stawał się nie do zniesienia, niemniej tłum parł naprzód nie chcąc nic stracić z widowiska. Pani McKay przyjechała samochodem z czterema przyjaciółkami, ale z powodu ścisłości nie mogła się 263

zbliżyć. Przed śmiercią Murzyn zdołał jeszcze szepnąć „Pożegnajcie moją żonę”, po czym opadła mu głowa. Kiedy ogień doznał dzieła, wiele ludzi podchodziło bliżej zabierać pamiątki: kawałki czaszki i inne kości. Wśród okrzyków radości oprawców niesiono na rękach i fotografowano.

Londyn. U. P. Turyści, którzy przyjechali w lecie na Wyspy Fryzjskie, chcąc dostać się do morza musieli wyłobić ścieżkę w plaży, ponieważ plaże były pokryte olejem. Hymn Lorda Byrona do czystego i błękitnego Morza Północnego opiewa krajobraz, którego już nie ma. W ciągu tych stu lat osady przemysłowe, niesione przez ohydne holenderskie kanały, stanowią według orzeczenia inżyniera Łucka „haracz, który płacimy za postęp”. Sir Gilmor Jenkins twierdzi, że powierzchnię tego morza pokrywa pół miliona ton ropy. Kwasy, amoniak, środki owadobójcze, detergenty, cyjanki, fenole, wody kloaczne i materiały węglowe, jak również tytan i odpadki rtęci docierają codziennie do morza. W następstwie, na samym wybrzeżu brytyjskim ginie rocznie 250 tysięcy ptaków morskich. W niedługim czasie całe życie morskie zostanie unicestwione lub zdegenerowane przez przemysł.

Tylko rasowy dyplomata mógł w ten sposób wybrnąć z sytuacji. W dniu 25 maja protokół w Casa de Gobierno wymaga na powitanie prezydenta fraka z czarną kamizelką, natomiast ambasador, o którym mowa, nie znając jeszcze zwyczajów obowiązujących w kraju, zjawił się w żakiecie. Wszedłszy do sali i ujrawszy dyplomatów we frakach bynajmniej nie okazał zmieszania i stanął w miejscu przeznaczonym dla niego. Przegląd tygodniowy dziennika „La Nación”, Buenos Aires.

Buenos Aires, „La Razón”. Miguel Kiefer, pięćdziesięciodziewięcioletni Rumun, miał farmę w Chaco, Pampa del Infierno, gdzie pracował wraz ze swoją żoną, czterdziestosześcioletnią Margaritą Schmidt, i synami Juanem i Jorgem. Ten ostatni ożenił się z dwudziestojednoletnią Teodora Diebole. Teodora miała zostać matką, a ponieważ dziecko byłoby ciężarem, teściowa postanowiła usunąć płód i w tym celu zadawała synowej męczarnie, czemu syn nie śmiał się sprzeciwić. Gdy męki okazały się nieskuteczne, rodzina po naradzie postanowiła zabić Teodorę. Miała zostać ukłuta przez yararę, przyniesioną w koszu z bielizną. Żona Kiefiera kazała synowej wyjąć z kosza bieliznę i wtedy wąż ukąsił Teodorę. Jednakże działanie trucizny opóźniło się i rodzina, w obawie że Teodora nie umrze, za-

siadła w wozie, a ją przywiązali postronkiem i kazali jej biec za wozem. Kobieta oszalała z pragnienia i z bólu — jak potem zeznał przed sądem jej mąż — błagała o litość. Lecz wyrok śmierci już zapadł. Chcąc ją przyśpieszyć teściowa ścisnęła chustką szyję Teodory i udusiła ją.

Paryż, A.F.P. — Thor Heyerdahl podróżował w r. 1947 na „Kon-Tiki”, a w 1969 na „Ra”. Podczas drugiej ekspedycji zauważył — jak podaje — różnicę między obiema. W 1947 — powiada — ocean był zupełnie jasny i w ciągu 101 dni żeglugi na przestrzeni 4300 mil nie widzieliśmy śladu człowieka. Natomiast w 1969 nie było dnia, abyśmy nie żeglowali pośród różnego rodzaju śmieci. Wciąż płynęliśmy wśród plastikowych naczyń, szklanych butelek, puszek i plam oleju. Nie były to tradycyjne odpadki, które w końcu przemieniają się w inne pożyteczne formy życia organicznego, lecz materiały syntetyczne nie ulegające dalszym przemianom. Nie mamy żadnych wytycznych, dokąd pragniemy iść, ale bezustannie fabrykujemy — zakończył zło-wróźnie.

Nowy Jork, A.F.P. — Żołnierz Arnold W. Mc Gili, oskarżony o ludobójstwo, oświadczył, że nie rozumie, dlaczego robi się tak dużo hałasu o jedną wioskę wietnamską, kiedy tę metodę stosowało się regularnie, o czym generałowie Pentagonu doskonale wiedzą. — Ja tylko słuchałem rozkazów kapitana Mediny — powiedział. I dodał: — Z drugiej strony ta wioska porządnie nam się dała we znaki.

Bromwich, V.P. — Bili Corbet oświadczył sędziemu, że od siedmiu lat nie powiedział do żony ani słowa, mimo iż mieszkają pod jednym dachem. W miejscowym sądzie pani Corbet to potwierdziła: „Od wielu lat nie rozmawiamy ze sobą. Kiedy jedno wchodzi do pokoju, drugie wychodzi. Spotykamy się rzadko, czasem na schodach albo w drzwiach łazienki”. Nadmieniła, że od jakiegoś czasu przygotowuje mu posiłki, stawia na stole i pisze na kartce: zupa jest już posolona, sos jest odgrzany. Tego rodzaju wiadomości. Ale ostatnio ustała nawet taka komunikacja.

Tokio, A.F.P. Tego dnia, kiedy rzucono bombę na Hiroszimę — opowiada pan Yasuo Yamamoto — jadąc z rana rowerem usłyszałem warkot samolotów. Ale nie zwróciłem na to uwagi, bo w tych czasach byliśmy do tego przyzwyczajeni. Dwie minuty później ujrzałem wznoszący się olbrzymi słup ognia 265

pośród okropnych wybuchów jakby tysiąca grzmotów naraz. Moim rowerem rzuciło w powietrze, a ja upadłem za jakiś mur. Kiedy już mogłem się wspiąć, zobaczyłem potworny zamęt, usłyszałem obłądne krzyki dzieci i kobiet, jak również wołanie o pomoc osób zapewne ciężko rannych i umierających. Pobiegłem do domu, a po drodze widziałem ludzi ściskających rękami ogromne rany, innych zalanych krwią, osmalonych. Wszyscy okazywali największy przestach, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem, i niewymowne cierpienie. Po drugiej stronie dworca widać było morze ognia i wszystkie domy zburzone. Bałem się pomyśleć o moim jedynym synu Masumi i o mojej żonie. Kiedy w końcu udało mi się pośród gruzów i pożarów dotrzeć do miejsca, gdzie stał mój dom, nie zastałem już ścian, podłoga była przechylona jak od trzęsienia ziemi, a na niej leżały stosy stłuczonych szyb, kawałki drzwi i sufitów. Moja małżonka, raniona, wzywała syna, który wyszedł po jakiś mały sprawunek. Szukaliśmy go wszędzie, aż usłyszeliśmy, że jakieś gołe stworzenie, prawie bez skóry i bez włosów, jęczy »a ziemi, nie mając nawet sił się skurczyć. Ze zgrozą spytaliśmy, kim jest, a ten nieszczęsny szepnął prawie niedosłyszalnie jakimś dziwnym głosem: Masumi Yamamoto. Położyliśmy go na desce drzwiowej i z niezmierną ostrożnością, bo był jedną żywą raną, i ponieśliśmy do jakiegoś miejsca pomocy. O kilka domów dalej zobaczyliśmy długą kolejkę osmalonych rannych, którzy czekali, aż zatroszczy się o nich lekarz albo pielęgniarz, także ranni. Myśleliśmy, że na sze dziecko nie wytrzyma dłużej, więc poprosiliśmy jakiegoś wojskowego lekarza, aby nam dał coś na uśmierzanie bólu. Dał oam oleju, aby go poleć, i uczyniliśmy to. Mały spytał nas, czy umrze. Z mocą odrzekliśmy, że nie, że wkrótce się wyleczy. Chcieliśmy go odnieść do domu, ale prosił, aby go nie ruszać z miejsca. O zmroku trochę się uspokoił, ale ciągle miał pragnienie. Choć nie wiedzieliśmy, czy mu się od tego nie pogorszy, dawaliśmy mu pić. Chwilami majaczył, słów się nie rozumiał. Po jakimś czasie wydawał się odzyskiwać przytomność i spytał nas, czy to prawda, że istnieje niebo. Moja małżonka była oszołomiona i nie potrafiła odpowiedzieć, ale ja powiedziałem, że tak, że niebo istnieje, że to jest bardzo piękne miejsce, gdzie nie ma wojen. Słuchał tych słów uważnie i chyba się uspokoił. „No to lepiej, żebym umarł”, szepnął. Nie mógł już prawie oddychać, pierś wznosiła mu się i opadała jak miech, a moja żona płakała po cichu, aby on nie słyszał. Potem nasz synek znowu zaczął bredzić i już więcej nie prosił wody. Po kilku minutach na szczęście przestał oddychać.

List pana Lippmana, z Eureka, Colorado, do Sekretarza Generalnego ONZ, opublikowany w „New York Times”.

Szanowny Panie:

Niniejszym pragnę zawiadomić pana, że postanowiłem zrezygnować z przynależności do rodu ludzkiego. Możecie zatem pominąć mnie w traktatach i dyskusjach, które to Stowarzyszenie zamierza w przyszłości realizować.

Pozdrawiam Pana, z poważaniem

Cornelius W. Lippman.

SPOŚRÓD WYCINKÓW

Nacho wybrał trzy, które zamierzał włączyć do swojej galerii ściennej.

Ogromny dwudziestocentymetrowy anons na dwie szpalty zatytułowany: **BÓG MA TELEFON! 80-3001. Wezwać w nagłym przypadku.**

Ciekawy wydawał mu się także anons w „La Nación”, umieszczony koło ważnych wiadomości: **Precz z samotnością! Złatwiamy odpowiednio do poziomu towarzysko-finansowego i kulturalnego. Obydwie płci. Ludzkość, zrozumienie, doświadczenie, prawdopodobność i rezerwa. Estudio Astral. Dyrektor E. Matienzo Pizarro, Cordoba 966. Dzwonić o wyznaczenie godziny przyjęcia nr 392-2224.**

Przyczepił anons do ściany i zadzwonił pod wskazany numer, a kiedy panienska odpowiedziała: „Dobry wieczór, tu Estudio Astral”, zawołał: **Hau! Hau! Hau!**

Na zakończenie dzieła zawiesił ponad zdjęciem wychodzącego z kościoła Anouilha w zakcie okładkę numeru „Readers Digest” z wielką fotografią Paula Claudela, na której ten wytworny dyplomata i gruby, lecz pełen godności poeta metafizyk spozierając przenikliwie na czytelnika powiada: **CZYTAJCIE „READER’S DIGEST”!** Napomnieniu towarzyszyły rozsądne słowa o podstawowym znaczeniu.

Potem wyszedł z domu. Udał się do zoo.

W TO POPOŁUDNIE S. DŁUGO WĘDROWAŁ

czekając na umówioną godzinę spotkania z Norą. Dotarł do placu Italia, skąd przez Avenida

Sarmiento podążył w stronę ogrodu zoologicznego. Szedł bez ustalonego kierunku. Wpadł mu w tej chwili do głowy ten zwrot, co dowodziło, według opinii Bruna, że nawet pisarze dają się

267

unieść przez potoczne wyrażenia, tyleż powierzchowne co złudne. Zawsze bowiem idziemy w ustalonym kierunku, niekiedy wynikającym z naszej woli, raczej świadomie, a w innych wypadkach może bardziej decydujących dla naszej egzystencji, z woli nie znanej nawet nam samym, a jednak potężnej i nieugiętej, która każe nam podążać do miejsc, gdzie mamy się spotkać z kimś lub z czymś, co w taki czy inny sposób jest albo będzie decydujące dla, naszego losu, sprzyjając naszym pozornym pragnieniom lub tłumiąc je, wzmagając nasze niepokoje lub je hamując, i co dziwniejsze, okaże się w końcu, że na dłuższą metę raczej ona miała rację niż nasza świadoma wola.

S. czuł pod stopami miękkie liście platanów, zerwane przez wiatr o szarej godzinie tak smętnej w dniu świątecznej, zwłaszcza w tej dzielnicy, kiedy matki i piastunki wyprowadziły już z ogrodu rozbawione dzieci, a marynarze, wygnani przez mżawkę i wiatr, weszli do barów w ulicy Santa Fe, ten ze swoją stałą dziewczyną, tamten ze skromną kurewką, która przyszła z nim na gorące *submarino* * z rogalikami.

Nikogo nie było na tym opuszczonym chodniku, z wyjątkiem chudego chłopca, który z rozkrzyżowanymi ramionami trzymał się oburącz prętów kraty i zaglądał do wnętrza zoo. Statyczny i jak widać obojętny na deszcz, bo miał na sobie tylko spłowiałe dżinsy i wystrzępioną bluzę, wyglądał niezgrabnie i nieco groteskowo.

Podszedłszy trochę bliżej S. spostrzegł, że to był Nacho, i momentalnie zatrzymał się, jak gdyby miał coś złego popełnić lub kogoś zaskoczyć na jakiejś intymnej czynności. Oddalił się zatem robiąc okrążenie, w obawie że chłopiec przestanie się wpatrywać w milczący ogród pełen zwierząt zbłąkanych niczym upiory. W końcu, gdy już był dosyć daleko, zafascynowany jego obecnością i tą statyczną kontemplacyjną postawą, stanął, by go obserwować spoza platanu.

KIEDY miał znowu siedem lat i z dala od obszaru brudu
NACHO i rozpaczy siedział na ziemi w cieniu małego kiosku i sylabizował *Czerwony promień* czując miarowy oddech łaciatego kundla Milorda, wyciągniętego u jego stóp i drzemiącego w spokojnym poczuciu bezpieczeństwa tego świata pod osłoną Potężnych i Dobroczynnych Sił, zwłaszcza po dwakroć olbrzymiego na swoim niskim stołku Carlucha, który powolutku pił mate z fajansowej czarki i o tej

* *submarino* — kawałek czekolady w gorącym mleku (przyp. tłum.)

filozoficznej godzinie pogrążony był w rozmyślaniu; rozmyślaniu temu (według Brana) wcale nie przeszkadzała obecność malca i Milorda, raczej przeciwnie, ułatwiała je i pobudzała, gdyż jego Myśli nie były przeznaczone wyłącznie dla niego samego, lecz — taka była jego natura — dla ludzkości w ogóle i dla tych dwóch bezbronnych istot w szczególności. Przeto gdy malec czytał *Czerwony promień*, a Milord śnił zapewne o pięknej kości i o tych ślicznych świątecznych spacerach na wyspę Maciel, Carlucho formułował swoje poglądy na Misję Pieniądza, Rolę Przyjaźni i Smutek Wojny.

W tej chwili, czy to wskutek jakiegoś wspomnienia, czy myśli pobudzonej bajeczką, Nacho, trzymając broszurkę otwartą na czytanej stronicy i wznosząc oczy ku przyjacielowi, powiedział: „Carlucho”, a siwowłosy olbrzym o atletycznych barach odparł machinalnie: „że co”, nie porzucając myśli, które w tej chwili zaprzętały mu głowę.

— Bo ja do ciebie mówię, a ty nie słuchasz — utyskiwał malec.

— Ależ ja słucham, Nacho, ja słucham.

— No to mi powiedz, jakim zwierzęciem chciałbyś być.

' Nieraz już dyskutowali o tygrysach i lwach. Przewodnia myśl była mniej więcej taka: tygrys jest jak kot, lew jest jak pies. Śmieszne: obydwaj woleli psy. Lecz to pytanie było bardziej skomplikowane i Nacho, znając Carlucha do głębi, nie zapytałby tak głupio. O, nie.

— No to powiedz, jakim byś chciał być zwierzem.

Nie spodziewał się szybkiej odpowiedzi, wiedział, że Carlucho lubi być sprawiedliwy i nie odpowie czego bądź, byle go zbyć. To nie sztuka powiedzieć na przykład: chciałbym być słoniem, i już. Carlucho nie powie czegoś fałszywego albo czegoś, co byłoby obraźliwe dla jakiegokolwiek, zwierzęcia, czy byłby to ptak, czy dzika bestia, wszystko jedno. Toteż pytanie nie było łatwe. Nacho nie na próżno głowił się nad nim to był plan długo obmyślany.

Carlucho pociągnął spory łyk matę i jak to było znamienne dla niego, kiedy się głęboko zastanawiał, wbił błękitne oczy w zielonkawy daszek na wieżyczce, co sterczała nad ulicą Chilclana, i szepnął do siebie: „jakbym miał być zwierzem”.

— Ale jakim? — popędział niecierpliwie Nacho.

— Poczekaj no... Co ty sobie myślisz, Nacho, że to tak łatwo odpowiedzieć?... Poczekaj troszkę...

Nacho wiedział aż nadto dobrze, że jak mu nabrzemiewają te żyły na szyi, to dlatego że mocno myśli. Ucieszył się więc tym obrzmieniem, bo już od dawna myślał sobie, że takim pytaniem 269

na pewno wprawi Carlucha w kłopot. Kogo innego nie, Kto inny odpowiedziałby, że słoniem albo tygrysem, albo lwem, i koniec. Carlucho jest inny, Carlucho musi rozważyć wszystkie pro i contra, musi powiedzieć ni mniej, ni więcej tylko to, co uważa za słuszne, bo „co prawda to prawda”.

— Ja ci powiem, smyku: nigdy nad tym nie myślałem, nigdy a nigdy. Trzeba się namyślić.

Delikatnie odsunął nogą Milorda, który miał przekłety zwyczaj z rozpędu lądować aż pod czajnikiem z wrzącą wodą, i znowu przeniósł spojrzenie na zielonkawy daszek.

— No? — napierał Nacho, który cieszył się tym bardziej, im dłużej to trwało.

Carlucho rozłościł się. Tego Nacho się lękał, bo jak twierdził sam Carlucho odzyskawszy spokój: jak się rozeźli, to lepiej z nim nie zaczynać.

— Jakie „no”, co ty sobie myślisz właściwie? Przecież ci powiedział, że muszę się namyślić? No nie?

Nacho cały się skulił i czekał, aż burza minie.

Carlucho podniósł się i zaczął układać prosto czasopisma, czekoladki, paczki papierosów. Wszystko szeregiem, jak zdyscyplinowane, schludne wojsko, najmniejsza niedokładność mierzyła go: nic nie jest tak przykre, jak widzieć, że coś nie jest, „w szyku”. Uspokajał się stopniowo i z powrotem siadł na stołeczku.

— Bo ty musisz człowieka zirytować. Zastanów się tylko, ile jest zwierzyny: tygrysy, lwy, słonie, osty, kozy, bo ja wiem... już me mówię o robactwie: mrówki, pchły. Albo chociaż szczyry... Trudno wybierać. A ty mi każesz tak łapu capu.

W zamyśleniu pociągnął matę i Nacho pojął, że rozmyślanie dobiega końca, bo na twarzy Carlucha pojawił się cień wewnętrznego uśmiechu, tak dobrze mu znany.

— Jakbym ja miał być zwierzyną... — wstał, postawił czarkę na skrzyni służącej mu za kuchenkę i z wielkim spokojem, obracając się do chłopca, odrzekł:

— Wiesz, co ci powiem, smyku: popotamem.

Nacho aż podskoczył. Nie żeby się zdziwił, po prostu był wściekły, bo myślał przez chwilę, że Carlucho robi z niego balona.

— Zwariowałeś? — krzyknął.

Carlucho spojrział surowo a jego twarz wyrażała zimny spokój, który zwykle poprzedzał najgorsze wybuchy złości.

— Nie podoba ci się popotam? — spytał mroźnym tonem. — Niby dlaczego?

Nacho spokojnie i nic nie powiedział.

— Pytam się, co w popotamie jest złego?

Milord skurczył się, nastawił uszu i patrzył trochę przestraszony. Nacho ostrożnie obserwował Carlucha. Jego mina nie wróżyła nic dobrego, najmniejsze słowo mogło wywołać katastrofę.:

— Ja nie powiedziałem, że hipopotam jest zły — ośmielił się szepnąć nie spuszczać oka z twarzy przyjaciela.

Carlucho zmierzył go piorunującym spojrzeniem.

— Aleś wyskoczył jak kipiące mleko.

— Wcale nie wyskoczyłem. Myślałem tylko, że mogło ci się spodobać jakieś inne zwierzę.

Carlucha ta odpowiedź nie zadowoliła.

— No to mi powiedz, co ty widzisz złego w popotamie — nalegał z zimnym spojrzeniem.

Nacho mierzył niebezpieczeństwo. Jeżeli cofnie, co powiedział, i zacznie dobrze mówić o hipopotamie, Carlucho posądzi go o kłamstwo. Przeczynał, że lepiej będzie powiedzieć coś złego.

— A bo ja wiem — wahał się. — On jest strasznie brzydki.

— No to co, że brzydki, to nie jest takie ważne.

— Ale do tego jest głupi.

— Głupi? Kto ci powiedział, że popotam jest głupi?

— Ja... ja nie wiem... tak mi się zdaje.

— Że tobie się tak zdaje, to on już koniecznie musi być głupi?

Nacho kontrolował go, jakby obawiał się wybuchu bomby. Starał się go uspokoić.

— A może to nieprawda... bo ja wiem...

— To po co gadasz, jak nie wiesz. Kiedy ty już nareszcie zmadrzejesz?

Sprzedził paczkę papierosów, resztę ułożył w nienagannym szyku i usiadł. Wiedział Nacho, że lepiej go zostawić, żeby się powoli uspokoił, i nie mówić już o hipopotamach. Już tyle razy pozostały nierozwiązane problemy Carlucha dotyczące się pieniędzy, okrętów wojennych, mody damskiej lub bułek z masłem.

Musiało minąć sporo czasu, zanim znowu poruszy temat zwierząt. Carlucho był jak wielka nizinna rzeka, powolna i na pozór spokojna, lecz pełna niebezpiecznych wirów, w których łatwo utonąć. A jaka jest groźna, kiedy nadchodzi burza i wo da wzbiera! Carlucho nie cierpiał, kiedy jego przemyślanych wynurzeń nie brano poważnie. Pewnie, czasem lubił pożartować. Ale kiedy mówił serio, to złość go brała, gdy nie rozumiano, że mówi serio. Dużo gorczy mu zadała ta historia z hipopotamem i kilka dni był obrażony: milczał albo odpowiadał półsłówkami,

Aż kiedy wszystko minęło i znowu mogli po przyjacielsku rozmawiać na nie kończące się tematy, Nacho poruszył sprawę, ale ogólnie, o zoo.

— Jakbym ja był rządem — zaopiniował Carlucho — tobym zamknął zoo. Ot, co.

— Dlaczego, Carlucho? Ja tak lubię chodzić do zoo. Lu bię patrzeć na zwierzęta. A ty nie lubisz?

— Ja nie. Nie lubię. Wcale nie lubię. Wiesz, co ci powiem, smyku: jakbym ja był rządem, to nie tylko że bym zamknął zoo, ale do kryminału bym powsadzał tych łajdaków, co jeżdżą do Afryki i łapią dzikie zwierzęta.

Nacho spoglądał na niego zdziwiony.

— Ty się dziwisz, co?

Podniósł się, aby sprzedać papierosy i z powrotem siadł na stołeczku.

— Tak jest, jak ci mówię — powiedział uroczyście. — Tę całą hołotę tobym wsadził do ciupy. Ciekaw jestem, czy im się spodoba siedzieć za kratą jak ten lew albo tygrys.

Obrócił się do Nacha:

— A tobie by się podobało siedzieć w klatce?

— Mnie? No, pewnie że nie.

Carlucho energicznie się podniósł i rozpromieniony celując weń wskazującym palcem, niczym prokurator w oskarżonego, zawołał:

— A widzisz? Alem cię złapał na flagranta! Widzisz?

Siadł, uspokoił się, pociągnął matę i zadumany spozierał na zielonkawy daszek.

— Taki już jest ten skurwiony świat.

Raptem znowu wpadł w furję.

— Ty mi powiedz, Nacho, jeżeli ty nie lubisz siedzieć w klat ce, to dlaczego lew albo tygrys ma lubić? Co? One jeszcze do tego są przyzwyczajone być w dżungli i swobodnie biegać po świecie.

Nacho milczał.

— Przecież mówię do ciebie. Czemu nic nie gadasz? — na legał energicznie.

— Tak, Carlucho, masz rację.

Carlucho począł się uspokajać, ale długo siedział na swo im stołku nic nie mówiąc. Potem przyszło kilku klientów.

— Papierosy, papierosy! Nic, ino kurzyć. Fabrykantów pa pierosów też bym powsadzał do kryminału. Bo to wszystko jest interes. Przy trzydziestce, niby jak mój stary miał trzydzieści lat, to mu doktor Helguera powiedział: don Rossi, albo pan prze stanie palić, albo pan za pół roku wyciągnie kopyta.

— I co on zrobił?
— Mój stary? Co miał zrobić, przestał palić i już. To był mężczyzna, nie jak te dzisiejsze patałachy, co dzisiaj tak a jutro inaczej, dziś powie, że może, jutro, że nie może, że nałóg, że nie nałóg. Wszystko pedały.
— Pedały?
— Jak dorosisz, to się dowiesz.
— To on przestał palić?
— Nieboszczyk mój stary był jak ten mur. Aż do samej śmierci nie tknął papierosa.
Nacho pragnął nakierować rozmowę na temat hipopotama.
— Ale powiedz, Carlucho, jak nie będzie zoo, gdzie dzieci będą chodziły patrzeć na zwierzęta?
— Gdzie? Nigdzie.
— Dlaczego nigdzie? To nie będą JUŻ oglądać dzikich zwierząt?
— Nie będą. Nikt xxi tego nie umrze, że nie zobaczy lwa w klatce. Lew ma być[^] dzungli. Ze swoim ojcem i ze swoją matką, jak jest jeszcze szczeniakiem. Albo jak jest dorosły, to ze swoją lwicą i z dziećmi. A tych łajdaków, co na niego polują, tobym wsadził na jego miejsce do klatki w zoo.
Nacho patrzył w niego jak urzeczony.
— Ty lubisz ze mną rozmawiać, prawda że lubisz?
— No, pewnie.
— To dobrze, a ty myślisz, że zwierzęta nie rozmawiają? Że jak ryczą, to już nie mogą rozmawiać? Czy ty wiesz, co to znaczy być niedźwiedziem w klatce, zawsze tylko stąd dotąd i z powrotem, i znowu stąd dotąd, i znowu to samo, zawsze sam jeden, zawsze zamyślony?
Przerwał wpatrując się w zielonkawy daszek. — Aż dziw, że nikt tego nie kapuje. A ja lubię robić próbę — podjął po chwili. Wiesz, co ja raz zrobiłem?
Uśmiech zapowiadał, że próba była udana.
— Wiesz, com zrobił? Poszedłem do zoo, tak po modlitwie, mniej więcej.
— Dlaczego po modlitwie?
— No tak, koło wieczora. Jak już zamknęli zoo. Widziałeś tę kratę, co wychodzi na aleję Sarmiento?
— Widziałem.
— Więc to już był zmierzch, dzieciaki już poszły do domu wypić mleko, dozorczy zamknęli bramę. Właściwie nie było niko go. Trzeba widzieć, jak wtedy zoo wygląda. Ja widziałem.
— Co widziałeś?
— Zoo, jak nikogo nie ma.

273

— I jak to wygląda, Carlucho?
Carlucho spuścił głowę i począł gałązką od miotły rysować coś na ziemi.
— Oj, smutno — szepnął.
— Pewnie, bo nie ma dzieci, bo nie dają im cukierków i herbatników. To dlatego.
Carlucho zirytował się.
— Ej, nic, nie kapujesz. Co tam cukierki i herbatniki! Jak są dzieciaki, to zwierzyna ma rozrywkę. Jasne, że ma rozrywkę. Jedno więcej drugie mniej, ale każde jedno zwierzę lubi dzieciaki. Rozumiesz? ono ma rozrywkę!
Nacho nie rozumiał. Carlucho egzaminował go jak nauczyciel niezdolnego ucznia.
— Przypuśćmy (to jest przypuszczenie), że umarł twój ojciec, na ten przykład, i nadchodzi przyjaciel i opowiada ci o meczu piłki nożnej, że River wygrała z CGT. Oderwał cię od smutnych myśli. Nie mówię, że on nie powinien być tego zrobić, jeżeli cię kocha. Zrobił dobrze, był w porządku.
Nacho spoglądał nań zdziwiony.
— Ty mnie nie rozumiesz. To widać po twoich oczach. Skupił się. Żyła na szyi poczęła nabrzmiewać.
— Ja me mówię, że to jest źie, jak przyjaciel opowiada ci o River. Ino żeby ci ojciec nie umarł. Kapujesz, co ci mówię?
Patrzył na chłopca chcąc się dowiedzieć, czy myśl do niego trafiła.
— Kapujesz? Ja nie jestem przeciw temu, żeby dzieciaki chodziły do zoo i dawały małpom ciastka. Ja mówię, że nie ma być zoo. Dlatego zrobił próbę.
— Jaką próbę?
— Patrzeć na zwierzynę wieczorkiem, jak już się ściemnia. I one zostają same, samiusieńkie, bez dzieciaków, bez niczego.
Znowu począł rysować gałązką na ziemi. Po długim milczeniu podniósł głowę i chłopcu wydawało się, że oczy miał zamglone.
— A co zobaczyłeś, Carlucho?
— Co zobaczyłem?
Wstał, poprawił jakieś pudełko, po czym odpowiedział:
— Jak ci się zdaje, com mógł zobaczyć? Samotną zwierzynę. To zobaczyłem.
Usiadłszy mówił jakby do siebie.
— Był tam taki jeden wielgachny zwierz, nie wiem, co za jeden. Trzeba go było widzieć. Stał skulony i patrzył w ziemię, nic ino patrzy! w ziemię. Taki wielgachny. Wcale się nie ruszał, nie. Myślał. Tobie się zdaje, że jak zwierzyna nie mówi,

to już nie myśli. One są jak ludzie: hodują młode, pieczą swoje dzieci, płaczą, jak im zabiją żonę. Kto tam wie, co on myślał. A powiem ci, że im większy, tym więcej mi go szkoda. Nie wiem, tych takich małych to czasami nie lubię. Potrafią doku-
czyć, pchła, powiedzmy. A wielka zwierzyna... Lew, na ten przykład. Albo popotam. Kapujesz, jak jemu musi być smutno nigdy już nie wrócić do dżungli, nigdy a nigdy? Do wielkiej rzeki, do jeziora? Pomilczał.

— A wiesz, co było potem?

— Co było?

— Mówiłem do niego.

— Do kogo?

— No do kogo, przecież do tego zwierza, bizona, czy jak mu tam. Ale on się nie ruszył. Pewnie, mógł mnie nie słyszeć. Bo przecież nie mogłem stać i wrzeszczeć przez kratę. Wzięli by mnie za wariata.

— A coś mu powiedział?

— E, tam... Ot, głupstwo. Zwierzę, powiedziałem. Zwierzę.

I już.

— A odpowiedziało?

— Nie, naturalnie. Ale przynajmniej na mnie popatrzyło.

I już.

— Chyba nie dosłyszało.

— Pewnie. Musiałem po cichu mówić.

Zamilkli. Potem rozmawiali o innych rzeczach, lecz w końcu Carlucho podjął temat na nowo.

— Wiesz co?

— Co?

— Ja bym mógł być doktorem. Ale nie weterynarzem.

— Dlaczego?

— Właśnie dlatego. Może one między sobą rozmawiają. Pewnie rozumieją się między sobą, jak my. Jak jesteś doktorem i ktoś ci powie, tu a tu mnie boli, to wiesz. Masz rozeznanie. Ale jak możesz mieć rozeznanie z popotamem? Albo z lwem? Przedstaw sobie, ten król puszczy leży, nie ma nawet sił głową ruszyć i patrzy na ciebie smutnym okiem, prosi, żebyś mu pomógł. On ci ufa. Może ma raka, a ty nie wiesz, co mu jest.

Pomalutku jesienne popołudnie zamieniało się w noc, najpierw w miejscach ukrytych, w pomieszczeniach zwierząt, później z wolna ciemność wznosiła się w górę, a tymczasem Nacho wciąż wypatrywał przez kratę, tu odgadnął słonia, nieco dalej może tego samego bizona, do którego niegdyś Carlucho skierował to jedno małe słówko i nie dostał odpowiedzi.

JAKA BOWIEM CZUŁOŚĆ

jakie mądre i przyjazne słowa — pomyślał Bruno, że myślał Sabato — jaka pieszczota może dotrzeć do samotnego serca tej istoty z dala od jej ojczyzny, od jej puszczyny, ode-rwanej od swojego gatunku, od swojego nie-ba, od chłodnej laguny. A Nacho zadumany nad tą smutną dolą opuści w końcu ramiona, a potem przygarbiony, z rękami w tyl-nych kieszeniach dżinsów, podbijając w roztargnieniu nogą ja-kiś kamyk, pójdzie zapewne Avenidą del Libertador. Dokąd? W jaką jeszcze samotność? I wtedy S. poczuł w żołądku ów wstręt do literatury, który się powtarzał z dnia na dzień bardziej nasilony, i znowu pomyślał o Nietzschem: potrafiłby może napi-sać coś prawdziwego, gdyby istotnie czuł nieprzepartą odrazę do literatów i do ich słów, odrazę, co przyprawia o wymioty na sam widok jednego z tych koktajli artystów, którzy mówią o śmierci, a ubiegają się o nagrodę miejską. A później oddalony o milion kilometrów od wszystkich tych (tych?) istot próżnych, małostkowych, przewrotnych, brudnych, zakłamanych, zacząć oddychać czystym świeżym powietrzem, móc nie wstydząc się rozmawiać z analfabetą jak Carlucho, zrobić coś rękami. Coś skromnego, ale czysto i dokładnie. Coś pożytecznego. Że jednak serce człowieka jest niezbadane — powiedział sobie Bruno — z tymi myślami w głowie ciało S. podążyło na ulicę Cramer, gdzie miał się spotkać z Norą.

MINAŁ PEWIEN CZAS

a S. nie miał więcej wiadomości od dra Schnitz-lera. Z ulgą pomyślał, że ich już nie otrzyma. Aż pewnego dnia usłyszał przez telefon jego pisk cudzoziemskiej myszy. Co się z panem dzieje, doktorze Sabato? Czy jest pan niezdrow? Trzeba na siebie uważać. Pan przyrzekł odwiedzić mnie za jakiś czas. Właśnie otrzymałem z Oksfordu fantastyczną książkę, etc. Zwlekał kilka tygodni nie wiedząc, jak postąpić, wahał się między obawą pójścia do niego a obawą niepójścia, co by mogło wywołać nie wiadomo jaką reakcję. Wreszcie otrzymał list z trochę chłodnym i prawdopodobnie ironicznym wstępem o je-go (S.) zdrowiu, o tych atakach gośca i newralgicznych bólach twarzy. Hysteryczny paraliż (jak mu zapewne wiadomo) poja-wia się najczęściej w lewym boku, podatnym na nieświadome wpływy. Przyłożył rękę do lewego boku. Od pewnego już czasu nawiedzała go dziwna myśl: ktoś się do niego zbliża z dużym wyostrzonym nożem, ręką przytrzymuje za kark jego głowę, jak to czynią fryzjerzy, zaś drugą wsadza mu koniec noża do lewego

oka. Właściwie nie w samo oko, lecz między gałkę oczną i kość orbity. Dokonawszy tej operacji z ostrożnością i precyzją, osobnik posuwa nóż wzdłuż orbity, dopóki oko nie wypadnie. Zwykle spada do stóp, a potem, skacząc jak piłeczka zatrzymuje się trochę dalej.

Ow proces wywoływał na nim niesamowicie żywe i przykre wrażenie. Toteż za każdym razem, kiedy przeczuwał, że się powtórzy, ogarniał go lęk. Ciekawe, że w takich wypadkach na próżno by się starał myśleć o czym innym i uniknąć tej grozy; nadchodziła nieublaganie.

Przykład. Pewnego wieczora był u pani de Fału, rozmawiali o podróży Edwarda do Japonii, kiedy zauważył, że to nadchodzi. Widząc że blednie, pani de F. zaniepokoiła się.

— Czy panu coś dolega? — spytała obserwując go zatroskana. Nie opowiedział jej, rzecz prosta, co się z nim dzieje, skłamał, że nic się nie stało. Dokładnie w tej chwili, kiedy ów osobnik wsadzał mu koniec noża, aby rozpocząć wyżej opisany ruch półkolisty.

Pani de Fału w dalszym ciągu mówiła coś, czego w tym stanie Sabato nie mógł rozumieć, lecz oczywiście, podejrzewał coś złego. Starał się w miarę możliwości zachować spokój, mimo że ruch noża wzdłuż orbity zawsze był okropny. Co prawda, sytuacja nie zawsze była tak dokuczliwa. W rzadkich wypadkach ekstrakcja odbywała się w obecności innych osób. Bardzo rzadko zdarzało się to w tak niedogodnych okolicznościach jak obecnie, bo nie tylko że miał przed sobą panią de Fału, ale z pewnej odległości przyglądały mu się jeszcze inne osoby.

ZNOWU SĄ NA TROPIE

Myślał, że jego udział był tajemnicą i zdawało się wykluczone, żeby ktoś mógł go choćby podejrzewać. Dlaczego więc teraz kręcą się tu i wypytyują?

Co oznacza ta przyciszona rozmowa tam, w kącie? Kto to jest i o czym mówią? Zdaje mu się, że odróżnia Ricarda Martina szepczącego coś do Chala i do Elsy; wszyscy troje od czasu do czasu zerkają ukradkiem w jego stronę. Oto jeszcze ktoś wchodzi, przysiągłby, że to Murchison, gdyby nie wiedział, że jest na uniwersytecie w Vancouver. Schyla się do Anzoátegui, mówi mu coś do ucha, to jasne, że wszyscy wiedzą o czymś bardzo poważnym, co mnie dotyczy. Nadchodzą inni: to wygląda na czuwanie przy zmarłym, ale trup jeszcze żyje i wietrzy podstęp. Wśród nowo przybyłych wydaje się poznawać Cio z Alicią, Malou z Gracielą Berethervide, przyszły również Kika i Renée. Jest

coraz większy ścisk, atmosfera coraz bardziej duszna, gwar narbrzmiewa, nie dlatego, że mówią głośniejszy (wciąż są to szepty), lecz dlatego, że głosy się sumują. Później przyszli Ms Scacceri, Orlando i Luis, "Emil. Tita. A ja sam jeden w kącie, jakbym oczekiwał wyroku za zbrodnię. Wiadomość się rozeszła, to jasne. A kto to walczy teraz, aby móc wejść? Matilde Kirilowsky, ale ta dawna, ta z wydziału, jak jeszcze była dziewczyną. Tłoczą się, popychani przez innych nadchodzących, a to wszystko jest doprawdy nieprzyjemne, zwłaszcza dla niego.

Małżeństwo Sonis, dr Sawranski, Chiquita, Lily i Jose i inni, którzy w tym stanie *rzeczy* są raczej jego przywidzeniem niż wyraźnym obrazem.

Wtedy stracił świadomość i zapadł w studnię.

Obudził się z krzykiem.

Sporo czasu stracił na pozbycie się posmaku tej zmory, z wolna zacierały się oblicza, zżarte przez moce świadomości. Jego udreka wszakże zamiast ustępować zdawała się narastać, widział bowiem, że zbrodnia z dnia na dzień się rozprzestrzenia po jego nocnym terytorium, z policją i przesłuchaniami co dzień bardziej napastliwymi.

Podniósł się ociężale, umył głowę zimną wodą i wyszedł do ogrodu. Był świt. Drzewa, w odróżnieniu od ludzi, odbierały pierwsze światło ze spokojem i godnością istot, którym (przypuszczał) nie zdarza się ta złowieszczą conocna przygoda.

Długo siedział na skraju kwietnika, w końcu wszedł do pracowni i zagłębiwszy się w fotelu patrzył na bibliotekę. Myślał, że wielu książek nie przeczytał już przed śmiercią. Potem z wysiłkiem się podniósł i wziął Weiningera *Dziennik*. Na chybił trafił otworzył i przeczytał słowa Strindberga we wstępie: „Ten dziwny i tajemniczy człowiek! Urodził się winnym, jak ja. Przyszedł bowiem na świat ze złym sumieniem, z lękiem przed wszystkim, przed ludźmi, przed życiem. Sądzę, że popełnił coś złego, zanim się urodził.”

Zamknął książkę i ponownie usiadł w fotelu. Po jakimś czasie wrócił do łóżka.

Był już prawie wieczór, kiedy się obudził, ledwie starczyło czasu na schadzke z kobietą z La Tenaza. W chwili spotkania miał alarmujące wrażenie: w ciemności, wśród drzew ulicy Cramer przywidział mu się ulotny cień Agustyny.

NAZAJUTRZ
W LA Biela

~--■--■--■--■--■--

kelner podał mu złożony papier:
„Wieże gotyckie i wieża Eiffla (ad
maiozem hominis gloriam) szukają
symbolicznie pionu, uciekają od żeń-
skiej ziemi, poziomej w całym tego słowa znaczeniu. Poziome
jest również łóżko, symbol seksu.”

Nie musiał spojrzeć, lecz nie mógł tego uniknąć: oto jest,
siedzi w kącie, w kawiarni i patrzy na niego oczkami uradowa-
nego szczura. Ręką pomachał do Sabata, mrugnął doń okiem,
jakby chciał powiedzieć, co tam słycać. Czekał na najmniejszy
znak, aby mu wleźć na kark; mimo Mc Laughlina. Jednakże S.
nie zareagował, mimo że tamten patrzył na niego z obłudną sym-
patią. Myślał o tym papierze i o natręctwie. To jasne, że go śledzi,
przecież nigdy go przedtem nie widywał w La Biela. Ale czy śle-
dzi go osobiście, czy ma agentów na usługi?

— Mac i co dalej? — spytał.

Napisał mu nazwisko na papierowej serwetce. To się wymawia
maclafin, czy nie? Różnie, w pewnych okolicach Irlandii mówi
się maklaklin. Oczywiście, jakby nie dość było angielskiej
arbitralności, trzeba jeszcze irlandzkiego obłądu.

Chciałby zrobić pracę doktorską: seks, zło, ślepotą.

S. spojrział na niego zaskoczony.

— Temat jest skomplikowany, ja sam niewiele wiem. To
znaczy, wszystko, co wiem, jest w *Raporcie*.

— Rozumiem. Ale chodzi jeszcze o coś innego. Wydaje mi
się, iż czytałem w pana biografii, że pańscy albańscy przodkowie
walczyli przeciwko Turkom w XV wieku. Czy pan zna legendę
o mieście Ślepych?

S. przeraził się. — Co?

— Dokładnie nie wiem, muszę jeszcze sprawdzić. W tamtych
stronach: podziemne miasto Ślepych z monarchami i wasalami:
wszyscy Ślepi.

S. osłupiał: nie wiedział tego. Zapadło milczenie i przez chwilę
wydawało się, że się formuje kabalistyczny trójkąt: Mac, wpatrujący
się w niego niebieskimi oczami, S. i dr Schnirzler, który go wciąż
obserwuje jak ktoś, kto nie chce zgubić tropu. Zrobiła się z tego
sztuka teatralna, niezgodna z konwencją naturalistyczną (pomyślał
później S.) trzeba by było zatem wyrzucić wszystkich obecnych wraz z
krzesłami, szklankami, kelnerami' i resztkami sandwichów: to
wszystko było fałszem, jakimś symulowaniem prawdziwej
rzeczywistości, co dowodzi, jak kłamliwy może być ten rodzaj
realizmu. Trzech facetów na 279

wierzchołkach trójkąta, na tle abstrakcyjnej scenerii, ostrożnie się badają, pilnują się wzajemnie.

Tego już za wiele. Powiedział do McLaughlina, który niestety miał taki ból głowy, że nie mógł prawie rozmawiać, iż spotkają się w najbliższych dniach. Kiedy młody człowiek odszedł, S. zauważył, że ten drugi coś gorączkowo pisze. Po kilku minutach przysłał mu rezultat: „Wydaje mi się, drogi doktorze Sabato, że pan nie chce mnie widywać, że nie darzy mnie pan sympatią. Jaka szkoda! Nie ma pan pojęcia, jak nad tym boleję! Mamy tak wiele wspólnego! Miałbym dużo do opowiedzenia, jest pan tak bliski prawdy. Straciłem już nadzieję (muszę to panu powiedzieć szczerze, z ręką na sercu), że znowu przyjdzie pan do mnie na kawę. Dlatego korzystam z tej szczęśliwej okoliczności i przesyłam kilka moich obserwacji, które, jak sądzę, mogą pana zainteresować:

- 1) Globalny przyrost ludności świata
- 2) Powstania zbrojne niższych warstw
- 3) Bunt kobiet
- 4) Bunt młodzieży
- 5) Bunt ludów kolorowych.

To wszystko, drogi doktorze, dosłownie wszystko jest manifestacją witainości górującej nad rozsądkiem, co ściśle biorąc należy określić jako przebudzenie lewicy. Nie muszę panu wyjaśniać, że me mówię tu o lewicy w potocznym znaczeniu, jak ją rozumieją prosiaczkowie nie mający pojęcia o właściwym problemie. Mówię o lewicy w głębszym znaczeniu, co SK; w iąże / tłumieniem instynktu rasowego. Pan to również powiedział w pewien sposób. Jakże bliscy sobie jesteśmy! Jeden z bohaterów pańskiej powieści wyraził to wspaniale w *Raporcie o Ślepcach*. Właśnie dlatego śledziłem pana uważnie w ostatnich latach chciałem panu pomóc, zbliżyć się, wesprzeć pana duchowo *We* wydaje rai się, że pan sobie tego nie życzy! Będę szczerzy: ogromnie mi żal."

Nie mógł dalej czytać, na wzmiankę o Fernandzie osłupiał. I o prawda taki pogląd mógł być wypowiedzieć Vidal Olmos Kim w ięc je-*si* on, Sabato? Dał znak kelnerowi, aby mu przyniósł jeszcze jedną kawę, starając się przy tym nie patrzeć w stronę, gdzie siedział ów osobnik. Dopiero po wypiciu kawy mógł c/y t ar.

„Począwszy od Renesansu panoszą się technologia i rozum. Tysiącletnia walka między korą mózgową i śródmózgowiem kończy się (ale z pozom, doktorze! z pozoru!) tryumfem kory, wiialność zostaje wyparta przez mechanizm: zegar, nauki matę-

matyczne, plastiki. Lecz ujarzmione śródmózgowie nie rezygnuje, z wściekłością się przyczaja i w końcu atakuje tryumfujące społeczeństwo chorobajni psychosomatycznymi, neurozą, buntem mas, powstaniem wszystkich uciskanych (to jego'żołnierze!) czy są to kobiety czy dzieci, czarni czy żółci. Całej lewicy. Nawet w strojach: przeważają kolory jaskrawe (żeńskie), sztuka irracjonalna, weszła w modę sztuka ludów pierwotnych, hipisi ubierają się niemal jak kobiety, niższy świat feminizuje się. Nie dajmy się zwieść paleniem papierosów przez kobiety, spodniami, powszechnym prawem głosowania, pracą w fabrykach: to podstęp, chcą, abyśmy uwierzyli, że się do nas zbliżają. Jest to trochę tak jak ze Wschodem, który w głębszym znaczeniu również należy do tej lewicy: chcą stawić opór tej męskiej cywilizacji Zachodu przyjmuje jego technologię, łącznie z bronią atomową, z transzystorami i z marksizmem, z plastikami i rachunkiem nieskończoności. Tylko patrzeć, a żółci zwrócą się przeciwko nam. Już zaczęli wchodzić z buddyzmem Zen, z jogą, z karate. A pierwszymi, którzy im ulegli, są ci głupcy intelektualści, mózg, sam rdzeń tej zachodniej cywilizacji. Uwaga, mój kochany doktorze Sabato!"

Skończył czytać, ale spojrzenie wciąż wlepił w papier. Wiedział, że ta indywiduum go śledzi. Usiłował szybko myśleć: kim jest ten dr Schnitzler? obrońcą cywilizacji zachodniej? Ale ta cywilizacja jest produktem Światła. Zatem nie może być agentem ciemności Usiłuje wzbudzić w nim miłość własną mężczyzny i człowieka Zachodu, aby przestał się wdawać ze światem mroku?

Wstał, z daleka pomachał ręką do Schmtzlera i zrobiwszy dla zmylenia kilka okrążeń wszedł do La Cueva na rogu Quintana i Ayacucho. Na papierowej serwetce począł automatycznie robić notatki. To mu zawsze dawało wyniki. Pierwszym słowem, które napisał, było SCHNITZLER i poniżej, niemal od razu, SCHNEIDER. Jak to możliwe, że tego przedtem nie zauważył? Obydwaj zaczynają się od tego samego fonemu i jednakowo się kończą, obydwa mają tę samą ilość zgłosek. Oczywiście, nazwiska mogą być nieprawdziwe. Jeśli tak jest, to byłoby znamienne, że wybrali je z tymi identycznymi cechami. Czyżby więc istniał jakiś związek między obydwojma mężczyznami? Mało tego, obydwa pochodzą, być może, z pogranicza Bawarii i Austrii, obydwa są trochę dziwacznymi i jednakowo gardzą kobietami. Ale podczas gdy Schneider jest jawnym agentem ciemności, Schnitzler broni racjonalnej wiedzy.

Długo medytował potem nad owym „ale”. Czy nie jest to po prostu podział pracy?

Wyszedł z kawiarni i przechadzał się do chwili, kiedy miał się spotkać z Agustina.

A gdy już się spotkali, poczuł, że między nimi otwarła się przepaść.

ONA PRZEOBRAZIŁA SIĘ on zaś czuł, że
W PŁOMIENNĄ FURIĘ wszechświat się za-
rysował wstrząsany
przez jej wściekłość

i zniewagi i nie samo tylko ciało rozdzierają mu szponami, lecz świadomość.

i tam trwała jako strzęp jego własnego ducha
wieże zburzone w kataklizmie.
spalone w płomieniach.

W TYM SAMYM CZASIE Nacho studiował u-
ważnie rysy pana Pe-
reza Nassifa: lubieżność i skąpstwo, hipokryzja i brak ambicji, czułość i wigor typowe dla mieszkańca Buenos Aires, to wszystko zwieńczone nienaganną fryzurą 4-tytu energiczny manager. Wyciął zdjęcie i przypiął je między inne do swej kolekcji. Oddaliwszy się nieco, przyglądał się im oczami eksperta. Potem spojrzał na przeciwległą ścianę: lwy lśniły muskularnym pięknem.

Puścił płytę Beatlesów, wyciągnął się na łóżku i wpatrzony w sufit począł rozmyślać.

Zaledwie się urodzili, brudzą pieluchy, wymiotują mleko (wiesz, daję mu wszystko, na co mnie stać), tyją (śliniaczkiem ściera mu ślinę, spójrzcie, jaki piękny), dorastają, osiągają ten jedyny magiczny i prawdziwy moment (głupi marzyciele, szaleńcy), a potem różgi, dobre rady i nauczycielki robią z nich zgrają hipokrytów (nie wolno kłamać, dzieci, nie gryźcie paznokci, nie piszcie brzydkich słów na ścianie, nie opuszczaj lekcji w szkole), zgrają realistów, karierowiczów i skąpców (oszczędność jest podstawą majątku). Ani na chwilę nie przestają jeść, wypróżniać się i kłać wszystko, czego dotkną. Później praca, ślub, potomstwo. Znowu małe monstrum wymiotuje mleko pod ogłupiałym spojrzeniem eks-malego monstra wymiotującego mleko, aby komedia rozpoczęła się od nowa. Walka, kłótnia o miejsca w autobusie i o posady w urzędach, zawiść, obmowa, zadowolenie z poczucia własnej niższości na widok defilady czołgów ojczyznianych (karzelek czuje się mocny). Itd.

Wstał i wyszedł na spacer. *Julia, Julia, oceanchild, call me**. Doszedłszy do rogu Mendoza i Conde usiadł na ławce i przyglądał się drzewom na tle zmierzchu: szlachetne, piękne i milczące drzewa. *Julia, seashell eyes, windy smile, calls me***. Ta przeklęta Japonka, to japońskie gówno musiało wszystko zepsuć. Pociągi zaczęły przewozić stojące bydło, w wielkim mrowisku zapada wieczór, mrówki wychodzą z biur, jeszcze z numerkiem na grzbiecie, po siedmiogodzinnym przenoszeniu Papierów i Akt, mówieniu dzień dobry, senor, za pozwoleniem, sefior Makicino, dobry wieczór, sefior Dolgopol, sefior Loprete chce się z panem widzieć, schylaniu się przed mrówkami bezpośrednio przełożonymi, czyszczeniu kn butów, czółganianiu się, uśmiechaniu się na ich głupie dowcipy, biegną do kolejki podziemnej, cisną się jak sardynki w puszcze, przepychają się do przodu, depcząc się wzajemnie, kłócąc się ordynarnie o miejsca siedzące, i odczuwają życie jako nie kończącą się podróż w kolejce podziemnej i nie kończące się biuro, z weselem pośrodku, regałami z desek i zegarem stołowym, potem dziecko, dwoje dzieci (oto jest fotografia starszego synka, „nie uwierzysz”, jaki z niego mądrała), następnie długi, opóźnienia w Awansie, gra w kości w kawiarni, futbol i wyścigi samochodowe w sobotę i w niedzielę tudzież ravioli zrobione przez szefową, nigdzie nie jadł takich ravioli, jakie robi szefowa. A później znowu poniedziałek z jazdą pociągiem i kolejką podziemną do biura.

A teraz wracają tym samym pociągiem niczym stojące bydło. *Zapadnie*, noc pełna fantasmagorii snów i seksu, a przedtem wiadomości w „La Razón” o kradzieżach i zbrodniach, telewizja i w końcu sen, w którym wszystko jest możliwe. We wszechpotężnym śnie mrówka przeistoczy się w Bohatera Drugiej Wojny Światowej, w Szefa Biura, w morowca, który się odważa bezczelnie odpowiadać przełożonemu, w niezwykłego donżuana, uwodziciela dziewcząt z Ministerstwa, w najlepszego napastnika drużyny River, w Onassisa.

Przejeżdżały pociągi.

Był już wieczór. Podniósł się i ruszył w drogę do domu. *Julia, sleeping sond, silent cloud. ****

Siostrę zastał leżącą na łóżku i wpatrzoną w sufit.

* Julia... (ang.) — Julia, dziecko oceanu, woła mnie

** Julia, seashell... (ang.) — Julia o oczach jak muszle morskie, o wietrznym uśmiechu, woła mnie

*** Julia... (ang.) — Julia, uśpiony piasek, cicha chmura.

MILCZACY I UDREĆZONY

stał i patrzył przez okno. Ile takiej męki jak ich obojga, ile nieznanymi samotności jest w tej chwili w tym obmierzłym mieście? Za plecami czuł tę drugą złość, jej złość. Obrócił się: jej surowa twarz, zaciśnięte szczęki, duże pogardliwe usta świadczą o gniewie, jeszcze chwila, a ten kocioł nienawiści wybuchnie pod ciśnieniem. Chyba niezamierzenie, pod wpływem okrutnego bólu Nacho krzyknął: co on ci zrobił. Powiedział on z wściekłością, wskazując ręką na własną pierś. I dlaczego ona ma mieć złość do niego, właśnie ona.

Z rozpaczą stwierdził, że Agustina wstała i chce odejść. Chwył ją za ramię:

— Dokąd idziesz?

Pytanie było raczej okrzykiem.

Schyliła głowę i Nacho ujrzał, że gryzie wargi aż do krwi. Oparła o ścianę pięść, nie po to, aby się oprzeć, lecz aby walić w ścianę.

— Nie ma absolutu w życiu — rzekła po długim milczeniu.

— Gdy nie ma absolutu wszystko jest dozwolone.

— Nie, to nie tak — dorzuciła po chwili, jakby do siebie.

— Nie że wszystko jest dozwolone. Jesteśmy do wszystkiego zmuszeni, musimy wszystko niszczyć, wszystko brudzić.

Brat patrzył na nią zdumiony. Ona jednak z zaciśniętą pięścią opartą o ścianę trwała skupiona nad własną myślą. Nagle zaczęła krzyżeć, a raczej wyć, i z całej siły walić kulakiem o ścianę.

Gdy się uspokoiła, podeszła do łóżka, siadła na brzegu i zapaliła papierosa.

— Drogo mnie kosztowała ta wiedza — rzekła.

Nacho zbliżył się i stanąwszy naprzeciw niej zawołał:

— Ale ja się na to nie zgadzam!

— Tym gorzej dla ciebie, idioto! To mnie właśnie najbardziej wścieka! — I krzyżąc „idioto” rzuciła się na niego i jęła go tuc pięściami i kopać, aż go zwała z nóg.

Potem znowu siadła na łóżku i zaczęła płakać. Ale to nie był spokojny płacz, tylko suchy, dziki i wściekły.

Ucichła i wbiła wzrok w sufit. Jej twarz wyglądała jak spustoszona przez wandalów: pożary, gwałty, rabunki. Wzięła papierosa i drżącą ręką zapaliła.

— Widzę, że umieściłeś zdjęcie pana Pérez Nassifa między Sabatem a Camusem. Myślałam, że zbierasz tylko zdjęcia tych obrzydliwców, co mówią o absolicie. Jeżeli dobrze pamiętam, ten pakt, chodziło ci o wielkie świnię. Nie o zwyczajne glisty.

Przez pewien czas, który dla Nacha był wiecznością, słyhać było tylko tik-tak budzika. Potem kościelne dzwony.

— Perez Nassif — szepnęła Agustina z zastanowieniem. — Muszę to przemyśleć.

KIEDY WCHODZŁ DO DOMU

Lolita warczała, jak to się w ostatnim czasie częściej zdarzało, ale tym razem nieomalże go ugryzła i musiał zagrozić jej kijem, choć w rzeczywistości pragnął połamać jej grzbiet, gdyby nie przestała.

Psy mają nieomylny instynkt, pomyślał. Kto to widział, aby pies tak się zachowywał wobec osoby z rodziny? Starł się już ustalić, Medy na niego warczy, czy w powiązaniu z jakimiś wypadkami lub z jego myślami, ale nie mógł dojść do jakiegokolwiek wniosku.

WYSZEDŁ NA PRZECHADZKĘ BEZ CELU

i raptem *znalazł* się na wprost Bostonu. Po co tu przyszedł? Niegdyś, kiedy miał rozmawiać z chłopcami z uniwersytetu, przychodził do tej kawiarni. Ale teraz?

Zamówił jałowcówkę i jak zwykle, kiedy go coś niepokoiło, obserwował z uwagą płamy na starych ścianach. Po chwili wpatrywania się, począł dostrzegać pieczarę, w której, jak sądził, odróżniał trzy istoty jakby znajome. Ich pozycje, pewnego rodzaju podziemie, gdzie odbywała się ceremonia, wszystko wskazywało na poważny rytuał, który, jak mu się zdawało, znał z jakiejś poprzedniej egzystencji.

Wyteżał wzrok usiłując odkryć szczegóły, zwłaszcza u kapłana dopełniającego obrzędu. Przymknął oczy, trochę odpoczął mimo wzrastającego niepokoju, i w przekonaniu, że to ma związek z jego egzystencją, podjął badanie ich rysów. W końcu szczegóły złożyły się na jedno znajome a przewrotne oblicze człowieka, którego przez długie lata bezskutecznie starał się usunąć ze swego życia: oblicze R.!

Zaledwie napotkał klucz do tajemnego kodu, reszta objawiła się momentalnie. Ponownie zamknął oczy — tym razem zacisnął je, jakby wzbraniając się przed wspomnieniem — i znów ukazało się rozpustne widmo owej nocy z 1927.

Nie to jednak było najdziwniejsze, może byłby to nawet

przypisał skłonności do wynajdywania w plamach swoich obsesji. Lecz w tej samej chwili wszedł do kawiarni R., jak gdyby go był szpiegował i tylko czekał na chwilę, kiedy skończy rozszyfrowywać hierogram. Nie widział go od 1938.

Usiadł w pobliżu, zamówił również jałowcówkę, wypił, zapłacił i odszedł nie okazawszy bynajmniej chęci do rozmowy.

S. był uniestwiony. Śledzi go, to jasne. Ale, w takim razie dlaczego nie przystąpił, by go dręczyć jak za czasów Laboratorium Curie? Pomyślał, że ten człowiek zna niezliczone sposoby pastwienia się i jego cicha a znacząca obecność jest pewną formą ostrzeżenia. Ale przed czym?

Do zawrotu głowy zastanawiał się nad tą koszmarną pieczarą, aż w końcu zrozumiał albo sądził, że zrozumiał, iż powinien wrócić do podziemi w ulicy Arcos.

Gdy znowu ujrzał ten stary dom otoczony nowoczesnymi wieżowcami, odniósł wrażenie, że ogląda mumię na bazarze wśród niklowanych aparatów.

Afisz wzdłuż kraty ogłaszał licytację sądową. Spoglądając na tę rudere i znając tak dobrze R. pomyślał, że nie po to przeciął mu drogę, by mu kazać po raz ostatni rzucić okiem na rodzinny album, który ma zostać spalony przez osoby postronne: poczuł, że w grę wchodzi coś nieskończenie głębszego. I groźniejszego.

Rzucił spojrzenie na bramę. Była zamknięta na łańcuch i na kłódkę, równie zardzewiała jak stara krata. Było niemal pewne, że nikt jej nie otwierał przez wszystkie te lata procesów sądowych i sukcesji. Po co? Raczej było prawdopodobne, że Don Amancio nie chciałby zobaczyć tego domu, nawet z ulicy.

Przeszedł do tylnej bramy. Pięknie kute żelazne drzwi ukradli zapewne złodzieje wspólnie z handlarzami antyków, który to proceder często bywa uprawiany w Buenos Aires. Teraz zastąpiły je arkusze zwyczajnej blachy. Zardzewiałe powyginane arkusze, upstrzone napisami VTVA PERON, łączył prowizorycznie gruby drut przeciągnięty przez dwa zaimprovizowane otwory.

Przy ulicy Juramento znalazł sklep z wyrobami żelaznymi, kupił obciążki o poziomych ostrzach i latarkę, a potem przecha-• dzał się czekając, aż zapadnie noc. Przez Juramento trafił do Cuba i znalazł się na placu w Belgrano. Siedział na ławce urzeczony widokiem kościoła, który, w miarę jak gęstniał mrok, wnikał coraz głębiej w ukryte strefy jego duszy. Przestał widzieć i słyszeć tumult o tej porze panujący w tej dzielnicy i czuł się coraz bardziej samotny. Złowieszczy był ten mrok zesłany przez ukryte, złośliwe bóstwa. Rozpoczynając nocną egzystencję prze- 286

cinały go nietoperze, galaretowate zwiastuny grozy i koszmarów, posłańcy owej teokracji jaskiń, władców szczurów i kun.

Oddał się z rozkoszą swoim wizjom, wydawało mu się, że jest świadkiem objawienia wielkiego monarchy ciemności, otoczonego dworem bazyliżków, karaluchów, kun i żab, jaszczurek i łasic.

Obudzi} go codzienny zgiełk, neonowe światła i turkot samochodów. Stwierdził, że jest już wystarczająco ciemno, aby wśród drzew ulicy Arcos nikt nie zauważył jego manewru. Mimo to pomnożył środki ostrożności, poczekał, aż się oddali jakiś przechodzień, skontrolował wejście do dużych domów mieszkalnych i miał już zabrać się do przycinania drutu, kiedy wydało mu się, że spod jednego z tych domów, jak gdyby do tej chwili była tam ukryta, oddała się szybko korpulentna postać zbyt dobrze mu znana.

Zdrętwiał z przerażenia.

Jeżeli ta uciekająca postać istotnie jest doktorem Schneiderem, jaki związek istnieje między nim a R.? Niejeden raz przychodziło mu na myśl, że R. usiłuje go zmusić do wejścia w świat ciemności, do szpiegowania go, jak to było niegdyś z Vidal Oknosem, i że Schneider chce temu przeszkodzić, a gdy się to nie uda, spotka go (Sabata) skrupulatnie przygotowana kara.

Po jakimś czasie uspokoił się i powiedział sobie, że jest zbyt podrażniony i że ta sylwetka niekoniecznie musiała być doktorem Schneiderem, który zresztą, jeśli go śledzi z ciemności, na pewno nie chciałby mu się pokazać.

Przeciął drut i wszedł, pilnując aby arkusz blachy wrócił na dawne miejsce.

W letnią noc księżyc raz po raz wylaniał się zza chmur i oświetlał ponurą scenerię. Z wzrastającym niepokojem szedł przez park trawiony przez raka: wśród palm i magnolii, pośród jaśminów i kaktusów pnącza weszły w dziwaczne związki, a ogromne chwasty żyły jak nędzarze wśród rumowiska świątyni, której obrządku nie znały.

Kontemplował ruinę dworu; obalone %zy, przegniłe lub potłuczone żaluzje, potłuczone szyby.

Zbliżył się do małego domku, dawnego mieszkania służby. Nie miał sił, przynajmniej w tej chwili, zwrócić spojrzenia ku owemu oknu we dworze. Usiadł przeto na ziemi obrócony do niego plecami i oglądał szczątki, zadumany i zarazem przerażony, wiedział bowiem, że na ostatnich kartach pożółkłego albumu zetknie się z grozą. I może dlatego, że miał tę pewność, zatrzymał się nad wspomnieniem Fłorencia i Juana Bautisty; obydwaj byli pierwowzorami Marcela: ta sama matowa cera, kaszlano-

watę włosy i te duże ciemne i wilgotne oczy; gotowi, gdy urośnie im broda, wziąć udział w pogrzebie hrabiego de Orgaz. Florencio, roztargniony, myślący o czym innym, o jakimś spokojnym krajobrazie innych okolic (innego kontynentu, innej planety) trochę otumaniony, jak z precyzyjną intuicją mówili wówczas ludzie z sąsiedztwa. Ten wyraz twarzy kontrastował mimo niemal identycznych rysów z realistycznym i rozsądnym wyrazem młodszego brata. Wtenczas powiedział sobie znowu, że Marcelo odziedziczył usposobienie i charakter po swoim stryju Florencio, nie po ojcu Juanie Bautiście, jak gdyby ktoś w rodzinie miał obowiązek zachować niepotrzebną acz piękną tradycję.

Spoglądała na eukaliptus, na który wdrapał się Nicolas w ów wieczór 1927, aby, jak to nieraz czynił, udawać małpę. I wspominał, że nagle Nicolas przestał piszczeć, wszyscy zamilkli, on zaś poczuł na karku ostrzeżenie. Powoli obrócił się bojaźliwie i podniósł głowę, wiedząc dokładnie, skąd pochodzi zew, i wtedy zobaczył w oknie, tam na górze, na prawo, nieruchomy obraz Soledad.

W skąpym świetle trudno było ustalić, dokąd kierowała paralizujące spojrzenie. Ale on wiedział.

Potem znikła i z wolna wszyscy wrócili do poprzednich zajęć, ale już bez tej bez troskiej euforii, co przed chwilą.

Nikomu nie opowiedział niczego, co miało związek z Soledad, z wyjątkiem Bruna. Jakkolwiek nie powiedział mu oczywiście o potwornym obrzędzie. A teraz, siedząc w parku, po bez mała półwieku, czuł bądź przeczuwał, że koło się zamyka. Pamiętał tę noc, Florencia, szarpającego z roztargnieniem struny gitary, te wieczne frytki Juana Bautisty i Nicolasa, śpiewającego *Santa Lucia*, dopóki nie zaczęli wołać „dosyc”, i nie usnęli. On nie, rzecz jasna.

Brunowi opowiedział, jak ją poznał w domu Nicolasa w tym salonie, z dużym olejnym portretem Rosasa na naczelnym miejscu. Studiowali jakieś twierdzenie z trygonometrii, kiedy za plecami poczuł obecność jednej z owych istot, którym do porozumiewania się nie potrzeba słów. Obrócił się i zobaczył po raz pierwszy te same szarozielonawe oczy, zaciśnięte usta i ten sam despotyczny wyraz twarzy, co u jej przodka, bo na pewno była jego potomkiem z nieprawego łoża. Nicolas oniemał jak przed obliczem absolutnego władcy. Z cicha rozkazującym tonem o coś zapytała, a Nicolas odpowiedział głosem, jakiego S. przedtem u niego nie słyszał. Po czym wycofała się równie tajemniczo, jak przyszła.

Zwlekali jakiś czas z podjęciem nauki, a S. pozostał pod mglistym wrażeniem, które bodaj dopiero w dojrzałym wieku

mógł streścić: pojawiła się, aby go zawiadomić, że istnieje, że jest. Wahał się nieskończenie długo, zanim się zdecydował użyć łącznie obydwu słów, chociaż wiedział, że nie to samo znaczą, a nawet mogą być przeciwstawne. Jednakże mógł to określić w ten sposób dopiero po czterdziestu latach, kiedy po raz pierwszy opowiedział to Brunowi, jak gdyby w tamtych czasach zrobił tylko zdjęcie, a dopiero później po długich latach potrafił je skomentować.

W tę noc, po trygonometrii, śniło mu się, że szedł podziemnym korytarzem, na końcu którego oczekiwała go naga, fosforująca w ciemności Soledad.

Od tej nocy cała jego uwaga koncentrowała się wyłącznie na tym śnie. A kiedy nadeszło lato, mógł wreszcie udać się do domu przy ulicy Arcos, gdzie — o czym wiedział — ona go oczekiwała.

I oto był teraz, i drżąc czekał w ciemności na senny oddech swoich trzech towarzyszy, z największą ostrożnością podniósł się i wyszedł z trzewikami w ręce, miał je włożyć dopiero w parku. Ostrożnie zdążył do tylnych drzwi dworu, drzwi z wielką kratą, która zamykała ogród zimowy.

Jak to sobie wyobrażał, w drzwiach nie było klucza. Światło księżycy, osobliwie podbarwione przez błękitne i szkarłatne romby szkła, padało na ogród zimowy, gdy tylko chmury na to pozwalają. Przyzwyczajony do półmroku ujrzał ją u stóp schodów zewnętrznych prowadzących na wyższe piętro. Ulotny fosforyczny blask stawiał ją w jej prawdziwym świetle. Powiedział kiedyś Brunowi, iż Soledad była jakby potwierdzeniem starej teorii onomastyki, gdyż jej imię odpowiadało dokładnie temu, czym była: hermetyczna i samotna wydawała się strzec tajemnicy jednej z potężnych i krwawych sekt; ujawnienie tajemnicy karze się męczarnią i śmiercią. Jej wewnętrzna gwałtowność byk jakby trzymana w kotle pod ciśnieniem, w kotle opalonym zimnym ogniem. Jej nieliczne, niezbędne słowa (lub okrzyki seksualne), jej milczenie nasuwały myśli o czymś, co nie odpowiadało tak zwanym potocznie „sprawom życiowym”, lecz innego rodzaju prawdzie, rządzącej koszmarami. Była istotą nocną, mieszkanką pieczar i miała paraliżujące spojrzenie i zmysłowość węża.

— Chodźmy — rozkazała krótko.

Przez jedne z bocznych drzwi weszli do przedsionka kuchni. W prawej ręce trzymała staroświecką naftową lampę, co dowodziło, że wszystko było z góry przewidziane. W którymś rogu wskazała mu pokrywę piwnicy.

Zeszli ceglanyymi schodami, odczuwając stopniowo chłodną 289

wilgoć podziemia. Wśród przeróżnych gratów *zdażała* do miejsca, gdzie wskazała mu drugą pokrywę. Podniósł ją. Znowu zaczęli schodzić, tym razem stopniami z dużych płaskich cegieł z epoki kolonialnej, na pół rozwalonych przez ponad dwieście lat trwającą wilgoć. Tajemnicze niteczki wody sączyły się wzdłuż ścian i czyniły to drugie podziemie jeszcze bardziej przerażającym.

Pizy skąpym światłem lampy nie widział, co tam było, ale stłumione echo kroków, jakie słyszy się w pomieszczeniach bardzo głębokich i pustych, nasunęło mu przypuszczenie, że nie było tam niczego oprócz schodów, wreszcie skręcili w wąską, wydrążony w ziemi korytarz, nie chroniony nawet przez ceglane ściany. Tunel pozwalał zaledwie na przejście jednej osoby; ona kroczyła naprzód z lampą i przez jej niemal przeźroczystą tunikę mógł widzieć ciało, poruszające się z chorobliwym dostojnictwem.

Niejeden raz czytał w dziennikach i czasopismach o ukrytych tunelach Buenos Aires, zbudowanych w epoce kolonialnej, a odkrytych podczas budowy kolei podziemnej i wiezowców. A nigdy nie zauważył, aby ktoś dał temu jakieś możliwe do przyjęcia wytłumaczenie. Pamiętał zwłaszcza tunel bez mała półtorakilometry pomiędzy kościołem pod wezwaniem Nieustającej Pomocy a Recoletą, katakumbą w Manzana de Las Luces oraz korytarze łączące te tunele ze starymi domami z XVIII w. i tworzące labirynt, którego celu nikt nie umiał odgadnąć.

Kroczyli już ponad pół godziny, jakkolwiek trudno było ocenić, ile czasu minęło, ponieważ w tej rzeczywistości czas nie przejawiał mu się w rytmach normalnego życia i światła. W pewnym sensie ten obłądny marsz przez rozwidlenia i meandry korytarza wydawał mu się wieczny. Zdumiewała go pewność, z jaką kroczyła tą drogą do swojego celu, i myślał ze strachem, że ktoś nie znający dokładnie szczegółów tego labiryntu nie ujrzałby już nigdy ulic Buenos Aires, zgubiony pośród szczurów i kun, które (odczuwał to raczej, niż widział) umykały przed nimi do swoich jeszcze ohydniejszych labiryntów.

Aż wreszcie zrozumiał, że przybyli na miejsce, bo w głębi widać było mętne fosforyzujące światło. Tunel się rozszerzał i na jego końcu znaleźli się w grocie mniej więcej wielkości pokoju o prymitywnej konstrukcji i ścianach z dużych kolonialnych cegieł. W kącie mógł tylko odgadnąć schody. Na jednej ze ścian była staroświecka latarnia, to ona wysyłała owo gromniczne światło.

i

W środku położony na ziemi siennik, niemal więzienny, sprawiał wrażenie, jakby był niedawno używany, pod ścianami 290

stały też proste drewniane ławki. Wszystko było ponure i przypominało więzienie.

Soledad zgasiła lampę; w tej samej chwili S. usłyszał kroki: ktoś schodził schodami, jeszcze chwila, a ujrzał surową twarz i oczy nocnego ptaka: to był R. Nie widział go, od kiedy wyjechał z Rojas na studia do La Plata, zawsze pamiętał o męczarni oślepionego wróbla, a teraz ma go przed sobą, kiedy sądził (i czego pragnął), że nigdy już R. nie przetnie mu drogi.

Jaki może być związek między R. i Soledad? Dlaczego znalazł się tu, jak gdyby go oczekiwał? Raptem uległ wrażeniu, że Soledad i on mają coś wspólnego: tę identyczną nocną kondycję, okrutną i fascynującą zarazem.

— Nie sądziłeś, że znowu mnie zobaczysz, he? — powiedział tym nienawistnym sarkastycznym tonem.

Ich troje tworzyło w tej grocie koszmarny trójkąt. Spojrzał na Soledad: bardziej niż kiedykolwiek zamknięta w sobie, z nieodpowiednim do jej wieku dostojenstwem, hieratyczna. Gdyby nie jej pierś coraz mocniej falująca, można by pomyśleć, że to posąg; ale ten posąg skrycie drżał. Pod tuniką dostrzegwał ciało kobiety węża.

Znowu usłyszał ochryply głos R. Wskazując głową w górę powiedział:

— Jesteśmy pod kryptą kościoła w Belgrano. Znasz go? Ten okrągły kościół. Kościół Niepokalanego Poczęcia — dodał z ironią.

Głosem zmienionym, nieomal z lękiem (co u niego było niewiarygodne) rzekł po chwili:

— Powiem ci[^]że to miejsce jest także jednym z centrów świata Ślepych. Odtąd będzie ono ośrodkiem twojej rzeczywistości. Wszystko, co zrobisz, i wszystko, co zniszczysz, sprowadzi cię tu z powrotem. A jeśli nie wrócisz z własnej woli, my postaramy się przypomnieć ci o twoim obowiązku.

Po czym zamilknął, zaś Soledad poczęła się obnażać i rytualnym gestem krzyżując wysoko nad głową ramiona unosiła w górę tunikę. Powoli wylaniały się jej szerokie biodra, cienka talia, pępek i w końcu drżąca pierś:

Naga, uklękła na sienniku zwrócona twarzą do S., z wolna przechylając ciało wstecz rozsuwała nogi i wyciągała je przed siebie.

S. poczuł, że tu jest w tej chwili centrum świata.

R. zdjął ze ściany latarnię, z której unosił się mocny zapach spalonego oleju oraz dużo dymu, i błyskawicznie przemierzwszy grootę stanął obok S.

— Teraz ujrzysz to, co masz ujrzeć — *rozkazał*.

Zbliżając latarnię do ciała Soledad oświetlił jej podbrzusze, do tej chwili zaciemnione. Okrutnie zafascynowany S. spostrzegł, że zamiast seksu Soledad miała ogromne szarozielonawe oko, które patrzyło na niego z wyrazem ponurego oczekiwania i żądy.

— A teraz — powiedział R, — uczynisz, co masz uczynić.

Od tej chwili owładnęła nim jakaś nieznana siła, i nie odrywając spojrzenia od dużego pionowego oka, które wpatrywało się w niego, począł się obnażać i ukląkł przed Soledad, między jej rozsuniętymi nogami. Trwał tak chwilę patrząc z sadystyczną trwogą w ponure seksualne oko.

Wtedy ona podniosła się w surowym blasku, otworzyła usta, duże jak u zarłocznej bestii, jej ramiona i nogi oplotły go i ściśnięty niczym kleszczami musiał się zetknąć z tym ogromnym okiem, które, niezbyt elastyczne, poddawało się, aż w końcu pękło.

I czując, że ów zimny płyn się rozlewa, począł wchodzić do następnej groty jeszcze bardziej tajanniczej niż ta, co była świadkiem krwawego obrzędu oślepienia..

Teraz, po czterdziestu pięciu latach, *znalazł* się znowu w starym domu przy ulicy Arcos. „Jeżeli nie uczynisz tego z własnej woli, my postaramy się przypomnieć ci o twoim obowiązku.” Tak go ostrzegł w tę noc roku 1927, a przypomniał mu to w 1938, w Paryżu, kiedy już myślał, że może się schronić w jasnym świetle nauki. I powtórzył to milcząc teraz, kiedy... kiedy co?

Nie wie i może nigdy nie zdoła tego dociec. Pojął wszakże, iż R. przyszedł do Bostonu, aby go przestrzec. Tak oto *znalazł* się wśród szczątków starego parku.

Do tej chwili nie miał się spojrzeć na kratę ogrodu zimowego. Wszystko się na pozór powtórzyło: letnia noc, upał, księżyc wśród podobnych burzowych chmur. Lecz między tymi dwiema nocami były niedole i burze, wygnanie i zawody, morze i walki, miłość i pustynne piaski. Czyż więc ten powrót jest istotnie powrotem?

Nie bardzo wie, czy to wskutek jego stanu ducha, czy zagadki, która *zawsze* łączyła się z Marią de la Soledad, czy przez coś, co naprawdę istnieje, światło księżycowe ma jakąś złowrogą i zawiłą konsystencję. Zaczyna mu się zdawać, że nie jest w parku starego znajomego domu w Belgrano, lecz na terytorium opuszczonej planety, skąd ludzie w ucieczce przed kłatwą wyemigrowali do innych regionów wszechświata. Uciekli z planety, na której nie ma i nigdy nie będzie słonecznych dni, z plane-

ty na wieki skazanej na blade światło księżyca. Ale ten księżyc z mocy swojego trwania uzyskał nadprzyrodzoną władzę wyposażoną w nie kończącą się melancholię i w gwałtowną sadystryczną i posepną zmysłowość. Zrozumiał, że nadszedł czas.

• Wstał i podszedł do zniszczonej wskutek długoletniego zaniedbania bramy o zbitych szybach. Z wysiłkiem otworzył zarzewiałe drzwi i wyruszył w podziemie, by przy pomocy latarni odnaleźć drogę sprzed lat.

Wiedział, że coś go czeka na końcu tego labiryntu. Ale nie wiedział co. ^.

PIAĆ SIĘ W GÓRĘ

było nieskończenie trudniej niż schodzić na dół, bo ścieżka była śliska, i nagle ogarnął go lęk, że się pośliznie i spadnie w bagnistą otchłań. Ledwo utrzymując się na nogach kierował się instynktem oraz skąpym światłem sączącym się z wysoka, z jakiejś szczeliny. I tak stopniowo wspinał się, ostrożnie, lecz z nadzieją, wzrastającą w miarę jak przybywało światła. A jednak (myślał z zaniepokojeniem) to światło nie może pochodzić od dziennego słońca, lecz z nieba rozwidnionego jednym z tych nocnych słońc, które oświetlają lodowe regiony polarne; i jakkolwiek ta myśl nie miała rozsądnej podstawy, utwierdziła się w jego umyśle, aż w końcu stała się czymś, co można by nazwać nadzieją zniechęcającą: podobne uczucie może zrodzić się w duszy człowieka, który wraca do ojczyzny po długoletniej uciążliwej tułaczce i obawia się, że ta ojczyzna została być może pod jego nieobecność spustoszona przez niewidzialne okrutne demony.

Mocno się denerwował wspinając się mozolnie w górę, chociaż zdenerwowanie mogło też wynikać z obawy, która ścisnęła mu serce. Zatrzymywał się, ale nie siadał, nie tylko dlatego, że ścieżka była błotnista, ale ze strachu przed olbrzymimi szczurami, unykającymi mu spod nóg; chwilami mógł je nawet dostrzec w półmroku: wstrętne, piszczące i dzikie, miały złośliwe oczki. Czując że zbliża się do końca, nabierał pewności, że czeka go coś złego, bo zamiast słyszeć narastający zgiełk, znamieny dla Buenos Aires, miał wrażenie, że uwydatnia się cisza. W końcu ujrzał niewyraźne kontury czegoś, co mogło być wejściem do piwnicy. Istotnie nim było. Przez ciasny otwór w ścianie z przegniłych od wieloletniej wilgoci cegieł wszedł do piwnicy, gdzie zrazu zdołał tylko dostrzec sterty nieokreślonych przedmiotów, zmieszanych z gliniastą ziemią naniesioną przez deszcz, jakies

czerepy, połamane drewno i chwasty pnące się ku światłu spływającemu z góry, ze szczelin.

Przebił się przez gąbczaste sterty poszukując wyjścia, które niechybnie zaprowadziłoby go na parter jakiegokolwiek budynku. Strop był z łamanego kamienia; może dlatego się nie zawalił. Miał jednak wielką szparę, przez którą wchodziło światło rozwidniając ubogo wprowadzając to podziemie: obudziło się w nim podejrzenie, że w górze nie ma budynku, jak zrazu przypuszczał, lecz jest tam jakiś nieużytek ze szczątkami pierwotnej zabudowy. Szpara nie była w kamieniu, ale — teraz mógł to stwierdzić — w starych drewnianych drzwiach spróchniałych wskutek gnicia. Liczył, że te drzwi wychodzą na schody, ale sterty śmieci przesłaniały mu widok. Próbował się wspiąć na taką stertę, lecz pod stopami zapadło się coś, co było gąbczaste i luźne, wylęzło stamtąd stado ogromnych szcurków. Kilka w histerii zaczęło wdrapywać się po jego nogach i ciele i dosięgło twarzy. Machając rozpaczliwie rękami usiłował ze wstrętem je odpędzić i oderwać od swego ciała, mimo to jeden z nich świszcząc wlał mu na twarz; czuł na policzku wstrętą skórę zwierzęcia i na sekundę jego oczy spotkały się z czerwonymi iskrzącymi się oczkami tego żywego i wściekłego ścierwa. Nie mógł się wstrzymać i z gardła wydarł mu się przeraźliwy krzyk stłumiony przez wymioty, jak gdyby on sam tonął w zgniłym, cuchnącym błocie.

Cofnął się instynktownie i po raz drugi znalazł się niżej, w nieforemnym otworze, którym wszedł do piwnicy, czy też do miejsca, które niegdyś było piwnicą. Szcurki rozpieczęły się na wszystkie strony; skorzystał tedy z chwili wytchnienia i rękawem koszuli otarł z ust resztki nieczystości. Obezwładniony trwogą i obrzydzeniem czuł, że ze wszystkich kątów tej jaskini śledzą go dziesiątki, a może setki tysiącletnich szcurkowych oczu. Znowu ogarnęło go wielkie zniechęcenie: ten mur z żywego brudu wydawał mu się nieprzekraczalny. A jeszcze groźniejsza była perspektywa, że zostanie w tym miejscu, gdzie wcześniej lub później zmoże go sen, i osunie się w błoto na żer czatujących szcurków. Ta perspektywa dodała mu sił do ostatniego podejścia do góry i przekroczenia ostatniej zapory dzielącej go od światła. Z determinacją zacisnął usta i rzucił się ku wyjściu, wspinając się obłądnie na kupy śmieci, deptał po szcurkach i nieustraszenie wymachiwał rękami, aby go nie atakowały jak przedtem i nie łąziły po nim, i tak udało mu się dobiec do przegniłych drzwi, które ustąpiły pod jego desperackim kopnięciem.

WIELKA CISZA Sabato siedł pośród
PANOWAŁA W MIEŚCIE ludzi, ale go nie do-
strzegali, jak gdyby był
upiorem. Zdesperowany począł krzyżeć. Wszyscy jednak szli
dalej, każdy swoją drogą, w milczeniu, obojętni, nie dając znaku,
że go widzą i słyszą.

Wsiadł więc do pociągu i pojechał do Santos Lugares. Na
stacji wysiadł i pieszo podążył na ulicę Bonifacini, ale nikt
na niego nie spojrział i nikt go nie pozdrowił. Wszedł do domu
i tu napotkał jedyny znak swojej obecności: Lolita zjeżyła
sierść i głucho zaszczekała. Gladys poirytowana chciała ją
uciszyć: zwariowałaś — zdawała się krzyżeć — przecież nikogo
nie ma.

Wszedł do swojej pracowni. Przy stole roboczym siedział
Sabato z głową wspartą na rękach, jakby rozmyślał o czymś
tragicznym.

Zbliżył się, stanął przed nim i wtedy zauważył, że wlepia
w pustkę oczy, nieprzytomne i straszliwie smutne.

— To ja — powiedział.

Tamten wszakże siedział bez ruchu z głową w dłoniach.

— Ja to ty — sprostował trochę śmiesznie.

Lecz i teraz nic nie wskazywało na to, że tamten go widzi
i słyszy. Jego usta milczały, nie poruszył nawet ręką.

Byli sami, oni dwaj, oddzieleni od świata. I na domiar, od-
dzieleni od siebie.

Nagle zobaczył, że z oczu siedzącego Sabato pociekły łzy.
Ze zdumieniem odczuł też na swoich policzkach charaktery-
styczne chłodne
nitezki łez.

TŁUMNIE WYCHODZILI
Z KOLEJKI PODZIEMNEJ wpadali na siebie,
schodzili z prze-
pełnionych" auto-
busów, wchodzili

do piekła Retiro, gdzie ponownie windowali się do pociągów.
Nowy Rok, nowe życie, myślał Marcelo z litościwą ironią,
patrząc na tych stracenców w gonitwie za nadzieją podsycaną
słodkim ciastem i jabłecznikiem, buczeniem syren i okrzykami.
Z ławki spojrział na zegar na wieży: była dziewiąta. Tak jest,
nadchodzi, milczy, ale jest punktualna. „Podarek” — rzekła po-
kazując z uśmiechem zieloną wstążeczkę na paczce: Cesar Valle-
jo, w oprawie. Introligator Niemiec z La Lucila. Takich już nie
ma. Jej włosy, niemal srebrne, blade połyskiwały w półmroku. *i:*

Mógł tylko szepnąć „Ulrika” przyjmując paczkę z jej delikatnych rąk. Siedzieli, niczym dwoje rozbitków na wysepce, pośród wzburzonego oceanu, pośród obcej i bezimiennej burzy.'

Poszli na przechadzkę w stronę portu. Był tam statek rzeźsście oświetlony, obwieszony flagami, gotowy do uczczenia syreną Nowego Roku.

— Czy ty wierzysz w to nowe życie? — spytała tym swoim przerywanym sposobem. „Wiesz, od dziesiątego roku życia jękałam się”, tłumaczyła zawsze, rzetelnie wyjawiając swe defekty.

Rozmowa ich była trudna, jak wspinaczka dwójga rekonescentów na Aconcaguę. Unikali wszelkich osobistych tematów, próbowali studiować teksty z uczelni, bo przy tym się nie rozmawia. Czasami jednak tłumaczyli wspólnie z niemieckiego Rilkego, Trakla. To również nie było łatwe: jak poprawiać błędy Marcela, aby go nie dotknąć i aby to w jakiś sposób nie wyglądało na przechwałki? Ależ to naturalne, jesteś córką Niemca, usprawiedliwiał ją nieśmiało. Albo te *Lieder*. Wiesz, lepiej z muzyką. -Słowa mechanicznie wbijają ci się w pamięć. On jednakże nucił wstydliwie, myśląc się często w melodii i w niemieckim, czynił to gorzej, niżby potrafił. Ze wzruszeniem śpiewali pieśń Schumanna o dwóch grenadierach. Nieraz chciał jej powiedzieć, że jest piękna z tymi długimi bladłosrebrnymi włosami na czarnej bluzce. Ale jak powiedzieć tak długie zdanie i tak intymne? Przechadzali się więc nie rozmawiając, dopóki z bliska nie ujrzeli statku: światła i flagi dawały znać, że i tam ludzie chcą być szczęśliwi, że oczekują syreny i magii owej chwili, która przedzieli życie i pozostawi za sobą całoroczne troski, ubóstwo i rozczarowania. Potem wrócili i przysiedli na tej samej ławce. Aż w końcu ona powiedziała, że jest dziesiąta, że powinna być w La Lucila przed jedenastą.

Tak, oczywiście. A on, czy pójdzie do rodziców?

Marcelo spojrzął na nią. Do rodziców? Rzeczywiście... Palito jest sam... a on...

Podnieśli się z ławki, zawsze ona trochę wyższa. Ulrika musnęła ręką jego twarz i z lekką ironią rzekła: „Szczęśliwego Nowego Roku”, aby jak zwykle pod komunałem ukryć delikatne uczucie. A później, po raz pierwszy i zarazem ostatni zbliżyła usta do ust Marcela i oboje poczuli, że coś bardzo głębokiego inicjuje się w tym zetknięciu. Patrzył za nią, jak się oddalała w czarnej bluzce i żółtych spodniach, i zastanawiał się, czy to możliwe, że Ulrika nie jest ani trochę dumna ze swej urody: z urody ukrytego krajobrazu, miejsca, nie zaznaczonego w zad-

nym prospekcie turystycznym, nie wydeptanego przez natrętnych hipokrytów.

Podążył przez Avenida del Libertador w stronę domu rodziców i z przeciwnego chodnika spojrzął w górę. Tak, na siódmym piętrze świecą się światła. Pewnie wszystko przygotowują, może spodziewają się go ujrzeć choć na chwilę. Przyszło mu na myśl, że będzie "to z jego strony małoduszność i pycha nie pójść, zasmucić tę roztargnioną, zwariowaną matkę. Długo się wahał, myśląc o jej wiecznych krzyżówkach, o rozburzonych włosach, o jej pomyłkach. Becquer? No to co, że Becquer? Po co tyle hałasu, przecież ona już jako dziecko recytowała z pamięci Becquera. Beckett, mamó, Beckett! gromiła ją intelektualist-ka Beba. Jakby rzuciła grochem o ścianę: Becquer, Becquer! Także mi nowość, upierała się przy swoim, studiując krzyżówkę.

Długo patrzył na to siódme piętro i w końcu przeszedł przez ulicę, ale poszedł dalej aż do Las Heras, aby tam wsiąść do autobusu nr 60. Wszystkie były przepelnione, lecz zdołał wreszcie uwiesić się przy którymś. Wysiadł na ulicy Independencia, wszedł do sklepu i kupił butelkę mrożonego jabłecznika i słodką bułkę. „Podarek” miał w kieszeni. To będzie wspaniała niespodzianka dla Palita. „Chodzi o to, że brakuje mi słów, Marcelo. Gdybym miał słownik”. No więc będzie miał słownik, choćby ten mały, odpowiedni do jego potrzeb. Jego fantastyczne potrzeby: odpisywać codziennie po dziesięć słów, wbić je sobie tutaj (wskazywał na czoło). Komendant zawsze mówił, że nie tylko strzelanie jest ważne.

Szedł przez Independencia do Bajo, a kiedy przekroczył ulicę Belcarce i miał wejść do domu, rzuciło się na niego kilku ludzi. Wydało mu się to tak nierealne, że nawet nie pomyślał o ucieczce. Byłoby daremne: otaczali go ze wszystkich stron. Poczul dzikie uderzenie w podbrzusze i drugie w głowę, włożyli mu szmatę do ust i zamknęli w bagażniku samochodu, który czekał z włączonym motorem. To wszystko stało się bodajże w przeciągu kilku sekund. W skrzyni, odurzony bólem, czuł, jak samochód pędził ulicami, skręcał, mknął przez długie aleje, znowu skręcał i stopniowo robiło się dookoła coraz ciszej. Wtedy się zatrzymali.

Wyciągnęli go z bagażnika, rzucili na ziemię, dali kilka kopniaków w okolicę nerek i w jądra, a on wijąc się z bólu i nie mogąc krzyczeć, bo usta miał zatkane brudną szmatą, usłyszał, jak jeden powiedział do drugiego:

— Gruby, daj mi papierosa.

Po chwili, na pewno po zapaleniu papierosów, poprowadzili 297

go jakimś korytarzem, zesli po kilku stopniach na dół i tutaj już usłyszeli wrzaski: raczej wycie człowieka, żywcem odzieranego ze skóry.

— Dobrze słuchaj — powiedział jeden z nich.

Ruszyli dalej korytarzem ledwo oświetlonym słabą żarówką. Mocno cuchnęło, jak z wychodków. Otworzyli jakiś loch i rzucili go na ziemię. W ciemności nic nie widział, tylko czuł odór kloaki.

— Wszystko sobie teraz przypomnij, to ci się przyda.

Powoli przyzwyczajał się do mroku. Fetor był okropny. Nagle usłyszał jęki i spostrzegł, że jeszcze ktoś leży na betonowej podłodze. Po jakimś czasie usłyszał, że tamten szepce coś, jakby Pedreira, Pereira czy Fereira, Potem jeszcze dodał, Hugo. -To ważne, powiedział. Marcelo zdołał po kilku nieudanych próbach rozszyfrować bełkot: jeżeli wyjdiesz kiedyś żywy z tego piekła, powiedz towarzyszom, że ja nie zdradziłem. Proszę cię, bracie, zakończył.

WESZLI DWAJ Z LATARNIĄ

najpierw przystąpili do tego, co powiedział, że się nazywa Pereira czy Pedreira, przyjrzeni mu się z bliska: „Skurwysyn” — rzekł jeden — „a wiedział coś, jestem pewny”. Kopnął go i obaj poszli do Marcela.

— Idziemy — rzekli.

Wpchnęli go na korytarz i wtedy znowu usłyszał to wycie.

Kopniakami wepchnęli go gwałtownie do izby, gdzie stało coś w rodzaju stołu operacyjnego. Rozebrali go i zrewidowali kieszenie: świetnie, notes z telefonami, tom wierszy, to pedek: „Dla Marcela na zakończenie roku 1972, zawsze, zawsze, Ulrika”. Ach więc Ulrika, no? A myśleliśmy, że pedał. I mały słownik w kieszeni marynarki.

— Popatrz no, Turku, jaka dedykacja: „Palitowi, w nadziei, że mu się przyda, z sympatią, Marcelo.” Ho, ho, Palitowi! Widać, że ten idiota się nie orientuje. — Tamten zwany Grubym powiedział: no, dosyć żartów, do roboty.

Położyli go na marmurowym stole, rozkrzyżowali mu ramiona, rozsunęli nogi i sznurami przywiązali przeguby rąk i kostki nóg do stołu, po czym go oblali wiadrem zimnej wody i pokazując mu elektryczną „pikanę”, spytali, czy wie, co to jest.

— To wynalazek argentyński — powiedział Turek ze śmiechem. — A gadają, że Argentyńczycy nic tylko naśladowają zagranicę. Przemysł krajowy, sí señor, możemy być dumni.

Graby, widać wyższej rangi, zbliżył się i powiedział:

— Tutaj wyśpiewasz wszystko, od A do Z. Im prędzej za7 czniesz, tym lepiej. Nam się nie śpieszy, możemy cię tu trzymać cały dzień albo cały tydzień i nie zdechniesz. My wiemy, jak się to robi. No, wiedź na początek trzeba, żebyś nam powiedział parę rzeczy. A zwracam ci uwagę, że drugiego przyjaciela Palita także już mamy. Jest tu, obok. -Słyszałeś ten wrzask? A wyśpie wał już masę rzeczy, ale chcemy jeszcze wiedzieć, co ty wiesz. No, więc zaczynaj: jak go poznałeś, co ci opowiadał, jakie kontaktry, czy znasz Rudego i Cachita? Palito uciekł piwnicami. Grdzie się ukrywa? Ty z nim mieszkasz, jesteś jego bliskim przy jacielem. To już wiemy, nie masz po co zaprzeczać. Chcemy co innego wiedzieć. Z kim jest związany, kogo widywał, kto przy chodził do pokoju przy ulicy Independencia i kto jest Ulrika?

Do pokoju nikt nie przychodził. Ulrika jest po prostu przy jaciółką. On nigdy Palita o nic nie pytał.

Dlaczego zamieszkali razem? Gdzie go poznał? Czy nie wiedział, że Palito był w partyzantce Che?

Nie, nic o tym nie wiedział.

A zatem, poznali się przypadkiem na ulicy i postanowili razem zamieszkać?

Marcelo nie daje odpowiedzi.

— Nikt was nie poznał? Spodobala ci się gęba tego kre tyna? Kto był łącznikiem? Dlaczego Palito zatrzymał się na stałe w Buenos Aires? Gdzie widziałeś go po raz pierwszy?

— W kawiarni na rogu Rivadavia i Azcuenaga.

— Tak, świetnie. Ale do tej kawiarni przychodzą tysiące ludzi. Dlaczego się z nim właśnie spiknąłeś? Czy wiesz, kto to jest Rudy?

Marcelo nie odpowiedział.

— Dobrze. Biercie go.

Najpierw przytknęli mu „pikanę” do dziąseł; poczuł, jakby w nie wbijali płonące szpilki. Jego ciało wygięło się gwałtownie w łuk; krzyknął. Zaledwie przestali, ogarnął go straszny wstyd za to, że krzyczał. Nie wytrzyma. Ze zgrozą pomyślał, że nie wytrzyma.

— Widzisz, to jest tylko próbka. Darmowa. Początek do piero. Widziałeś tego, co tam leżał w piwnicy? No, nie traćmy czasu. My już sporo wiemy, możesz być spokojny. Nie daj się okaleczyć na całej życie po to, żeby zachować sekret. W końcu i tak ich wydasz, tyle że już będziesz do niczego. No. Nasam- przód gadaj, jak poznałeś Pala.

— W kawiarni na rogu Azcuenaga i Rivadavia.

— Tak, to już powiedziałeś. Ja ci wierzę. Tylko jak? Przy
stąpił do ciebie i powiedział, że chętnie by z tobą zamieszkał?

— Przystąpił i poprosił o zapalną.

— A ty dałeś?

— Oczywiście.

Gruby obrócił się i spytał, czy ktoś znalazł w kieszeniach
papierosy i zapalną. Nie. Tylko mały słownik, teiżkę z wiersza-
mi, inhalator przeciw astmie, notes z adresami i siedemdzie-
siąt kilka pesos.

Gruby obrócił się.

— Widzisz? — powiedział łagodnie. — Tu nie ma co kła-
mać. Nie było ani papierosów, ani zapalek. Mówię dla twojego
dobra: nie bujaj.

— Skończyły się.

— Co?

— Papierosy.

— Naraz papierosy i zapalną?

Roześmieli się.

— A powiedz no: jakie papierosy palisz?

Na chybił trafił powiedział „Jockey Club”.

— „Jockey Club”? Ile kosztują?

Nie mógł odpowiedzieć, nie wiedział. Włożyli mu brudną
szmatę do ust.

— Dawajcie. Powiększyć wołtaż.

Dali mu w pachwinę, pod pachy, w podeszwy, za każdym ra-
zem dziko nim wstrząsało.

— Dostyc. Już widzę, że należysz do typu twardogłowych,
idioto! Zrzuńujesz sobie życie, za nic. Rząd się zmieni, a my tu
zostaniemy. I wy także. Ci, co przeżyją. Zostaw go, mały.

Wyjęli mu szmatę z ust.

— Wiemy, że Rudy był kiedyś u was, że poznałeś Rudego
przez studenta prawa, Adalberta. Adalberto Palacios. Widzisz,
wiemy, że skłamałeś. I widzisz także, że tamci śpiewali.

Marcelo osłupiał. Nie, to nie mógł być Rudy. Pozostaje tyl-
ko Palacios.

— To nieprawda — powiedział.

Gruby spojrział nań dobrodusznie.

— Słuchaj, ja ci coś powiem: my wiemy, że ty nie jesteś
partyzantem, że nie potrafisz muchy zabić. Nie możesz sobie
wyobrazić, ile my o tobie wiemy. Nie torturujemy ciebie za to,
rozumiesz? Torturujemy cię za to, że coś wiesz, i musisz to wy-
śpiewać. Pokładamy wiele nadziei w takim typie jak ty, właśnie
dlatego. Bo lubisz poezję, bo jesteś delikatny. Wiesz? Nie bierz
mi tego za złe. Nie myśl sobie, że męczę cię dla przyjemności.

Nie. Ja także mam rodzinę. Co ty sobie wyobrażasz, że my kim jesteśmy: bestie, bez matki?

— Miał twarz nieledwie pocziwą.

— Dobra, a teraz jakeśmy się już trochę zżyli, jak się prze konałeś, że nie jesteśmy tacy, jak mówią, porozmawiajmy spo kojnie. Powiedziałeś, że przystąpił po zapalną i ty mu dałeś zapalną, czy nie tak?

— Tak.

— I udowodniłeś ci, że skłamałeś.

— Tak.

— No, widzisz, że nie warto kłamać. Zawsze w końcu wie my, kiedy się kłamie. Wróćmy teraz do kawiarni na rogu Riva- davia i Azcuenaga. To jest prawda, to wiemy. Jak nawiązaliście rozmowę? Tak, po prostu przystąpił i zaczął opowiadać o party zantce? Dobrze wiesz, że partyzant mówi o tych rzeczach tylko, jak ma do kogoś bezwzględne zaufanie. Dlaczego miałby mieć zaufanie do ciebie, do nieznajomego? Bo on ci opowiadał o partyzantce.

— Nie, nigdy. Nie wiedziałem, kim był Palito. Wiedziałem tylko, że pochodził z Tacuman, że pracował w fabryce, że fa brykę zamknęli, że został bez pracy, że później pracował w fa bryce Fiata i że znowu został bez pracy.

— A nigdy ci nie powiedział, dlaczego go wylali z pracy?

— Nie, nigdy.

— Nie powiedział ci, dlaczego wyjechał do Boliwii?

— Nie powiedział.

— Nie wiedziałeś więc, że Palito należał do tutejszej grupy partyzantów?

— Nie wiedziałem.

— A nie przychodził tam do pokoju facet dwudziestosię- mioletni mniej więcej, wysoki, w okularach, o czarnych kędzie rzawych włosach, trochę kulawy?

Był to dokładny rysopis Lunga. Przeraził się. Teraz miał pewność: to Palacios ich wyspał.

— Nie. Nigdy takiego człowieka nie widziałem.

Gruby spoglądał na niego długo, w milczeniu. Potem obró- cił się i rzekł:

— Dać mu na całego.

Włożyli mu do ust brudną szmatę i usłyszał, że Turek po- wiedział: „teraz wszystko wyśpiewa”.

Zaczęli od mięsa, następnie pachwiny, podeszwy, jądra. Czuł, że płonącymi szczypcami wyrywają mu po kawałku cia ła. Nagle zaczął wszystko widzieć białe, a serce biło mu w piersi, jakby ktoś walił pięścią ri drzwi.

Nastąpiła chwila niezdecydowania. Na twarzach oprawców rysowała się ogromna uciecha. Gruby obrócił się do nich i powiedział, że poczekają. Wtedy zaczęli z niej zdzierać suknię i bieliznę. Marcelo patrzył na to ze zgrozą, jak urzeczony. Dziewczyna była skromna, uboga, ale miała niewinną urodę niektórych półindiańskich dziewcząt z Santiago del Estero. Zdzierając z niej suknię, krzyczeli, śmiali się nerwowo, zwłaszcza jeden, olbrzymi i brudny, krzychał ja pierwszy.

W chwili kiedy oszalały osobnik zwany Turkiem rzucił się na dziewczynę, inni krzyczeli, macali ją, onanizowali się, a młodzieniec przywiązany do stołu wołał Esthercita, Marcelo stracił przytomność. Od tej chwili zagubił pojęcie czasu i miejsca. Nagle znalazł się w lochu (tym co przedtem?) tak samo cuchnącym ekskrementami i moczem, to znowu poddawali go torturom na stole albo walili w brzuch, albo wykrecali mu jądra.

Wszystko się pogmatwało, obelżywe wyzwiska, krzyki, przekleństwa, plucie w twarz. W pewnej chwili poczuł, że ciągną go za włosy przez mroczny korytarz i ponownie wtrącają do ohydneho lochu. Myślał, że jest sam. Po chwili wszakże jego opuchnięte oczy, przez które widział tylko jakąś mętną fantasmagorię, dostrzegły kogoś siedzącego na podłodze.

Tamten coś szeptał. Nic nie wie, oskarżają go, że jest członkiem FAR. FAR? Na wszystko odpowiadał: tak, okropnie się bał. Jak mu się zdaje? Mówił tonem błagalnym, jakby się usprawiedliwiał.

— Tak — szepnął Marcelo.

+ - Jak? A więc co? — nalegał tamten.

— Że będzie dobrze, nie martw się.

Tamten zamilknął. Znowu rozległy się wrzaski, co pewien czas przerywane ciszą (szmata w ustach — myślał Marcelo). Po chwili tamten przyczołgał się do niego.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Marcelo.

— Mocno cię torturowali?

— Normalnie.

— Śpiewałeś?

— Oczywiście.

Tamten milczał. — Chciałbym się odlać — rzekł po chwili, — ale nie mogę.

Drzemie, jakby śnił na płonącej pustyni najeżonej płonącymi ostrzami. Potrząsają nim. Kopiają go. Wrócili. JJe czasu minęło? Dzień, dwa dni. Nie wie. Chciałby tylko od razu umrzeć. Ciągną go za włosy do oświetlonego pomieszczenia, jeszcze jedna izba tortur. Pokazują mu bezkształtną masę ran i nieczystości.

— Nie poznajesz go, co? — pyta Gruby lodowatym tonem.

Teraz go chyba poznaje, kiedy to coś usiłuje pomachać ręką, jakby po przyjacielsku. Już wie, kim jest ta bezkształtna masa — i na nowo traci przytomność. Budzi się w tej samej izbie, coś mu dali, pewnie zastrzyk.

Przyprowadzają kobietę w ciąży, lekarz ją bada, możecie jej dać, powiada. Stracisz dziecko, ty kurwo. Dają jej prąd na piersi, w pochwę, w odbytnicę, w pachwinę. Gwałcą ją. Potem wkładają jej pałkę, a tymczasem obok słychać krzyki, wycie tamtego:

— To jej mąż — wyjaśniał Gruby.

Chce mu się wymiotować, ale nie może. Ma powiedzieć, czy zna Buzza, Esther, kiedy widział się z Cachitb. Wszystko mu się mąci, nic już nie rozumie. W dalszym ciągu wypytyują kobietę, powiadają, że każą jej rodzić na stole tortur, że wyrwą z niej dziecko.

Gruby mu grozi, że go potną na kawałki, jeżeli wszystkiego nie powie, jeżeli nie powie, co robił Palito w ostatnich tygodniach. Jest wysoki, piegowaty? Nazywają go Czerwony? Czy zna tamtego z lochu? Czy go widział razem z Palitem w kawiarni przy ulicy Independencia? Odwiązali położnicę i teraz jemu aplikują prąd. Mdleje i budzi się znowu na cementowej podłodze lochu. Jest ciemniej niż przedtem. Po chwili nadchodzi ci z latarnią. Szukają tamtego. Skurwysyn — powiada jeden z nich, świecąc latarnią. Skąd on wziął tę żyletkę? Włoką go, zabierają. Zostaje całkiem sam.

Chciałby oddać mocz, ale nie może, mdleje z bólu. Śni mu się coś dziwnego, coś z dzieciństwa: niby przeczyste obrazy w chlewie. W półśnie, po cichu, zmawia pacierz, klęczy koło swego łóżeczka, modli się do Dzieciątka Jezus, jest przy nim matka i mówi, a teraz spać. Dzieciątko Jezus, tak jest. Nagle jakby za-cbrapał, mruczy: **BOŻE MÓJ, DLACZEGO MNIE OPUSCIŁEŚ!** I natychmiast ogarnia go wstyd, myśli o tej ciężarnej kobiecie. Spotkanie z Ulriką na placu Retiro było sto lat temu, na innej planecie. Bóg miał atak szału i cały świat rozsypuje się na kawałki pośród krwi i wycia, wśród przekleństw i kalekich szczątków. Znowu powtarza modlitwę z dzieciństwa, jakby miała jakąś moc w rym piekle. Gdzie jest Bóg? Czego chce dowieść męczarnią tak skromnej istoty jak Esther? Co chce powiedzieć? Może im wszystkim chce coś powiedzieć, ale go nie rozumieją. W tej chwili tam, na ulicy, kochankowie trzymają się za ręce, są śmiechy, życzenia szczęścia, na statkach buczą albo już buczały syreny. Nowy rok, nowe życie. Czy już minął Nowy Rok? Jaki to dzień dzisiaj? Tu zawsze jest noc. Ach, tak, tam- 305

ten powiedział, że wszystko wyznał, ale to były kłamstwa, oskarżył niewinnych ludzi, kazali mu coś podpisać. Zdawało mu się, że płakał, ale nie sposób dostrzec tu gestów i łez. Co? Zabił się żyletką? I kobiety, pomyślał, kobiety. Defilada upiórów w piekle. Chrześcijańscy męczennicy, pomyślał. Być pożartym przez dzikie bestie jest niczym w porównaniu z tym. Potem na nowo począł bredzić i pomieszały mu się imiona i epoki.

I oto wracają ci z latarnią. Ciągną go za włosy do izby tortur.

— No, tak—powiada Gruby.—Teraz koniec. Albo wszystko wyśpiewasz, albo stąd nie wyjdiesz żywy.

Znów go kładą na stole. W izbie jest pełno dymu, słychać krzyki, śmiechy, obelgi. Popracujesz teraz, pedale, aż wszystko z siebie wysypiesz.

Wykręcają mu jądra, wkładają „pikanę” do ust, do odbytnicy, do cewki moczowej, wałą go w uszy. Przeprowadzają jakąś kobietę, rozbierają ją i kładą na nim. Aplikują prąd obojgu. Wykrzykują obelżywe słowa, oblewają wiadrami wody, po czym go odwiązują i zrzucają na podłogę. Mdleje, kiedy wraca do przytomności, znowu jest lekarz ze strzykawką. Ma dosyć, powiada. Ale rzucają się na niego jak sfora wściekłych psów i wkładają mu głowę do garnka z moczem, a kiedy sądzi, że już umiera, wyjmują głowę z garnka i na nowo zasypują pytaniami, lecz on już nic nie rozumie. Wszystko już znikło na ziemi, drgającej w konwulsjach wśród pożarów i ustawicznych wybuchów, wśród krzyku i lamentu istot przygniecionych blokami żelaza i betonu, krwawiących, okaleczonych. Zanim stracił świadomość, odczuwa jeszcze ogromną radość: UMIERAM, myśli.

O TEJ PORZE TRZEJ KRÓLOWIE SĄ W DRODZE

wony samochód chevy sport. Samochód zatrzymuje się, wysiada pan Ruben Pérez Nassif z Agustina. Wchodzą do bramy kamienicy.

Pozostał na swoim posterunku obserwacyjnym do czwartej mniej więcej, po czym odszedł, prawdopodobnie do domu. Z rękami w kieszeniach wytartych dżinsów szedł przybity, ze schyloną głową.

mówi sobie Nacho z ponurą ironią. Ze sprzyjającej mu ciemności, spod drzew Avenida del Libertador widzi w końcu czer-

MNIEJ WIĘCEJ O TEJ SAMEJ PORZE

Tak zwany Gruby zapytał, czy jeszcze żyje. Inny, Correntino, podszedł, ale brzydził się go dotknąć, bo był cały w płwocinach, we krwi i w wymiotach.

— No?

Correntino kopnął go w bok, lecz nie usłyszał jęku.

— Według mnie jest gotów — orzekł.

— Dobra, włóżcie go do worka.

Przyniesli worek z żaglowego płótna, włożyli go, tłumok związali sznurem i poszli wypić jałowcówkę. Potem wrócili, zanieśli tłumok do samochodu, włożyli do bagażnika i ruszyli w kierunku Riachuelo. Zatrzymali się przy palenisku śmieci, wyjęli worek, a gdy go złożyli na ziemi, któryś z nich zauważył lekkie poruszenie. „Wydaje mi się, że on żyje” powiedział. Przybliżył ucho i rzeczywiście usłyszał lub zdawało mu się, że słyszy jakby szept. Zanieśli tłumok na brzeg, obciążyli go dużymi kawałami ołowiu i kołysząc nim tam i z powrotem dla nadania rozpędu, wrzucili do wody. Stali chwilę i patrzyli w wodę, a Correntino rzekł „narobiliśmy się przy nim”. Wsiadli do samochodu i któryś powiedział, że napiłby się kawy i zjadł chleba z kiełbasą.

— Która godzina?

— Nie ma jeszcze piątej.

— Ano, wracamy. Jeszcze nie otwierają.

DOMEK WYDAWAŁ SIĘ JESZCZE BARDZIEJ OPUSZCZONY

a zgrzyt żelaznych pordzewiałych drzwi jeszcze głośniejszy niż za dawnych, mniej smutnych czasów. Milord przyjął go hałaśliwie, co było zrozumiałe, jako że długo pozostawał sam zamknięty w tej norze. Nacho w roz targnieniu odsunął go nogą i rzucił się na łóżko. Założył ręce pod głowę i spoglądał w sufit. Miał ochotę posłuchać po raz ostatni Beatlesów. Z ogromnym wysiłkiem podniósł się i puścił płytę.

Julia, Julia, oceanchild, calls me,

Julia, seashell eyes, windy smile, calls me.

Julia, sleeping sound, silent cloud.

Siedząc na podłodze, ze spuszczoną głową, czuł, że oczy ma opuchnięte. I nagle, ze wszystkich sił wałnął pięścią w patefon.

Wstał, wyszedł z domu i ulicą Conde podążył ku torom kolejowym. Milord szedł za nim bez jego wiedzy. Na skrzyżowaniu z Mendoza zatrzymał się na chwilę, ale niemal natychmiast wspiał się na zaśmiecony, pokryty zarzewiałym żelastwem nasyp i usiadł na podkładzie między szynami. Z wysoka, jego zmęczony wzrok począł dostrzegać pierwsze nieśmiało zwiastuny jutrzeńki, to na jakiejś chmurze, to na oknach wieżowców wybudowanych pośród ruin domków, to na jakimś odległym dachu: te okna otwierają się powoli i z pewną odnowioną nadzieją, w domu, skąd właśnie wyniesiono trumnę. *Julia, Julia oecm-child*, mruzczał oczekując pociągu, który, jak sądził, wkrótce nadjedzie.

W tej chwili poczuł język psa na swojej zwieszanej ręce. Od razu pojął, że Milord szedł za nim w pewnym oddaleniu. Z obłądną i bodaj nadmierną złością krzyknął „Precz, durniu”, i uderzył psa. Milord, zziębnięty, spozierał na niego boleśnie, zaś jemu przypomniawszy się urywek pewnej znienawidzonej książki: wojna może być niesłuszna i absurdalna, lecz oddział, w którym służysz, przyjaciele, którzy śpią w schronie, podczas kiedy ty stoisz na warcie, oto jest absolut. D'Arcangelo, na przykład. Może, pies.

— Skurwysyn! — krzyknął myśląc o autorze książki. Złość, jeszcze bardziej bezsensowna niż przedtem, rzuciła nim prze ciw zwierzęciu. Kopnął je z furią. Po chwili z płaczem runął na tor.

Kiedy znowu podniósł oczy, pies był przy nim.

— Wracaj do domu, idioto — powiedział z resztką złości: małe płomyki, co jeszcze tu i tam błyskają po wielkim pożarze. Gdy jednak pies nie poruszył się i nie spuszczał z niego oczu (pełnych bólu? wyrzutów?) Nacho powoli się uspokajał i w końcu zrozpaczony jął go po cichutku i cierpliwie prosić, aby sobie poszedł, aby go zostawił samego. Przemawiał pieszczotliwym tonem, chciał mu nawet powiedzieć „wybacz mi, staruszk”, ale nie ośmielił się szepnąć tych słów.

Milord zrezygnował wówczas ze swojej roli opiekuna i w końcu pomachał ogonem, niezbyt mocno ani wesoło, a jednak z resztką dawnych radości, co są jak te okruchy pozostałe po uczcie.

Nacho zszedł z nasypu, na dole poklepał go i jeszcze raz poprosił, aby odszedł. Milord spoglądał nań jeszcze chwilę nieufnie i wreszcie z niechęcią się oddalił, od czasu do czasu jednakże oglądając się za siebie.

Nacho wspiał się ponownie na skarpe i jak przedtem usiadł na podkładzie między szynami. Przez łyzy oglądał po raz ostatni 3G8

drzewa na pustkowiu, ręciovą lampę, ulicę Conde, fragmenty rzeczywistości bez znaczenia, ostatnie, które ujrzy.

Położył się w poprzek toru, zamknął oczy, a kiedy ciemność oddzielała go od tej fantasmagorii, nagle szmery poczęły nabierać ważkości. Usłyszał jakiś szelest i pomyślał, że może tu być szczur. Rozchyliwszy powieki spostrzegł Milorda. Zatraskane psie oczy znowu go szantażowały, na nowo więc wpadł w furję, i z krzykiem począł bić go niemiłosiernie. W końcu, zmęczony, pokonany przez psa, uspokoił się, właśnie w chwili, kiedy usłyszał łomot pociągu. Po chwili zszedł pomaleńku z nasypu i w towarzystwie Milorda podążył do domu.

Wszedł do pokoju, wyjął z szafy swoją bieliznę i włożył do plecaka. Ze Skrzynki Skarbów z czasów dzieciństwa wziął lupę, kokardę należącą niegdyś do Carlucha, dwie szklane kulki, mały kompas i magnes w kształcie podkowy. Z półki wyjął książkę *Tajemny łowca*, ze ściany zdjął fotografię Beatlesów, kiedy jeszcze byli razem, i fotografię małego Wietnamczyka biegnącego samotnie przez płonącą wieś. Włożył to wszystko do plecaka wraz ze swoimi rękopisami. Wyszedł do patio, umieścił rzeczy na motocyklu, psa uwiązał na plecaku i zapalił motor. W tej chwili jednak nasunęła mu się pewna myśl. Zatrzymał motor, zsiadł i wyjąwszy z plecaka teczkę ze swoimi papierami, położył ją na ziemi, podpalił i patrzył, jak zmieniają się w popiół owi poszukiwacze absolutu, którzy na tych stronicach zaczynali już żyć (i cierpieć). W tej chwili był pewien, że na zawsze.

Począł na nowo wszystko układać, kiedy nadeszła Agustina. Bez słowa, jak lunatyczka, weszła do mieszkania.

Marcelo siedział na motocyklu, osłupiały, nie wiedząc co ma robić. Zamyślony zsiadł i powoli wszedł do pokoju. Agustina leżała na łóżku, ubrana i patrząc w sufit paliła papierosa. Nacho zbliżył się i ponuro na nią spoglądał.

Nagle wykrzykując histerycznie: ty kurwo, rzucił się na nią i klęcząc na łóżku, z siostrą między nogami, zaczął ją walić pięściami po twarzy. Bierna i zwiotczała niczym szmaciana lalka Agustina nie próbowała się bronić, co wzmogło jeszcze gniew brata. Jął zdzierać z niej suknię i drapać ją paznokciami do krwi. Wreszcie ją obnażył i z głośnym płaczem począł ją opluwać: najpierw twarz, potem, rozsunięty jej nogi, seks. W końcu, gdy Agustina patrząc na niego szeroko otwartymi pełnymi łez oczami wciąż nie stawiała oporu, opadły mu ręce i płacząc zwał się na ciało siostry. Długo tak leżał. Wreszcie wstał i wyszedł z domu. Puścił w ruch motocykl i ruszył aleją Monroe. Nie miał jeszcze przed sobą jasnego celu.

DNIA 6 STYCZNIA 1973

Natalicio Barragán obudził się późno, z głową pełną szpilek i odłamków szkła. Długo leżał i wpatrywał się w sufit, ale go nie widział. Starał się o czymś myśleć, nie wiedział jednak, o czym by chciał myśleć. Jego myśl z trudnością przeciskała się przez ciasne kanaliki niby mętna woda w starych rurach zardzewiałych od kwasów. Miał właśnie wstać i zrobić sobie mate, lecz raptem, jak błyskawica w pochmurną noc, opadło go wspomnienie wizji.

Ścisnął oburącz głowę i dłuższy czas leżał wzburzony i pełen lęku.

Potem wstał, a podczas gdy szykował mate, wspomnienie płonącej bestii wracało coraz mocniejsze i groźniejsze. W końcu wylał mate na ziemię i śpiesznie wybiegł na ulicę.

Dzień był słoneczny, niebo jasne i czyste. Było około jedenastej, a że to był dzień świąteczny, ludzie kręcili się po ulicach bądź stali w drzwiach, pili mate i gawędzili. Barragán patrzył badawczo w ich twarze i przysłuchiwał się rozmowom. Lecz ani ich twarze, ani słowa nie wyrażały nic szczególnego; były takie jak w każdy inny dzień świąteczny w dzielnicy Boca.

Stojąc na tym samym rogu ulic Brandsen i Pedro de Mendoza, wsparty o ten sam mur, który w nocy służył mu oparciem, spoglądał w to samo niebo pomiędzy masztami okrętów. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że to niebo jest teraz czyste, bez chmur, całkiem zwyczajne, i że ludzie beztrosko się przechadzają.

Postanowił odwiedzić szewca Nicolasa. Zastał go pracującego jak zawsze, w piątek i świątek. Chwilę z nim pogadał. O czym? Nic ważnego, ale okazało się, że szewc nic nadzwyczajnego nie zauważył tej nocy i że nikt mu o czymś niezwykłym nie opowiadał.

Po południu, sprzedawszy gazety, które mu dawał Berlingieri, poszedł do kawiarni. Zupełna nieświadomość tych wszystkich ludzi wznagala jego lęk. W barze dyskutowano szanse klubów Boca i Racing. On jednak stał niemy z kieliszkiem wódki przy ladzie. Oczekiwał nadejścia nocy, z lękiem, starannie ukrywanym, który jednak objawiał się (rzecz osobliwa) swędzeniem skóry, zimnymi rękami i stopami, mimo że to był dzień letni.

Wyszedł, pokręcił się trochę, a wieczorem wrócił do kawiarni i pozostał tam aż do zamknięcia o drugiej w nocy. Wtedy podążył tą samą drogą co poprzedniej nocy. Na rogu ulic Brandsen i Pedro de Mendoza oparł się o mur, o ten sam mur, i przymknął oczy. Serce biło mu gwałtownie, skóra nieznośnie swędziała, a dłonie miał oblane zimnym potem.

W końcu zdecydował się otworzyć i podnieść oczy: tak, oto **310**

jest, z nozdrzy bucha mu ogień, krwawe oczy są pełne wściekłości, cichej, lecz tym straszniejszej: jak gdyby ktoś zagrażał nam w samotności i w absolutnej ciszy, a nikt prócz nas nie mógł dostrzec niebezpieczeństwa.

Zamknął oczy i byłby upadł, gdyby się nie oparł o mur. Po jakimś czasie mógł zebrać siły i pójść do swego mieszkania, wciąż wbijając oczy w płyty chodnika.

Nazajutrz powtórzyło się dziwne zjawisko: ludzie kręcili się po ulicach, jak gdyby nic nie zaszło, mówili o tym samym (o polityce, o piłce nożnej), w barze Chichina robili te same dowcipy. Barragan milczał i spozierał na nich ze zdziwieniem, nie wając się powiedzieć im tego, co mówił niegdyś. A wracając do domu, dobrze się pilnował, by nie spoglądać w niebo.

Minęło kilka dni, Barragan coraz smutniejszy czuł się coraz bardziej opuszczony, doznawał przy tym wrażenia, że popełnia coś haniebnego, jakąś zdradę albo tchórzostwo. Wreszcie, gdy pewnej nocy wchodził do swojej ciemnej izby, olśnił go dobrze mu znany blask. Pośród blasku ujrzał oblicze Chrystusa, który patrzył na niego z litością, ale surowo, jak na ukochane dziecko, kiedy popełnia coś złego. Po chwili zniknął.

Natalicio Barragan rozumiał, o co go Chrystus obwinia. Pojawił mu się przed piętnastu laty i wtenczas on, Barragan, przemawiał do ludzi na ulicy i w barze Chichina. Mówił im, że w Buenos Aires wybuchnie wielki pożar. Stroili z niego żarty: „Ej, wariacie, gadaj, co ci powiedział Chrystus”. Tedy on, z kieliszkiem wódki w rękę, opowiadał. „Że nadejdzie czas krwi i ognia” — mówił wyrażając wskazującym palcem tym pyszałkom, co go wyśmiewali — „że świat zostanie oczyszczony krwią, i ogniem”. A kiedy w pewien chłodny dzień czerwcowy roku 1955 śmierć zagarnęła tysiące robotników na Plaža de Mayo i własna żona Barragana zginęła od wybuchu bomby, i gdy w tę noc łuna pożarów rozwidniła szare niebo nad Buenos Aires, wtedy ludzie przypomnieli sobie wariata Barragana. Od tego smutnego dnia Barragan przestał być sobą, pomyłonym poczciwcem: stał się milkliwy, jego oczy wydawały się strzeżliwej tajemnicy; zamknął się w sobie jak w opuszczonej jaskini: coś w głębi jego ducha mówiło mu, że tamto było prawie niczym, że liczne, jeszcze większe niedole spadną niebawem na ludzi, przede wszystkim na mężczyzn. Trwał jednak w milczeniu i nowe chłopczyska, które otrzymały w spadku po starszych tradycję naśmiewania się z wariata, teraz milczały, gdy on wchodził.

Nie wygłaszał już *kazań*. Zrobił się ponury i skryty.

Jednakże, gdy objawił mu się smok, zrozumiał, że czas nadchodzi i że on ma wypełnić zadanie.

Wiedział więc, co mu chciał Chrystus powiedzieć tym wyrazem litości i surowego smutku. Tak, on, Barragan, jest grzesznikiem, żyje z jałmużny, ze sprzedaży gazet, które mu daje Berlingieri. Jest włóczęgą i na domiar złego zachowuje w tajemnicy objawienie.

W ten dzień, pod wieczór, po wielogodzinnym rozmyślaniu na ulicy, wszedł do kawiarni, poprosił o wódkę i zwracając się w stronę, gdzie siedzieli Loiacono, Berlingieri, krzywy Olivari i kulawy Acuna, powiedział:

— Chłopcy, dzisiejszej nocy pojawił mi się Chrystus.

Rozmawiali właśnie o meczu z Racing. *Zaleta* śmiertelne milczenie. Młodzi chłopcy przerwali grę w bilard i wszyscy spojrzeli na niego z powagą. Barragan *cały drżący* patrzył na nich surowo.

— A przedtem, w nocy, na rogu Brandsen i Pedro de Mendoza, miałem jeszcze inne widzenie — powiedział. — Na niebie, od tamtej strony, zajmował połowę nieba. Ogon sięgał do ziemi...

Przerwał, może się bał albo wstydził. Po chwili dorzucił po cichu.

— Czerwony smok. O siedmiu głowach. Z nozdrzy buchał mu ogień.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Natalicio Barragan powiedział:

— Bo nadchodzi czas i ten smok zapowiada krew i nie zostanie kamień na kamieniu. Potem smok będzie ujarzmiony.

SKRZYDLATY Nie dając nic po sobie poznać (po co krzyknąć? Aby przyszli ludzie i ze wstrętu zatłukli go na śmierć pałkami?)

Szczur Sabato obserwował, jak jego nogi przeistaczają się w łapy nietoperza. Nie czuł bólu ani nawet łaskotania, czego można by oczekiwać przy ściąganiu się i schnięciu skóry, tylko obrzydzenie narastające w miarę postępowania procesu przemiany: najpierw stopy, potem łydki i stopniowo tułów. Kiedy utworzyły się skrzydła, przejął go niewymowny wstręt, może dlatego, że nie były upierzone. Na koniec, głowa. Do tej chwili śledził proces spojrzeniem, jakkolwiek nie odważył się dotknąć rękami, jeszcze ludzkimi, łap nietoperza, nie mógł oderwać straszliwie zafascynowanych oczu od łap olbrzymiego szczura, o pomarszczonej jak u starca skórze. A później, jak się rzekło, najbardziej poruszyło go pojawienie się ogromnych chrząstkowatych skrzydeł. Kiedy jednak proces objął też głowę i S. począł odczuwać, jak wydłuża się pysk i jak

na wężącym nosie wyrastają długie włosy, twoga dosięgła szczytu. Pewien czas leżał osłupiały w łóżku, gdzie zaskoczyła go przemiana.

Starał się zachować spokój i obmyśleć jakiś plan. W skład tego planu wchodziło milczenie, krzykiem jedynie to by osiągnął, że nadeszliby ludzie i zatłukli go niemiłosiernie. Miał co prawda słabą nadzieję, iżby zrozumieli, że tą żyjącą ohydą jest on sam, niewytłumaczalne bowiem byłoby zainstalowanie się nietoperza w jego łóżku.

W jego szczurzej głowie kłębiły się myśli.

Podniósł się w końcu i siedząc starał się opanować i zachować trzeźwe spojrzenie. Z pewną ostrożnością, jakby chodziło o ciało, to jemu obce (jakim do pewnego stopnia było), poruszył się i przybrał pozycję, jaką zwykł przybierać człowiek wstający z łóżka, to znaczy siadł i zwiesił nogi ku podłodze. I oto zauważył, że łapy nie dosięgają podłogi. Pomyślał, że wskutek skurczenia się kości jego wzrost się zmniejszył (ale nie tak bardzo), co by tłumaczyło tak pomarszczoną skórę. Obliczał, że może mieć mniej więcej metr dwadzieścia wzrostu. Wstał i począł się oglądać w lustrze.

Długo stał nieruchomo. Utracił spokój, teraz płakał cicho w obliczu grozy.

Są ludzie, którzy trzymają szczury u siebie w domu, fizjologowie, jak np. Houssay robią doświadczenia na tych wstrętnych zwierzętach. Lecz on należał zawsze do tych, co na sam widok szczura odczuwają nieprzewyciężony wstręt. Można więc sobie wyobrazić, co mógł odczuwać na widok szczura wysokiego na metr dwadzieścia, o ogromnych chrząstkowatych skrzydłach i odrażającej, pomarszczonej skórze. I on w środku!

Począł mu słabnąć wzrok i nagle obudziło się w nim przekonanie, że to słabnięcie nie jest zjawiskiem przejściowym spowodowanym jego emocją, ale że stopniowo postępuje i skończy się zupełną ślepotą. Tak się stało: jeszcze kilka sekund — lecz te sekundy wydały mu się wiekiem katastrof i zmór — a jego oczy pokryła absolutna czerń. Znieruchomiał, choć czuł, że serce mu bije gwałtownie, a ciało drży z zimna. Wolniutko zbliżył się po omacku do łóżka i usiadł na brzegu.

Siedział tak dłuższą chwilę, w końcu zapominając o swoim planie i rozsądnych środkach ostrożności nie mógł się powstrzymać i straszliwie głośno zawołał o pomoc. Ale to nie był ludzki krzyk, tylko skrzekliwy ohydny pisk gigantycznego skrzydlatego szczura. Przyszli ludzie, rzecz naturalna. Nie okazali jednak zdziwienia. Pytali, co się stało, czy źle się czuje, czy nie podać mu

filizanki

herbaty.

31

Nie zauważyli jego przemiany, to jasne. Nic nie odpowiedział, ani jednego słowa nie rzekł z obawy, że go wezmą za wariata. Postanowił starać się żyć, tak czy inaczej, zachować swój sekret, nawet w tych straszliwych warunkach.

Takie bowiem jest pragnienie życia: bezwarunkowe i nienasycone.

GEORGINA I ŚMIERĆ

tych dwóch słów Bruno nie chciał łączyć w myślach, jak gdyby dzięki tej naiwnej magii można było zatrzymać czas. Z biegiem lat coraz bardziej się skłaniał ku owej magii, w miarę jak czas — niczym zimny wiatr sierpniowy, co unosi suche, zmiętoszone liście — porywał to wszystko, co on chciałby zachować na zawsze.

Szedł bez celu i raptem zauważył, że przechadza się po Rio Cuarto. Po chwili dostrzegł różowy Mirador na tle szarego jesiennego nieba: widok nie tylko pełen melancholii, ale tak ponury i zagadkowy, jak byli Aleksandra i Fernando. Wysokie kominy i mosty na Riachuelo kontrastują z tą niegdysiejszą posiadłością, jak twarda rzeczywistość z mglistym upiorem. Lecz jeśli to jest rzeczywistością, co oznacza ta rozpadająca się rudera? A przede wszystkim kim jest on sam, jeśli jego serce ścisną się na widok zniszczenia tych różowych i zielonkawych murów? Syn, wnuk, praprawnuk surowych marynarzy i wojowników jestli również upiorem jak don Pancho Olmos, jak ów Bebe ze swoim niedorzecznym klarnetem, jak ta Scholastyka z głową swego przodka? Dlaczego bowiem odczuwa tak głęboko zagładę tej mrocznej rudery i jej smętnych mieszkańców? Dlaczego ta jesiień w Buenos Aires budzi w nim świadomość, że i dla niego nadchodzi czas opuszczonych ulic i zwiędłych liści? Całą swą egzystencję widzi teraz jako obłądną podróż do nicości. Saint-Exupéry. Tak, ten dodał otuchy Marcinowi i tylu innym bezbronny i zagubionym w chaosie i ciemności. A on?

OJCIEC, OJCIEC

I znowu, nie wiadomo ile razy jeszcze powróci to wspomnienie. „Tato umiera, Nicolás”. Ale on wie, że to nie znaczyło „Nicolás”, lecz „twoi bracia”, w tym żelaznym systemie, w którym młodszy winien jest bezwarunkowe posłuszeństwo starszemu. Zatem Nicolás, hierarchicznie i ekonomicznie znaczy Nicolás-Sebastian-Juancho-Felipe-Bartolomé-Lelio. Jak również mil-

czącą wymówkę, że trzeba było ciebie zawiadomić, odszukać ciebie gdzieś daleko, zawsze jesteś obcy naszemu domowi i naszym losom i wiesz, że ojciec był niepokieszony i że teraz czeka twojego powrotu, zanim będzie za późno. Jakkolwiek ani w telegramie, ani w rozmowie nikt nie powie słowa, które by miało związek z tymi uczuciami, zgodnie z prawem nakazującym ukrywać najgłębsze doznania. I tak, kiedy nawiązują kontakt z innymi ludźmi, przywykłymi do mniej surowych form, wydają się powierzchowni w swych uczuciach, gdyż otwarcie wyrażają jedynie emocje związane z wypadkami bez większego znaczenia. Mogą na przykład z zalem rozwodzić się długo nad gradobiciem bądź szarańczą, co zniszczyła zbiory przyjaciela, lecz wydaje się im w złym tonie okazywać żalobę po śmierci syna. W takich wypadkach stary Bassan powiada z kamienną twarzą: „taki jest los”. Nikt nie słyszał, aby kiedyś użył tych słów w związku z utratą płonów, jak gdyby owych wielkich i straszliwych mocy, które działają pod specyficzną nazwą „los”, nie wolno było wzywać nadaremnie lub dla mało znaczących wydarzeń.

**PO DWUDZIESTU
PIĘCIU
LATACH,
RZECZY,
LUDZIE**

wszystko jest takie samo, a jednak inne. Wciąż kursuje na tych samych torach ten sam skromny pociąg z tymi samymi wagonami o niezmiennej budowie i w tym samym kolorze. Starszy i bardziej zużyty. Ale nie tak zużyty i nie taki stary jak ludzie, co żyli i cierpieli w tym samym okresie czasu. Bowiem istoty ludzkie, myślał, niszczejają bardziej niż rzeczy i szybciej znikają. Skromne krzesło wiedeńskie porzucone na strychu przypomina śmierć matki, która go używała. Jest w tym coś bezrozumnie patetycznego, zwyczajny bowiem wazonik, byle jaki drobiazg, który był świadkiem wielkiej miłości i żarzył się odbitym od niej blaskiem, może dzięki tępemu uporowi rzeczy przetrwać, lecz czas przywraca dawną właściwą mu błahość; jest matowy i niedorzeczny, jak dekoracje teatralne, kiedy skończyła się magia kinkietów.

Tak, wagony pozostały te same, tylko ludzie się zmienili albo zniknęli. A przede wszystkim ja jestem-inny. Liczne i wielkie katastrofy pogrzebały w jego duszy jedno miasto nad drugim, podobnie jak pożary i rabunki dziewięciokrotnie przykryły ziemią miasto Troję. I chociaż ci, co mieszkają na zgłiszczach, wydają się żyć jak wszyscy inni, lecz słyszą czasem od spodu

stłumione szepty, szmery, legendy o wygasłych namiętnościach, i znajdując resztki kości i szczątki dumnych pałaców.

W miarę oddalania się od Buenos Aires stacje jakby zbliżały się do archetypu stacji na pampie, niby kolejne szkice malarza, który poszukuje obsesji ukrytej w głębi swojej istoty: jakiś magazyń o ścianach z surowej cegły, po drugiej stronie bitego gościńca, jakiś chłop w bufiastych spodniach i czarnym sombrero dłubiący patyczkiem w zębach, jakiś faetonik, konie uwiązane do pala przy sklepie spożywczym, szopy kryte blachą cynkową, bryczka z czarnym daszkiem, zakrystian w koszuli, z prawą ręką na łańcuchu dzwonu.

Aż w końcu ukazał się przystanek Santa Ana, a wtedy wtargnęło z impetem jego dzieciństwo, bo to miejsce w estancji Santa Brigida, to już są Olmosowie i jest już Georgina za tym grubym rządcą, stale roześmianym, mówiącym: „no, coś takiego”, klepiącym się dłonią po brzuchu i kiwającym łysą głową, mężczyzną, według niego, bez jakiegokolwiek innej właściwości, a trwającym w jego pamięci jedynie dlatego, że za jego plecami ujrzał po raz pierwszy w życiu nieśmiałą, szczupłą, rudowłosą Georginę. Tak, te wsie łączą się z istotami, które miały największe znaczenie w jego życiu, jakkolwiek z estancji Santa Brigida pozostała już tylko ziemia i chociaż te ostatnie sześćset hektarów, które jeszcze posiadali, kiedy on był dzieckiem, nie należą już do Olmosów ani do Bardów, lecz do ludzi obcych tym istotom i nieznanym. Ta pampa, po której niegdyś galopowały stada koni kapitana Olmosa, ta ziemia, z której kapitan Olmos wyruszył wraz z synami, aby pójść za generałem Lavalle i nigdy nie wrócić, jest tak obcą jego krwi i jego losom, jak obce są ulice Buenos Aires, noszące czasem nazwiska jego rodu, lecz wydeptane przez pędzących, obojętnych ludzi, przybyłych ze wszystkich stron świata w celu zrobienia majątku; przez osoby, które swoje życie w tym mieście uważają za tymczasowy pobyt w nędznym hotelu.

Zostawiwszy poza sobą górę Santa Aną pociąg zaczyna zjeżdżać w dół i skręcać na wschód, wkrótce pokaże się kościelna wieża, a zaraz za nią masyw młyna: elewatory młyna Bassan, jego dom, dzieciństwo.

A gdy w końcu przybył do nie zmienionej stacji Capitan Olmos, uległ wrażeniu, że przez te długie lata żył w pewnego rodzaju ułudzie, w daremnej fantasmagorii, nieważkiej i bezkształtnej; a wydarzenia, których, jak sądził, był świadkiem, rozwiały się niczym sny, co przy obudzeniu tracą moc i życie i stają się fragmentami iluzji, coraz mniej rzeczywistej. Podobnie wszakże, jak po obudzeniu życie dzienne już jest skalane

podłością, a my nie jesteśmy już takirrii, jakimi byliśmy przed zaśnięciem, tak powrót do dzieciństwa jest skażony smutkiem przeżytych cierpień. Jeżeli dzieciństwo było wiecznością, to Brano nie mógł już widzieć go takim, jakim chyba należało je widzieć: krystalicznie czystym; oglądał je jak przez brudną*zmętniałą szybę; okna, przez które dane nam jest w pewnym chwilkach oglądać naszą własną wieczność, z biegiem lat brudzą się od burz i wiatrów, zasnuwa je pajęczyna czasu.

Jak ktoś, kto z ciemności patrzy w miejsca oświetlone, od-poznawał twarze, sam nie poznawany: Irineo Diaz, w rym samym, teraz spłowiałym i poszarzałym czarnym kapeluszu; komiwojażer Bengoa jak zawsze czekający na pociąg, i wreszcie, , siedzący jak bożek, stary Medina, który był już stary, kiedy on był chłopcem; przybrał, jak widać, tę samą pozycję, w jakiej go oglądał ostatni raz przed trzydziestu pięciu laty: zamyśloną i flegmatyczną; jak wszyscy Indianie po osiągnięciu pewnego wieku przestał się zmieniać, jak gdyby czas nie płynął w jego wnętrzu, lecz obok, a on sam paląc to samo cygaro z liści kukurydzy, hieratyczny i nieodgadniony niby amerykański bożek, patrzy, jak czas mija, podobnie jak patrzymy na rzekę, co unosi nietrwale rupiecie.¹

— Nie poznajesz mnie?

Stary z wolna podniósł spojrzenie. Jego oczy osadzone głęboko w ziemistej masce, badały przybysza szczegółowo ze- spokojem. Przywykły patrzeć na świat uważnie, jakby wyłącznie po to, aby go widzieć i zachować dla siebie swoje pedantyczne spostrzeżenia (z pewną delikatną niemą ironią), Medina należał do plemienia tych przewodników, co na pampie odróżniają ślad konia wśród tysięcy innych i potrafią przeprowadzić wojsko kierując się nieodczuwalnym prawie zapachem jakiegoś zioła. Spoglądał na Brana z chytrą nieufnością, ledwie dającą się zauważyć w pewnych zmarszczkach w kącikach oczu. Podobnie jak po wymazaniu portretu rysowanego ołówkiem widać jeszcze zasadnicze, najbardziej wypracowane rysy, tak przed nim zaczęła się odsłaniać dziecięca twarz Bruna. I oto spoza trzydziestu pięciu lat nieobecności, spoza deszczów i śmierci, nawałnic i wypadków wyłoniło się z zagadkowej głębi pamięci Mediny trzeźwe stwierdzenie. Indianin poruszył prawie niedostrzegalnie ustami, podczas gdy reszta twarzy pozostała nieruchoma, nie okazując nawet śladu wzruszenia czy uczucia, jeżeli ono rzeczywiście istniało w sercu tego człowieka.

— Jesteś Brano Bassan.

I natychmiast wrócił do swej sztywnej postawy., obojętny na wydarzenia świata, obcy gwałtownemu wzruszeniu tej istoty,

która teraz przestała być dzieckiem i przeobraziła się w mężczyznę.

Chodził zakurzonymi ulicami, przemierzył plac z drzewami cynamonowymi i palmami, i wreszcie zobaczył maszynę młyna, i usłyszał równomierny stukot maszyn. Okrutny symbol: obojętny bieg rzeczy, a pośród nich umiera człowiek, który je stworzył z miłością i nadzieją.

— Teraz śpi — oznajmił Juancho.

ŚMIERĆ
MARKA BASSANA
W mroku usłyszał po raz pierwszy głuchy jęk i łapczywy, przerywany oddech. Kiedy przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł, co pozostało: kupka kości w worku z gnijącego ciała. — Tak. Zapach jest nie do zniesienia. Ale przyzwyczaisz się.

Bruno spojrzął na brata. Był jego bożyszczem, kiedy on, Bruno, był mały: w kapeluszu o szerokim rondzie, barczysty, na jabłkowitej klaczy z długim ogonem. A kiedy na koniec wyjechał, ojciec powiedział: „Nigdy już nie przestąpi progę tego domu”. Jakby dla udowodnienia nieważkości takich słów w odniesieniu do mocy krwi i gatunku, Juancho nie tylko że wrócił, ale to on czuwał teraz przy ojcu, dniami i nocami.

— Wody, Juancho — szepnął stary, budząc się ze snu po narkotykach.

Podnosząc go trochę lewym ramieniem, dał mu łyżeczkę wody, jak dziecku.

— Bruno przyjechał.

— Ha, co mówisz? — wybełkotał szmacianym językiem.

— Bruno. Wrócił Bruno.

— Co??

Patrzył przed siebie całą twarzą, jak ślepy. Juancho rozsunął zasłony. Wtenczas Bruno zobaczył, co przetrwało z tego mocnego, pełnego energii mężczyzny. Zapadnięte oczy, dwie zielonkawe kulki z mętnego szkła zabłyśły niby maleńki wzniesiony z żaru płomyk.

— Ach, Bruno — szepnął w końcu.

Bruno podszedł, schylił się, niezręcznie ojca uściskał, czując przy tym okropny zapach.

— Widzisz, Bruno.. Jestem ruiną — wybełkotał jak pijany.

Wiele już dni walczył z chorobą z taką samą energią, z jaką walczył z wszelkimi przeszkodami. Umrzeć znaczyło zostać pokonanym, a on jeszcze nigdy nie przyznał się do klęski. Powie-

dział sobie Bruno, że ojciec zrobiony jest z tej samej substancji, co owi weneccjanie, którzy wzniesli swoje miasto walcząc z wodą i z dzumą, z piratami i z głodem. Do dziś zachował surowy profil Jacopo Soranzo z obrazu Tintoretta.

Pytał siebie*, czy nie jest dowodem małoduszności i tchórzostwa wychodzić, rozerwać się, przemierzać ulice osady, zamiast siedzieć przy ojcu jak Juancho, być każdej chwili świadkiem jego bólu. I tchórzliwie we fragmentarycznych myślach, których nie miał odwagi przetrwać do końca, powiedział sobie, że zapominając o grozie, nie popełnia nic złego. Ale niemal natychmiast rozważył, że chociaż oddalanie świadomości i pamięci nie umniejsza ani nie powiększa cierpienia ojca, jednak jest to pewnego rodzaju zdrada. Wracał tedy, zawstydzony, do domu i przez pewien czas splanął niewielki haracz solidarności, a tymczasem Juancho, czujny na najmniejszy hałas, pomagał mu z fotela wsłuchując się w niedorzeczne majaczenia.

— Juancho — wołał nagle stary. — Podpalają mi łóżko. — Tu, w nogach — pokazywał na poły siadając.

Juancho czym prędzej się podnosił i gasił ogień przesadnie wymachując rękami, jak w pantomimie, gdzie aktor wypowiada się wyłącznie przy pomocy gestów.

Potem łamało się łóżko i trzeba je było podeprzeć. Juancho przynosił deski, kładł się na podłodze, podpierał łóżko.

Kiedy indziej stary unosił się tia poduszce, przestraszony pokazywał palcem, że są tu ludzie, i bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa. Juancho wstawał i głośno łając intruzów, wyrzucał ich za drzwi.

— Juancho — szepnął raptem po cichu, jakby chciał powie dzieć sekret.

Syn podszedł i przyłożył ucho do ust ojca, zionących zgnilizną.

— Są tu złodzieje — mamrotał. — Przebrali się za szczury i schowali w szafie. Przywódcą jest Gavina. Pamiętasz? To ten, co był komisarzem policji za konserwatystów. Podlec i zło dziej. Myśli, że go nie poznałem, bo się przebrał za szczura.

Defilują dawne znajome twarze. Jego pamięć zaostrzyła się i zarazem stała się groteskowa, zdeformowana przez gorączkę i morfinę.

— Ależ ten don Juan! Kto by pomyślał, że tak nisko upad nie. A miał taki majątek!

Pokazywał go kiwając głową, z ironicznym nie dowierzającym uśmiechem. Juancho szukał spojrzeniem.

— O, tutaj, czyści zgrzebłem konia.

— Ach — kwitował Juancho. — Tam do licha.

— Pomyśl tylko. Don Juan AudifFred. Kto by powiedział.

Dłuższą chwilę mówił o tym normalnie, bowiem w pewnych momentach majaczyły mu się monstra i upiory, a zaraz potem zachowywał się rozsądnie, rozmawiał z ludźmi zmarłymi dwa-dzieścia lat temu, tak naturalnie, jak później skarżył się, że mu wyszło w gardle i że chciałby wypić trochę wody. Kiedy Bruno wracał z ulicy, brat opowiadał mu z tkliwą pobłażliwością o pomysłach starego, uśmiechając się jak ojciec, kiedy rozwodzi się nad fantazjami dziecka. Wtenczas jednak na nowo zaczynało się majaczenie i Juancho znów uciekał się do magicznej pantomimy, a Bruno wyslizgiwał się do przedsionka, gdzie inni jego bracia rozprawiali o żniwach, o plonach kukurydzy, o kupnie i sprzedaży pól i bydła. Bruno przysłuchiwał się, a chcąc wejść do ich wspólnoty przypominał, że kiedy był dzieckiem, kazali mu ważyć pszenicę na wadze dziesiętnej. Wymienił nazwy gatunków: Favorito, Barletta. Bracia z pogardą zaprzeczyli: te gatunki pszenicy nie istnieją już co najmniej od dwudziestu lat. Jeden z nich przestał palić i wszedł na chwilę do sypialni ojca spłacić swój haracz. Wrócił pochmurny.

— A don Sierra?

Spozierali na niego z ironią.

— Co?

— Czy go pamięta?

Starsi mieli monopol na niektóre wspomnienia i nie chcieli ich dzielić z młodszymi, co dopiero z Brunem. Ależ tak, oczywiście pamięta go. Gruby, brzuchaty, z ogromnymi uszami, z których sterczały długie, białe włosy. To nie wystarcza. Co jeszcze? Spoglądają po sobie w niemym porozumieniu, a Nicolas wbijając w niego oczy jak surowy profesor na egzaminie doktorskim każe mu wymienić najbardziej charakterystyczną cechę don Sierry.

Tak jest — zgadzają się tamci.

Bruno usilnie myśli. Przyglądają mu się z chłopskim szelmostwem. Jaka była zasadnicza właściwość don Sierry, tylko to chcą wiedzieć. Zapanowała absolutna cisza, a tymczasem Bruno rozpaczliwie grzebie w pamięci.

— Zegarek o trzech kopertach?

— Nie. ■

Widzi go doskonale: nadjeżdża faetonem, zsiada z batem w rękę, ma na sobie podkoszulkę i bluzę oraz szeroki pas pod wielkim brzuszyskiem, spocony, o przekrwionej twarzy, w czarnym sombrero zsuniętym na kark, w haftowanych alpargatach poplamionych łajnem.

— Zatem przegrałeś?

— Nie wiem. Jeżeli nie zegarek o trzech kopertach, to nie wiem.

— Zegarek o trzech kopertach! — powtarzają szyderczo.

— No? — pyta Bruno, wietrząc podstęp.

— Co, no?

— Ta sławetna cecha charakterystyczna?

Wielcy spoglądają nań: jeszcze jedna osobliwość gry: pytanego mają dręczyć wątpliwości. Bruno zastanawia się nad tymi chłopiskami o szerokich barach i siwych włosach, którzy czekają na jego odpowiedź, i nie wpada im do głowy, jaka to "głupota.

Najstarszy wygłasza z powagą rozwiązanie: okłamywanie Anglika O'Donnella.

— Okłamywanie Anglika O'Donnella?

Bruno przesadza w zdziwieniu, nie chce się przyznać do porażki, jeżeli nawet don Sierra miał ten zwyczaj, to nie był on aż tak istotny, aby go podnieść do kategorii charakterystycznego rysu w kodeksie Bassanów.

• Nicolas spogląda po braciach: czy można sobie wyobrazić starego Sierrę, który by nie kłamał przed Anglikiem O'Donnellem? Absolutnie nie — przyznają jednogłośnie.

— Stroicie ze mnie żarty.

Bruno stara się odkryć jakiś złośliwy błysk.

Nicolas zwraca się do Marka, najmłodszego (czterdzieści pięć lat) i rozkazuje mu:

— Zawołaj Juancha, jeżeli tata śpi.

— Chwileczkę — nie dowierza Bruno. — Pójdę z tobą.

Juancho przejawiał zmęczenie polyłu dniami bezsenności i troski.

— Ty nie słyszałeś — objaśnia Nicolas. — "Powiedz Bruno-
wi, jaki był najbardziej znamienny rys Don Sierry?

— Opowiadanie kłamstw Anglikowi O'Donnell.

Wrócił Marco:

— Obudził się, chce wody.

Juancho odszedł i rzeczywistość, która ucichła na chwilę pod wpływem tkliwych wspomnień, jak wojna podczas krótkiej przerwy, kiedy to żołnierz czyta listy i otwiera przyslaną paczkę, odezwała się z okrucieństwem. Zamilkli i chwilę palili w milczeniu. Słysząc było jęki. Nicolas patrzył przed siebie, zamyślony. O czym oni myślą?

Bruno wyszedł na ulicę.

Wszystko, począwszy od nazwy osady, było związane z ludźmi, którzy zawazyli na jego życiu: Ana Maria Olmos, jej syn Fernando, Georgina. Chciał pójść do starego domu, który dał 321

początek tej osadzie, ale coś go powstrzymywało, mógł się tylko kręcić w pobliżu. Na zakurzonych ulicach nazwiska budziły wspomnienia: sklep Salomona, warsztat szewca Libanatti, domek dra Figueroa, Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Jego Królewskiej Mości Wiktora Emanuela. Jednakże wspomnienia dzieciństwa przedstawiały się Brunowi jako fakty nie powiązane, a zatem nierzeczywiste, rzeczywistość bowiem była według niego płynna i żywa, pulsująca treścią, natomiast owe wspomnienia były statyczne, ważne każde dla siebie, każde na odosobnionej wyspie, tak nierzeczywiste jak fotografie, jak ów świat skamieniałych istot, gdzie dziecko zawsze będzie trzymać za rękę matkę już nie istniejącą (przeistoczona w ziemię i w roślinę). To dziecko nigdy prawie nie zostanie owym wielkim lekarzem czy bohaterem, wymarzoną przez matkę, lecz skromnym urzędnikiem, który grzebiąc w papierach znajdzie fotografię i będzie ją oglądał mętnymi oczami.

Toteż ilekroć Bruno starał się zrekonstruować najodleglejsze rozdziały swojego życia, wszystko wydawało mu się zamazane, zaledwie tu i ówdzie odcinały się wydarzenia bądź twarze, czasem nawet nie tak nadzwyczajne, żeby aż mogły usprawiedliwić swoje przetrwanie. Jakże bowiem inaczej można wytłumaczyć, że tak intensywnie pamięta epizod tak mało znaczący dla jego egzystencji jak nadejście dużego motoru do młyna?

No, cóż, „tak intensywnie”... To również nie jest prawdą, bo próbując określić słowami tę scenę, stwierdził, że stała się mniej wyraźna, że rozwiały się jej kontury i że straciła konsystencję, jak gdyby mógł teraz bez przeszkody zanurzyć w niej rękę. Nie, nie potrafił, a kiedy próbował, epizod rozwiewał się jak sen przy obudzeniu. Nie mógł zresztą przywołać wspomnienia, jeśli nie znalazł klucza, magicznego słowa, bo wspomnienia niby śpiące królewny budzą się, kiedy szepnie się im do ucha tajemne słowo. Tam, na dnie śpią szczęścia i grozy, i nagle jakaś piosenka, jakiś zapach budzi je z zaczarowania i zjawia wynurza się z tego cmentarza snów. Jakąż to melodię słyszał w owo samotne popołudnie w ogrodzie Luksemburg? Piosenka przyszła z daleka, ze świata już utraconego, i raptem ujrzał siebie w Capitan Olmos, w letnią noc, przy świetle wielkiej łukowej latarni. Kto tam był? Widział tylko Fernanda, ucinającego żabie tylne łapy, a potem jej groteskowe usiłowanie ucieczki na dwóch pozostałych łapach na podściółce z suchej ziemi. Ale to było niewyraźne widmo, nieważkie, bez ciała, jakiś Fernando pozbawiony konkretnych oczu i cielesnych warg, nieledwie idea: groza, ohyda. I to monstrum dzięki piosence wyłoniło się z regionu cieni, aby okaleczyć żabę. Jakie to dziwne, że ów sadysta,

piosenka i okaleczona żaba trwają pospołu, ponad czasem, w jakimś mrocznym zaułku jego ducha. Nie, nie umiał logicznie uporządkować wspomnień z dzieciństwa. Jego reminiscencje wyłaniały się przypadkowo z mglistego tła, i nie mógł ustalić czasowego związku między nimi. Ponieważ nie umiał określić, które były wcześniejsze, a które późniejsze spośród owych fragmentów, co się wynurzały jak wysepki z obojętnego oceanu, czas pomiędzy nimi nie miał żadnego znaczenia, nie wiązał się bowiem z życiem i śmiercią, z deszczami i przyjaźniami, z nieszczęściami i miłościami. Zatem nadejście owej maszyny mogło mieć miejsce przed albo po tym strasznym kaleczeniu żaby, gdyż między tymi wypadkami rozciągał się szary ocean, bez początku i bez końca, bez związku przyczynowego między sprawami, które popadły w wieczne zapomnienie.

Otóż Juancho uległ w nierównej walce, schwycił go atak krzyku i dziwnych konwulsji i trzeba mu było, zrobić zastrzyk, aby usnął. Stary natychmiast zauważył jego nieobecność i wyobraził sobie, że go wywieźli do Pergamino i że tam z zemsty go zabili. Ukrywają go. Dlaczego go ukrywają? He? Dlaczego? — mamrotał płacząc, choć w jego oczach nie było łez, lecz z odgłosów i z charakterystycznych wstrząsów wносиło się, że ten półtrup płakał; suchy, drobnutki płacz, półtrup płaczu. Gdzie Jest Juancho? He? Gdzie on jest? W Pergamino, wybełkotał raz jeszcze, zanim popadł w kryzys, Oceniany przez wszystkich jako końcowy: oddychał, jakby ktoś go dusił, rzucał się z furią na łóżku, z ust dobywały się jęki i ujamki, odpryski słów. Odkrywał się, wyl. I nagle twarz mu zeszywniała i musieli go trzymać, aby nie runął na podłogę. Po chwili, niczym z ciemnej cuchnącej studni, dobyły się z jego ust złorzeczenia, przeklinał wrogów, zabójców syna. Potem upadł bezwładnie, jakby się zawałił.

Bracia spojrzeli po sobie. Nicolas zbliżył się, aby zbadać, czy oddycha. Lecz ojciec jeszcze raz przewyciężył kryzys, je, go duch stawiał opór i schronił się w sercu, ostatniej twierdzy, która mu pozostała, kiedy reszta ciała zrezygnowana czekała śmierci.

Szepnął coś, ledwo dosłyszalnie, głosem wyczerpanym od wysiłku. Nicolas przytknął ucho do jego ust i zrozumiał słowa: „jak smutno jest umrzeć”. Po chwili stary na nowo podjął walkę, niczym wojownik, który łączy resztki pokonanych wojsk i wzywa je do daremnej (lecz pięknej) bitwy.

Jego wojsko, pomyślał Bruno. Liczy wszak tylko na serce, na to słabe wyczerpane serce. A jednak jest, każdym nikłym uderzeniem zapewnia go, że jest tu przy nim, że jeszcze się broni. 323

Ta ruina miała moment jasności. Poznał Bruna, smutno się do niego uśmiechnął, bodaj że chciał z nim rozmawiać. Bruno zbliżył się do jego ust, ale nie rozumiał nic, chociaż ojciec wskazywał na swoje ciało, na resztki swojego ciała.

Pozostał przy ojcu i wydawało mu się, że w jego spokojniejszych teraz oczach dostrzega uśmiech niedowierzania, satysfakcję zmieszaną z ironią. Na gest starego Bruno przybliżył ucho. „Juancho” — wyszeptał. „Poszedł się zdrzemnąć”. Zamyślił się. Po chwili stary znowu coś wymamrotał. Co? Grunt? Jaki grunt? Począł okazywać zły humor, z wysiłkiem mruzczał słowa bez związku, niezrozumiałe dla obcego, Bruno jednak zdołał je należycie powiązać, jak ktoś znający starożytny język rozszyfruje tekst z trudnych do odczytania fragmentów: „Z części, która tobie przypadnie, chciałbym, abyś wydzielił grunt pod uprawę”.

Jego stara pasja: trzymać się ziemi.

Jak gdyby się uśmiechnął na przyrzeczenie marnotrawnego syna. Potem wołał Juancha, chciał wody, trzeba go było obrócić. Bruno niezręcznie spróbował, ale stary ruchem ręki odmówił. Przebudzono Juancha, obrócili go we dwójkę, podali łyżeczkę wody. Po raz pierwszy w życiu Bruno czuł, że jest naprawdę pożyteczny, poczuł się bardziej bratem Juancha i z jakąś tkliwą pokorą zrozumiał, że on, który przemierzał kraje i doktryny, który czytał rozliczne książki o bólu i śmierci, nie dorównuje temu nieuczonemu bratu.

Stary znowu dał znak, Juancho zbliżył ucho i potakując kiwnął głową. Wtedy ojciec spokojnie usnął. Bruno spojrział pytająco na brata.

— Ogród.

— No i co z tym ogrodem? To była jego rozrywka. Nie wie działałeś o tym? Trzeba teraz przekopać ziemię. O to mu szło.

Zobaczył, że brat wychodzi na tylne patio.

— Jak to, czy nie miałeś pójść spać? Dokąd idziesz?

— Właśnie ci powiedziałem, muszę przekopać ziemię.

Bruno spojrział nań zdumiony. Przecież już jej więcej nie ujrzy, przecież ten ogród i to wszystko tutaj przestanie istnieć.

— Spokojnie usnął, bo mu obiecałem przekopać.

Bruno zamilknął obserwując go: okrutnie zmęczony, postać rzały.

— Może to zrobić kto inny. Robotnik.

— Nie, nikomu nie pozwolił tknąć ogrodu.

Juancho wyszedł i Bruno usiadł w jego fotelu. Czuł się winnym—że odczuwał wstręt, że chodził po ulicach, aby się rozzerwać i zapomnieć o cierpieniu, że myślał o czymś innym, że

czytywał w tych dniach gazety, książkę. To była płochość, nawet myślenie o rzeczach tak głębokich jak przeznaczenie i śmierć było płochością, jeżeli myślał o tym ogólnie, w oderwaniu, a nie o tym jedynym cierpiącym człowieku.

Kiedy brat wrócił, odstąpił mu fotel. Siedzieli w milczeniu słuchając jęków, strzepów majaczenia. Od tyłu, Brano obserwował szerokie pochylone plecy Juancha, siwe włosy, spuszczone ze zmęczenia głowę. Przez chwilę kusiło go wyciągnąć rękę i położyć mu na ramieniu — te ramiona nosiły go, kiedy był dzieckiem — ale od razu pojął, że nie zdoła tego uczynić.

— No cóż, wracam do ogrodu. Pilnuj.

Siadając w fotelu czuł się dumny jak wartownik, który zlu-zował towarzysza na niebezpiecznej pozycji. Zawstydził się jednak, gdy uświadomił sobie to' uczucie.

Zapał wieczór. Co pewien czas wchodził któryś ze starszych braci. Juancha musiał się w końcu położyć i kontynuować przerwany sen. Tak oto Bruno po raz pierwszy w życiu spędził całą noc przy umierającym. Przeczuwał, że dopiero teraz zaczął być człowiekiem, jedynie bowiem śmierć przygotowuje naprawdę do życia; śmierć istoty związanej z nami najserdeczniejszą więzią pozwala zrozumieć życie i śmierć innych, choćby dalekich istot, a nawet niewinnych zwierząt. Podawał mu wodę, mógł nawet zrobić mu zastrzyk morfiny.

Stary mówił z weneckim akcentem, może o wypadkach ze swojego dzieciństwa, wymieniał bowiem imiona, których Bruno nie znał. Również coś o pługu. W innych momentach walczył z wrogami i przewracał się w łóżku. /

W pewnej chwili zaczął podśpiewywać i miał uszczęś/iwiony wyraz twarzy. Zbliżywszy się do jego ust rozpoznał Bruno zniekształcone strofy *Ie campane de San Giusto*, owej piosenki irredenty triesteńskiej, którą mu śpiewał w dzieciństwie.

Po dwóch dniach zaczęła się agonia.

Uderzyła Bruna grzeczna obojętność, mechaniczne gesty, z jakimi duchowny namaszczał ojca i odprawiał modły. Mimo to odczuwał podniosłość ostatniego namaszczenia: jego ojciec na zawsze żegnał się z życiem, które przeżywał z taką odwagą i uporem.

Dwie świece ustawiono przed obrazem świętego Marka. Juancha zawiesił mu na szyi medalik ze świętym weneccjaninem. Od tej chwili stary dziwnie się uspokoił i wkrótce zmarł.

PRZECHADZAŁ SIĘ i doszedłszy do rogu ulicy
PO ULICY Pinzón stwierdził, że stara
ADMIRAŁA BROWNA kawiarnia Chichina zmieniła
się: formika zastąpiła
marmurowe blaty stolików. Usiadł z lękiem, jak natrętny upiór
na nie swoim miejscu po dwudziestu prawie latach
nieobecności. Niejeden z tych, co wówczas dyskutowali o
futbolu, na pewno zmarł, chłopcy, którzy kpili z wariata
Barragana, są mężczyznami, chyba się poženili, mają synów. A
gdzie jest Chichin? Obsługujący go kelner był nowy, nie znał
go. Może choruje i jest w domu, a może umarł. Właściciel?
Nazywa się Mourente, ten Hiszpan, co siedzi przy kasie. Z
dużego lustra znikła fotografia Klubu Boca. Znikli też Gardel*
i Leguisamo**.

KTOŚ Zatrzymał wzrok na chudym starym
Z DAWNYCH człowieku. Miał siwe włosy, orli, bardzo
CZASÓW spiczasty nos, oczy szeroko rozstawione
na wąskiej głowie upodobniały go do
ptaka, do przestraszonego ptaka, który
coś zgubił. Szyja była nadmiernie długa, z wystającym jabłkiem.
W kąciu ust zamiast papierosa tkwiła wykałaczka, którą co
jakiś czas przerzucał z jednej strony na drugą. Spoglądał w
ulicę, jakby na coś czekał, jak gdyby siedział w barze ko-
lejowym i z tęsknotą oczekiwał osoby, która'ma lada chwila
przyjechać. Na jego twarzy malowała się niespokojna tęsknota,
lecz ściągnięte ku dołowi kąty ust wskazywały z goryczą, że to
czekanie jest z pewnością daremne. Nie ma wątpliwości: ten
człowiek to Humberto J. D'Arcangelo znany wśród ludzi z epoki
jako Tito. Brakowało tylko dziennika „Critica”, zwiniętego
w rulon pod pachą. I brakowało Chichina, wycierającego szklanki
i wyliczającego, na jego prośbę, skład drużyny Boca Juniors z
roku 1915.

Z sąsiedniego stołu zapytano go donośnym głosem:

— A jakie jest pańskie zdanie, don Humberto?

— Że co? — odparł D'Arcangelo.

— O tym, co powiedział Armando w telewizji.

Zwrócił ku nim spiczastą głowę.

— Że co? Armando?

Tak jest, o deklaracjach Alberta J. Armando^

* Carlos Gjrdeł — sławny śpiewak popularnych tang argentyńskich (i9(B - 192?i) **
Leguisamo — słynny dżokej argentyński

Spozierał na nich chwilę, a wszyscy milczeli jak przed nieubłaganym, lecz sprawiedliwym sędzią. Tito nie dał odpowiedzi, znowu skierował spojrzenie w ulicę Pinzón i zagłębił się w tym samotnym świetle, a tymczasem któryś z tych, co go pytali o zdanie (kulawy Acufia? Loiacono?), zawołał z tryumfem: „A widzicie?”

O czym myśli? Jego ojciec niewątpliwie już umarł. Widzi go (wyobraża go sobie) siedzącego na słomianym fotelu przed domem, z sękatym kijem zamiast laski, w zniszczonym filcowym kapeluszu. Mruczy „*eh si*” kiwając głową, jakby chciał tym gestem coś smutnego przekazać niewidocznemu rozmówcy. „Tak to było”. Co było? Niewiele, zawsze to samo: to morze, na które ze zbocza góry spoglądał z fletem w ręce, te Boże Narodzenia ze śniegiem, ci pasterze grający na fujarkach. Widzi również Tita: sączy z ojcem matę i pyta go, ni to z czułością, ni to z ironią, co śpiewali pasterze. Ojciec przyrymka oczy i ze wstydlivym uśmiechem przyśpiewuje:

*La notte de Natale e una
festa principale que nascio
nostro Signore a una
povera rmngiatura. **

Tak to oni śpiewali, *eh si*... A dużo było śniegu, staruszku? *Eh si*... śnieg. Siedzi i дума o bajkowej krainie, a Tito robi perskie oko do Marcina i żałośnie się uśmiecha:

— Widzisz, smyku? Zawsze ta sama historia. Tylko o tym myśli. Zawsze o swojej wiosce. Żeby to ja miał forsę...

A teraz na pewno już nie żyje. Magistracki furgon przyjechał po jego zwłoki i Tito odprowadził je do bezimiennej ponumerowanej kwatery cmentarza Chacarita, gdzie zgniją wśród betonowych bloków. Nie w ziemi swojej dalekiej wioski, naprzeciw Morza Jońskiego swych przodków, tylko tu, w opatrzonej numerem wnęce, w czwartym podziemiu betonowego cmentarza.

Jeszcze raz spojrzął Bruno na D'Arcangela, śledząc w jego twarzy owo pragnienie absolutu, tę mieszaninę sceptycyzmu z dobrocią, to niezrozumienie świata coraz bardziej chaotycznego i szalonego: w tym świecie piłkarze nie grają już z miłości do koszulki, ale za pieniądze, Chichin już nie podaje wermutu, a stary Klub Boca jest już tylko bolesnym wspomnieniem. W tym świecie owa przytulna kamienica z kurami i koźmi została za-

* La notte... (wł.) – Boże Narodzenie to wielkie święto, bo narodził się nasz Pan w ubogim żłobie.

pewne podzielona na ciemne komórki z blachy i z betonu i nie zostawiono miejsca dla starej poobijanej karety. Może w jego izdebce przetrwał dawny sztandar Boki, fotografia Tesoreriego z dedykacją i gramofon. Ale tym skarbowi żyje się na pewno tak smutno jak ich właścicielowi, w izbie, gdzie nie słychać już o świecie gdakania kur i nie czuć zapachu glicynii, zmieszanego z wonią końskiego łajna.

Wyszedł z kawiarni i przechadzał się po ulicach, które także uległy zmianie. Gdzie się podział ten nasyp, gdzie te domy z sieniami i podwórkami? Przyszły mu na pamięć skromne wierszyki poetów przedmieścia.

Znikła pod asfaltem Jak
zaczarowana Ta stara
dzielnica Gdzziem
urodził się.

Nic nie zostało w mieście-upiorze wzniesionym na pustyni: znowu jest pustynią z dziewięcioma prawie milionami mieszkańców, którzy nic za swoimi plecami nie czują, nie dysponują nawet tą uludą wieczności, jaką u innych narodów są kamienne pomniki ich przeszłości. Nic.

Przechadzał się bez celu.

BYŁO JUŻ PO kiedy zawrócił w stronę domu Olmo-sów.
PÓŁNOCY Zbliżał się po cichu jak do drogiej istoty,
której nie chciałby obudzić ze snu. Ach,
myślał, gdyby było

możliwe wracać do pewnych okresów życia, jak wraca się do miejsc, świadków naszych przeżyć. W tym domu recytował przed trzydziestu laty poemat Machada. Wykupić by tę chwilę od nieuchronnej śmierci. Tę rzeczywistość istniejącą tylko we wspomnieniu, coraz bardziej mglistym.

Całe życie gonił za majakami i rzeczami nierealnymi, a przynajmniej takimi, które ludzie praktyczni uważają za nierealne. Zawsze bowiem gubił teraźniejszość i pozwalał jej zmieniać się w przeszłość, w nostalgiczne wspomnienie, przywoływane — jak w tej chwili — zawsze na próżno, kiedy już nic i nikt nie może wrócić, kiedy ręka ukochanej niegdyś istoty nie może nawet dotknąć naszego policzka jak to w tym ogrodzie trzydzieści lat temu uczyniła Georgina, w wieczór podobny dzisiejszemu. Czuł się jak człowiek, któremu się nie powiodło, a miał przy tym poczucie winy, spowodowane, być może, wspomnieniem tego

prostego człowieka, którym był jego ojciec; jeden z tych ludzi, co z odwagą stawiają czoło życiu okrutnemu, lecz i cudownemu w każdej sekundzie teraźniejszości. On natomiast był zawsze skłonny do kontemplacji i odczuwał boleśnie, że czas mija i zabiera z sobą wszystko, co pragnęliśmy uwiecznić. Miał walczyć z nim, z góry się poddawał, a potem snuł melancholijne wspomnienia, przywoływał zjawy i wyobrażał sobie, że w jakiś sposób je zatrzyma w powieści bądź wierszu; próbował — co było ponad jego siły — zachować bodaj kawałek wieczności, bodaj tak niewielki, rodzinny — a jednak patetyczny — jak tablica nagrobna z kilkoma imionami i znaczącym napisem, przed którą w przyszłości inni ludzie, jak on smutni i zamyśleni (i z podobnych przyczyn), przyhamują zawrotny bieg swoich dni i oni również poczują, chociażby przez chwilę, złudzenie wieczności.

Georgina — szepnął głaszcząc zardzewiałą kratę pod magnolią, jak gdyby w tym opuszczonym ogrodzie był obecny jej duch, a nawet jej ciało, z taką leciutką zmarszczką na czole, jakby go pytała o sens życia, o złudzenia i przegraną egzystencję; Georgina — szepnął ponownie do cienia.

Pośród szczątków twojego ciała
wśród wygłodzonego robactwa
nawet tu pozostanie moja dusza
jak dawny mieszkaniec spustoszonego kraju
bez domu i bez ojczyzny
jak sierota, co szuka drogich istot
pośród obcych krzyków
i gruzów.

Przechadzał się do późnej nocy, potem wrócił do domu i próbował usnąć. I nagle przyśniło mu się, że był sam, w niewiadomym miejscu. Sen miał niespokojny, cierpiący. Ktoś go wołał. Nie mógł odróżnić rysów, zarówno z braku światła, jak z powodu trędownatej, łuszczącej się skóry. Pojął, że to trup chciał się z nim porozumieć: trup jego ojca.

Obudził się przerażony, z dotkliwym bólem serca.

Na nowo o władnęła nim myśl o fiasku. A także o tym, że zdradził ducha tego plemienia, z którego pochodził. Wstyd mu było za siebie.

NIEOCZEKIWANE ZACHOWANIE BRUNA

Buenos Aires. Teraz, po dalszych dwudziestu latach, coś go ciągnęło z powrotem do jego wsi. Co uczyni? Co zamierza zrobić?

Z rana udał się na stację Chacarita. Od roku 1953 po śmierci ojca unikał z bólem tego dworca w

329

PODROZ
DO CAPITAN OLMOS,
MOŻE OSTATNIA

Miewał sny, które później próbował sobie wytłumaczyć. Ale czy ktokolwiek może zgłębić znaczenie snów?

„Capitan Olmos” — usłyszał w półśnie. Miał wrażenie, że to stary Don Pancho wyszeptał te słowa.

Rozglądnął się. Nikogo nie ma. Medina w końcu zmarł zapewne. Tak samo podróżujący handlarz Bengoa. A może nie ma już takiego handlu.

Powoli szedł w stronę domu, gdzie się urodził, a słysząc równomierny stukot maszyn poczuł na nowo wzruszenie, jak wtedy gdy umierał ojciec. Zatrzymał się ulicę dalej: pojął, że nie wejdzie do domu i nie ujrzy już braci pozostałych przy życiu, jakkolwiek nie rozumiał w tej chwili dlaczego. Miast tego poszedł na plac i usiadł na jednej z tych ławek w pobliżu palmy, gdzie ukrywali się w letnie noce. Kino Colón: od niepamiętnych czasów patrzą na niego Williams S.Hart i Eddie Polo, w roli kowbojów, w roli funkcjonariuszy Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej.

Podążył na cmentarz. Stare ceglane domy, malowane na różowo bądź niebiesko, z żywopłotami z kaktusów.

O zmierzchu odczytywał napisy: imiona, co zaludniały jego dzieciństwo, nazwiska rodzin, które znikły wchłonięte przez Buenos Aires w latach trzydziestychf kiedy te wszystkie rolnicze wsie zostały zdziesiątkowane przez kryzys. Pozostawiły swoich zmarłych bardziej samotnymi niż przedtem.

Rodzina Pefia. Oto grób Scholastyki. Pani Dziedziczka, tak jest. Tajemnicza stara panna, cała w koronkach i fatalaskach, mówiąca archaicznym językiem, z manierami starej Argentynki. Rodziny Prado i Olmos, które przed stu laty stawiały opór Indianom z pampy. Również rodzina Murray:



In bving memory

of

John C. Murray Who departed this life

January 25 th. 1882 at the age of 40

years Erected by hisfond wife and children.

*

* In loving (ang.) — Śp. John C. Murray, odszedł 25 stycznia 1882 r. w wieku czterdziestu lat. Nagrobek wzniesiony przez Kochającą żonę i dzieci.

I na koniec przechylony trochę na bok nagrobek matki.

Maria Zeno de Bassan Urodzona
w Wenecji w 1870 r. Zmarła w tej
wsi w 1913.

Koło niej groby ojca i braci. Stał tam, dopóki nie zrozumiał,
że to daremne, że już późno, że trzeba odejść.

Zadumane kamienie zwrócone ku
ojczyźnie ciszy świadkowie nicości
świadczenia ostatecznego losu
niespokojnego, smutnego plemienia
opuszczone kopalnie gdzie ongi były
wybuchy teraz pajęczyna.

Szedł ku wyjściu odczytując po drodze inne nazwiska ze swe-
go dzieciństwa: Audiffred, Despuys, Murphy, Martelli. Zdumio-
ny ujrzał nagle tablicę nagrobną z napisem:

Ernesta Sabato
chciał leżeć w tej ziemi
ze słowem
SPOKÓJ
na grobowej płycie.

Oparł się o niską kratę i przymknął oczy.

Wyszedł z cmentarza z uczuciem zgoła nie tragicznym:
smętne cyprysy, cisza nadchodzącej nocy, powietrze tchnące
rzeźwym zapachem pampy, subtelne przytłumione znaki dzie-
ciństwa (niby podróżnego, co odjeżdża na zawsze i z okna po-
ciągu lekko macha ręką na pożegnanie) budziły raczej uczucie
melancholijnego odpoczynku; tak czuje dziecko, kiedy po ko-
szmarnym śnie spoczywa błogo na łonie matki.

„Spokój”. Oto, czego ten człowiek potrzebuje — rozmyślał. —
Może tylko spokoju. Dlaczego wszakże jego grób uroił mu się w
Capitan Oknos, nie w jego rodzinnym miasteczku Rpjas? I co
oznacza ta wizja? Życzenie, przestrożę, przyjacielskie pozdrowienie?
Czy może jednak uważać taką wizję za przyjacielską? Tak czy inaczej
na pewno potrzebny mu jest spokój jak każdemu twórcy: temu, kto
się urodził z kłutwą niegodze- 331

nia się z rzeczywistością, w której przyszło mu żyć; temu, dla kogo świat jest straszliwy lub tragicznie przejmujący i niedoskonały. Bo nie ma absolutnego szczęścia, myślał. Chwytam je tylko w ulotnych i kruchych chwilach, a sztuka uwiecznia (pragnie uwiecznić) te chwile miłości i uniesienia; bo wszystkie nasze nadzieje przeobrażają się wcześniej lub później w marną rzeczywistość, bo wszyscy jesteśmy w jakiś sposób sfrustrowani, a jeżeli w czymś triumfujemy, to w czymś innym przegrywamy, gdyż frustracja jest nieuniknionym losem wszelkiej istoty, która się urodziła, aby umrzeć; bo wszyscy jesteśmy samotni albo nimi zostaniemy: kochanek bez ukochanej, ojciec bez synów, synowie bez ojca, i czysty rewolucjonista w obliczu smutnej realizacji tych ideałów, których bronił przed laty, dla których znosił tortury; bo całe życie jest wiecznym nieporozumieniem: nie kochamy spotkanego na naszej drodze, kiedy on nas kocha, a kochamy, kiedy on nas już nie kocha, albo gdy umrze, kiedy nasza miłość nie jest mu już potrzebna, bo to, co było, nie stanie się na nowo; a *rzeczy* i ludzie nie są tym, czym kiedyś byli, i dom naszego dzieciństwa nie jest już tym, w którym ukrywaliśmy nasze skarby i tajemnice; bo ojciec umiera nie powiedziawszy nam słów być może zasadniczych, a gdy go rozumiemy, nie ma go już wśród nas i nie możemy uleczyć jego dawnych smutków i starych nieporozumień; bo wieś się zmieniła, a w szkole, gdzie uczyliśmy się czytać, nie ma już tych rycin, co pobudzały nasze marzenia, i cyrki zostały wyparte przez telewizję i nie ma już, harmonijek, a plac dziecięcych zabaw jest śmiesznie mały, kiedy go po latach oglądamy.

O, bracie mój, myślał w górnolotnych słowach, chcąc wstydliwie przed samym sobą ironizować własny smutek, ty przynajmniej próbowałeś tego, do czego mnie nie starczyło sił ani woli, usiłowałeś dopiąć tego, co osiąga swoim bluesem ów cierpiący w obskurnej izdebce Murzyn w apokaliptycznym mieście; tak dobrze cię rozumiem, że chcę, abys po śmierci spoczął w twojej wytęsknionej pampie i by na twym nagrobku wyryto jedno małe słowo, iżby cię w końcu uchroniło od bólu i samotności.

Kroki poniosły go nocą ku domowi dzieciństwa, należącego teraz do obcych. Było światło, wewnątrz. Kim są ci ludzie?

Czy dusza jest kimś obcym na ziemi?
I dokąd kieruje swe kroki?
To daleki głos siostry
słyszony wśród nocy
podróżny
w swej czarnej łodzi

na księżycowej lagunie.
Siostró burzliwego smutku
Spójrz!
Rozbija się łódź udręczona
a nad nią świecą gwiazdy
w cichym obliczu nocy.

 Nie ma bowiem wesołej poezji — powiedział ktoś — wszak jedynie o czasie może opowiadać i o tym, co się nie da naprawić. Pewnego razu powiedział też sobie (kto? kiedy?), że wszystko kiedyś minie i będzie zapomniane, i wymazane: nawet potężne mury i wielka fosa, co otaczała niezdobytą twierdzę.

„Powracają postacie z *O bohaterach i grobach*” — głosi nadruk na opasce argentyńskiego wydania *Abaddona* sygnalizując powiązania między obydwoma powieściami. Szereg wydań, kilkanaście przekładów *O bohaterach i grobach* wprowadziło jej postacie do rzeczywistości kulturowej współczesnego świata. Są już w niej czymś trwałym i to rzeczywistość wpycha je na karty nowej powieści wraz z innymi problemami epoki. To rozmowy z czytelnikami, pytania dziennikarzy przeprowadzających wywiady, rozważania krytyków i recenzentów oraz własne wątpliwości co do roli, znaczenia, charakterów, motywów działania bohaterów opublikowanych już książek każą pisarzowi raz jeszcze wyobrazić sobie Fernanda krążącego wokół wejścia do podziemi, biec za zjawą Aleksandry, przywoływać scenę spaceru Marcina i Aleksandry w porcie, rozmowy Tita i Marcina.

Podczas jednego ze spotkań z czytelnikami Sabato opowiada, jak zarzuty nadmiernego pesymizmu, stawiane mu przez odbiorców *Tunelu*, wpłynęły na modyfikację losów Marcina w *O bohaterach i grobach*, który w pierwotnym zamierzeniu autora miał popełnić samobójstwo. „Pisząc *O bohaterach* — zwierza się — byłem o trzynaście lat starszy niż podczas pisania *Tunelu* i w ciągu tych trzynastu lat nauczyłem się dzięki dialogom z czytelnikami i stawianym mi zarzutom, że w życiu, które jest wystarczającym piekłem, ale które jest także cudowne (...), istnieją sprawy niezmiernie ważne, które zachęcają nas, by żyć.” Również liczne polemiki na temat drugiej powieści, koncentrujące się zwłaszcza na postaci Fernanda i *Raporcie o Slepach*, miały wpływ na kształt ostateczny powieści trzeciej i w znacznej mierze inspirowały jej powstanie. W przeprowadzonej pięć lat temu rozmowie z Nelly Martnez z uniwersytetu w Montrealu autor *Tunelu* i *O bohaterach i grobach* zapowiadał ukazanie się trzeciej powieści, z której — jak określił — „jeśli osiągnę swój cel, pani i czytelnicy będziecie mogli dowiedzieć się nieco więcej o tym, co niezręcznie starałem się wyrazić w dwóch poprzednich powieściach”. *Abaddon* jest zatem w pewnym stopniu egzegezą *O bohaterach i grobach*, tak jak *O bohaterach i grobach* było rozwinięciem, uzupełnieniem, dopowiedzeniem do *Tunelu*. Ale *Abaddon* jest egzegezą szczególnie. Nie tłumaczy zbyt wiele w kategoriach rozumowych. Udziela wyjaśnień, które nie dają się w całości przełożyć na język pojęć. Można by się w tym wypadku odwołać do porównania ze sferą snu. Istnieją takie ciągi snów, w których następny sen „wyjaśnia” poprzedni. Po jego prześnięciu „wiemy” więcej, ale nasza „wiedza” wymyka się wszelkim sformułowaniom. Bo sen, podobnie jak powieść, poezja czy malarstwo, operuje symbolami, które nie mają pełnych odpowiedników w języku obiektywnym. I te właśnie nie-przekładalne symbole (bo jedyną możliwością przekładu jest zamiana symbolu na inny symbol), te zagmatwane, niezrozumiałe często wizje, 334

siegające głębokich, utajonych pokładów rzeczywistości, stanowią jego istotę, podobnie jak stanowią istotę sztuki. Przypomnijmy w tym miejscu Schopenhauera: „Dzieło sztuki tylko wtedy robi na nas naprawdę wrażenie, kiedy zostaje po nim coś, czego choćbyśmy długo nad tym myśleli, nie można sprowadzić do wyraźnego pojęcia.”

Abaddon jest zamknięciem trylogii. Powracają w nim nie tylko postacie z poprzedniej powieści. Pojawia się malarz Juan Pablo Castel z *Tunelu*, po odsiedzeniu kary za zabójstwo kochanki, powracają miejsca i zdarzenia, rzeczywiście istniejące miasteczko Rojas i powieściowe Capitan Olmos, fikcji spotyka się z biograficznym komentarzem tworząc drugą warstwę, w której nie wiadomo, co jest prawdą! biograficzną, faktografią, a co nową fikcją. Pojawia się sam autor, by mówić o sobie, o swoich książkach i ich bohaterach. Występuje w roli pośrednika między zamkniętym światem powieści a światem realnym, jest to wszakże pośrednictwo wielce dwuznaczne, bo w *Abaddonie* Sabato jest również takim samym protagonistą jak inne postacie. „Wyraża”, owszem, autora, ale wyrażają go przecież także inni bohaterowie powieści, przede wszystkim zaś ów tajemniczy R., przypominający żywo Czarnego człowieka z poematu Jesienina. W końcu też i sam Sabato jako Sabato rozdzwaja się w jednej ze scen. Odbywa mroczną wędrówkę korytarzami pod Buenos Aires, korytarzami, którymi błądził Fernando Vidal Olmos w *O bohaterach i grobach*, którymi czterdzieści kilka lat wcześniej młody Sabato z *Abaddona* podążał śladem Soledad. Zanurza się w mroki własnych koszmarów i obsesji, by po powrocie do domu spotkać Sabata — powłokę Sabata — siedzącego w fotelu we własnym gabinecie.

Ta właśnie scena rozdwojenia należy do kluczowych w powieści. Uwypukla podwójną rolę postaci Ernesta Sabato: jako bohatera działającego, który pewne prawdy, obsesje autora wyraża poprzez swe uczestnictwo w akcji powieściowej, i jako komentatora, który pojawia się w tej książce, żeby wyjaśnić *explicite* niektóre sprawy i problemy, uzupełnić przesłanie zaszyfrowane w obrazach, przede wszystkim zaś, by usprawiedliwić się z własnej twórczości. Bowiem podczas lektury tak *O bohaterach i grobach*, jak i *Abaddona* odnosi się nieraz wrażenie, iż autora dręczy pragnienie działania, kompleks nie spełnionego rewolucjonisty. To inni walczą o swoje ideały fizycznie z karabinem w ręku. To inni giną masakrowani podczas demonstracji, mordowani przez bojówki paramilitarne, torturowani przez policję. Pisarzowi pozostaje jedynie rola świadka. („Świadek, bezsilny świadek” — powiada Bruno na pierwszych stronach powieści). Ten kompleks winy nie wypływa bynajmniej z faktu stania na uboczu, obojętności wobec ludzkiego cierpienia, z tolerowania niesprawiedliwości społecznej, bo tego w żadnym wypadku nie można zarzucić autorowi *Abaddona*. Sabato

wypowiada się publicznie, podpisuje liczne deklaracje, protesty przeciwko wszelkim przejawom niesprawiedliwości i krzywdy, lecz wszystkie te wystąpienia to — podobnie jak literatura — tylko słowa. Stąd też taką rolę odgrywa w powieści postać Che Guevary jako ilustracja postawy przeciwnej; zaangażowania fizycznego. I dlatego także tyle mówi się w związku z nią o literaturze, o funkcji i roli pisarza. Stąd również nieustanne roztrząsanie problemów zaangażowania, odpowiedzialności pisarza i powinności literatury, i — z jednej strony — zabieranie głosu w dyskusji toczącej się na ten temat w Ameryce Łacińskiej, z drugiej — próba samoutwierdzenia się we własnym posłannictwie, przewyciężenia wahań moralisty, który nie jest całkowicie pewien, czy wybrał właściwą drogę, którego dręczą wyrzuty, że żyje, że nie zginął w puszczy boliwijskiej, w policyjnych lochach czy w bombardowanej wsi wietnamskiej.

Jaka jest tedy rola literatury, jaka jest funkcja powieści w dzisiejszym świecie, jakie zadanie ma ona do spełnienia w Ameryce Łacińskiej? Pytanie to, postawione przed pięćdziesięciu laty w Buenos Aires, stało się zarzewiem sporów między zaangażowaną społecznie grupą „Boedo” i estetyzującą „Florida” o prymat formy i treści. Czytelnikowi, interesującemu się dziejami literatury Ameryki Łacińskiej, znany jest rezultat owych polemik: polaryzacja postaw adwersarzy i w konsekwencji zajęcie się problematyką społeczną przez niektórych pisarzy z „Floridy” i zastosowanie nowych technik warsztatowych, większa dbałość o formę wykazywaną przez ich przeciwników z grupy „Boedo”; w szerszej zaś skali: odnowa formalna literatury argentyńskiej. I jeśli dzisiaj pytamy z pewnym zdziwieniem o sens owego sporu (jak można oddzielać od siebie sprawy tak nierozdzielne?), który przyniósł jednak efekty w postaci odrodzenia literatury, to z jeszcze większym zdziwieniem stwierdzamy, że historia się powtarza, że nie minęło jeszcze pół wieku, jak znów zaczęto w Ameryce Łacińskiej tworzyć nowy schemat, wznawiając dawne podziały na literaturę estetyzującą i społecznie zaangażowaną. Co gorsza schemat ten znajduje swe oparcie w rzeczywistości — (prawda, że nie w całej) podtrzymującej jego mitotwórczą funkcję. Bo też w istocie istnieje w dzisiejszej Ameryce Łacińskiej określony typ, literatury — Sabato nadaje jej nazwę bizantyjskiej — cyzelującej formę, niesłychanie sterylnej, odwołującej się do intelektu i sądów estetycznych odbiorcy z całkowitym pominięciem jego sfery emocjonalnej. Artystyczne apogeum tej literatury stanowi między innymi twórczość Borgesa. Istnieje też, na przeciwległym biegunie, tzw. literatura społecznego protestu, demagogiczna, czarnobiała, zapominająca nader często podczas realizacji własnych celów propagandowych o wartościach i prawdzie artystycznej utworu. Niemniej jednak pomiędzy obydwoma tmi biegunami znajduje się cały szereg wybitnych indywidualności pisarskich, które ani rusz nie 336

dają się wtłoczyć w ramy uproszczonego modelu. Należy do nich autor *Abaddona*.

Śledząc uważnie drogę twórczą Ernesta Sabato możemy zaobserwować jej przemiany: odejście od dążenia do doskonałości formalnej na rzecz osiągnięcia pełni egzystencjalnej, drogę od ładu do chaosu. *Tunel*, choć już także wyraża obsesję, piekło wewnętrzne autora, jest jeszcze bliski borgesowskiego modelu prozy. Świadczy o tym logika konstrukcyjna, lapidarność, precyzja językowa tej powieści. W powstałym trzynaście lat później utworze *O bohaterach i grobach* widać już wyzwolenie się spod uroku Borgesa, pozbawione zresztą niechęci, przeciwnie nawet: nacechowane sympatią, wdzięcznością i zrozumieniem (wyraża je postawa ojca Rinaldiniego) i odejście od klasycznej formy w stronę gwałtowności żywiołu. Już konstrukcja *O bohaterach i grobach* trzeszczy w szwach; w *Abaddonie* — *Aniele Zagłady* ciśnienie nagromadzonych problemów rozsadza strukturę powieściową. Ze wszystkich trzech powieści Ernesta Sabato *Abaddon* jest powieścią najbardziej ambitną, najbardziej „zachłanną” — pragnie wyrazić całą rzeczywistość, powiedzieć wszystko o człowieku współczesnym i otaczającym go świecie, o bólu i cierpieniu, o trwodze i bohaterstwie, o miłości, nienawiści, nadziei. Ambicje tej powieści przekraczają granice możliwości prozy w ogóle i dlatego nie mieści się ona w ramach tego gatunku literackiego.

Ale wróćmy do postawionego wcześniej pytania: Jaka jest rola pisarza, funkcja literatury, jak je widzi autor *Abaddonal*

Jako uzupełnienie licznych, rozproszonych w tej powieści wypowiedzi najlepiej posłuży streszczenie głównych tez zawartych w broszurze *Que es el existencialismo?* (Buenos Aires 1967).

Rozwój nauki i techniki, które w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat uczyniły większe postępy niż przez wszystkie ubiegłe stulecia — ■ stwierdza Sabato w cytowanej broszurze — zaostrił dramat wewnętrzny człowieka. Nigdy przedtem nie odczuwał on tak jak dziś swej samotności. Dwa główne filary wiedzy, której rozwój powoduje owo poczucie alienacji — to obiektywizm i racjonalizm. Cechą charakterystyczną bowiem dzisiejszej cywilizacji jest rugowanie z pola świadomości społecznej elementów irracjonalnych, uczuć i emocji nie mieszczących się w kategoriach czystego rozumu. Nawet filozofia porzuciła człowieka konkretnego, z jego namiętnościami, lękami, nadziejami, na rzecz czystych pojęć. Zajęła się nim dopiero literatura, ściślej: powieść. „Nie przypadkiem — powiada Sabato — powieść jest (...) zjawiskiem równoległym i sprzężonym z rozwojem przemysłowym”. Jej zadaniem jest zwrócić człowiekowi świat mitu i magii, którego pozbawiły go nauka i technika, rozładować jego napięcia, zmniejszyć samotność.

Przytoczone poglądy wyjaśniają dosyć wyraźnie niechęć do pi- 337

sarstwa Robbe-Grilleta (szkoła obiektywizmu) i do jego naśladowców w Ameryce Łacińskiej, jak widać to z kart *Abaddona*. Niechęć ta rozciąga się zresztą na wszelkie eksperymenty formalne (w parodii Koka znalazł się i przytyk pod adresem Cortazara) nie służące celom innym jak tylko poszukiwaniu oryginalności i dowodzeniu własnej maestrii warsztatowej. Natomiast co do sporu o prymat formy i treści w latynoamerykańskiej literaturze, Sabato wzrusza ramionami. Irytuje go bezsens tej scholastycznej w gruncie *rzeczy* dysputy. Literaturę dzieli po prostu na dobrą i złą. „Jedynę, czego można naprawdę wymagać od pisarza to to, żeby był głęboki” — powiada w wywiadzie dla „Escarabajo de Oro” (Buenos Aires, styczeń 1962). I dowodzi własną twórczością, na czym polega prawdziwie zaangażowana literatura. Czyż może być bowiem bardziej wymowne oskarżenie prawnicowego terroru niż scena, w której policyjne zbiry po wrzuceniu do kanału ciała zmarłego od tortur Marcela wybierają się na bułkę z mortadellą? „Sztuka — powiada Camus — nie dlatego jest wielka, że jest rewolucyjna, ale jest rewolucyjna nieuchronnie, gdyż jest wielka.”

Wymagania i-cele, jakie autor *Abaddona* stawia literaturze, są ogromne, prometejskie. Kryje się za nimi bezmiar obowiązków i odpowiedzialności, przerastającej niemal ludzkie siły. I niech nas nie zwiedzie skromnie brzmiące sformułowanie: „bezsilny świadek”, jakim Bruno określa rolę pisarza. Świadek, owszem, ale świadek epoki. Męczennik. „Literatura fabularna — powiada Sabato w cytowanej tu już rozmowie z Nelly Martinez — nigdy nie sprawia mi przyjemności, ani podczas pisania, ani podczas lektury. Przynajmniej taka literatura, jaką ja sam mogę pisać lub jaką uwielbiam czytać.”

Wybór literatury, tej prawdziwej, wielkiej twórczości jest aktem heroicznym. To wybór określonej postawy, postawy czynnego zaangażowania w służbie człowieka. Wybrać rolę pisarza — to przyjąć na siebie wszystkie wynikające z niej konsekwencje. Nie wolno się jej sprzeniewierzyć. Dlatego też z takim zacięciem autor *Tunelu* atakuje Sartre'a za opuszczenie pisarskiego posterunku zarzucając mu hipokryzję i nieautentyczność.

Wybierając między literaturą a życiem Sabato wybrał literaturę: grób pisarza, na który natyka się Brono, znajduje się na cmentarzu nie w Rojas, realnie istniejącym miasteczku, gdzie urodził się i spędził dzieciństwo autor *O bohaterach i grobach*, ale w jego fikcyjnym odpowiedniku: Capitan Olmos. Ta końcowa scena, do której zdaje się zmierzać od początku cała powieść, jest rozstrzygnięciem wątpliwości dręczących pisarza i wielkim wyznaniem wiary w literaturę, złożonym wobec świata.

SPIS TREŚCI

7	Piątego stycznia po południu
7	Tej samej nocy nad ranem
9	Świadek, bezsilny świadek
13	Zwierzenia uczynione Brunowi
19	Nie wiedział dokładnie, jak pojawił się Gilberto
22	Znowu Schneider?
24	Medytacje, rozmowa
35	Koko był nachmurzony
38	Nigdzie nie jesteśmy tak samotni jak w windzie
39	Szedł w stronę Recolety
41	Żądanie rozrachunku
45	O zmierzchu
45	Nacho wszedł do swojego pokoju
47	Doktor Ludwik Schneider
57	Na tym afiszu
58	Koktajl
60	Marcelo, rzekła Sylwina z prośbą w oczach
61	Przez całą noc Marcelo chodził
64	Błazen
65	Pojawia się rodzeństwo
67	Celebruje się wydanie książki T.B.
68	Odczuł potrzebę powrotu do La Pląta
69	Powtórne spotkanie
70	Była już noc, kiedy Agustina wróciła
73	Obudził się z krzykiem
73	Młody Muzzio
74	Interesujące szczegóły wywiadu
76	Drogi i daleki chłopcze
92	Oszaleję od tych snów
92	Różnego rodzaju trudności
96	Nacho szedł za siostrą w pewnej odległości
96	O ubogich i o cyrkach
106	Sny ogółu
109	Nieznajomy
110	Spoglądał na nich z niechęcią
110	Bruno chciałby odejść
111	Och, strukturalizm!
115	Brana fascynuje ta twarz
116	Tak oczywiście
123	Umrzeć za słuszną sprawę
123	Od wielu lat
124	Nigdy go nie widział

125 Wyszedł z kawiarni i wrócił do parku

137	Pewien rodzaj nieśmiertelności duszy	<i>m</i>
141	Koko	<i>mm</i>
142	Z przyjemnością oddychał nocnym powietrzem	
142	Szedł powoli w kierunku placu Boulogne-sur-Mer	
143	Zaledwie Sabato wyszedł	
146	Myśli Koka o nowej powieści	
149	Nie, Marcelo nie mógł go o nic pytać	<i>ih</i>
162	Nie, Sylwio, twoje listy nie nudzą mnie	<i>h</i>
163	Otworzył książkę i natrafił na jego znak	<i>o'</i>
164	Oto jest	
167	Ostrzeżenie	
167	Wywiad	
171	Aż się wreszcie spotkali	<i>-h</i>
176	Znowu poniosły go kroki na plac	<i>H</i>
177	W tych dniach zadzwoniła do niego Meme Verela	<i>H</i>
180	Informacje godne uwagi	<i>H</i>
180	Inna informacja godna uwagi	<i>H</i>
181	Pewne wypadki, które zdarzyły się w Paryżu około 1938 roku	
216	Wywiad	<i>" ' " ■</i>
218	Szedł ulicą Corrientes	
225	Dr Schnitzler	<i>'ni</i>
230	Wykład doktora Alberta S. Gandulfo	<i>'H</i>
241	Przez całą noc Sabato rozmyślał ~	
241	Costa spojrzął na niego	
242	Otóż, moje dzieci	
244	Rozmyślał o słowach Fernanda	<i>- <<</i>
245	Z nadejściem Kiki Bemberga	<i>... ' 1</i>
247	Spójrz na tę twarz, powiedział jej Bobas	
250	Tymczasem Koko był świadkiem nowej fazy	
251	Pogardzał sobą za swą obecność w tym miejscu	
253	Z rana chce pisać	<i>11</i>
257	Kiedy Brano przyszedł do kawiarni	<i>i' o' <<</i>
259	Wychodząc	
260	, Nazajutrz o tej samej porze	
261	O, bracia moi!	
267	Spośród wycinków	
267	W to popołudnie S. długo wędrował	<i>\ ! ■</i>
268	Kiedy Nacho	<i>Mm</i>
276	Jaka bowiem czułość	
276	Minął pewien czas	<i>1</i>
277	Znowu sa na tropie	
279	Nazajutrz w La Biela	

282 Ona przeobraziła się w płomienną furie
282 W tym samym czasie
284 Milczący i udęczony
285 Kiedy wchodził do domu
285 Wyszedł na przechadzkę bez celu
293 Piąć się w górę
295 Wielka cisza panowała w mieście .
295 Tłumnie wychodzili z kolejki podziemnej
298 Weszli dwaj z latarnią
306 O tej porze trzej królowie są w drodze
307 Mniej więcej o tej samej porze
307 Domek wydawał się jeszcze bardziej opuszczony
310 Dnia 6 stycznia 1973
312 Skrzydlaty szczur
314 Georgina i śmierć
314 Ojciec, ojciec
315 Po dwudziestu pięciu latach, rzeczy, ludzie
318 Śmierć Marka Bassana
326 Przechadzał się po ulicy Admirała Browna
326 Ktoś z dawnych czasów
328 Było już po północy
329 Nieoczekiwane zachowanie Bruna
330 Podróż do Capitan Olmos, może ostatnia
334 Posłowie (Jerzy Kiihn)